

ELIZABETH

MOON

PRAWO

ODWETU



**Elizabeth Moon**

# Prawo odwetu

*(Marque and Reprisal)*

*Przełożył Jerzy Marcinkowski*

## ROZDZIAŁ 1

Kylara Vatta objęła spojrzeniem stertę dokumentów z Biura Rozwoju Ekonomicznego Belinty i westchnęła. Oto prawdziwe życie kapitana statku kupieckiego: papiery i jeszcze raz papiery, negocjacje ze spedytorami, klientami, celnikami. Nie takiego życia chciała, wstępując do Akademii Sił Kosmicznych, a do którego musiała powrócić po wydaleniu z uczelni.

Nudnego. Przyziemnego.

Co prawda, ostatnie wydarzenia na Sabinę trudno byłoby określić mianem nudnych lub przyziemnych - już prędzej: przerażających - i nikt nie chciałby powtórki z takiej wyprawy.

Oprócz niej. Doskonale pamiętała tę falę podniecenia, radość walki, pełną poczucia winy rozkosz, towarzyszącą zabijaniu Paimana i Kristoffsona. Albo więc ona nie była zdrową psychicznie jednostką, albo... nic. Pomyślała o diamentach, ukrytych w szufladzie z bielizną.

Nie wystarczą, żeby całkowicie wyremontować jej stary statek, lecz dzięki nim mogłaby znaleźć się gdzieś indziej, gdzie mogłaby prowadzić życie, jakiego naprawdę chciała. Być może najemnicy zaakceptowaliby jej skłonność do przemocy; złożyli jej przeciw propozycję.

Może ktoś inny. Zirytowałaby rodzinę, choć nie w takim stopniu, jak uczyniłaby to prawda.

Nie. Musiała dokończyć przynajmniej jedno zadanie. Odpowiadała za załogę. Statek również należał do jej rodziny, a ona raczej nie zarobi w najbliższym czasie tyle, żeby go odkupić. Westchnęła ponownie, podpisała kolejną kartkę i wczytała się w następną. No dobrze.

Zabieraj tego gruchota na Leonorę, dostarcz cargo, a potem leć na Lastway. Jeśli do tego czasu nie zdoła zgromadzić środków na remont kapitalny, wróci do oryginalnego planu i polecą do domu pasażerskim liniowcem. Jeśli zarobi wystarczającą kwotę, by sfinansować naprawy, zrobi to, a po powrocie na Slotter Key złoży rezygnację. Albo... wpatrzyła się w dal, nie zważając na groź kajuty. Mogła odesłać statek do domu pod dowództwem kogoś innego. Na przykład Quincy, która wiedziała wystarczająco wiele, by poradzić sobie z samodzielnym dowodzeniem jednostką.

Na dłuższą metę jej rodzinie będzie lepiej bez niej. Gdyby tata wiedział, co czuła, zadając śmierć... nie. Nawiedzały ją senne koszmary, w których usiłowała wytłumaczyć się temu łagodnemu człowiekowi, mając nadzieję na zrozumienie, lecz na jego obliczu nieodmiennie malowało się przerażenie. Nawet dusząca, nadopiekuńcza miłość, która tak ją denerwowała podczas ich ostatniej rozmowy, była stanowczo lepsza od tej grozy, wstrętu, odrzucenia. Gdyby wróciła do domu, wyczułby coś; próbowaliby ją sondować, nakłaniałby do zaufania mu i w końcu dopiąłby swego. A nie było niczego gorszego od widoku ojca, który zaczyna żałować, że w ogóle się urodziła.

Powinna zwyczajnie odejść. Być może za kilka lat zdoła mu to wyjaśnić, a on pogodzi się z faktami. Upływ lat może pokryć skórą nagą prawdę o tym, kim jest Kylara Vatta.

Przebiła się przez resztę formularzy i postanowiła osobiście zanieść je do najbliższej skrzynki pocztowej. Stacja Belinta miała niewiele uroku, niemniej spacer powinien ją odświeżyć.

- Quincy, idę nadać dokumenty - rzuciła do interkomu.

- Idziesz znaleźć jakiś ładunek, czy mamy zacząć wносить to, co tutaj zostawiliśmy?

- Niczego jeszcze nie znalazłam - odparła Ky. - Możliwe, że będę musiała udać się w tym celu na dół. Bierzcie się za ładowanie... poszukaj tutejszych dokerów do pomocy.

Zwyczajowe stawki i tak dalej.

Przejrzała się w lustrze i uznała, że prezentuje się wystarczająco okazale. Potrzebowała nowego munduru - temu brakowało już szyku i doskonałego krawiectwa, za które zapłaciła jej matka - lecz wyłącznie w przypadku, gdyby zostawała z Vattami. Jeśli zaciągnie się do najemników, założy ich mundur; jeżeli pozostanie niezależna, będzie musiała wymyślić własny wzór. Niemniej na spacer mający na celu nadanie nieco papierów do właściwego biura, szara tunika i luźne spodnie powinny w zupełności wystarczyć. Przypięła identyfikator umożliwiający poruszanie się po Stacji Belinta.

Na stacji działało się niewiele. W dokach cumowały zaledwie trzy statki, z czego dwa pozostałe były zwykłymi, wewnątrzkładowymi holownikami, obsługującymi kopalnie na satelitach Belinty. Przy ich stanowisku Quincy rozmawiała ze zwalistym mężczyzną we wszechobecnej, zielonej tunice miejscowych dokerów. Towarzyszący jej Beeah trzymał

przenośny komputer, gotowy do zarejestrowania danych pracowników, gdyby negocjacje Quincy zakończyły się sukcesem. Ky szybko minęła dwóch siedzących na ławce i pogrążonych w rozmowie mężczyzn, stojącą przy windzie kobietę, z trudem radzącą sobie z dokazującym dzieciakiem, kilka wyblakłych plakatów, zachęcających do odwiedzenia kurortów Belinty, i skręciła w lewo, w szeroki korytarz główny. Mieściły się tutaj kantory wymiany walut, banki, usługi telekomunikacyjne - lokalne i ansiblowe - zarząd Portu Belinta, giełda pracy oraz - na samym końcu - poczta. Był środek wachty; mijała nielicznych przechodniów. Mężczyzna z teczką właśnie wchodził do oddziału Belinta Savings&Loan, dwie rozszczebiotane kobiety opuszczały kantor Allsystems Exchange.

Dalej ciągnęły się rzędy pustych miejsc, gdzie pojawią się nowe usługi, sklepy i ludzie, jak tylko Belinta zacznie lepiej prosperować. W tej chwili nie było tam nikogo.

Ky wkroczyła do pomieszczenia poczty i podeszła do lady, gdzie na wyświetlaczu widniało: w tej chwili obsługujemy numer sześć osiemdziesiąt dwa. Jedyne urządzenie w zasięgu wzroku nawet nie podniósł głowy.

- Proszę pobrać numer - wymamrotał. Uprzejmość typowa dla Belinty - pomyślała Ky, rozglądając się za podajnikiem numerów. Stał przy wejściu. Wyciągnęła karteczkę; na wyświetlaczu pojawiło się: w tej chwili obsługujemy numer sześć osiemdziesiąt trzy.

- Numer sześć osiemdziesiąt trzy! - wydarł się urzędnik rozdrażnionym tonem, jakby kazała na siebie zbyt długo czekać.

- Mam przesyłkę do Biura Rozwoju Ekonomicznego - oznajmiła.

- Do kogo? - zapytał urzędnik.

- Nieważne. Po prostu BRE.

- Musi być zaadresowana na osobę - oświadczył urzędnik. - Nie można wysyłać poczty do biura.

- Tak jest na formularzu - stwierdziła Ky, wskazując na rubrykę ODESŁAĆ DO. -

Żadnego nazwiska, tylko nazwa biura.

- Musi być nazwisko - upierał się urzędnik. - Takie są przepisy. Wszystkie przesyłki do agencji rządowych muszą być kierowane do konkretnych osób.

Ky kusilo, żeby wymienić konkretne nazwisko. Zamiast tego zapytała:

- Ma pan książkę adresową?

- Klientom nie wolno korzystać z poufnych spisów teleadresowych, ani urządzeń komunikacyjnych - zaintonował urzędnik. - Wymogi bezpieczeństwa. Uprasza się klientów o ustalenie nazwiska właściwego odbiorcy przed wizytą na poczcie. Następny!

Ky obejrzała się przez ramię. Nikogo.

- Zajrzenie do książki nie zajęłoby zbyt wiele czasu.

- Następny, proszę. - Urzędnik nadal na nią nie patrzył. Ky miała ochotę przechylić się przez kontuar i skrócić tę jego chudą szyję, lecz nie uległa chwilowemu impulsowi. Była to część profesji kapitana-handlarza; musi liczyć się z takimi pozbawionymi sensu, śmiesznymi, irytującymi bzdurami.

- Doskonale - powiedziała w zamian. - Dostarczę je osobiście. - I tak musiała polecieć na dół, żeby dowiedzieć się, czy nie mają jakichś godnych uwagi ładunków do zabrania z tej śmierdzącej planety.

- Miło mi było pomóc miłego dnia - wyrzucił z siebie jednym tchem urzędnik.

Ky wróciła tą samą drogą, minęła korytarz do doków, jadłodajnię „Goodtime Eats”,

„Prawdziwe Jedzenie Jerry’ego” i „Szybkie Danie”, gdzie mijane wcześniej dwie kobiety siedziały przy małym stoliku, niemal stykając się głowami, po czym dotarła do promowej kasy biletowej. Nie pamiętała, kiedy odlatywał prom...

- Za dwie i pół godziny - poinformował ją bileter. - Proszę być w porcie na pół godziny przed odlotem.

Co dawało jej czas na powrót na statek i przebranie się. Odwróciła się, by wyjść, gdy powstrzymał ją donośny zgrzyt.

- Co to?

- Nie wiem - odparł mężczyzna.

Prosimy pozostać na swoich miejscach - zagrzemiał donośny głos. - Cały personel proszony jest o pozostanie na swoich miejscach. Ekipy ratownicze numer jeden i dwa natychmiast do doków. Cały personel...

- Mój statek! - zawołała Ky. - Muszę wracać...

Lecz wejście do kasy biletowej było już zamknięte, a metalowa krata opadła z łomotem w chwili, gdy zrobiła krok w jej kierunku.

- Słyszała pani - odezwał się bileter. - Mamy wszyscy pozostać na miejscach.

- Cóż, ja nie mogę - odparła Ky. - Proszę to otworzyć.

- Nie mogę - odrzekł. - Działa automatycznie, jak grodzie bezpieczeństwa. Kieruje nimi Ochrona Stacji. Chyba, że zna pani kod priorytetowy, jak ekipy ratunkowe...

Komunikat ucichł. Piętnaście minut później krata uniosła się z cichym skrzypieniem.

- Prosimy o powrót do swoich zadań - nastąpiło obwieszczenie. - Cały personel proszony jest o powrót do swoich zadań.

Żadnego wyjaśnienia, co spowodowało zamknięcie. Ky pospieszyła do doków. Nie zauważyła nic szczególnego, z wyjątkiem oficera Ochrony Stacji, stojącego w pobliżu otwartego luku ładowni Gary 'ego Tobai i pogrążonego w rozmowie z Quincy.

- Co się stało? - zapytała, podchodząc do nich.

- Nic, co mogłoby panią obchodzić - odparł oficer. - Proszę odejść.

- To jest nasz kapitan - pospieszyła z wyjaśnieniem Quincy, prawie zagłuszając Ky, mówiącą:

- To mój statek, który bardzo mnie obchodzi.

- Och. - Mężczyzna zrobił zakłopotaną minę. - Nie ma pani munduru.

- Wymagał oczyszczenia - wyjaśniła. - Oto mój identyfikator. - Wyciągnęła plakietkę do przeskanowania. - Co się stało?

- Uważamy, że doszło do próby okradzenia pani statku - odrzekł oficer. - Pewne podejrzane, znane nam osoby zostały wynajęte w charakterze ładowaczy, a ta osoba - wskazał

na Quincy - powzięła pewne podejrzenia w stosunku do jednego z kontenerów i zapytała o to osobnika, który go prznosił, przypuszczając, iż doszło do podmiany. Dwaj osobnicy uciekli; ta osoba wszczyła alarm.

Ky doskonale wiedziała, że kradzieże dokonywane przez okazjonalnie wynajmowaną siłę roboczą były ciągłym zagrożeniem dla kupców.

- Schwytaliście ich?

- Nie zostali jeszcze zatrzymani - odparł. - Uciekli w niezagospodarowane rejony stacji.

Konfiskujemy kontener, który starali się wnieść na pokład i szukamy właściwego pojemnika, którego zaginięcie zgłosił członek pani załogi.

- Jestem pewna, że zajmie się pan tą sprawą we właściwy sposób - stwierdziła Ky.

- Czy będzie można zastać panią tutaj później? - zapytał mężczyzna.

- Nie - odrzekła Ky. - Muszę polecieć na dół, aby dostarczyć raporty waszemu rządowi.

Mój prom odlatuje... - sprawdziła czas. - Przepraszam, ale muszę się pośpieszyć. Quincy zastąpi mnie na czas mojego pobytu na planecie. W porządku, Quincy?

Starsza kobieta skinęła głową.

- Poradzę sobie. Będziesz kupować cargo?

- Całkiem możliwe. Zakładam, że spędzę tam kilka dni. Będziemy w kontakcie. - Ky pośpieszyła do statku. Założyła ostatni pozostały jej mundur z oficjalnym kapitańskim płaszczem i wykonała dwa szybkie telefony, by zarezerwować pokój w Gildii Kapitańskiej oraz obstawę, mającą oczekiwać na nią w porcie promowym na planecie. Zawahała się, po czym wsadziła do kieszeni kilka diamentów. Nie spodziewała się odcięcia od zasobów finansowych Vattów, lecz na wszelki wypadek nie zawadzi mieć ze sobą paru kosztowności.

Zdążyła na prom i poleciała na dół wraz z grupą pracowników stacji, udających się na planetę na weekend. Zaklasyfikowała ich odruchowo - urzędnik, urzędnik, operator urządzeń, serwisant - zastanawiając się, co ją niepokoi. Taką samą nudną mieszankę mogła spotkać gdziekolwiek w galaktyce. Dojrzała ochroniarza przy wyjściu dla pasażerów. Wymienili hasła i sprawdzili nawzajem swoją tożsamość - kolejne doskonale jej znane, rutynowe czynności.

Droga do miasta biegła wśród pól zieleńszych od zwyczajowych strojów mieszkańców Belinty.

W jednej z pracujących na polach maszyn rozpoznała sprzęt przywieziony przez nią z Sabinę i poczuła przyływ satysfakcji. Gdyby tylko nauczyła się doceniać dobro, płynące z przewiezionych przez nią towarów, patrzeć na rzeczy pod tym kątem, to może...

Gerard Avondetta Vatta obserwował pilota, ładującego jego teczkę na pokład lekkiego samolociku. Wróć do miasta przed zmierzchem; zje ze Stavrosem służbową kolację, a nazajutrz zajmie się delikatnymi problemami natury politycznej, wywołanymi gwałtownym opuszczeniem Akademii przez jego córkę. Teraz, kiedy nie groziło jej niebezpieczeństwo, a on widział jej twarz i rozmawiał z nią, powrócił do motywów skrytych za oczywistymi przyczynami.

Czemu Miznarii skarżyli się na religijną dyskryminację w Akademii? Pewnie, Miznarii byli trudną sektą, ale przez ostatnich trzydzieści lat służyli w Siłach Kosmicznych Slotter Key, nie stwarzając żadnych problemów, o których by słyszał. I dlaczego wybrali sobie Ky na narzędzie? Oczywiście, jej zwyczaj pomagania zbłąkanym owieczkom czynił ją podatną na manipulacje, ale taka przyczyna nie do końca go zadowalała.

Tak, od urodzenia była uczynną osobą, niemniej dostrzegł w niej rys twardego charakteru, dzięki któremu mogła przetrwać w dżungli międzygwiazdnych przewozów. Kiedy wróci, być może nadejdzie pora, by wyjawic jej parę rzeczy, których nie zawierała podstawowa baza danych Vattów w jej implancie.

Miznarii... czyżby byli częścią odradzających się nastrojów skierowanych przeciwko człomodelom, o których meldowali niektórzy kapitanowie Vattów? Bez wątpienia byli fundamentalistycznymi purystami, wyrzekającymi się nawet najpowszechniejszych modyfikacji i ulepszeń, na przykład implantów czaszkowych, nie słyszał jednak, żeby miesza li się do polityki pozaplanetarnej. Poza tym, Ky nie miała zbyt częstego kontaktu z człomodelami; raczej nie powinna zostać celem napaści wymierzonej przeciwko nim.

Było jeszcze InterStellar Communications. Vattowie zawsze wspierali ISC, a on w pełni doceniał, co ISC zrobiło dla Ky na Sabine, zastanawiał się jednak, czy ich osąd odpowiadał ich sile. Próbował powiedzieć coś takiego Lewisowi Parminie podczas jego ostatniej wizyty na Slotter Key, lecz ten zbył jego troskę wzruszeniem ramion.

- Płacimy naszym badaczom wystarczająco dużo, żeby siedzieli cicho - odparł. - Wiesz, najedzone woły nie włożą w szkodę.

A jednak... w galaktyce istniały jeszcze inne źródła bogactwa. Byli tacy<sup>^</sup>tów<sup>^</sup> z ochotą zapłaciliby niemal każde pieniądze za sekrety laboratoriów ISC. Był pewien, że część z nich sama opłacała badania, mające na celu skopiowanie technologicznych rozwiązań ISC, bądź

rozwiniecie ich. Atak na ansible Sabine był mało subtelny, lecz zdaniem Gerarda najprawdopodobniej była to swego rodzaju próba. Jak silne jest ISC, jak szybko potrafi zareagować?

Piraci... wiadomości z Sabine były niepokojące. Sojusz piratów? Ich agenci w legalnie działających firmach? Jak to funkcjonowało? Vattowie zatrudniali tysiące pracowników na tuzinach statków i w dziesiątkach biur. Czy któryś z nich był zdrajcą przekazującym informacje piratom? Jak dotąd, piraci skupiali się na mniejszych przewoźnikach, eliminując kilku z nich z rynku. Według danych Gildii Kapitańskiej - o ile były wiarygodne - najwięksi przewoźnicy nie padali ich ofiarą. Lecz był pewny, że taka sytuacja nie potrwa długo. Skończą się im łatwe łupy i zasadzą się na grubszego zwierza. Potężne kompanie kupieckie - wśród nich Vattowie - nigdy nie przekonały rządów planetarnych, że



prowadzony przez nich handel służył utworzeniu prawdziwych sił kosmicznych, zdolnych zapewnić bezpieczeństwo na gwiazdnych szlakach.

ISC dysponowało odpowiednimi zasobami, odmawiało jednak wykorzystywania ich do akcji wykraczających poza utrzymywanie własnego stanu posiadania.

Gerard zaprogramował implant, by przypomniał mu o telefonie do Gracie Lane podczas podróży do miasta. Siatka szpiegowska Vattów - jak nazywał ją Stavros, choć jej oficjalny tytuł

brzmiał: specjalna asystentka prezesa.

- Spodziewa się pan towarzystwa? - zapytał nagle pilot.

- Słucham? - Gerard obejrzał się. Pilot przepatrywał czysty, popołudniowy nieboskłon.

- Mój implant utrzymuje, że naziemne skanery wykryły dwie niezidentyfikowane jednostki. Nadlatujące wschodu.

Znad oceanu? To nie miało sensu. Krążący po archipelagu rejsowiec już odleciał, a poza tym, nigdy nie latał nad tą częścią wyspy. Najbliższy zamieszkały łańcuch wysp na, wschód od Corleigh to Archipelag Merrill, którego linie powietrzne raczej omijały lukę o szerokości półtora tysiąca kilometrów, latając na południe, do Rify Obrzeża, a potem wzdłuż niej z powrotem na zachód. Pomiędzy Merrill a Corleigh znajdowały się jedynie niezamieszkałe, pojedyncze skały, będące wierzchołkami podmorskich wulkanów.

Jego implant nie był podłączony do skanerów prywatnego lądowiska i musiał przedrzeć się przez zabezpieczenia systemu. Zanim dotarł do skanerów naziemnych, Gerard gołym okiem mógł dostrzec dwa błyskawicznie powiększające się punkciki. Usłyszał też ich przenikliwe wycie.

- Gaspard, masz choćby blade pojęcie... - zaczął, gdy wtem jego implant zapiszczał

ostrzeżeniem przekazanym przez naziemne skanery. Broń. Te niewielkie, latające obiekty były uzbrojone... okręcił się na pięcie i ruszył w stronę wznoszącego się przy lotnisku biurowca.

- Nie! na ziemię, sir! - Gerard nie zwracał na niego uwagi, lecz pilot, młodszy i szybszy, szarpnął go za ramię na samym skraju trawy. Uderzył o ziemię ciężko, ze złością... szydercze wycie nad głową było coraz głośniejsze, zbliżało się. Poczul w ustach kwaśny smak strachu.

Zakrył głowę dłońmi, uświadamiając sobie, jaki był bezradny.

Implant wyświetlił mu wygląd obiektów - pozbawionych okien, bezzałogowych pojazdów o krótkich skrzydłach - na chwilę przed rozbłyskiem, grzmotem i niosącym śmieci podmuchem powietrza, który poturlał go po asfalcie. Po chwili drugi rozbłysk, wybuch i znacznie cichszy grzmot.

Zamrugnął oczami i podzwignął się na kolana. Gaspard złapał go za ramiona; wyprostowany pilot był biały jak śnieg. Biurowiec zamienił się w kłębowisko płomieni i gęstych tumanów kurzu. A za nim, po prawej, gdzie niegdyś wznosił się wygodny dom, teraz biła w niebo kolumna ognia i dymu.

- Myris! - wyrzucił z siebie. - San! - Wyrwał się Gaspardowi i pognął do biurowca, ponieważ był bliżej. Tuż koło siebie czuł biegnącego Gasparda, choć nie słyszał jego kroków, zagłuszanych wypełniającym uszy rykiem i trzeszczeniem płomieni.

Ktoś wypadł chwiejnie ze środka i Gerard zwolnił, żeby się przyjrzeć. Jedna z recepcjonistek; z okopconej twarzy wyzierały białka wytrzeszczonych oczu.

- Co...?

- Zajmij się nią - rzucił do pilota. - Wezwij... - Lecz służby ratownicze obsługujące ten kraniec wyspy mieściły się po drugiej stronie biurowca. Jeśli przeżyli, mieli pełne ręce roboty.

- Dzwon do miasta.

Po pogotowie medyczne. Dzwon do miasta... ostrzeż Stava... - Na zewnątrz wytoczyły się dwie kolejne postacie, jedna trzymała drugą w pół; Gerard ruszył w ich stronę.

- Ma pan telefon czaszkowy! - wrzasnął do niego Gaspard.

Zamrugał oczami, podrażnionymi gryzącym dymem. Zgadza się.

Miał. Trzęsącymi się palcami mentalnymi wybrał numer brata.

- Geny? - odebrał Stavros. - Co się stało... nie przyjeżdżasz po południu?

- Zarządź ewakuację budynku - powiedział Gerard.

- Co?

- Ktoś właśnie zbombardował naszą siedzibę w Corleigh - wyjaśnił Gerard. - Jakies bezzałogowe samolociki. Opróżnij kwaterę główną - będzie następnym celem.

- Właśnie otrzymałem ansibłem wiadomość o kłopotach na Allway - stwierdził Stavros.

- Powiązanie?

Na dłoni Gerarda wylądował rozżarzony węgielek; strzepnął go niecierpliwie.

- Oczywiście. Do licha, opróżnij budynek.

- Uruchomiłem już alarm, Gerry. Wychodzą. Wiesz doskonale, że to musi zająć trochę czasu.

Nie mieli czasu. Zdawał sobie z tego sprawę, zbliżając się do szalejących płomieni i przygotowując się do wejścia do środka, by ratować ocalałych.

- Ogłoś alarm powszechny. Niech nasi ludzie wiedzą...

- W porządku. Już. Jesteś cały?

- Zyję. Muszę tam wejść i sprawdzić, czy San...

- Gerry... nie rób tego. Pozwól zrobić to ratownikom...

- Nie ma ich - odparł Gerard. Popołudniowa bryza odepchnęła kolumnę dymu na bok i ujrzał, że bomba spadła dokładnie na tamten koniec budynku.

- Myris?

- Dom też trafili. Nie wiem. Po obiedzie wybierała się na basen popływać; modłę się, żeby to zrobiła. - Nawet basen dawał jakąś ochronę. Poza tym, był jeszcze personel, sprzątający po lunchu. Zamknął na chwilę oczy i zmówił krótką, żarliwą modlitwę. - Stav... słyszałem, co mówiłeś. Wychodzą. Ty też wyłaź. Zejdź do bunkra.

- Zaraz to zrobię - obiecał Stavros. - Jak tylko skończę. Wysyłam ostrzeżenie do wszystkich systemów... w porządku. Zostawiam resztę zadań ochotnikowi i wychodzę.

Żar był zbyt wielki; płomienie paliły mu twarz wiele metrów od pożogi. Przypomnił

sobie o zbiornikach z paliwem dla pojazdów ratowniczych w chwili, gdy kolejna eksplozja zbiła go z nóg i cisnęła na coś twardego i ostrego, a następne trzy obruszyły na niego fragment budynku.

Ocknął się, kiedy Gaspard i stary George wygrzebywali go spod gruzu. Z każdym oddechem lewy bok przeszywał ból. Podejrzewał złamanie żebra. Albo dwóch. Rozkaszał się i poczuł kolejne dżgnięcie bólu. Z ruin wciąż buchał dym, ale większość płomieni przygasła...

pozostawiając resztki ścian i szpice niemożliwych do zidentyfikowania fragmentów zbrojenia.

Wpatrywał się w pogorzeliśko wraz z żałośnie nieliczną grupką ocalałych. Gdzieś tam był San, jego jedyny syn na tej planecie. Zapewne martwy... odwrócił się, nie chcąc więcej patrzeć.

Gaspard towarzyszył mu w chwiejnej wędrówce do domu. Nie pozostało z niego nic, oprócz dziury w ziemi. Ogród pokryty był warstwą śmieci; spod ramy okiennej wystawał

nietknięty krzak orchidei. Obeszli gruzowisko i dotarli na tyły, gdzie fragmenty dachu zburzyły mur otaczający zieleniec. Na powierzchni olbrzymiego basenu unosiła się zbita masa szczątków... kawałki drewna, kartki papieru, strzępy ubrań, różowe liście kwitnących jabłk oraz szerokie haricondów, każdy pokryty warstwą pyłu i nierozpoznawalnych odłamków. Na jego oczach część z nich zatoneła, gdy wiatr poruszył wodę.

Kłęczał na skraju basenu, oślepiiony i niezdolny wykrzyknąć jej imienia ustami pełnymi strachu i udręki. Ktoś płakał, ktoś powtarzał w kółko jej imię, ktoś miał mokre ręce. Szczypiąca woda omywała oparzenia. Ktoś ciągnął ją za ramię, starając się wydobyć jej twarz spod powierzchni, nie zważając na czerwone smugi, różowiejące w brudnej wodzie.

A potem leżał na plecach, przygniatając kogoś mówiącego do niego i widział ją, spoczywającą w blasku słońca przyćmiewanego kłębam dymu. Woda wypływała spod niej, tworząc powiększającą

się, zabarwioną na czerwono kałużę, a ona nie odwróciła ku niemu głowy, nie krzyknęła, nie zapytała, co się stało.

Ktoś przytknął mu butelkę do warg. Wyczuł ostry zapach whisky, na którą nie miał

ochoty, niemniej pociągnął łyk, ponieważ miał wyschnięte gardło i zakrztusił się, gdyż okazało się zbyt wysuszone. Przeszył go ból, niemal równie intensywny jak ten, który szarpał jego serce. Poczł zapach ziemi i cebuli, i zobaczył, że przytrzymujące go ręce są uwalane błotem i sokiem roślin. Ogrodnik. Jego umysł dryfował, powoli rejestrując i kojarząc obrazy.

A potem wszystko nagle wróciło. Atak. Eksplozje. Zniknięcie domu i jego żony.

Zniknięcie biura i jego syna. Ostrzegł Stavrosa. Musiał... spróbował usiąść; zakłuły go żebra.

Dłonie pomogły mu, delikatnie go popychając.

- Nie żyją - usłyszał swój głos. Nadal dźwięczało mu w uszach; mówił z metalicznym pogłosem. - Wszyscy... kto przeżył?

Gaspard miał listę. Soler, Tina i Vindy z recepcji. Bonas, przebywający w toalecie w drugim końcu budynku, który nie został bezpośrednio trafiony. Gaspard. Stary George.

Wszyscy trzej ogrodnicy. Mały Ric, zamiatający frontowy ganek i podjazd, którego podmuch cisnął w okalającą drogę gęstwinię palm i jabła.

Wszyscy patrzyli w niebo. Musiał coś zrobić, zabrać się za przywracanie porządku.

- Woda - usłyszał starego George'a. - Trza nam wody.

- Sprawdzę zbiorniki - odezwał się podtrzymujący go ogrodnik. - O ile może pan stanąć o własnych siłach?

Mógł stać. Musiał. Nadal byli ludzie, którzy od niego zależeli.

- Idź - powiedział. - Sprawdź zbiorniki. Dziękuję.

Woda. Schronienie. Jedzenie. Obrona przed tym, kto to uczynił. Transport. Pomoc medyczna. Szturchnął swój ociężały umysł. Trzeba podjąć decyzje. Podejmij je.

Zanim zdążyli przybyć ratownicy z miasta, jedna z ocalałych osób zmarła. Gerard próbował rozmawiać z urzędnikami przybyłymi razem z ratownikami. Wciąż dzwoniło mu w uszach i z trudem stał na nogach, a oni wypytywali go o przyczynę ataku. Skąd miałby to wiedzieć? Zupełnie jakby to była jego wina. Dlaczego do akcji nie przystąpili ratownicy, ani strażacy? Dlaczego stacjonowali w biurówcu? Dlaczego pod budynkiem znajdował się rezerwowo zbiornik paliwa? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Implant również nie podsuwał mu żadnych odpowiedzi. Kto to zrobił? Jak tego dokonali? Przyleciał

następny samolot, wyładowany inspektorami śledczymi. Jednych znał, innych nigdy wcześniej nie widział. Ktoś przyniósł mu nadpalone krzesło z biura, żeby mógł

sobie usiąść. Samolot odleciał, zabierając rannych pracowników. Mijało popołudnie; na lądowisku położył się cień wzgórz. Ktoś dokładnie go obejrzał i poradził położenie się do szpitala. Odmówił. Był otępiąły i oczadziały od dymu, lecz nie mógł stąd odlecieć, jeszcze nie.

Wtem przez mgłę przebił się znajomy papuzi skrzek.

- Zabierzcie go stąd, idioci. Jest celem. - Głos przybliżył się. - Gerry... Gerry, spójrz na mnie. Skup się.

Wyglądała na równie zbzikowaną, jak przez ostatnich dwadzieścia-trzydzieści lat: rozwiane, siwiejące włosy, sukienka z drukowanego jedwabiu, sznury koralu i pobrzękujące bransolety. Lecz oczy pozostawały bystre.

- Gracie - wymamrotał.

- Wyglądasz okropnie - oświadczyła. - Wstawaj, Gerry.

- Nie wiem, czy... - Lecz już był na nogach, podpierany przez czyjeś ramię i podążał za szybkim stukotem absurdalnie wysokich obcasów Gracie o asfalt. Przy każdym kroku kłuło go w bok. - Nie mogę stąd odejść - powiedział do jej pleców. - Myris... San... reszta...

- Nie żyją - rzuciła przez ramię. - Ty tak. I tak musi pozostać. Potrzebujemy cię, Gerry.

Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz, nie mający nic wspólnego z obrażeniami.

- Stavros?

- Później. - Po czym dodała do pomagających mu ludzi: - Wsadźcie go do środka i podajcie tlen.

Poczuł, jak wnoszą go do samolotu. Ból tak straszliwy, że omal nie zemdlał, zamienił

jego prawy bok w rozżarzoną do białości masę. Dyszał ciężko w fotelu i nie podniósł powiek, nawet gdy poczuł pod nosem chłodny podmuch tlenu.

- Oddychaj - usłyszał Gracie. - I nie przestawaj, do jasnej cholery. - Czuł pod sobą wibrację samolotu, rozruch silników, podskoki na asfalcie podczas kołowania, wbijające noże cierpienia w jego bok i ramię, a potem skok naprzód, gdy oderwali się od ziemi.

- Dokąd? - zapytał. To jedno słowo zupełnie go wyczerpało.

- W bezpieczne miejsce, mam nadzieję - odparła Gracie. Usłyszał jej westchnienie i ciche chrząknięcie, gdy poprawiała się w swoim fotelu. - O ile jest jeszcze takie miejsce.

Myśleliśmy tak o schronach kwatery głównej...

- A nie są? - zapytał.

- Tylko leż spokojnie, Gerry. Twoje jedyne zadanie aż do wylądowania to przeżyć.

- Nie pozwól im... - zdołał z siebie wydusić. Nagle usta wypełnił mu słony płyn; zakrztusił się, przełknął i omal nie zwymiotował.

- Cholera - powtórzyła ciszej Gracie. Poczł, jak maska tlenowa odsuwa się i coś miękkiego ociera mu kącik ust.

- Zabierz implant - powiedział. Przejaśniło mu się w głowie. Implanty jego i Stavrosa.

Ktokolwiek to uczynił, nie może przejąć ich głównej bazy danych. - Gracie... weź implant.

Kluczową bazę danych.

- Wiem, kochanie - odrzekła. „Kochanie”? Gracie zwróciła się do niego per

„kochanie”? Ta sama Gracie, która oznajmiła mu kiedyś, gdy oboje byli znacznie młodsi, że nawet na łożu śmierci nie doczeka się uznania z jej strony?

- Jestem ranny - powiedział, wstydząc się brzmiących w jego głosie słabości i zmieszania.

- Owszem - przytaknęła Gracie. - Jak tylko będziemy bezpieczni, postaramy się ściągnąć do ciebie doktora. Nie lecimy do szpitala, więc nie trać sił na wyjaśnienia. -

Westchnęła ponownie. - Gerry, Stavros nie żyje. Nastąpił atak na naszą siedzibę główną; schrony nie wytrzymały. Ktoś musiał sporo o nich wiedzieć. - Usłyszał jakiś pisk, jakby tarcie metalu o metal. - Ktoś chce zniszczyć Vattów, Gerry. Musisz się trzymać.

Śladu zwątpienia w jej głosie. Jak długo nie wątpiła, może tego dokonać. Oddychał, nie zważając na ból, pełną od nóg słabość i próbującą spowić go chmurę mroku.

Pozostały pytania. Kto? Dlaczego? Jak?

\* \* \*

Gracie Lane Vatta zmusiła się do nie zwracania uwagi na ratującą Gerarda ekipę medyczną i skupienia się na ataku, metodach i znaczeniu. Bezzałogowe samoloty - system bezpieczeństwa lądowiska zachował wystarczające dane wizualne. Broń wojskowa, jakiej nie używały planetarne siły Slotter Key; tak przynajmniej utrzymywali. Zdjęcia satelitarne ujawniły miejsce startu: Wyspa Kości, niezamieszkały, nagi, skalny wierzchołek wulkaniczny, około 430 kilometrów na wschód od Corleigh. Ktoś był na tej wyspie wystarczająco długo, by wysłać samolociki w powietrze. Jeden z jej ludzi w administracji rządowej badał już zdjęcia z poprzednich dni, by ustalić, kiedy i jak tam się znaleźli. Oraz - choć wątpiła, żeby było to możliwe - kim byli.

Atak na siedzibę główną korporacji był zupełnie inny, choć równie druzgocący. Od strony

przebiegających pod miastem tuneli technicznych... podkopy pod same fundamenty kwatery Vattów, okalające schrony, które zaprojektowano z myślą o przetrwaniu trzęsienia ziemi, burzy, a nawet ataku z powietrza i zawalenia się budynku.

Lecz nie przeciwko materiałom wybuchowym zdetonowanym bezpośrednio pod podłogą i za ścianami bunkrów. Według najbardziej wstępnych szacunków wykonanie tych podkopów i umieszczenie w nich ładunków musiało trwać co najmniej kilka tygodni.

Do tej pory uważała, że największym zagrożeniem dla Vattów jest rosnąca aktywność piratów na szlakach handlowych oraz zamach na córkę Gerarda, Ky, w odwecie za jej udział w konflikcie w systemie Sabine. Dopiero co skończyła raport o piratach, który planowała zaprezentować Gerardowi i Stavrosowi w nadchodzącym tygodniu. Kilka tygodni temu ostrzegła najwyższych menedżerów przed rosnącym prawdopodobieństwem zamachów. Atak o takiej skali nawet nie przyszedł jej do głowy i była wściekła na siebie za to, że nie dostrzegła tej możliwości.

Samolot, na pokładzie którego się znajdowali, eskortowany był przez wojskową maszynę sił Slotter Key - co nie sprawiało, by czuła się tak bezpieczna, jakby sobie tego życzyła - i nie zmierzał wcale do stolicy, lecz do jej prywatnej posiadłości pod Corleigh.

Zbilansowała zwiększoną ochronę, jaką rząd zapewnił miastu stołecznemu z bezbronnością kilkugodzinnego pobytu w powietrzu nad otwartym morzem... w obliczu łatwości wyśledzenia samolotu z kosmosu... oraz ze stanem Gerarda.

Kto to zrobił? Dlaczego? I czemu w taki sposób: otwarcie wypowiadając wojnę nie tylko Vattom, lecz również całemu Slotter Key? Jak brzmiała wiadomość? Czy nastąpią kolejne ataki, a jeśli tak, to kiedy i gdzie?

Dostosowany do jej pracy implant dostarczył uzyskane dane w postaci zwyczajowej matrycy. Jakie środki zostały wykorzystane przy danym wyborze broni i miejsca startu. Jakie warunki były niezbędne, żeby atak się powiódł i jak wyglądały punkty krytyczne, grożące fiaskiem całego planu. Którzy ze znanych wrogów Transportu Vattów dysponowali takowymi środkami?

Opracowując rutynowe analizy, zdawała sobie sprawę z czającego się szoku. To nie miało tak być. Takie rzeczy nie zdarzały się naprawdę, zwykłym ludziom. Ale wiedziała lepiej.

Widziała już wojnę, znała jej przerażające pragnienie siania śmierci i zniszczenia.

Zanim wylądowali, nabrała pewności, że taki atak byłby niemożliwy bez pomocy kogoś z rządu Slotter Key. Jej gniew rozszerzył się z niej samej i napastników na tego jeszcze nie zidentyfikowanego zdrajcę. Ktoś nie dopuścił do złożenia przez Służbę Kosmiczną meldunku o lądowaniu na planecie promu z orbitującego statku lub schował taki meldunek do szuflady.

Ktoś nie dopuścił do złożenia przez satelitarny system śledzenia meldunku o budowie instalacji na Wyspie Kości. Ktoś - ktoś stąd, pozostający w jej zasięgu - udzielił tej napaści cichego poparcia, chciał zniszczyć jej rodzinę i jej życie.

Gracie Lane Vatta uśmiechnęła się do siebie uśmiechem, który długo pamiętali jej starzy wrogowie, obecnie od dawna nieżyjący. Nieprzyjaciel zdobył inicjatywę. Nieprzyjaciel zadał im wielkie straty. Bez wątpienia nieprzyjaciel tańczył teraz, śmiał się lub w jakiś inny sposób fetował swój triumf. Lecz Gracie Lane Vatta zetrze ten uśmiech z jego oblicza, zepsuje mu taniec, wtłoczy śmiech z powrotem we wraże gardło. Nie dokona tego zupełnie sama, a jej środki były obecnie ograniczone. Lecz przynajmniej zdrajca lub zdrajcy na Slotter Key... ci, których może osiągnąć... zajmie się nimi niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy.

## ROZDZIAŁ 2

Głos w słuchawce dousznej Gammisa Tureka powiedział to, co ten spodziewał się usłyszeć: - ...nieoczekiwany atak na naszych obywateli. Oburzające. Nie wolno tolerować...

Ależ będą to tolerować. Nie podejmą żadnych efektywnych działań, jednocześnie wylewając z siebie powódź słów, ponieważ wiedzieli to samo, co on - że w rzeczywistości nie mogą nic zrobić. Ich śliczne Siły Kosmiczne, takie błyszczące i dumne, nie zrobią nic, gdyż nie miały środków, aby działać poza własnym systemem. Ich kaprzy, tak znieawidzeni i budzący postrach, nie mogą zrobić nic, ponieważ brakuje im struktur dowódczych. Slotter Key postępowało z resztą sektora na swój własny sposób: arogancko. Posługiwali się kombinacją szachowej ostrożności - wykorzystując kaprów do akcji pozasystemowych, co było tańsze od utrzymywania floty kosmicznej z prawdziwego zdarzenia - i często sztydząc z zasad, regulujących podejmowanie takich działań. Żaden system planetarny nie przyjdzie im z pomocą tylko dlatego, że jedna z ich najbogatszych korporacji padła ofiarą terrorystycznego ataku.

Czas na pełny zwrot. Zmianę kierunku. Najwyższa pora, aby Slotter Key uświadomiło sobie, że podobnie jak Transport Vattów nie dysponuje żadnymi możliwościami odwetu. Może to być niewiele znaczące wydarzenie na peryferiach większej wojny, lecz ten drobiazg dawał

istotną satysfakcję któremuś z sojuszników. Nie miał wątpliwości, że w ciągu pięciu - sześciu lat Siły Kosmiczne Slotter Key staną się czynnikiem, z którym będzie trzeba się liczyć, lecz jeszcze nie teraz, a to właśnie chwila terażniejsza miała znaczenie.

- Słuchaj no - warknął na rozmówcę, przerywając mu w pół słowa. - Nic nie zrobicie.

Czasy się zmieniły, a Vattowie dobrze nam posłużą jako ostrzeżenie dla innych. Trzymaj się od nich z daleka. Nic im nie dawaj. Każdego, kto znajdzie się zbyt blisko nich, czeka taka sama katastrofa.

- Ale to nasi...

- Wspierali ciebie i twoją partię - oczywiście, że o tym wiem. Uważają, że jesteś im coś winien. No cóż, nie będzie to pierwsza obietnica, której nie dotrzymasz. - Gammis dysponował

całą listą, na wypadek, gdyby kiedykolwiek okazało się to potrzebne.

- Ale...

- Jeśli wystąpicie przeciwko nam - oświadczył Gammis - zniszczymy nie tylko Vattów, lecz całe



Slotter Key. Mamy okręty. Mamy broń. Zapytaj swoje Siły Kosmiczne - śmiało, nie krępuj się. Powiedzą ci. Mamy wielu sojuszników, których ucieszy widok dymiącego krateru w miejscu twojego prezydenckiego pałacu, jak to miało miejsce w przypadku kwatery głównej Vattów, i którzy z radością przyjmą śmierć twoich rodaków od chorób i głodu. - Urwał; stremowany głos w słuchawce milczał. Pozwolił sobie na złagodzenie tonu. - Poza tym, jest coś pozytywnego w uwolnieniu was od handlowej dominacji Vattów. Jeśli Vattowie upadną, handel nie umrze... po prostu ktoś inny zacznie czerpać zyski z ich plantacji tiku...

Milczenie trwało. Gammis liczył sekundy. Złapią przynętę, tylko jak długo będą się nad tym zastanawiać?

- Vattowie - odezwał się tym razem spokojny głos - niczym nie zasłużyli sobie na coś takiego. Gdybyście zaatakowali kaprów...

- Uderzenie w niewinnego stanowi bardziej wymowne ostrzeżenie - oświadczył

Gammis. Nie, żeby Vattowie byli absolutnie niewinni. Przez te wszystkie lata głupio wspierali InterStellar Communications, zgłaszali obecność podejrzanych statków i osób... a poza tym, to jeden z nich ich zdradził, nalegając, aby to właśnie z Vattów uczynić przykład dla innych. Na dłuższą metę osoba ta zostanie zlikwidowana jako niegodna zaufania, na razie jednak była przydatna i warto było oddać jej tę przysługę. - Nic nie zrobisz - powtórzył. - Jeżeli chcesz, żeby twój rząd przetrwał.

- Nie wiem, jak mamy to wytłumaczyć... - stwierdził głos.

- Wymyślisz coś. - Gammis przerwał połączenie.

- Zachowają się? - zapytał jego zastępca. - Czy puszczą farbę?

- Za jakiś czas pękną - odparł Gammis. - Vattowie mają na swoim świecie sporo zwolenników. Lecz nie uda im się tego rozgłosić. Choć jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy...

- zachichotał, a jego zastępca odwzajemnił uśmiech. Tak właśnie powinni byli zrobić od samego początku. Zamieszanie na Sabinę było wielkim błędem; Gammis świadomie ignorował

fakt, że sam głosował za zniszczeniem platform. Tym razem... tym razem mieli lepszy plan.

Wiedział, że koalicja nie będzie trwać wiecznie, wytrzyma jednak przez czas wystarczający do powalenia InterStellar Communications na kolana i umocnienia ich potęgi.

Nie musieli zabijać wszystkich Vattów, niezależnie od tego, co bełkotał tamten idiota.

Wystarczyło zabić wystarczająco wielu, za jednym zamachem lub w krótkim okresie czasu, by przerazić pozostałych: powiązanych i niezależnych od Vattów przewoźników, Slotter Key i rządy innych planet. Koniec z małymi napaściami i sporadycznymi rajdami. Jedna wielka, paraliżująca, budząca grozę, tajemnicza eksplozja... Uśmiechnął się jeszcze promiennie.

Wyobrażał sobie tę szaleńczą przepychankę, panikę na korytarzach Gildii Kapitańskich, rządowych

biur i siedzib korporacji w całym sektorze. Każdą jedną osobę, usiłującą domyślić się: kto, dlaczego i co jeszcze może się wydarzyć? Tylko on i jego sojusznicy znali odpowiedź.

Zanim się zorientują - o ile w ogóle - będzie już za późno. Wiedział wszystko o prezydencie Slotter Key; prezydent Slotter Key nie znał nawet jego imienia. Pewnego dnia poznają je wszyscy.

\* \* \*

Ky zameldowała się w Gildii Kapitańskiej i zaniósła torbę do pokoju; eskorta zaczekała na dole. Rozpakowanie się i odświeżenie zajęło jej tylko parę minut. Najpierw zaniesie dokumenty do Biura Rozwoju Ekonomicznego, a potem złoży kurtuazyjną wizytę w przedstawicielstwie Slotter Key. Przy odrobinie szczęścia będzie miała wolne popołudnie i może rozejrzeć się za jakimś ładunkiem do przewiezienia. Załadowała sobie listę ostatnich wysyłek, lecz towary eksportowe Belinty nie bardzo pasowały do jej wyobrażeń o rynkowych zainteresowaniach Leonory. Lastway pozostawało dla niej zagadką; z danych można było wywnioskować, że tamtejszy rynek przeżywał dramatyczne wznosy i upadki, w zależności od tego, co przywiózł ostatni statek.

W Biurze Rozwoju Ekonomicznego wręczyła papiery znudzonemu urzędnikowi i otrzymała potwierdzenie przelewu reszty kwoty na konto Vattów. Była już w drodze do przedstawicielstwa, gdy zwrócił się do niej ochroniarz:

- Kapitanie, pilna wiadomość z Gildii Kapitańskiej. Pani statek chce się z panią skontaktować, a nie ma pani implantu.

- Zadzwoń do przedstawicielstwa i uprzedź ich, że mogę się spóźnić - powiedziała Ky. -

Idziemy do Gildii Kapitańskiej.

Kilka minut później znalazła się w zabezpieczonej kabinie komunikacyjnej w lobby Gildii Kapitańskiej i rozmawiała z Quincy, przebywającą na pokładzie Gary 'ego Tobai.

- Zwolnij - powiedziała w końcu. - Myślałam, że to byli zwykli złodzieje, a teraz mówisz mi o sabotażu?

- Tak utrzymuje tutejsza policja. Usiłowanie sabotażu. Znaleźli nasze cargo - część dostawy na Leonorę - w zsypie. Są pewni, że to ten sam kontener - zgadza się ID na taśmie.

Lecz w kontenerze, dostarczonym przez tamtego typka, znajdowała się bomba zegarowa.

Twierdzą, że wystarczyłaby do rozwalenia całego statku. Oraz tej części stacji, gdzie dokujemy. Gdybym nie zauważyła - mało brakowało, był przecież zwykłym ładowniczym -

moglibyśmy wszyscy zginąć!

- Ale zauważyłaś, dzięki czemu żyjemy - stwierdziła Ky. Zakręciło się jej w głowie.

Sabotaż nie był czymś niezwykłym, a poplecznicy Pajsona mogli uznać, że mają motyw.

Wiedzieli - jak każdy, kto śledził wiadomości - dokąd udała się po opuszczeniu systemu Sabine. Sądziła jednak, że Belinta nie jest zbyt odpowiednim miejscem na zasadzkę. Niewielki światek na uboczu, z małym ruchem i wyizolowanym, podejrzliwym społeczeństwem. Gdzie indziej taki zamach byłby tańszy i łatwiejszy do zorganizowania.

- Chcą, żebyśmy odlecieli - oznajmiła Quincy. - Twierdzą, że to dla naszego własnego bezpieczeństwa, ale widać jak na dłoni, że są przerażeni.

Podobnie jak Quincy, sądząc po jej minie i tonie. I nic dziwnego.

- Dobry pomysł - uznała Ky. - Kiedy skończymy załadunek?

- Za sześć do ośmiu godzin.

- Tyle właśnie zajmie mi powrót na stację - orzekła Ky. - Chyba, że wyczarteruję przelot. - Czy w tych okolicznościach taki wydatek można będzie zaklasyfikować jako niezbędny? - Powiadomię konsula, że wydarzyło się coś ważnego i muszę osobiście dopilnować załadunku.

- Nie zapomnij zgłosić tego do zarządu - powiedziała Quincy.

- Do zarządu?

- Każde fizyczne zagrożenie dla statku Vattów musi być natychmiast zgłoszone przez ansibl. Jeśli uznają że nie jest to sprawa lokalna, ostrzegą pozostałe jednostki.

- Nieco skrajna reakcja - oceniła Ky. - Uważam, że ma to związek z Sabine; nie powinno dotyczyć nikogo innego.

- Gdybyś miała implant Vattów, uruchomiłaby się procedura alarmowa, kapitanie.

Piractwo, sabotaż - cokolwiek. Natychmiast zgłoś się do kwatery głównej - zrobiłabym to sama, gdybym w ciągu godziny nie zdołała nawiązać z tobą łączności.

- Nadal możesz... - zaczęła Ky.

- Nie, to zadanie kapitana; będą chcieli otrzymać meldunek od ciebie.

- Powinnam wstrzymać się do powrotu na statek i otrzymania raportu policji - upierała się Ky. - Zadadzą mi pytania, na które nie będę znała odpowiedzi.

- Natychmiastowe powiadomienie jest absolutnym priorytetem - odparła Quincy. - Tak zaprogramowano implanty.

Gdyby zrobiła to, co planowała, nigdy nie miałaby implantu Vattów. Lecz nie był to najlepszy czas na takie rozmyślenia.

- W porządku. Zaraz do nich zadzwonię, a potem sprawdzę, jak szybko zdołam do was wrócić.

Odcumuj nas, jak tylko załadujesz statek. Czy policjanci wystawili strażę wokół

naszego doku?

- Tak. Jeden wciąż tam sterczy.

To już jakaś pomoc. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Wrócę możliwie najszybciej - obiecała i rozłączyła się. Pora zadzwonić do domu.

Procedury dostępu do ansibla Belinty przebiegały prawidłowo, światelka zapalały się we właściwej kolejności. Nie miała pojęcia, która była godzina w biurach siedziby Vattów, lecz nie miało to większego znaczenia. W dziale łączności dyżurowano przez całą dobę.

Zielone światelka zamrugały trzykrotnie i ekran zaświecił się, nie pokazując jednak żadnego obrazu.

- Siedziba Transportu Vattów - rozległ się głos. - Ta rozmowa pochodzi z Belinty.

Kapitan Kylara Vatta, zgadza się?

- Tak - potwierdziła Ky. Nie wyglądało jej to na standardową procedurę. - Czy wysyłacie obraz? Ekran jest pusty.

- Proszę przygotować implant na pilną transmisję danych - przemówił głos, nie odpowiadając na pytanie.

- Nie mam implantu - odparła Ky. - Co się dzieje? Miałam zgłosić zagrożenie...

- Uch... proszę mówić. Proszę opisać zagrożenie. - W tle usłyszała inne głosy, zupełnie jakby nie uruchomiono ekranowania. Nie rozumiała jednak, co mówią.

- Nieznane osoby, podające się za pracowników doków, próbowały wnieść na mój statek ładunek wybuchowy - wyjaśniła. - Statek jest bezpieczny i nieuszkodzony, lecz udało się im zbiec.

- Zrozumiałem - odrzekł głos. - Mamy tutaj trudną sytuację, kapitanie. Wysyłamy ostrzeżenie do wszystkich statków: możliwe, że zagrożony jest cały personel Vattów.

- W jaki sposób? - spytała Ky.

- Ja... nie jestem uprawniony do przekazywania takich informacji - odrzekł głos.

- Czy może pan połączyć mnie z moim ojcem? - poprosiła Ky. Dowie się od niego więcej, niż od jakiegoś łącznościowca. - Z Gerardem Vattą? Albo z moim wujkiem?

- Uch... obawiam się, że w tej chwili jest to niemożliwe - odparł głos.

- Dlaczego? - chciała wiedzieć Ky. - Przecież ma telefon czaszkowy.

- Jest... - Chwila ciszy. - Jest czasowo niedostępny. Wiadomość od pani zostanie przekazana natychmiast i jestem pewny, że zechce skontaktować się z panią.

Przeszedł ją chłód.

- Co się dzieje? - zapytała. - Wspomniał pan o zagrożeniu - co się stało?

- Kapitanie... - Kolejna pauza. - Nie mogę nic powiedzieć. Mamy tutaj Sytuację.

- Czy wszystko w porządku z najwyższym kierownictwem? - upewniała się Ky.

- Tak sędzę. - W głosie nie brzmiała pewność, tylko wątpliwość.

- Lecz nie jest pan pewny...

- To jest... - Ekran ściemniał, a światełko połączenia zmieniło kolor na żółty i zaczęło mrugać. Na monitorze pojawił się napis: UTRATA SYGNAŁU. CZY CHCESZ PONOWIĆ

POŁĄCZENIE? T/N. Ky odchyliła się na krześle; czuła przyspieszony puls. Cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się - niezależnie od tego, jak błyskawiczna była łączność, coś zaszło i teraz należało do przeszłości. Nie mogła na to nic poradzić. Spróbuje zadzwonić bezpośrednio do taty - było to znacznie droższe, lecz w tej chwili pieniądze nie miały znaczenia.

Uchyliła drzwi kabiny, chcąc dać znać ochronie, że zamierza wykonać jeszcze kilka rozmów, zanim jednak otworzyła je do końca, ujrzała trzy zamaskowane postacie, wchodzące do lobby z bronią w rękach. Przekomarzający się z recepcjonistką ochroniarz obrócił się na pięcie, lecz za późno: oboje byli martwi, zanim któreś z nich zdążyło nacisnąć guzik alarmu. Ky zanurkowała z powrotem do kabiny, nie zamykając jednak drzwi, gdyż wówczas uruchomiłby się napis ZAJĘTE. Zamarła.

- Który pokój? - usłyszała pytanie jednego z napastników. Mamrotanie, po czym ten sam głos: - Na górze. - Chwila spokoju. Obróciła się i wyjrzała przez szczelinę. Jedna z postaci kuciała nad ochroniarzem i przetrząsała mu kieszenie. To przekreślało jej szanse na dobiegnięcie do drzwi i wezwanie pomocy. Niemal czuła uderzenie w plecy, gdyby tego spróbowała. Niemniej jak tylko przekonają się, że nie ma jej w pokoju, przeszukają budynek, nie pomijając kabiny łączności.

W środku nie było niczego, co nadawałoby się do użycia w charakterze broni. Z kabiny nie można było wykonywać połączeń lokalnych, a poza tym i tak nie funkcjonowałyby, dopóki Ky nie zamknęłaby drzwi, podświetlając jednocześnie napis na szczycie. Wszystko to przemknęło jej przez głowę kaskadą logiki, prowadzącą do jednego wniosku - a ona była już w ruchu, gdy go sobie uświadomiła.

Zamaskowana postać, przeszukująca martwego strażnika, kuciała tyłem do niej...

wystarczyło jej pięć kroków, by przebyć lobby. Po trzech zauważył coś i obrócił się, lecz Ky biegła tak szybko, że pospiesznie oddany strzał chybił. Spadła na niego. Najpierw rozbrojenie -

broń wyfrunęła mu z dłoni i potoczyła się po podłodze. Jej cios w gardło napotkał twardą

powierzchnię - nosił broję pod ubraniem. Zrewanżował się paskudnym kopnięciem. Ky zwinęła się w uniku, dostrzegając ruch ręki przeciwnika w stronę biodra. Druga broń! Zamiast próbować temu zapobiec, rzuciła się ku martwemu strażnikowi, wyszarpnęła mu w przelocie broń i odtoczyła się na bok, wypalając jednocześnie napastnikowi prosto w zamaskowaną twarz, zanim zdążył się uzbroić. Rozpoznała przeszywający ją spazm emocji, ostry i słodki, po którym nastąpiła fala poczucia winy: tylko nie to. Otrząsnęła się z niego.

Mijały sekundy. Zdążyli już dotrzeć na jej piętro. Zaraz otworzą drzwi do jej pokoju. A ilu czekało na zewnątrz, na wypadek, gdyby jednak zdołała uciec? Gdyby miała implant, mogłaby wezwać pomoc. Ky przechyliła się przez ladę recepcyjną do telefonu. W słuchawce zaszumiało; wdusiła przycisk alarmu. Ciche, rytmiczne buczenie... trzy, cztery, pięć. Za recepcją znajdowało się biuro - nigdy nie była w środku, lecz szybkie spojrzenia, jakie rzucała, gdy wchodziła tam recepcjonistka, zdradzały standardowe pomieszczenie do pracy, które mogło - ale nie musiało - być wyposażone w osobne wyjście. Korytarz po lewej prowadził do jadalni, a stamtąd do kuchni i prawdopodobnie tylnego wyjścia, które również mogło być obstawione przez zabójców. Niemniej biura, jadalnie i kuchnie oferowały mnóstwo kryjówek.

Które...?

Nagle zaszumiała winda i ruszyła ze szczykiem na dół. Zamachowcy? Czy jakiś niewinny gość? Dopiero teraz pomyślała o innych kapitanach, którzy mogli tutaj przebywać.

Było ich dwóch, ale wcale nie musieli pozostawać w swoich pokojach. Obiegła ladę i rzuciła okiem na leżącą bezwładnie na podłodze recepcjonistkę oraz na ekran monitora. Winda zatrzymała się, a jednocześnie usłyszała tupot stóp na schodach. Nie miała czasu, by zanurkować w korytarz. Skoczyła do biura pełnego biurka, szaf i półek zawałonych materiałami biurowymi. Następne drzwi prowadziły do mniejszego pomieszczenia, pełniącego funkcję schowka na pościel i środki czystości. Weszła tam, upewniła się, że żadna zwierciadlana płaszczyzna nie ukaże jej nikomu na zewnątrz, po czym położyła się za kartonami z papierem toaletowym.

Głosy na zewnątrz:

- Piet nie żyje... ktoś uruchomił alarm.
- Głupiej dziwki nie było w pokoju... może to ona?
- Nieważne. Nie ma czasu - zmywamy się.
- Piet?
- Zostaw go. Idziemy.

Kroki w lobby, skrzywienie otwieranych drzwi wewnętrznych, a potem syk towarzyszący ich zamykaniu się, będący oczywistym zaproszeniem dla kogoś, kto się ukrywa, by opuścić schronienie. Ky nie ruszyła się z miejsca, licząc w myślach. Pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. Coś zgrzytnęło i cichutko zastukało. Włosy na jej przedramionach zjeżyły się; wstrzymała oddech. Tym

razem nie czuła nudności po zadaniu śmierci, tylko żołądek zacisnął się boleśnie. Zewnętrzne drzwi do biura otworzyły się gwałtownie i łupnęły o ścianę.

- Hej! Jest tu kto? Co się tutaj dzieje?

To nie byli funkcjonariusze. Głos był inny, lecz nie należał do policjantów, ponieważ nie słyszała drzwi wejściowych.

- Widzęęęęęęęę cięęęęęę... - zadrwił głos. - Lepiej wyłaż, kochanie...

Ky pozostała w bezruchu. Nie mógł jej zobaczyć; wiedziała, że tak było. Usłyszała wciągnięcie i wypuszczenie powietrza.

- Jeśli tutaj jesteś, to dopadniemy cię później, dziwko - oznajmił głos, poważniejąc. -

Lecz nie wydaje mi się, żeby tutaj była - dodał, najwyraźniej do siebie. - Poza tym, nadciągają gliny. - Kroki wycofały się. Nie odważyła się wyrzeć za odchodzącym mężczyzną i sprawdzić, dokąd poszedł, lecz chwilę później usłyszała krzyk od strony kuchni.

Dopiero teraz rozległo się sapnięcie drzwi frontowych, tupot i zdyszane głosy kilku osób. Ky wyszła na trzęsących się nogach z magazynku i wyrzała z biura, by napotkać wzrok zaskoczonego mężczyzny w mundurze.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął, unosząc broń. Ky zamarła. - Rzuć broń!

- Ale to ja...

- Rzuć broń!

Było ich pięciu i wszyscy w nią celowali. Upuściła broń strażnika.

- Na ziemią!

- Ale to ja zadzwoniłam...

- Natychmiast! Twarzą w dół! Na ziemią!

- To ja do was zadzwoniłam! - powtórzyła Ky. - Próbowali mnie zabić...!

- Kładź. Się. Na. Ziemi.

Doprowadzali ją do szafu. Jak mogli myśleć, że to ona to zrobiła? Z drugiej strony, zabiła jednego z nich. Westchnęła i położyła się na podłodze. Stopy zbliżyły się do niej. Patrząc na nie, uświadomiła sobie, że to wcale nie muszą być policjanci.

- Kim jesteście? - zapytała. - Mam nadzieję, że policjantami.

- Zgadza się, jesteśmy z policji - odezwał się głos nad jej głową. - A teraz po prostu nie sprawiaj mi żadnych kłopotów.

- Widziałam trzy osoby - powiedziała Ky. - Wszystkie zamaskowane...

- Ręce na plecy - polecił głos.

Posłuchała w nadziei, że nareszcie ją wysłuchają. Oni jednak skuli ją, przewrócili na plecy, oparli o ścianę i kazali pozostać w tej pozycji. Dłoń, którą rozbiła sobie o zbroję napastnika, nieprzyjemnie pulsowała bólem. Przynajmniej mogła zobaczyć... mężczyzn w ciemnozielonych mundurach z nieznanyymi jej oznaczeniami na mankietach i kołnierzach.

Pochylali się nad martwą recepcjonistką za ladą.

Jeden z nich wrócił do niej.

- To twoja broń? - zapytał, wyciągając zabrany ochroniarzowi pistolet.

- Nie, należał do mojej eskorty.

- Twojej... pracował dla ciebie? To dlaczego zabrałaś mu broń?

- Wtedy był już martwy - wyjaśniła. - A tamten drugi próbował mnie zabić.

Mężczyzna zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

- Tak przynajmniej twierdzisz... - Przerwał mu krzyk z korytarza.

- Shem! Tutaj jest jeszcze jeden!

Mężczyzna opuścił lobby. Ky przestraszyła się. Najwyraźniej nikomu nie przychodziło do głowy, że zatrzymana osoba może być niewinna. Jej instruktorzy omawiali tę prawdę, pouczając kadetów, jak powinni zachowywać się w przypadku zatrzymania przez stróżów prawa. Zdażyła już pogwałcić zasady numer jeden i dwa: nie znaleźć się na miejscu przestępstwa i nigdy nie dać się złapać z bronią w rękę.

I oto siedziała tutaj unieruchomiona. Co będzie, jak wrócą zamachowcy? Zadrzały jej mięśnie; wzięła głęboki wdech, starając się uspokoić.

Mężczyzna powrócił.

- Twierdzisz, że to ty nas wezwałaś?

- Tak - odparła Ky.

- Kiedy? Dlaczego?



- Z powodu napaści - odrzekła. - Widziałam, jak zabili mojego ochroniarza i recepcjonistkę, a potem...

- Oni? Ilu?

- Trzech w środku - sprecyzowała. - Byłam tam, w kabinie łączności... - wskazała podbródkiem... - kiedy weszli. Mój strażnik rozmawiał przy ladzie z recepcjonistką. Zabójcy zastrzelili ich oboje, a potem dwóch poszło na górę. Prawdopodobnie szukali mnie. Trzeci przeszukiwał ciało strażnika. - Przerwała, zbierając myśli.

- Mów dalej.

- Nie mogłam skorzystać z kabiny, ponieważ wówczas zaświeciłby się napis i dowiedzieliby się, gdzie jestem.

- Dlaczego uważasz, że chodziło im konkretnie o ciebie?

- Nie wiem - odparła Ky. - Dopiero co zadzwonił mój inżynier z informacją, że w podmienionym kontenerze, który miał znaleźć się na moim statku, ukryto bombę zegarową.

Pańscy koledzy ze stacji orbitalnej powiedzą panu więcej na ten temat. - Czy powinna wspomnieć również o rozmowie z kwaterą główną Vattów i przerwaniu łączności? Tak. -

Właśnie dzwoniłam do siedziby mojej firmy - dodała. - Najwyraźniej ktoś wziął na celownik Transport Vattów. Rozsyłali ostrzeżenia. A potem urwała się łączność, więc nie wiem nic więcej na ten temat. Tak czy owak, nie mogłam skorzystać z kabiny, ani uciec tak, żeby mnie nie zauważył.

- Czemu nie użyłaś implantu? - zapytał policjant.

- Nie mam - odparła. - Rana głowy - musieli go wyjąć, a nowy będzie można zainstalować dopiero za sześć miesięcy.

- Aha. A więc... próbowałaś uciec i... naprawdę mam uwierzyć, że zawodowy zabójca nie zdołał cię trafić?

- Nie. Pomyślałam, że jeśli rzucę się na niego, może zdołam go ogłuszyć. - Policjant spojrzał na nią z widocznym niedowierzaniem. - Mogło się udać - dodała. - Poza tym, nie miałam broni.

- I udało się?

- Nie. Zaskoczyłam go, ale okazało się, że nosił pancerz pod ubraniem. Zepchnął mnie z siebie, upadłam koło broni strażnika, podniosłam ją i... zdążyłam strzelić przed nim.

- Hmm. - Wyraźnie się zastanawiał.

- Shem, te rany zadano różną bronią - odezwał się jeden z jego kolegów. - Strażnik i recepcjonistka zostali trafieni kulami ze Staysila, podobnie jak kucharz i jego pomocnik na zapleczu;

zamaskowanego zastrzelono z Conroya.

- Kule do Staysila. Wygląda na robotę bandy Edmunda - mruknął policjant. Spojrzał na Ky i potrząsnął głową. - Jeśli przyszli tu po ciebie, to ktoś bardzo chce twojej śmierci. Edmunds i jego zbiry nie są zwyczajnym problemem - to bardzo kosztowny kłopot. - Westchnął ciężko i pochylił się, by uwolnić Ky. - Nie próbuj uciekać. Kajdanki nie będą potrzebne. Ani kłopoty dyplomatyczne. Bez wątplenia będziesz chciała zobaczyć się z konsulem Slotter Key. Nie przypuszczam również, abyś wiedziała, kto poluje na kapitanów Vattów?

- Nie - odparła Ky, rozcierając nadgarstki. Zerknęła na obolałą dłoń. Była opuchnięta i posiniaczona. Miała nadzieję, że nie złamała sobie żadnej kości. - Nie wiem. Muszę wrócić na mój statek...

- Jeszcze nie - stwierdził. - Było nie było, zabiłaś człowieka. - Obrócił głowę w stronę drzwi wejściowych. - Mógł być kryminalistą i chcieć cię zabić, lecz najpierw musimy ustalić, czy w świetle naszego prawa usprawiedliwia to pozbawienie go życia przez ciebie. Musisz liczyć się co najmniej z nocką, kapitanie Vatta. Możesz poinformować swoją załogę, lecz będziemy monitorować rozmowę. Oczywiście, możesz udać się do przedstawicielstwa Slotter Key, ale z naszą eskortą. Podejmiemy odpowiednie środki bezpieczeństwa, gdyż - o ile faktycznie byli to ludzie Edmunda - twoje życie może być zagrożone.

Ky zwalczyła chęć spiorunowania go wzrokiem.

- Zamierzacie wsadzić mnie do więzienia, ponieważ zostałam napadnięta?

- Niedokładnie. Ponieważ zabiłaś kogoś oraz zostałam napadnięta. I nie do więzienia, tylko w miejsce bezpieczniejsze od Gildii Kapitańskiej.

- Chodźmy sprawdzić, co zrobili w moim pokoju - zaproponowała Ky. - Mój bagaż...

- Świetnie. Pójdiesz z nami. Nie próbuj niczego dotykać. Nie leżałoby to w twoim dobrze pojętym interesie. - Kiwnął głową pozostałym i pozwolił jej pójść przodem.

- Korzystali ze schodów - powiedziała. - Oraz windy, jak sędzę. - Starła się nie dotykać poręczy.

- Z pewnością założyli rękawiczki - stwierdził ponuro policjant.

W jej pokoju brakowało kapy na łóżku, a pusta torba leżała rozpięta w kącie. Szafka była otwarta; jej ubrania zniknęły, a wszystkie szuflady opróżniono. Z łazienki wyparowały ręczniki.

Policjant odchrząknął.

- Typowe - oznajmił po tym, jak już się rozejrzał. - Zabrali wszystko, żeby sprawdzić DNA. Mam nadzieję, że nie zostawiłaś im nic wilgotnego.

Ky znowu przewróciło się w żołądku. Fizyczna napaść to jedna sprawa, ale kradzież wszystkich rzeczy, co do jednej, była w pewnym sensie znacznie bardziej irytująca.

- Kosztowności znajdują się w sejfie na dole. O ile się do niego nie włamali.

- Nie - odrzekł. Naciągnął rękawiczki i maksymalnie wysunął szuflady, sprawdzając, czy coś w nich nie zostało, po czym sprawdził szafki w łazience. - Jesteś więc przezornym podróżnym... przypuszczam, że należałoby tego oczekiwać od kapitanów statków kosmicznych.

- Nie byłam wystarczająco przezorna, by wsadzić do sejfu zapasowe majtki - burknęła Ky. - Mam nadzieję, że w więzieniu dysponujecie dobrym odświeżaczem.

- Jestem pewny, że ktoś może dla ciebie zrobić niezbędne zakupy - stwierdził.

- To bez sensu - uznała. - Ktoś musiał zauważyć zamaskowanych mężczyzn, taszczących toboły wyglądający na kapę hotelowego łóżka...

- Wątpię, żeby nieśli go daleko - odrzekł policjant. - Albo mieli ze sobą coś innego, w co schowali twoje rzeczy, używając kapy jedynie dla ułatwienia sobie pakowania.

- Mało brakowało, a wróciłabym tutaj, żeby zadzwonić - oznajmiła Ky. Znowu zmiękły jej kolana. - Wracając do Gildii, myślałam sobie: „Ale mnie bolą nogi, zaraz wejdę na górę i zdejmę buty”. Na szczęście, kabina łączności w lobby była bliżej. Gdybym weszła na górę, nic by mnie nie ostrzegło...

- Proszę usiąść, kapitanie Vatta - polecił jej oficer. Zbladła pani. - Ky usiadła na łóżku -

stało bliżej niż krzesło. Nakazała sobie wziąć się w garść, lecz nie mogła powstrzymać drżenia.

- To naturalna reakcja... choć u pani trwało to dłużej niż zazwyczaj.

- Ja... myślałam, że wszystko jest w porządku - odparła Ky. Wciąż bolała ją dłoń rozbita o zbroję napastnika.

- Za pozwoleniem, zadzwonię w pani imieniu do przedstawicielstwa - zaproponował.

Jego głos brzmiał teraz niemal przyjaźnie. Ky próbowała się skupić i zrozumieć dlaczego, ale nie mogła.

- Dziękuję - wykrztusiła. Dygotanie ustało, wciąż jednak było jej zimno i niedobrze.

Konsul pojawił się kilka minut później.

- Kapitanie Vatta, kapitan opowiedział mi wszystko, co wiedział o tym zajściu. Jak możemy pani pomóc?

Nie wyobrażała sobie proszenia konsula o zakupienie dla niej bielizny, a w tej chwili to właśnie brak majtek na zmianę urósł w jej oczach do największego problemu.

- Nic mi nie będzie - odparła, w pełni świadoma, że złożyła oświadczenie w najlepszym razie niezbyt sensowne. - Muszą dowiedzieć się na statku.

- Myślę, że jest w szoku - usłyszała policjanta. - Z początku myślałem... ale potem zbladła i zaczęła się trząść.

- Reakcja - orzekł konsul. - Pan sam jest nieco blady. - Ky nie potrafiła przypomnieć sobie jego imienia. Jego twarz jakby przyskoczyła bliżej. - Kapitanie... pamięta pani moje imię?

- Przykro mi - odrzekła Ky - ale nie. - Powinna je pamiętać, przynajmniej tyle wiedziała.

Zaraz po przylocie zadzwoniła do niego ze Stacji Belinta; omawiali sytuację na Sabine.

Umówiła się z nim z samego rana na spotkanie. Lecz teraz wszystkie krawędzie zamglily się i starczało jej sił wyłącznie na siedzenie.

A później policjant przechylił się powoli na bok i przewrócił. Ludzie zaczęli krzyczeć i biegać w kółko, co Ky oglądała z dystansem, który - wiedziała - był całkowicie nienaturalny.

Potem ktoś podniósł ją i położył na noszach, a ona zasnęła.

### ROZDZIAŁ 3

W pomieszczeniu unosił się znajomy zapach tropikalnych kwiatów, upojny i korzenny Kwiatowy ornament na pościeli, toaletce z niską ławeczką i abażurze lampy. Ściany barwy bladej brzoskwini z delikatnym, kremowym paskiem. Ky leżała oparta o stertę poduszek, zastanawiając się, gdzie była. Ostatnie, co pamiętała, to Gildia Kapitańska... ludzie w maskach z pistoletami... policja... wtem wszystko do niej wróciło w nagłym rozbłysku przypomnienia.

Zamrugła. Była pewna, że nie przebywała w więzieniu. Nigdy przedtem nie widziała tego pokoju, lecz znajoma z dzieciństwa woń sugerowała przedstawicielstwo z jego ogrodem pełnym pochodzącej ze Slotter Key roślinności.

Zanim zdążyła pomyśleć o sięgnięciu po stojący na stoliku nocnym komunikator, ktoś otworzył drzwi ramieniem i do środka weszła postawna kobieta w kwiecistej tunice. Postawiła przy łóżku tacę i zaczęła zestawiać z niej talerze z jedzeniem.

- Och, jak to dobrze, że już się obudziłaś. Pewnie zastanawiasz się, gdzie jesteś i co się stało - odezwała się kobieta. - W przedstawicielstwie Slotter Key. Chce rozmawiać z tobą lekarz, konsul i policja Belinty. Tak przy okazji: jestem Carla, a ty powinnaś wykorzystać ten czas na najedzenie się i nabranie sił przed rozmowami. Polecenie lekarza. - Nalała jej herbaty do filiżanki. Ky usiadła, wzięła filiżankę do ręki i napiła się gorącego płynu.

- Powiedz mi, co się stało w Gildii Kapitańskiej - poprosiła Ky. - Na piętrze.

- Bolał mnie stopy - stwierdziła Carla, ignorując pytanie. Usiadła w wyściełanym fotelu i zzuła buty. - Nie powinnam rozmawiać z tobą o tym, co się stało; moje zadanie, to upewnić się, że wstałaś i zjadłaś posiłek. - Odchyliła głowę na oparcie i westchnęła. Ky przyglądała się jej przez chwilę, po czym sięgnęła po pasztecik. Już chciała go ugryźć, gdy nagle znieruchomiała. Niezależnie od tego, co wydarzyło się po ostatnim momencie, który pamiętała, ktoś usiłował ją zabić i to nie raz, lecz

dwukrotnie, wliczając próbę przemycenia na statek ładunku wybuchowego. A teraz miała jeść i pić wszystko, co jej podadzą?

Odstawiła filiżankę. Zadzwoiła o spodek i wtedy kobieta - Carla - otworzyła oczy.

- Przepraszam... mogę ci coś podać?

- Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

- Słucham?

Po odrzuceniu kołdry Ky przekonała się, że miała na sobie cudzą koszulę nocną. Nigdy nie posiadała stroju w barwach lawendy i zieleni, a poza tym, ta była o wiele za obszerna. Przez chwilę kręciło się jej w głowie, zaraz jednak odzyskała jasność myśli.

- Twierdzisz, że to przedstawicielstwo Slotter Key...

- Tak, oczywiście. Gdzież indziej mogłybyśmy być?

- A ty... pracujesz tutaj?

Kobieta wyprostowała się, a na jej policzki wystąpiły rumieńce. Obrzuciła Ky wrogim spojrzeniem.

- Jestem żoną konsula - oznajmiła. - Carla Maria Inosyeh.

Ky poczuła, że się czerwieni.

- Tak mi przykro - wyjąkała. - Nie było pani... to znaczy, nie spotkałyśmy się na kolacji.

- Byłam niedysponowana. - Niecierpliwemu poruszeniu fotela towarzyszył skłon kobiety, szukającej swoich butów. - I zanim zapytasz: owszem, to jest moja sypialnia i masz na sobie moją koszulę nocną. Jak słyszałam, twoje rzeczy zostały skradzione.

- Przepraszam - rzuciła Ky. - Nie wiedziałam... jestem kompletnie zagubiona...

próbowali mnie zabić i obawiałam się, że...

Oblicze kobiety złagodniało.

- Przypuszczam, że to w pełni zrozumiałe. Jak słyszałam, był to bardzo dziwny dzień.

Może jednak powinnaś zobaczyć się teraz z Parinem - moim mężem, konsulem. Będę musiała powiedzieć mu potem, że udało mi się wystraszyć groźnego kapitana Vattę. - Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę drzwi.

Herbata musiała zacząć działać; Ky poczuła napływ sił.

- Zaczekaj - poprosiła. - Wierzę ci. Proszę, zostań i usiądź, a ja coś zjem... - Ponownie wzięła

pasztecik i ugryzła go. Był przepyszny.

- Skoro nalegasz - mruknęła Carla ze szczerym uśmiechem na twarzy. - Mąż opowiadał

mi o twojej wyprawie na Sabinę. Wiadomości o tamtejszej wojnie były przerażające. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak ktoś mógł zniszczyć platformy ansiblone. - Podniosła wzrok, jakby mogła przebić nim dach i dosięgnąć ansibla Belinty.

- To było straszne - zgodziła się Ky, przeżuując kolejny pasztecik, tym razem z mięsem. Z każdym kęsem czuła się coraz lepiej.

- Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś miałby wysadzać ansible w powietrze -

dodała Carla. - To tylko rozjusza ISC, a Parin zawsze powtarza, że są klejem spajającym galaktykę.

Ky pokiwała głową z ustami pełnymi jedzenia.

- Podali w wiadomościach, że pojмали cię najemnicy.

- Tak - odparła Ky, wycierając usta. - Podejrzewam, że właśnie dlatego ktoś usiłuje mnie teraz zabić. W odwecie. - Uznała, że jeszcze jeden pasztecik nie zaszkodzi i wzięła go z talerza.

- Widzę, że czujesz się lepiej - zauważyła Carla. - Wracają ci kolory. Twoje ubranie zostało wyprane, o ile czujesz się na siłach, żeby opuścić łóżko.

- Tak - stwierdziła Ky. - Czuję się... wciąż jednak chciałabym wiedzieć, co się stało.

Czyja po prostu... zemdlalam?

- Trucizna dotykowa - wyjaśniła Carla pełnym satysfakcji tonem kogoś, kto wie o czymś niezwykłym. - Ten policjant, który był z tobą, padł na oczach mojego męża jak ścięte drzewo; ty zbladłaś i zrobiłaś się szara. Tak mówił Parin.

- Trucizna dotykowa! Oprócz strzelaniny?

- Tak. Nie zostawili nic przypadkowi, tak właśnie ujął to konsul. Przeniknęła przez rękawiczki, jakby ich w ogóle nie było. - Ky przypominała sobie, jak policjant otwierał

szuflady, podnosił prześcieradła i dotykał wszystkich powierzchni. - Potem znaleźli zwiniętą w kłębek kapę, wciśniętą do kubła na śmieci. Też była cała pokryta trucizną. Padło trzech policjantów. Ty tylko usiadłaś na łóżku - trucizna nie przeniknęła całkowicie przez ubranie.

Antidotum zadziało bardzo szybko; skończyło się na kilkugodzinnej utracie przytomności.

Lekarz zajmuje się teraz pozostałymi.

- Czy złapali zabójców?

- Nie. Oczywiście, szukają ich, lecz z wyjątkiem tego, którego zastrzeliłaś, cały gang rozplątał się w powietrzu.

- Czy z moim statkiem wszystko w porządku? I z załogą? Czy coś się tam stało?

- Nic im nie jest - odparła Carla. - Żadnych ataków na orbicie, a loty promowe zostały zawieszane, żeby zamachowcy nie mogli dostać się na górę. W garderobie obok jest konsola łączności. Na rozmowę z tobą czeka policjant; zapewnili konsula, że nie zamierzają już cię aresztować. Kiedy ich koledzy ucierpieli od trucizny, uznali, że zastrzelenie jednego ze zbirów wcale nie było takie złe.

- Muszę połączyć się ze statkiem. Czy możesz zatrzymać tego policjanta na parę minut?

- Pewnie - odrzekła Carla. - Przecież jesteśmy na terytorium Slotter Key. - Mrugnęła okiem. - Ubierz się - strój znajdziesz za tamtymi drzwiami.

Jak było do przewidzenia, Quincy była przerażona rozwojem sytuacji i chciała, żeby Ky natychmiast wracała na orbitę.

- Jestem tutaj bezpieczna - odparła Ky. - Obiecuję, że nie zamierzam wychodzić na zewnątrz. Wiesz, że zawiesili połączenia promowe.

- Owszem, ale ty... nie możesz załatwić czarteru?

Raczej nie, najwcześniej jutro. Nie masz zastrzeżeń do ochrony policyjnej w dokach?

- Podwoili posterunki - poinformowała ją Quincy. - Myślę, że jesteśmy bezpieczni. Ale ty...

- Nic mi nie jest - powtórzyła Ky. - Połączyłam się z kwaterą Vattów, zanim to się stało... - Czy powinna powiedzieć Quincy, czy to tylko pogorszyłoby sprawę? - Wygląda to na zagrożenie o charakterze ogólnym; przekażę ci szczegóły po powrocie na statek. A skoro już utknęłam tutaj na kilka dni, to równie dobrze mogę rozejrzeć się za jakimś ładunkiem.

- Ładunek! Gra idzie o twoje życie! Nawet nie waż się wyściubić nosa z ambasady!

- Nigdzie nie pójdę. Mogę prowadzić rozmowy stąd. Konsul pomoże mi wszystko załatwić. Nie powiem, żebyś się nie martwiła, ale przynajmniej złap trochę snu.

Quincy prychnęła i rozłączyła się.

\* \* \*

Przesłuchujący Ky policjant miał równie poważną minę, jak jego koledzy, których zdążyła spotkać wcześniej.

- Jesteśmy przekonani, że była pani niewinną ofiarą zamachu i zabiła w obronie własnej

- oświadczył. - W świetle naszego prawa jest to dopuszczalne, poza tym zabitym okazał się

mężczyzna, którego chcieliśmy aresztować w związku z innymi zarzutami. Oszczędzimy na kosztach procesu. Mimo to, nie możemy zgodzić się na pani swobodne przemieszczanie się po mieście, ani dalszy pobyt w przedstawicielstwie Slotter Key.

- Nie mogę ukrywać się tutaj całą wieczność - zaprotestowała Ky. - Mój statek jest zagrożony...

- Możemy zapewnić pani ochronę i bezpiecznie przetransportować na orbitę -

oświadczył policjant. - Lecz przedłużanie pobytu... Jak rozumiemy, szukała pani ładunku do przewiezienia...

- Nie w obliczu zamachu na mnie i próby sabotowania statku. Chcę stąd odlecieć najszybciej, jak to możliwe. Gdybym z jakichś powodów musiała tutaj pozostać, poprosiłabym konsula o pomoc w poszukiwaniu cargo, jeśli jednak wolno by mi było zaraz odlecieć...

- Czy czuje się pani wystarczająco dobrze, by podróżować?

- Tak - potwierdziła Ky. - Lekarz zaleca dwudziestoczęterogodzinną obserwację, lecz noc powinna wystarczyć.

- Może czarter promu... oczywiście, sprawdzilibyśmy załogę...

- Brzmi dobrze - orzekła Ky. Towary, które do tej pory obejrzała, tłumaczyły ujemne saldo Belinty w wymianie handlowej.

Po wyjściu policjanta rozważała udanie się na poszukiwanie konsula, postanowiła jednak jeszcze chwilę odpocząć znów poczuła się dziwnie. Położyła się na pościelonym łóżku. Po jakimś czasie przebudziła się i przekonała, że ktoś przykrył ją robionym na drutach szalem i postawił na stoliku nocnym kolejną tacę. Z czajniczka z herbatą unosiły się obłoczki pary.

Ky nie była zanadto głodna. Borykała się z reakcją organizmu na wydarzenia dnia.

Złość na pracownika poczty wydawała jej się teraz wielce odległa w czasie, zupełnie jakby przydarzyło się to komuś innemu. Ktoś próbował wysadzić w powietrze jej statek. Ktoś próbował ją zabić. Coś wydarzyło się w trakcie jej rozmowy z kwaterą główną Vattów. Musiała uznać te wydarzenia za powiązane ze sobą a jedyne, co była w stanie wymyślić, to zemsta grupy przestępczej, do której należeli Paison i Kristoffson, za zabicie ich.

Podskoczyła na dźwięk poruszającej się klamki, zaraz jednak rozluźniła się na widok konsula. Wszedł do środka i zamknął drzwi.

- Jak się pani czuje? - zapytał.

- Znacznie lepiej - odparła.

- To dobrze - stwierdził i westchnął. Nie rozchmurzył się. Ścisnęło ją w żołądku.



- Coś nie tak? - zapytała.

- Utraciliśmy kontakt ze Slotter Key - odparł konsul Inosyeh i usiadł ciężko na krześle.

Przypomniała sobie nagle, że chciała zadzwonić do taty, lecz przerwali jej zabójcy.

- Całkowicie? - upewniła się. Zaszło jej w gardle.

- Tak. Wygląda na to, że coś się stało z ich ansiblami. Nie wiem, czy ta sytuacja przypomina Sabinę...

- głos mu zamarł.

Ky obserwowała jego twarz - wpatrywał się w dłonie.

- Co jeszcze? - zapytała w końcu, kiedy nie podnosił głowy.

- Jest... jeszcze jeden problem. Przed utratą kontaktu zameldowałem o napaści na panią

- absolutna rutyna; zrobiłbym to samo w przypadku każdego mieszkańca Slotter Key, który ucierpiał w bójce w barze - i usłyszałem coś, co mną wstrząsnęło. - Przerwał. Ky czekała. -

Vattowie zawsze pozostawali w dobrych stosunkach z rządem. Z pewnością doskonale o tym pani wie. Oczywiście, miało miejsce wsparcie finansowe, lecz poza tym pani firma cieszy się znakomitą reputacją w międzygwiazdowym handlu. Stąd wszelkiego rodzaju pomoc, uprzywilejowana pozycja - jakkolwiek by to określić. Ponadto, polubiłem panią osobiście, od naszego pierwszego spotkania. Z przyjemnością oczekiwałem na obiad w pani towarzystwie.

- I...? - ponagliła go Ky, kiedy znowu zamilkł. Podniósł na nią wzrok. Miał ponurą minę.

- Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn dokonał się zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Na najwyższym szczeblu. Według słów mojego przełożonego, Vattom nie należą się już żadne przywileje. „Pozbądź się jej” - powiedział. „Nie wolno ci mieć nic wspólnego z Vattami.” Zaszokowana Ky tylko wpatrywała się w niego.

- Co...

Potrząsnął głową.

- Nie wiem, kapitanie. Zażądałem odpowiedzi, lecz dowiedziałem się jedynie, że sytuacja się zmieniła, a ja mam wykonywać polecenia. Wskazałem, że jest pani chora i nieprzytomna, a pani życiu zagraża niebezpieczeństwo. Usłyszałem, że mam pani wynająć pokój w hotelu. Cokolwiek się wydarzyło, przeraziło rząd. Podejrzewam, że coś zagraża tak im, jak i Vattom. - Westchnął i kontynuował. - Próbowałem dzwonić do innych znanych mi osób.

Jedna z nich powiedziała mi, że krąży pogłoska o atakach na budynki Vattów, nie знаła jednak żadnych szczegółów. Przy trzeciej rozmowie urwała się łączność. Poprosiłem policję, żeby sprawdziła nagrania z kabiny łączności w Gildii Kapitańskiej; stało się to sześć godzin po tym, jak przerwano pani połączenie z siedzibą waszej firmy.

Sześć godzin. W tym czasie mogło się wiele wydarzyć... tak samo, jak w sześć minut, czy sześć sekund.

- Podejrzewam, że za awarią ansibli stoją wrogowie ISC, nie mam jednak pojęcia, czy ma to coś wspólnego ze zmianą polityki wobec Vattów.

- Na pewno - orzekła Ky. - Atak na ansible Sabinę był z pewnością wymierzony w ISC, tak przynajmniej uważają oni. Jestem w stanie uznać, iż ludzie, którzy to uczynili, mają do mnie określone pretensje. Zabiłam dwóch z nich. Może to podwójny atak.

Konsul Inosyeh pokręcił głową.

- Nie ta skala działań. Zbrodniczy syndykat, chcący panią ukarać, owszem, mógłby nasłać zespół zabójców - choć raczej wynająłby jakiegoś miejscowego osiłka, żeby porachował

pani kości w speluncie - ale nie pozbawiałby pani planety łączności ansiblowej. - Przerwał, a Ky pokiwała głową. Konsul podjął wywód. - Problem w tym, że wydano mi rozkaz, abym wyrzucił

panią na ulicę. Nie zamierzam tego uczynić. - Spojrzenie, którym ją obrzucił, było pełne przekory.

Ky patrzyła na niego w milczeniu.

- Zamiast tego, odbędę małą podróż w czasie i przeprowadzę z panią rozmowę, która miała odbyć się przed tamtym połączeniem ansiblowym. Co oznacza, że już ją odbyliśmy.

Gdyby ktoś się pytał, to miała ona miejsce rano. Czy to jest jasne?

W tej chwili nic nie było jasne, lecz ciężar jego spojrzenia sugerował konieczność udzielenia odpowiedzi.

- Tak... tak sędzę.

- Świetnie. - Konsul Inosyeh odchylił się na krześle i przyciągnął sobie stopą podnózek, by oprzeć na nim nogi. - Zamierzam podzielić się z panią tym, czym mógłbym, gdyby nie obecne instrukcje, ponieważ z mojego punktu widzenia jeszcze ich nie otrzymałem. A jeśli uzna pani, że to tylko dowodzi elastyczności dyplomatów, bardzo proszę zachować tę opinię dla siebie. - Przeczesał palcami włosy, mierzwiąc czuprynę.

- Eee... tak, oczywiście. - Jak mogła kiedykolwiek uznać tego faceta z Północnego Wybrzeża za sztywnego i aroganckiego?

- Ile pani wie na temat polityki zagranicznej Slotter Key, ze szczególnym uwzględnieniem zapewnienia bezpieczeństwa na szlakach kosmicznych? - To ostatnie mogło równie dobrze zostać napisane dużymi literami, z takim naciskiem to powiedział.

- Po to właśnie mamy flotę kosmiczną - odparła szybko Ky. - Nasze Siły Kosmiczne są wystarczająco potężne, by odeprzeć... - umilkła, widząc jego minę. - Nie?

- Zawsze zastanawiałem się, czego uczą kadetów - westchnął konsul Inosyeh. - Wie pani co, wszechświat funkcjonowałby znacznie lepiej, gdyby ludzie zwyczajnie mówili prawdę. Może pani uznać, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała z ust dyplomaty, ale naprawdę tak jest!

- Mój ojciec zawsze powtarzał, że w handlu uczciwość jest lepsza od oszustw -

stwierdziła Ky. - O ile chce się utrzymać stałych klientów.

- Miejmy nadzieję, że ta uczciwość go nie zabiła - powiedział konsul. - W porządku.

Oto, jak wygląda prawda. Slotter Key, nasze wspólne domostwo, jest powszechnie nie lubiane za sposób, w jaki zapewnia sobie międzygwiazdne bezpieczeństwo. Ze względu na przeznaczane na nie środki, Siły Kosmiczne chronią jedynie nasz rodzimy system. Jeden układ słoneczny, trzy zamieszkane planety, kilka skolonizowanych satelitów i tak dalej. W

charakterze systemu wczesnego ostrzegania utrzymujemy posterunki przy kilku pobliskich punktach skoków. Nie wysyłamy okrętów do innych systemów bez wcześniejszych, długich przygotowań - gdybyśmy po prostu tam wlecieli, nazwaliby to inwazją. Tak to zresztą określano.

- Ale sądziłam... - Ky znowu zamilkła. Prawdę mówiąc, nic, czego jej uczono, nie zaprzeczało słowom konsula Inosyeha, który jednakowoż prezentował dosyć dziwną interpretację rzeczywistości. - Cóż więc powstrzymuje piratów przed napaściami na nasze statki handlowe?

- To właśnie, kapitanie Vatta, jest przyczyną złej reputacji, jaką cieszy się Slotter Key.

Nasz świat utrzymuje kaprów - prywatne, uzbrojone okręty, uprawnione przez rząd do ścigania i zwalczania nieprzyjaciół Slotter Key. Co w szerokim rozumieniu tego terminu oznacza każdego, kto utrudnia nam handel. Nie jesteśmy jedynymi, którzy tak postępują, lecz my wykorzystujemy to w najbardziej agresywny sposób.

Wstrząs, jakby ktoś wylał jej na głowę kubek lodowatej wody, odebrał Ky mowę.

- Kaprzy! Przecież to... zwykli korsarze, tyle że ze świstkiem papieru w łapie!

- Dokładnie tak określają ich inne systemy. Zgadza się. My również nazywamy tak cudzych kaprów, gdy napadną na nasz statek. Niemniej, kapitanie Vatta, w pewnych sytuacjach każdy rząd potrzebuje armii - tajnej, nieoficjalnej, której zawsze można się wyprzeć. Straż obywatelska, kaprzy, łowcy nagród, najemnicy - ktoś, kto wykona brudną robotę, od której zawsze można się odciąć, gdyby coś poszło źle.

- Ale... to jest głęboko niewłaściwe. - Mówiąc to, miała świadomość, jak naiwnie i niedojrzale zabrzmiały jej słowa. Konsul Inosyeh nie wyśmiał jej, ani nawet się nie uśmiechnął.

- Z pewnością nie jest to rozwiązanie idealne - stwierdził. - W najlepszym razie, takie metody powinny być zarezerwowane na nieliczne, wyjątkowe okazje. Niemniej ze względów ekonomicznych, Slotter Key oraz kilka innych układów planetarnych wprowadziły ten sposób finansowania kosmicznej policji. Z pewnością wyobraża sobie pani wyniki z tego problemu

dypłomatyczne. Zagarnięcia niewinnych statków, spory o dowody winy, tego typu sprawy. W

Kodeksie Handlowym Rada Kupiecka wprowadziła rozróżnienie pomiędzy piratami a kaprami, którzy zobowiązani są, na przykład, stosować się do takich samych zasad traktowania więźniów, jak najemnicy. Od dziesiątków lat kaprzy zapewniają jedyną kosmiczną policję, a kupcy wolą ich od prawdziwych piratów.

- Powinna istnieć policja kosmiczna z prawdziwego zdarzenia - orzekła Ky. - Różne systemy z pewnością potrafią razem...

- Jak dotąd, nie doszły do porozumienia - odparł konsul Inosyeh. - Najbliższe tej formacji są siły zbrojne ISC, które nie występuje jednak przeciwko piratom, chyba że tamci zaatakują ich bezpośrednio, a poza tym, nie patrzą z sympatią na czynione przez systemy próby łączenia sił. A teraz najważniejsze: kompanie kupieckie, w tym część znanych pani, wzięły udział w tworzeniu flotylii kaperskiej, oddając na ten cel ułamek własnej floty. Strata na powierzchniach ładunkowych wyrównywana jest z łupów. Siły Kosmiczne zwykle oddelegowują własnego oficera - zawsze na największy statek lub do grupy okrętów - by miał

na wszystko oko. Służby dyplomatyczne otrzymują zaś listę kaprów działających w ich rejonach, na wypadek, gdyby konieczny był kontakt z nimi.

Wbrew początkowemu niesmakowi na myśl o kaprach, Ky wyobraziła sobie siebie na takim statku - niemal równie dobrym, jak prawdziwy okręt bojowy - strzegącą flotyllę kupiecką Slotter Key przed piratami. Może wcale nie było to aż takie złe.

- Jak pani widzi, potrafię wyobrazić sobie przyczyny napaści na Slotter Key, nawet nie biorąc pod uwagę ataku na ISC. Zirytowaliśmy mnóstwo ludzi, nie tylko nasze potencjalne cele.

- Czy wśród kaprów znajdują się również... uch... statki Vattów?

- Nigdy nie figurowały na żadnej otrzymanej przeze mnie liście - odparł konsul. - Sądzę, iż podczas tworzenia sił kaperskich przyjęto zasadę, iż co najmniej jeden przewoźnik ma nie brać w tym udziału, by jego nieskazitelnie kryształowa reputacja mogła stanowić przykrywkę dla pozostałych. - Kwaśny głos konsula aż ociekał sarkazmem. - Nie znam całej historii, lecz wygląda na to, że to Vattowie zostali wybrani na nieskalaną owieczkę w pstrokatym stadzie. -

Przyjrzał się jej uważnie. - Rozumiem, że nie miała pani o tym pojęcia.

- Nie - odparła Ky. Niemniej, w świetle tego, co usłyszała, nabrały sensu pewne reakcje, z jakimi spotkała się na Sabinę i tutaj. Jak również tamten naszpikowany modułami elektronicznymi model okrętu wojennego, przesłany jej przez starszego sierżanta MacRoberta przed jej wylotem ze Slotter Key. Jeśli będziesz potrzebować pomocy - napisał w liście, a przecież służył w Siłach Kosmicznych. Musiał wiedzieć o kaprach; z pewnością usiłował

umożliwić jej kontakt z nimi. Czemu jednak ojciec nic jej nie powiedział. Przecież musiał o tym wiedzieć?

- Cóż... teraz powinna to pani wiedzieć. W wielu sektorach spotka się pani z wrogością i podejrzliwością, a obecny spór Vattów z rządem tylko pogorszy sytuację. Nie przypuszczam, żeby miała pani w załodze doświadczonych weteranów?

- Nie - odparła Ky. - Mój ojciec myślał, że wysyła mnie z banalnie prostą misją i wybrał załogę doskonale znającą statek.

- Potrzebuje pani ludzi, którym będzie mogła zaufać, kapitanie. Najlepsze, co może pani teraz zrobić, to wynająć kilku tęgich zabijaków. Takich, na których będzie pani mogła polegać, zamiast wynajmować ochronę w każdym porcie.

A gdzie niby miałyby kogoś takiego znaleźć? I skąd miałyby pewność, że taki ktoś nie należy do spisku, mającego na celu zgładzenie jej? Musiał coś wyczytać z jej miny.

- W naszym przedstawicielstwie pracuje jeden strażnik bliski emerytury - oznajmił. -

Może brakuje mu nieco ogłady, ale jest bardzo doświadczony i silny jak niedźwiedź. Mógłbym z nim porozmawiać, gdyby pani chciała.

W jej pamięci wciąż były żywe wspomnienia wydarzeń, do jakich doszło, gdy ostatnim razem chciała pomóc dyplomacie w potrzebie. Omal nie zginęła przez Caleba Skeldona. Czy teraz miała brać sobie na głowę kolejnego narwanego idiotę?

- Byłych żołnierzy charakteryzuje dyscyplina i trening - powiedział konsul, jakby czytając jej w myślach.

- Tak naprawdę, to potrzebuję specjalisty od załadunków - stwierdziła. - Kogoś dobrego w kupowaniu zapasów i nadzorze nad ładowaniem cargo.

- Zna się na tym - zapewnił ją Inosyeh. - O ile zaufa mi pani w świetle oficjalnego stanowiska naszego rządu.

Zdażyła już wyjść na idiotkę w oczach żony konsula. Musiała komuś zaufać, a Inosyeh zmarnował już lepsze okazje, by jej zaszkodzić.

- W takim razie proszę go zapytać - powiedziała. - Jeśli jednak wyrazi zgodę, będę chciała osobiście z nim porozmawiać.

- Oczywiście. I proszę pamiętać: odbyliśmy tę rozmowę rano, jak tylko przyleciała pani na planetę i zanim skontaktowałem się z moim rządem.

- Tak - potwierdziła Ky. Czowała się zubożniała i wykończona. Co mogła zrobić z jednym małym, powolnym, nieuzbrojonym statkiem kupieckim? Jak miała ustalić, co się dzieje? - Hm... czy chce pan, żebym się stąd wyniosła?

- Teraz? Oczywiście, że nie. Jest noc, a pani nie nabrała jeszcze sił. Proszę się dobrze wyspać.

Spodziewam się, że rano władze Belinty wymyślą jak zapewnić pani bezpieczny powrót na statek. - Odepchnął podnóżek, wstał i przeciągnął się. - Muszę wziąć udział w nudnej kolacji, podczas której będę udawał, że nic się nie stało, a pani nadal jest bohaterką, za jaką wszyscy tutaj ją uważają. Po powrocie porozmawiam z naszym pracownikiem - będzie na służbie - pani zaś może spotkać się z nim rano.

Ky była pewna, że nie zaśnie. Przez jakiś czas błędziła myślami, potem jednak zmęczenie wzięło górę. Następnego ranka na tacy ze śniadaniem znalazła notatkę od konsula, że sierżant Martin chciałby z nią porozmawiać przed jej wyjazdem oraz że ma zarezerwowane miejsce na promie odlatującym o 10:15 czasu lokalnego.

Sierżant Gordon Martin był wysokim, barczystym mężczyzną o siwiejących, jasnych włosach i szarych oczach, przypominających zmrożone kamyki. Choć nie miał na sobie munduru, każdy rozpoznałby w nim wojskowego po postawie, minie i zachowaniu. Ky zerknęła na papiery, które jej wręczył - był młodszy, niż sądziła, miał doświadczenie zarówno w zakupach, jak i ochronie, i tylko podsumowanie raportów sprawnościowych sugerowało, dlaczego odchodził na emeryturę w tak młodym wieku. Ani słowa o nieuczciwości czy kradzieży, jedynie „nagminna niesubordynacja”. Szczególnie utkwiło jej w pamięci zdanie jednego z jego byłych dowódców: „Ten człowiek nie wie, gdzie kończy się inicjatywa, a zaczyna monstrualna głupota”. Obrzuciła go spojrzeniem.

- Nie oczekuję awansu, kapitanie - stwierdził. - Jestem zbyt niezależny.

- Nie potrzebuję narwanego pistoletu - odparła. - Miałam już takiego i omal przez niego nie zginęłam.

- Nie jestem narwanym pistoletem, madame. Wiem, do której opinii pani nawiązuje.

Oficer, który ją wydał, wolał raczej dopuścić do obrabowania magazynu, niż przyznać się, że zaufał niewłaściwemu cywilowi. Ja tylko uderzyłem wyżej, kiedy nic nie zrobił. - Twarz przeciął mu skąpy uśmiech. - Pani nie mógłbym ominąć, bo znajduje się na czubku piramidy dowodzenia.

Wbrew sobie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Czy konsul mówił panu, że zostałam napadnięta, a mój statek zaatakowany? Nie mam zbyt bezpiecznej koi do zaoferowania.

- Tak jest, madame... kapitanie. Z przyjemnością zapewnię bezpieczeństwo pani i statkowi. Poza tym, potrzebuje pani doświadczonego specja od ładunków, jak rozumiem?

- Tak. Mój główny ładowacz został zabity podczas ostatniej podróży; jego zastępca jest świetny, ale brakuje mu doświadczenia w zakupach. Do tej pory robił to Gary.

- Zajmowałem się zaopatrzeniem zarówno tutaj, jak i w innych miejscach.

- Prom odlatuje za półtorej godziny - powiedziała Ky. - Nie mam pojęcia, jak się tam dostać...

- Zajmę się tym, jeśli sobie pani tego życzy, madame.

To było czyste szaleństwo. Niemniej w tym solidnym, ewidentnie doświadczonym mężczyźnie było coś takiego, co pozwoliło jej odzyskać pewność siebie po utracie łączności z siedzibą Vattów. Absolutnie nie wyglądał też na kogoś oczekującego ratunku - chociaż raz nikt nie zarzuci jej chęci przyjscia komuś z pomocą.

- Nie spóźnijmy się na prom - rzuciła. - Miło mieć pana w zespole.

Podróż na Stację Belinta na pokładzie rządowego promu zaopatrzeniowego okazała się tak nudna i pozbawiona jakichkolwiek wydarzeń, jak tego oczekiwała. Otoczona przez policyjną ochronę i z Martinem u boku bez przeszkód przebyła korytarze stacji i dotarła do doku, a po chwili na pokład statku.

Nie zastała tam oczekiwanego spokoju, tylko chaos i napięcie, panujące w okupującej mesę grupce najwyraźniej przerażonych i rozgniewanych ludzi.

- Nie zostaję - perorował właśnie Riel Amat, jej główny pilot. - Nie zmusisz mnie do tego. To zbyt niebezpieczne.

- Nie możesz odejść! - rzuciła chrapliwie Quincy, jak gdyby zaschło jej w gardle od długiego mówienia.

- Co się dzieje? - zapytała Ky. Jej załoga odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

Zauważyła, że Martin zajął pozycję przy grodzi, osłaniając ją przed Rielem.

- Kapitanie... - Riel zaczerwienił się, ale brnął dalej. - Ja już po prostu nie mogę.

Wcześniej było źle, ale teraz ktoś omal nie wysadził statku. Nie zniosę tego. Na stacji twierdzą, że do systemu zmierza statek Pavrati. Chcę się na niego przenieść.

Quincy zmierzyła wrogim spojrzeniem Martina.

- Kto to jest?

- Nasz nowy główny ładowacz i szef ochrony - odrzekła Ky. - Potrzebujemy kogoś, kto zajmie się bezpieczeństwem statku... poznajcie Gordona Martina. Były żołnierz Sił

Kosmicznych, obecnie w stanie spoczynku. Ma również doświadczenie w zakupach. - Obróciła się do Riela. - Nie wiem, czy wiesz, ale urwała się łączność ze Slotter Key. Coś się dzieje i nie wiadomo, czy w najbliższym czasie przyleci tu jakiś nasz statek.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę zostać na tym statku, a Pani nie może mnie do tego zmusić.

- Ja mogę zająć się pilotowaniem, kapitanie - zaofiarował się Lee. Nie zauważyła go wcześniej; w odróżnieniu od reszty załogi, siedział rozluźniony na ławce. - Ja zostaję.

- Kto jeszcze chce odejść? - spytała Ky.

- Gdyby był inny statek - zaczęła Sheryl Donster, nawigator - chciałabym przesiąść się na niego. Ale nie ma. A nie mam ochoty zostawać na tej stacji; już raz nas na niej zaatakowano.

Czyli raczej zostanę...

- Zebranie załogi za godzinę - zarządziła Ky. - Powiem wam, co wiem. W międzyczasie zajmijcie się przygotowaniami do startu. Riel, chcę spotkać się z tobą w mojej kabinie.

- Madame? - odezwał się tkwiący pod ścianą Martin.

- Mamy ochronę policji. Alene, gdybyś mogła pokazać sierżantowi, jak dostać się do zapisów o cargo... a przy okazji, Quincy, czy policja oddała nam brakujący ładunek?

- Nie. Powiedzieli, że jest im potrzebny.

- Nie tak bardzo, jak nam. Pogadam z nimi po rozmowie z Rielem. Jak wiesz, Quincy, chciałabym odlecieć stąd jak najszybciej.

Riel pomaszerował za nią do kajuty. Pomimo milczenia bił od niego uparty sprzeciw.

- Usiądź - zaczęła Ky, gdy już sama zajęła miejsce za biurkiem. Przysiadł na brzeżku drugiego. - Posłuchaj, Riel: wiem, że się boisz i rozumiem to. Masz powody przyjmować, że moje towarzystwo jest niebezpieczne i faktycznie może tak być. Zanim jednak postanowisz zmienić statek, musisz wiedzieć, co wiem na temat ogólnej sytuacji.

- To bez znaczenia - oświadczył.

- Możliwe, że nie ma to znaczenia, ja jednak poczuję się lepiej, kiedy mnie wysłuchasz.

- Rozluźnił się lekko, a Ky kontynuowała. - Rozmawiałam właśnie z kwaterą Vattów o próbie sabotażu, kiedy urwała się łączność. Wtargnięcie zabójców do Gildii Kapitańskiej uniemożliwiło mi połączenie się bezpośrednio z ojcem. Później - oceniamy, że jakieś sześć godzin - konsul rozmawiał ze Slotter Key, gdy zamilkły tamtejsze ansible. Nie działają do tej pory. Konsul nie wie, czy jest to efekt takiego samego ataku, jaki miał miejsce na Sabine, czy chodzi o coś zupełnie innego. Ze strzępków informacji, jakie zdążył uzyskać wynika, że albo ktoś ma coś przeciwko ISC, Slotter Key i Vattom, albo dziwnym zbiegiem okoliczności kilku ktosiów ma jakieś żale, którym postanowili dać wyraz w tym samym czasie. Pierwszą możliwość uważam za bardziej prawdopodobną. Służyłeś w Siłach Kosmicznych, tak?

- Tak, ale... nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. W życiu nie widziałem walki.

- A masz jeszcze może jakieś kontakty w Siłach Kosmicznych? Albo przysługi do oddania?

- Nie - odparł z naciskiem Riel. - Ja tylko... chcę wykonywać swój zawód. Nie potrzebuję takich wzruszeń.

- Mam nadzieję, że ci się powiedzie - stwierdziła Ky. - Zatwierdzę wypłatę dla ciebie i możesz



odejść.

- Zaraz? - Spojrzał na nią.

- Zaraz. Skoro nie lecisz, nie musisz uczestniczyć w odprawie, a my będziemy zajęci przygotowaniem do startu. Natychmiast skontaktuję się z bankiem. Przygotują wypowiedzenie dla ciebie. Pod warunkiem, że jesteśmy ci winni tylko pensję... choć z drugiej strony mamy sytuację kryzysową, zamierzam więc wypłacić ci za jeden miesiąc ekstra. Tata zbeszta mnie za to później.

- To jest... bardzo wspaniałomyślne z pani strony. Nie wiem, czy powinienem...

- Nie sprzeczasz się, Rielu. To moja decyzja. A teraz spakuj się, ja zaś zadzwonię do banku.

Autoryzacja przelewu zajęła moment. Ky udała się na mostek, gdzie Lee i Sheryl przechodzili procedurę przygotowania do startu.

- Naszym celem nadal jest Leonora, kapitanie?

- Nie jestem pewna. Wytycz kurs, Sheryl. Do punktu skoku dzieli nas kilka dni, podczas których mogę jeszcze zmienić zdanie. Lee, o której możemy zacząć odliczanie?

- W gruncie rzeczy o dowolnej. Życzą sobie jedynie powiadomienia z półgodzinnym wyprzedzeniem. Na tej stacji nie ma zbyt wielkiego ruchu.

- Do tego czasu Riel powinien zdążyć opuścić statek. - Im szybciej znajdą się w przestrzeni, tym lepiej. Połączyła się z Quincy. - Jak wygląda sytuacja?

- Od wczoraj pozostajemy w stanie czuwania, kapitanie. Jesteśmy gotowi do startu i - zanim zapytasz - owszem, w pełni zaopatrzeni.

- Świetnie. Skontaktuję się z władzami stacji. Niech Beeah upewni się, że Riel opuścił statek, dobrze?

- Nie powinien był odejść - oświadczyła Quincy. - Twój ojciec mu ufał...

- Ja już nie - stwierdziła Ky. - Nie chcę mieć pilota z musu. - Quincy głośno parsknęła. -

Niech Beeah upewni się, że odszedł.

- W porządku.

Uzyskanie od dowódcy stacji pozwolenia na start odbyło się dokładnie tak szybko, jak Ky oczekiwała - najwyraźniej lokalne władze z przyjemnością stracą Gary'ego Tobai z oczu.

Ky poinstruowała Crown & Spears, by przelali jej pieniądze na konto na Lastway. Leonora była

tylko przystankiem; nie powinna potrzebować tam zbyt wielkich środków finansowych.

Ponownie spróbowała połączyć się z tatą poprzez zabezpieczoną konsolę pokładową.

KONTAKT NIEMOŻLIWY - to wszystko, co uzyskiwała, niezależnie od wybieranego numeru.

Gary Tobai wysunął się z doku. Brama stacji zamknęła się, wypuszczając pozostałe wokół statku powietrze. Lee wystartował gładko. Napęd wewnątrzukładowy uruchomił się bez zarzutu, a ona raz jeszcze objęła dowodzenie nad własnym statkiem w przestrzeni.

## ROZDZIAŁ 4

Teraz, kiedy wróciliśmy do bezpiecznej przestrzeni - Ky zwróciła się do zgromadzonej załogi - musicie poznać najświeższe informacje. Wiecie o usiłowaniu sabotowania statku oraz napaści na mnie.

- Czy to ma związek z Sabinę? - zapytała Quincy.

- Nie sędzę - odparła Ky. - Nie teraz. Zbyt wiele się wydarzyło. Od wczoraj nie działa ansibl Slotter Key. Rozmawiałam z siedzibą Transportu Vattów i łączność została przerwana, lecz miało to miejsce na kilka godzin przed atakiem zamachowców. Nie wiem, czemu Vattowie stali się czyimś celem, lecz najwyraźniej tak właśnie jest.

- Co możemy zrobić? - zapytał Mirt.

- Najważniejsze jest dokładne rozpoznanie sytuacji - orzekła Ky. - W tej chwili nie wiemy, czy platformy ansiblowe Slotter Key zostały zniszczone, czy może jest jakaś inna przyczyna ich milczenia. Nie mamy wystarczającej ilości informacji, by opracować plan działania. Wiemy jedynie, że grozi nam niebezpieczeństwo, a ruchomy cel jest zawsze trudniejszy do trafienia.

- Trzeba być szybkim i czujnym - odezwał się Martin. Pozostali spojrzeli na niego. - Ma pani rację, kapitanie - dodał.

- Nasza marszruta wiedzie z Belinty na Leonorę i Lastway - kontynuowała Ky. - Zapasy wystarczą nam jednak na bezpośrednią podróż na Lastway...

- Po co w ogóle tam lecieć? - spytała Quincy. - Czemu nie mielibyśmy wrócić na Slotter Key i dowiedzieć się, co naprawdę tam się dzieje?

- Wolę trzymać się z dala od systemu, w którym nie działają ansible - oświadczyła Ky. -

Byliśmy już w takiej sytuacji. Nic zabawnego. Lastway jest wystarczająco daleko, na krańcach wszechświata... Założę się, że tamtejszy ansibl będzie działał nawet wówczas, gdy umilkną wszystkie inne. To także bardzo uczęszczany układ; panuje tam spory ruch. To może oznaczać dla nas kłopoty, lecz również przysporzyć informacji i sojuszników. A jak sytuacja się uspokoi, to możemy stamtąd przeskoczyć z powrotem na Leonorę.

- Jakimi wewnętrznymi systemami bezpieczeństwa dysponuje ten statek? - zapytał

Martin.

- Standardowymi dla jednostki cywilnej - odrzekła Ky. - Niestety, po buncie na Sabinę część z nich nie działa. Dostęp wideo i audio do każdego pomieszczenia, choć raczej w celach komunikacyjnych. A o co chodzi?

- Ktoś próbował wnieść na pokład materiały wybuchowe - wolałbym upewnić się, czy na statku nie znalazło się przypadkiem coś jeszcze. Nie zamierzam obrażać twojej załogi; to tylko tak, na wszelki wypadek.

- Dobra myśl - zgodziła się Ky. - Chcesz osobiście sprawdzić każde pomieszczenie?

- Tak, również za pomocą sprzętu, który mam ze sobą - poklepał się po tunice.

Ky przyszło do głowy, że powinna zapytać go, skąd ma takie zabawki, uznała jednak, że nie czas teraz na to.

- Bierz się do roboty - powiedziała. - Ładunek jest zabezpieczony; zbiorę raporty z pozostałych sekcji, a ty zorientuj się, co gdzie jest.

- Tak jest, madame - rzucił, a ramię drgnęło mu w geście, w którym Ky rozpoznała powstrzymany odruchowy salut.

Mirt był w połowie zdawania swojego raportu, gdy ich uwagę przyciągnęły stłumione łupnięcia. Interkom szczyknął i rozległ się głos Martina:

- Intruz w ładowni numer dwa. Związany. Oczekuję rozkazów.

- Już idę - rzuciła Ky. - Beeah, chodź ze mną.

Tuż za otwartym włazem do ładowni numer dwa Martin pilnował zwiniętej w kłębek postaci w obszarpanej zielonej tunice i kilcie, związanej w kostkach i nadgarstkach elastycznymi taśmami do owijania ładunków.

- Gdybyście mogli go popilnować - odezwał się Martin - rozejrzę się, czy nie ma innych.

- Mirt, zostań z nim; Beeah, bądź gotowy, na wypadek gdyby Martin potrzebował twojej pomocy.

Martin poświęcił kilka godzin na upewnienie się, że nie mieli więcej pasażerów na gapę.

- Nadal nie mam stuprocentowej pewności - stwierdził. - Rozejrzałem się dosyć pobieżnie.

Do tego czasu Ky zdążyła dokładnie obejrzeć więźnia - nieciekawego młodziana o skołtunionych

włosach i co najmniej jednodniowym zarostem. Na jednym policzku ciemniał siniak. Po ubraniu sądząc, pochodził z Belinty, lecz to wszystko, co była w stanie wywnioskować.

Martin szarpnięciem postawił go na nogi i oparł o kontener.

- Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym wyrzucić cię za burtę!

Wzrok więźnia spoczął na Ky.

- Błagam! Nic nie zrobiłem! Nie pozwól mu mnie zabić.

- Nic nie zrobiłeś? - powtórzyła drwiąco. - Zakradłeś się na mój statek. Co zamierzałeś zrobić? Podłożyć kolejne bomby?

- Nie! Przysięgam! Nic z tych rzeczy.

- Jak masz na imię, chłopcze? - zapytał Martin.

- Jim. Jim Hakusar. I nie jestem chłopcem...

- Doprawdy. - W tym jednym słowie Ky usłyszała ton, który wielu zielonych rekrutów zamienił w żołnierzy. Martin obejrzał się na nią. - Kapitanie, ten pasażer na gapę twierdzi, że jest dorosły, co w świetle prawa oddaje go do pani całkowitej dyspozycji. Z przyjemnością pozbędę się go dla pani.

- Nie! Proszę, nie! Ja... mogę robić różne rzeczy. Mogę... pracować dla pani. Tylko tego chciałem, otrzymać szansę...

- Chcesz powiedzieć, że zamierzałeś zaciągnąć się na statek?

- Tak... wszystko, byle tylko uciec z Belinty. Naprawdę potrafię robić mnóstwo rzeczy.

- Na przykład? - zapytał Martin.

- No, mogę... mogę budować różne rzeczy. No wiecie, stodoły, płoty i takie tam. - Mirt parsknął zduszonym śmiechem, Ky udało się stłumić chichot. - I mogę zajmować się bydłem.

Karmić je, oporządzać... - Ucichł, rozejrzawszy się po ładowni, gdzie ewidentnie brakowało drewnianych zabudowań, płotów i trzody. - Myślałem... słyszałem... że na statkach sami hodujecie żywność, a to oznacza zboże. Znam się na uprawie i hodowli, i gracowaniu...

- To chodzi o duże statki - wyjaśnił Mirt. - Na dużych statkach mają hydroponiczne uprawy. My hodujemy algi w zbiornikach. Nie gracujemy ich...

- Ale ten statek jest duży... widziałem w wideowizji. Jest... o wiele większy od naszego domu; pomieściły się w nim te wszystkie traktory i inne maszyny. - Rozejrzał się po ładowni. -

No sami popatrzcie. Jest olbrzymi.

- Obawiam się... - zaczęła Ky, lecz natychmiast jej przerwał.

- Proszę panią! Proszę pozwolić mi tutaj zostać. Obiecuję, że będę ciężko pracował.

- To jest kapitan - zwrócił mu uwagę Martin. - Masz zwracać się do niej per proszą pani.

- Proszę... proszę panią...

Dlaczego coś takiego zawsze przytrafiało się jej? Już słyszała komentarz Quincy. Lecz Martin patrzył na nią uspokajająco.

- Skoro nie ma dowodów na udział tego człowieka w próbie sabotażu, nie mam powodów wyrzucać go w kosmos - oznajmiła. - Odpowiadasz za niego, Martin. Ustal to. A do tego czasu zamkniemy go w... - Gdzie niby mieli go zamknąć? A może mógłby robić coś pożytecznego, zamiast być tylko kolejną gębą do wyżywienia.

- Zajmę się nim, madame - obiecał Martin. - Ustalę, co zrobił, do czego może się przydać i dam mu coś do roboty. - Pochylił się nad więźniem i rozwiązał go, po czym postawił

na nogi. - A teraz posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. Kapitan powiedział, że będziesz żył - na razie. Ale pozostajesz pod moimi rozkazami, rozumiesz?

- Ja... - Więzień przeniósł wzrok na Ky. - Proszę nie pozwolić mu mnie skrzywdzić!

Zrobię wszystko, co pani powie.

- Mówię ci więc, że masz go słuchać. Martin, pamiętaj: statek jest najważniejszy.

- Tak jest, madame. - Ky odwróciła się, zdecydowana nie zwracać uwagi na dalsze poczynania Martina, lecz jego stentorowy ryk sprawił, że omal podskoczyła. - Wyprostuj się! -

Zacisnęła szczęki, nie chcąc wybuchnąć śmiechem. Podskoczyła, kiedy MacRobert po raz pierwszy na nich ryknął. Doskonale wiedziała, co ten młody człowiek będzie czuł przez następnych kilka godzin i pierwszy raz od opuszczenia Akademii wspomnienie o niej ukoło ją, zamiast zasmucić.

\* \* \*

W okolicach trzeciej wachty upewniła się, że statek leci równo. Z pomocą reszty załogi Martin dokończył przetrząsanie pomieszczeń i upewnił się, że nie mają więcej pasażerów na gapę, ani żadnych bomb. Młodzieniec spędził kilka godzin na szorowaniu pokładu, po czym po przyzwoitym posiłku został zamknięty w składziku, gdzie wstawili mu materac z poduszką i koc.

- Stanowi nie lada wyzwanie - zameldował jej Martin zadowolonym tonem kogoś, kto uwielbia wyzwania. - Nie urodził się na Belincie. Jego rodzina przeniosła się tam, kiedy był

niemowlakiem. Biedni koloniści z pogranicza. Znam ten typ, madame. Na naszym świecie nazywamy takich tułaczami. Żyją z zakładania wnyków i pieczenia żab na patykach. Niemniej można z nich zrobić całkiem dobrych pracowników. Powiedział mi, że potrafi strzelać.

Sprawdzę to później.

- Jeśli zaoszczędzi mi szorowania - odezwała się Alene, opierając łokcie na stole - to głosuję za nim.

- Och, będzie szorował - zapewnił ją Martin. - Na razie to jedyne, co potrafi. Nie jest zbyt edukowany i wątpię, aby przykładał się do nauki w szkole.

- Zajmiemy się tym - oznajmiła Ky. - Jeśli ma należeć do mojej załogi, musi otrzymać świadectwo. - Rozejrzała się po zgromadzonych w mesie. - Wiem - czekają nas kłopoty. Lecz właśnie dlatego potrzeba nam wykwalifikowanych ludzi na pokładzie, a nie tylko pomywaczy.

Chcę, żeby osiągnął przynajmniej podstawowy poziom astronauty.

- Spróbujemy - rzuciła Quincy.

- Tak doświadczoną załogę stać na więcej niż tylko próbowanie - uznała Ky.

Podróż przebiegała bez zakłóceń. Gordon Martin pilnował, aby ich więzień miał zajęcie przez dwie wachty dziennie, wliczając w to cztery godziny nauki. Martin zdawał się dobrze rozumieć z resztą załogi. Mężczyźni ćwiczyli razem z nim. Ky, która przestrzegała własnego systemu ćwiczeń, zauważyła, że kobiety dołączają do niej - nie wszystkie, lecz nawet Sheryl, która wcześniej deklarowała nienawiść do fizycznego wysiłku, teraz codziennie korzystała z urządzeń. Ky pełniła służbę pilota razem z Lee. Martwił ją każdy punkcik na skanerze - była przekonana, że czyhają na nich piraci, gotowi przejąć statek. Jak dotąd, alarmy okazywały się przedwczesne: a to zmierzający na Stację Belinta statek Pavrati, a to rudowiec Belinty lub jednostki pomocnicze.

Czwartego dnia Gary Tobai mijał się z transportowcem Pavrati. Ky grzecznościowo nawiązała łączność z innym kupcem.

- Spokojnie możecie darować sobie Leonorę - obwieścił jej kapitan jednostki Pavrati. -

Nikogo nie wpuszczają. Lecieliśmy w tę stronę z Darttinu, a oni zawrócili nas, jak tylko wyszliśmy z hiper.

- Co... dlaczego?

- Jakieś kłopoty z komunikacją. Są przekonani, że spotka ich to samo, co Sabine, jeśli będą wpuszczać obcych do swojego układu.

- Nie powiedzieli nic konkretnego?

- Nie powiedzieli nic, oprócz: Odejdźcie stąd i przekazcie innym, żeby zostawili nas w spokoju. System zamknięty do odwołania, mówili. To było trzy tygodnie temu. Obraliśmy zły wektor i

musieliśmy skorzystać z punktu pośredniego. Mają parę uzbrojonych statków i zachowywali się tak, jakby mieli ochotę nas zestrzelić, gdybyśmy nie odlecieli. Ale, jeśli chcecie... po prostu przekazuję przyjacielskie ostrzeżenie.

- Dzięki - odparła Ky. - Doceniam to. O ile wiem, Belinta jest nadal otwarta, ale możecie mieć kłopoty, jeśli kierujecie się na Slotter Key. Najwyraźniej padły tam ansible.

Kapitan Pavrati mruknął coś, czego Ky - ku swemu zadowoleniu - nie dosłyszała.

- Przekłęci piraci - dodał. - Czy kto tam to robi. To zrujnuje handel. Potrzebujemy zapasów; zamierzałem uzupełnić je na Leonorze, a teraz okazuje się, że będziemy musieli zadowolić się kapustą z Belinty.

Po wyłączeniu się, Ky odwróciła się do Sheryl:

- Lecimy na Lastway Daj mi znać, jak prędko możemy tam dotrzeć.

\* \* \*

- Niewąskie zamieszanie - stwierdził Gerard Avondetta Vatta. Cały był obolały, a wyglądał równie źle, jak się czuł - czytał to w otaczających go twarzach - lecz nie miał czasu zajmować się własnym bólem, ani żalem po utracie tak wielu. Jak również troską o najmłodsze dziecko, które dopiero co przetrwało swoją pierwszą podróż, o mały włos nie zakończoną katastrofą. Musiał myśleć o przyszłości - tylko to wyciągnie go z posępnego mroku rzeczywistości klęski.

- To hańba. - Gracie Lane Vatta, niepowtarzalna i niezwyciężona, siedziała wyprostowana na krześle. - Nie jestem w stanie pojąć, co myśli sobie rząd, tolerując takie rzeczy.

Pytanie, którym Gerard nie chciał na razie się zajmować, brzmiało: jak bardzo rząd był

w to uwikłany. Lub jego część. Albo co znaczą klęski, wciąż spadające na Vattów, dla tej części rządu, na którą - jak sądził - miał jeszcze wpływ.

- Jakie wyniki połączeń? - zapytał wdowę po swoim bracie, Helen Stamarkos Vattę.

Lubił Helen; był pod wrażeniem jej umiejętności, choć nadal nie mógł uwierzyć, że Stavros odszedł i nigdy więcej nie poczuje na swym ramieniu uspokajającego dotyku jego dłoni.

- Dwieście dziewiętnaście odpowiedzi - odrzekła. Ciemne obwódki wokół oczu były jedyną oznaką żałoby; to oraz czarna opaska na włosach. Straciła męża, starszą córkę i syna. -

Wiemy o trzydziestu siedmiu zgonach.

Będzie jednak więcej śmierci, był tego pewny. Te, o których już wiedział, były wystarczająco okropne. Żona, syn, służba domowa, mężczyźni i kobiety w biurówcu.

Odepchnął wspomnienia. Myris nie żyła, wciągnięta w sam środek kuli ognia; kawał

gruzu zgniółł jej czaszkę. San nie żył, jak wszyscy w budynku, z wyjątkiem dwóch osób. On zaś wciąż ponosił odpowiedzialność i miał pracę do wykonania, która nie mogła poczekać, aż wyzdrowieje fizycznie - zagoją się oparzenia i zrosną połamane kości - ani emocjonalnie.

Obecni byli wszyscy pozostali członkowie rodu Vattów, tłoczący się w bunkrze pod składem tiku, zamienionym teraz w stertę poskręcane i poczerńiałego żelastwa.

Najbezpieczniejsze miejsce, jakie przyszło mu do głowy, choć skóra cierpła mu na myśl, że ktoś inny mógłby o nim wiedzieć i właśnie przymierzał się do wysadzenia ich w powietrze.

- Co z łącznością? - zapytał.

- Ansiblowe skrytki pocztowe pękają w szwach - odrzekła Helen. - Timmis Hollander -

lokalny szef ISC, Gerard dobrze go znał - utrzymuje, że nie wie, dlaczego. Przypuszczam, że niezależnie od przyczyny, problem dotyczy nie tylko Slotter Key. Ta lista dotarła do nas wczoraj przed - zerknęła na nagłówek - 14.53 Standardowego Czasu Stolicy.

- W porządku. - Gerard odetchnął głęboko. Lekarz rodzinny chciał umieścić go w szpitalu, lecz on nie wyobrażał sobie bezczynnego siedzenia w miejscu, będącym tak oczywistym celem. - Nadal mamy lokalną łączność z naszymi ludźmi na kontynencie. W

systemie znajduje się Perry Adair, który nie przycumował do głównej stacji orbitalnej Slotter Key i nic go nie zaatakowało. - Nie musiał dodawać: jeszcze. - Został nam jeden prom, obecnie w doku stacji i strzeżony przez tamtejszą ochronę. Powiadomiono nas, że na razie nie otrzymamy pozwolenia na przelot na planetę.

- Czyli utknęliśmy tutaj - podsumowała Gracie Lane.

- Nie... nie do końca. Komercyjni przewoźnicy za sutą opłatą zgodzili się przewieźć na stację mniej... eee... prominentnych członków rodziny. - Nie zabiorą na pokład jego, ani Helen, ani żadnego z menedżerów firmy.

- Czy ktokolwiek wie, dlaczego nas zaatakowano? - spytała Gracie. - Pomijając nasze bogactwo, wpływy oraz zeszłoroczne wystąpienie przeciwko Pavrati?

- Nie - odparł Gerard. - Nie mamy żadnych jednoznacznych wskazówek. Podejrzewam, że ma to związek z problemami ISC, jako iż od dawna wspieraliśmy ich monopol, wobec którego od wielu lat narasta opozycja.

- Czy powodem mógł być udział Kylary w rozgrywce z tamtymi piratami na Sabinę? -

wiedziona nieomylnym instynktem zapytała o jedyną sprawę, o której nie miał ochoty myśleć, ani rozmawiać.

- Ona nie wzięła udziału, jak to określiłaś - zauważył. - Nie miała wyboru...



Gracie pociągnęła nosem.

- Ta dziewczyna nie dostrzega wyborów. Dostrzega szanse. - Uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, nie najgorszy sposób prowadzenia wojny.

Gerard zamrugł oczami. Przypomniał sobie nagle, że ta chuda, nieznośna starucha, pod wieloma względami czarna owca rodziny, autorka najmniej jadalnych, acz najbardziej wartościowych ciast owocowych w całym wszechświecie, była wystarczająco stara, by pamiętać ostatnią wojnę. Nie był pewny co, ale jego ojciec wspominał o czymś... zapytał

implant i odnalazł plik z przebiegiem jej kariery wojskowej. Gracie? Wywiadowcą? Jakoś nie skojarzył dotąd jej wiedzy o podsłuchach i gromadzeniu informacji - odpowiednia działalność cywilna dla starszej pani z wydatnym nosem - z ich wojskowymi odpowiednikami.

Cóż, nie patrz tak - rzuciła, błędnie odczytując jego spojrzenie. - Przecież to jest wojna, nie? Mamy wroga, niezależnie od tego, czy go znamy, czy nie. Zabili naszych ludzi, napadli na biura i domy, przerwali łączność. Trzeba przyznać, że sprawili się całkiem nieźle... ewidentnie nie byliśmy przygotowani. Lecz teraz... to jest wojna i lepiej, żebyśmy ją wygrali. Nie zamierzam spędzić reszty życia, siedząc w jakimś śmierdzącym, dusznym bunkrze pod zrujnowanym magazynem tiku.

- Ja... nie myślałem o wojnie, Gracie - odparł Gerard. - To jest... oczywiście, że to był atak - to jest atak - ale wojny są dla... dla rządów.

- Wojna to wojna - orzekła Gracie. - A nasz rząd robi w tej sprawie cholernie niewiele.

Równie dobrze młoda Ky mogła spędzić te wszystkie lata w Akademii i nie ukończyć jej. I tak nie mogłaby nam pomóc.

- Teraz też nie może nam pomóc - zauważył Gerard. - O ile w ogóle jeszcze żyje. -

Chciał pomodlić się za jej życie, ale zabrakło mu modlitw po utracie Myris, Sana, Stavrosa i innych...

- Zobaczymy - mruknęła Gracie. - Wiem jedno: nie jest głupia.

Nadmiar łaski, zważywszy na to, jak wyrażała się o Ky do tej pory.

Gerard z trudem odchrząknął i przedstawił sytuację.

- Rzecz w tym, że to, co zostało z Transportu Vattów, ma w tej chwili spore kłopoty.

Przebywające w kosmosie jednostki nie mają z nami łączności, z wyjątkiem Perty'ego Adaira.

Rekompensatami za nasze zasoby na Slotter Key - ziemię, nieruchomości i własność ruchomą -

trzeba będzie pokryć zobowiązania kontraktowe. Jeśli będziemy mieli szczęście i wypłacą nam

odszkodowania na czas, nie przekroczy to wysokości kar umownych. Przez brak sprawnego systemu - aktualna baza danych o przychodach uległa zniszczeniu - straciliśmy ubezpieczenie statków, a - co za tym idzie - kontrakty. Jak wiecie, w ciągu ostatnich czterech lat nabyliśmy piętnaście nowych jednostek... no cóż, zażądano od nas spłaty zaciągniętych kredytów. W

normalnej sytuacji bylibyśmy w stanie ponieść taki wydatek. Teraz... nie możemy.

- Czyli... mówisz o bankructwie? - upewniła się Gracie.

- Mówię o kompletnej ruinie - odparł Gerard. - Opowiadasz o wojnie, wygrywaniu...

Gracie, nie mamy czym walczyć. Nie mamy pieniędzy. Nie mamy kredytów. Nie mamy aktywów, dzięki którym moglibyśmy zarobić pieniądze.

- Nonsens! Mamy pomysłowość Vattów, entuzjazm...

- Nie wiemy nawet, czy pozostali przy życiu jacyś inni Vattowie, oprócz tu obecnych -

oznajmił Gerard. Ucisnął nasadę nosa. - Według moich szacunków utraciliśmy osiemnaście procent międzygwiazdowego tonażu... jeśli jednak nie zdobędziemy ubezpieczenia i nikt nie powierzy nam ładunku, pozostałe osiemdziesiąt dwa procent to jedynie bezużyteczny i kosztowny szmelc. Czy możemy sprzedać statki? Na pewno, ze stratą naszym konkurentom...

ale tylko pod warunkiem, że odzyskamy z nimi łączność. Nie mamy procedur, zgodnie z którymi kapitanowie mogliby na własną odpowiedzialność sprzedać statki Vattów. Co więcej, rząd Slotter Key odwraca się od nas w chwili, gdy najbardziej go potrzebujemy. W Kręgu szepcze się, że to my ściągnęliśmy kłopoty na Slotter Key, stając się tak oczywistym celem.

Poinformowano nas, iż ochrona interesów Vattów stanowiłaby marnotrawstwo pieniędzy podatników.

- Nie rzucamy się w oczy tak, jak paru, których mogłabym wymienić - stwierdziła Gracie. - Prezydent Varthos...

- Tak, zgadzam się - przerwał jej zwyczajową tyradę przeciwko prezydentowi i jego rodzinie. Osobiście uważał prezydencki pałac z różowych muszłokamieni za nieco ostentacyjny, choć interesujący w detalach. - Problem w tym, że my zostaliśmy zaatakowani, a oni nie i nie chcą zapewnić nam ochrony, o jaką prosimy i której potrzebujemy - ze strachu, aby nie stać się kolejnym celem. Staralem się zwrócić ich uwagę na fakt, iż również jesteśmy podatnikami, teraz jednak trudno byłoby uznać nas za kandydatów na hojnych donatorów dla czyjejś kampanii wyborczej.

- Niedawno sam z tego korzystał - zauważyła Gracie.

- Owszem, lecz przypominanie o tym teraz nie przyniesie nic dobrego. - Gerard powtórnie uszczypnął się w nos. Gracie miała taki talent do wywoływania bólu głowy...

żałował, że nie może napuścić jej na przeciwnika, kimkolwiek był. - Oto, o czym musimy

postanowić. O ile wiem, nasze prywatne fundusze pozostały nienaruszone. Banki na Slotter Key nie zawiodły i choć awaria ansibli finansowych może przysporzyć pewnych kłopotów, zostałem zapewniony, iż moje konta pozostały dostępne. Możemy podjąć decyzję o włożeniu pieniędzy z powrotem w firmę i utrzymaniu jej na powierzchni - przynajmniej tutaj - albo zabrać swoje fundusze i... uciekać w nadziei, że nie jest się zbyt dobrym celem.

- Ile byśmy potrzebowali? - zapytała Helen.

- Nie jestem pewny - odrzekł Gerard. Nienawidził takich odpowiedzi; jako dyrektor finansowy powinien przedstawić dokładne kwoty. Niestety jego biuro, podobnie jak dom, zamieniło się w dymiącą dziurę w ziemi, a logiczne myślenie przychodziło mu z coraz większym trudem. - Więcej, niż mam sam, tyle wiem. Najpierw jednak chciałem ustalić, czy bylibyście zainteresowani...

- Ja jestem - dobiegł głos z kąta. Gerard niemal zapomniał o Stelli Vatta Constantin, młodszej córce Helen i Stavrosa. Pozostali obejrzeli się na nią. - Nie patrzcie się tak - dodała. -

Raz nawaliłam... tylko raz... i odtąd już na zawsze będziecie uważali mnie za Stellę-idiotkę, tak?

- To nie tak... - zaczął Gerard. Stella przerwała mu.

- Owszem, wujku Ger, właśnie tak. Podobnie, jak wszyscy uważacie Ky za naiwną. A mnie zależy na tej rodzinie równie mocno, jak innym. Bardziej, niż co poniektórym. A Ky ma, moim zdaniem, więcej rozumu, niż sądzicie. Z chęcią oddam Vattom ostatni kredyt. Co z pozostałymi?

- Niektórzy z nas mają rodziny... - To był Vasil Turolev, którego żona i córka Vattowie przeżyli.

- Niektórzy z was mają szczęście - oznajmiła Stella, nim Gerard zdążył otworzyć usta. -

Zamierzasz więc dać swemu szczęściu w zęby i uciec?

- Muszę myśleć o nich - oznajmił Vasil. - Za co będą żyć, jeśli tak postąpię i nie uda się?

- Jego żona szarpnęła go za ramię i zaczęła szeptać do ucha. Odwrócił wzrok, a ona przemówiła:

- Wkładam moje pieniądze. Celi Vatta.

- A ja moje, rzecz jasna - oznajmiła Gracie. - Vattowie przetrwają.

- Mam nadzieję - stwierdził Gerard. Wcale nie był tego taki pewny; ból zaćmiewał mu wzrok - środek pobudzający, na który namówił lekarzy, właśnie przestawał działać. - Musimy postanowić również, jak podzielić się ocalałymi bazami danych... - Głowa opadła mu na bok; nie był w stanie wskazać na implant bez poruszenia całym ramieniem, co z kolei kosztowało go zbyt wiele wysiłku. - Dane Stava uległy zniszczeniu. Uważam, że trzeba powielić moje...

odnajdzie Ky... powiedzcie jej... - Nie potrafił utrzymać otwartych oczu; efekt postymulacyjny przetoczył się przez niego i wciągnął w ciemność.

- Stello, kochanie, muszę z tobą porozmawiać... - Głos Gracie zakłął go w uszy nawet, gdy tracił przytomność. Nie czuł już, jak unosiła mu osłonę czaszkową i wyjmowała implant, który następnie włożyła do ochronnej kasetki, wypełnionej płynem odżywczym. Nie słyszał

rozejścia się rodziny, ani podjętej szeptem decyzji, by ściągnąć personel medyczny tutaj, zamiast przetransportować go do kliniki. Nie odzyskał przytomności przed operacją. Ani przed śmiercią.

\* \* \*

Gracie Lane Vatta krzątała się po kuchni, mieszając suszone i kandyzowane owoce, orzechy, mąkę i cukier w wielkiej misie, podczas gdy właścicielka tego przybytku smarowała tłuszczem i posypywała mąką głębokie formy do pieczenia.

- Nie mogę uwierzyć, że w takiej chwili pieczesz ciasto owocowe! - wykrzyknęła Stella Vatta Constantin. Druga kobieta, która została jej przedstawiona jako Louise, podniosła wzrok, po czym wróciła do pracy. - Jedni umarli, inni właśnie konają, a...

- Stello, doceniam twój sentymentalizm, jeśli jednak doprowadzisz do tego, że zapomnę przepisu, będą gorsze, niż kiedykolwiek. Włóż to - kiwnęła głową w stronę zapieczętowanej kasetki, zawierającej implant Gerarda Vatty - do jednej z tych toreb izolujących.

- Nie wsadzisz chyba tego do ciasta i nie upieczesz! Ulegnie zniszczeniu!

- Wcale nie. Już to robiłam. Będzie podwójnie chroniony: kasetka sama w sobie jest izolowana, a torba da dodatkowe trzydzieści minut bezpieczeństwa w temperaturze pieczenia. -

Przez chwilę patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, po czym zaczęła ucierać masło z przyprawami. - Ciasto owocowe ma to do siebie, Stello, że nikt nie dostrzega w nim niczego innego, prócz owocowego wypieku. Ciasto ciotuni to jedna z najbardziej nieszkodliwych rzeczy we wszechświecie. Aż śmierdzi rodzinną tradycją i sztywnymi regułami. Znasz się na kamuflażu. Jak inaczej można przenieść bezcenny przedmiot...

- Zabierasz go dokądś'?

- Nie, moja droga. Ty to zrobisz. - Zerknęła na drugą kobietę. - Louise, czy mogłabym prosić cię o przyniesienie butelki rumu z pokoju gościnnego, tej, po którą posłałam wcześniej Pauli?

- Oczywiście, proszę pani. - Louise opuściła kuchnię. Gracie przysunęła się do Stelli.

- Stello, nie możemy mieć tylko jednej kopii głównej bazy danych. Sama już taką posiadam; tobie jej nie dam, na wypadek, gdyby... gdyby ktoś próbował włamać się do twoich plików. To dla Ky. Jestem pewna, że uda ci się ją znaleźć. Po Belincie miała polecieć na Lastway. Prędzej czy później tam dotrze. Ale nie polecisz bezpośrednio na Lastway. Najpierw udasz się kurierem do kwatery głównej ISC. Wylatujesz jutro rano, jak zwykle jako pełnomocnik, a nie członek rodziny.

- Zgoda - rzuciła Stella. - Z ciastem owocowym.

- Z kilkoma. Śmierdzącymi rumem. - Gracie skończyła ucierać masło. - Wiem, że o czymś zapomniałam...

- O wanilii? - poddała Stella.

- Wanilia... nie... to nie ten przepis. Gerry coś powiedział, tam, w domu. Zbyt wiele zbyt szybko... powinnam była to nagrywać... - Potrząsnęła głową. - Nienawidzę starości. Mądrość -

zakładając, że jakąś nabyłaś - nie jest wystarczającą rekompensatą za młodzieńczą umiejętność pozostawiania dwa dni na nogach i pamiętania o różnych sprawach. Włóż torbę z implantem do tej formy; podeprzyj tamtymi szpileczkami. A tę paczuszkę do tamtej. I na litość boską pamiętaj, które ciasto co zawiera. Masło wlało się do okrągłej formy, a po chwili do prostokątnej, zatapiając zawartość, rozprowadzone łopatką przez ciocię Gracie. - A teraz do piekarnika z nimi!

Stella wsadziła formy do piekarnika w chwili, gdy pojawiła się Louise z rumem.

Wszystkie trzy siedziały wokół stołu i czekały, aż ciasta upieką się i ostygną na półkach.

- Lepiej idź już do łóżka, Stello - zarządziła Gracie. Odpędziła własne zmęczenie.

Musiała jeszcze powiedzieć coś Louise, zrobić parę rzeczy i zachować kilka spraw w sekrecie nawet przed Stellą. Dziewczyna - już kobieta - przeszła długą drogę. Zdążyła udowodnić swoją wartość. I była jedyną, która mogła - mogła - podjąć temu, co Gracie uważała za nieodzowne.

Bładym świtem Stella wróciła do kuchni, ubrana w poważny kostium bizneswoman, pasujący do jej przykrywki i ze związanymi w mało twarzowy węzeł złocistymi włosami. Nic nie mogło ukryć jej kości policzkowych, lecz makijaż subtelnie zniweczył urodę, maskując nieskazitelną cerę bladymi plamkami. Gracie obejrzała ją dokładnie.

- Dobra robota, kochanie - pochwaliła.

- Nic ci nie będzie, ciociu Gracie? - zatroskała się Stella.

- Mnie? - zdziwiła się zapytana. Pozwoliła uśmiechowi przekazać jej intencje. - Och, Stello, oczywiście, że nic mi nie będzie.

Wyraz twarzy dziewczyny zmienił się, lecz była dobrze wyszkolona; nawet nie spojrzała na Louise, mówiąc:

- Uważaj na siebie, ciociu Gracie; będę za tobą tęsknić.

- Twoje ciasta, Stello.

- Ciociu Gracie, naprawdę nie potrzebuję...

- Oczywiście, że tak. - Gracie podała jej torbę. - Jest tam również drobiazg dla ciebie, Stello. - Paczuszka z diamentami, najlepszą przenośną walutą. Stella miała ze sobą kilka w kieszonkach

stanika, lecz nie zmieściłaby tam tylu kamieni. - Posiłek na drogę.

- Dziękuję, ciociu Gracie. - Stella delikatnie ją uściskała. Po chwili już jej nie było, a Gracie, wcześniej spakowana, wyszła z domu innymi drzwiami, by odjechać z drugim kierowcą. Po drodze zatrzymała się na chwilę, by zadzwonić z ekranowanego miejsca. Świt był najlepszą porą na obudzenie zdrajcy i wyszeptanie mu do ucha: „Pożałujesz tego...”.

\* \* \*

Ciammis Turek z satysfakcją czytał raporty. Dokonali właściwej oceny: pozbawili Transport Vattów głowy i wystarczającej ilości kończyn. Rząd Slotter Key współpracował, nie zapewniając tamtym żadnej pomocy. Pozostałości Vattów są niegroźne, niczym odrąbane, wijące się ramiona niegdyś potężnego stwora. Nie dopadli córki, ale i tak była mniej istotnym celem, podróżującym małym, powolnym, nieuzbrojonym stateczkiem. Dorwie ją później, kiedy tylko zechce.

Połączył się z pałacem prezydenckim na Slotter Key, świadomy że to ich zaalarmuje i wprawi w konsternację.

- Okazałeś mądrość, słuchając mojej rady - oświadczył bez zbędnych wstępów. - Sam widzisz, jak znakomicie wszystko się ułożyło.

- Widzę jedynie wielki bałagan - odrzekł głośno. Nie było w nim strachu i unizoności, których oczekiwał. Gammis skrzywił się.

- To nie twój bałagan - stwierdził. - To bałagan Vattów, którzy w tej chwili nie mają najmniejszych możliwości, żeby sprawić nam - mnie, albo tobie - jakiegokolwiek kłopoty.

- Nie jestem tego taki pewien - mruknął głośno.

Tchórze. Bojaźliwe owce. Gammis zarechotał radośnie.

- Ich zarząd nie żyje. Siedziba zniszczona. Podobnie jak część dużych statków, przynoszących największe zyski. Nie zostaną ubezpieczeni, a ich konta zostały zablokowane.

Więc w czym problem?

- Kogoś pominęliście.

- Kogo? Nie sądzę. Moi wywiadowcy donoszą, że ich dyrektor generalny i finansowy nie żyją, tak samo wszyscy wiceprezesi...

- Pominęliście starszą panią. Ona wie, że ktoś dogadał się z rządem...

Gammis wybuchnął gromkim śmiechem.

- Wszyscy wiedzą, że ktoś dogadał się z rządem. Co z tego? I jaka znowu starsza pani?

Nie mamy żadnych danych o starszych paniach... mogą sobie narzekać, ile wlezie.

- Zadzwoiła do mnie.

- Och, na... miejże jaja, człowieku. Starsza pani, jakaś stara wdowa po którymś z Vattów, bez wojska, bez zasobów... może sobie skomleć, ile dusza zapragnie. Nie ma zębów. -

Rozłączył się, kręcąc głową nad tchórzliwością planetarnych polityków.

## ROZDZIAŁ 5

Podczas przelotu na Lastway załoga zdążyła przywyknąć do nowej sytuacji i kolegów, choć nie bez pewnych tarć.

- Jest taki... wojskowy - Quincy wyznała Ky trzeciego dnia podróży. - Wszystko wypucowane na glans. - Ky nie musiała pytać, o kogo chodziło: oczywiście o Gordona Martina.

- Uważam, że zbyt ostro obchodzi się z tym chłopcem - ciągnęła Quincy. Tym chłopcem był

Jim Hakusar, który utrzymywał, że ma dwadzieścia trzy lata. - Wczoraj przez kilka godzin na czworakach szorował podłogę tylko dlatego, że zapomniał wziąć prysznic.

- Nic mu nie będzie - stwierdziła Ky. - Złagodniałaś względem Jima?

- Bynajmniej. Zgadza się, że potrzebuje szkolenia. Ale Martin...

- On jest wojskowym, Quincy, tyle że byłym. Taki miał zawód. Nie możesz oczekiwać, że zmieni się w ciągu jednej nocy, a prawdę mówiąc, dla mnie lepiej, że to on odpowiada za Jima, a nie ja. - Przeciągnęła się. - Czy on cię niepokoi? To znaczy: Martin?

Quincy pokręciła głową.

- Raczej nie. Co prawda, nie chce, żebyśmy zwracali się do niego po imieniu - dość dziwne, wszyscy tak do siebie mówimy - ale nie próbuje wydawać nam rozkazów, ani nic takiego.

- Sądzisz, że Jim kiedykolwiek wyrośnie na astronautę? Jak mu idzie nauka?

>

- Może. Niezbyt dobrze. Martin uważa, że nie przykłada się zbytnio, ale ja zaczynam zastanawiać się, czy kiedykolwiek korzystał z pomocy naukowych. Wypytywałam go o szkołę i nie wyglądało mi na to, żeby w podstawówkach Belinty stosowano oprogramowanie uczące, z którego my korzystamy.

- Mamy coś takiego na pokładzie? - Załoga dysponowała biblioteką umożliwiającą dokształcanie się.

- Sprawdź - obiecała Quincy. - Przepraszam... nie wpadłam na to wcześniej.

- Jeśli mamy, to zorientuj się, czy mogłoby mu pomóc - poleciła Ky.

- Widziałam wyniki testów - zajmuje najniższą możliwą pozycję na skali. Jeśli ma z nami zostać, musi być kimś więcej, niż popychadłem.

Alene zaakceptowała Martina jako nowego szefa załadunków - wcześniej mówiła Ky, że nie chce obejmować tego stanowiska - lecz i ją czasami raził jego rygoryzm.

- Oczekuje codziennej inspekcji - powiedziała. - Gary nigdy tego nie robił, a miał przecież wieloletnie doświadczenie.

- W tych okolicznościach również mógłby tego chcieć - odparła Ky.

- Martin posiada doświadczenie zarówno w ochronie, jak i zaopatrzeniu; chce zapewnić nam bezpieczeństwo.

- Z całego serca popieram bezpieczeństwo - zapewniła ją Alene. - I naprawdę nie mam nic przeciwko dodatkowej pracy. Jako, iż Jim wykonuje lwią część brudnej roboty, zastępcy głównego ładowacza pozostaje niewiele do zrobienia. Taki ma chyba... sposób bycia.

- Czy jest niegrzeczny?

- Nie. Ale zauważam, że powstrzymuje się przed wydawaniem mi rozkazów w stylu, w jakim zwraca się do Jima.

- Daj mu trochę czasu - poradziła Ky. - Przynajmniej sam się powstrzymuje.

Ky nie miała zbyt częstego kontaktu z ich pasażerem na gapę. Zauważyła tylko, że potargana grzywa przeistoczyła się w jeża, zniknęło dotychczasowe przygarbienie, a twarz wygładziła się, nabierając bystrości i czujności. Zawsze był zajęty - kambuz i toalety lśniły, a podłogi były dokładnie pozamiatane. Co pięć dni prosiła Martina o raport z postępów i dowiadywała się, że „rekrut” rozwija się, choć powoli.

- Na szkoleniu z prawdziwego zdarzenia poszłoby szybciej - oświadczył. Siedział

wyprostowany i Ky musiała walczyć z chęcią przybrania postawy „na bacność”. - Tutaj, na statku, gdzie nie ma innych rekrutów, z którymi mógłby się porównać, może oszukiwać sam siebie, iż daje z siebie wszystko. Przypuszczam, że sama to pani pamięta z Akademii.

- Owszem - przytaknęła. Współzawodnictwo napędzało ją równie mocno, jak zwierchnicy.

- Zdaję sobie sprawę, że jesteśmy cywilami, nie wojskowymi. Rzecz w tym, że tacy chłopcy potrzebują dyscypliny, albo nigdy nie przestaną uciekać się do wymówek. Zawsze mają w zanadrzu jakiś wykręt; wykorzystają każdą sztuczkę, by uniknąć pracy. Nie są źli, tylko gruboskórni i uparci. Niemniej dostarczony przez głównego inżyniera software również okazał



się bardzo pomocny.

- Będę zadowolona, jeśli zdołasz zrobić z niego porządnego, kompetentnego astronautę

- oznajmiła Ky. - Tylko nie zniszcz czegoś, co mogłoby okazać się dla nas użyteczne.

Martin roześmiał się.

- Zajmę się nim. Nie złamię go, obiecuję. Jest jednak jeszcze jedna sprawa. -

Spoważniał. - Musimy zastanowić się nad zabezpieczeniami na czas dokowania. Zapoznałem się z dostarczonymi mi procedurami bezpieczeństwa i stwierdzam, że są absolutnie niedostateczne. Mamy szczęście, że na pokładzie nie znalazła się druga załoga, złożona z pasażerów na gapę, ani kilotona materiałów wybuchowych. Ten ustęp o zaufaniu pokładanym w lokalną policję...

- Jestem pewna, że masz już jakieś pomysły - zasugerowała Ky. - Czy nadają się do zaprezentowania?

- Prawdę mówiąc... - Wyciągnął kilka dużych wydruków. - Mógłbym zapisać je na kostce, ale czasami łatwiej jest zobaczyć to w takiej postaci. Możemy poskładać coś z posiadanego sprzętu, ale wciąż potrzeba nam lepszych czujników i to w dużej ilości.

Przyjrzała się diagramom.

- Mówimy o zabezpieczeniach militarnych, prawda?

Pokiwał głową.

- Z posiadanych przez nas okruchów informacji wynika, że w kilku miejscach robi się naprawdę niespokojnie, a my możemy wynurzyć się z hiperprzestrzeni w samym środku działań wojennych. Nie wystarczą nam cywilne systemy, przeznaczone do ochrony przed drobnymi złodziejaskami. Przejrzałem listy przewozowe - ładunki, których nie możemy dostarczyć na Leonorę, zawierają komponenty potrzebne nam do stworzenia podstawowej sieci ostrzegawczej, o jakiej mówię.

- Nie możemy zerwać plomb - zaprotestowała Ky. - To wbrew polityce firmy, nie mówiąc już o przepisach.

Skrzywił się.

- Polityka... nie działa w czasie wojny, madame. Czyż nie powiedziała pani, że Leonora uniemożliwia nam dokonanie dostawy? Co oznacza przepadek cargo, nieprawdaż?

- Niedokładnie - odparła Ky. - W takich przypadkach to sędzia musi ustalić, czy możemy sprzedać ładunek i złożyć pieniądze do depozytu dla jego nadawcy, czy zatrzymać zysk dla siebie. Nie znam przepisów, zezwalających nam na zerwanie plomb i wykorzystanie powierzonego ładunku dla własnych celów.

- Nikt nie zawlecze do więzienia kawałków, jakie z nas zostaną, gdy ktoś dostanie się na statek - stwierdził Martin.

- To prawda, ale... ile możesz zdziałać bez wykorzystania cargo Leonory?

- Zależy, jak bardzo pozwoli mi pani uszczuplić magazynek części zamiennych.

- Przyjrzyjmy się temu jeszcze raz - zaproponowała Ky, pochylając się nad schematem.

- Hm. Czujniki ruchu, podczerwień...

- Madame, wiem, że uczyła się pani na Akademii wojskowej, ale jak wiele czasu poświęcono tam zagadnieniom zabezpieczeń?

- Niewiele - przyznała. - I bardzo różniło się od tego, co zastaliśmy na poligonie.

Powiedziano nam, że dowiemy się tego później, po ukończeniu szkoły.

- Cóż, tutaj jest brudno i ubogo. Do zapewnienia bezpieczeństwa takiemu statkowi i załodze w opisanych mi sytuacjach, potrzebne będą trzy rzeczy. Sprzęt - czujniki umieszczone w odpowiednich miejscach. Oprogramowanie, które we właściwy sposób zinterpretuje napływające dane. Oraz procedury bezwzględnie przestrzegane przez wszystkich. Nie chcę nikogo obrazić, ale nie dysponuje pani załogą złożoną z wojskowych. Ci ludzie nie nawykli do dyscypliny, wykraczającej poza wykonywanie swoich zadań. Mam rację?

- Owszem - przyznała.

- Przysłuchiwałem się ich rozmowom o tym, jak spędzają czas w porcie. Wchodzą i wychodzą, odwiedzają portowe knajpy i kawiarenki, wykonują zadania, robią zakupy...

- Tak, to zupełnie normalne - przytaknęła Ky. - I...?

- No cóż, madame, dla mnie jest to równie normalne jak wyjście na zewnątrz i nie oglądanie się za siebie. Ktoś próbuje panią zabić i zniszczyć statek. Co oznacza, że nie możemy pozwolić sobie na takie swobodne wałęsanie się. Mogę uzupełnić braki w sprzęcie i oprogramowaniu - o ile otrzymam odpowiednie środki - lecz pani również musi ustalić pewne procedury, regulujące zachowanie się załogi w najbliższym porcie.

- Masz na myśli procedury ograniczające ich poruszanie się.

- Poruszanie się, rozmowy, wszystko. To nie będzie łatwe; będą uważać, że są ostrożni, zostawiając w systemie bezpieczeństwa dziury tak wielkie, że przemaszerowałbym przez nie z plutonem żołnierzy.

- Skoro jest to najtrudniejsze zadanie, to uważam, że powinniśmy zacząć właśnie od niego - uznała Ky.

- Jaką broń macie na pokładzie?

- Dwa pistolety Mehar i kilka noży - odparła. - Oraz to, co masz przy sobie.

- To? - Rozchylił tunikę i wyciągnął matowoczarny pistolet. Ky zauważyła, że kładąc go na stole, ani razu nie skierował lufy w jej stronę. - Jedenaście milimetrów, Broń Standardowa; wyprodukowany na Slotter Key na licencji Bascome'a. Odpowiada standardom, choć został wykonany na indywidualne zamówienie. - Przekrzywił głowę, patrząc na nią. - Pani nie ma broni? Spodziewałem się czegoś innego.

- Opuszczałam Slotter Key w pośpiechu - wyjaśniła Ky. - Broń była wówczas ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam. Ale po Sabinę...

- Słyszałem, że zabiła pani dwóch buntowników - powiedział. - Mogę wiedzieć, jak pani tego dokonała bez broni?

- Z kuszy - odparła. - A dokładnie: z pistoletu Mehar. Buntownicy mieli noże, ale żadnej broni dystansowej; najemnicy dopilnowali tego.

- Aha. Pistolet to zupełnie dobra broń na statku. Nie uszkodzi kadłuba, ani nawet grodzi. Zalecałbym jednak, madame, uzbrojenie się przy najbliższej nadarzającej się okazji.

- Na Lastway powinny być jakieś sklepy z bronią - stwierdziła.

- Mógłbym coś dla pani wybrać - zaofiarował się. - Tak byłoby bezpieczniej.

- Nie, dziękuję. Jeśli mam jej używać, to chcę dokonać wyboru samodzielnie - odrzekła.

Brwi Martina powędrowały w górę, więc dodała: - Wiesz, umiem strzelać. Nauczyłam się w domu i na Akademii. A teraz, jeśli przygotowałeś zarys procedur, to możemy przejrzeć je i zacząć szkolić załogę.

- W tej chwili, madame. A biorąc pod uwagę brak broni, dorzucę jeszcze podstawy samoobrony. Część z nich może załapać. - Skinął głową i opuścił kajutę.

\* \* \*

Powrót do przestrzeni w układzie Lastway przebiegł bez zakłóceń; Sheryl wyskoczyła z hiperprzestrzeni dalej od planety, niż zazwyczaj, starając się jak najmniej hałasować. Skaner podjął pracę po kilku minutach i Ky sprawdziła ansible Lastway, prosząc o „aktualne wiadomości handlowe z całego sektora”. Nie spodziewała się zbyt wiele, lecz pół godziny później otrzymała spory pakiet danych.

blokada łączności wciąż zagraża handlowi - głosił nagłówek.

Z artykułu wynikało, że w ciągu kilku godzin w wielu systemach zamilkły ansible, zakłócając nie tylko łączność, lecz również handel. Liczne układy planetarne - na liście widniała również Leonora -

zamknęły się przed przybyszami. ISC rozpoczęło naprawy jednocześnie w centrum i na obrzeżach swojego systemu komunikacyjnego, dzięki czemu Lastway utrzymywało niezakłóconą łączność z dwoma innymi systemami. ISC nie ogłosiło, co odkryło, informując jedynie, że „trwają prace nad możliwie jak najszybszym przywróceniem sprawnego i niezawodnego systemu łączności”. Slotter Key było jednym z systemów „nadal niedostępnych”, podobnie jak Belinta i Leonora.

Ky przewinęła listę. Następny nagłówek zaparł jej dech w piersiach. imperium vattów upada. Wyświetliła artykuł.

Drugi największy międzygwiazdny przewoźnik w kwadrancie, z siedzibą na Slotter Key, stał się obiektem serii niszczycielskich ataków na statki i personel. Katakлизм zawitał

nawet na ich ojczystą planetę, gdzie wysadzono w powietrze magazyny i plantacje tiku, jak również rodową posiadłość, w której śmierć poniosło wielu członków rodziny, W obliczu ucieczki klientów bankructwo firmy zdaje się być nieuniknione...

Ky długo wpatrywała się w tekst. Corleigh zbombardowane? Dom, w którym dorastała... ogród, basen, wyłożony chłodnymi płytkami taras, wygodne pokoje... zniknęły? Jej rodzina... jej wiecznie zajęta, krzątająca się matka? Bracia, kuzyni, jej tata?

To niemożliwe. Nie mogą być martwi. To musiała być jakaś pomyłka. To nie miało żadnego sensu. Czemu ktoś miałby napaść w taki sposób na Vattów? Nie mieli wrogów -

konkurentów tak, ale nie wrogów. Jej oddech przyspieszył. Spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej, lecz autor wołał spekulacje na temat wpływu upadku Vattów na ceny przewozów i powodzenie konkurencyjnych firm.

Jeszcze dwa inne artykuły wspomniały o atakach na Transport Vattów: jeden z Highdare, systemu w pobliżu centrum sektora, a drugi ze źródeł ISC. Wiele statków zostało zaatakowanych na stacjach orbitalnych, a dwa spóźniały się do portów przeznaczenia.

Ubezpieczyciele uznali firmę za zbyt ryzykowną a spedytorzy stronili od Vattów ze względu na brak polis. ISC wydało oświadczenie dementujące ich odpowiedzialność za ataki na Vattów: Jesteśmy przekonani, iż udział statku Transportu Vattów w wydarzeniach w systemie Sabine nie ma związku z tymi atakami... Stosunki ISC z Transportem Vattów oraz z członkami rodziny Vattów miały charakter wyłącznie biznesowy i nie były bliższe niż związki z innymi naszymi klientami.

Ky wpatrywała się w oświadczenie. Czyli ktoś jeszcze uznał, że te wydarzenia były rezultatem jej działań w systemie Sabine? A potem odrzucił ten pomysł? Mieli rację oni, czyjej obawy? Czy to jej wina? Oczami wyobraźni ujrzała sceny zniszczenia... płonący dom, eksplodujące biura, magazyny i przetwórnice ogarnięte pożogą... członkowie rodziny, których twarze nigdy więcej nie ujrzy...

Nie. To nie pomoże jej w sprzedaży ładunku i zapewnieniu bezpieczeństwa załodze i statkowi w przestrzeni Lastway. Mogli przeżyć, przynajmniej część z nich. Musiała tak myśleć; wyobrażanie sobie najgorszego tylko ją sparaliżuje.

Przejrzała resztę pakietu, skupiona na „tu i teraz”. Przesłała ceny Martinowi i Arlene oraz Quincy.

Dwie godziny później Kontrola Ruchu Lastway zapytała ich, czy są tutaj jedynie przelotem, czy podchodzą do stacji.

- Podchodzimy - odparła Ky.

- Miejcie świadomość, że jednostki Vattów objęte są specjalnym nadzorem -

powiadomiła ich Kontrola Lotów.

- Proszę o wyjaśnienie - rzuciła Ky.

- Jak długo lecieliście? - usłyszała w odpowiedzi.

Podawała datę według kalendarza uniwersalnego.

- Aha. Czyli nic nie wiecie o sytuacji?

- Jakiej sytuacji? - zapytała Ky. Co powiedzą? Co zrobią?

- Transport Vattów padł ofiarą zmasowanych ataków i powiadomiono nas, że anulowano polisy ubezpieczeniowe statków. Personel Vattów jest zagrożony, a zwłaszcza członkowie rodziny. Milicja Lastway zrzeka się odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo i zaleca wyjątkową ostrożność oraz wynajęcie dodatkowej, prywatnej ochrony...

- Czy dokują u was jakieś statki Vattów? - zapytała Ky.

- Nie. Jesteście pierwsi, odkąd wszystko się rozpadło. - Kontroler ruchu westchnął

głośno. - Kogo tak rozwścieczyliście?

- Nie wiem - odparła. - Byłam w podróży. Co słyszeliście?

- Tuziny plotek, lecz nic pewnego - odpowiedziała Kontrola. - Jeśli zawiniecie tutaj, możecie mieć kłopoty ze swobodnym poruszaniem się i musicie liczyć się z koniecznością dokonywania opłat w gotówce - linie kredytowe Vattów zostały zawieszane.

- Jeśli tutaj nie zawinę, zabraknie mi powietrza - odparła Ky. - Wobec czego wpuście mnie do środka.

- Wasz wybór - stwierdziła Kontrola. - Przygotujcie depozyt w wysokości ośmiuset kredytów w gotówce; pobierze go Kontrola Imigracyjna.

- Dziękuję - rzuciła przez zaciśnięte zęby Ky. Następnie zwołała załogę.

- Mam same złe wieści, ale jestem pewna, że nie wiemy jeszcze wszystkiego - zagaiła, po czym

przekazała im uzyskane wiadomości. -

Możliwe, że wszyscy inni Vattowie nie żyją. Możliwe, że dziennikarze mylą się i wszyscy oni cieszą się dobrym zdrowiem. Niemniej dla naszego własnego bezpieczeństwa musimy przyjąć, że istnieje ktoś - ewidentnie mnóstwo ktosów - kto czyha na Vattów.

- Nie wyściubisz nosa poza statek - orzekła Quincy.

- Wręcz przeciwnie, muszę zrobić to, co trzeba - odparła Ky. - Siedzenie tutaj i pozwalanie, by ktoś pojedynczo wyłapywał moją załogę, na pewno nie przyniesie nic dobrego.

Nie mogę sama kierować tym żelastwem, niemniej należy być ostrożnym. Opracowane przez Martina procedury, które ćwiczyliśmy - wszyscy musimy ich przestrzegać. Żadnego wałęsania się po stacji, ani wpuszczania obcych do naszego doku. Będziemy nosili przywoływacze i zainstalujemy dodatkowe czujniki.

- A co takiego masz do zrobienia, że aż musisz opuścić w tym celu statek? - zapytała Quincy.

Ky spojrzała na nią, lecz główny inżynier nie spuściła wzroku. Co bynajmniej jej nie zaskoczyło.

- W pierwszej kolejności muszę wnieść z góry wszystkie opłaty portowe i to gotówką.

Kredyt Vattów został zamrożony. Powinnam mieć tutaj pewne środki na prywatnym koncie, ale nie wiemy dokładnie, kiedy wysiadły ansible Belinty i czy transfer, jaki tam uruchomiłam, zdążył przejść na Lastway. Muszę zamienić pewne środki na gotówkę, otworzyć konto i wrócić do gry. Żadne z was mnie w tym nie zastąpi. Poza tym, potrzebuję środków obronnych - dodała.

- Mówisz o... broni? Chcesz uzbroić statek?

- Nie zdradzam wam wszystkich moich zamierzeń - odrzekła Ky. - Nawet tobie, Quincy. Nie dlatego, że wam nie ufam - choć nie do końca ufała nowym członkom załogi - ale im mniej ludzi zna moje plany, tym mniej może zostać zmuszonych do ich wyjawienia.

Z ich min wywnioskowała, że nie brali dotąd tej możliwości w ogóle pod uwagę.

- Myśli pani, że ktoś mógłby... porwać któreś z nas? I przydusić? - upewnił się Mirt.

- Istnieje taka możliwość - przyznała Ky. - Musimy liczyć się z taką ewentualnością Mitt. Skoro zaatakowali siedzibę korporacji na Slotter Key, zabili członków mojej rodziny i astronautów na stacjach, to porwanie nie jest tak mało prawdopodobne, chyba że będziemy przygotowani na taką możliwość. Dlatego właśnie zamierzamy przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Ci z was, którzy są wyposażeni w implanty, niech pozostają w stałej łączności.

Meldujcie statkowi, że wychodzicie... meldujcie wszystko o wszystkim.

- Ty nie masz implantu - zauważyła Quincy. - Czy aby nie nadszedł czas, żebyś zainstalowała sobie implant przesłany ci przez ojca?

- Nie minęło jeszcze sześć miesięcy - odparła Ky. - Ale celem pierwszej wyprawy poza statek będzie zakup najlepszego komunikatora na tej stacji. Od tej pory będę mieć go zawsze przy sobie, a poruszać będę się w towarzystwie załogi oraz - w zależności od tego, czego dowiem się w ciągu najbliższych godzin - wynajętej ochrony.

- Kapitanie, skoro nie ma już Transportu Vattów - przestał funkcjonować - to czy nie zamierza pani reaktywować firmy, względnie ogłosić niezależności? - zapytał Beeah.

- W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, Beeah. Zbyt mało wiem. Te ataki rozpoczęły wojnę. Nie wiem, kto jest naszym wrogiem, co wywołało napaść, jak silny jest przeciwnik, ani jakimi siłami nadal dysponujemy. Teraz najważniejszą sprawą jest przetrwać, zgromadzić dane, założyć bazę wypadową i zaplanować możliwe posunięcia.

- Powinnaś wrócić na Slotter Key - orzekła Quincy. - Rodzina cię potrzebuje.

- O ile mam jeszcze rodzinę - zauważyła Ky. Przez głowę przemknęły jej koszmarne obrazy; natychmiast przegnała je precz. - Zaatakowano biura, magazyny, fabryki, lotnisko i dom... gdzie jeszcze mogliby przebywać? Poza tym, udanie się na odcięte od świata Slotter Key nie jest najlepszym pomysłem. Zakładając, że jeszcze żyją, a firma nie upadła, to najbardziej potrzebują teraz kogoś, kto wciąż będzie handlował, udowadniając, że statki Vattów nadal potrafią bezpiecznie przewozić towar.

- Nikt z nami nie poleci, jeżeli nie będziemy mieli ubezpieczenia.

- Żaden z wielkich spedytorów, to prawda. Zawsze jednak znajdują się ludzie na tyle desperacko potrzebujący przewieźć towar z jednego miejsca w drugie, by podjąć pewne ryzyko.

Quincy wydeła wargi.

- Vattowie nigdy nie przewozili takich ładunków.

- Och, wręcz przeciwnie. Owszem, było to dawno temu, niemniej w historii rodziny znajdują się takie zapisy. Vattowie nie zawsze byli krystalicznie czysti - nikt nie był w pierwszych latach po Pęknięciu. Jednym słowem, naszym zadaniem na dziś jest handel i osiągnięcie zysku, ukrywając się i zachowując maksimum ostrożności.

- Nie widzę możliwości zachowania barw Vattów i ostrożności - stwierdził Mirt. -

Zgadzam się z Beeahem: czemu nie ogłosić niezależności i przerejestrować statek?

- Nie możemy. Jesteśmy powszechnie znani jako Vattowie - odrzekła Ky. - Jeśli do tego dojdzie, będziemy musieli uczynić to w jakimś porcie, gdzie przywiązanie do prawa jest jeszcze mniejsze niż na Lastway.

Patrzyli na nią w milczeniu.

Następne dwie godziny Ky spędziła na przeglądaniu listy zagrożeń, jaką sporządziła z Martinem podczas zbliżania się do stacji, kiedy i tak nie miała nic innego do roboty. Zbyt wiele pytań i faktów, których nie znała. Przypomniła sobie lekcje w Akademii. Żaden dowódca nigdy nie wiedział wszystkiego; w największe kłopoty popadali zwykle ci, którym wydawało się, że dysponują pełnią informacji. Dobrzy dowódcy opracowywali dobre plany - i plany awaryjne - w oparciu o to, co wiedzieli.

Bazgrała po czystej stronie dziennika. MISJA: jaką właściwie miała misję? W danej chwili nie wykonywała niczych rozkazów... pierwotne zadanie sprzedania statku na złom było w tym momencie z pewnością nieaktualne. Utrzymać się przy życiu. Utrzymać przy życiu załogę. Zachować statek w całości i pełnej sprawności. Odkryć, kto za tym stoi. Jakie były warunki zwycięstwa?

Kadetów wprowadzono w zagadnienia taktyki i strategii... lecz większość zajęć dotyczyła spraw, o których powinien wiedzieć młodszy oficer. Strategia była dla starszych, wyższych stopniem i - teoretycznie - mądrzejszych głów. Młodszy mieli za zadanie skutecznie wprowadzać w życie zamysły swoich przełożonych.

Ky pokręciła głową otrząsając się z nostalgii. Przygotowana, czy nie, była na miejscu.

Teraz ona dowodziła. Wszystko zależało od niej.

Nie było sensu stękać, że nie została odpowiednio przygotowana, czy o czymś nie wiedziała. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby jej udzielić rady.

Warunki zwycięstwa - pozostać żywym i wolnym - dotyczyły wszystkich. Żywi, wolni, ze statkiem. Żywi, wolni, ze statkiem i perspektywą zarobku. A potem zrobić coś dla ocalenia pozostałych przy życiu członków rodziny i - jeśli okaże się to możliwe - rodzinnego interesu.

Zemsta na sprawcach to kwestia późniejsza, niemniej przetrwanie było również uzależnione od dowiedzenia się, kto to był.

Oczywistym wyborem byli współnicy Paiona... jeśli taka była prawda, to wina spadała na nią. Gdyby nie zabiła Paiona, nie zaatakowałyby jej rodziny. Ale to nie miało sensu. Czemu piraci mieliby trwonić czas i pieniądze na napadanie na jej rodzinę, skoro wiedzieli, gdzie była ona? Czemu nie mieliby zabić tylko jej?

Nadszedł czas, aby dowiedzieć się, kto, a potem jak i dlaczego, pozostając przy życiu i z dala od rąk przeciwnika. Spojrzała na szafkę, w której przechowywała przesłany jej przez ojca implant Vattów. Zgodnie z opinią chirurga Mackensee było jeszcze zbyt wcześnie na jego instalację, teraz jednak przydałby się jej dostęp do bazy danych Vattów. Lecz jeszcze ważniejsze było ocalenie go przed wrogiem, o czym pomyślała dopiero teraz.

Gdy załoga zebrała się ponownie, zapytała wszystkich o ich ocenę zagrożeń.

Przeglądając wypisane przez nich listy zdała sobie sprawę, że sprawili się znacznie lepiej niż przed wydarzeniami na Sabinę. A jednak największym talentem do przewidywania sposobów, jakimi ktoś



mógłby wyrządzić im szkodę, popisał się Jim... Jego lista była najdłuższa.

Ky spojrzała na niego, kiedy już wszyscy skończyli.

- Skąd masz takie pomysły? - zapytała. Zrobił niewyraźną minę. - Nie gniewam się na ciebie. Zastanawiam się tylko, co jeszcze robiłeś, oprócz naprawiania silników okrętowych.

- Nie robię tego tutaj - wymamrotał. - Nie zrobiłbym niczego takiego na tym statku, kapitanie.

- Cieszę się, że tak mówisz i jesteś po naszej stronie. - Zerknęła na Alene. - Najpierw zamierzam dowiedzieć się, czy prawnicy, z którymi się skontaktowałam, sformułowali już jakąś opinię na temat ładunku dla Leonory, a potem ułożymy listę towarów dla Giełdy Wymiany. Martin skupi się na zagadnieniach bezpieczeństwa, więc będziesz musiała sama zająć się ładunkiem.

- Ceny są bardzo niestabilne, kapitanie - zameldowała Alene. - Ile czasu, pani zdaniem, potrwa odprawa celna?

- Mam nadzieję, że niecałą godzinę od zadokowania. Z pewnością do końca wachty. Jak tylko zaczniemy sprzedawać, zaraz zabieramy się za uzupełnianie zapasów. Podtrzymanie środowiska, paliwo wewnętrzne, zapasy ogólne. Pytanie, czy możemy wyładować towary do zabezpieczonego obszaru w doku bez pomocy z zewnątrz?

Alene pokręciła głową.

- Nie sądzę. Cargo Leonory jest spaletyzowane i zbyt ciężkie, by poradzić sobie bez wózka widłowego. Przypuszczam, że moglibyśmy go wynająć... obsługiwałam kiedyś taki. Ale kto jeszcze?

- Ja - zgłosił się Jim. - Przynajmniej... raz na takim pracowałem. - W przypadku Jima mogło to oznaczać, że raz widział, jak ktoś na nim pracował, pomyślała Ky, albo zjechał takim z nabrzeża prosto do wody, względnie faktycznie kierował nim i obyło się bez wypadku.

- Ile czasu zabierze opróżnienie ładowni jednym wózkiem?

- Z dodatkową pomocą przy przesuwaniu i układaniu ładunków, wyładunek palet na Leonorę zajmie nam jedną zmianę. Reszta... zna pani nasze problemy, kapitanie. Kilka dni.

- W takim razie oto, co zrobimy. Najpierw Martin zmontuje sieć czujników. W

międzyczasie wynajmę wózek i jak tylko skończymy z tym, bierzemy się za rozładunek palet. Chciałabym zminimalizować wystawienie personelu na... możliwe kłopoty. Im mniej ludzi z zewnątrz wejdzie na pokład, a my spędzimy mniej czasu na stacji, tym lepiej.

Przy podejściu okazało się, że Stacja Lastway wyglądała dokładnie na to, czym była: ogromną, skomplikowaną strukturą która rozrosła się daleko poza pierwotny projekt, by dostosować się do potrzeb mieszkańców i przyjezdnych. Spowita chmurami planeta pod nimi była prawie całkowicie niewidoczna. Dwa stulecia wcześniej rozpoczęto terraformowanie, korzystając z umiarkowanej sprzyjającej bazy; pakiet informacyjny, dostarczany przez stację wszystkim nowo przybyłym statkom

szczegółowo opisywał trwające procesy, lecz od detali biogeochemicznych przemian, Ky bardziej interesowały ceny kultur odświeżających system podtrzymywania środowiska oraz towarów, które pierwotnie były przeznaczone na Leonorę.

W czasie, gdy Lee dolatywał do kratownic doku, Ky przejrzała listę cumujących statków wraz z portami pochodzenia i docelowymi. Dowiedziała się, że jeszcze jedna jednostka została odesłana przez Leonorę, a służby prawne stacji uznały jej ładunek za niemożliwy do dostarczenia i gotowy na sprzedaż. Przynajmniej nie będzie musiała o to walczyć. Połączyła się z Martinem i zakomunikowała mu, że może bez przeszkód korzystać z cargo Leonory.

- Dziękuję, madame - odrzekł. - Szczęśliwym trafem te kontenery znajdują się pod ręką... to nie zajmie dużo czasu... - Nabrała podejrzeń, że zdążył już zabrać sobie z nich wszystko, czego potrzebował, lecz w tej chwili dalsze dociekanie nie miało sensu. Żaden z cumujących do stacji statków nie wyglądał na pirata gotowego wysadzić jej jednostkę w powietrze, lecz Paisona również nie postrzegala jako problemu, dopóki nie było za późno.

Musiała założyć, że niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie.

Potrzeby jej statku jak zwykle rozciągały się od rzeczy niezbędnych, jak kultury odświeżające do zbiorników środowiskowych, poprzez pożądane, jak lepszy skaner dalekiego zasięgu, po wymarzone, jak napęd wewnętrzukładowy, pozwalający im rozwinąć prędkość większą niż ślimak na rozpalonej skale. Całe szczęście, że nie wydała wszystkich pieniędzy na Belincie.

Lee gładko zacumował, a załoga stacji podłączyła przewody. Ky wynalazła sobie kilka drobnych zajęć, lecz kiedy uświadomiła sobie, że myśl o otwarciu włazu napawa ją niepokojem, natychmiast zmusiła się do zejścia do ładowni numer jeden i realizacji postanowienia. Martin zmaterializował się w luku i stanął przed nią akurat w chwili, gdy właz się unosił.

Kontrola Imigracyjna Lastway - jeden nieuzbrojony urzędnik i sześciu pod bronią -

czekała w doku - po ich minach sądząc, niezbyt cierpliwie. Temu bez broni z jednego ramienia wyrastały dwa przedramiona, a u nadgarstka drugiej ręki wiła się macka. Ky zdołała powstrzymać się przed zdumionym mruganiem - nie widziała jeszcze takiego człomodelu.

- Osiemset w gotówce lub wymienialnych dobrach wycenionych przez niezależnego rzeczoznawcę - przemówił człomodel. Macka rozwinęła się z gracją, a gniazda wejścia zabłysły.

- Dobro wymienialne - postanowiła Ky. Podała macce jeden z diamentów od ciotki Gracie.

- Przekazany do wyceny - uznał człomodel. Macka przeniosła diament do ręki, po czym odczepiła od paska torebkę z zamknięciem, wrzuciła tam kamień i zamknęła. - Zapewne chce pani otrzymać pokwitowanie.

- Oczekuję wyceny tutaj, w doku - odparła.

- Podejrzewa pani Kontrolę Imigracyjną Lastway o nieuczciwość? - Pytaniu towarzyszyło srogie skrzywienie się.

- Uważam, że diamenty zbyt łatwo jest podmienić lub pomylić z innymi diamentami - odrzekła.

- Zadzwoń. - Chwila ciszy, gdy człomodel łączył się przez interfejs; wreszcie skinął gwałtownie głową. - Tak. Nadchodzi jeden rzeczoznawca.

- Jesteś stąd? - zapytała Ky.

Człomodel znowu się skrzywił.

- Czemu o to pytasz?

- Bez urazy, ale twój akcent różni się od akcentu Kontroli Ruchu. Po prostu chciałam wiedzieć, który akcent występuje tutaj, by dostosować wymowę.

Oblicze urzędnika wygładziło się.

- Ach. Masz przestarzały model implantu, tak? Mój dostosowuje się samoczynnie. -

Może na wejściu, lecz na pewno nie na wyjściu. - Z Vastig jestem. Osiem lat minęło od opuszczenia zasmuconej rodziny. Znasz Vastig?

- Nie - przyznała Ky.

- Ale takie statki przylatują tam, z Transportu Vattów. Wiele statków Transport Vattów ma... albo miał. Ktoś lubi Vattów nie bardzo.

- To fakt - mruknęła Ky. - I nie wiem dlaczego... a ty?

- Ani ja. Inni snują przypuszczenia, tylko przypuszczenia. Na Vastig nie snujemy przypuszczeń. Mówimy prawdę. Lecz oto nadchodzi rzeczoznawca...

Ky rozejrzała się i dostrzegła mężczyznę w garniturze; gdy podszedł bliżej, zaczęła zastanawiać się, czy on również był człomodelem.

W jedno oko miał chyba wbudowane szkło powiększające o brzegach wrosniętych w skórę. Kiedy otworzył usta, by przemówić, ukazał ciemny, porośnięty futrem język.

- Licencjonowany rzeczoznawca Grill, do usług - powiedział wystarczająco zrozumiale, kłaniając się zarówno urzędnikowi Kontroli Imigracyjnej, jak i Ky. - Kryształ do wyceny, tak?

Urzędnik przekazał mu diament do ręki, która wyglądała zupełnie normalnie, a Grill włożył go do ust, by po dłuższej chwili wypluć na dłoń.

- Węgiel - obwieścił. - Zanieczyszczenia tak małe, że nieistotne dla wyceny. - Z oka wysunęło się

teleskopowe szkło powiększające. - Szlif... z Melique, doskonała struktura kryształu, skazy... minimalne. Wartość dla celów oficjalnych: 2443 kredyty. - Oddał go urzędnikowi Kontroli Imigracyjnej, który schował diament z powrotem do torebki. - Miłego dnia - dodał w przestrzeń pomiędzy nimi, obrócił się na pięcie i odszedł.

- Potwierdzenie 1643 kredytów zaliczki na opłaty i usługi portowe - oznajmił urzędnik, wręczając Ky zadrukowany pasek, który wysunął się z jego przedramienia. - Witamy na Lastway i życzymy miłego pobytu. - Po czym odszedł w otoczeniu eskorty.

Ky pokręciła głową i przemówiła do interkomu:

- Załatwione. Nie widzę wózka z podnośnikiem; skontaktuję się z firmą, a także z agencją ochrony.

- Kapitan powinien wrócić na statek - oznajmił Martin. - Chciałbym rozstawić siatkę zabezpieczeń. Będę potrzebował Jima, Beeaha i Mehar.

## ROZDZIAŁ 6

Zanim Ky zdążyła połączyć się z firmą wypożyczającą sprzęt, Martin zameldował jej, że wózek widłowy właśnie zajechał. Wraz z pomagierami zdążył już zainstalować wideoskanery, dzięki czemu Ky mogła obserwować zbliżającą się maszynę i wysłuchać rozmowy kierowcy z jej załogą.

- Przepraszam - zaczął operator wózka. - Musieliśmy otrzymać przepustkę z Imigracyjnego i sprawdzić wasze finanse. - Miał na sobie szary uniform z wyhaftowanym z przodu czerwonym napisem rental equipment.

Martin uniósł dłoń.

- Musimy sprawdzić maszynę.

- Świetnie. Mam płacone od godziny; nie spieszcie się. - Kierowca rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Martin użył lusterka na długiej rączce i innych narzędzi, by dokładnie sprawdzić wózek od góry, z dołu i po bokach.

- Teraz ty - powiedział. - Zsiadaj.

- Ja? Wypożyczacie sam wózek. Nie musicie sprawdzać mnie.

- Och, uważam, że musimy - odparł Martin. Mężczyzna wzruszył ramionami, zaczął

schodzić z wózka i nagle rzucił się na Mehar, błyskawicznym ruchem dobywając nóż z buta.

Zaatakowana zgrabnie odstąpiła na bok i wbiła mu koniec krótkiej pałki w brzuch. Owinął się wokół niej, upuszczając nóż. Mehar dała krok do tyłu; Martin doskoczył do napastnika, obrócił

go i zdzielił w szczękę.

- Dobra robota, Mehar - pochwalił ją. - Masz dryg do tego.

- Wolalabym nie mieć - mruknęła Mehar, zatykając pałkę z powrotem za pas.

- Beeah, Jim - obrzeża. - Napomnienie Martina skupiło uwagę pozostałej dwójki na terenie doków. Zafascynowana Ky patrzyła, jak szef jej ochrony zabezpiecza nóż napastnika, umieszczając go w plastikowej torbie, a następnie wiąże mu ręce i nogi taśmami ładunkowymi, tak samo, jak kiedyś Jimowi.

- Kapitanie...

- Tak - odezwała się Ky. - Wszystko widziałam.

- Powiedziała pani, że policja nie chciała zapewnić nam bezpieczeństwa. Myśli pani, że będą zainteresowani odebraniem od nas więźnia?

- Uważam, że najlepiej będzie ich zapytać - orzekła. - Skontaktuję się również z firmą wypożyczającą sprzęt.

- Proszę im zagrozić - poradził jej Martin. - Przysłali nam kogoś udającego operatora, albo zostali do tego zmuszeni.

Ky sprawdziła numery alarmowe i wywołała policję stacji, nazywaną tutaj Gardą.

- Co zrobiliście? - brzmiała reakcja dyżurnego. - Nie możecie ot, tak sobie, bić ludzi i ich wiązać.

- Członek mojej załogi został zaatakowany nożem.

- Macie świadków? Poza waszą załogą?

- Nagranie wideo - odparła Ky.

- Och. Cóż, pošlemy tam kogoś.

Do kogo powinna teraz zadzwonić? Zapewnienie większego bezpieczeństwa wokół ich statku wyglądało na ważniejszą kwestię od przepychanek z firmą wypożyczającą sprzęt. W

książce telefonicznej Lastway figurowało pięć agencji ochrony, lecz jedynie trzy miały licencję i ubezpieczenie: Baritom, Maxx i Padilla Protection. Nie miała pojęcia, którą wybrać.

Wiedziała już, że dowódcy stacji nie będzie wolno niczego jej zasugerować. Do kogo zwrócić się z prośbą o radę?

ISC. Dysponowali własną ochroną, lecz z pewnością korzystali z lokalnych firm i wiedzą, z kim należy rozmawiać w kwestii zapewnienia ochrony w dokach. Połączyła się z biurem na Lastway i poprosiła o rozmowę z dyrektorem.

- Kto dzwoni?

Pomyślała, że dla ISC nazwisko Vatta wciąż powinno mieć złotą kategorię.

- Kapitan Kylara Vatta - zaczęła - z...

- Vatta! - Po czym: - Chwileczkę...

Minęła niecała minuta, gdy opryskliwy, męski głos warknął na nią:

- Za kogo się pani uważa, za królową kosmosu? Myśli pani, że nie mamy nic lepszego do roboty od niańczenia bachora jakiegoś bogatego spekulanta?

- Słucham?!

- Wy, Vattowie, jesteście do cna zepsuci - ciągnął głos. - Nie mogła pani poczekać na swoją kolej, jak inni! Myślicie, że jesteście wyjątkowi. No cóż, tutaj, kapitanie Vatta, wszyscy jesteśmy takimi samymi obywatelami i nie wpychamy się przed innych. Proszę zająć swoje miejsce w kolejce i czekać na połączenie jak inni. - Połączenie zakończono.

Ky wpatrywała się w konsolę, jakby wyrosły jej zęby, po czym wybrała ten sam numer.

- Co? - odezwał się ten sam rozdrażniony głos.

- Nie zamierzałam wciskać się do żadnej kolejki - wyjaśniła. - Miałam pytanie.

- Nie jestem jakąś cholerną informacją - rzucił głos i ponownie zakończył rozmowę.

Ky wytłumaczyła sobie, że wszyscy w ISC muszą borykać się w tej chwili z potężnym stresem. Trudno było jej uwierzyć, że menedżer jakiegoś zapadłego biura mógłby mieć szczególne powody, by nie lubić Transportu Vattów, lecz najwyraźniej tak było i musiała się z tym pogodzić.

Kto jeszcze? Przejrzała książkę telefoniczną w poszukiwaniu znanych jej nazw. Ku jej niejakiemu zdziwieniu, na Stacji Lastway urzędowały trzy oddziały Hark! - znanego w całym sektorze dostawcy wyrobów cukierniczych: „Oryginalny Hark!, od siedemnastu lat w tym samym miejscu... „„Hark! #2, blisko centrum finansowego” oraz „Hark! Light: ten sam smak, mniej nadzienia”. Wątpiła, żeby znali się na firmach ochroniarskich. Gildia Kapitańska?

Zadzwoiła do nich.

- Przykro mi, lecz linia kredytowa Vattów została u nas zamknięta - powitał ją recepcjonista, gdy tylko się przedstawiła. - Wszelkie usługi mogą być świadczone jedynie po dokonaniu zapłaty gotówkowej.

- Nie zamierzam u was nocować - powiedziała Ky. - Mam jedno pytanie.

- Pytanie? - zabrzmiało to, jakby nigdy nie słyszał o możliwości zapytania kogoś o cokolwiek. - O co

chodzi?

- Którą z agencji ochrony na stacji mógłby pan polecić?

- Lista firm znajduje się w książce telefonicznej.

- Wiem o tym, lecz widnieją tam jedynie trzy licencjonowane firmy. Czyje usługi inni kapitanowie uznali za odpowiednio solidne?

- Obawiam się, że w tych okolicznościach nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za udzielenie jakiegokolwiek rekomendacji. Jeśli życzyłaby sobie pani, żebym polecił jej restaurację...

- Och, świetnie - rzuciła Ky. Recepcjonista kontynuował, opacznie rozumiejąc jej słowa.

- Bardzo miło jest „U Juliana” - hodują własne warzywa, mają też uprawnik bardzo smacznej wołowiny syntetycznej. Jeśli woli pani owoce morza, polecam „Rybne Niebo”. Same tutejsze produkty...

- Dziękuję - przerwała mu Ky. - To bardzo miło z pana strony. Nie sędzę, żeby wiedział pan, gdzie mogłabym nabyć artylerię?

- Artylerię? - pisnął recepcjonista. - Ma pani na myśli... eee... broń?

- Dokładnie - przytaknęła Ky. Niewielka nadzieja, lecz przestraszenie go wyglądało na jedyną zabawę, na jaką może tutaj liczyć.

- Cóż... na Piaście Cztery jest zawsze otwarty MilMartExchange.

- Dziękuję - powtórzyła Ky. - Czy znajdują się w książce telefonicznej?

- Tak, kapitanie. Pod ciężki sprzęt nowy i używany.

- Był pan bardzo pomocny - stwierdziła Ky, odzyskując humor. „Ciężki sprzęt nowy i używany”, co? Czyżby dlatego na Sabinę byli tacy podejrzliwi, kiedy wpisała do listu przewozowego „sprzęt rolniczy”?

Ponownie zajrzała do spisu numerów, wzruszyła ramionami i zadzwoniła do Usług Ochroniarskich Baritom, ponieważ byli pierwsi na liście. Czekala na zgłoszenie wystarczająco długo, żeby zdążyć się zirytować; w końcu zgłosił się starszy przedstawiciel.

- Rozumie pani, że w chwili obecnej do zleceń ze strony Vattów podchodzimy w specjalny sposób... macie zamrożone konta...

- Dobra wymienialne - oznajmiła Ky. - Akceptowane przez Kontrolę Imigracyjną.

- Och. Cóż... ryzyko...

- Mogłabym rozważyć zrzeczenie się roszczeń za zdarzenia niezawinione przez waszych pracowników - zaproponowała Ky. - Potrzebujemy ochrony doku oraz eskorty osobistej.

- Obawiam się, że będziemy zmuszeni zażądać dopłaty za zwiększone ryzyko.

- W obliczu dopłaty moja chęć zrzeczenia się potencjalnych roszczeń maleje - ostrzegła Ky.

- Dopłata. Doki... to minimum sześć osób, po dwóch na każdej wachcie. Opłata za eskortę zależy od wachty. Na kiedy chciałyby ich pani otrzymać?

- Jak najszybciej - odparła Ky. - W tej chwili nie jestem pewna, na jak długo.

- W porządku. Nasza ekipa może zjawić się w dokach za... piętnaście minut. Eskorta zostanie wysłana na pani sygnał... Czy będzie pani potrzebować jej podczas tej wachty?

Ky spojrzała na chronometr, ustawiony na standardowy czas Stacji Lastway. Wachta skończy się za pół godziny, a następna to środek dnia. Nie wyjdzie stąd do tego czasu.

- Nie, nie teraz - odrzekła. - Dam wam znać.

Policji wciąż nie było. Ky odnalazła ogłoszenie MilMartExchange i dowiedziała się, że zajmowali prawie połowę przepastnych magazynów Piasty Cztery. „Nadwyżki nowego i używanego ciężkiego sprzętu bojowego: nie udzielamy kredytów” - głosił podtytuł. Bardziej szczegółowe informacje można było uzyskać wyłącznie podczas osobistej wizyty, niemniej mogła wystąpić o przyznanie numeru identyfikacyjnego klienta, co - według tekstu na stronie -

„ułatwi wejście do budynku nowym klientom. Dyskrecja zapewniona. Zaleca się przestrzeganie procedury”. Ky zawahała się, ale postanowiła się zarejestrować - zainteresowani wiedzieli już, że cumowała tutaj; zdradzała to powszechnie dostępna lista dokujących jednostek. Ku jej zdziwieniu, „podanie” składało się wyłącznie z prośby o numer; nie musiała nawet podawać imienia ani nazwiska.

Zapamiętała podany jej numer - piętnaście cyfr - po czym weszła na podstronę BRON, gdzie znalazła sześć różnych sklepów, od „Noże i Pistolety Berniego” - „tania i niezawodna ochrona osobista” - po „Ostrze, Pocisk i Łuk” - „ostrza, broń palna i łucznicza dla prześladowanych”. Poszukała ARTYLERII i znalazła wskazówkę „patrz: ciężki sprzęt” oraz notatkę, że Lastway nie ponosi odpowiedzialności za status prawny statków, montujących sobie ciężkie uzbrojenie - kapitanowie powinni sprawdzić to we własnym zakresie.

Obawy Sabinę wyglądały na nieco bardziej uzasadnione. Zaś panujące na Stacji Lastway przepisy odnośnie broni osobistej były stanowczo mniej restrykcyjne, niż na większości innych stacji orbitalnych. Ky przyjrzała się kręcącym się po dokach ludziom i zauważyła, że większość z nich była uzbrojona. Pozostali prawdopodobnie ukrywali broń.

Spis zawierał wielu dostawców systemów bezpieczeństwa, w tym większość znanych jej wcześniej źródeł broni. Najbliżej znajdowała się „Precyzyjna Ochrona Vica” - w tym samym sektorze tej samej piasty. Miała listę życzeń Martina odnośnie gadżetów i oprogramowania. Nie, najpierw musi zająć



się zapewnieniem funduszy.

Wszystkie większe banki działające w ich kwadrancie miały tutaj swoje przedstawicielstwa; wybrała Crown & Spears. Ich przedstawiciel przeprosił za niedogodność, lecz do czasu wyjaśnienia sytuacji musieli zamrozić konta firmowe Transportu Vattów. Ky spodziewała się tego.

- Czy kilka tygodni temu otrzymaliście przelew z Belinty? Na moje prywatne konto, nie firmowe.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie widzę u nas takiego wpływu. Stan pani konta, według danych z ansibla, jest faktycznie co najmniej zadowolający, niemniej środki te nie są obecnie dostępne ze względu na awarię ansibli finansowych. W obliczu kryzysu, jaki ma miejsce, nie możemy wypłacić pieniędzy z góry, bazując na stanie kont w innych systemach planetarnych.

- W porządku. W takim razie chciałabym otworzyć nowe konto - oznajmiła. -

Sprzedajemy tutaj ładunek i dokonam paru zakupów.

- Będziemy potrzebować gotówki lub dóbr wymienialnych - stwierdził przedstawiciel banku.

- Oczywiście - odparła Ky. - Prześlę wam kurierem równowartość około czterech tysięcy kredytów według szacunkowych wycen Imigracyjnego...

Uśmiech na ekranie stał się bardziej naturalny.

- Znakomicie, kapitanie. Ich wyceny są często... że tak powiem, niższe od tego, co możemy dać. Wspomniała pani także, że dysponuje cargo?

- Owszem. Właśnie je rozładujemy; mojemu głównemu ładowaczowi nie zabierze to zbyt wiele czasu.

- Wyśmienicie. Czy będzie to firmowe konto Transportu Vattów, czy może konto osobiste?

- Osobiste - odrzekła Ky.

- Bardzo dobrze. Wobec tego oczekujemy kuriera. Pieniądze będą dostępne natychmiast po zweryfikowaniu wyceny.

Ky zdążyła zakończyć połączenie, gdy zadzwonił do niej Martin.

- Jest tutaj Garda - zameldował. - Ich oficer chciałby z panią porozmawiać.

- Zaraz przyjdę. Usługi Ochroniarskie Baritom zaraz podeślą nam ludzi do pomocy w ochronie dokują zaś będą potrzebowała kuriera do Crown & Spears, żeby otworzyć tam konto.

Doradzałbyś zwykłego kuriera, czy kolejnego agenta Baritomu?

- Żadnego - odparł Martin. - Kiedy Baritom przejmie ochronę doku, sam odprowadzę panią, albo

członka załogi.

Oficer Gardy podał jej płytkę oświadczenia.

- Proszę o podpis tutaj, proszę pani. Niniejszym zostaje pani poinformowana o pani statusie prawnym na naszej stacji, jak również o swoich prawach i obowiązkach... - Ky odczytała oświadczenie i podpisała się. Następnie przekazała mu infokostkę z nagraniem napaści fałszywego operatora. Skinął głową. - Będziemy w kontakcie - powiedział. Jeden z jego towarzyszy zdjął z więźnia taśmy ładunkowe i skuł go kajdankami, po czym odeszli wraz z nim.

- Przygotowałem listę rzeczy, których potrzebujemy do uzupełnienia naszych zabezpieczeń - oznajmił Martin.

- Niedaleko stąd, w tej samej piaście mieści się dostawca - powiedziała Ky. - Jak już załatwię konto bankowe... a przy okazji, nie skontaktowałam się jeszcze z wypożyczalnią sprzętu. Czy mimo to możemy zacząć rozładunek?

- Tak jest, madame. Jim przekonał mnie, że naprawdę potrafi kierować podnośnikiem -

w oczekiwaniu na Gardę kazałem mu zrobić kółeczko. - Urwał. - A otóż i Baritom.

Ky zerknęła w stronę bramy do doków i ujrzała czekających przy wejściu dwóch umundurowanych ludzi. Ruszyła w ich stronę, lecz Martin zatrzymał ją.

- To moje zadanie - stwierdził. - Gdyby mogła pani przynieść wszystko, co potrzebne dla otwarcia konta... i zalecałbym Mirta jako kuriera. Zupełnie pani nie przypomina.

Zanim Ky wróciła, Martin ustawił strażników z Baritomu przy wejściu do doku i rozkazał Alene otworzyć najbliższy luk. Beeah i Mehar patrolowali dok. Jim nadjeżdżał od strony ładowni z pierwszą partią kontenerów. Mitt z poważną miną wziął od niej paczuszkę z dwoma diamentami i wsadził ją do wewnętrznej kieszeni tuniki.

Wkrótce miała otwarte konto z wpłaconymi 5876 kredytami oraz chip kredytowy Crown & Spears z kodem autoryzacyjnym. Dysponując tym, bez trudu otrzymała z

„Precyzyjnej Ochrony Vica” dostawę czujników za 648 kredytów. Ich przybycie zbiegło się z powrotem Martina i Mirta z banku; Martin natychmiast zabrał się za ich rozmieszczanie.

\* \* \*

Rozładunek trwał. Przeglądając listy handlowe stwierdziła, że na przeznaczone na Leonorę komponenty farmaceutyczne powinna bez trudu znaleźć nabywcę i to po cenie korzystniejszej, niż uzyskałaby w porcie przeznaczenia. Teraz, mając konto bankowe, mogła zgłosić ładunek na giełdę. Już spływały pierwsze oferty. Przekazała je Alene. Sama skupiła się na tym, czego potrzebowali dla zapewnienia bezpieczeństwa statkowi i załodze w porcie.

Każdym porcie. Napaści na Belincie dokonano, wykorzystując zarówno broń palną jak i truciznę

dotykową. Będą potrzebować broni, pancerzy i antidotum na takie trucizny - o ile istniały.

Najtrudniejsze będzie dotarcie do sprzedawców broni osobistej, zanim ktoś ją dopadnie.

Uda się tam w towarzystwie Martina, ale czy to wystarczy? Gdyby nie miała na sobie barw Vattów i była uzbrojona... kto jeszcze z jej załogi umiał posługiwać się bronią? Zapytała Martina.

Oczywiście, Mehar była ekspercką w używaniu pistoletu. Okazało się, że strzelała również z igłowców. Jim z zakłopotaniem przyznał, że posługiwał się różnymi rodzajami broni.

- U ujścia rzeki, gdzie była nasza farma, grasowali bandyci. No to się trochę przyuczyłem... a mój ojciec polował, chociaż nie podobało się to dziadkom.

- Wobec tego czym posługujesz się najlepiej?

- Kulomiotami. Nie mieliśmy ogłuszaczy, igłowców, ani innych zabawek astronautów.

Tatulo powiadał, że jak się w czymś zrobi odpowiednio dużą dziurę, to na pewno będzie martwe. W naszych lasach żyło takie porośnięte łuskami bydło, wielkie jak krowa...

- Kulomioty... ręczne czy długolufowe?

- I takie, i takie, kapitanie. Ale naprawdę to mi się podobało strzelanie z burmistrzowego automatu Schneider-Watson kaliber 44. Robił mnóstwo hałasu, ale można tym było podziurawić te małe łodzie pirackie. Albo dajcie mi karabin, taki jak tatula...

- A jak tam z celnością? - zapytała Ky.

- Całkiem niezłe - odparł z niezwykłą dla siebie skromnością. - Tatulo był mistrzem z każdej odległości, ale i ja zająłem pierwsze miejsce w zawodach lokalnej milicji.

- Milicja? Służyłeś w milicji?

Poczerwieniał.

- No cóż... po prawdzie... niezbyt długo. Widzi pani, oni nie lubili mojej rodziny i kiedy odkryli, że ustrzeliłem błotną świnię - dokładnie, trzy świnki - z milicyjnej broni, wykorzystali to jako pretekst, żeby mnie wykopać. Nie rozumiem, co w tym było takiego złego.

Zamierzałem oddać im pociski, a karabin przed zdaniem wyczyściłem.

Ky zagryzła wargi. Nie powinna się śmiać, ale zaczynała domyślać się, z jakiej rodziny pochodził Jim. Na Corleigh mieli paru takich - między innymi starego George'a - którzy, jak ujmował to jej ojciec, nigdy nie przenieśli się do miasta z pogranicza, nawet gdy pogranicze zostało już ucywilizowane. „Zawsze lepiej mieć ich po swojej stronie” - mówił jej. Ich umiejętności nie przydawały się zbyt często, lecz jeśli już do tego dochodziło, nikt inny nie mógłby ich zastąpić. A teraz miała własnego „leśnego szczura” i powinna uczynić z niego jak najlepszy użytek.

Zawołała Martina, żeby przejrzał katalogi różnych sklepów. Jego oblicze wiele wyrażało - nie potrzebowała komentarzy, żeby uznać, że zgadza się z jej opinią, iż „Noże i Pistolety Berniego” odstawały od peletonu, tak samo zresztą jak „Arms4U”. Wydawało mu się, że klub strzelecki mógłby mieć do zaoferowania coś dla załogi, ale zauważyła, iż lista dostępnej broni nie była uaktualniana od kilku tygodni. „Ostrze, Pocisk i Łuk” miało w ofercie najlepszej jakości broń oraz odpowiadające temu ceny, podobnie jak Terrifield na Slotter Key.

Osobista broń jej ojca zawsze pochodziła z Terrifield. Była tam z nim tylko raz i do dziś pamiętała cichy sklepik ze słowiańskim, zielonym dywanem i staromodnymi gablotami, w których wystawiono antyczny oręż; a także klientów i personel, komunikujących się ze sobą za pomocą ciągów tajemniczych liczb. „Szukam PI400 z adapterem 21 - 37” - usłyszała jednego z klientów. Ekspedient zniknął za zasłoną - kuloodporną, jak zaznaczył później ojciec - by po chwili powrócić z płaską, szarą skrzyneczką. Ojciec klepnął ją w ramię, co znaczyło „nieładnie tak się gapić”, po czym złożył własne numeryczne zamówienie, które zmaterializowało się na kontuarze w szarozielonym pudełku. Dopiero po wielu latach zrozumiała, co oznaczały tamte numery i jaka była różnica w jakości pomiędzy tamtejszą bronią a tą kupowaną w „Artykułach Sportowych Connery’ego” w Corleigh, które oprócz numerów, miały także nazwy: Hotshot 2100, Blastem - w atrakcyjnych kolorach - czy Matchmaker. Otrząsnęła się ze wspomnień i lęku, że jej tata mógł nie żyć. Musiała mieć nadzieję, że tak nie było.

Jako ulubiony sklep przedstawicieli prawa, „Crash” powinien mieć szeroki wybór niezłej jakości towaru, lecz Martin zgłosił sprzeciw.

- Ma powiązania ze stróżami porządku; na pewno mają tam wtyczkę. To nie najlepszy pomysł, dopóki nie dowiemy się więcej o tutejszej sytuacji. „Ostrza” są dobrym wyborem, o ile stać panią na broń stamtąd. Słyszałem pozytywne opinie od ludzi, którzy tam byli.

Z ich doku w Piaście Dwa można było dotrzeć do Piasty Cztery z jej licznymi sklepami z bronią zewnętrznym promem lub wewnętrznym tramwajem z przesiadkami. Do „Ostrza, Pocisku i Łuku”, choć znajdował się w Piaście Trzy, było dość blisko tramwajem, poza tym, sklep znajdował się na drodze do Piasty Cztery, gdzie planowała odwiedzić MilMart Exchange.

Jedna wyprawa powinna być bezpieczniejsza od kilku. Martin doradził jej, by oprócz niego towarzyszyli jej Jim i Beeah.

- Chłopak wygląda na ćwokowatego turystę - stwierdził - co odwróci od nas uwagę, a poza tym, potrzeba mu lepszych wyjściowych ubrań.

Stacja Lastway była tak kolorowa i ruchliwa, jak Stacja Belinta cicha i szara. Pomimo niebezpieczeństwa, Ky uradował widok spieszących się przechodniów, jaskrawych witryn sklepowych, egzotycznych zapachów, wejść do doków z innymi statkami, znajomych i nieznanych jej logo. Miała ochotę urwać się i pozwiedzać, niczym oszołomiona zgiełkiem uczennica na pierwszej wycieczce na inne światy, lecz zmusiła się do spokojnego kroku i powstrzymała przed gapieniem się dookoła i pokazywaniem palcem, jak czynił to Jim.

Bez przeszkód dotarli do międzypiaستowego tramwaju. Martin pokazał Jimowi ubranie wyjściowe,

które powinien sobie możliwie jak najszybciej zakupić: proste, ciemne, odpowiednie na różne okazje. Ky była ciekawa, czy Jim w ogóle zwrócił na nie uwagę - miał

takie wytrzeszczone oczy. Sam tramwaj nie różnił się od tego typu pojazdów na innych stacjach: kupili bilety pięciodniowe i wsiedli do hermetycznego wagonu. Znajdował się w nim tylko jeden pasażer - młoda dziewczyna ze szkolną torbą. Siedziała wciśnięta w kąt, wpatrując się w ręczny czytelnik.

Tramwaj ruszył z przystanku i pognał łączącą Piasty przezroczystą rurą. Ky wykręciła szyję, próbując objąć wzrokiem całą stację, lecz okazało się to niemożliwe. Widok zasłaniały Ramiona Piasty Dwa i Trzy. Planeta znalazła się pod nieprzejrzystą podłogą wagonu.

Przewróciło się jej w żołądku, gdy tramwajem szarpnęło pomiędzy polami grawitacyjnymi Piast, po czym syntetyczny głos oznajmił: „Zbliżamy się do stacji Piasta Trzy. Pasażerowie do Piasty Trzy mogą przesiąść się na tramwaje radialne. Zbliżamy się do stacji Piasta Trzy.

Pasażerowie do Piasty Trzy... „. Uczennica nawet nie podniosła głowy, gdy Ky i jej załoga wstali.

Piasta Trzy, gdzie przybijały pasażerskie liniowce, szczyciła się bardziej szykownym przystankiem. Podłogi i ściany pokrywały tłumiące hałas płytki w ładnych odcieniach błękitu, beżu i zieleni. Zamiast automatów z biletami postawiono tutaj budkę z żywym bileterem w okienku. Ky zdążyła wypatrzeć położenie sklepu - niecałe sto metrów od przystanku - więc skręciła w prawo i znalazła się w pasażu z ewidentnie drogimi sklepami po obu stronach.

Za pasmanterią, jubilerem, wystawą z chińską porcelaną i kryształami oraz drugą, z trzema srebrnymi tacami na tle aksamitu, odnalazła witryny „Ostrza, Pocisku i Łuku” z opartą o wysokie czarne buty i kapelusik z piórkami parą mieczy po prawej stronie, i wachlarzem strzał, rozłożonych wokół wygiętego łuku, po lewej. W drzwiach nie było klamki, tylko przycisk.

Pchnęła je.

Drzwi otworzyły się i stanęła twarzą w twarz z gładko ogolonym, szczupłym mężczyzną w średnim wieku, ubranym w szary garnitur równie prosty, jak jej ubranie i równie dobrze uszyty. W zapewniającej dyskrecję odległości za jego plecami stał drugi mężczyzna -

była pewna, że uzbrojony.

- W czym mogę pomóc? - zapytał człowiek w garniturze. Gdy mówił, prześlizgnął się wzrokiem po Martinie, Beeahu i Jimie, by zaraz powrócić do jej twarzy.

- Chciałabym kupić broń osobistą - oznajmiła Ky.

- Bez urazy, lecz jeśli jest pani na tej stacji po raz pierwszy, to może nie wiedzieć, iż są tutaj tańsze sklepy...

- Lecz, jak przypuszczam, nie oferują lepszej jakości - odparła z uśmiechem Ky.

- Nie, proszę pani. Czy zechciałaby pani wejść do środka? Jestem Andrew Barris. -

Przedstawił się tak, jakby to nazwisko powinno być jej znane.

- Dziękuję - odparła. - Czy moja eskorta może również wejść do środka?

Ponownie spojrzął poza nią.

- Czy będzie pani czuć się wystarczająco bezpiecznie tylko z jednym strażnikiem?

- Oczywiście. - Odwróciła się. - Martin, dwóch z was może poczekać na zewnątrz.

- Beeah, Jim, trzymajcie się blisko sklepu - zarządził Martin.

Ky uśmiechnęła się ponownie do sprzedawcy.

- Zapewne chce upewnić się pan, czy nie jest uzbrojony.

Jego uśmiech poszerzył się.

- Jest pani bardzo przewidująca. Ardin, procedura.

Martin uniósł brew.

- Standardowa broń 11 milimetrów w naramiennym olstrze. Zakładam, iż wolałby pan, żebym po niego nie sięgnął?

- Czy to wszystko?

- Jeśli chodzi o broń palną - tak.

- Czy mógłby pan zdjąć uprząż z kaburą?

- Z przyjemnością. - Martin ściągnął tunikę i strząsnął z siebie paski. Pracownik sklepu odebrał ostrożnie uprząż, nie dotykając broni Martina, i położył ją na kontuarze, po czym sprawdził go ręcznym skanerem.

Skinął pracodawcy, który z kolei skłonił się Ky.

- Czym możemy pani służyć? - padło następne pytanie.

- Zastanawiam się nad Rossi-Smith, 10 lub 11 milimetrów z amunicją dozwoloną na tej stacji. Rozpryskową? Przebijającą?

Oczy mężczyzny rozszerzyły się lekko.

- To dla pani, czy dla... eee... pani strażnika?

- Dla mnie - odrzekła z uśmiechem. - Oczekiwałam, że trafiona przeze mnie osoba pozostanie dłuższą chwilę na ziemi.

Spojrzał na nią, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz nie uczynił tego od razu.

Wreszcie odezwał się miłym głosem.

- Dysponujemy sporym asortymentem broni o tym kalibrze. W tej chwili mamy w sklepie trzy egzemplarze dziesięciomilimetrowego Rossi-Smith. Dwa są zmodyfikowane, z czego jeden ze złotą różyczką i kwiatowym rzeźbieniem na rękojeści. Z pewnością chciałaby pani go obejrzeć...

- Poproszę zwyczajny - powiedziała. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Proszę zaczekać - mruknął w końcu. - Czy mógłbym otrzymać pani dane kredytowe?

- Płacę gotówką - odparła. Nie chciała, żeby jakiś kapuś w banku dowiedział się, jaką bronią dysponowała. Brwi sprzedawcy uniosły się, a wargi zacisnęły. - Czy byłby pan tak uprzejmy i uruchomił znakomite zabezpieczenie sklepu, jakie niewątpliwie tu posiada?

Wówczas z przyjemnością wszystko panu wyjaśnię. - Kiwnął głową z zaciśniętymi ustami, po czym wduśił jakiś guzik i wyciągnął spod lady znany Ky przysadzisty cylinder.

- Otoczenie sklepu jest obecnie osłonięte przed większością typów skanerów - oznajmił.

- To urządzenie zapewnia ekran akustyczny; okna są dźwiękoszczelne. Czy jest pani zadowolona?

- Dziękuję. Nazywam się Kylara Vatta. - Skinęła głową, widząc drgnięcie ust. - Tak, z tych Vattów. Jak pan z pewnością wie, moja rodzina jest atakowana. Byłam w podróży, kiedy zaczęły się kłopoty i nie wiem więcej, niż podają w wiadomościach. Zostałam powiadomiona, iż tutejsza stacja uznaje konta Vattów za pozbawione pokrycia i wymaga gotówki; zakładam, że pan również tak postąpi. Jeśli pana znieważałam, proszę przyjąć moje przeprosiny.

Oblicze mu złagodniało.

- Moja droga... pani... rozumiem doskonale. Jeśli lokalne instytucje zamroziły konta Vattów, to ma pani rację. Przykro mi to mówić, ale ze względu na nasze oddalenie od zamieszkałego przez ludzi centrum kosmosu nie możemy oferować kredytu w obliczu zablokowania lokalnych kont. Z przyjemnością przyjmiemy jednak barter, jeśli nie ma pani dostępu do gotówki.

- Sprzedaję tutaj ładunek - odparła Ky. - Otworzyłam osobne konto. Wkrótce uzyskam dostęp do funduszy. Jednakże, oprócz zakupienia u pana broni, chciałabym poprosić o radę w dwóch kwestiach. Po pierwsze, mam trochę... eee... rodzinnych kosztowności, które mogłabym sprzedać, nie mam jednak pojęcia, kto zaoferowałby mi uczciwą cenę. Jak dotąd, musiałam polegać na rzeczoznawcach Kontroli Imigracyjnej.

- Rozumiem pani zatroskanie. Jeśli chodzi o kosztowności... zależy to od ich charakteru. Przedmioty o wartości historycznej, cenne materiały?

- Materiały - potwierdziła Ky.

Zerknął na jej teczkę.

- Maje pani może ze sobą?

- Część - odrzekła. Sięgnęła do sakiewki i wydobyła z niej diament. - Na przykład to.

Skinął głową, nie okazując większych emocji.

- Całkiem ładny - powiedział, jak gdyby klienci codziennie kładli mu diamenty na ladzie. Może nawet tak było. - Możemy zorganizować błyskawiczną wycenę; korzystamy z usług licencjonowanej firmy z certyfikatem zgodności z konwencją międzygwiazdną. Czy to wystarczy? Zostałem już przekonany, że posiadane przez panią przedmioty mają wystarczającą wartość, by pokryć dowolne zakupy w moim sklepie.

- Owszem - stwierdziła Ky.

Otworzył szufladę i na poduszce przed nią położył Rossi-Smitha. Podniosła broń.

Doskonale zwyczajna, z uchwytem z czegoś ciemnego...

- Drewno? - zapytała. Było organiczne w dotyku, lecz niezbyt przypominało drewno.

- Nie, proszę pani. To kiel krwiożercy z Xeriona. Ma tę samą właściwość, co kość słoniowa ze Starej Ziemi: zapewnia pewny chwyt, nawet jeśli komuś spoci się ręka, charakteryzuje się jednak znacznie lepszą odpornością na uderzenia. Proszę zauważyć, iż jest to klasyczny model 1701, a nie nowszy 1900...

- Który ma tendencje do zacinania się przy ogniu ciągłym - dokończyła Ky.

- Dokładnie - potwierdził z uśmiechem. - Czy zechciałaby go pani wypróbować?

- Z chęcią - przytaknęła Ky. Weszła za nim za zasłonę i wąskim korytarzykiem dotarła do dwuosobowej strzelnicy. Tam podał jej nauszniaki, gogle oraz pociski do strzelania ćwiczebnego. Załadowała, wycelowała i strzeliła. Spust chodził odpowiednio ciężko, a odrzut był minimalny. Trzy pierwsze strzały ułożyły się w linię od lewej do prawej, przez sam środek tarczy.

- Do licha - mruknęła łagodnie. - Za dużo czasu minęło.

- Nieźle - pochwalił. - Ale pospieszyła się pani.

Spróbowała ponownie, tym razem pamiętając o wszystkich sztuczkach, jakich nauczył

ją ojciec i trafienia ułożyły się w ciasny zbitek.

- Znacznie lepiej - uznał, jakby był instruktorem, prawdopodobnie czuł się nim. - Jest pani świadoma



trudności z trafieniem w cel w zmiennej grawitacji?

Uczyli ją o tym na Akademii; pamiętała frustrację, jaką przeżyła podczas wycieczki na uczelnianą, orbitalną stację treningową.

- Och, tak - przytaknęła, być może zbyt pośpiesznie. - Na szczęście, nie zamierzam strzelać do nikogo, kto najpierw nie będzie strzelał do mnie... - Wzięła następny magazynek z pociskami, przeładowała i umieściła wszystkie w dwukrotnie mniejszym obszarze niż poprzednie.

- Bardzo dobrze, proszę pani. Obowiązujące na stacji przepisy ograniczają dozwoloną amunicję do rozpryskowej oraz chemicznych obojędniczy, zakazując... eee... używania pocisków przebijających. Oczywiście, kule muszą mieć prędkość na tyle małą by nie uszkodzić stacji. Do tego modelu sugeruję zalecane przez Rossi pociski rozpryskowe PF oraz CPF z kapsułkami z dopuszczonym przez prawo, najnowszym związkami o działaniu obojędnicząco-znakującym. Rozprysk jest ograniczony do kropelek w promieniu metra od miejsca trafienia, co minimalizuje ryzyko narażenia na działanie środka osób trzecich.

- Czy zarząd stacji ma jakieś preferencje?

- Niektórzy kryminaliści noszą kamizelki ochronne, które, rzecz jasna, ograniczają skuteczność pocisków rozpryskowych...

- Pancierz osobisty - podchwyciła Ky. - O to również chciałam zapytać.

- Mamy pełny wybór sprzętu ochronnego w różnych rozmiarach i cenach.

- Rzucę na nie okiem - postanowiła. - I, owszem, wezmę ten pistolet. - Jak poważnych kłopotów oczekiwała? - Jak również dwa magazynki, a także po pięć PF i CPF.

- Może także kaburę i pozwolenie na noszenie broni? Zapewniam panią, że podstawowe sprawdzenie jest szybkie i dyskretne. Jeśli pani eskorta nie ma jeszcze takowej licencji, zalecałbym również nabycie jednego egzemplarza dla eskorty.

Nie nosiła przy sobie broni, z wyjątkiem wypadów do lasu wokół domu, gdzie wystarczała kabura na biodrze.

- Zastanowię się - obiecała z uśmiechem, sięgając po kolejny magazynek.

Rachunek narastał. Broń, amunicja, olstro, zestaw do czyszczenia - „Niestety, szanowna pani, nie wymyślono jeszcze broni samoczyszczącej się” - pozwolenie na noszenie broni oraz kamizelka kuloodporna. Najwyższej jakości pancierz na tors był tak cienki i elastyczny, iż z trudem przychodziło jej uwierzyć, że na coś się przyda. Barris założył go na manekin na sprężynującej podstawie, który zakołysał się pod jego dotykiem, po czym oddalił

się i strzelił do niego. Manekin lekko zadrżał, pancierz na nim zeszytniał i zmienił kolor, a jasny ręcznik, który sprzedawca zawiesił mu za plecami, bardziej niż lekko zbrązowiał.

- Ukierunkowane oddawanie ciepła, proszę pani. Bardzo redukuje impet uderzenia, chroniąc jednocześnie przed penetracją. Dopiero od niedawna dopuszczony do sprzedaży cywilom, choć na czarnym rynku bez wątplenia dostępny od kilku lat. Nie, żebym powierzył

temu własne życie. - Jego mina przypomniała Ky pyszczek kota, który wdepnął w jakąś nieczystość.

Przymierzyła polecany pancerz w jej rozmiarze - nie był cięższy od wełnianej marynarki, a zdumiewająco wygodny. Niewidoczny pod biznesowym kostiumem.

- Oczywiście, doświadczony zabójca będzie mierzył w głowę - dodał przeproszającym tonem Barris.  
- Nie możemy zapewnić jej niewidzialnej ochrony, co zapewne jest pani życzeniem.

- Wolalabym nie wzbudzać podejrzeń - zgodziła się Ky.

- Moglibyśmy także zaproponować pancerze dla pani obstawy po bardzo konkurencyjnych cenach. - W domyśle: przecież zysk z pani zakupów pokrył nam już koszty ich magazynowania. Ky spojrzała na niego jak kupiec na kupca. Uśmiechnął się.

Odpowiedziała uśmiechem. No cóż, gdyby któryś z jej ludzi został postrzelony w drodze do Piasty Cztery, czułaby się winna, że nie zapewniła im ochrony.

- W tym przypadku decydować będzie cena - stwierdziła.

- Oczywiście, szanowna pani. Z przyjemnością dostarczę porównanie cen z innymi sklepami na stacji...

- Zgoda.

Nie trzeba było mówić, że już zrobiła to sama. I tak założyła, że to uczyniła.

Ku jej niejakiemu zdziwieniu, jeden diament od ciotki Gracie wystarczył na pokrycie wszystkich zakupów.

Wyposażenie Martina w konwencjonalną kamizelkę kuloodporną zajęło raptem kilka minut, kiedy jednak wyszła na zewnątrz, by zawołać Jima i Beeaha, okazało się, że nie ma ich przy drzwiach. Chłopak kucnął pod wystawą z chińską porcelaną, a Beeah stał nad nim.

- Co się stało? - zawołała Ky. - Wszystko w porządku?

- Tak, ale proszę tylko popatrzeć... - Obrócił się i wstał, tuląc w ramionach małe, czarno-białe zwierzątko porośnięte sztywnym futerkiem. - Ktoś go wyrzucił. Znalazłem go w koszu na śmieci, jak próbował z niego wyleźć.

- Co to jest? - zapytała Ky. Błyszczące, czarne oczka, mały, czarny nosek i wilgotny, różowy języczek sugerujący pochodzenie ze Starej Ziemi. Owłosiony, czyli jakiś ssak.

Rozejrzała się dookoła i przekonała, że Jim faktycznie rozmontował kosz na śmieci, żeby go

wydostać, zostawiając porozrzucane odpadki. - Lepiej posprzątaj ten bałagan, zanim obciążą nas za śmiecenie.

Popatrzył na nią, jakby właśnie oznajmiła, że nie wie, ile to jest dwa dodać dwa.

- To jest szczeniak - odparł. - Terier. Proszę go potrzymać, a ja zajmę się śmieciami. -

Wcisnął jej w ramiona wyrywającego się zwierzaka i odwrócił. Szczeniak natychmiast wbił swoje ostre ząbki w jej dłoń.

- Au! - zawołała. Beeah natychmiast zjawił się koło niej. - Proszę. Spodziewam się teraz kłopotów za trzymanie na stacji zwierzęcia bez licencji, ale przynajmniej możemy je związać.

Poza tym, gryzie - dodała, gdy szczeniak zatopił zęby w kciuku Beeaha.

- Zauważyłem - oznajmił Beeah z szerokim uśmiechem, rozwierając pyszczek zwierzaka, by uwolnić palec. W zamian, podsunął mu mankiet rękawa, którym szczenię zajęło się z powarkiwaniem.

- Mam nadzieję, że nie zsika się na ciebie - rzuciła Ky. Jim wrzucił ostatnie śmieci z powrotem do pojemnika i zamknął go pokrywą. - Chodź - poleciła mu. - Musimy cię wyposażyć.

- Świetny z ciebie strażnik - mruknął Martin do Beeaha, gdy Ky poprowadziła Jima do sklepu. Odebrał już broń i wyszedł za nią na zewnątrz. - Cóż ty najlepszego wyprawiałeś?

Po powrocie w towarzystwie Jima, zastała Beeaha kołyszącego przewróconego na grzbiet szczeniaka w zgięciu ramienia i drapiącego go po brzuchu. Z wyraźną niechęcią oddał

go Jimowi - Martin przewrócił oczami. Wyposażenie go zajęło chwilę. Ky przyjęła resztę w lokalnej walucie i pożegnała się. Wyszła na zewnątrz w samą porę, by ujrzeć przyglądającego się im z wyraźną niechęcią strażnika stacji, który przeciął ulicę i właśnie zmierzał prosto w ich kierunku.

- Hej, wy! - zawołał. - Macie licencję na posiadanie tego zwierzęcia?

## ROZDZIAŁ 7

Tego nie planowała.

- Nie jest nasz... - zaczęła, lecz Jim natychmiast wpadł jej w słowo: - Jeszcze nie. -

Zgromiła go wzrokiem.

- Pójdziecie ze mną - oświadczył strażnik, otwierając urządzenie, będące - jak podejrzewała Ky - połączeniem komunikatora i komputera. - Narażanie stacji poprzez przetrzymywanie na niej nielicencjonowanego zwierzęcia... skąd wy, ludzie, jesteście? -

Prześlizgnął się wzrokiem po niezbyt atrakcyjnej, pomiętej tunice Jima, która, jak właśnie zauważyła

Ky, niedostatecznie maskowała jego nową zbroję. Spojrzenie strażnika nabrało ostrości. - Nosi się pancerz, co? A ty masz broń... - Przeniósł wzrok na Ky.

Kiwnęła głową w stronę „Ostrza, Pocisku i Łuku”.

- Właśnie stamtąd wyszliśmy...

- I będąc w środku, wsadziliście szczeniaka do pojemnika na śmieci? Macie jakieś pojęcie...?

- Nie wsadziłem go tam - zaprotestował Jim. - Biedaczysko już tam był, skamląc i drapiąc; nie mogłem go tak zostawić...

- Czy to prawda? - Strażnik zapytał Ky.

- Byłam w środku - odparła. - Nie słyszałam. Kiedy wyszłam na zewnątrz, już go trzymał...

- Aha. No cóż, teraz jest wasz, a skoro to pani podwładny, to jest pani odpowiedzialna za niego, jak również za brak właściwej licencji i świadectwa zdrowia... A co z licencją na broń?

Ky wyłowiła z kieszeni nowiutkie pozwolenie.

- Proszę.

Zerknął na dokument.

- W porządku. Chodźcie ze mną do biura i zabierzcie to coś... - Spojrzał z oburzeniem na szczeniaka.

Ojciec zawsze jej powtarzał, żeby nigdy nie dyskutowała z przedstawicielem prawa na ulicy. Idź dobrowolnie na posterunek, współpracuj, a wszystko pójdzie znacznie szybciej.

Czyli jedynie około godziny - pomyślała Ky - zabierze im wędrowka korytarzami za strażnikiem, mijając wystawy sklepów, zmieniających się od wyższej klasy kruszonki po solidne, handlowe nadzienie, jakie można znaleźć na każdej stacji kosmicznej, gdzie panuje duży ruch. Wreszcie dotarli na posterunek straży Piasty Trzy o stojących otworem grubych jak grodz drzwiami.

- O co chodzi, Mally? - zapytał siedzący za biurkiem funkcjonariusz.

- Zwierzę bez pozwolenia. Utrzymują że znaleźli je w kubie na śmieci, ale wygląda na to, że szczeniak zna jego. - Strażnik wskazał kciukiem Jima, który wciąż tulił śpiące szczenię w zgięciu ramienia.

- Kara wynosi dwieście kredytów za każdy dzień, licencja na klatkę - pięćdziesiąt, licencja na trzymanie zwierzęcia na swobodzie - sto kredytów, w obu przypadkach wymagane jest świadectwo zdrowotne od dowolnego weterynarza, którego możecie znaleźć w książce telefonicznej, korzystając z publicznej linii, jeśli jednak nie jest to wasze zwierzę i życzyście sobie oddać je do likwidacji, to kara wynosi dwieście kredytów, plus dziesięć kredytów opłaty za likwidację, płatne z góry gotówką lub potwierdzonym kredytem... - wyrecytował

funkcjonariusz monotonnym głosem, po czym podniósł głowę. - Nazwisko, nazwa statku, nazwiska wszystkich osób, które miały kontakt z tym... co to jest?

- Jim Hakusar z Gary 'ego Tobai - to ja znalazłem go w puszcze na śmieci. Skowyczał i próbował się wydostać...

- A ty jesteś...? - Funkcjonariusz spojrzał na Beeaha.

- Beeah Chok z tego samego statku.

- Gordon Martin z tego samego statku.

- Kapitan Vatta, Gary Tobai - przedstawiła się Ky.

- Ach - Mally twierdzi, że jest pani uzbrojona. Numer licencji? - Ky podała mu papier. -

Uhm. Nie ma go w bazie danych... data wystawienia? Och, dzisiejsza. Domniemywam, że jako klientka „Ostrzy” bez problemu zapłaci pani karę za czworonożnego pupilka? Jeśli jednak naprawdę nie jest wasz, mądrzej byłoby pozwolić nam na likwidację.

- Nie - sprzeciwił się Jim. Ky spojrzała na niego. - Nie może pani pozwolić im zabić szczenięcia - dodał.

- Po co nam szczeniak? - zapytała. Jim obrzucił ją urażonym spojrzeniem.

- Psy się przydają - włączył się Martin. - W dokach. Ten jest bardzo mały...

- To szczeniak - upierał się Jim. - Urośnie. Założę się, że będzie zajadły.

- Nie sprawi kłopotu - mruknął Beeah. Ky obrzuciła go zdumionym spojrzeniem. Nie wiedziała, że Beeah lubi zwierzęta.

- Wasza sprawa - uznał funkcjonariusz. - Osoby, które miały kontakt z nielicencjonowanym zwierzęciem bez świadectwa zdrowia, muszą również poddać się dekontaminacji i kwarantannie. Najbliższą klinikę możecie znaleźć w książce telefonicznej, korzystając z publicznej linii...

Szczeniak otworzył jedno przejrzyste oko, zaczął się wiercić, po czym obsikał przód tuniki Jima.

Zdumiewająco dużą ilość pieniędzy później Ky obrzuciła swych obrońców niezbyt przychylnym spojrzeniem.

- Zrobiliście we dwóch wystarczająco wiele zamieszania, żeby każdy nasz nieprzyjaciel zdołał zorientować się, gdzie jesteśmy, jak jesteśmy ubrani i uzbrojeni. Następnym razem po prostu rozbijcie kilka wystaw, klnąc donośnie na czym świat stoi...

- Już dobrze... - mruknął zaniepokojony Jim. - Skąd miałem wiedzieć?

Ky zwróciła się do bóstw, o których słyszała, lecz nie wierzyła. Szczeniak, oficjalnie wciągnięty do bazy danych weterynarza pod imieniem Sikacz, został zbadany i zdezynfekowany. Odzyskają go nazajutrz. Lekarz poinformował ją, że to niemal na pewno rasowy jack russell terier. Osobiście uważała go za jack-bylejakiego teriera, ale milczała. Wraz z pozostałymi poddała się procedurze dekontaminacyjnej, która zamieniła ciemną plamę na tunice Jima w jaskrawobłękitną łatę, choć technik zaklinał się, że materiał powróci do normalnego koloru.

- Potrącam ci to z wypłaty - przypomniała Jimowi. Chłopak uzgodnił z Beeahem, że do spółki pokryją koszty kar i weterynarza.

- Pomoże nam - twierdził Jim. - Tak jak mówił Martin, będzie pilnował doku.

- Dopiero, kiedy dorośnie - zauważyła Ky. - A szczeniaki tych rozmiarów nie wyrastają na psy stróżujące. - Połączyła się ze statkiem na bezpiecznej linii. Odebrała Quincy. - Nic nam nie jest, Quincy. Musieliśmy pogadać z kimś o psie... A tak poważnie, to Jim znalazł

zabłąkanego szczeniaka i musiał go uratować.

- Myślałam, że to twoja specjalność - zauważyła z przekąsem Quincy, Ky jednak usłyszała w jej głosie wyraźną ulgę.

- Nie tym razem - odparła. - Właśnie opuszczamy Piastę Trzy i udajemy się do Piasty Cztery. Zgłoszę się, jak tylko tam dotrzemy.

- Zaczekaj - są wiadomości do ciebie. Zapieczętowana przesyłka od kogoś nazwiskiem MacRobert ze Slotter Key oraz telefon z agencji ochrony Baritom. Powiedzieli, żebyś do nich oddzwoniła.

Znowu MacRobert? Czego starszy sierżant MacRobert z Akademii Sił Kosmicznych Slotter Key od niej chciał?

- Jak duża jest ta paczka? - zapytała.

- Mała. Niezbyt ciężka. Myślisz, że w środku jest bomba?

- Nie. Zanieś ją do mojej kajuty; zajrzę do niej później.

- Baritom naprawdę bardzo mocno chciał się z tobą skontaktować.

Ky wymruczała coś pod nosem, lecz wybrała odpowiedni numer i połączyła się.

- Kapitanie Vatta - odezwał się głos w słuchawce. - Nasz personel w doku zameldował, że opuściła pani zabezpieczony teren... nie chciała pani eskorty?

Już miała odmówić, kiedy pomyślała, by zapytać Martina.

- Może pani odesłać Jima - niech kupi sobie po drodze jakieś ubranie - i kazać eskortie spotkać się z nami - doradził. - Chciałbym ocenić ich personel.

- Świetnie. - Ky odwróciła się do budki. - W tej chwili jestem w Piaście Trzy, drugi pierścień, sektor zielony. Zmierzam do Piasty Cztery. Gdyby wasi agenci mogli czekać na mnie na przystanku...

- Wolimy przejąć podopiecznego w bezpiecznym miejscu.

Już była spóźniona. Nie chciała wracać na posterunek Gardy, żeby spotkać się tam z ochroną. Lecz MilMart z pewnością uchodził za bezpieczne miejsce.

- MilMart Exchange - zaproponowała. - Co z nim? W przeciwnym razie spotkanie nastąpi dopiero za parę godzin, po moim powrocie na statek.

- Będzie odpowiednie - uznał głos. - Zaopatrzymy naszego pracownika w standardowe zestawy identyfikujące. Nie korzysta pani z zabezpieczonego nadajnika...

- Nie - przyznała Ky - ale jestem pewna, że w MilMarcie takowy się znajdzie.

- W porządku. Tam przekazemy pani kod naszego pracownika.

Ky pokręciła głową i odwróciła się.

- Co? - zapytał Beeah.

- Co za dzień! Jim, wrócisz na statek. Masz ze sobą bilet tramwajowy? Wiem, że Martin sugerował

ci, żebyś kupił po drodze ubranie, wołałabym jednak, abyś dotarł bezpiecznie na statek. Właściwie, to... Martin, czy Jim powinien wracać w pojedynkę? Może powinnam wysłać z nim Beeaha?

- Nie, powinien sobie poradzić - odparł Martin. - Pani jest bardziej prawdopodobnym celem ataku. Wołałbym zatrzymać przy nas jak najwięcej sił.

Ky ponownie obróciła się do Jima.

- Pamiętaj, co mówił ci Martin. Bądź ostrożny i wracaj prosto na statek. Żadnych więcej szczeniaków, kociąt, zagubionych dzieci, czy co tam jeszcze mogłoby wleźć ci pod nogi.

Martin, ich agent spotka się z nami w MilMarcie.

- Założę się, że to podstęp - odezwał się Jim. Ky obrzuciła go niecierpliwym spojrzeniem.

- Nie przypomina twoich sztuczek z wpędzaniem nas w kłopoty z prawem -

odparowała. - Idź już. Masz być na statku, jak zadzwonię do Quincy z Piasty Cztery.

Tramwaj do następnej Piasty był taki sam, choć tym razem w ich wagonie siedziały dwie rozgadane kobiety z małymi dziećmi oraz mężczyzna w kombinezonie z naszywką Navarre. Wraz z nimi do tramwaju wsiadła jeszcze jedna kobieta z dzieckiem, która przywitała się z tamtymi dwiema i usiadła w następnym rzędzie. Z pozdrowień Ky wywnioskowała, że spotykają się co dziesięć dni, gdy zabierają dzieci na plac zabaw w Piaście Pięć. Patrzyła, jak jedno z dzieci czerwoną rączką rozmazywało smarki po siedzeniu.

- Donal... jak myślisz, do czego służą chusteczki? - przemówiła jedna z kobiet, wycierając plamę i podając chusteczkę dziecku, które natychmiast spróbowało wsadzić ją sobie do buzi. Zabrała mu chustkę.

Ky wysiadła w Piaście Cztery i zobaczyła kolejną matkę z dzieckiem na ręku i bliźniakami uczepionymi jej nóg. Rozpościerająca się za jej plecami Piasta Cztery prezentowała się skromniej od Piasty Dwa: szare, przemysłowe podłogi, kremowe płytki na ścianach. Korytarze nie miały powabu Piasty Trzy. Szyldy reklamowały sklepy z zaopatrzeniem dla statków - Ky była pewna, że w żadnym nie znalazłaby złotookich malin czy mięsów w plastrach - między innymi z narzędziami ręcznymi i elektrycznymi, częściami zamiennymi, oprogramowaniem i sprzętem nawigacyjnym, modułami do implantów czaszkowych, skafandrami i łatami. Zatrzymała się, żeby powiadomić Quincy, iż dotarli na miejsce oraz sprawdzić na planie miasta, gdzie się znajdują i którędy powinni pójść.

Poprowadziła ich korytarzem. Mieściły się tutaj biura stoczni remontowych, gdzie można było wymienić napęd kosmiczny, a nawet cały system podtrzymywania środowiska.

Ky sprawdziła położenie obiektu przed opuszczeniem statku, stąd wiedziała, że muszą przeciąć dwa pierścienie i skrócić w lewo. Tuż za sklepami po lewej stronie znajdowały się magazyny MilMartu, lecz wejście mieściło się gdzie indziej. Domyślała się, że dawało to ochronie obiektu czas na zgromadzenie dobrej jakości zdjęć, zanim ktoś dotrze do drzwi frontowych, czy cokolwiek tam mieli.



Minęli skrzyżowanie z pierwszym pierścieniem i dochodzili już do drugiego, gdy wpadło jej w oko znajome logo. Tutaj? Spojrzała ponownie. Nad wąską witryną widniał

elegancki napis: korporacja pomocy wojskowej mackensee: twoje problemy - nasze rozwiązanie. Zwolniła. Było to jedno z okien wystawowych w szeregu biur najemników, pomiędzy „Najlepszymi Barkley’a” - wojna? wybierz najlepszych! barkleye! - a „Doradcami Wojskowymi Answenii” - liczy się doświadczenie.

- Interesujące - rzucił Beeah.

- Co? - zapytał Martin. Podążył za ich spojrzeniem. - Och... najemnicy. Z którymi miała pani do czynienia, madame?

- Mackensee - odparła Ky. Martin pokiwał głową, nie mówiąc nic więcej. Ciekawe, czy ci Mackensee słyszeli o niej i o Sabinę. Z pewnością. Jeśli... jeśli Vattowie zostaną całkowicie zniszczeni, zawsze może do nich dołączyć, zgodnie z ich ofertą. Odepchnęła tę myśl. Vattowie przetrwają; dopilnuje tego. W tej chwili nie zważała na męczące pytanie: jak?

Wielkie, czerwone litery za rogiem po lewej stronie oznajmiały w trzech językach o wejściu do MilMart Exchange. Na zewnątrz stali uzbrojeni strażnicy - bynajmniej nie Garda.

Przez drzwi przepływał stały strumień klientów.

- Jesteśmy - zauważył Beeah. - Co zamierza pani kupić, kapitanie?

- To, na co będzie nas stać - odparła. - A to z pewnością nie wszystko, na co miałabym ochotę lub czego byśmy potrzebowali.

Strażnicy zdawali się nie zwracać na nią uwagi, lecz tuż za wejściem do MilMartu znajdowało się stanowisko, gdzie Ky musiała podać swoje ID klienta. Następnie wszyscy założyli bransoletki identyfikujące i przeszli przez drzwi do pomieszczenia z wideoekranami.

- Może pani tutaj przejrzeć katalog, a jeśli znajdzie pani coś, co będzie chciała nabyć, proszę zadzwonić po obsługę, a udacie się państwo razem na tyły i obejrzyjecie to. Mamy również zabezpieczone linie, jeśli życzy sobie pani skontaktować się z instytucją finansującą.

Ky zadzwoniła do Baritomu i wymieniła z biurem kody rozpoznawcze, po czym powiedziała pracownikowi MilMartu, że gdyby ktoś pytał o „Ambrę”, to będzie chodziło o nią.

Obsługujący skinął głową z takim znudzeniem, że Ky domyśliła się, iż mnóstwo ludzi wyznacza sobie spotkania w tym dobrze oświetlonym i strzeżonym miejscu.

Zabrała się za katalog. Już pierwszy rzut oka zaparł jej dech w piersiach. Tutaj nie owijali niczego w bawełnę - główne działy nazywały się: Uzbrojenie obronne, uzbrojenie ofensywne, systemy kontrolne uzbrojenia, urządzenia i oprogramowanie obronne, broń ręczna, systemy iff. [Identification Friend or Foe - system odróżniający jednostki sojusznicze od wrogich] Każdy podzielony był na części dotyczące statków, innych obiektów kosmicznych i planet. Dotarła do połowy listy uzbrojenie

obronne dla statków z własnym zasilaniem, gdy zauważyła znajome nazwy i oznaczenia. Zamrugła. Dowództwo Sił Kosmicznych Slotter Key zakrzuszyłoby się na wieść o tym, że uzbrojenie ich najlepszych okrętów mógł tutaj nabyć każdy, kto dysponował odpowiednimi zasobami finansowymi. Pociski Thornbat? Przewinęła urządzenia i oprogramowanie obronne. System maskujący DeepPilot? To nie mogła być żadna nadwyżka - w Akademii mówili im, że brakowało pieniędzy na wyposażenie w ten system wszystkich krążowników, a co dopiero mniejszych jednostek. Zerknęła na Martina, stojącego przy sąsiednim stanowisku. Oblicze miał bardziej ponure niż zwykle; zastanawiała się, co czuł, widząc najbardziej zaawansowane uzbrojenie swojego świata wystawione na sprzedaż dla każdego z wystarczającą ilością kredytów.

Wyglądało na to, że w katalogu mieli pozycje z dowolnego arsenału. Towary oznaczone

„FmPr” okazały się być produkowane przez Farm-Power na Sabinę Prime... pojazdy opancerzone i ciężki sprzęt do przygotowywania fortyfikacji i lądowisk. Nic z Belinty -

przeskoczyła do listy dostawców - za to w tworzeniu oferty MilMartu miały swój wkład tuziny innych światów. Ciekawe, czy to wszystko było kradzione... Ważne, że mając odpowiednią ilość pieniędzy, można było tutaj wyposażyć całą flotę. Biorąc pod uwagę sąsiedztwo biur firm najemniczych, całkiem możliwe, że ktoś - raczej wielu - tak uczyniło.

Nie każdy jednak mógł sobie na to pozwolić... zamrugła oczami, widząc ceny.

Rachowała w pamięci, ile musiałaby wydać. Nie wystarczy jej, żadną miarą nie wystarczy.

Uczono ją że wojny są drogie. Przypomniła sobie podawane na wykładach orientacyjne koszty - najazd na Reandi był ponad 2 razy droższy od Powstania na Belaconti - lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, ile może kosztować przekształcenie jednego, małego stateczku ze starego, powolnego, nieuzbrojonego frachtowca w szybki i śmiertelnie groźny szturmowiec.

Wszystkie diamenty od cioci Gracie nawet nie wyszczerbiłyby jej listy wymarzonych zakupów.

Szturmowiec? Znieruchomiała, wpatrując się niewiającym wzrokiem w ekran.

Przyszła tutaj w poszukiwaniu sposobów zabezpieczenia statku przed nieprzyjaciółmi Vattów.

Kiedy to jej zamiary zmieniły się i to w kierunku... szturmowca? Niebezpiecznie blisko pirata.

Kapra - podsunął jej szept w głowie, jak gdyby już miała autoryzację swojego rządu.

Ale cóż innego mógł tutaj znaleźć kapitan małego statku? Nic, co mogłaby zainstalować na swojej jednostce... Nawet, gdyby mogła pozwolić sobie na system maskujący, pociski obronne z oprogramowaniem i szybszy napęd wewnętrzny, to czy naprawdę ochroniłoby ich to przed wrogiem, któremu była zmuszona stawić czoła? Nie mogła prowadzić efektywnego handlu, wiecznie unikając pościgu - dobre frachtowce były przewidywalne i godne zaufania; za to właśnie płacili zleceniodawcy. Dostawa na czas. Gwarancja kompletności cargo.

- Kapitanie? - odezwał się zniechęcony Beeah.

- Tak, Beeah? - odpowiedziała, nie patrząc na niego. Przed oczyma miała jedynie zwięzający się lejek możliwości, z których żadna nie była dobra. Skoro nie mogła wykorzystać swojej jednostki tak, jak zawsze czynili to Vattowie, to co niby miała robić? A jej załoga? Z

tym idiotycznym szczeniakiem? Czy naprawdę mogłaby zostać korsarzem - instynktownie unikała określenia: pirat - i napadać na inne statki? A nawet gdyby, to jakie środki musiałoby to pochłonać?

- Gdyby podała mi pani wielkość budżetu, mógłbym stworzyć hierarchiczną listę udoskonaleń naszych podstawowych systemów - zaproponował Beeah.

- Właśnie się nad tym zastanawiam - stwierdziła Ky. - Może powinniśmy poczekać do sprzedania całości ładunku; przynajmniej będziemy wiedzieć, jakimi środkami dysponujemy.

Mogę je oszacować, ale... to nie jest miejsce, gdzie chciałabym, żeby zabrakło mi funduszy.

- Rozumiem. Ale cargo sprzedaje się dobrze, prawda?

- Mam nadzieję. Połączę się ze statkiem i zobaczę, jak im idzie... - Skorzystała z bezpiecznego łącza i wywołała statek.

- Napływają kolejne oferty - oznajmiła Alene. - Ostatni frachtowiec był tutaj dwa tygodnie temu i miał zupełnie inny ładunek, więc rynek jest po naszej stronie.

- Świetnie - stwierdziła Ky. - Znasz numer konta na depozyty.

- Przepraszam, kapitan Vatta? - To był pracownik MilMartu. - Jest tutaj człowiek, który chce z panią rozmawiać. Twierdzi, że jest z Baritomu i podał prawidłowe hasło.

- Dzięki - rzuciła Ky. - Wyjdę na zewnątrz. Beeah, zaczekaj tutaj; to nie potrwa długo. -

Po czym do Alene: - Zawrzyj możliwie korzystne umowy. Najpierw trzeba pozbyć się ładunków na Leonorę. Wrócę za kilka godzin.

Wyszła na korytarz z Martinem u boku. Agent Baritomu miał na sobie brązowo-zielony strój. Willem Turnish był nieco wyższy od Ky, w średnim wieku, lecz wysportowany i miał

ciepłe, piwne oczy.

- Kapitan Vatta? - Wyciągnął infopak.

- Tak - odrzekła Ky. - Pański kod?

Wyrzucił z siebie ciąg słów i cyfr, Ky wyrecytowała swoje, po czym sprawdziła infopak. Nazwisko, wzrost, waga, odcisk kciuka - wyciągnęła urządzenie w jego stronę, a on przycisnął palec do płytki, która rozblęsnęła zielenią. Czyli był tym, za kogo się podawał.

Oddała infopak i spojrzała na Martina. Niczego nie wyczytała z jego nieprzeniknionego oblicza.

- Prawdopodobnie spędzę tutaj co najmniej godzinę - powiedziała. - Może pan poczekać tutaj, albo... jeśli w pobliżu jest jakaś kawiarnia...

- Zaczekam tutaj - postanowił Turnish, wskazując na biegnącą wzdłuż ściany ławę.

- Świetnie - zgodziła się Ky.

Po powrocie do terminali odwróciła się do Martina.

- No i...?

Potrząsnął głową.

- To profesjonalista, uzbrojony, dysponujący właściwymi kodami. Po tak krótkim spotkaniu nie jestem w stanie orzec, jak bardzo jest kompetentny, wygląda jednak na doświadczonego. Będę mógł powiedzieć więcej po powrocie na ulicę.

Następnie Ky zwróciła się do Beeaha:

- Po obejrzeniu katalogu mógłbyś wrócić na statek i przedyskutować z Quincy, w co możemy go wyposażać. Dowiedz się też od Alene, ile, jej zdaniem, dostaniemy za cały ładunek.

- Jeśli jest pani pewna, kapitanie - powiedział Beeah.

- Jest ze mną Martin - odparła. - Z ochroniarzem jest ich dwóch - powinno wystarczyć.

Poza tym, mam na sobie pancerz i nową zabawkę u boku. - Poklepała się po kaburze.

- Jest pani bardziej niebezpieczna, niż na to wygląda - uśmiechnął się Beeah. - W takim razie idę.

Ky wróciła do katalogu. Gdyby kupiła zestaw obronny - numer katalogowy 34-5000-89357 - to może mogłaby pozwolić sobie na pojedynczą wyrzutnię - numer katalogowy 68-4322-7639. Lecz jedynym powodem posiadania wyrzutni była... chęć atakowania innych statków. Bezbronnych statków, gdyż pojedyncza wyrzutnia nie mogła mierzyć się z prawdziwymi okrętami wojennymi lub lepiej uzbrojonymi piratami.

Nie mogłaby tego zrobić. Zostać piratem, złodziejem... to byłby koniec Vattów, nawet gdyby przeżyła, wzbogaciła się i spróbowała odbudować organizację. Skoro Slotter Key zwróciło się przeciwko jej rodzinie - zagadka, której nie potrafiła rozwiązać tu i teraz - to z pewnością nie wydadzą jej kaperskiej autoryzacji. Nie miała też pieniędzy, żeby przeżyć bez napadania na innych. Powinna... co? Przyznać, że są zgubieni? Raczej nie. Uciec? Dokąd? Do innego sektora, daleko od przestrzeni, gdzie handlowali Vattowie, z powrotem na stare światy, opuszczone dawno temu przez jej rodzinę? Do nieznanych światów za Pęknięciem?

Oparła głowę na rękach, odrzucając wszystkie te możliwości, a jednocześnie niezdolna do wymyślenia innych. Nie, musiała myśleć, nie mogła nie myśleć. Wyglądało na to, że Ky, która istniała podczas kryzysu na Sabinę - potrafiąca podejmować szybkie, zdecydowane działania - zniknęła,

pozostawiając po sobie gorzkie zagubienie.

Westchnęła, przeciągnęła się i zamknęła katalog, żeby przyjrzeć się umowie zakupu.

Mogła zarezerwować sobie produkt na dwadzieścia cztery godziny bez wpłacania depozytu lub na pięć dni z depozytem. Z zimnej, racjonalnej kalkulacji wynikało, że potrzebowali tego zestawu obronnego. Prawdę mówiąc, potrzebowali nawet czegoś lepszego. Pozycja 35-4571-983314 byłaby idealna, lecz w katalogu figurowała tylko jedna sztuka.

Zarezerwowała ją sobie bez składania depozytu. Przynajmniej będzie miała nieco czasu do namysłu. Czy Quincy będzie potrafiła to zamontować? A może znajdą kogoś innego, kto będzie mógł to zrobić?

Powrót do listy. Skoro uzbrojenie ofensywne było zbyt drogie i przeznaczone jedynie do polowania na innych, to co z obroną? uzbrojenie obronne dla statków. Przejrzała listę. Jeśli mają uzbrojenie ze Slotter Key, to może dysponują... tak. Miny z własnym napędem, samostabilizujące się, model 87-TR-5003. Najlepsze, jak wiedzieli wszyscy starsi studenci Akademii. W porównaniu z innym uzbrojeniem, miny były ekonomiczne, wręcz tanie. Nie zabierały zbyt dużo miejsca. Jeśli wiedziało się, jak ich używać - a ona miała drukowany dyplom z obsługi pasywnych i aktywnych systemów obronnych, w tym min - mogły okazać się bardzo skuteczne. Oczywiście, nastęrczały sporo trudności, na przykład ze stabilnością w przestrzeni - dryfowały pod wpływem sił grawitacji i po pewnym czasie ich napęd samostabilizujący wyczerpywał się, pozostawiając śmiertelnie groźną broń rozrzuconą w bliżej nieznanym miejscu.

Lecz Ky nie miała nic przeciwko uczynieniu ze wszechświata nieco bardziej ryzykownego miejsca dla innych, jeśli miało to ocalić jej własny statek. Zarezerwowała miny.

Gdyby wzięła ten zestaw obronny, z trudem mogła pozwolić sobie na piętnaście min. Jak mawiał jeden z jej instruktorów, nigdy nie miało się dosyć amunicji. Może któryś z ich towarów osiągnie nieoczekiwane wysoką cenę.

Zgarnęła Martina, sprawdziła mapkę okolicy i zgarnęła ochroniarza. Wyprzedził ją w drodze do wyjścia i sprawdził sytuację na zewnątrz. W odróżnieniu od pechowego Jima, raczej nie będzie wyjmował szczeniaków z kubłów na śmieci. Co przypomniało jej o innych koniecznych sprawunkach.

- Znasz jakiś sklep w pobliżu lub po drodze do tramwaju międzypiętowego, gdzie moglibyśmy zrobić zakupy dla zwierząt? - zapytała.

- Zakupy dla zwierząt?

Pytanie było niezwykle, ale nie musiał wyglądać na aż tak rozbawionego.

- Zakupy dla zwierząt - powtórzyła. - Nabyliśmy... mmm... szczeniaka. Jutro opuści kwarantannę.

- Zaraz sprawdzę... - Przez chwilę patrzył przed siebie pustym wzrokiem, łącząc się z implantem, po czym skinął głową. - „BioExotics”, tamtędy - powiedział, wskazując na najbliższą przecznicę. Nad oficjalnym kodem lokalizacji, ktoś dopisał koślawymi, zielono-różowymi literami: ulica wierzbowa.

- Mamy porę obiadową - zauważył cicho Martin. - Może zatrzymamy się gdzieś, żeby coś zjeść? - Ky spojrzała na niego; wcześniej rozwodził się nad niebezpieczeństwami związanymi z jedzeniem w miejscach publicznych. Może była to część jego testu dla nowej eskorty? Już chciała odmówić, kiedy zaburczało jej w brzuchu.

- Na rogu jest kawiarnia - podpowiedział ochroniarz.

- Dobrze. Szybki lunch. - Martin milczał. Gdy podniosła na niego wzrok, napotkała nieodgadnione oblicze.

W kawiarni nie było zbyt wielu ludzi - było już po obiedzie - lecz z kuchni dochodziły bardzo przyjemne zapachy. Pomna wcześniejszych wykładów Martina, wybrała stolik pod ścianą i usiadła plecami do niej. Martin zasiadł po jej prawej ręce, na wprost drzwi, a Turnish naprzeciwko Martina, osłaniając ją z drugiej strony, co sprawiło, że znalazł się plecami do drzwi wejściowych, lecz przodem do wyjścia kuchennego. Zaproponowała mu posiłek, ale odpowiedział, że jadł przed służbą. Mimo, iż płaciła za jego czas, Ky czuła subtelną presję, wywoływaną jego niewzruszoną miną, zupełnie, jakby jadła w towarzystwie instruktora. To prawda, że ochroniarz nie powinien brać udziału w pogaduszkach, lecz Turnish emanował taką cierpliwością, że miało się wrażenie, iż zaraz mu jej zabraknie. Ky rozprawiła się z pyszną zupą i świeżo upieczonym chlebem; wiedziała już, jak ta kawiarnia utrzymywała się na rynku.

Zauważyła, że Martin pochłonął grubą kanapkę, praktycznie nie odrywając wzroku od drzwi.

Pod koniec pierwszej wachty na ulicy Wierzbowej nie było prawie ruchu. Turnish poprowadził ich wzdłuż otwartych drzwi do sklepów, w których nikt się nie pojawiał... same drobne przedsiębiorstwa: pralnie, piekarnie, używana odzież, naprawa narzędzi, wytwórnia szyldów. Równie dobrze mogłoby to być popołudnie w małym miasteczku. Ky odprężyła się.

Owszem, zamachowiec bez trudu mógłby zacząć się na takiej cichej uliczce, ale kto wiedział, że będzie tędy szła? Każdy rozsądny zabójca założyłby, że udała się najprostszą drogą na statek.

- Uwaga! - zawołał nagle Turnish i zaczął obracać się w jej stronę.

Ky rzuciła się na ziemię, odpychając go na bok; upadł koło niej.

Dwa pierwsze strzały minęły ich o dobry metr. Ky obejrzała się na Martina - miał już broń w ręku i na jej oczach oddał pierwszy strzał. Oparła się na łokciach i rozejrzała za celem.

Tam... wyglądał z wejścia do „Krawca Andy’ego” przed nimi. Wystrzeliła pocisk CPF; ciałem napastnika szarpnęło, cofnął się i powoli osunął na chodnik. Broń upadła ze szczękiem. Poczowała znajome, pulsujące uczucie satysfakcji. Nie pora na to... Rozejrzała się za osłoną i wsparciem.

Powinien być jeszcze jeden; ktokolwiek to zorganizował, nie wysłałby samotnego strzelca.

Nikogo. Nikt nie podszedł do drzwi sklepu - żadnego - żeby wyrzeć. Poczowała, jak jeżą się jej włoski na karku. Drzwi po prawej ziały pustką niecały metr od nich. Poklepała Turnisha po nodze, rozglądając się ponad nim w poszukiwaniu kłopotów.

- Schowaj się - powiedziała. - Na czwartej. Będę cię osłaniać.

- Nie sądzę - odparł Turnish, przekręcając się. Oddech uwiązał jej gardle, gdy spojrzała w wylot lufy jego broni... Jest naprawdę duży - przebiegło jej przez głowę. Mężczyzna uśmiechnął się. - Szachmat, Vatta. Gra skończona.

Nie zareaguje wystarczająco szybko; jej broń wymierzona była w zupełnie innym kierunku. Wiedziała, że nie zdoła poruszyć się odpowiednio błyskawicznie i ta wiedza ją sparaliżowała. Uśmiechał się, świadomy jej myśli, strachu, położenia jej broni. Zaschło jej w gardle, a po plecach spłynął lodowaty strumyczek potu. Martin nie może... gdy wtem bębrenki rozdarł jej huk wystrzału, a głowa zdrajcy eksplodowała, rozrzucając na wszystkie strony krew i mózg.

Powietrze z powrotem wdarło się do jej płuc. Otarła twarz.

- Ty...

- Nie byłem pewny, dopóki nie odwrócił się w pani stronę - wyjaśnił Martin. -

Przepraszam. Po wizycie w kawiarni mógł stać się nieostrożny. Proszę tam wejść. - Nadal żadnego alarmu, pusty korytarz. Może wszystkim w okolicy zapłacono, żeby poszli sobie coś zjeść.

Broń zabitego leżała dalej, niż Ky się spodziewała... wciąż ścisnął ją w dłoni. W takim razie Martin musiał oddać dwa strzały... tak szybko?

Nie, żeby miało to w tej chwili jakieś znaczenie. Teraz musieli zdobyć pomoc ze strony władz. Ostrożnie weszła do sklepu i rozejrzała się w poszukiwaniu komunikatora. Ten w czerwonej budce trzy sklepy dalej był zbyt widoczny, lecz na większości stacji umieszczano takie również w bardziej dyskretnych miejscach.

Zanim jakąś znalazła, usłyszała świdrujący dźwięk syreny nadjeżdżających stróżów prawa.

## ROZDZIAŁ 8

Niedobrze - mruknął Martin. - Przypuszczam, że załapaliśmy się na tradycyjnie złą godzinę w dzielnicy.

- Mam nadzieję, że chodzi tylko o to - odparła. - Dzisiaj już po raz drugi mamy kłopoty.

- Zgadza się. Zanim stąd odlecimy, będzie pani miała całkiem niezłą reputację -

stwierdził, wydając z siebie coś na kształt chichotu. - Jest pani... zadziwiająco spokojna jak na kogoś, kto właśnie zabił człowieka i sam omal nie zginął. To opanowanie, czy szok?

- Powinna wiedzieć? - odrzekła Ky. - Nie czuję paniki, jeśli o to ci chodzi. Raczej lekki niepokój, spowodowany przybyciem panów w mundurach.

- Zakładam, że wie pani, jak zachowywać się podczas zatrzymania?

- Och, tak. Wolałabym jednak nie spędzić kolejnej godziny twarzą do podłogi, jak to miało miejsce na Belincie.

- Och, Belinta... ledwo uniknęła tam pani śmierci.

- Za to jeden z usiłujących zgładzić mnie ludzi został całkowicie zabity.

- Przez...?

- Przeze mnie - odparła Ky. - Myślałam, że wiedziałeś.

- Nie. Słyszałem tylko o buntownikach na pani statku. I wiedziałem, że nie był to pani pierwszy raz.

- Pierwszy z tej broni - uściśliła Ky, wsuwając ją z powrotem do kabury, gdy w polu widzenia pojawił się pierwszy strażnik. Martin zdążył już schować swoją.

Garda - zza rogu wyszło kolejnych dwóch funkcjonariuszy - przybyła w pancerzach i z bronią gotową do strzału. Ktoś, kogo nie było widać, miał też megafon.

- Osoby przebywające w tym obszarze mają wyjść z rękami uniesionymi do góry!

- To my - powiedziała Ky. - Idziemy. - Podniosła rękę i wyszła zza drzwi z Martinem u boku. Miała nadzieję, że nie było już więcej snajperów. Ścierpła jej skóra, lecz nie rozległ się żaden strzał.

- To już wszyscy? - zapytano przez megafon. Ktokolwiek przez niego przemawiał, musiał wiedzieć, co działo się na korytarzu.

- Tak - odparła Ky. - Przynajmniej z naszej strony.

Uzbrojeni strażnicy podeszli bliżej.

- Macie broń? - zapytał jeden z nich.

- Tak - odrzekła Ky. - Pistolet automatyczny w kaburze na biodrze; wystrzelone trzy pociski. Zabezpieczony.

Jeden z funkcjonariuszy wyłuskał go ostrożnie z olstra i wsunął w specjalną pętlę na ramieniu.

- Tak - powtórzył Martin, zerkając na Ky. - Kabura pod pachą Standardowa Broń 11

mm, zabezpieczona. - Strażnik zabrał mu broń i również umieścił w bezpiecznym miejscu.

Następnie zwrócił się do Ky.

- Pani tożsamość?



- Kylara Vatta z Gary 'ego Tobai - odparła Ky. - A to członek mojej załogi, Gordon Martin.

Po chwili funkcjonariusz odezwał się:

- Dwukrotnie weszła pani dzisiaj w kontakt z prawem: bójka w dokach i posiadanie nielicencjonowanego zwierzęcia.

- Znaleźliśmy to nielicencjonowane zwierzę - poprawiła Ky.

- Przypuszczam, że te trupy również tylko znaleźliście?

- Nie. Szliśmy korytarzem, kiedy ktoś zaczął do nas strzelać. Rzuciliśmy się na podłogę; trafiłam tamtego - Ky kiwnęła głową w stronę ciała, leżącego na ulicy trzydzieści metrów dalej

- a ten został mi przydzielony przez Baritom jako licencjonowany ochroniarz. Zwrócił się przeciwko mnie i chciał zastrzelić z bliska.

- Słucham?!

Ky zaswędział kark, a nie była w nastroju do ignorowania takich sygnałów.

- Czy moglibyśmy udać się na posterunek? Dzisiaj dwóch ludzi próbowało mnie zabić.

Wolałabym zejść z ulicy i znaleźć się w jakimś osłoniętym miejscu.

- Boi się pani pomimo naszej tutaj obecności? - Drwina była namacalna.

- Owszem - odrzekła Ky. - I sądzę, że mam ku temu słuszne powody. Chcę - nie, pragnę

- złożyć obszerne wyjaśnienia, ale wolałabym nie zarobić kulki w głowę, stojąc tutaj i będąc łatwym celem dla strzelca ukrytego w którymś ze sklepów.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Ky przyjęła, że otrzymuje instrukcje poprzez implant lub słuchawki w hełmie. Po chwili odpowiedział:

- W porządku. Zabieramy was do środka. Ręce na głowach.

Posterunek Gardy znajdował się za zakrętem w kierunku, w którym szli. Nikt się nie pojawił, dopóki nie zostawili sceny zbrodni za sobą. Dopiero wtedy za taśmami zebrał się ciekawski tłum. Strażnicy nie udzielali odpowiedzi, popędzając Ky i Martina, dopóki nie znaleźli się wewnątrz budynku. Tam, jako iż autoskaner niczego nie wykazał, pozwolono im opuścić ręce.

- Zyskuje pani coraz lepszą reputację, kapitanie Vatta - zauważył funkcjonariusz za biurkiem. - Nielegalne formy biologiczne, napaści, morderstwo...

- Samoobrona - skorygowała Ky. - Usiłowanie zabójstwa z ich strony. Oraz, mam nadzieję, podszycie się pod pracownika Baritomu, za co prawnie odpowiedzialna jest agencja.

- Przynajmniej tak pani twierdzi - powiedział mężczyzna. - Wkrótce przybędzie tutaj oficer śledczy, by spisać państwa zeznania. Możecie poczekać tam... - Kiwnął głową w stronę drzwi.

- Muszę skontaktować się ze statkiem - oznajmiła Ky. - Spodziewają się naszego rychłego powrotu.

Skrzywił się.

- Jesteście podejrzani...

- Oczywiście - przytaknęła Ky. - Ale nie ma powodów, żeby niepokoić moją załogę, prawda? Wszak nadal jestem za nich odpowiedzialna, poza tym, żywię przekonanie, iż nie chcecie, aby stali się ofiarami wypadków.

- Może pani skorzystać z publicznej łącznicy - zezwolił.

- Idź, Martin; zaraz do ciebie dołączę - powiedziała Ky. Martin kiwnął głową i ruszył

korytarzem za policjantem. Ky podała kod statku.

- Gary Tobai, mówi specjalista od załadunków Barikal. - Mężczyzna sprawiał wrażenie opanowanego, co umocniło nadzieję Ky, iż pod jej nieobecność nie wydarzyło się nic złego. -

Och, kapitan! Przepraszam... dopiero teraz na ekranie pojawił się pani kod identyfikacyjny.

- Nic nie szkodzi. Jest tam Quincy? Czy Beeah już wrócił?

- Nie, kapitanie. Quincy udała się do dostawcy artykułów spożywczych, by wybrać racje żywnościowe. Zabrała ze sobą Jima; nie jest sama. Beeah zadzwonił i poinformował, że je lunch w Piaście Trzy. Chce pani rozmawiać z Mehar? Jest w Inżynierijnym...

- Nie. Wszystko w porządku. Mamy pewne kłopoty. Zostaliśmy napadnięci podczas powrotu na statek. Chcę, żeby cała załoga natychmiast wróciła na statek i została tam. Kto jeszcze jest na zewnątrz?

- Poza panią i Martinem tylko Jim, Beeah i Quincy, kapitanie. Czy u was wszystko w porządku?

- Nic nam nie jest. Chciałabym jednak, żebyś skontaktował się z Quincy i Beeahem -

niech Mehar użyje implantu - i nakazał im natychmiastowy powrót. Zostanę jeszcze przez jakiś czas na posterunku Gardy w Piaście Cztery - prawdopodobnie kilka godzin - ale Mehar może się ze mną tutaj łączyć. Nie wiem tylko, czy zawołają mnie do telefonu. Po prostu siedźcie na statku i zachowujcie czujność.

- Tak jest, kapitanie. Mam dobre wieści odnośnie ładunku. Alene osiągnęła niezły zysk na części cargo Leonory.

- To świetnie - ucieszyła się Ky. - Wolałabym jednak nie rozmawiać o tym na tej linii.

Używam publicznego łącza na posterunku Gardy. Zadzwońię, jak tylko będę mogła.

- Tak jest, kapitanie.

Ky rozłączyła się, uśmiechnęła do skwaszonego funkcjonariusza za biurkiem i poszła do poczekalni wyposażonej w ławkę, wąski stół i dwa krzesła. Jak zwykle opanowany, Martin siedział na ławce, promieniując cichym spokojem, pomimo plam krwi i brudu na ubraniu.

Obdarzył ją miłym uśmiechem. Była pewna, że wygląda gorzej od niego; mdliło ją od smrodu krwi i mózgu na twarzy. Przy drzwiach stanął uzbrojony strażnik.

- Jest tutaj toaleta? - zapytała Ky.

- Będziecie musieli zaczekać, dopóki biegły sądowy nie zbada waszych ubrań - odparł policjant.

Nie musieli czekać zbyt długo. Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, przedstawił się jako inspektor Grant.

- Będziemy musieli przeprowadzić badania sądowe waszej odzieży - oznajmił. - Proszę udać się z moimi asystentami do przebieralni. To nie potrwa długo, a potem będę mógł przyjąć od państwa zeznania.

Miał dwoje pomocników - mężczyznę i kobietę - człomodeli przystosowanych do niskich ciśnień. Ky rozebrała się pod okiem kobiety i podała jej ubranie, zakładając w zamian dostarczony jej prosty, szary strój.

- Musimy także sprawdzić pani dłonie - odezwała się asystentka. Zabrała torbę z ubraniami Ky i poprowadziła ją do kolejnego pomieszczenia z maszyną wyposażoną w duży otwór z przodu, przy której siedział technik. Zgodnie z instrukcjami, Ky wsunęła ręce w dziurę i po około dwóch minutach technik kiwnął głową. Następnie otarł jej twarz kawałkiem materiału i pobrał krew. Potem kobieta odprowadziła ją do poczekalni, oddawszy uprzednio torbę technikowi.

- Jeśli pani potrzebuje, może teraz skorzystać z toalety - poinformowała Ky.

- Chciałabym umyć twarz - odparła dziewczyna. - Mogę?

- Tak - stwierdziła asystentka.

W łazience Ky zeskrobała z twarzy wszystkie widoczne szczątki, żałując, że nie mogła umyć włosów. Nawet po rozczesaniu ich końcówką od suszarki, nadal nie miała wrażenia, że są czyste. Tak naprawdę potrzebowała długiego, gorącego prysznicu. Skorzystała z toalety i ponownie umyła ręce. Następnie wróciła do poczekalni i usiadła naprzeciwko inspektora Granta.

Jak rozumiem, miała pani wyjątkowo zły dzień - zagaił uprzejmym tonem. - A więc, kapitanie Vatta,

przypuszczam, że opowie mi pani, co się stało. Zaczynając od... zacznijmy od momentu, w którym opuściła pani posterunek Gardy w Piaście Trzy po zorganizowaniu kwarantanny dla zwierzęcia.

Ky najlepiej jak umiała opowiedziała o swoich przejściach. Grant poprosił ją o opisanie współpasażerek z tramwajów.

- Czemu wybrała pani akurat taką drogę powrotną? - zapytał, kiedy doszła do skrzyżowania w korytarz, w którym zostali napadnięci. - Czy nie było dla pani oczywistym, iż trzymanie się głównych korytarzy zapewniłoby pani więcej bezpieczeństwa?

- To przez mojego ochroniarza, Willema Turnisha. Zapytałam, czy zna sklep z artykułami dla zwierząt. Potrzebujemy zapasów, skoro mamy zająć się tym szczeniakiem.

Powiedział, że na Wierzbowej jest taki sklep, nazywający się Bioexotics. On także polecił nam kawiarnię - „U Murphy’ego” - gdzie zjedliśmy lunch - dodała.

- Murphy cieszy się dobrą reputacją - stwierdził Grant. - Myśli pani, że was zapamiętali?

- Chyba tak. Nie było zbyt wielu klientów, kiedy tam jedliśmy. Pamiętam nawet, przy którym stoliku. Potem poszliśmy Wierzbową i po chwili korytarz opustoszał; szliśmy szybko, a po drodze przyglądałam się sklepom, czytając ich nazwy i numery. Potem Turnish zawołał:

„Uwaga!” i rzuciłam się na ziemię, gdy padły dwa pierwsze strzały. Leżeliśmy, kiedy strzelono po raz trzeci. Wyciągnęłam broń. Zastrzeliłam zabójcę przed nami i powiedziałam Turaishowi, żeby schował się w najbliższym sklepie, a ja będę go osłaniać.

- I...?

- Przeturlał się i wymierzył broń w moją głowę. Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam się ruszyć - był zbyt blisko, a ja leżałam rozciągnięta na ziemi, z bronią wymierzoną w zupełnie innym kierunku...

- Jest pani pewna, że to był Turnish?

- Absolutnie - potwierdziła Ky. - Był ze mną przez cały czas na odległość ramienia.

- I co stało się potem?

- Martin go zastrzelił. Nie sądzę, żeby Turnish wiedział, iż był uzbrojony, ani że potrafi być taki szybki. Potem wbiegliśmy do tamtego sklepu i zaczęliśmy na policję.

- Ma pani licencję na swoją broń - powiedział Grant. - Sprawdzili to na tamtym posterunku. Lecz pani podwładny - wie pani może, czy posiada licencję na noszenie ukrytej broni?

- Tak - odparła Ky. - Załatwiłam to przy okazji kupna swojej broni w „Ostrzach” w Piaście Trzy.

- Uhm. I oboje nosicie pancerze?

- Tak - potwierdziła Ky. - Również nabyte dzisiaj w „Ostrzach”. Jak pan zapewne wie, mieliśmy powody spodziewać się kłopotów. Lecz prawdziwym niepokojem napawa mnie fakt -

ciągnęła Ky - że usiłował zabić mnie ktoś, kogo wynajęłam poprzez licencjonowaną agencję ochrony. Podał prawidłowe kody rozpoznawcze, przekazane mi wcześniej przez agencję. Czy oznacza to, że firma ochroniarska złamała prawo, czy może brakuje im oryginalnego agenta?

- Zapewniam panią że zbadamy ten aspekt sprawy - oznajmił Grant.

- Utrzymują, że faktycznie wysłali agenta nazwiskiem Turnish, nie wiemy jednak jeszcze, czy zabity mężczyzna to naprawdę Willem Turnish.

- Potrząsnął głową. - Wie pani, dlaczego was ostrzegł? Jeśli brał udział w zamachu na panią, takie postępowanie nie miało sensu.

Ky nie przyszło to do głowy.

- Nie wiem - przyznała.

- Chyba - kontynuował Grant - że uczynił to po to, aby wyglądało na to, iż zastrzelił panią ktoś inny. Wygląda to jednak dość skomplikowanie. Proszę mi powiedzieć, jak się zetknęliście.

Czy zamówiła pani eskortę w Baritomie?

- Skontaktowali się z moim statkiem; przekazano mi wiadomość i oddzwoniłam na podany numer. Powiedzieli, że ich ludzie w doku zauważyli, że wyszłam na zewnątrz i zapytali, czy nie potrzebuję ochrony. Wspominałam im wcześniej o takiej możliwości. Dlaczego pan pyta?

Westchnął.

- Jeszcze nie wiem. Po prostu próbuję zrozumieć, co się dokładnie wydarzyło. Wstępne badania potwierdzają, że osobnik w sklepie „U Andy’ego” wystrzelił trzy pociski, które znaleźliśmy na zewnątrz oraz że pociski te zostały wystrzelone przed tymi, które go zabiły.

Co jeszcze - pomyślała Ky, lecz nie powiedziała na głos.

- Biegli nie są w stanie określić, czy osobnik, znany pani jako Willem Turnish, faktycznie groził pani bronią, nim zastrzelił go pani podwładny. Mamy trudności z uzyskaniem czystego nagrania wideo z tej okolicy. Wygląda to tak, jakby ktoś zamierzał wkleić zupełnie inne nagranie, tylko zbyt szybko weszliśmy do systemu. - Uśmiechnął się drapieżnie. - Nie cieszy nas zbyt odkrycie, że ktoś próbuje zakłócić działanie naszego systemu obserwacyjnego.

- To byłoby... bardzo złe - przyznała Ky.

- Tak. W każdym razie, zebrane do tej pory dowody nie uzasadniają dalszego przetrzymywania pani w areszcie, chociaż, być może, byłaby pani bezpieczniejsza tutaj niż na ulicy. Choć z waszych zeznań bezspornie wynika, że pani podwładny, Gordon Martin, strzelił i zabił rzekomego Turnisha,

wcześniejsze ataki na pani rodzinę sugerują duże prawdopodobieństwo zagrożenia pani śmiercią przez zmarłego. W związku z czym jego również zwalniam z aresztu. Przepraszam na moment. - Wyszedł z pomieszczenia.

Ky odchyliła się na krześle. Szary kombinezon pachniał ostrym, instytucjonalnym mydłem, mimo to nadal czuła coś we włosach. Będzie musiała skontaktować się z Baritorem...

będą ją obwiniać za śmierć agenta, czy przyjmą do wiadomości, że zwrócił się przeciwko niej?

Była cała obolała. Nie miała ochoty wędrować pieszo na przystanek i jechać tramwajem z powrotem do Piasty Dwa.

Wrócił Grant.

- Jako iż jasnym jest, że stała się pani celem czyichś złych zamiarów, mam prawo użyć patrolowego skutera, by przetransportować panią do doków. Nie jesteśmy w stanie zapewnić pani całodobowej ochrony - brakuje nam ludzi - ale tyle przynajmniej możemy zrobić.

- Dziękuję - powiedziała Ky z absurdalnym poczuciem wdzięczności.

\* \* \*

Gdy Ky i Martin wrócili na statek, wszyscy byli już w doku. Zatroskane pytania zbyła stwierdzeniem:

- Oboje musimy się umyć. Potrzebujemy też trochę snu. Mam nadzieję, że urzędnicy na statku poradzą sobie z oczyszczeniem mojego kombinezonu. - Wątpiła w to, ale warto było spróbować.

Po wsadzeniu brudnych ubrań do odświezacza wzięła długi, gorący prysznic i rzuciła się na łóżko. Leżała nieruchomo, głęboko oddychając, i wcale nie mogła zasnąć. Spróbowała medytacji, wyobrażała sobie tęczę... lecz widziała tylko pusty, czarny krąg lufy pistoletu, mierzającej jej w twarz, i czerwoną krew; czuła jedynie wywołany strachem i rozpaczą wstrząs oraz nakładającą się na to radość zabijania. Raz po raz starała się przechodzić od jednego koloru do drugiego, powtarzała uspokajające słowa, lecz za każdym razem wszystko przesłaniał czarny krąg i czerwone rozbryzgi. W końcu wyszła z kajuty, nadal zmęczona, obolała i z porozbijanymi łokciami i kolanami w miejscach, gdzie zetknęły się z chodnikiem...

lecz zbyt podminowana i pobudzona. Może byłoby lepiej, gdyby jej ojciec nie żył, bo przynajmniej nie dowiedziałby się, że jego córka, jego bezcenna dziewczynka, ponosiła odpowiedzialność za zabicie ludzi.

Fakt, próbowali ją ukatrupić - wszyscy, których zabiła - mimo to byli ludźmi, a Szafirowi Cyklanie uznawali mordowanie ludzi za podstawowy dysonans. Porażka, jakiej doznała przy próbie wizualizowania Kręgu świadczyła o tym, że mieli rację, przynajmniej w kwestii wykorzystania tego typu medytacji.

- Jim śpi - odpowiedziała na jej pytanie Quincy. - Mamy coś dla niego. - Standardowy wyjściowy strój astronauty dla osób niezbyt przejmujących się nakazami mody: niebieskie spodnie i płowa

tunika z paskiem i brązowymi wstawkami na rękawach i wokół szyi. Taki strój pozostanie niezauważony na każdej stacji w ich kwadrancie. - Trochę nudne, ale uznaliśmy, że samo zrzucenie wyblakłej zieleni będzie wystarczającym szokiem. - Uśmiechnęła się.

- Dobry pomysł - pochwaliła Ky.

- Wszystko w porządku, kapitanie?

- Nic mi nie jest. No dobrze: mam otarte łokcie, ale to nic poważnego. - Pomachała jej ręką i poszła na przód statku.

Wachtę na mostku pełniła Sheryl.

- Nie będę musiała po nic wychodzić, prawda? - zapytała. Wyglądała na równie spiętą, jak Ky.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Dobrze. Myślę, że Lee miałby na to ochotę. Uważa to wszystko za strasznie ekscytujące. - Jej ton dobitnie wskazywał, że uważała go za szaleńca.

- Ty nie - domyśliła się Ky.

- Nie. Ja... wiem, że jestem pani jedynym nawigatorem, kapitanie, i bardzo panią lubię, ale gdybym nie była zbyt przerażona, by wystawić nos poza statek, poprosiłabym o przeniesienie. Chcę tylko miłej, bezpiecznej koi na miłym, bezpiecznym statku.

Niektórzy ludzie po prostu nie zostali stworzeni do przygód - pomyślała Ky, zastanawiając się, czemu ona tak je lubi.

- Sheryl, gdyby cumował tutaj jakiś statek potrzebujący nawigatora - lub którego nawigator szukałby dreszczyku emocji - powiedziałabym: spróbuj. Nie jestem jednak pewna, czy obecnie łatwo będzie znaleźć tak dużo miłych, bezpiecznych statków. Zgadza się, to Vattowie są w tej chwili atakowani. Są jednak jeszcze inne bogate kompanie kupieckie i dopóki nie odkryjemy, kto to robi i nie powstrzymamy go, każdy jest narażony.

- Przypuszczam, że tak - mruknęła Sheryl. Westchnęła. - Ja tylko... żołądek zawiązał mi się na supeł i nie mogę spać.

- Znam to uczucie - pocieszyła ją Ky.

- Tak, ale pani działa; ktoś próbował panią zabić. Mnie nawet nikt nie zranił, a mimo to tak strasznie się boję. Po prostu siedzę tutaj i... - Jej głos ucichł.

To można było naprawić.

- Sheryl, samotne przesiadywanie tylko pogarsza sprawę. W związku z czym zwalniam cię niniejszym z obowiązku dyżurowania na mostku. Sekundę... - Wywołała inne sekcje i dowiedziała się, że Alene

faktycznie potrzebowałyby pomocy przy przemieszczeniu cargo. -

Od tej chwili zostajesz ładowaczem. Nie w dokach - tylko w ładowniach. Ryzyko nie większe niż tutaj, a będziesz miała zajęcie i przebywała z innymi ludźmi.

Przez chwilę Sheryl wyglądała na oburzoną - nawigator wykonujący pracę fizyczną? -  
zaraz jednak uśmiechnęła się.

- Może to pozwoli mi oderwać się od takich rozmyślań - powiedziała.

- Mam nadzieję - odparła Ky. - A teraz do roboty. Muszę wykonać kilka połączeń. -

Powiedziała Sheryl szczerą prawdę. Jak tylko napastnicy pozbawią Vattów wszelkich zasobów, zwrócą się przeciwko innym. Gdyby udało się jej pozyskać wsparcie pozostałych kupców - czy choćby informacje - nie prowadziłyby dłużej tej wojny w pojedynkę.

W tej chwili na Lastway przebywało szesnaście statków kupieckich. Trzy z kompanii: Szmaragdowe Niebo Pavrati - nie zamierzała rozmawiać z nimi. Sunburst Mellina i S-ki. Nie wiedziała zbyt wiele o Mellinie i S-ce, z wyjątkiem tego, że handlowali z sąsiednim kwadrantem. Ringwalker Outbounda. Outbound zazwyczaj dostarczał zapasy nowym światom, głównie podstawowy sprzęt do terraformowania i budowy kolonii. Pozostali figurowali na liście jako niezależni, począwszy od gigantycznego masowca Pieśń Orlanda, po małego Siatkoskrzydłego o ładowniach mniejszych od Gary'ego Tobai, lecz lepszych silnikach. Ky zaczęła od pierwszych miejsc na liście, pomijając Pavrati i szła w dół w zastanej kolejności.

- Mówi kapitan Vatta - zaczęła, kiedy Sunburst odpowiedział i przełączono ją do kapitana Sundera. - Jestem ciekawa, czy dysponuje pan jakimiś informacjami na temat tych ataków na statki kupieckie...

- Na statki Vattów - poprawił ją. Był człomodelem, choć nie rozpoznawała funkcji niektórych jego organów. Po co mu, na przykład, ten strzałkowy grzebień? Duża narośl na lewym przedramieniu? A czy te skrzela na szyi działały? - Nie słyszałem nic o napaściach na statki innych armatorów.

- To pocieszające - stwierdziła. - Przypuszczam jednak, że kiedy już skończą z Vattami, zabiorą się za kogoś innego. Nie martwi to pana?

- Nawet gdyby, nie dzieliłbym się moimi troskami z panią - odrzekł.

- Szczęście odwróciło się od was; nie chcę się zarazić. - Co rzekłszy, rozłączył się.

- No cóż, wielkie dzięki - prychnęła Ky w stronę pustego ekranu.

Takie same odpowiedzi - z drobnymi wariacjami - uzyskała od reszty.

Wszyscy byli zaniepokojeni; wszyscy rozumieli, że tajemniczy wróg Vattów może obrać sobie kogoś innego za cel. Nikt nie uważał, żeby sprzymierzenie się z Vattami zwiększało jego szanse. Nie starali się również współpracować między sobą - a przynajmniej żaden nie przyznawał się do tego takiemu



pariasowi, jak ona.

- Krótkowzroczni idioci - mruknęła do siebie Ky. - Wkrótce skończą jak ja, jeśli nie zaczną wybiegać myślą naprzód.

- Rozmawia pani ze sobą? - Na mostku pojawił się ziewający Lee.

- Gdzie jest Sheryl?

- Odesłałam ją do ładowni. Odchodziła od zmysłów, siedząc tutaj sama.

- Jeśli potrzebuje pani prywatności, mogę pójść przygotować coś do jedzenia -

powiedział Lee. - I tak na mnie wypada kolej w kuchni.

- Dobra myśl - zgodziła się Ky. - Choć nie mam pojęcia, na co mi prywatność, skoro żaden z kapitanów nie chce rozmawiać ze mną o zaistniałej sytuacji. Niektórzy oferują przynajmniej wyrazy współczucia, wszyscy jednak obawiają się zarażenia pechem.

- Mogłaby pani spróbować przekonać ich, że jest ucieleśnieniem farta - stwierdził Lee. -

Wystarczy spojrzeć, ile zamachów pani przeżyła.

Ky roześmiała się.

- Nie sądzę, żeby docenili akurat ten rodzaj szczęścia - uznała. - Ale, owszem, jestem głodna.

Przyniósł jej tacę z jedzeniem i powiedział:

- Quincy kazała przypomnieć pani o paczce, która przyszła pod pani nieobecność.

Zaniosła ją do pani kajuty. Widziała ją pani?

- Nie - odparła Ky. W tej chwili jednak głód pokonał zaciekawienie. - Rzucę na nią okiem po jedzeniu.

Spałaszowała

miskę

przyrządzonego

przez

Lee

pikantnego

gulaszu

mięsno-warzywnego, a potem przeszła się korytarzem po przesyłkę. Rozpoznała charakter pisma MacRoberta. Pewnie kolejny model statku kosmicznego. Ciekawe, jaką niespodziankę będzie zawierał? Ugryzła zaserwowaną przez Lee na deser kremówkę i przyłożyła kciuk do wbudowanego w opakowanie mikroskanera. Wierzchnia foliowa powłoka rozeszła się wzdłuż płaskiego spawu i zrolowała. Jej oczom ukazała się kolejna warstwa opakowania.

Rozdarła je i zamiast oczekiwanego pudełka z modelem wyciągnęła grubą teczkę, zapieczętowaną znakiem Służby Dyplomatycznej Slotter Key.

- Co to takiego? - zapytał Lee.

- Nie mam pojęcia - odparła Ky, przesuwając palcami po pieczęci. Rozłamała ją. W

plastikowym etui znajdował się gęsto zapisany dokument o nagłówku opatrzonym Pieczęcią Stanu. Zaczęła czytać. Co...? To nie mogło być tym, na co wyglądało. Odłożyła teczkę i przetrząsnęła paczkę. Znalazła kopertę z pismem od MacRoberta.

Nie, to nie jest kolejny model statku kosmicznego - zaczynał się list.

Twoja rodzina poinformowała mnie, że wcześniej czy później pojawisz się na Lastway, wobec czego przesłałem to do rąk zaufanego agenta. Szykują się kłopoty. Nie znam skali, ale są pewne sprawy, o których musisz wiedzieć. Po pierwsze: Siły Kosmiczne są jedynie niewielką częścią kosmicznego systemu obrony Slotter Key. Resztę przekazano w ręce prywatne - można ich nazwać kaprami. Twoje działania na Sabinę udowodniły, że - w co zawsze wierzyłem -

posiadasz odpowiednie umiejętności i charakter.

No to świetnie - MacRobert w głębi duszy podejrzewał, że była morderczynią... dopiero po chwili zarejestrowała słowo „kapr”. „Piraci w kupieckich szatkach” - jak zwykł określać ich jeden z instruktorów... Czyżby MacRobert werbował wśród studentów Akademii Sił

Kosmicznych kandydatów na piratów?

Zawsze byłaś odrobinę zbyt niezależna na Siły Kosmiczne - kontynuował list: Ta śliczna teczuszka ze służby dyplomatycznej zawiera list kaperski, dający ci prawo podejmowania działań w imieniu Slotter Key przeciwko naszym wrogom, jak również atakowania, zdobywania innych statków oraz przejmowania ich ładunków. Według Twojego uznania. Powinnaś trzymać ten list pod ręką, by móc okazać go na każde żądanie. Jak zapewne sama zauważysz, możesz przyczepić go do grodzi za pomocą poręcznego mocowania z tyłu ramki. Nie jest wart starożytnego materiału, na którym został napisany, jeśli przyjdzie do odpowiedzenia ogniem na ostrzał i jest uznawany jedynie przez wymienione na samym dole systemu prawne. Przeczytaj to koniecznie, albo możesz zostać internowana w jakimś zapadłym, nudnym więzieniu. Niewiele zdziałasz tym maleństwem, sugeruję więc jak najszybszą zmianę statku na lepszy.

W międzyczasie zamów u Buchert Brothers dostawę „blokady antyzap achów ej „: MASKEM 315-

2337, sześć sztuk. Ktoś zadzwoni i zapyta, czy to właściwy symbol, a Ty odpowiesz, że tak. Otrzymałą przesyłkę otwórz w dyskretnym miejscu. Rozpoznasz zawartość. W tej chwili tylko tak możemy Ci pomóc.

Z pewnością chcesz dowiedzieć się, kim są wrogowie Slotter Key... w tej chwili nie mogę Ci tego powiedzieć. Coś złego dzieje się z ISC, coś znacznie poważniejszego od wydarzeń na Sabinę. Mamy przesłanki, by sądzić, że szykuje się coś dużego. Działaj z rozwagą. Komendant przesyła wyrazy szacunku.

Ky wróciła do dokumentu. W archaicznym i skomplikowanym stylu upoważniał ją, Kylařę Evangelinę Dominique Vatta do wyszukiwania i utrudniania, nękania, niepokojenja, konfiskowania, atakowania i niszczenia wszelkich nieprzyjaciół Slotter Key, gdziekolwiek się na nich natknie, w przestrzeni kosmicznej czy w porcie, wszystkimi dostępnymi środkami, w dalszej swej treści instruował zaś oficerów Slotter Key, dyplomatów, wojskowych i

„sprzymierzonych”, kimkolwiek byli, do udzielania jej pomocy w tych przedsięwzięciach.

Prócz pełnego zaskoczenia i oszołomienia odczuwała także coś, czego nie mogła do końca zaaprobować. Uniesienie. Wyczekiwanie. Radość.

- To... dość interesujące - powiedziała do Lee, odzyskując oddech. Czy powinna mu powiedzieć? A niby dlaczego nie? W tym mało prawdopodobnym przypadku, gdyby zechciała skorzystać z mocy tego dokumentu, będzie potrzebowała pilota. - Nasz rząd chce, żebym została piratką.

- Co?!

- Dokładniej rzecz ujmując: kaprem. To - postukała w etui - jest list kaperski.

Uczyliśmy się o czymś takim w szkole; nie miałam pojęcia, że ktoś to jeszcze robi. Teraz, a nie stulecia temu w dalekich krainach. To jest... pozwolenie na robienie niemal wszystkiego.

- Każdemu...?

- Nie, tylko wrogom Slotter Key, których - jak utrzymuje ten drugi list - nie potrafią mi jeszcze wskazać. Musiał być wysłany... - zerknęła ponownie na pismo od MacRoberta i jego datę. - Tak. Przed rozpoczęciem napaści na Vattów, zanim staliśmy się persona non grata dla rządu Slotter Key. Co może oznaczać, że owe pismo jest już nieważne, choć, sama nie wiem...

- Tylko, gdyby formalnie je anulowali, jak sądzę - zasugerował Lee. - Oczywiście, nie jestem żadnym ekspertem, ale z pewnością jakoś by panią o tym poinformowali.

- Nie mogą tego zrobić - odparła Ky. - Nie działają ich ansible.

Ku jej zdumieniu Lee wyglądał na bardziej podekscytowanego niż przestraszonego.

- Mimo to nie jesteśmy prawdziwymi kaprami, prawda? Przysłali pani pieniądze, albo lepszy statek?

- Nie, chyba że ukryli go w dezodorancie, który mam zamówić w drogerii. A co -

podoba ci się ten pomysł?

Nie odpowiedział wprost, pytając w zamian:

- Czy... zamierza pani to zrobić?

Przysły jej do głowy wcześniejsze obiekcje przed zostaniem piratem, ale... jaki miała wybór?

- Zamierzam sprawdzić, co kryje się w dezodorantach - odparła. - Co do reszty, to jeszcze nie wiem.

- Gdybyśmy mieli odpowiedni statek, mogłoby być zabawnie - powiedział Lee. Po czym zmarszczył brwi, gdy na niego spojrzała. - Wiem, to trudne i niebezpieczne. Nie miałem na myśli „zabawne” w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale... zabawniejsze od przewożenia tam i z powrotem ładunków.

- Marnowałaś się w handlu - zauważyła.

- Pani także, kapitanie.

- Sama nie wiem... kilka tygodni bez znalezienia się pod ostrzałem zaczyna być coraz bardziej nęcącą perspektywą.

Lee potrząsnął głową.

- Znużyło to panią.

- Może. Sheryl, Alene i Ted nigdy się nie zgodzą. Nienawidzą takiej „zabawy”.

- Może znajdą sobie inny statek. O ile jakkolwiek statek jest teraz bezpieczny.

Odszukała Buchert Brothers w spisie.

„Zaopatrzenie statków i restauracji, bogata oferta w przystępnych cenach.” Tylko tyle napisali. Lista produktów wyglądała całkiem normalnie: artykuły luzem i w paczkach, markowe i nie, począwszy od środków czyszczących po „świeże ryby ze zbiorników, żywe do chwili odłowienia”. Porównała ceny z dwoma innymi dostawcami - niemal takie same. Szybki rzut oka na poziom ich zapasów... Złożyła zamówienie na środki czyszczące, proszek proteinowy w pięciokilogramowych skrzynkach, tuzin zestawów substancji smakowych, komplet tacek do piekarnika i wymienione w liście „blokady zapachowe”.

Kilka godzin później, po uniesieniu wieka skrzyni we wnętrzu ładowni, Ky ujrzała doskonale znane jej kształty. Miała przed sobą droższą wersję min, które zarezerwowała.

Mniejsze i nieco lżejsze, zapewniały najbardziej wyrafinowane metody ataku na elektronikę nieprzyjaciela. Właściwie nastawione i podrzucone, mogły wyeliminować wszystkie systemy statku, nie czyniąc najmniejszych spustoszeń fizycznych. Doskonały oręż dla pirata - kapra - a ona dostała

takich sześć.

- No, no, no - mruknął Martin. - Ktoś panią lubi.

- Lubił, nie wiem, jak to wygląda teraz - odparła.

- Coś bliżej?

- List kaperski - wyjaśniła. - Przesyłka przyszła, gdy byliśmy zajęci szczeniakiem albo zamachowcami. Tak czy owak, została podpisana i autoryzowana na długo przed rozpoczęciem ataków na Vattów i decyzją rządu, żeby zacząć nas ignorować.

- Bardzo wygodnie - uznał Martin.

Ky zamknęła skrzynię.

- Umieść to tak, żebyśmy w razie czego mogli szybko się do tego dostać - poleciła Alene. - Będziemy ich potrzebować, jak tam wrócimy.

- Co to takiego? - zapytała Alene.

- Coś, o czym powiem wam, jak znajdziemy się w jakimś bezpiecznym miejscu -

odrzekła Ky. Sześć min. A w MilMarcie czekało na nią jeszcze piętnaście konwencjonalnych ładunków wybuchowych. Wpłaci depozyt, jak tylko zdobędzie wystarczającą ilość pieniędzy.

## ROZDZIAŁ 9

Toby Randolph Lee Vatta osunął się na twardą prycę w celi. Nie zrobił nic złego, a mimo to wylądował w więzieniu. Pozbawiony możliwości skontaktowania się z rodziną i to bez słowa wyjaśnienia, dlaczego nie mógł do nich zadzwonić.

- Proszę bardzo - odezwał się strażnik. - Obiadek. - To ten najgrzeczniejszy, pomyślał

Toby. Sprawiał wrażenie dobrego, starszego brata lub ojca. Dla kogoś, kto nie był więźniem.

- Dzięki - mruknął, gdy strażnik postawił tacę z jedzeniem na stole. Przekrzywił głowę.

- Znowu nie jesteś głodny?

- Raczej nie...

- Myślisz o rodzinie?

- Tak. - Jakżeby inaczej? Ellis Fabery wysadzona w powietrze w doku, tysiące ofiar -

wybuch zniszczył cały sektor. Połowę załogi tworzyli Vattowie, od kapitana po szefa załadunków. A Toby'ego nie było na pokładzie, gdyż otrzymał nagrodę za nienaganą, sześciomiesięczną służbę w

charakterze praktykanta. Jego kuzyn Dex, kapitan, pozwolił mu opuścić statek pod pozorem wykonania jakiegoś prostego zadania. Zanieś tę wiadomość do banku, przynieś odpowiedź, nie walęśaj się po drodze, zachowuj się jak dorosły. Dzięki temu znalazł się cztery sektory dalej i właśnie studził piętę w poczekalni menedżera banku, gdy statek wyleciał w powietrze, krzesło zakołysało się pod nim, a grodzie bezpieczeństwa opadły.

Implant wyłączył się. O ile wiedzieli, był jedynym ocalałym. Nieletnim. Potencjalnym celem zabójców.

- Nikt nie lubi więzień - stwierdził strażnik. Przysiadł na drugim końcu pryczy. - Ale to dla twojego bezpieczeństwa.

Wyjaśniali mu to już wcześniej, jakby był głupi i nie potrafił pojąć tego za pierwszym razem. Zrozumiał. Nie potrafił sobie tylko z tym poradzić. Jeszcze nigdy w życiu nie był sam wśród obcych, kompletnie oddzielony od rodziny i przyjaciół.

- Wiem, że robicie wszystko, co w waszej mocy - powiedział. Bądź zawsze grzeczny wobec obcych; bądź zawsze grzeczny wobec przedstawicieli prawa. - Ja po prostu... nie jestem głodny. - Uśmiechnął się. - Pewnie za mało ćwiczę.

- Tracisz na wadze - zauważył strażnik. - Nie chcielibyśmy, żebyś zaniknął do czasu, aż zgłosi się po ciebie rodzina.

- Przylatują? - zapytał Toby. Poczł przyplływ nadziei; serce zabiło mu mocniej.

- Na pewno przylecą - pocieszył go strażnik.

- Ale jeszcze nic nie wiecie...

- Nie. - Strażnik westchnął. - Posłuchaj, synu. Łączność jest zerwana. Przesłaliśmy wiadomość; nie wiemy, czy przeszła, zanim zamilkły ansible. ISC w końcu je naprawi, a wówczas ktoś przyleci. Nie wiemy po prostu, kiedy to nastąpi. Allray jest nieco oddalone od głównych szlaków.

Kiedyś Allray sprawiało bardzo egzotyczne wrażenie. Na Stacji Allray zaaranżowano wystawę pomniejszych form tutejszego życia. Toby oglądał zdjęcia w sieci; bardzo chciał

zobaczyć żywego hekstana i heks-niedźwiedzia. Dex obiecał mu wolne popołudnie, gdyby wszystko szło dobrze, a Anders z Inżynieryjnego zaofiarował się zabrać go na rynek i wystawę fauny.

A teraz jedyne, co widział na Allray, to wnętrze celi i widocznych z niej pomieszczeń.

Miał zestaw wideo, a strażnicy przynieśli mu kostki rozrywkowe, nie zgodzili się jednak zapewnić mu łącza ze światem. Przez ten cały czas mógł jedynie oglądać kolejne odcinki Gangu Langa, Poza prawem, Widmowych Okrętów... Nie zauważał tego przedtem, lecz teraz każda eksplozja, bitwa czy walka przypominała mu o poniesionej stracie. Nie narzekał. Cóż innego miał tutaj do roboty? Poprosił o jakieś programy studenckie w nadziei, że zakopie się w zadaniach matematycznych, okazało się jednak, że o kilka poziomów wyprzedza najbardziej zaawansowane programy, jakie mieli

na stacji. Jego wielka siostra Erin zawsze powtarzała mu, że był zbyt mądry i nie wyjdzie mu to na dobre, ale nigdy nie przypuszczał, że przykładanie się do prac domowych skáže go teraz na nudę w więziennej celi. Przecież nie zrobił nic złego.

- Biegli badają ich... no te... uch... pozostałości - zaplątał się strażnik. - Masz jakieś...

może wiesz... czego sobie życzyli?

W najczarniejszych snach nie przypuszczał, że będzie organizował pogrzeb dla rodziny i towarzyszy z załogi. Gula w gardle okazała się zbyt wielka; nie mógł wykrztusić słowa.

Pokręcił głową.

- Nie wyznajecie żadnej religii?

Ołtarz rodzinny w domu i bogowie, których imion go nauczono, wydawali się teraz pozbawieni znaczenia jak kostka plastiku. Co dobrego zrobił kuzyn Dex, by pozostać w zgodzie ze standardami etycznymi? Co dobrego zrobili Hallie, Prin i Veeah, by stać się świadkami Dni Milczenia? Byli martwi, a jedynym powodem ich śmierci była czyjaś zła wola.

Nie ocalił ich żaden z bogów, do których się modlili. Nie był w stanie wytłumaczyć tego nawet tak miłemu strażnikowi. Wzruszył tylko ramionami, mruganiem strząsając łzy.

- Myślę, że możemy potrzymać ich jeszcze trochę w zamrażarkach - powiedział

mężczyzna. Westchnął ciężko i wstał. - Synu, czasami powinieneś z kimś pogadać. Jesteś pewny, że nie możemy zrobić nic więcej, żeby ci pomóc? Przecież wiesz, że nie jesteśmy twoimi wrogami.

- Wiem - odparł Toby. Zabrzmiało to szorstko, ale tylko tak mógł ukryć drżenie głosu.

Strażnik wyszedł. W celi rozszedł się zapach jedzenia. Zrobiło mu się niedobrze, choć doskwierał mu głód. Czy uda mu się coś zjeść? Po dwóch kęsach chleba omal nie zwymiotował. Położył się na pryczy i wtulił twarz w ramię. Kiedy strażnik przyszedł po tacę, Toby odwrócił się twarzą do ściany, naciągając koc na głowę.

\* \* \*

Stella Maria Celeste Vatta Constantin rozejrzała się po Allray z czujnym zainteresowaniem. Dzięki zamieszaniu, które uczyniło ją rodzinnym pośmiewiskiem i złym przykładem dla młodszych, nigdy nie wysłano jej w zwyczajową, szkoleniową podróż międzygwiazdną. Owszem, podróżowała, ale dopiero, kiedy była starsza i zawsze w jakiejś misji. Allray wyglądałoby egzotycznie dla czternastolatki, lecz nie dla kobiety po trzydziestce.

W jej oczach było podniszczone i tandetne, a była za stara, by wziąć to za egzotykę. Dzięki podróżowaniu pod nazwiskiem męża uniknęła komentarzy przy odprawie celnej. Była to jedna z rzeczy, dzięki którym lubiła podróże - nikt nie kojarzył jej imienia Stella z tą idiotką, która zdradziła tajne kody rodzinne swej pierwszej miłości.

Kapitan statku kurierskiego ISC przekazał jej złe wiadomości o Ellis Fabery, jak tylko wynurzyli się w przestrzeni Allray, nie znał jednak żadnych szczegółów. Implant Stelli nie zawierał pełnej listy załogi; na początku roku wymieniono część jej członków i stara lista była nieaktualna.

Dotarła na posterunek policji. Na pewno będą wiedzieli, kto zginął na statku.

- Jest pani krewną? - zapytał funkcjonariusz za recepcją. Stella uśmiechnęła się.

- Muszę porozmawiać z oficerem dyżurnym - powiedziała. - Mam listy uwierzytelniające od rodziny oraz zgodę na zajęcie się szczątkami.

- A co z chłopcem?

- Chłopcem?

- Dzieciakiem - ktoś musi się nim zająć.

- Nie poinformowano mnie o żadnym chłopcu - odparła Stella, błyskawicznie przeglądając w implancie dane o najmłodszych Vattach. Wiek ucznia... Keth? Preston? Toby?

Gio? - Ile ma lat?

- Czternaście. Tylko on przeżył. Mówi, że ma na imię Toby. Skoro jest pani przedstawicielką rodziny, to podejrzewam, że będzie pani musiała go zabrać.

Brakowało jej tylko czternastoletniego chłopca, pętającego się z nią podczas wykonywania misji. Niestety, nie mogła tego powiedzieć, zwłaszcza urzędnikowi za ladą.

- A oficer dyżurny? - powtórzyła pytanie.

- Ach. Racja. Zaraz go ściągnę.

Kształt pod kocem wyglądał na zbyt mały, by mieć czternaście lat.

- Nie jadł zbyt dobrze - powiedział strażnik. Stella zerknęła na tacę z nietkniętym, wystygłym, mało apetycznym jedzeniem.

- Widzę.

- Próbowaliśmy... sam próbowałem... ale był taki zamknięty w sobie...

Nic dziwnego, pomyślała.

- Toby - zawołała cicho. - Toby, obudź się.

Koc poruszył się i zaraz znieruchomiał.

- Toby - powtórzyła Stella. - Pora już iść...



Spod koca wynurzyła się wychudzona twarz z niebezpiecznie błyszczącymi oczyma.

- Kto... kim jesteś?

- Stella Constantin. Przyleciałam tutaj uporządkować sprawy. Możesz pójść ze mną.

Na twarzy zagościła podejrzliwość.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jedną z nich?

- Nie jest, chłopcze. Sprawdziliśmy - odezwał się strażnik. Lecz Tobie nie spuszczał z niej wzroku.

Westchnęła.

- Tobie, słyszałeś kiedyś o głupiej córce Stavrosa, Stelli, tej idiotce, która zdradziła rodzinne kody kochankowi?

Brwi chłopca powędrowały do góry.

- Ty jesteś...?

- Tą Stellą, zgadza się. Lecz nawet ja nie pozostałam idiotką na zawsze. Wyciągnijmy cię stąd, co?

Odrzucił koc i wstał niepewnie.

- Ja... nie czuję się najlepiej...

- Jak słyszałam, nie jadłeś nawet tyle, by utrzymać przy życiu mysz... co zdradza również zawartość tej tacy. Nie zemdlej mi, Tobie; nie mamy na to czasu.

- Proszę pani... - zaczął zaniepokojony strażnik.

- Zjedz bułkę - poleciła Stella, nie zwracając na niego uwagi. - Proszę... - Przełamała ją na pół, posmarowała dżemem i podała chłopcu. - Jedz.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym wziął bułkę i odgryzł kawałek.

- Tobie, chcę zabrać cię z tej stacji, zanim ktoś nas tutaj znajdzie. Zadbaliśmy już o pozostałe sprawy...

- Zauważyła, jak jego szczeka na moment nieruchomieje, po czym podejmuje przeżuwanie. - Odebrałam twoje rzeczy i kupiłam coś do założenia, co nie jest więziennym strojem ani mundurem Vattów. Będziesz podróżował ze mną jako mój syn.

- Ja... jesteś za młoda!

- Nie martw się, będę wyglądać wystarczająco staro. Skończ tę bułkę i zjedz jeszcze jedną. - Odwróciła się do strażnika. - Mógłby pan zorganizować nam kilka ciepłych kanapek?

- Oczywiście.

Po jego wyjściu Toby zapytał:

- Dokąd idziemy?

Stella uniosła brwi. Nie powiedział: Dokąd mnie zabierasz... zaczynał się angażować.

Obiecujące.

- Nie chcę powiedzieć ci tego tutaj - odparła. - Ci ludzie zrobili wiele dobrego, ochraniając cię, ale nie jestem pewna, czy ich nagrania są tak bezpieczne, za jakie je uważają.

Pochłonął drugą bułkę i zaczął spozierać łakomie na resztę zawartości tacy, pomimo warstwy zgęstniałego tłuszczu na czymś, co mogło być mięsem.

- Nie - rzuciła Stella. - Po tak długim okresie głodowania lepiej, żeby twój żołądek przyzwyczał się najpierw do bułek.

- Ale sama poprosiłaś o ciepłe kanapki.

- Poprosiłam o zostawienie nas samych, tylko innymi słowami - uściśliła.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Nie zachowujesz się jak... jak kapitan.

- Nie. Nie jestem nim. Nie jestem astronautką. Pracuję w administracji... - Odkąd stała się wszystkim. Odkąd przestała być tylko „tą idiotką Stellą”, dyżurnym przykładem wszystkiego, co mogło pójść źle. Nic nieznacząca pozycja, którą piastowała do zajścia w ciążę.

Co robiła potem, nie wiedział nikt.

- Ale kłamstwo...

- Podsunięcie mylnego tropu - poprawiła go Stella. - Podobne, ale inne.

- Nie uważam kłamstwa za nic dobrego - oznajmił.

- Nie uważam za nic dobrego skończenie w grobie dla czyjejś wygody - skontrolowała. -

Możesz już wstać?

Mógł, choć lekko się zachwiał. Stella podała mu torbę.

- Załóż to. Odwrócę się.

- Nie wyjdiesz?

Ta pełna przerażenia skromność - pamiętała ją z okresu własnego dorastania.

- Nie - odparła, odwracając się do niego plecami. - Nie zamierzam. Nie interesuje mnie twoje wychudzone, małe ciało, chyba że w sensie utrzymania go przy życiu. Przebieraj się.

Usłyszała pełen oburzenia szmer nastolatka. Dobrze. Gniew na nią uchroni go przed omdleniem. Skupiła uwagę na wnętrzu posterunku. Strażnik powinien był już wrócić. Czemu go jeszcze nie było? Dlaczego nikt tutaj nie zagląda? Czemu nie słyszy odgłosów krzątania, które zignorowała, gdy tu weszła? Zwróciła się z pytaniem do implantu w tej samej chwili, gdy zaalarmował ją o skażeniu chemicznym. Wstrzymała oddech, sięgnęła do kieszeni i założyła na twarz maskę ochronną po czym wyciągnęła drugą i okręciła się na pięcie ku Toby'emu w samą porę, by ujrzeć, jak otwiera usta.

- Nie! - zawołała i rzuciła mu maskę. Dzięki bogom, był dobrze wyszkolony - wiedział, co to było i nie oddychał, dopóki jej nie założył. Nowy strój - jednoczęściowy, zielony kombinezon - wisiał na nim zapięty do połowy. Gmerał palcami przy zamknięciu, po czym podniósł kurtkę, wytrzeszczając oczy.

- Umiesz posługiwać się bronią? - zapytała Stella. Pokręcił głową. - W takim razie trzymaj się tuż za mną - poleciła mu. Wyciągnęła własną, choć zastanawiała się, czy coś jej pomoże, jeśli przeciwnicy byli uzbrojeni tak, jak podejrzewała.

Na korytarzu nic się nie poruszało. Na samym zakręcie dojrzała strażnika, który miał

przynieść im kanapki... jak również same kanapki, walające się na podłodze koło jego wyciągniętej ręki. W drugą stronę... w głąb więzienia... zatrzymała się na chwilę, by wsunąć wysoce nielegalną sondę danych w gniazdko w ścianie przy stanowisku strażnika, skąd wyciągnęła plany posterunku. Każde miejsce na stacji kosmicznej ma przynajmniej dwa wyjścia. To miało cztery: główne na korytarz, dwa tylne oraz jedno boczne, przez mniejsze biuro.

Nie było czasu na długie zastanawianie się - poprowadziła Toby'ego w prawo, ku tylnemu wyjściu koło cel. Jeśli nieprzyjaciel wierzył w swój gaz, mógł nie obstawić tyłów, względnie mógł okazać się niedbały.

Zewnętrzne drzwi były oczywiście zamknięte. Spodziewała się tego. Oczy Toby'ego rozszerzyły się jeszcze mocniej, gdy wyjęła z kieszeni zestaw narzędzi. Otwieranie zamków mechanicznych i elektronicznych nie należało do standardowych umiejętności córek Vattów, lecz Stella nie widziała powodów, dla których nie miałyby poszerzać wiedzy... albo informować ojca o wszystkim, czego się nauczyła.

Wyszli na korytarz techniczny, zastawiony pudłami ze śmieciami, schludnie oznaczonymi odpowiednimi etykietkami, opisującymi rodzaj umieszczonych w środku odpadków. Po prawej stały otworem drzwi do - po zapachu sądząc - kafejki, przy których stał

przepełniony pojemnik na odpadki biologiczne. Przypomniała sobie, że obok posterunku znajdowała się kawiarnia „Huntari”... zapewne ulubiona przystań policjantów, co dyskwalifikowało te drzwi jako najlepszą drogę ucieczki. Dalej mieściła się piekarnia i warzywniak... pospieszyła z Tobym w tamtą stronę.

- Czy możemy zdjąć...? - zaczął.

- Nie - rzuciła przez ramię. - Następnym razem możemy nie otrzymać żadnego ostrzeżenia.

Obejrzała się w samą porę, by dostrzec kogoś zaglądnącego do korytarza, kto natychmiast się cofnął. Niedobrze. Znajdowali się na wysokości Księgarni i Antykwariatu Murchisona, przy którym stał pojemnik wypełniony opakowaniami. Drzwi wyglądały na uchylone. Szarpnęła za uchwyt; otworzyły się. Wepchnęła Toby'ego do środka, wślizgnęła się za nim, zamknęła drzwi i napierając na zasuwę, dokładnie je zaryglowała.

Znaleźli się na zapleczu zagraconym kolejnymi opakowaniami i pustymi pudłami, piętrzącymi się na biurku i podłodze. Za zamkniętymi drzwiami znajdował się właściwy sklep.

Wąska klatka schodowa po prawej prowadziła ku drzwiom na piętrze, oznaczonym napisem PRYWATNE. Stella nie słyszała żadnych hałasów; zwiększyła czułość implantu i wychwyciła kroki na zewnątrz oraz głosy za drzwiami. Dwa? Trzy? Nie rozumiała, o czym mówili.

Na zewnątrz rozległy się odgłosy kolejnych kroków, tym razem zbliżających się do nich. Rozejrzała się dokoła. Żadnej kryjówki. Pozostawały schody na górę. Skinęła na Toby'ego, przykładając palec do warg. Jeśli właściciel zabezpieczył prywatne biuro alarmem, to mieli pecha, ale w przeciwnym razie...

Byli już przy drzwiach, gdy rozległo się walenie do tylnego wejścia. Stella sprawdziła drzwi do prywatnego biura - otwarte. Pchnęła je - nie rozległ się żaden alarm - i wciągnęła Toby'ego do środka. Zamknęła drzwi, gdy jej wzmocniony słuch wyłapał odgłos otwierającego się przejścia do sklepu i zbliżających się kroków.

- O co chodzi? - zapytał sklepikarz.

- Otwierać - rozległ się głos z zewnątrz.

- Wejście do sklepu znajduje się przy Wyścigowej 3214. To wejście jest zamknięte - odparł księgarz.

- Otwieraj, do diabła! W środku są zbiegowie!

- Tędy nie weszli. A wy kim jesteście? Nie wyglądacie mi na... - Odgłosy szamotaniny.

- Nie jesteście z policji! - Nierozpoznawalny hałas, metaliczny chrzęst i donośny łoskot. A potem mamrotanie, zrozumiałe dzięki wzmocnionemu słuchowi: - Co oni, za jakiegoś głupka mnie biorą, czy co? - Po czym głośniejsz: - Sam, tu Rafe. Coś tu się dzieje; lepiej sprawdź

posterunek na Czwartej Wschodniej Błękitnej. Jacyś chuligani próbują sforsować moje drzwi od zaplecza, twierdząc, że ścigają uciekinierów, ale to nie twoi chłopcy. - Szczęknięcie, jeszcze jedno, a potem: - Hardy? Tu Rafe. Mam kłopoty na tyłach, pewnie zajdą mnie od frontu. Policja nie odpowiada. To może być ta banda, której szukamy.

Stella zamrugała. Chuligani! Ostatni raz słyszała to słowo, wypowiedane przez bardzo podobny głos dwa lata temu bardzo daleko stąd. Rafe? Ten Rafe?

- Ach... nie odpowiadają co? Cóż, muszę zamknąć sklep, zanim dostaną się od frontu.

Dzięki. - Szybkie, cichnące kroki; nie było odgłosu zamykania drzwi pomiędzy sklepem a zapleczem.

Stella rozejrzała się po biurze. Panował w nim większy porządek niż na dole -

standardowa stacja danych i monitor, łóżko przykryte pasiastym kocem, mały syntezytor i kuchenka, zasłona, za którą - zerknęła - znajdowała się mikroskopijna, lecz bardzo czysta ubikacja oraz prysznic. Szafy nad biurkiem i wzdłuż ściany. Na drugim ekranie dostrzegła jakiś ruch - monitor systemu bezpieczeństwa, na którym widziała plecy właściciela, opuszczającego właśnie kraty na witryny. Zauważyła, że drzwi były już zamknięte na sztabę. Mężczyzna był

średniego wzrostu, szczupły; przerzedzone włosy wiązał w warkocz ze wstążeczką.

Zabezpieczył drugie okno i odwrócił się.

Zatkało ją. To naprawdę był Rafe. Zerknął do kamery i uśmiechnął się. Mrugnął okiem.

To było pewne. Wiedział. Naturalnie. Na pewno miał podgląd wideo w swoim biurze, jak również na dole i musiał już ich sprawdzić. Wrócił za ladę sklepową nie podnosząc więcej wzroku. To także było bardzo typowe dla Rafe'a: osiągnął swój cel. Teraz będzie czekał na odsiecz, którą wezwał. Stella obejrzała się na Toby'ego, żałując, że nie może dodać mu otuchy.

Był za młody na to wszystko, ona zaś nie mogła służyć mu wyjaśnieniami; Rafe z pewnością wszędzie miał mikrofony.

Gdyby wiedział, że tutaj byli i kim byli - kim była ona - mogłaby skorzystać z jego systemu sama. Odszukała panel sterujący wewnętrznymi kamerami i przekierowała jedną tak, żeby śledziła Rafe'a. Stał za kontuarem, wprowadzając do komputera jakieś dane - listę książek piętrzących się na ladzie, o czym przekonała się, dokonując zbliżenia. Starych książek, antyków, wydrukowanych na prawdziwym papierze. Nie mogła skupić się na tytułach, za to była w stanie podłączyć się do komputera, z którego korzystał.

Uczyła tak, zwracając uprzednio kamerę w stronę drzwi do sklepu. Pod dzisiejszą datą widniała lista książek tak dziwacznych, że Stella zatrzymała przewijanie, próbując domyślić się, jaki szwindel Rafe tym razem planował. Tomy dotyczące historii społeczeństwa trzydzieści dwa łamane przez trzydzieści siedem? Spisy nieruchomości w miejscach, o których nigdy nie słyszała? Trzy książki kucharskie? Zestaw instrukcji dla kamerdynera? W

dzisiejszych czasach z pewnością nikt nie kupował takich rzeczy...

Toby stuknął ją w ramię i pokazał na toaletę. Pokręciła głową. Narobiłby hałasu... choć podejrzewała, że Rafe zabezpieczył całe piętro przed podsłuchem i skanowaniem najlepiej, jak tylko umiał, bulgotanie w rurze czy odgłos spuszczenia wody nie dawał się naprawdę skutecznie

wygluszyć.

Kątem oka pochwyciła jakiś ruch na monitorze. Podniosła wzrok. Rafe podchodził do drzwi, trzymając w ręce broń, której nie rozpoznała.

Zgłośniła dźwięk. Donośny brzdęk, a potem syk... Rafe błyskawicznie sięgnął do kieszeni i przytknął rękę do twarzy. Sprawdziła odczyt chemiczny - jeszcze nic, po prostu był

ostrożny. Na samym środku drzwi zabłysło światelko; napastnicy próbowali wypalić sobie drogę do środka. Wtem z zewnątrz dobiegły odgłosy jakiegoś potężnego zamieszania: głosy, łomoty, trzaski, huk wystrzałów i przypominający darcie tkaniny dźwięk wydawany przez szybkostrzelną broń małokalibrową, załadowaną bezpiecznymi dla stacji pociskami rozpryskowymi. A potem cisza.

Stojący czujnie przy drzwiach Rafe zawołał:

- Drużyna osiedlowa?

- Mamy ich, Rafe - rozległ się głos na zewnątrz. - Dziesięciu. Poli jeszcze nie przyjechali... czekaj, już tu są.

- Skażenie chemiczne, Hardy?

- Nie. Możesz otworzyć, o ile nie uszkodzili ci zanedo drzwi. W kracie antywłamaniowej masz dziurę, w której spokojnie mógłbym się zmieścić.

- Zgoda. - Rafe schował broń za monitor i walnął w przycisk drzwi. Zewnętrzne zabezpieczenie odsunęło się powoli na bok, by zatrzymać siew połowie. Otworzył drzwi. Stella skierowała kamery na zewnątrz. Ujrzała stopioną część - na pasku przeczytała temperaturę, oszacowaną na podstawie promieniowania cieplnego - a za nią porozrzucane ciała i oddalających się kilku uzbrojonych mężczyzn. W polu widzenia pojawiły się umundurowane postacie - policja, jak założyła.

- Wygląda na to, że miałeś jakieś problemy - zauważył jeden z przybyszów.

- Wszyscy mieliśmy - odrzekł Rafe. - Ustaliliście, dlaczego posterunek na Czwartej Wschodniej Błękitnej nie odpowiedział?

- Odurzeni gazem - odparł zapytany. - Sądzimy, że napastnicy szukali tam dzieciaka Vattów. Musieli go dopaść, bo już go tam nie ma. Czemu niepokoił cię, Rafe?

- Twierdzili, że szukali zbiegów. Próbowali włamać się przez tylne drzwi, podając się za policję. Na szczęście były zamknięte. Przypuszczam więc, że dzieciak musiał jakoś zwiać.

Przecież sami nas ostrzegaliście, że powinniśmy udzielić mu schronienia - ktoś musiał go przygarnąć.

- Nie ty?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Rafe. - Jak już mówiłem, tylne drzwi są zawsze zamknięte, z

wyjātiem chwil, gdy wystawiam na zewntrz śmieci lub idę do Huntari na lunch, a wtedy zwykle zamykam je za sob. Nikt ich jeszcze nie zgłosił?

- Jeszcze nie. - Policjant wzruszył ramionami. - Mog być wszędzie, o ile napastnicy jeszcze ich nie dopadli. Musimy ich znaleźć, na wypadek, gdyby zostali tu jeszcze jacyś źli faceci. A przy okazji... wiesz, że patrole obywatelskie s nielegalne?

- Przez cały czas siedziałem w środku, Fred.

- Słusznie. Twoi uzbrojeni sąsiedzi i przyjaciele przechodzili tędy zupełnie przypadkowo...

- Na całej stacji jest niespokojnie, Fred. Gdyby postanowili pomóc mi pod nieobecność policji... uznałbym to za dobry uczynek.

- Nie narzekam - stwierdził policjant. - Tylko przypominam o panującym prawie - na tym polega moja praca. Jeśli nie stwierdzam naruszenia porządku, to... to wszystko, co muszę zrobić.

- Dziękuję - powiedział Rafe tonem, który Stella doskonale rozpoznawała. Zawsze miał dar do złośliwości.

- Chcesz, żebyśmy sprawdzili sklep?

- Jak chcecie, choć - jak już mówiłem - byłem cały czas zamknięty, kiedy przyszli, a nie udało im się dostać do środka od frontu. Chociaż mało brakowało.

- Jeżeli jesteś pewien... mamy co innego do roboty. W ciągu godziny zjawi się tutaj nowa zmiana - tamci chłopcy wszyscy wylądowali w szpitalu - i zwiększymy liczbę patroli.

Biegli będą musieli obejrzeć ciała i sprawdzić, czy dadzą radę je zidentyfikować. Daj mi znać, gdybyś zobaczył tego dzieciaka od Vattów. Och, kręci się tu jeszcze jakaś przedstawicielka Vattów... zmierzała na posterunek, ale nie wiemy, czy tam kiedykolwiek dotarła.

- Ona?

- Tak, kobieta. Prześlę ci zdjęcie. Nie jest członkiem rodziny - pracuje dla nich. S. M.

Constantin. Prawdopodobnie prawniczka. Przyleciała kurierem ISC.

- J również mam zgłosić?

- Jeżeli j zobaczysz. Miejmy nadzieję, że te szumowiny jej nie dopadły.

- Miejmy nadzieję - zgodził się Rafe. - Słuchaj... muszę zadzwonić do Remontowych, żeby przysłali mi ekipę. Pogadamy później, dobra?

- Jasne. - Policjant odwrócił się na pięcie.

Rafe zamknął drzwi, zabrał broń i wrócił za ladę, ponownie przesyłając uśmiech do kamery. Następnie wykonał najzupełniej zwyczajny telefon do Służby Remontowej Stacji, prosząc o pilną naprawę lub wymianę kraty zewnętrznej oraz drzwi sklepu.

- Mogę być w biurze na piętrze... zadzwonie, jak już u mnie będziecie. - Po raz ostatni zerknął w stronę kamery i ruszył ku zapleczu.

Stella obniżyła czułość implantu na dźwięk i obróciła się do Toby'ego.

- Wygląda na to, że zaraz będziemy mieli towarzystwo. Pamiętaj: wtargnęliśmy tutaj i nie mamy żadnych praw.

- Tak... - Toby znowu zbladł. Stella schowała broń do kabury. Usłyszała kroki na zapleczu, a potem na schodach. Drzwi otworzyły się.

Stał w nich Rafe, wydymając wargi i kręcąc głową.

- Stello, Stello, Stello... musisz być taka dramatyczna?

- Ja? - Tylko tyle zdołała wykrztusić; jak zwykle jego widok zaparł jej dech w piersiach, a w głowie zaczęły tłoczyć się wspomnienia.

- Moja droga, jeśli po prostu chciałaś mnie znowu zobaczyć, wystarczyło zadzwonić...

choć przypuszczam, że w obliczu awarii ansibli mogło to nastęrczać pewne trudności. -

Skierował wzrok na Toby'ego. - Dzieciak Vattów, jak sądzę? Uciekł z aresztu? Lepiej skorzystaj z ubikacji, chłopcze; wyglądasz, jakbyś miał zaraz zarzygać mi podłogę, a tego bym nie chciał.

Toby obrzucił Stellę zrozpaczonym spojrzeniem; skinęła głową i pomknął do toalety.

- Niezła robota, Stello - stwierdził Rafe, nie zwracając uwagi na dobiegające z ubikacji odgłosy. - Odrzucasz moje zaproszenie, ignorujesz mnie przez te wszystkie lata, a potem włamujesz się do mojej księgarni i ściągasz na głowę bogowie wiedzą jakie kłopoty...

przypuszczam, że wolałabyś, abym nie mówił polim, że tu byłaś?

- Załoga posterunku wszystko im wyjaśni, kiedy - jeżeli - się obudzą - odparła Stella. -

Poszłam tam wydać dyspozycje co do szczątków załogi naszego statku, a oni powiedzieli mi o Tobym i chcieli, żebym go stamtąd zabrała. A potem wszystko ucichło i kiedy wyjrzałam...

zobaczyłam nieruchome ciała. Wysłałam z nim tylnymi drzwiami...

- O których zupełnie przypadkowo wiedziałaś i umiałaś otworzyć - dopowiedział Rafe, kiwając głową.



- Wciąż noszę przy sobie wytrychy - odparła.

- Założę się, że również sondę danych - dodał Rafe, tym razem z aprobatą. - Zawsze twierdziłem, że jesteś podobna do mnie bardziej, niżbyś chciała przyznać.

- A twoje drzwi były uchylone - dokończyła Stella.

- Na szczęście dla was - stwierdził Rafe. - Gdyż wytrych wywołałby wybuch ogłuszający. Zaraz po powrocie usłyszałem dzwonek do drzwi wejściowych i nie sprawdziłem, czy tamte zamknąłem za sobą. Głupio z mojej strony. Byłoby kiepsko, gdyby tamci dostali się tutaj jako pierwsi. Przypuszczam, że uważasz, iż powinienem ci za to podziękować?

- Nie - odrzekła Stella. - Lecz przyjmę podziękowanie, jeśli je zaoferujesz.

Rafe roześmiał się. Ten sam śmiech. Poczwała ciepłe mrowienie. Przeklęty facet.

Legendy głoszą, że pierwsza miłość zawsze zachowuje nad człowiekiem władzę, lecz w jej przypadku pierwsza miłość była dość nieprzyjemnym wspomnieniem - jak mogła zakochać się w takiej gliście? - Rafe pozostawał zaś ciągłą pokusą.

Z toalety wyszedł blady jak ściana Toby; sprawiał wrażenie nieco bardziej rozluźnionego.

- Przepraszam - wymamrotał.

- To strach - stwierdził Rafe. Obdarzył chłopaka przyjacielskim uśmiechem, bez śladu pożądlivych spojrzeń, jakimi obrzucał Stellę. - Wyglądasz na zagłodzonego, chłopcze; nie dawali ci posiłków na posterunku?

- Nie mogłem jeść - mruknął Toby. - A teraz...

- Zjadłbyś całą porcję za jednym zamachem, co? Stello, decyzja należy do ciebie: możecie zjeść tutaj, albo udamy wobec policji, że właśnie się odnaleźliście, o czym ich powiadomimy, a potem zabierzemy chłopaka do Huntari na porządny obiad.

- Chcę jak najszybciej zapewnić mu bezpieczeństwo, które - jak przypuszczam -

znajdzie dopiero na pokładzie statku nie powiązanego z Vattami i przemierzającego kosmos.

Jak sądzisz - zamachowcy jeszcze się czają?

- Hmm. Możliwe. Ale znalezienie statku również nie będzie łatwe. Większość nie zabierze na pokład nikogo związanego z Vattami, ani nikogo ze Slotter Key, tak na wszelki wypadek. Będziecie potrzebować innej tożsamości, o ile taki jest twój plan. Dokąd polecicie? Z

powrotem na Slotter Key?

- Nie. Chyba na Lastway. Nikt nie spodziewa się, że tam właśnie się skierujemy, poza tym, układ

znajduje się na obrzeżu kwadrantu.

Przekrzywił głowę.

- Lastway. Ale Vattowie handlują z nimi, prawda?

Stella zakłęta w duchu. Oczywiście, że o tym wiedział. Jego siatka informatorów pokrywała całą galaktykę.

- Od czasu do czasu - odparła. - Żadnych regularnych kursów, choć nie jestem wprowadzona we wszystkie interesy rodziny.

- Twoja zwichrowana przeszłość - rzucił, udając współczucie. Miała ochotę mu przyłożyć.

- Moja zwichrowana przeszłość - powtórzyła zamiast tego. - A więc... przypuszczam, że mógłbyś zorganizować nam inne tożsamości?

- Będzie łatwiej, jeśli poli nie dowiedzą się, że tu jesteście - odparł. - Mają takie...

tradycyjne podejście do ID.

- Co oznacza tak - Stella wyjaśniła Toby'emu, który przyglądał się im szeroko otwartymi oczyma. Przynajmniej nie przerywał.

- W takim razie lepiej nakarmić chłopca tutaj - orzekł Rafe.

## ROZDZIAŁ 10

Kiedy Toby pałaszował miskę papki z przyprawami i dodatkami regeneracyjnymi, Rafe ustawiał skanery. Stella wyciągnęła się na łóżku, nieprzyjemnie świadoma jego alternatywnego przeznaczenia.

- Na stacji wrze - rzucił Rafe przez ramię. - Przypadkowe napaści w dokach - nic nadzwyczajnego. Zemsta, bójkę, walki całych gangów w portowych knajpach -

przyzwyczailiśmy się do tego i tak samo jest na każdej stacji. Ale wysadzenie w powietrze zacumowanego statku - to wszystkimi wstrząsnęło. Zabicie nie tylko załogi, lecz również połowy ludzi w sektorze, w tym tamtejszej ekipy ratunkowej. Od tamtej pory przylatuje do nas dwa razy mniej statków i nikt nie ma o to do nikogo pretensji, choć zaczyna brakować nam zapasów. Sytuacja jest daleka od krytycznej, niemniej zaczyna być dokuczliwa. Polim brakuje środków; wiesz, jak to jest z ochroną stacji...

- Tak - zgodziła się Stella. Nie miała ochoty na jego wykłady o organizacji policji i straży; słyszała je wcześniej.

- W związku z tym mieszkańcy stacji zorganizowali straż obywatelską. Wszyscy wiedzieli, że zbrodniarze zostali na stacji, być może polując na chłopaka lub czekając na inne statki Vattów. Lub statki sprzymierzone z Vattami. Z technicznego punktu widzenia to nielegalne, lecz w praktyce poli i

zarząd stacji z zadowoleniem przyjęli naszą pomoc.

Wieloletni mieszkańcy stacji uzyskali nawet dostęp do zbrojowni policji. Niestety, nie należą do tej grupy.

Nie mógł, jako iż pięć lat temu był jeszcze zupełnie gdzie indziej. Z nią. Stella milczała, więc Rafe podjął opowieść.

- Słyszałem, że przyleciałaś kurierem ISC. Wiesz coś o kłopotach z ansiblami?

- Tylko tyle, że zamilkły niemal wszędzie, a ISC usiłuje ponownie je uruchomić.

Najwyraźniej część uszkodzono, a inne zniszczono.

- Mmm. Uszkodzenie wskazywałoby na sabotaż, działanie od wewnątrz. Jaka jest ich opinia?

- Dano mi do zrozumienia, że nie powinnam pytać - odparła. - Taki był warunek zabrania mnie na pokład. W końcu otrzymam od nich wiadomość, nie mam jednak pojęcia, za ile transferów to nastąpi.

- Rozumiem. - Rafe obrócił się z krzesłem. - W danej chwili nie widzę dla siebie korzyści z udzielenia wam pomocy. Co masz do zaoferowania?

- Wystarczającą ilość dóbr wymienialnych - odparła. Oczywiście, że nie pomoże im bez zapłaty; przecież to był Rafe.

- Jestem umiarkowanie zainteresowany dobrem tej stacji - oświadczył Rafe. - To był

zyskowny układ, niemniej wzmożone środki bezpieczeństwa i osłabienie handlu może zmniejszyć moje zyski. Biorąc pod uwagę, jaką rolę odegrali Vattowie w moich obecnych kłopotach, być może powinienem znaleźć sobie inne źródło dochodów.

- Mianowicie jakie?

- Może powinniśmy zastanowić się nad spółką - stwierdził Rafe, uważnie oglądając paznokcie. - Twoja rodzina jest w rozsypce; potrzebujecie sojuszników. Mam... pewne...

doświadczenie i powiązania. Ty masz, jak sama określiłaś, dobra zbywalne, zaś twoja rodzina legendarne doświadczenie w handlu i osiągnięciu zysków... oraz drugą we wszechświecie sieć sprzedaży, jak rozumiem.

- Ale jak mamy ci pomóc, skoro jesteśmy w rozsypce? - zapytała Stella. - Obawiam się, że proponujesz spółkę, do której nie możemy wnieść odpowiednio dużego wkładu korzyści...

- Może i w rozsypce, ale bez wątplenia macie dostęp do miejsc, do których ktoś... taki jak ja nie może się dostać. I na odwrót. Jak wspomniałem wcześniej, bylibyśmy świetnymi partnerami.

- Być może, ale na krótki czas. Niestety, jak wiesz, Rafe, jestem winna lojalność komu innemu.

- Wiem. Tak przynajmniej mówiłaś. - Spojrzał na Toby'ego, który wpatrywał się w pustą miskę, usilnie ich ignorując. - Rozumiem, że przetrwanie i dobry stan tego chłopca jest dla ciebie priorytetem. Tak w ogóle, to kim jest dla ciebie?

- Kuzynem - odrzekła.

- Aha. - Rafe wyciągnął nogi przed siebie. - No cóż, zacznijmy od zapewnienia mu bezpieczeństwa. Została mu jakaś rodzina, czy to zobowiązanie na całe życie?

- Mam uszy - mruknął Toby, nie podnosząc wzroku. Stella uśmiechnęła się na ten dowód ducha Vattów.

- Przepraszam, chłopcze - rzucił Rafe. - Ale siedziałeś tak cicho...

- Nie wiem! - wyrzucił z siebie Toby. Oczy zaczęły mu niebezpiecznie błyszczeć. -

Wiem, że mój wujek nie żyje, jak również cała załoga statku, ale nie wiem nic o reszcie... o rodzicach... - Spojrzał na Stellę. - A ty?

- Ja też nie - odparła Stella. - Wiem, że statki i posiadłości Vattów zostały zaatakowane w wielu miejscach, lecz przez te oniemiałe ansible nie można było dowiedzieć się niczego o twoich rodzicach. Niemniej ty żyjesz.

- I zależy nam na utrzymaniu tej sytuacji - dodał Rafe. Obdarzył chłopca uśmiechem pełnym charakterystycznego dla niego, szelmowskiego uroku. - Jeśli to ci odpowiada, przyrządź sobie jeszcze jedną miskę. Musisz być silny i sprawny, gotowy na wszystko, co może nadejść.

- Jak poznałeś Stellę? - zapytał Toby.

Uśmiech Rafe'a rozszerzył się.

- Niech no policzę sposoby... nie, to nie było miłe. Ale przynajmniej zostało ci tyle krwi, żeby się zaczerwienić. Spotkaliśmy się ze Stellą kilka lat temu i to wszystko - ot i cała prawda.

Zaproponowałem jej, żeby została moją partnerką, a ona odmówiła. Wolą wrócić do rodziny.

- Ty byłeś tym... eee, przepraszam... - Rumieniec Toby'ego pogłębił się, gdy zorientował się, że właśnie wdepnął w sprawy dorosłych.

- Nie - odrzekła stanowczo Stella. - Nie, to nie on. On był po... po tamtym. - Serce jej łomotało i musiała głęboko odetchnąć. Przeklęty Rafe! Nie miała ochoty roztrząsać tego ze szczeniakiem, nawet, gdyby mieli czas na pełne wyjaśnienia. - Niemniej ma rację. Jeśli możesz, powinieneś jeszcze trochę zjeść.

- Ty również, Stello - stwierdził Rafe. Odmówiła potrząśnięciem głowy. - Rozumiem dbałość o sylwetkę, ale potrzebujesz sprawnej głowy, a głód w tym nie pomaga.

- Nie jestem głodna - upierała się Stella. - Zjadłam obfite śniadanie.

- No to co... partnerzy?

- Tak po prostu zamkniesz księgarnię i wyjedziesz?

- Bez odpowiedniej ilości pasażerów przewijających się przez stację nie ma zbyt wielkiego popytu na książki i antyki - odrzekł Rafe. - Poza tym, coraz trudniej o nowy towar, a mieszkańcy stacji kupili już wszystko, co chcieli.

- Rafe, czym tak naprawdę handlujesz?

Twarz mu stwardniała.

- To moja sprawa, nie uważasz?

- Nie, skoro mamy zostać partnerami. Zbyt wiele wilków siedzi mi już na ogonie; muszę wiedzieć, na jakie dodatkowe ryzyko możesz mnie narazić.

Rozłożył ręce.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niektóre paczki mogły zawierać... pewne rzeczy... nie ujęte w liście przewozowym, ale sama widziałas, jak przyjaźnie odnoszą się do mnie tutejsi poli. - Zerknął ponownie na Toby'ego. - Może omówimy to szerzej innym razem.

- Może - zgodziła się Stella. Była wykończona - typowa reakcja organizmu po długotrwałym napięciu. - Chyba też coś zjem.

- Dobrze - przytaknął Rafe. - Nie chciałbym, żebyś żałowała decyzji podjętych pod wpływem niskiego poziomu cukru we krwi.

- Jesteś taki rozsądny - mruknęła i uśmiechnęła się, gdy obrzucił ją oburzonym spojrzeniem.

- Czego potrzebujesz z bazy? - zapytał. - Bazujesz na kurierze, czy coś wynajęłaś?

- Wszystkie naprawdę potrzebne mi rzeczy mam przy sobie - odparła. - Niemniej na statku została moja torba. Poza tym, muszę dać im znać, że nie wracam z nimi.

- Nie mieliby miejsca dla trojga?

- Raczej nie. - Jej kajuta była ciasna nawet dla jednej osoby; przypuszczała, że systemy podtrzymywania życia na kurierach były mniej elastyczne niż na frachtowcach.

- Będziemy musieli to ustalić. Ufasz im?

- Oczywiście - odparła. Patrzył na nią w milczeniu. Przypomniała sobie o wspomnianych przez niego implikacjach awarii ansibli. - Och. Masz na myśli, czy ufam tej konkretnej załodze? - Przytaknął.

Zastanowiła się. Byli pedantycznie uprzejmi i równie mało dociekliwi, co dyskretni. - Gdyby chcieli mnie zabić, z łatwością mogli to uczynić.

- Taaa... - wycedził. - Niemniej nie podróżujesz jako Vatta, prawda? Policja mówiła, że jesteś tylko przedstawicielką Vattów.

- Z pewnością wiedzą - odrzekła.

- Uhm. Prawdopodobnie. To powinno wystarczyć, niemniej będziesz potrzebowała bezpiecznej łączności. Czegoś lepszego od łączy stacji, które są... łatwe do podsłuchania.

- Masz takie możliwości - podsumowała. Nie była tym zaskoczona.

- Mógłbym mieć - poprawił ją łagodnie. - Jak każdy z moim doświadczeniem. Dla dobra chłopca zalecałbym nadzwyczajną ostrożność. I - wybacz podejrzliwość - wolałbym upewnić się, że naprawdę posiadasz te kosztowności, o których wspomniałaś.

Stella wyciągnęła broń; Rafe nawet nie drgnął, choć czuła, że jego uwaga wyostrzyła się. Podała pistolet Toby'emu, który pospiesznie odstawił miskę z drugą porcją.

- Toby, możesz nie znać tego modelu. Ta czerwona gałka to bezpiecznik. Odciągnij ją.

Jest odbezpieczony. Celuj w Rafe'a, któremu absolutnie wierzę, że jest Rafem...

Rafe uśmiechnął się, tym razem z całkowitą aprobatą.

- I nie zawahaj się strzelać, jeśli wykona jakiś ruch lub nagle upadnę.

- Tak... - potwierdził Toby. Zauważyła, że ręka mu nie zadrżała.

- A teraz pokaz - oznajmiła Stella. Sięgnęła za dekolt, do bezpiecznej kieszonki, z której wydobyla małe, aksamitne zawiniątko. Wytrząsnęła kamienie na dłoń; rozświetliły pomieszczenie brylantowym blaskiem. Rafe wstrzymał oddech. - Tak - potwierdziła. -

Doskonałe. Naturalne. - Wsypała je z powrotem do jedwabnej sakiewki, którą zatknęła za stanik.

- Zakładam, że masz ich więcej? - upewnił się Rafe. Puls mu przyspieszył, co uwidoczniło się na jego szyi.

- O tak - odrzekła. - Ale nie wszystkie znajdują się w tym samym miejscu.

- Naturalnie - przytaknął. - Cieszę się, że dysponujesz odpowiednim kapitałem, by wejść ze mną w spółkę na równych prawach. Zakładam, że powinienem teraz pokazać moje zasoby... - obrócił się na krześle.

- Toby - rzuciła Stella. Rafe zmarł. - Zakładam, że powinieneś siedzieć zupełnie nieruchomo - oznajmiła - dopóki nie przypieczętujemy umowy.

- Nie chcesz zobaczyć stanu moich rachunków? - rzucił nieco zbyt lekko Rafe.

- Nie chcę zobaczyć wylotu lufy broni, którą trzymasz w biurku lub masz przy sobie - odparła.

- A niech mnie, naprawdę nauczyłaś się czegoś - przyznał. Rozłożył ręce. - W porządku.

Warunki?

- Nagranie - odrzekła. Pokazała palcem na implant. - Wiem, że masz włączone skanery, przynajmniej tutaj, dzięki czemu będziesz dysponował własnym zapisem. - Zaczerpnęła powietrza i zaczęła. - Umowa partnerska na czas ograniczony do sześćdziesięciu dni, przedłużana za zgodą obu stron. Może zostać zakończona przez każdą ze stron, za odpowiednim powiadomieniem, dostarczonym z dwudziestoczworgodzinnym wyprzedzeniem na stacji lub w ciągu dwudziestu czterech godzin po przylocie na pokładzie statku. Warunkiem absolutnym umowy jest całkowite, osobiste zabezpieczenie stron przed atakami fizycznymi, chemicznymi i biologicznymi ze strony partnera lub jego agenta w trakcie trwania umowy oraz przez minimum trzy dni po jej zakończeniu. Warunkiem zwyczajnym jest pełna wymiana informacji istotnych dla stron niniejszej umowy oraz opcjonalna wymiana pozostałych informacji. Rafaelu Stonerze Madestanie, czy wyrażasz zgodę na te warunki?

Zrobił żalostną minę.

- Nie powinienem był nigdy tak doskonale cię wyszkolić, Stello. Tak, ja, Rafael Stoner Madestan przyjmuję warunki proponowane przez Stellę Marię Celeste Vatta - przepraszam, nie znam twojego nazwiska po mężu. Przysięgam dotrzymać tych warunków wobec moich partnerów w tym... przedsięwzięciu. Czy chłopiec również w to wchodzi?

Stella z rozmysłem nie odwróciła wzroku w stronę Toby'ego.

- Jest w odpowiednim wieku. Toby, czy przyjmujesz te warunki jako pełnoprawny partner, czy wolisz ochronę przynależną niepełnoletnim?

- Pytasz o to mnie? - Głos mu się załamał, zaraz jednak opanował się.

- Jako członek rodziny Vattów... tak, zgadzam się na te warunki jako strona umowy, uznając zarówno Stellę Marię Celeste Vatta Constantin, jak i Rafaela Stonera Madestana za moich partnerów w tym przedsięwzięciu.

- Świetnie - uznała Stella. - Ja zaś, Stella Maria Celeste Vatta Constantin uznaję ciebie, Toby'ego Lee Vattę oraz ciebie, Rafaela Stonera Madestana za moich partnerów w tym przedsięwzięciu na warunkach zarejestrowanych w moim implancie oraz w zapisie systemu bezpieczeństwa biura Ser Madestana.

- Znakomicie - rzucił Rafe. - Czy teraz chłopiec - przepraszam, Toby - mógłby przestać celować we mnie z odbezpieczonej broni?

- Oczywiście - zgodziła się Stella. - Toby, skieruj broń w stronę podłogi i przesun czerwoną gałkę.

- Jesteś pewna, że możemy mu ufać? - zapytał Toby.

- Musimy sami się o tym przekonać - odparła. - Ale, tak: Rafe postępuje według własnego kodeksu honorowego i wierzę, że możemy mu ufać.

Toby skinął głową i wypełnił polecenie; Rafe czekał nieruchomo, aż broń znalazła się z powrotem w rękach Stelli, a potem w kaburze. Dopiero wtedy pozwolił sobie na ciężkie westchnienie.

- Stello, najdroższa, omal nie doprowadziłaś mnie do narobienia sporego bałaganu.

Wierzę, że Toby strzeliłby do mnie.

- Faktycznie zrobiłby to - przytaknęła Stella. - Niemniej nie uczynił tego, więc nie masz powodów do narzekań, prawda?

- Zgoda - potwierdził. - Wobec tego, do roboty. Kiedy zdałem sobie sprawę, że handel ulatuje z powietrzem uciekającym ze stacji po wybuchu, zacząłem zamieniać część moich zasobów finansowych na taki sam rodzaj łatwo przenośnych dóbr wymiennalnych, jakimi dysponujesz. Rzecz jasna, było to trudne, gdyż inni mieszkańcy stacji chcieli zrobić dokładnie to samo, a antyki nie są dobrami niezbędnymi.

- A tobie zawsze brakowało pieniędzy - dodała Stella. Rafe pokręcił głową.

- Wyciągnąłem wnioski z grzeszków młodości - odparł. - Owszem, wystarcza mi.

Proponowałbym teraz oddać moje zapasy na przechowanie, wyjaśnić władzom, że bez handlu nie osiągam odpowiednich zysków.

po czym wyjechać. Gdybyś rozpowszechniła wiadomość, że zatrudniasz mnie, na przykład na etacie ochroniarza, to by wyjaśniło...

- Że antykwariusz posiada umiejętności strażnika?

- Nie, mój wyjazd. Być może zatrudniłaś mnie jako najlepszego, jakiego udało ci się znaleźć w obliczu niechęci profesjonalnych ochroniarzy?

- A okazaliby niechęć? - spytała Stella.

- Można byłoby im to... zasugerować - odrzekł Rafe.

Nie mogła powstrzymać chichotu.

- Rozumiem. Czyli prowadzisz na tej stacji interesy wykraczające poza handel książkami i innymi przedmiotami, jak również... czymkolwiek, co przybywa dodatkowo w paczkach.



Rozłożył ręce.

- Za dobrze mnie znasz, Stello.

Niestety. Niemniej po pełnym przestachu uświadomieniu sobie, że naraża siebie i swoje uczucia na niebezpieczeństwo, doszła do wniosku, że Rafe był tą osobą, która mogła -

być może - pomóc jej dostać się na Lastway i odnaleźć Ky. Zwłaszcza, gdy miała ze sobą Toby'ego.

- Myślę, że najpierw należałoby powiadomić ISC, że potrzebujemy więcej koi, o ile są w stanie zorganizować...

- Zabezpieczonym łączem. Potrzebujesz bezpiecznego połączenia. Masz numer kontaktowy kuriera?

- Tak. Co, masz porozwieszane wszędzie pająki optyczne?

- Może nie wszędzie - mruknął, wyciągając spod książki wiązkę cienkich, sztywnych włókien i układając je w standardową konfigurację wtyczki, którą następnie umieścił w gnieździe z boku biurka. - Numer miejsca postojowego... mam. W porządku. Jako, iż pewien jestem, że mi nie ufasz, kod wprowadzisz własnymi, białymi jako lilia rączkami.

Stella podeszła do biurka i wystukała kod. Oczywiście, jego system zapamięta go, ale nie był tajny. Spojrzała na Rafe'a, gdy ikona połączenia zabłysła zielenią.

- Chcesz, żebym ułożyła tekst?

- Tak byłoby lepiej - odparł.

- Dobrze. - Stella opisała odpowiednio fakty i zaczekała, aż w odpowiedzi zażądano włączenia wizji. Rafe wzruszył ramionami i poszedł zdjąć koc z łóżka, a Stella zasiadła za biurkiem.

- Przewody wideo są po twojej lewej ręce, w trzecim rzędzie - odpowiedział Rafe.

Stella odnalazła je i podłączyła.

Z monitora wyjrzał oficer łącznościowy kuriera. Jakość obrazu była doskonała, czego zresztą oczekiwała po sprzecie Rafe'a.

- Czy u pani wszystko w porządku? - zapytał. - Coś mocno poruszyło policję na stacji i kapitan chciałby jak najszybciej odlecieć.

- Nic mi nie jest. Jos, nie powiedziano nam, że z ataku na statek Vattów ktoś ocalał -

praktykant, którego nie było w tym czasie na pokładzie. Dla jego bezpieczeństwa trzymali go w areście. Właśnie go wypisywałam, kiedy... zaczęły się kłopoty. Rzecz w tym, że muszę wydostać go ze stacji i zawieźć w bezpieczne miejsce, ale założę się, że nie macie dodatkowego miejsca.

- Eee... mogę zapytać kapitana. Jaki jest duży?

- Jest jeszcze jedna osoba - dodała Stella, nie odpowiadając na pytanie. - Biorę sobie tutejszą obstawę, nie mogę sama odpowiadać za bezpieczeństwo tego dziecka.

- Jestem pewny, że my nie będziemy mogli tego zrobić - zdecydował oficer. - Zapytam kapitana, ale... jesteśmy tylko statkiem kurierskim.

- Wiem. I jestem wam bardzo wdzięczna, ale w tej chwili sytuacja wygląda tak, jak ją przedstawiłam.

- Rozumiem. Nadal jednak ma pani u nas swoje rzeczy, jak również pilne wiadomości dla Prezy... a tak w ogóle, to skąd pani dzwoni?

- To bezpieczne łącze - odrzekła Stella. - Wiem, ale jestem pewna, że możesz zostawić moje rzeczy w porcie i przyjąć ode mnie wiadomość impulsową.

- Możemy to zrobić, lecz jeśli coś pani grozi...

- Nic mi nie będzie - zapewniła go Stella. - O ile przez jakiś czas pozostanę wraz z chłopcem w ukryciu.

Toby nie chciał zostać sam w biurze na górze, lecz Rafe uparł się, że Stella nie powinna iść do doku sama.

- Jest szansa, że wszyscy już nie żyją lecz jeśli jest inaczej, to Stella potrzebuje eskorty, a ja nie mogę pilnować was obojga jednocześnie.

- A jeżeli ktoś tutaj przyjdzie? - spytał Toby. - Nawet nie powinno mnie tutaj być. -

Wyglądał dużo lepiej; Stella zauważyła, że wzmocniona papka zrobiła swoje.

- Zapytałem Remontowych, kiedy mogą zabrać się za naprawę i odpowiedzieli, że nie wcześniej, niż za dwa dni - nie uporali się jeszcze ze skutkami eksplozji w dokach. A patrolowi osiedlowemu zapowiedziałem, że nie otworzę księgarni, dopóki nie naprawią mi drzwi. Nikt nie powinien się zjawić, a nawet jeśli - nie zwracaj na nich uwagi. Na wszelki wypadek... - Rafe otworzył jedną z szuflad regału; cokolwiek tam było, nie wyglądało na standardowe teczki kartotekowe. Wyjął broń z magazynkiem bębnowym. - To jest broń do kontrolowania tłumu, Toby. Każdym strzałem może położyć kilku przeciwników, ponieważ załadowany jest szrapnelami... nie, Stello, to nie jest zabronione, choć śmiertelnie proste w użyciu. Wystarczy, że wymierzysz w bandytów, Toby, i pociągniesz za tę dźwignię. Kopie jak muł, więc oprzyj go o biodro lub biurko. Narobi okropnego bałaganu, łącznie ze zniszczeniem ściany za twoim celem, toteż użyj go tylko, kiedy będzie to naprawdę niezbędne. A wtedy nie wahaj się ani chwili. Jeśli chodzi o zabezpieczenie przed atakiem chemicznym, to mam coś lepszego od tych masek membranowych Stelli - dobre to do chodzenia po stacji bez zwracania na siebie uwagi, ale to... - Wyciągnął standardowy kombinezon ochronny Pittsdona - ... jest znacznie lepsze.

Nosiłeś kiedyś taki?

- Ćwiczyliśmy z nimi na statku - odparł Toby.

- Świetnie. Włączyłem wszystkie systemy alarmowe. Masz implant... zobaczmy...

powinieneś mieć włączony kanał czternasty, zgadza się?

- Tak - potwierdził Toby.

- Zaprogramuję system, żeby powiadomił bezpośrednio twój implant. Na pierwszy sygnał - nieważne, przez jak mało istotne zjawisko spowodowany - zakładasz kombinezon. Na drugi sygnał wyjmujesz broń i chowasz się w ubikacji. Masz czystą linię strzału, a oni będą musieli cię znaleźć. Tylko proszę, nie strzelaj do nas, jak wrócimy.

- Nie będę - obiecał Toby.

- I zaaplikuj sobie trochę protein, około stu gramów. Spodziewam się, że wrócimy za kilka godzin.

Toby zerknął na Stellę, a ona zmusiła się do uśmiechu.

- Nie martw się, Toby, wrócimy po ciebie.

Jak było do przewidzenia, sklep Rafe'a wyposażony był w sekretne wyjście, którym wydostali się na ulicę dwie przecznice dalej. Uważała, że wyglądali na młodą bizneswoman i starszego od niej ochroniarza siwe włosy i konserwatywny strój były, oczywiście, kamuflażem

- niemniej była boleśnie świadoma potencjalnego zagrożenia. Napastnicy z pewnością dysponowali jej zdjęciem z doków, mogli też podpiąć się pod Urząd Imigracyjny i Celny.

- Musimy zatrzymać się tutaj na chwilę - oznajmił Rafe, gdy podeszli do małej kawiarenki.

- Koniecznie? - spytała Stella, niemniej podążyła za nim. Była pewna, że nie chodziło mu o szybką przekąskę, ale usiadł przy wolnym stoliku, twarzą do drzwi. Wybrała miejsce naprzeciwko niego. Zaświerzyły ją plecy. Zwykle to ona siadała naprzeciwko wejścia.

- Rafe... słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty. - To był energiczny mężczyzna w długim fartuchu i garnkiem z jakąś potrawą w rękach.

- Jacyś idioci przepalili mi drzwi frontowe - odrzekł Rafe. - Mówię ci, Lars, to przelało czarę. Handel zamarł, a ja wyprzedałem już wszystkie stare książki, druki i posążki, które moglibyście chcieć kupić...

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- W tym masz rację. Do tej pory nie skończyliśmy Sagi Długiej Drogi, a Mity starożytnego Rzymu mogą nigdy nie opuścić półki.

- Nie wiedzą kiedy zabiorą się za kratę zabezpieczającą a co tu dopiero mówić o drzwiach. Poza tym i tak nie mam pojęcia, czy mnie na nie stać. Nie mogę prowadzić interesu, dopóki nie zostaną naprawione, chyba że wystawię jakąś skrzynię na zewnątrz i zablokuję publiczny korytarz.

- Co jest sprzeczne z przepisami antypożarowymi, oczywiście. Kawy?

- Nie... zastanawiałem się, czy nie widziałeś Joey'a.

- Ach, Joey. No cóż, słyszałem, że pomagał policji w dochodzeniu... mówiłem ci, Rafe, że Joey wpakuje cię w kłopoty.

- Nie jest zły - stwierdził Rafe. - Poznaj moją przyjaciółkę, Sally.

- Sally - powtórzył mężczyzna. - Przyjaciele Rafe'a są... - Umilkł, spoglądając ponad nimi. - ... tutaj mile widziani. - Po czym do Rafe'a: - Obcy. Kłopoty?

- Może - mruknął zapytany. - Nie chciałbym sprawiać problemu...

- Nie ma sprawy. - Mężczyzna ruszył w stronę, w którą patrzył; Stella zwalczyła chęć obejrzenia się za siebie.

- Możliwe, że będziemy musieli opuścić to miejsce - powiedział do niej Rafe. -

Przepraszam... myślałem, że przyda ci się coś na ząb.

Stella nie podniosła głosu:

- Bardzo interesująca dziewczyna, ta Sally.

- Och, tak. Znam ją od dawna. Kiedyś coś dla niej miałem. Uczy w szkole podstawowej.

- Uczy?

- O ile wiem, jest bardzo wymagająca wobec małych chłopców. Nieco łagodniejsza wobec dziewcząt, szczególnie tych ładnych.

Poczuła, jak pali ją twarz.

- Jesteś podły, wiesz o tym?

- Och, kochanie, wiem o tym doskonale. Jesteś piękna, kiedy się gniewasz, droga Sally.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie muszę być wściekła, żeby być szybka?

- To dobrze, ponieważ... w nogi! - Poderwał się od stolika i ruszył w stronę tylnego wyjścia, gdy ktoś za nią jęknął z bólu. Wstała i poszła za nim, nie rozglądając się dokoła.

Słyszała przeprosiny właściciela, wylewne i prędkie, oraz gniewne głosy co najmniej dwóch

mężczyzn, a po chwili już minęła obrotowe drzwi do ciasnej kuchni, gdzie siwowłosa kobieta lepiała stertę ciastek, a koścista dziewczyna trzymała głowę w piekarniku, na którego drzwiczkach leżały porozkładane narzędzia.

- Och, Rafe - odezwała się starsza. - Zawsze chciałam ci powiedzieć, że naprawdę podobała mi się Saga Długiej Drogi.

- Cieszę się, Tulie. Pogadamy później, dobrze?

- Pewnie. Ginny, wyjmij głowę z tego piecyka i przywitaj się z Rafem i z...

- Sally - dokończył pewnym głosem Rafe. - Nie szkodzi, Ginny, tylko tędy przechodzimy.

- Jakiś debil wkręcił tutaj śrubę rozmiar sześć, zamiast osiem. - Głos dziewczyny brzmiał dziwnie, dobiegając z wnętrza piekarnika. - Cześć, Rafe, do zobaczenia, Rafe.

Tylne drzwi wypuściły ich na korytarz podobny do tego za księgarnią Rafe'a.

- Czyli nie wszyscy źli zniknęli - podsumowała Stella.

- Najwidoczniej nie. Będziemy musieli pójść do Tommy'ego. Miałem nadzieję tego uniknąć. W tego typu sprawach można bardziej polegać na Joey'u.

- Chodzi o zabranie moich rzeczy z doków?

Spojrzał na nią. Tym razem przeczucia nic jej nie zdradziły.

- Nie - odparł po długim spojrzeniu. - Najpierw musimy pójść do Tommy'ego.

„Tommy” okazał się sklepem z meblami domowymi nowymi i używanymi, jak również niewielkim warszatem, wykonującym meble na zlecenie, zaprojektuj sobie łóżko - głosił

poster. Na ilustracji widniało coś, na czym Stella za żadne skarby nie chciałaby spać, lecz była pewna, że ludzie o pewnych skłonnościach mogliby uznać je za... użyteczne. Choć z pewnością nie za wygodne. Gdy rozejrzała się uważniej, zauważyła więcej przedmiotów dla dość szczególnej klienteli.

- Nie przejmuj się - rzucił Rafe. - Tommy wypełnił pewną niszę rynkową, lecz sam do niej nie należy.

Zanim Stella zdążyła zapytać, pojawił się Tommy we własnej osobie. Ubrany był

stosownie do swojej niszy rynkowej, a jako iż nie była to nisza Stelli, ta poczuła się lekko nieswojo.

Rafe nie marnował czasu na grzeczności.

- Nowe ID, Tommy. Za ile i jak szybko?

Tommy wydał czerwone wargi.

- Masz kłopoty, Rafe? Nie chcę problemów z policją. Wiesz, w moim interesie nie mogę sobie pozwolić...

- Żeby dowiedzieli się, iż zabawiasz się z córką szefa stacji? Z pewnością nie.

Tommy zbladł.

- Skąd... dlaczego sądzisz, że...

- Sama mi powiedziała - odparł Rafe. - Jestem jakby jej powiernikiem... Tommy, naprawdę nie powinieneś. Młode dziewczęta nie potrafią dochować tajemnicy. Wiesz o tym doskonale.

- Wiem, że jesteś cholernym cierniem w... - Tommy spojrzał na Stellę. - A to kto, jakaś agentka?

- Przyjaciółka - odrzekł Rafe. - Wracając do mojego pierwszego pytania: za ile i jak szybko?

- Dwie godziny na każdy dokument. Po pięć tysięcy. W dobrach wymienialnych.

- Znakomicie. Potrzebujemy trzech tożsamości. Dla mnie, dla niej oraz jej czternastoletniego dzieciaka, chłopca, niższego od niej, ciemnowłosego i ciemnokookiego...

- Potrzebuję danych.

- Tommy... to są fałszywe ID. Ty tworzysz dane. I niczego nie spartol. Wrócimy za dwie godziny z towarem. Piśnij choć słówko, a interes uznamy za niebyły.

- Ale... powiedziałem: dwie godziny na każdy.

- A ja powiedziałem, że wrócimy za dwie godziny. Bierz się do roboty.

- Ale jeżeli ja...

- Jeżeli nie - wpadł mu w słowo Rafe - to córka szefa stacji odbędzie bardzo nieprzyjemną rozmowę z matką, a matka odbędzie jeszcze bardziej nieprzyjemną rozmowę z tobą. Poznałeś Bruna, jednego z ludzi jej męża?

Skóra Tommy'ego przybladła jeszcze bardziej, nabierając zielonkawego odcienia.

- W takim razie dokumenty będą gotowe, my je odbierzemy, a ty otrzymasz odpowiednią ilość dóbr wymiennych i wszystko będzie dobrze... tak?

- T-tak, Rafe. Proszę pani.

- Chodźmy, Sal. Pora położyć tory i przejechać się po nich pociągiem.

Od Tommy'ego do doków dostali się szybkim, bezpośrednim połączeniem. Rafe nie odstępował

Stelli, gdy ta podeszła prosto do strzegącego doku ISC wartownika, który pomachał do niej ręką.

- Dobrze, że pani już jest, Sera, bo kapitan zaraz urwie się z łańcucha. Tu jest pani torba.

Mówili coś o wiadomości impulsowej.

- Tam, gdzie byłam, nie miałam możliwości dokonania nagrania. Czy mogę użyć twojego zestawu?

- Oczywiście, Sera. Słyszałem, że przeżył ktoś z załogi?

- Chłopiec. Praktykant. Muszę go stąd zabrać. Wiem, że nikt nie wybiera się na Slotter Key... wynajęłam ochroniarza.

- Taaa. Widzę. Wygląda dość staro.

- Wiek i podstępność ponad młodość i urodę, Pete - odrzekła Stella. Założyła słuchawki, puknięciem sprawdzając, czy wtyczka dobrze siedzi w zewnętrznym gnieździe implantu, po czym zamknęła oczy. Ułożenie wiadomości impulsowej wymagało całkowitej koncentracji.

Przemyślała sobie, co powinna wysłać i już prawie kończyła, gdy jej koncentracja prysła na dźwięk wystrzałów.

## ROZDZIAŁ 11

Pete skulił się za kontuarem z bronią w ręce. Zawył alarm. Stella nie widziała, co się dzieje, bez zdejmowania zestawu do nagrywania wiadomości impulsowych; przejrzała wszystko, co zdążyła zarejestrować, uznała, że to wystarczy, zakodowała „przerwane/kłopoty” i rozłączyła się. Zestaw rejestracyjny przesłał już wiadomość do ekranowanego centrum łączności kuriera. W pobliżu wejścia do statku dwaj opancerzeni strażnicy ISC ostrzeliwali coś na średni dystans - domyślała się, że bramę do doków. Przeworność sugerowała rozplaszczanie się na podłodze - stanowisko łączności nie było kuloodporne. Stella padła na ziemię i podpełzła do Pete'a.

Obejrzał się i puknął w implant. Stella kiwnęła głową.

- Pani ochroniarz... powiedział nam, że zauważył... coś niepokojącego. - Transmisja przerywana była szumem w momentach, gdy oddawał strzał. - Miał rację... nie wiem... czy chodzi im o nas... czy o panią.

- Jestem uzbrojona - nadała przez telefon czaszkowy.

- Tak zakładałem - odparł. - Proszę trzymać głowę nisko.

Wystarczająco często powtarzano jej, by słuchała profesjonalistów. Na wszelki wypadek wyciągnęła broń i czekała. Ostrzał zamilkł, syrena również. Nie potrzebowała upomnienia Pete'a, by się nie podnosić.

- Jedzie policja - oznajmił po otrzymaniu wiadomości od strażników ISC spod wejścia do statku. Tym razem powiedział to na głos, a Stella odpowiedziała w ten sam sposób.

- To dobrze. Można już wstać?

- Prawdopodobnie, ale na pani miejscu poleżałbym jeszcze jakiś czas na ziemi. O, nadchodzi pani eskorta.

Rafe obszedł ladę.

- Masz interesujących przyjaciół - stwierdził. - I upartych, choć niezbyt bystrych.

- Dobrze, że pan ich zauważył - odezwał się Pete.

- Dziękuję - rzucił Rafe z powagą obcą jego naturze. - Miałem szczęście: nie zauważyli mnie i dość głośno gadali.

- Aha. Z przyjemnością opuścę to miejsce i cieszyłbym się, gdyby pani zabrała się z nami - powiedział Pete do Stelli.

- Nic mi nie będzie - odrzekła z pewnością siebie, której bynajmniej nie czuła.

- Mam nadzieję - mruknął Pete, zerkając na Rafe'a, tym razem z lekką zazdrością.

- Zaopiekuję się nią - oznajmił Rafe. Jego uśmiech był tak naturalny, że nawet Stella nie miała mu nic do zarzucenia.

- Jak najszybciej zabierzemy pani impuls do kwatery głównej - Pete obiecał Stelli.

- Jacyś ranni? - rozległo się z drugiej strony doków.

- Nie u nas - odkrzyknął Pete. - Ale uważajcie.

W drodze powrotnej na Czwarty Niebieski Rafe wykorzystał wszystkie okazje, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Kluczyli przez restauracje, sklepy z ubraniami, a nawet jeden skład broni. Rafe zdawał się znać wszystkich. W końcu zjechali windą na poziom Dwa i wrócili Sektorem Niebieskim, zatrzymując się na Trzecim u Tommy'ego po nowe tożsamości.

- Nie bądź zaskoczona - uprzedził ją Rafe przed wejściem. - Tommy to niegrzeczny chłopiec i będę musiał trochę posprzątać.

Sprzątanie w przypadku Rafe'a mogło oznaczać bardzo różne rzeczy, z zadaniem nagłej śmierci włącznie. Stella wzruszyła ramionami. Jeśli Tommy nasłał na nich prześladowców, to nie obchodziło ją, co Rafe z nim zrobi. W środku Tommy rozmawiał z dwojgiem - nie, trojgiem

- ludzi, którzy świetnie wpisywali się w dominacyjny wystrój wnętrza. Nie zauważył ich, dopóki Rafe nie złapał łysego i nie rzucił nim na dziwnego kształtu leżankę. Kościsty okręcił



się, lecz Stella wyciągnęła broń.

- Nie - rzuciła łagodnie. Cofnął się, niemal potykając o niski stolik. Kobieta w obcisłej, srebrnej wydekoltowanej sukni podeszła do leżanki i usiadła na łysym mężczyźnie.

- Tommy - zaczął Rafe. Ten wytrzeszczył oczy i zaczął kręcić głową zanim jeszcze Rafe dokończył: - Byłeś niegrzecznym chłopcem, Tommy?

- To nie ja! - zawołał Tommy. - Ja nie... to było...

- Myślę, że byłeś - stwierdził Rafe. - Myślę, że byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem...

Stella zauważyła z niesmakiem, że klienci Tommy'ego przypatrywali się scenie z żywym zainteresowaniem, zaś Rafe grał na ich użytek, tak samo, jak dla Tommy'ego.

- Poprosiłem cię o wykonanie jednego prostego zadania - ciągnął Rafe. - Jedna prosta sprawa, której nie potrafiłeś porządnie załatwić... poszedłeś do kogoś skamleć o współczucie, prawda, Tommy?

- Ja... powiedziałem ci przecież, że to zabierze więcej czasu... nie mógłbym...

- Wymówki, Tommy. Wymówki są... nic niewarte. Wiesz, że będą konsekwencje...

- Nie...

- O tak - potwierdził Rafe. Spojrzał na niedoszłych klientów, siedzących teraz rzędem, zaczerwienionych i podnieconych, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Tommy'ego, który stukał o siebie końcówkami palców. - Po pierwsze, nieposłuszeństwo... potem nielojalność, okazana przez zwrócenie się do kogoś innego... wreszcie... nie przypuszczam, żebyś wykonał

zadanie?

- Ja... zrobiłem to... są gotowe, ale...

- No cóż, to już coś - stwierdził Rafe tonem sugerującym, że bardzo przykro było mu to usłyszeć. - Lecz pozostaje faktem, Tommy, że byłeś niegrzecznym chłopcem, a niegrzeczni chłopcy muszą ponieść karę. Sally, sprawdź biuro Tommy'ego, czy mówi prawdę o wykonaniu zadania, czy też kłamie...

Stella szybko przeszła między meblami i dotarła do biura Tommy'ego. Na biurku znalazła teczkę z napisem RAFE na okładce i zajrzała do środka. Trzy zestawy fałszywych tożsamości, całkiem dobrych dla jej niewprawnego oka. Obok teczki leżała kupka kredytów, zapewne pochodzących ze zdradzenia ich, jak również numer telefonu. Zgarnęła wszystko do drugiej teczki i wróciła do sklepu, gdzie niewybredne kpiny Rafe'a przyprawiały Tommy'ego o drżenie, a widzów o przyspieszone oddechy.

- Zadanie zostało wykonane - zameldowała. - Ale miał też stertę banknotów i telefon kontaktowy.

Rafe zacmokał.

- Niedobry Tommy... I co my zrobimy z niedobrym chłopcem, hm? - Ponownie spojrzął na publikę. - Może powinienem opowiedzieć im, z kim jeszcze się zabawiasz?

- Nie! - Tommy podskoczył, jakby smagnięto go rozpalonym drutem.

- Ma bardzo specjalne upodobania - Rafe wyjaśnił widzom. - Bylibyście zaskoczeni. -

Po czym do Tommy'ego: - Myślę jednak, że istnieje kara warta tej zbrodni. Szczególnie nadająca się dla kogoś takiego, jak... ty. Tutaj...

Stella udawała niesmak, gdy Rafe przywiązywał Tommy'ego do jednego z mebli, wyjaśniając jednocześnie publiczności, że Tommy oczywiście zrzekłby się nagrody obiecanej mu za rzetelną pracę, ale on, Rafe, ma pilne sprawy do załatwienia i być może oni sami woleliby zabawić się nieco w sklepie, dopóki jego właściciel nie uwolni się z więzów. O ile się uwolni.

- Nie zwracajcie uwagi na jego protesty. Kiedy Tommy jest niegrzeczny, udaje, że jest ponad takie sprawy. - Pokiwali głowami. - Wychodząc, zamknę za sobą drzwi i obrócę wywieszkę... wszyscy wiedzą, że Tommy pracuje w nieregularnych godzinach... takie jest całe jego życie... jestem waszym dłużnikiem. - Złożył ręce i uklonił się.

- My... z przyjemnością pomożemy. Nie... nie widzieliśmy cię wcześniej.

- Niewielu mnie widziało - odrzekł Rafe. - Lecz wszyscy zapamiętali. Słyszac to, Stella omal nie zakrztusiła się, lecz zdołała zachować powagę, dopóki nie opuścili sklepu, wywieszając tabliczkę zamknięte.

- Coś ty tam wyprawiał?

- Bawiłem się - odparł Rafe. - Z pewnością zauważyłaś, jak łatwo przeciągnąć ludzi na właściwą stronę... wystarczy zrobić coś zgodnego z ich zainteresowaniami. Zakładam, że masz gotówkę i numer?

- Oczywiście - odparła Stella.

- No to wracajmy szybko do domu w nadziei, że Toby nie musiał skorzystać z armaty, którą mu zostawiłem, bowiem w przeciwnym razie niewiele zostało ze sklepu.

Lecz na Wyścigowej panował spokój i zwykły gwar. Stella wywołała Toby'ego przez implant, a on uspokoił ją, że nic się nie działo.

- Wracamy przez zaplecze, Toby. Rafe wybiera się po jedzenie... - I plotki, tego była pewna.

Dziesięć minut później wszyscy siedzieli w biurze na pięterku. Rafe oglądał ich nowe ID.

- Ujdą, ale nie są idealne, niemniej powinny wystarczyć. Stello, powinnaś nieco zmatowić włosy; może skorzystaj z wkładek policzkowych. Toby może zostać taki, jaki jest. A teraz pora znaleźć transport...

- Jeden statek odlatuje dzisiaj, a dwa jutro - poinformował ich Toby. - Sprawdziłem, jak was nie było. Pomyślałem, że przyda się ta wiadomość.

- Czyja ci kazałem korzystać z otwartego łącza? - fuknął Rafe.

- Prawidłowe rozumowanie, Toby - pochwaliła Stella, piorunując wzrokiem Rafe'a. - Z

jakiej tożsamości skorzystałaś?

- Z żadnej - odparł Toby. - Zwyczajne zapytanie zadane poprzez implant bez ujawniania ID. - Nie pokazał Rafe'owi języka, choć sam ton był tego ekwiwalentem. Rafe przewrócił

oczami.

- Jedno warte drugiego. W porządku, Toby, kto wylatuje dzisiaj i jaką ma pojemność?

- Róża Bannoth z Roselines Ltd. Dex mówił, że Roselines są małe, ale całkiem dobre, tylko nie tak szykowne, jak Linie Imperialne. Głównie pasażerowie; ładunki tylko lekkie. Mają dziesięć wolnych miejsc na Placera B, osiem na Golwaugh, a potem lecą na Lastway.

- Pasuje - orzekła Stella. - Rafe?

- Musimy wyjechać - odrzekł - a ten statek właśnie odlatuje. Nie zważałbym na to, czy leci na Slotter Key, czy Sabinę. W porządku... zarezerwuję nam przelot. Stello, gdybyś mogła nie spuszczać oka z zewnętrznych skanerów... a ty, Toby, przygotuj listę wszystkiego, czego potrzebujesz. Na tak małym statku nie ma zbyt wiele miejsca na towary handlowe.

Uruchomił bezpieczną linię i zabrał się do roboty. Toby obrzucił spojrzeniem potylicę Rafe'a, po czym wbił zamyślony wzrok przed siebie, co, jak wiedziała Stella, oznaczało łączenie się z bazą danych implantu. Stella miała nadzieję, że pierwszy lot wbił mu do głowy konieczność posiadania zapasowych kompletów bielizny, nie chciała jednak zawstydząć go głośnym przypominaniem o tym.

- Mam już koje, tyle że nie sprzedają miejsc na kredyt - obwieścił po kilku minutach Rafe. - Przyjmą oficjalnie wycenione dobra wymienialne, a odlatują za pięć godzin i szesnaście minut. Musimy znaleźć się na pokładzie za cztery i pół godziny.

- Znasz jakiegoś rzeczoznawcę, prawda? - rzuciła Stella.

- Kilku - odparł Rafe. - Sprawdzę jednego z nich... - Wrócił do pracy. Toby spojrzął na Stellę.

- Mam listę... nie wiem, czy nie jest zbyt długa.

- Prześlij mi ją i zobaczymy... - Przekonała się, że pamiętał o bieliźnie. Trzy dodatkowe

kombinezony, dodatkowa para butów, bielizna, przybory toaletowe.

- W porządku - oceniła. - Myślę jednak, że będziesz potrzebował nieco więcej rzeczy.

Własnego skafandra... puchowej kurtki...

- Nie mamy czasu na krawca - rzucił Rafe. - Mam rzeczoznawcę. Para tych twoich kamyków pokryje koszty biletów Toby'ego i twojego...

- A twój?

- Płacę sam za siebie - odrzekł Rafe. - Spółka.

- Świetnie - stwierdziła Stella. Wydobyła sakiewkę, z której wytrząsnęła dwa największe kamienie. - W międzyczasie kupię Toby'emu kilka rzeczy. Ciebie też spakować?

- Nie. Wystarczy mi na to piętnaście minut. Będziesz musiała zabrać go na zewnątrz?

- Nie. Zamierzałam pozamawiać wszystko w sklepie z dostawą bezpośrednio na statek.

Mogę skorzystać z rachunków posiadanych tutaj przez Vattów. Rozmawiałam już z dyrektorem banku.

- Dobrze. Wkrótce wrócę. Przed wejściem zadzwonię.

Stella zdjęła z Toby'ego wymiary, skontaktowała się ze sklepem położonym najbliżej doku Róży Bannoth i zamówiła mu ubrania, skafander i torbę podróżną do spakowania tego wszystkiego, obciążając konto Vattów i nakazując dostarczenie zakupów do portu. Następnie połączyła się z kwatermistrzem Róży, od którego dowiedziała się, iż od wszystkich pasażerów statku oczekuje się wniesienia wsadu do kotła.

Przedstawiono jej ten wymóg jako opcję, lecz na Róży podawano standardowe racje żywnościowe, a nie luksusowe. Stella zamówiła cztery zestawy podwyższające standard posiłków. Kiedy Toby'emu wróci apetyt, będzie pewnie jadł dwa razy tyle, co ona. W łazience Rafe'a znalazła zestaw koloryzujący, które nadał jej włosom bardziej matczyny odcień oraz wypróbowała wkładki, maskujące wystające kości policzkowe.

Rafe wrócił bez kłopotów z klejnotami i aktualną wyceną. Spakował się niemal tak szybko, jak obiecywał, po czym zadzwonił na policję, by powiadomić o swoim wyjeździe „do czasu poprawy w interesach” oraz wniósł spory depozyt, żeby zarezerwować swoje miejsce.

Po niecałych dwóch godzinach byli już w drodze na Trzecią Zieloną, gdzie cumowała Róża. Stelli ciągle cierpła skóra, lecz nic się nie stało. Z żadnych drzwi nie wyskoczyli zabójcy, nie ostrzelano ich, nikt nie zawołał, używając ich prawdziwych tożsamości. W dokach okrętowy sierżant sprawdził torbę Toby'ego i skinął głową po okazaniu mu sfabrykowanych ID.

- Proszę przejść tam i poprosić Ansona o bilety; macie zarezerwowane miejsca. Jeśli zostawicie mi wasze bagaże, sam je później odniosę.

- Ograniczenia na broń? - zapytała Stella.

- Amunicja wyłącznie bezpieczna dla statku - odrzekł. - Żadnej chemii, ani biologii.

Zezwalamy jedynie na broń osobistą i to po jej obejrzeniu.

- Oto moja - oznajmiła Stella, wyciągając broń i podając ją strażnikowi. Rafe bez słowa dołożył swoje trzy sztuki. Sierżant popatrzył na Toby'ego, który tylko pokręcił głową.

Następnie stanęli w kolejce do kasy biletowej, gdzie agent przyjął wycenę, schował

diamenty do kasetki, wydał im pokwitowanie i wystawił chipy pokładowe oraz identyfikatory z lokalizatorami.

- Noście to przez cały czas - pouczył ich. - Dzięki temu odszukamy was w razie zagrożenia, będziecie również rozpoznawani przez systemy ochrony statku. Macie jeszcze trochę czasu do odprawy biletowej, jeśli musicie zrobić ostatnie zakupy w dokach, albo możecie od razu wejść na pokład.

- Wejdziemy na pokład - postanowiła Stella.

Czy na czas podróży zyczycie sobie mieć przy sobie cały bagaż, czy część oddacie do przechowalni?

- Przy sobie - odparł Rafe, zanim Stella otworzyła usta.

- Znakomicie. Bagaże zostaną dostarczone do kabin przed odlotem. Prawdopodobnie na pół godziny, nie wcześniej. Jeśli z jakichkolwiek przyczyn postanowicie opuścić statek przed odlotem, proszę o uprzedni kontakt z kwatermistrzem i ze mną - wymienię wasze pokładowe identyfikatory na lokalizatory portowe.

Stella wpięła pokładowe ID w klapę.

Trap prowadzący na Różę wyłożony był cienką, przemysłową wykładziną z jaskrawożółtymi pasami na obu skrajach i ostrzegawczym napisem: chodzić tylko po wykładzinie. Pośrodku wykładziny pojawił się motyw Roselines: pastelowe róże, beże, blade zielenie i czerwienie. Napotkany steward odhaczył ich na liście i zaprowadził do kabin korytarzem wyłożonym wykładziną w róże, z burgundowym, geometrycznym wzorem na obrzeżach. Kabiny łączyły się ze sobą, tworząc niewielki apartament ze wspólnym salonikiem.

Stella, podróżująca ostatnio ciasnym kurierem w spartańsko urządzonej kabinie, była zachwycona.

- Zapraszamy do odwiedzenia głównego salonu dla pasażerów i jadalni - powiedział

steward. - Plan statku znajdą państwo na biurku lub ekranie - proszę podążać za wskazaniem menu. Możecie, państwo, również poczekać na wasz bagaż. Niezależnie od tego, na sygnał

ostrzeżenia przed wylotem, wszyscy pasażerowie muszą znaleźć się w swoich kabinach, opadną również grodzie sektora.

- Dziękuję - rzuciła Stella.

Gdy zostali sami, razem z Rafem sprawdziła zabezpieczenia kabin i ich końca korytarza. Każdy identyfikator pokładowy otwierał drzwi do jednej kajuty. Członkowie grupy podróżującej razem mogli je przeprogramować zgodnie z instrukcjami zawartymi w leżącej na biurku broszurce.

- Albo członkowie grupy składającej się z właściwych członków - stwierdził Rafe.

Każda kabina wyposażona była we własną grodz próżniową. Dodatkowe grodzie zainstalowano w korytarzykach łączących pokoje. Najwyraźniej Roselines bardzo poważnie podchodziły do kwestii bezpieczeństwa. Podobnie jak Rafe. Kiedy kilka minut później dostarczono im bagaże, uparł się, żeby je rozpakować, a zawartość porozmieszczać w kabinach.

- W razie niebezpieczeństwa musimy mieć skafandry pod ręką. Toby, ćwiczyliscie na statku obsługę skafandrów?

- Oczywiście, że tak. Już ci o tym mówiłem.

- Dobrze. Będziemy je trzymać tutaj, niezależnie od poleceń kapitana.

\* \* \*

Podróż na Placera B, a potem Golwaugh przebiegła bez zakłóceń, z wyjątkiem tego, że Toby'emu powrócił apetyt właściwy dorastającemu młodzieńcowi. Chłopak był

zafascynowany zestawem charakteryzatorskim Rafe'a i błagał o pozwolenie na wypróbowanie go, więc Rafe nauczył chłopaka podstaw kamuflażu. Z kombinezonów pasujących na niego na Allray Toby niemal wyrósł, zanim dolecieli do Golwaugh. Podczas kilkudniowych postojów w portach tranzytowych Stella i chłopiec nie opuszczali statku i Rafe musiał sam kupić Toby'emu większe ubrania na Golwaugh. Na trasie na Lastway byli jedynymi pasażerami. Wiadomości nie były pocieszające: funkcjonowało tylko 20 procent ansibli, przez co większość systemów cierpiało na kilkutygodniowe opóźnienia w przekazie informacji. Załamał się ruch pasażerski i przewozy towarów. Raporty z rynków inwestycyjnych były nieaktualne, spodziewano się jednak pogorszenia koniunktury. Golwaugh było jednym z tych szczęśliwych systemów, które dysponowały jeszcze sprawnym ansiblem, dzięki czemu Stelli udało połączyć się z kwaterą ISC i upewnić, że jej raport dotarł tam bezpiecznie.

Po wynurzeniu się w układzie Lastway załoga powiadomiła ją, że tamtejsze ansible również funkcjonowały. Stella sprawdziła listę statków cumujących do stacji... K. Vatta i statek Gary Tobai figurowali w spisie. To z pewnością Ky. Wyświetlane w kabinach lokalne wiadomości donosiły o sporadycznych napaściach gangsterów na podróżnych i prosiły gości o zachowanie czujności i trzymanie się z dala od stref uznawanych za niebezpieczne.

Poprzez kwatermistrza Stella wynajęła dla całej trójki kwatery na stacji w umiarkowanie drogim hotelu. Miała nadzieję, że prześladowcy Vattów nie dysponowali programem do rozpoznawania twarzy, w którym znajdowałyby się podobizny jej i Toby'ego.

Wiedziała, że Rafe sam o siebie zadba. Kwatermistrz zorganizował przewóz bagażu i wszyscy troje bez kłopotów dotarli do hotelu.

Następnym zadaniem było nawiązanie kontaktu z Ky. Stella rozważyła i odrzuciła pomysł skorzystania z łączu stacji. Zbyt niebezpieczne. Udając turystów, wszyscy troje wsiedli do tramwaju i pojechali odwiedzić Gary 'ego Tobai.

Po - jak to uparcie określali - „niefortunnym incydencie” Baritom wycofał ochronę doków, lecz Martin uznał, że stworzony przez niego system zabezpieczający był w zupełności wystarczający. Ky nie miała ochoty zatrudniać innych firm, pomimo ich usilnych starań o podpisanie z nią stosownego kontraktu. Jak niby miała im zaufać? Zamówiła standardowe pancerze dla tych członków załogi, którzy z dowolnych przyczyn musieli opuszczać statek, choć tylko Martin i Jim nosili przy sobie broń. Dzięki złożeniu niewielkich depozytów, MilMart nadal rezerwował interesujące ją przedmioty, choć nie postanowiła jeszcze, co robić dalej. Kiedy zeszła do włazu ładunkowego, troje turystów, którzy wtargnęli do strefy objętej czujnikami, stało w rzędzie, pilnowani przez Martina i Beeaha.

- Cześć, Ky - odezwała się kształtna blondynka o nieco przyblakłych włosach, odziana w kreciego koloru kombinezon. - To ja, twoja kuzynka Stella. Pamiętasz mnie?

Ky nie mogła uwierzyć własnym oczom. Stella? Tutaj? W towarzystwie mężczyzny i nastolatka? Z pewnością nie był jej synem... Próbowała przypomnieć sobie, ile lat mogłoby mieć dziecko Stelli. Ona sama nie wyglądała na starszą niż ją pamiętała. Towarzyszył jej średniego wzrostu mężczyzna o urodzie amanta wideo - pomimo siwiejących skroni -

doskonale zdający sobie sprawę ze swej atrakcyjności.

- Co tu robicie? - wyrwało się jej pytanie, zadane niemal oskarżycielskim tonem.

- Uciekamy - odrzekła Stella. - Czy raczej: uciekamy do ciebie, jeśli tak na to spojrzeć.

Ile wiesz?

- Vattowie zostali zaatakowani; nie wiem, jak trudna jest nasza sytuacja.

- Niezbyt wielki statek, co? - skomentował mężczyzna tonem, który ją rozdrażnił.

- Wystarczy - odparła krótko.

- Były jakieś zamachy na ciebie? - zapytała Stella.

- Kilka - odrzekła Ky. - Jak widać, nieskuteczne.

- Na niebiosa - mruknął mężczyzna, przewracając oczami. - Ona jest zupełnie niewinna.

Jak uważasz, Stello? Raczej nie mogłaby...

- Nie wiem, co uznajesz za niewinność - rzuciła Ky. - Zabiłam... - przerwała, żeby policzyć...

przerażona, iż nie wiedziała od razu - ... czterech ludzi.

- Słyszeliśmy o jednym na Sabine - odparł towarzysz Stelli. - Naprawdę sama to zrobiłaś? - Sprawiał wrażenie, jakby nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Owszem - potwierdziła przez zaciśnięte zęby. - I było ich dwóch.

- No, no, ależ z nas ostra dziewczyna - rzucił mężczyzna, po czym odwrócił się do Stelli. - Czyli potrafi zabić. Ale czy umie...

- Przestań - przerwała mu Stella. Ku zaskoczeniu Ky mężczyzna urwał w pół zdania, unosząc jedynie brew. Stella obróciła się do Ky. - To jest Rafe. Jesteśmy teraz partnerami, związanymi umową. Jest człowiekiem rozlicznych talentów.

- Jak miło - powiedziała Ky, myśląc jednocześnie, że pośród tych rozlicznych talentów najwyraźniej nie było ogłady.

- A to jest Toby Vatta. Przeżył wysadzenie statku na Allray Dwa - słyszałaś o tym? On również jest naszym partnerem.

Ky przyjrzała się Toby'emu i natychmiast przypomniała sobie własną podróż praktykancką. Myślała, że nadzór kapitana Furmana był zły, ale nigdy nie przeżyła tego, co on.

- Witaj na pokładzie, Toby - powiedziała. - Przykro mi z powodu twojej straty. -

Powróciła spojrzeniem do Stelli. - Zakładam, że Rafe ma jakieś nazwisko?

- Tak. Podam ci je na pokładzie statku, a nie tutaj, w tym zimnym doku. Ky, na Allray mieliśmy kłopoty. Poważne kłopoty.

- Wyobrażam sobie. My również sporo przeszliśmy. Wejdźcie do środka. - Odstąpiła na bok i pozwoliła im przejść. Stella obrzuciła ją spojrzeniem, którego nie zrozumiała, a Rafe takim, które rozumiała aż za dobrze. Jeśli myślał, że jest taka, jak Stella, wkrótce pozna różnicę i nauczy się zachowywać tego typu spojrzenia dla siebie. Skinęła na Martina, jak tylko zamknęli właz. - Chodź z nami. Jeśli ktoś będzie chciał obejrzeć towary, zajmie się nim Alene.

I tak już kończyliśmy.

- Tak jest, kapitanie.

Przeszli do mesy. Ky ruchem głowy wskazała stół.

- Siadajcie. Musimy ustalić, jak wygląda sytuacja.

- To długa historia - stwierdziła Stella.

- To długa wachta - oznajmiła Ky. - Zaczynaj.



- Słyszałaś o atakach na Slotter Key?

- Niewiele. Znam raport, według którego zaatakowano siedzibę korporacji i posiadłość rodzinną. Domyślałam się, że byli... ranni. Z niejasnych powodów rząd odciął się od nas.

Stella przytaknęła.

- Ky, strasznie mi przykro, ale... mam dla ciebie złe wieści. Twój rodzice... matka zginęła podczas napaści na dom, a ojciec zmarł wskutek ran, które odniósł, próbując ratować innych.

Ky poczuła, jak tężeje jej twarz. Zgasła ostatnia, srebrzysta iskierka, zatrzasnęło się okienko nadziei. Była taka pewna... miała taką wielką nadzieję... że nie zginęli, że przynajmniej jedno z nich przeżyło... myślała, że była na to przygotowana.. ale... tego było zbyt wiele.

- Twój brat, San, również. Przykro mi, Ky. Mój ojciec też zginął, podczas zamachu bombowego na kwaterę główną, zaś siostrę Jo zabili zamachowcy.

Ky miała wrażenie, że każde z tych imion spadało na nią osobnym ciężarem, spychając coraz głębiej w mrok. Mama, tata, brat, wujek.

- Ciocia Helen? - zdołała wykrztusić.

- Mama żyła, kiedy wyjeżdżałam ze Slotter Key - odrzekła Stella. - Ciocia Gracie Lane także.

Ciocia Gracie z jej diamentowymi ciastami owocowymi była kiepskim substytutem reszty rodziny. Przed oczami stanęła jej twarz ojca z ich ostatniej rozmowy telefonicznej.

Zacisnęła powieki, próbując nie widzieć, nie myśleć.

Ciocia Gracie wysłała mnie, żebym cię odszukała - dodała Stella.

- Znaleźć mnie?? - Zdumienieomal nie pokonało otępienia; otworzyła oczy. - Uważa mnie za idiotkę.

- Każdego w naszym wieku uważa za idiotę - stwierdziła Stella. - Niemniej sądzi, iż jesteś jedyną osobą, która może to wszystko rozwikłać, ja zaś mogę ci w tym pomóc.

Wiedziała, że potrzebujesz więcej informacji i wsparcia.

Ky skwapliwie skorzystała z możliwości oderwania się od rozpamiętywania informacji o śmierci jej całej rodziny.

- Ciocia Gracie jest...

- Całkiem mądra. Wiedziałaś, że brała udział w wojnie?

- Ciotka Gracie? - Było to równie prawdopodobne, jak wyrośnięcie jej skrzeli lub skrzydeł.

- Tak. Ja też o tym nie wiedziałam, dopóki mi nie powiedziała. I pokazała. W każdym razie, kazała mi odnaleźć ciebie i przekazać bazę danych Vattów, żebyś mogła załadować ją do swojego implantu.

Ręka Ky powędrowała do głowy.

- Nie mam implantu. Został zniszczony.

- Wiem, że ojciec posłał ci drugi...

- Jeszcze go nie założyłam - wyjaśniła Ky. - Nie powinnam tego robić przed upływem sześciu miesięcy... - Kiedy podliczyła tygodnie podróży na Belintę, a stamtąd na Lastway, wynik był znacznie bliższy połowie roku, niżby się spodziewała.

- Uszkodzenie mózgu? - zapytał Otella.

- Możliwość niestabilności neuronów - odrzekła Ky. Nie chciała nawet myśleć, czy aby nie oznaczało to właśnie uszkodzenia mózgu. - Jak zdobyłyście główną bazę danych? To znaczy, jeśli mój... twój... nasi ojcowie zginęli podczas ataków...

Stella odwróciła wzrok i przełknęła ślinę.

- Twój ojciec żył jeszcze przez kilka dni, Ky... i ciocia Gracie... zajęła się implantem.

Ky wbiła w nią wzrok. Ścisnęło ją w żołądku; nie chciała zastanawiać się, co to mogło oznaczać, ani jak zostało dokonane.

- W każdym razie, jeśli zamierzasz przejąć funkcję reprezentanta Vattów w kosmosie, to lepiej będzie, jeśli znajdziesz sposób na wykorzystanie zawartych w implancie informacji.

- Ty mogłabyś... - zaczęła Ky, lecz Stella energicznie pokręciła głową.

- Przeszłaś szkolenie wojskowe, Ky, a ja nie. Moja specjalizacja dotyczy czegoś zupełnie innego.

Ky nigdy nie słyszała o żadnej specjalizacji Stelli, jednak z drugiej strony, nie widziała jej od wieków.

- Czyli? - zapytała lekkim tonem.

Stella skrzywiła się.

- Dowiesz się, jak uzyskasz dostęp do bazy danych. Nie sędzę, żeby należało mówić o tym tutaj. - Zerknęła na Rafe'a i Toby'ego. Ky poczuła przebiegający jej po grzbiecie lodowaty dreszcz.

- Tak jakbyś połowy tego nie nauczyła się ode mnie - odezwał się Rafe. - Przypuszczam jednak, że musimy chronić młode, niewinne uszy. - Toby spiorunował go wzrokiem. Ky też tak się poczuła, ale niczego nie dała po sobie poznać.

- Wobec tego wrócimy do tego później - postanowiła. - Niemniej jeśli zostałam wyznaczona, będę musiała uzyskać tę wiedzę.

- To zrozumiałe - oświadczyła Stella.

Pozostali także oferowali pewną odskocznnię. Ky odwróciła się do chłopca.

- Toby, jak daleko zaszedłeś w swoich praktykach? Czego nauczyłeś się na statku?

Chłopiec poczerwieniał, lecz spojrzał jej w oczy i odpowiedział równym głosem.

- Dotarłem niemal do połowy kursu i zakończyłem przeszkolenie wstępne we wszystkich sekcjach. Pracowałem pod nadzorem przez pełne wachty. Zajmowałem się inżynierią i podtrzymywaniem środowiska, jak również nawigacją i pilotażem. Oczywiście, w porcie wszyscy pracowaliśmy przy ładunkach.

- Wyśmienicie - orzekła Ky. - Rozumiem, że nie masz żadnych ocen, a potrzebowałabym, niestety, dokumentacji z przebiegu twojego szkolenia niemniej mam na pokładzie nowych członków załogi, przygotowujących się obecnie do egzaminów certyfikujących. Lastway dysponuje pełnym zakresem kursów dla astronautów, więc im szybciej zaczniesz, tym lepiej. W czym czujesz się najmocniej?

- Chyba silniki, proszę pani. Radziłem sobie dobrze we wszystkich specjalnościach inżynieryjnych, ale Pierś... uch, szef Barklin... mówił, że mam dobrą rękę do kosmicznych napędów.

- Świetnie. Nie będę miała najmniejszych problemów z wykorzystaniem specjalisty od konserwacji silników. - Każdy Vatta, niezależnie od młodego wieku i braku doświadczenia, będzie lepszy od Jima. - Zamierzam przydzielić cię do tego działu. Zostaniesz nieformalnie oceniony, a za kilka dni rozpoczniesz regularne zajęcia. Pasuje?

- Tak jest, proszę pani - odrzekł Toby.

- Nie mam pojęcia, kiedy będziemy mogli odwiedzić cię do miejsca, gdzie podejmiesz regularną naukę - dodała Ky. - Dokąd planowałaś zdawać, jeśli podjąłeś już taką decyzję?

- Miałem pójść do Terqua - to główna szkoła przygotowująca do studiów inżynierskich na mojej planecie, proszę pani - a potem miałem nadzieję dostać się do Davisi Tech, po czym z powrotem do floty.

- Uhm. Załaduję dla ciebie dodatkowy kurs na drogę. Nie ma powodu, żebyś tracił

więcej czasu, niż musisz. - Ky obróciła się do Rafe'a, który obserwował ich z protekcyjną miną. - A teraz pan. Pańskie nazwisko, o ile mogę być tak śmiała...

- Oczywiście, kapitanie - odrzekł, pochylając się naprzód i patrząc jej prosto w oczy z miną, którą Ky uznała za pseudoszczerą. - Musi jednak pani wiedzieć, iż mam kilka nazwisk, pod którymi jestem znany na różnych światach. Urodziłem się jako Dunbarger, lecz nie używałem tego nazwiska od wielu lat. Stella poznała mnie jako Rafaela Stonera Madestana.

- Dunbarger! - zawołała Stella.

- Jak mówiłem, nie używałem tego nazwiska od dość dawna - stwierdził Rafe. - Nie jest... miłe dla uszu. Niemniej tak brzmi moje nazwisko rodowe, gdyby ktoś miał ochotę to sprawdzić.

- Dunbarger... - powtórzyła Ky. Gdzieś już słyszała to nazwisko. Czy to miejsce miało jakieś znaczenie w świetle ich obecnej sytuacji?

- Ten Dunbarger - potwierdził Rafe. - Ten, o którym tak usilnie stara się pani sobie przypomnieć. Menedżer ISC. Swego czasu bardzo wysoko postawiony.

Przypomniała sobie strukturę organizacyjną ISC - Dunbarger stał na samym szczycie.

- Może pani uważać mnie za rentiera - dodał. - O ile wie pani, co to oznacza.

- Jesteś synem Garstona Dunbargera? - upewniała się Stella. - Ty?

- Musiałem gdzieś nauczyć się korporacyjnych manier - odrzekł Rafe. - Wiedzę o tym, którego widelca użyć i jak zawiązać krawat nabywa się łatwiej w takim domu, jaki...

prowadzili... moi rodzice. - Nie spuszczał wzroku z Ky.

- Bardzo interesujące, o ile prawdziwe - skwitowała.

- Och, to prawda. Mogę to nawet udowodnić, choć wolałbym nie ściągać na Lastway tego typu kłopotów, jakie mogłoby to wywołać. W każdym razie, odesłano mnie z pewnych powodów z domu - nie żywię za to urazy - stanowczo zachęcając do przybrania sobie innego nazwiska lub nawet pięćdziesięciu. A później - to również coś nowego dla ciebie, Stello -

zostałem zatrudniony z powrotem ze względu na dobre zachowanie, co zmiękczyło nastawienie mojego ojca.

- Zatrudniony w jakim charakterze? - spytała Ky.

Wzrok Rafe'a opadł na paznokcie, które zaczął oglądać z olbrzymim zainteresowaniem.

- Są sprawy, o których może dowiedzieć się - ujawnić - tylko odtrącony i wydziedziczony członek bardzo możnego rodu. Jeśli wiesz, gdzie znajdują się oba końce sznurka, znacznie łatwiej rozplatać zadzierzgnięty przez kogoś węzeł. Z racji pochodzenia znam jeden koniec... dzięki doświadczeniu odkrywam drugi.

- Jest pan korporacyjnym szpiegiem - stwierdziła Ky.

Spojrzał jej prosto w oczy i wzruszył ramionami.

- Bardzo wielkie słowo na taką... skromną... działalność. Powiedzmy, że polecono mi zdobywać informacje, które ISC chciałoby posiadać i za przekazywanie tej wiedzy bardzo dobrze mi płacą.

Nadal nie jestem mile widziany w domu, choć z biegiem czasu nasze relacje ulegają poprawie. Żadna z moich siostr nie urodziła następcy, a ojciec chciałby mieć wnuka...

choć przypuszczam, że to raczej mama chce tego bardziej, co jest bez znaczenia, bo w jej rękach ojciec mięknie jak wosk.

- Ty... ty! - wykrztusiła Stella, najwidoczniej czymś wielce rozwścieczona. Ky spojrzała na nią. - Ty podła żmijo!

- Hej, Stello, kochanie, nie ma sensu tak się unosić.

- Nie kadź mi, ty... ty... - Odwróciła się do Ky. - To... to żałosne coś spędziło dwa dni na prawieniu mi kazań o tym, jak pełna zła była moja przeszłość, przepelniona luksusem i wygodą, przekonując mnie, że jestem winna wszystkim niesprawiedliwościom tego świata, gdyż nigdy nie zapytałam, skąd wzięły się pieniądze Vattów, a przez cały ten czas...

- A skąd niby miałem wiedzieć, co na ciebie zadziała, moja droga? - zapytał chłodno Rafe. - Poznanie kogoś zabiera czas. Wiedziałem, co ugodziłoby mnie, więc była szansa, że zabolę to także ciebie. A poza tym, jesteś taka słodka, kiedy przepelnia cię poczucie winy. W

odróżnieniu od chwil, kiedy nie jesteś. - Uniósł palec. - I nie mów, że znenawidzisz mnie na zawsze, ponieważ wiesz, że tak się nie stanie.

Ky zauważyła, że Toby przysłuchiwał się temu z szeroko otwartymi ustami.

- Nadal nie znam pańskiego nazwiska - zwróciła uwagę Rafe'owi. - Przynajmniej tego, które widnieje na pańskim ID.

- Och. Tak. - Na jego policzkach pojawił się na chwilę jakiś kolor. Wyłowił z kieszeni dokument tożsamości i podał jej. - Fałszywy, rzecz jasna i to dość średniej jakości. Wykonano go w pośpiechu tuż przed naszym wyjazdem. Mieliśmy nadzieję, iż pomoże nam zgubić pościg.

ID Stelli również jest fałszywe. Wygląda na to, że zadziałało.

- Ralph San Volan - odczytała Ky. Rafe wzruszył ramionami.

- Za Murchisona podawałem się na Allray, gdzie prowadziłem sklep z antykami i starodrukami.

- Oraz innymi towarami - wtrąciła Stella. Ky widziała, że wciąż była wściekła.

- Oraz innymi towarami niezbędnymi do utrzymania kontaktu z osobami, których zwyczajny personel ISC znać nie może - odrzekł Rafe, kierując wzrok na Stellę, a potem z powrotem na Ky. - Musicie przecież wiedzieć, że tacy ludzie nie ufają prostaczkom.

- Wiem o tym - przytaknęła Ky.

- To dobrze, ponieważ jeżeli mam okazać się przydatny, to muszę ustanowić łączność stąd.

Na razie Ky pozostawiła to założenie bez komentarza. Nie była pewna, czy chce, żeby okazał się przydatny dla niej.

- Był pan tutaj wcześniej?

- O tak. Kilka lat temu.

- A tak z czystej ciekawości: kiedy wygasa pański kontrakt ze Stellą i Tobym?

- Uhm... wydaje mi się, że niedługo - odparł Rafe.

Ky błysnęła zębami w uśmiechu.

- Podejrzewam, że wie pan to co do minuty, panie Rafe. Dajmy sobie spokój z gierkami.

- Ale gry są takie zabawne. W porządku: za dwadzieścia trzy godziny. A co? Zamierza pani zaproponować mi jego przedłużenie?

- Zastanawiam się nad tym. Wydaje mi się, że ostatnimi czasy interesy Vattów i ISC są dosyć zbieżne.

- Możliwe. Lecz moje interesy pokrywają się z celami ISC tylko w pewnym, raczej ograniczonym zakresie. Może oboje powinniśmy to rozważyć.

- I omówić to za - powiedzmy - cztery godziny? - zaproponowała Ky.

- Jak sobie pani kapitan życzy - odparł uprzejmie. Kimkolwiek naprawdę był, został nauczony dobrych manier. Ky zerknęła na jego siwiejące włosy.

- Ile naprawdę ma pan lat?

- Chce pani odsłonić całą prawdę? - zapytał. - Bardzo dobrze... - Potarł twarz rękoma.

Kiedy oderwał je od policzków, uśmiechał się do niej znacznie młodszy mężczyzna o subtelnie zmienionym kształcie twarzy i błyszczących figlarnie oczach. - Włosy również nie są takie siwe, ani rzadkie, ale wolałbym zająć się nimi w odpowiednio wyposażonej łazience, o ile takową tutaj posiadacie. Biologicznie jestem tylko o rok starszy od Stelli, lecz znacznie starszy, jeśli chodzi o doświadczenie.

Ky pochwyciła kątem oka ruch dłoni Stelli i obejrzała się, by zobaczyć doskonałe kości policzkowe zapierającej dech w piersiach piękności, którą pamiętała. Stella otworzyła dłoń.

- Wkładki policzkowe - wyjaśniła. - Moje włosy również mają inny kolor. Rafe ma czarne włosy, jeśli chcesz wiedzieć.

Ky spojrzała na Toby'ego, który potrząsnął głową.

- Rafe mi nie pozwolił - powiedział. - Twierdzi, że rosnę tak szybko, iż po dwóch dniach i tak nie jestem taki sam.

- Co za ulga - mruknęła Ky.

## ROZDZIAŁ 12

Zaczekaj tutaj - powiedziała Ky - a ja ulokuję Toby'ego i poszukam miejsca dla was. -

Zakładam, że wolicie zostać na pokładzie, niż na stacji?

- Ja tak - odparła Stella.

- Pomimo, iż na Allray statek Vattów wysadzono w porcie? - zapytał Rafe.

- Pomimo - potwierdziła Stella.

- Zrobię, jak rozkaże kapitan - stwierdził Rafe, przekrzywiając głowę w stronę Ky i pozostawiając pomiędzy nimi niewypowiedziane na razie.

- Świetnie - rzuciła Ky. - Niedługo wrócę. Chodź, Toby.

Chłopiec podążył za nią do Inżynieryjnego. Towarzyszył im Martin.

- Jeśli mogę, wolałbym wrócić do doków, kapitanie.

- Dobrze, Martinie, idź. - Kiwnął głową i odwrócił się. Ky poszła dalej, dumając, co by tu powiedzieć chłopcu, żeby pocieszyć go po stracie rodziny i kolegów ze statku. We wszechświecie nie było zbyt wiele pocieszenia, lecz nie to pragnąłby teraz usłyszeć. Z drugiej strony, może nie tyle potrzebował pociechy, ile jakiegoś zajęcia. - Stella mówiła, że także jesteś stroną ich umowy?

- Tak, proszę pani... kapitanie.

- Co myślisz o Rafe?

- Ja? Jestem tylko...

- Wystarczająco dorosły, żeby wejść do spółki, Toby. W świetle prawa oznacza to, że jesteś również wystarczająco dorosły, żeby ocenić partnera. Jakie jest twoje zdanie o nim?

- Sam nie wiem. Jest... wie mnóstwo rzeczy, które pewnie uznałbym za złe, lecz jak dotąd był dobrym partnerem.

- Stella mu ufa?

- Po zawarciu umowy tak, ale wcześniej nie. Kazała mi trzymać go na muszce, zanim oni... my... nie zawiązaliśmy spółki, kiedy pokazywała mu, co ma ze sobą.

Ky obróciła się i popatrzyła na niego.

- Ufa tobie, prawda? Byłbyś w stanie zastrzelić go?

- Chyba... chyba tak. - Wyglądał na spiętego i przejętego; zdaniem Ky dokładnie tak powinien wyglądać ktoś, kto zastanawia się nad możliwością odebrania życia innemu człowiekowi.

- To dobrze - stwierdziła. - W przyszłości będziemy starać się trzymać cię z daleka od takich sytuacji, ale cieszę się, że w razie czego można na tobie polegać.

Nie odpowiedział, a ona zaprowadziła go do inżynierów, gdzie Quincy nachylała się nad Jimem przy jednym ze stołów roboczych; Sikacz leżał na podłodze, zawzięcie przeżuwając smycz. Quincy podniosła wzrok.

- A to kto?

- Toby Vatta - odparła Ky. - Ocalały z ataku na Ellis Fabery na Allray. Wiadomości nie były ściśle - nie wszyscy zginęli.

- Jak on...

- Przywiozła go moja kuzynka Stella - wyjaśniła Ky, ostrzegawczym spojrzeniem ucinając dalsze pytania. - Toby, to jest Quincy Robins, jedna z najstarszych inżynierów we flocie Vattów i od tej chwili twoja nauczycielka. Quincy, Toby przebył ponad połowę podróży praktykanckiej i twierdzi, że jego nauczyciele dostrzegli u niego smykałkę do napędów. Jako, iż nie mam pojęcia, kiedy będziemy mogli odstawić go do domu, musimy przygotować dla niego pełny kurs nauczania, znaleźć koję i wyposażyć we wszystko, czego będzie potrzebował.

Dopilnujesz tego? Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zamów to. Mam parę innych pilnych spraw do załatwienia.

- Oczywiście - obiecała Quincy. - Toby, tak? Rośniesz, jak widzę. Rozpoznaję oznaki.

Toby przytaknął skinieniem głowy.

- Czy to jest...pies?

- To jest idiotyzm - odparła Quincy. - Pomysł Jima. - Rzuciła Ky ostre spojrzenie.

- To jest szczeniak - sprecyzowała Ky. - Wiesz coś o psach?

- Miałem psa w domu - odrzekł Toby. - Zanim poleciałem statkiem. Suka, labiryntowiec. Ani trochę nie przypominała tego tutaj, nawet tuż po urodzeniu. - Ky nie miała pojęcia, czym był labiryntowiec, lecz po raz pierwszy uznała, że trzymanie psa na pokładzie może się do czegoś przydać.

- Ten to podobno jack russell terier - wyjaśniła. - Cokolwiek to jest. Ma na imię Sikacz.



- Będziemy potrzebować dodatkowych racji żywnościowych, kapitanie - powiedziała Quincy. - Chłopcy w tym wieku jedzą za pułk wojska.

- Wciągnę to na listę - obiecała Ky. Quincy jaśniała matczyną czułością a czuła, że dokładnie tego Toby teraz potrzebował. - Jim, chodź ze mną. - Jim zrobił zaniepokojoną minę, lecz podniósł się szybko i poszedł za nią do mesy.

Ky słyszała cichy pomruk rozmowy, nie zrozumiała jednak, o czym mówili. Kiedy weszła, Stella i Rafe zamilkli.

- Toby właśnie się rozgaszcza - oznajmiła. - To jest Jim, który dołączył do załogi na Belincie.

- Belinta! - zawołał Rafe tonem sugerującym ta kula błota.

- Co jest nie tak z Belinta? - zapytał Jim, krzywiąc się.

- Sam chciałeś ją opuścić - wytknęła mu Ky. A potem obróciła się do Rafe'a i potrząsnęła głową. - Proszę mu nie dokuczać.

Zbesztany wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Od czasu do czasu każdego może to spotkać. Czyli pochodzisz z Belinty? I co wnosisz do imprezy?

- To nie jest żadna impreza - zaproponowała Ky. - Muszę porozmawiać z moją kuzynką na osobności, a nie chcę, żeby wałęsał się pan samotnie po statku. Jim, zostaniesz z panem Rafem do mojego powrotu. I mam na myśli towarzyszenie mu, a nie przebywanie w tej samej części statku.

- Och. - Jim spojrzał na Rafe'a z nagłą podejrzliwością.

- Jestem taki niezrozumiany - mruknął Rafe.

- To niezrozumienie - o ile zachodzi - jest obustronne - powiedziała Ky, powstrzymując śmiech. Nie powinna dać szelmie poznać, że ją bawił.

- Doprawdy? - rzucił, lecz zaraz spoważniał i skinął głową z czymś, co można było uznać za szacunek. - Możliwe, kapitanie Vatta. Będę grzeczny.

- Cudownie - skwitowała Ky. - Jim oprowadzi pana po statku; jeśli postanowi pan z nami zostać, będzie dokładnie widział, w co się pakuje. A teraz, proszę nam wybaczyć - Stello, pozwól ze mną. - Skinęła im głową i wyszła, a Stella za nią.

W swojej kajucie wskazała Stelli gestem koję, a sama zasiadła za biurkiem.

- Zmieniłaś się - zauważyła Stella.

- Ile miałam lat, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni - siedemnaście?

- Mniej więcej - przyznała Stella. - Niemniej martwiłam się o ciebie po tym zamieszaniu na Akademii. Zawsze byłaś taka prostolinijna.

- Dziękuję ci za tamten list - powiedziała Ky. - Bardzo mi pomógł, zwłaszcza, że wcześniej dostałam paszkwil od Hala - mężczyzny, z którym tam byłam.

- Mężczyźni - mruknęła Stella. - A jeśli już o nich mowa, to strzeż się Rafe'a...

- Uważasz, że potrzebuję ostrzeżenia?

- Każda kobieta go potrzebuje, jeśli tylko ma z nim do czynienia. Jestem pewna, że czujesz ten magnetyzm - ja z pewnością tak - ale przejażdżka z nim nie należy do najbezpieczniejszych.

- Domyślam się - mruknęła Ky. - Ale wracajmy do interesów, Stello. Mówiłaś, że przysłała cię ciotka Gracie...

Stella wyprostowała się.

- Tak. Twój ojciec próbował zwołać zjazd wszystkich ocalałych dorosłych Vattów na Slotter Key. Niestety, zmarł wskutek odniesionych ran i stery przejęła ciocia Gracie.

Wszystkich zaskoczyła, kiedy uczyniła ze mnie posłańca. Wiedziała - cóż, w pewien sposób sama popchnęła mnie w tym kierunku - że czasami bywałam specjalnym kurierem Vattów. Nie wiedziałaś o tym, jak sędzę...

- Nie - przyznała Ky. - Myślałam, że...

- Myślałaś, że jestem rozkapryszoną, pozostającą w niełasce Stellą. Jak większość ludzi, co ułatwiało mi pracę. Kiedy podróżowałam, ludzie przyjmowali, że ta idiotka Stella uprawiała turystykę. - Przekrzywiła głowę i przybrała minę niewinnej ślicznotki.

- mmmm.

- Mój ojciec wiedział, rzecz jasna. Twój nie. Czasami prowadziło to do niezręcznych sytuacji. - Zmieniła minę i straciła wygląd niedoświadczonego dzieciątka. Ky mogła jedynie podziwiać jej technikę. Nie poruszyła się, a mimo to zmieniła.

- Wyobrażam sobie. - Jej ojciec, przechwalający się swoją praktyczną rozsądną, posłuszną córką i wujek, który musiał udawać, że Stella wciąż była sowizdrzałem.

- Mniejsza o to. Ciocia Gracie zgrała bazę danych Vattów do własnego implantu. Nie sądziła, żeby któryś z ocalałych Vattów ją posiadał i chciała, żebyś otrzymała ją ty ze względu na wojskowe wykształcenie. - Przerwała, po czym podjęła opowieść, gdy Ky milczała. - Ky, jak poważna była twoja rana głowy? Jeśli masz nami dowodzić, musimy wiedzieć, czy jesteś w stanie...

- Jestem - zapewniła ją Ky i miała nadzieję, że to prawda. - Stello, to, czego dokonałam po wypadku, świadczy o tym, iż funkcjonuję całkiem nieźle. Było kiepsko... musieli przywrócić mi pamięć z

implantu.

Stella zbladła.

- Przywrócenie pamięci - kto to zrobił?

- Mackensee - najemnicy. Cieszą się sporym szacunkiem; figurują w zielonej księdze.

Vattowie nieraz przewozili ich samych lub ładunki. To był przypadek, naprawdę. - Szybko streściła jej przebieg zdarzenia, kończąc: - A potem obudziłam się w ich lazarecie i wszystko, co interesujące, wydarzyło się później. Jeśli więc poradziłam sobie ze zbuntowanymi więźniami, pozbawionym sterów statkiem i głodem, to uważam, iż mój mózg pracuje całkiem sprawnie. Nie uważasz?

Stella wciąż była blada.

- Zgoda - przyznała. - Nie do końca tylko rozumiem, czemu nie możesz założyć sobie nowego implantu.

- Ich chirurdzy powiedzieli, że powinnam odczekać sześć miesięcy, żeby utrwaliły się i ustabilizowały połączenia neuronalne i załadowana pamięć. Nie znam szczegółów, lecz te lata ćwiczeń w obchodzeniu się bez implantu na Akademii miały na celu przygotowanie nas na takie właśnie sytuacje. Nie przeszkadza mi, że go nie mam.

- Nie jestem pewna, czy Vattowie mogą czekać przez następne... ile jeszcze zostało: trzy miesiące?

- Nieco mniej. Nie wiem tylko, czemu miałyby to być takie ważne. Chyba, że baza danych zawiera informacje, kim są nasi wrogowie, ale gdyby tak było, nasi ojcowie przygotowaliby się na atak. Nie potrzebuję implantu, żeby prowadzić wojnę.

Stella zadrżała.

- Wojna... tak właśnie powiedziała ciocia Gracie. „Trwa wojna - mówiła - a my potrzebujemy kogoś z wojskowym przeszkoleniem, żeby przejął dowodzenie.” Mając na myśli ciebie. - Potrząsnęła głową. - Nadal uważam, że potrzebujesz implantu... Zaraz, zaraz. Ty już traktowałaś to jak wojnę? I bierzesz w niej udział? Mając do dyspozycji tylko takie zasoby, jakimi dysponujesz tutaj?

Ky wzruszyła ramionami.

- Nie mamy zbyt wiele opcji, nie? Co niby miałam zrobić - uciec i schować się? Jestem pewna, że przetrwali również inni Vattowie; musimy jakoś się porozumieć.

- Przypuszczam... po prostu nie sądziłam, że tak to rozpracujesz. No cóż, generale - albo admirałe, czy kimkolwiek jesteś - co robimy?

Ky była gotowa na to pytanie.

- Przekonam się, co przywiozłaś oprócz bazy danych i sprawdzę, czy można dostać się do niej bez

implantu. Wątpię, żebym znalazła w niej coś naprawdę przydatnego w obecnej sytuacji, ale jest to możliwe. Dowiem się, o co chodzi Rafe'owi - ponieważ jestem pewna, iż kryje się za tym więcej, niż nam powiedział - i postanowię, czy zabrać go z nami, zostawić czy zabić.

- Zabiłabyś Rafe 'a?

- Gdybym uznała go za zagrożenie dla rodziny, rzecz jasna - odparła Ky. Rozbawił ją szok, widoczny na twarzy Stelli. - To jest wojna, Stello. Mamy problemy; gdyby popatrzeć na liczby - wręcz przegrywamy. Nie możemy pozwolić sobie, by ktokolwiek - choćby nie wiem jak czarujący - zadał nam kolejne straty.

- Brzmi sensownie. - Rafe stał w drzwiach do kajuty, a zza pleców wyglądał mu niespokojny Jim. - Kapitanie, miała pani rację - nie doceniłem pani.

- A ja najwyraźniej nie doceniłam pana, wierząc, iż Jim utrzyma go z dala od mojej kabiny... - Zbeształa się w myślach za to, że nie zamknęła drzwi.

- Szliśmy na mostek. Usłyszałem tylko jedno, bardzo roztropne zdanie, nic więcej, zapewniam. - Rafe obdarzył je uśmiechem pełnym dobrej woli. - Stello, jesteś na swój sposób genialna, lecz twoja kuzynka Ky podbiła me niestałe serce...

- Bez wzajemności, niestety... - parsknęła Ky.

- Oczywiście - potwierdził Rafe. - Nie spodziewałem się tego. Czekam z niecierpliwością na naszą rozmowę o spółce, kapitanie. - Obrócił się do Jima. - A teraz na mostek? Może powinniśmy zamknąć właz, by zapewnić kapitanowi nieco więcej prywatności?

- Dziękuję - mruknęła Ky. Rezydujący na mostku Lee powinien okazać się mniej podatny od Jima. Gdy zostały same, poprosiła Stellę: - Opowiedz mi o Rafe... wszystko, co wiesz.

- Wszystko, co wydawało mi się, że wiem - poprawiła ją Stella. - Na pewno nie wiedziałam, że jest synem Dunbargera. O ile jest. Choć to by wiele wyjaśniało. - Wzięła głęboki wdech. - To było po tej katastrofie z Jamarem - tym, któremu zdradziłam kody. Od miesięcy tkwiłam w domu, pouczana przez każdego, kto ukończył dziesięć lat. Głupia Stella, idiotka Stella, jak mogłaś, Stello, czy nie mówiliśmy ci, Stello i tak dalej, i tak dalej.

Oczywiście, sama mówiłam sobie dokładnie to samo. Potem zjawiała się ciocia Gracie, uciszyła wszystkich, nakazała mi przestać robić miny i wziąć się w garść, a potem wysłała mnie do jej starego przyjaciela na Cassagarze. Dowiedz się, w czym jesteś dobra - powiedziała mi -

ponieważ jesteś Vattą, co oznacza, że oprócz urody i przyciągania nieodpowiednich mężczyzn musisz mieć jakieś inne talenty.

- Brzmi jak ciocia Gracie - przyznała Ky, mając nadzieję, iż Stella zrezygnuje z opowiedzenia jej całej historii i wróci do Rafe'a.

- Tak, cóż, jej stary przyjaciel okazał się być dawnym towarzyszem broni - to wtedy dowiedziałam

się o burzliwej przeszłości cioci Gracie. Przeszłam szybkie szkolenie z procedur kurierskich i ciotka posłała mnie do innego przyjaciela, po drugiej stronie planety.

Najwidoczniej dobrze się sprawiłam, bo odesłał mnie z pozytywnym raportem. Uważałam to za świetną zabawę - oczywiście, trzeba było co do joty przestrzegać procedur, ale lubiłam takie wyzwania: wtapianie się w tłum, zamienianie się w kogoś innego, a przynajmniej pozostawianie głupią Stellą na zewnątrz, w środku będąc kompetentną Stellą. Nadażasz?

- Pewnie - odrzekła Ky. Zwłaszcza po ujrzeniu tych subtelnych zmian wyrazu twarzy i zachowania.

- Cóż, wykonywałam kolejne zlecenie starego druha cioci Gracie i bawiłam się na przyjęciu w ambasadzie na Cassagarze, kiedy poznałam Rafe'a. Domyślił się, że szukałam informacji, tak samo jak ja rozpoznałam w nim kolegę po fachu. Zaczepił mnie. Nie wiedziałam, co robić - to była moja pierwsza misja polityczna - więc uciekłam się do dziewczęcych chichotów i seksapilu, ale on tego nie kupił. Do dzisiaj nie jestem pewna, jak to się stało, ale następne, co pamiętam, to jak uczył mnie posługiwać się wytrychami - bardzo pożyteczna umiejętność; do dzisiaj używam podarowanego mi przez niego zestawu - a niedługo potem uświadomiłam sobie, że to najbardziej seksowny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jamar plasował się sześć klas niżej. - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Ky pomyślała o Halu, lecz zaraz przegnała to wspomnienie.

Stella kontynuowała opowieść.

- Oraz najbardziej niebezpieczny. I z takimi kontaktami, o których w ogóle nie miałam pojęcia, że istnieją... Wyglądało na to, że maczał palce w działalności każdej tajnej organizacji Cassagaru. Opowiadał mi, że pokonał drogę od państwowego sierocińca do prywatnego detektywa, ucząc się dobrych manier z taśm, ale oboje wiedzieliśmy, że brał również udział w podejrzanych akcjach. Pracowaliśmy ze sobą dość krótko; postanowiłam wrócić na Slotter Key, by zdać relację cioci Gracie. Potem i ona, i ojciec co jakiś czas korzystali z moich umiejętności.

- Rozumiem. No więc... ufasz Rafe'owi?

- Przed ostatnimi rewelacjami powiedziałabym, że Rafe pozostaje lojalny, jeśli zapłaci mu się proponowaną przez niego cenę oraz że można polegać na nim jako na stronie umowy. W

sumie, ostatnio stanęłam do niego plecami. Teraz jednak nie jestem pewna... jeśli naprawdę jest synem Dunbargera oraz czynnym agentem ISC, pozostanie z nami -

lub z każdym, z kim zawrze umowę - tylko tak długo, jak długo nie będzie to sprzeczne z interesem ISC.

- Nie zamierzam występować przeciwko ISC - oznajmiła Ky. - A po Sabinę powinni mnie lubić. Czy w tych okolicznościach powinniśmy przedłużyć umowę z Rafem lub go zatrudnić? I co byłoby lepsze?

- Umowa partnerska - oceniła Stella. - Owszem, uważam, że przydałby się nam, choć...

nadal jestem wściekła, że nigdy mi nie powiedział... - Przekrzywiła głowę i spojrzała na Ky. -

Ale do czego mogę przydać sieja? Co możesz zrobić ze mną, Ky?

- Jeszcze nie wiem. Możemy potrzebować własnego wywiadowcy, kiedy dotrzemy do miejsca, gdzie nie jesteś znana i nie staniesz się natychmiast magnesem dla zabójcy. Poza tym, przez ostatnich kilka lat byłeś w domu częściej ode mnie. Możesz sporo wiedzieć o ostatnich posunięciach firmy, o których ja nie mam pojęcia.

- Potrafię też usmażyć jajecznicę - dodała z uśmiechem Stella. - Nie posiadam umiejętności astronauty, lecz mogą przydać się pewne moje uzdolnienia.

- To dobrze. Poza tym, jesteśmy jedną rodziną. A nie zostało nas zbyt wielu. - Znów poczuła na barkach ten mroczny ciężar. Walczyła, żeby się pod nim nie załamać.

- To prawda - przyznała Stella. Zrobiła smutną minę. - Ja nie... do tej pory nie było czasu na opłakiwanie zmarłych. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Ja przynajmniej miałam trochę czasu na kurierze. Tobie musiało być ciężiej - nie miałaś z nikim kontaktu, kiedy to się wydarzyło.

- Nie wiem - mruknęła Ky. - Wszystko jest takie nierealne. Oni byli zawsze... rodzice, ciotki, wujkowie, siedziba korporacji, dom. Niemal mogę udawać, że wciąż tam są, ale ty nie. -

Ona też nie, chyba że na krótką chwilę. Poza tym, nie podejmie właściwych decyzji w oparciu o nieprawdziwe dane.

- Rzeczywistość jest trudna - uznała Stella. Przeciągnęła się. - No cóż. Zajął się Tobym; to dobrze.

- Dopóki ktoś nie wysadzi statku w powietrze - zauważyła z poważną miną Ky. - Wciąż o tym myślę. Powinniśmy znaleźć mu bezpieczniejsze miejsce; jest naszą przyszłością. Stello, czy ty lub ciocia Gracie wiecie, dlaczego rząd zwrócił się przeciwko nam?

- Nie była pewna, czy ktoś zaproponował im wyższą stawkę niż my, czy tylko ich nastraszył. Kiedy wyjeżdżałam, zamierzała to ustalić, jak również sprawdzić, czy uda jej się skorygować ich tok rozumowania, jak to ujęła. Nie chciałabym być Prezydentem, któremu ciocia Gracie depcze po piętach. - Przeciągnęła palcem po szyi.

Ky zastanawiała się przez chwilę, po czym postanowiła skoczyć na głęboką wodę.

- Stello, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Zanim doszło do tego wszystkiego, ktoś przesłał wiadomość, która czekała tutaj na mnie. Mam list kaperski ze Slotter Key...

- Ależ nikt już tego nie robi! - zawołała Stella, otwierając szeroko oczy.

- Też tak myślałam, lecz okazuje się, że robi i sama taki posiadam. Zobacz... - Podała jej opasłą teczkę.

- To nadzwyczajne... kiedy to dostałaś? Jesteś pewna, że to oficjalny dokument?

- Przyszedł tutaj od... kogoś znanego mi z Akademii. Jestem pewna pochodzenia, nie wiem tylko, czy jest jeszcze aktualny. - Odebrała teczkę po przejrzaniu jej przez Stellę i schowała. - Mimo to, niniejszym otrzymałam prawo ścigania sprawców nie tylko od naszej rodziny.

- Nie miałam pojęcia, że Slotter Key wynajmuje kaprów - powiedziała Stella, kręcąc głową. - Sądziłam, że wiem sporo o lokalnej polityce... ciekawe, jak udało im się utrzymać to w tajemnicy.

- Słyszałam pogłoski - odparła Ky. - Myślałam, że to podła potwarz, lecz najwyraźniej jest inaczej.

- Kaper - powtórzyła Stella. Wtem uśmiechnęła się. - Aktualny czy nie - kto to sprawdzi, skoro ansible zamilkły?

- Z pewnością nie Rafe - odparła Ky. - Nie jestem jeszcze gotowa zdradzić mu wszystkich moich tajemnic. Poza tym, naprawdę widzisz, jak ten statek atakuje i zdobywa inne jednostki? Rzecz w tym, iż choćbym nie wiem jakim była militarnym geniuszem, nie widzę możliwości prowadzenia wojny za pomocą tej jednej, starej krypy. Jest powolna, podatna na ataki i brakuje jej zębów.

- Może pieniądze pomogą? - zapytała Stella. - Mam ich trochę w standardowej postaci, z zasobów cioci i moich własnych.

- Pieniądze zawsze się przydadzą. Z pewnością pomogłyby, gdyby wystarczyło ich na zakup prawdziwego okrętu bojowego, wątpię jednak, żebyś przywiozła ich aż tyle.

Udoskonalenie tego... możemy otrzymać uzbrojony statek kupiecki, który każdy uzna za pirata, ale to wszystko. Potrzebny byłby nowy napęd wewnątrzukładowy, przyzwoita osłona i co najmniej jeden - nie, dwa - przyzwoite typy uzbrojenia. Zredukowałabym o jedną trzecią ładownie, które i tak nie są zbyt wielkie.

- Zdążyłaś już wszystko przemyśleć.

- Oczywiście. Nie siedziałam beczynn timer, wyłamując sobie palce. Rozważyłam kilka możliwości. Latanie na frachtowcu w barwach Vattów: duże prawdopodobieństwo szybkiego wysadzenia nas w powietrze. Latanie na frachtowcu w innych barwach - na przykład moich - w nadziei, że nikt nie dowie się, że był to statek Vattów: wymagałoby to nowego chipu statku, zdobytego nielegalnie, jak również czasu na zbudowanie sobie klienteli. Jak wiesz, nie ma zbyt wiele ładunków do przewiezienia pozbawionym ubezpieczenia, nieznanym statkiem. Latanie na uzbrojonym statku kupieckim i próbowanie łączenia lekkiego cargo - zapewne nielegalnego

- z dokonywanymi znieścacka atakami na naszych wrogów, o ile dowiemy się, kim w ogóle są.

Zabawa niebezpieczna i dająca małe szanse na zarobienie wystarczających pieniędzy, żebyśmy przetrwali, chyba że zaczniemy wozić naprawdę paskudne ładunki.

- Naprawdę paskudne ładunki mogłyby doprowadzić nas do nieprzyjaciół...

- Tak. Mogłyby. Z korzyścią dla nas lub prosto w zasadzkę. Z pewnością wiesz, że konta firmowe Vattów są zamrożone, a kredyt i ubezpieczenie statku lub ładunku niemożliwe do otrzymania...

- Nie wiedziałam o zablokowaniu kont; na Allray mogłam z nich korzystać.
- Tutaj nie, jak również w innych miejscach, o których słyszałam. Sprzedałam cargo, z którym tutaj przylecieliśmy, mam również trochę kosztowności, zapieczonych dla mnie w cieście owocowym przez ciotkę Gracie, ale nie wystarczy to na zakup nowego statku ani przekształcenie tego w uzbrojony statek kupiecki.
- Dorzucę moje i zobaczymy, co da się z tym zrobić - zaproponowała Stella.
- Zainteresowało mnie - powiedziała Ky - że ty i Rafe najwyraźniej robiliście to samo, tyle że dla innych mocodawców. Naprawdę nie wiedziałaś, że pracował dla ISC?
- Nie. Nie mogę uwierzyć, że nigdy mi nie powiedział. A ta jego ckliwa opowieść o...
- Nieważne - ucięła Ky. - Twoim zdaniem, na ile jest wiarygodny? Ile z jego postawy to poza?
- Ufałabym mu takiemu, jakiego go znałam - odrzekła Stella - ale teraz nie jestem już pewna, kto to taki. Jeśli chodzi o dotrzymywanie umów - absolutnie tak. Prawdziwa troska o kogoś? Nie jestem pewna.
- Czeka nas ciężkie zadanie, Stello. Skorzystamy z pomocy każdego sojusznika, jakiego uda się nam znaleźć, ale musi to być sprawdzony sojusznik. A przynajmniej działający w dobrze pojętym, własnym interesie.
- Jest sprytny - oceniła Stella. - Według mnie, interes osobisty jest dla niego wartością nadrzędną, lecz potrafi inteligentnie adaptować się do okoliczności. Godny absolutnego zaufania w określonych granicach.
- Co wiesz o jego umiejętnościach?
- Wie wszystko, czego można by oczekiwać po szpiegu korporacyjnym. Nie ma zamka
- mechanicznego lub elektronicznego - którego nie potrafiłby otworzyć, mało która baza danych oprze mu się dłużej, niż przez godzinę, ma również godną podziwu kolekcję kontaktów w wielu systemach gwiazdnych. Jeśli mówi prawdę o byciu synem Dunbargera, to podejrzewam, iż jego nielegalne dochody są znacznie niższe, niż utrzymywał. W odróżnieniu od większości oszustów on ukrywa swoje legalne przychody.
- Co jeszcze powinnam o nim wiedzieć?
- Osobowość - odrzekła Stella. - Z pewnością zauważyłaś - jest przyzwyczajony do kobiet u swych stóp.
- Nie w moim przypadku - odparowała Ky.
- Nie uciekł się jeszcze do swego uroku... nie ufaj mu, kiedy zacznie.



- A ty?
- Och. Tak, wciąż ma na mnie wpływ; poza tym, widziałam go w akcji z innymi kobietami.
- Nie przejmowałabym się tym - rzuciła Ky. - Tyle tylko, że z twych słów wynika, iż Jim i Lee nie powstrzymają go przed przewróceniem statku do góry nogami. Napuszczę na niego Martina.
- Opowiedz mi o nim. Przeraził mnie.
- Były żołnierz. Pracował w ambasadzie na Belincie. Posiada również doświadczenie w zakupach, zatrudniłam go więc na miejsce... Gary'ego.
- Robi wrażenie. Przypuszczam, że dobrze się z nim czujesz ze względu na twój pobyt w Akademii. Zamierzasz zaproponować Rafe'owi spółkę?
- Zastanawiam się nad tym. Zastrzeżenia?
- Żadnych. O ile ostrożnie sformułujesz warunki. Chcesz mojej rady?
- Prosiłam o nią prawda?
- Pozwól mi przejrzeć warunki, zanim je zaproponujesz. Albo mogę przygotować dla ciebie projekt umowy.
- Zrób to, Stello. Jeśli chcesz, możesz skorzystać z mojego biurka.
- Ustalę również, jak podłączyć implant - dodała Stella, kiedy Ky zmierzała do drzwi. -

Przyda ci się.

\* \* \*

Na mostku Lee miał oszołomioną minę, a Jim krzywił się. Rafe rozwał się w fotelu Ky w pozie właściciela statku.

- Przepraszam - odezwała się Ky niebezpiecznym tonem - ale to jest moje miejsce.
- Proszę o wybaczenie - zareagował Rafe. - Gdzie mam być?

Pod kontrolą, ale tego nie mogła powiedzieć.

- Tam znajduje się rozkładane siedzenie. - Wskazała ręką. - Lee, czy ktoś przebywa poza statkiem.
- Nie.
- To dobrze. Do jutrzejszej wachty nikt nie wychodzi. Raporty z sekcji?
- Na pani stanowisku, kapitanie. Niewiele tego; wyprzedaliśmy prawie wszystko.

MilMart trzyma dla nas ten zaawansowany zestaw, lecz do końca jutrzejszej wachty zażądają wniesienia depozytu.

- Do tej pory będę miała dla nich odpowiedź. - Ky przejrzała raporty. Quincy dysponowała większością danych. Sporządziła dla niej listę wszystkich odpowiednich statków do kupienia lub wzięcia w leasing wraz z kosztami i wliczoną prowizją.

- Kto zapewnia wam bezpieczeństwo w doku? - zapytał Rafe, przerywając jej.

- My sami - odparła. - Za pomocą zdalnych systemów.

- Jakich? - dopytywał się. - Nie robię niepotrzebnego hałasu; po prostu pamiętam, że statek Vattów na Allray został wysadzony w powietrze.

- Wie pan, jak do tego doszło?

- Nie. Słyszałem tylko, że zrobili to ludzie z zewnątrz, ale nie jestem pewny... to jedna z przyczyn, dla których wolałem się wynieść. Lecz systemy zdalne można... zmylić.

- Ma pan na myśli obejście - zasugerowała Ky. - Dysponujemy systemami wojskowymi, zainstalowanymi przez moją załogę dwa dni temu. Czy to pana zadowala?

- Prawie - odparł Rafe. - Zasięg?

- Wystarczający - odrzekła. - Przynajmniej w świetle tego, czego mnie nauczono. Jakieś sugestie, panie... Dunbarger?

- Proszę nie używać tego nazwiska. Nawet tutaj. Jestem pewny, iż pani załoga jest absolutnie lojalna... - zerknął z ukosa na Lee, który przybrał obojętną minę - ... niemniej wprawia mnie to w zakłopotanie. Poza tym, nie brzmi zbyt dobrze.

- Vatta również nie jest muzyką sfer - zauważyła Ky.

- Zachowuje pewien ziemski rytm - uznał Rafe. - A Dunbarger brzmi jak nazwa czegoś, co wycina się podczas operacji plastycznej. Prosiłbym zwracać się do mnie, używając nazwiska znanego Stelli lub per Murchison - korzystałem z niego ostatnio. Albo po prostu: Rafe.

- A pan mógłby - odcięła się Ky - po prostu odpowiadać na moje pytania. Ma pan jakieś sugestie co do zasięgu?

- Trzy niezależne systemy, pająki optyczne rozmieszczone co metr, każdy system zdolny do uruchomienia pozostałych, lecz nie do wszczynania alarmu. Szerokozakresowe skanowanie, pełne skafandry antychem i bio, oficer dyżurny potrafiący właściwie interpretować sygnały. Niezależne źródła zasilania i zabezpieczone łącza...

- Myślę, iż uzna pan moje zabezpieczenia za adekwatne - skwitowała Ky. - Mam tutaj coś bardzo zbliżonego. Coś jeszcze?

- Ochrona przed wtargnięciem?

- Oczywiście.

- Nie zauważyłem jej, gdy tu wchodziłem - rzucił.

- Nie miał pan jej zauważyć - odparła. - Ale jest. Mamy również aktywne systemy ochrony kadłuba. Nasze tarcze śmierdzą, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, co w nas uderzyło.

- Zaczynam mieć nadzieję, że zaproponuje mi pani spółkę, kapitanie Vatta.

- Zaczynam brać to pod uwagę. Mamy pewne sprawy do omówienia. Może wrócimy do mesy?

- Oczywiście.

- Jim, zajrzyj do mojej kabiny i sprawdź, czy Sera Vatta niczego nie potrzebuje. Bądź do jej pełnej dyspozycji.

- Czy to mądre? - mruknął Rafe, idąc korytarzem za Ky.

- Jim zachowa się odpowiednio - zapewniła go Ky. - A Stella ma lepszy gust. - Czekwała na jego reakcję, a gdy nie było żadnej, dodała: - Na przykład znalazła pana.

Uniósł brwi.

- Komplement?

- Stwierdzenie faktu. Bez kokieterii proszę.

- Nigdy tego nie robię... no, może czasami, ale tylko dla osiągnięcia konkretnego celu.

O czym będziemy dyskutować, kapitanie?

- O pańskim ewentualnym wkładzie w moją misję - odrzekła Ky.

- Musiałbym wiedzieć, na czym ona polega, by właściwie ocenić, w czym mógłbym pomóc.

- Po pierwsze: na przetrwaniu. Potem, na udzieleniu pomocy innym ocalałym statkom i członkom rodziny Vattów, jak Toby'emu, jeśli ich odnajdziemy. Na odkryciu, kim są nasi wrogowie i dlaczego nas zaatakowali. Wreszcie, na zniszczeniu ich.

Brwi powędrowały jeszcze wyżej.

- Całkiem spora misja, jak na jedną osobę i - proszę wybaczyć brutalność - mały, stary i powolny statek.

- I właśnie dlatego szukam sojuszników - odparła Ky. - Nie jestem tak szalona, by uważać, że dokonam tego wszystkiego sama. Twierdzi pan, iż posiada doświadczenie zbliżone do aktualnych

kłopotów ISC, które - moim zdaniem - są dość bliskie naszym.

- Myślę, że tutaj ma pani rację - przyznał z absolutną powagą Rafe. - Jak pani uważa, kiedy to się zaczęło?

- Wiem, kiedy bym nie chciała, żeby się zaczęło - odrzekła. - Czyli wtedy, gdy wplątałam się w atak na ansible Sabinę. Uważam za prawdopodobne, iż organizację, która go zaplanowała, moja interwencja zirytowała na tyle, że zemściła się na całej mojej rodzinie.

- W tej kwestii mogę panią uspokoić - zapewnił Rafe. - Pani działania były postrzegane jako typowe dla Vattów, których uważa się za pozostających w aż nadto bliskich kontaktach z rządzącą ISC frakcją. Wasze kierownictwo, na przykład, było blisko z Lewisem Parminą...

- Tak.

- Lewis został wybrany przez mojego ojca na następcę. Ma mnóstwo wrogów wewnątrz korporacji, na zewnątrz zresztą także. Reprezentuje starą linię ISC, skłoną utrzymać status quo. Innowatorzy nienawidzą go.

- Innowatorzy? - Ky nie miała pojęcia, o czym mówił.

- Proszę posłuchać, kapitanie. Będę z panią tak szczery, jak tylko pozwoli mi na to lojalność wobec mocodawców. I bardziej uczciwy niż wobec Stelli - poznała pani, na przykład, moje prawdziwe nazwisko. ISC boryka się z poważnymi problemami wewnętrznymi. Nie mogę opowiedzieć pani wszystkiego. Części spraw nie znam, o innych nie wolno mi mówić.

Lecz od trzech lat ostrzegałem ojca, że zanoszą się na wybuch. Nie odgadłem, gdzie - stawiałem na Allray, nie Sabinę i dlatego właśnie osiadłem tam dwa lata temu. Próbowałem zdobyć niepodważalne informacje kto, jak i kiedy. Ten drugi atak na sieć ansibli, całkowicie ją paraliżujący...

- Lastway zachowało łączność - wiedział pan o tym?

- Usłyszałem od załogi, kiedy się wynurzyliśmy. Nie mogę doczekać się długiej i miłej pogawędki z tutejszym menedżerem, gdyż istnieje możliwość, że jest jednym z nich.

- Ponieważ tutejsze ansible działają?

- Dokładnie. Sprawiają wrażenie funkcjonujących, ale czy tak jest naprawdę? Czy wszystkie wiadomości są wysyłane i otrzymywane? Raczej wątpię. Ludzie, których podejrzewam o odpowiedzialność za ataki, muszą komunikować się ze sobą, do czego potrzebują sieci - tyle, że pod swoją kontrolą. O ilu systemach wie pani, że zostały odłączone?

- Wedle mojej wiedzy? Slotter Key. Statek lecący do Układu Belinty powiedział mi, że Leonora milczy, a automatyczna stacja pośrednia jest zatkana oczekującymi wiadomościami.

- Pełna... to nie powinno się wydarzyć. Nie mogło do tego dojść bez sabotażu, a jest to najprostszy

sposób na wywołanie zamieszania. Łatwy do naprawienia, o ile załogi remontowe znają defekt i przykładają się do pracy. Ale i łatwy do ponownego zastosowania.

- Tanio? - spytała Ky.

- Jeżeli jest pani technikiem z platformy ansiblowej lub administratorem, to tak. Takie jest, moim zdaniem, źródło kłopotów.

- Czyli zamierza pan sprawdzić lokalnego administratora.

- I to bardzo dokładnie. Prawdę mówiąc, najpierw chcę sprawdzić same platformy i ich systemy operacyjne. Uważam to za najwyższy priorytet; nasza spółka schodzi w tym momencie na drugi plan. Rozumiem, że żadna kobieta nie lubi być druga...

- Niech pan nie będzie głupi - fuknęła Ky ostrzej, niż zamierzała. - Nie jestem uczennicą, nawet, jeśli nie mam siwych włosów. Rozumiem, że na pierwszym miejscu stawia pan ISC. Cemu jednak chce pan sprzymierzyć się z Vattami?

- Mobilność. Większe zasoby. Większość z przyczyn, dla których pani szuka sojuszników. Ta sprawa jest zbyt duża dla mnie samego, a nie mogę - nie odważę się - udać się prosto do siedziby mojej firmy. Nie mogę żądać miejsca na statku ISC, nie ujawniając mojej tożsamości, co uniemożliwiłoby zdemaskowanie spisków. Nasze połączone siły są większe, niż każdego z nas z osobna.

Sprawiał wrażenie uczciwego, ale dobrzy kłamcy zawsze wyglądają na uczciwych. Ky była pewna, że coś ukrywa - sam to przyznał - nie wiedziała tylko, czyjego sekrety były szkodliwe dla jej misji. Sama ukrywała pewne sprawy, jeśli już o tym mowa. Przyłapała się na zastanawianiu się, jak naprawdę wygląda w swoich własnych włosach i bez przebrania, i natychmiast siłą zwróciła swoją uwagę na bieżące problemy.

## ROZDZIAŁ 13

Chce pan zawrzeć umowę z Transportem Vattów, czy ze mną osobiście? - zapytała Ky.

- A może ze mną Stellą i Tobym?

- To pani teraz dowodzi, prawda? Wierzę w ustalenia na samym szczycie. Chciałbym zawiązać spółkę z panią.

- Stella zostanie moją G-2 - poinformowała go Ky. Zastanawiała się, czy znał to określenie.

- Dobry wybór - uznał Rafe. - Z pewnością będzie pani chciała, aby Stella sprawdziła umowę. Czy mam napisać, co chciałbym w niej zobaczyć, skoro nie ma pani implantu?

- Proszę bardzo - odparła Ky. Wezwała Stellę, która przybyła z gotowym wzorem dokumentu. Rafe rzucił na niego okiem. - W porządku - ocenił. Po podpisaniu i zarejestrowaniu umowy wstał i przeciągnął się.

- Wolałbym nie prowadzić mojego dochodzenia stąd - powiedział.

- Wasza ochrona może być tak dobra, za jaką ją uważacie, lecz mimo to wolałbym nie zostawić żadnych śladów.

- Masz podejrzenia, kto to może być?

- Mam pewien pomysł. Żadnych dowodów. Potwierdzenie tego pomysłu będzie oznaczać, że mają

takich samych lub lepszych techników ode mnie.

- Lepszych od ISC?

- Lepszych, niż dostałem do dyspozycji. Gdybym mógł dowiedzieć się, gdzie jest łazienka, żeby móc przywrócić twarzy poprzedni wygląd...

- Prosto korytarzem, a potem druga odnoga w lewo - wyjaśniła mu drogę Ky.

- Kapitanie, telefon do pani na mostku.

- Idę - odparła. - W porządku, Rafe, idź i dowiedz się jak najwięcej. Jeśli całe lokalne biuro ISC zdradziło...

- Tego nie powiedziałem.

- Nie, ale może tak być. Jak długo mam czekać, zanim postawię na nogi kawalerię?

- Kawalerię, której nie masz? Możesz zacząć się martwić, jeśli nie wrócę za pełną dobę.

- W porządku. A gdzie mamy szukać ciała, jeżeli nie wrócisz?

- Byłbym bezpieczniejszy, gdybym wiedział. Po prostu nie... nie wpakujcie się w kłopoty, zanim wrócę.

- Zrobię, co w mojej mocy. Do zobaczenia. Zadzwoń z perymetru - masz numer do Stelli, prawda?

- Tak.

Na mostku Lee z dziwnym wyrazem twarzy utrzymywał otwarte łącze.

- To okręt Mackensee - powiedział. - Chce pani z nimi rozmawiać?

- Żałuję, że nie stać mnie na wynajęcie ich - mruknęła Ky, zastanawiając się, czy wkład Stelli nie uczyniłby tego możliwym. Pewnie nie. Zasiadła na fotelu kapitana i włączyła monitor. - Kapitan Vatta, słucham?

- Mówi kapitan Pensig z okrętu Gloucester Korporacji Pomocy Wojskowej Mackensee.

Jak rozumiem, jest pani tą samą kapitan Vattą, która zawarła z nami kontrakt na Sabinę?

- Zgadza się - przytaknęła Ky. Miała nadzieję, że nikt nie zamierzał teraz podważyć tamtej umowy; kiedy rozstawała się z nimi, sprawiali wrażenie bardzo przyjacielskich.

- Mamy... znaleźliśmy się w pewnej sytuacji, kapitanie Vatta, i oficer dowodzący naszymi mobilnymi siłami chciałby odbyć z panią rozmowę.

- Ze mną?

- Tak, kapitanie. Nie jestem pewny, czy zna pani strukturę dowodzenia Mackensee: załogi statków i siły mobilne podlegają różnym dowódcom, tak jak było...

- Czy jesteście tutaj w związku z wojną? - zapytała Ky. Dostyc krążenia naokoło; chciała konkretnie.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. To znaczy, nic wspólnego z siłami atakującymi instalacje ISC. Przybyliśmy z rutynową misją wymiany personelu w lokalnym biurze rekrutacyjnym i konsultacyjnym. Lecz coś się wydarzyło... między innymi awaria ansibli...

- Rozumiem - mruknęła Ky, chcąc wypełnić przedłużającą się ciszę. - I wasz OD

[Oficer dowodzący] chce ze mną rozmawiać? Co jego lub jej zdaniem mogłabym zrobić?

- Nie jestem pewny. Jak już mówiłem, nie jest moim dowódcą... prawdę rzekłszy jest...

dość młody... niemniej poprosił mnie, żebym nawiązał z panią kontakt. Nasz dotychczasowy dowódca miał pewne problemy natury medycznej i został zamrożony. Czy zechce pani spotkać się z nim?

- Oczywiście - odrzekła Ky. - Jednak w tej chwili nie zamierzam opuścić statku. Gdzie dokujecie?

- Pięć Alfa Niebieski. Zapewne chciałaby pani porozmawiać z nim najpierw przez łącze, zanim dojdzie do spotkania...

- Tak, dziękuję panu - odparła Ky.

- W takim razie proszę chwilkę poczekać. Zawołam go.

Ky zdziwiła się, dlaczego tamtego oficera nie było od początku przy rozmowie, lecz widok mostka okrętu Mackensee potwierdzał jego nieobecność. Kiedy się zjawił, ukazał twarz dużo młodszą, niż się spodziewała.

- Kapitanie Vatta, to jest porucznik Mason z Korporacji Pomocy Wojskowej Mackensee; aktualnie jest najwyższym stopniem oficerem dowodzącym siłami bojowymi w tym systemie. - Kapitan okrętu mógłby być ojcem porucznika Masona.

- Kapitanie Pensig, porozmawiam z kapitanem Vattą w cztery oczy - oznajmił

młodzieniec. Na szyję kapitana Pensiga wypełził powoli rumieniec, doskonale widoczny na monitorze.

- Oczywiście, poruczniku Mason - odrzekł z grobową miną. - Łącznościowiec zapieczętuje linię. - Wyszedł z kadru, a marginesy na ekranie zamigotały, po czym znieruchomiały, gdy ktoś przeszedł przez kurtynę bezpieczeństwa.

- Nie wygląda pani tak, jak oczekiwałem - powiedział porucznik Mason. On także nie; Ky poznała wcześniej tylko paru oficerów Mackensee, lecz każdy z nich miał na twarzy rys twardości, jakiej



oczekiwałyby od doświadczonych żołnierzy. Temu młodzieńcowi wyraźnie tego brakowało; pasował bardziej do biura spedycyjnego, gdzie wszystko można było wpasować w rutynowe tryby.

- A czego pan oczekiwał? - zapytała. I dlaczego niby miałby pan czegokolwiek oczekiwać? - dodała w myślach.

- Kogoś wyższego - odrzekł. - Może nieco starszego. - Spojrzała mu w twarz i poczuła się znacznie starsza od niego. - Miała pani z nami kontrakt... z Mackensee...

A więc powtarzane opowieści nie kładły nacisku na jej młodość i niedoświadczenie. To musiało okazać się korzystne.

- Czego pan chce, poruczniku Mason?

- Ja... uch... chciałem z panią porozmawiać. Jestem najstarszym stopniem oficerem Mackensee w tym systemie. - W oświadczeniu pobrzmiewała zarówno duma, jak i pewne zaskoczenie. - Słyszałem o pani... wszyscy słyszeliśmy. I mam dylemat, w rozwiązaniu którego mogłaby mi pani pomóc.

- Nie wydaje mi się, żebym miała zbyt wiele dodatkowych zasobów, poruczniku.

- Pomyślałem, że moglibyśmy połączyć nasze możliwości...

- Jak?

- Szanowna pani, naprawdę wolałbym porozmawiać z panią osobiście, w jakimś bezpiecznym miejscu. Czy mogłaby pani przyjść na nasz okręt?

- Eee... nie, dziękuję. Wolę pozostać na moim statku. To pan może przyjść tutaj. - Co dałoby jej nieco czasu na dowiedzenie się tego i owego o sytuacji Mackensee na stacji.

- Dobrze. Niedługo będę.

- Proszę uważać na problemy w dokach.

Usłyszała jakby odchrząknięcie, po czym:

- Szanowna pani, nie spodziewam się żadnych kłopotów. Biorę ze sobą oddział...

Natychmiast po rozłączeniu zadzwoniła po Martina. Gdy zjawił się na mostku, opowiedziała mu całą rozmowę.

- Najemnicy chcą z nami rozmawiać? - upewnił się. - To bardzo interesujące. Ciekawe, jaki mają problem, w którym, ich zdaniem, możemy im pomóc.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Lecz wkrótce tutaj będą i wołałabym, żebyś był obecny.

- Oczywiście, madame.

Niecałą godzinę później zewnętrzne skanery potwierdziły dobrą reputację sprzętu i oprogramowania, sygnalizując pojawienie się „licznych uzbrojonych osobników w zbrojach”.

W samym środku dziesiątki żołnierzy Mackensee w pancerzach i opuszczonych osłonach na twarzach szedł porucznik, nieco mizerny na tle ich imponujących sylwetek. Martin wyszedł im na spotkanie, energicznie kiwnął głową porucznikowi i poprowadził go do wejścia na statek.

Ky otworzyła zamek i zeszła do korytarza wejściowego.

- Poruczniku Mason, witam w doku Vattów.

- Moja eskorta pozostanie tutaj - oświadczył oficer. Nie różnił się od wizerunku na wideo. - Czy mogę wejść na pokład?

- Tak, oczywiście - odrzekła Ky. Zaprowadziła go do mesy i posadziła przy stole.

Martin stanął w pozycji „spocznij” przy drzwiach do kambuza. Porucznik odmówił czegoś chłodnego do picia, siedząc na krześle wyprostowany jak struna i lekko wydymając wargi.

- No cóż - zaczęła Ky, gdy nie uczynił nic przez kilkanaście sekund. - Proszę to z siebie wyrzucić - o czym chciał pan rozmawiać?

Spojrzał na Martina.

- Ten człowiek...

- Jest dyskretny i uczciwy, poruczniku Mason. Nie musi pan wiedzieć nic więcej.

Ku jej zaskoczeniu oficer poczerwieniał, lecz zaczął:

- Oto, jak wygląda nasza sytuacja. Zarządca stacji utrzymuje, że tutejsze ansible działają, ale nie otrzymujemy żadnych wiadomości. Absolutnie żadnych. Wysyłaliśmy pytania, lecz nie wiemy, czy nasi ludzie je otrzymali. Może zablokowane są ansible wyjściowe. Ja... nie możemy odlecieć stąd bez rozkazu; nie wiemy, dokąd lecieć. I... zaczyna brakować nam pieniędzy.

- Chwileczkę - rzuciła Ky. - Po pierwsze, co tutaj robicie? Zawarliście kontrakt na przybycie tutaj?

- Nie, proszę pani - odparł Mason. - Lastway to dobre miejsce do pozyskiwania zleceń; dlatego właśnie tutaj mamy biuro rekrutacji i konsultacyjne. Na pograniczach zamieszkanym obszarów obyczaje są... nieco swobodniejsze, jeśli wie pani, co chcę przez to powiedzieć.

Prowadzicie interesy związane z bronią... jak wiecie, znajduje się tutaj MilMart Exchange...

największy dostawca nowego i używanego ciężkiego sprzętu bojowego... na całym Obrzeżu.

Kiedy... ktoś... zamyśla o wszczęciu wojny, często przylatuje tutaj, by zaopatrzyć się w ekwipunek. Musiała pani mijać nasze biuro rekrutacyjne...

- Tak.

- To jednocześnie lokalny punkt konsultacyjny. Cokolwiek ludzie mówią o najemnikach, proszę pani, Mackensee dostarczają usług najwyższej jakości. Nie sprzedajemy wojny, tylko doświadczenie ludziom, którzy w przeciwnym razie wdaliby się w niepotrzebne konflikty i spowodowali mnóstwo zniszczeń.

- Doprawdy... - Brzmiało to tak, jakby nauczył się na pamięć fragmentu którejs z broszur. Starła się nie patrzeć na Martina, by sprawdzić, jak on przyjął tę perorę.

- Tak jest, proszę pani. Starzec mówi, że najlepsza wojna to ta, do której nie dochodzi.

Dlatego właśnie wolimy zawierać umowy doradcze, a nie bojowe. A jeśli musi już dojść do wojny, lepiej, żeby była prowadzona przez zawodowców, ponieważ wówczas koszty da się skalkulować. - Znowu posługiwał się językiem marketingu.

- W ilu akcjach brał pan udział, poruczniku? - Gadatliwość młodzieńca skłaniała ją do przypuszczeń, że do tej pory strzelał jedynie do tarczy.

- Eee... w żadnej, proszę pani. Ale przeszedłem dwuletnie szkolenie: rok w Bojowym Symulatorze Mackensee i rok na poligonie.

- Rozumiem. Czemu przystąpił pan do Mackensee?

Wzruszył ramionami.

- Och, zwykłe powody. Miałem kłopoty, sędzia dał mi wybór: paka albo zaciąg.

Wybrałem zaciąg. Miałem szczęście; po okresie wstępnym Mackensee pozwolili mi skończyć szkołę, a wyniki kwalifikowały mnie do szkolenia oficerskiego.

Ky pomyślała, że najpierw powinni dać mu zakosztować wojny, ale z drugiej strony ona sama dostała się do elitarnej Akademii Kosmicznej dzięki wynikom testów i stopniom ze szkoły. I popatrzcie tylko, jak to się skończyło.

- A więc... jest pan najstarszym stopniem oficerem. Dowodził pan na Stacji Lastway, czy...

- Nie, proszę pani. Jestem... byłem oficerem eskorty wypłaty i leciałem z kwatery głównej na Lastway... Major Delinn był tutejszym oficerem dowodzącym, a kapitan Oscone odpowiadał za żołnierzy na obu okrętach. Kiedy umilkły ansible, znajdowaliśmy się na Skrzyżowaniu Teglin. Kapitan Oscone odesłał jeden okręt z powrotem do dowództwa po nowe rozkazy, a mnie uczynił dowódcą żołnierzy. A kiedy przyleciałem tutaj dwa dni później, majorowi Delinnowi pękła tętnica i trzeba było go zamrozić, ponieważ nie mamy tutaj odpowiedniego sprzętu medycznego, żeby go uratować. I zostałem sam.

W jego głosie słychać było mieszaninę przerażenia i ekscytacji.

- Iloma żołnierzami pan dowodzi? - zapytała Ky.

- Dziewięćdziesięcioma dwoma, nie licząc załóg okrętów. To więcej, niż zazwyczaj ma pod sobą porucznik. Dwudziestka w biurze rekrutacyjnym i konsultacyjnym, dwudziestu zmienników, którzy mieli ich zastąpić oraz pełne obsady okrętów. Jak pani widzi, nawet nie należą do tego samego typu oddziałów...

A ma nimi dowodzić dowódca eskorty wypłaty... być może.

- Ile okrętów tutaj macie?

- Dwa. Jeden to statek kurierski z wypłatą a drugi to strzegący go eskortowiec. Nie żaden wielki krążownik, ale dobrze uzbrojony i mogący stawić czoła każdemu przeciwnikowi, z wyjątkiem okrętów liniowych. Ten, który poleciał z powrotem do kwatery głównej, był taki sam.

- Co pańskim zdaniem mogę zrobić, żeby wam pomóc? - zapytała Ky.

- Myślałem, że mogłaby pani nas wynająć - odparł. - Słyszeliśmy o napaściach na statki Vattów, ich pracowników i budynki. Moglibyśmy was chronić. A wy - to znaczy, Vattowie -

stalibyście się naszymi poręczycielami na stacji.

Choć miała wielką ochotę wynająć Mackensee, ten młody człowiek nie wzbudzał w niej zaufania. Zachowywała rezerwę.

- Proszę mi wybaczyć niezręczne pytanie, ale czy jest pan uprawniony do zawierania umów w imieniu Mackensee?

- Starszy sierżant Dolan twierdzi, że tak - to znaczy, tak mówią przepisy. Oficer dowodzący może zawierać wiążące kontrakty, pod warunkiem, iż zabezpieczają one interesy Mackensee.

- Jak liczną obsadę mają okręty? - zapytała Ky, domyślając się, iż to była przyczyna, dla której kończyły się im środki, pomimo przywiezionej wypłaty. Ciekawe, ile to było. Nie miała pojęcia, ile kosztuje utrzymanie bezczynnego oddziału wojska - nie mieli takiego tematu wykładów na Kosmicznej Akademii Slotter Key.

- Piętnastu na kurierze i około setki na eskortowcu. Dlaczego pani pyta? Oni nie są moim problemem.

Byli jego problemem, a on był bardzo głupim, młodym oficerem, skoro tego nie dostrzegął.

- Jaką umowę miał pan na myśli? - zapytała.

- Jak już mówiłem, moglibyśmy was chronić. Padła pani ofiarą napaści, prawda?

- Owszem, lecz, jak widać, nic mi nie jest - odparła Ky.

- Zgadza się, jeśli jednak miałyby pani ochronę, do napadów mogłoby nie dojść. Poza tym, mówili,

że ledwo uszła pani z życiem.

- Kto?

- Garda. - Gwałtownie poczerwieniał. - Garda... ma umowę z Mackensee. Opartą na wzajemnym zrozumieniu.

- Rozumiem - mruknęła Ky. - Wie pan to, co oni?

- Częściowo. Starszy sierżant Dolan zna szczegóły.

Ky poczuła nagłą chęć porozmawiania ze starszym sierżantem Dolanem zamiast z porucznikiem Masonem, była jednak pewna, iż Dolan nie miał uprawnień do negocjowania kontraktów.

- No to jak, zawrzemy umowę? - zapytał Mason.

- Cierpliwości, poruczniku - osadziła go Ky. Czowała się o całe lata starsza od tego młodzieniaszka. - Muszę ocenić moje potrzeby, a pan musi zdradzić mi swoje stawki. Wbrew temu, co mógł pan słyszeć, kupcy nie są ulepiani z kredytów i nie posiadamy nieograniczonych funduszy. Czyż wasi ludzie nie są zazwyczaj wynajmowani przez całe planety?

- Owszem, ale pani nie zatrudnia pełnego korpusu ekspedycyjnego... tylko nas.

- Przypuśćmy, że złoży mi pan formalną ofertę, poruczniku, wraz z szacunkowymi kosztami, a ja zapoznam się z nią razem z moim oficerem finansowym i zastanowimy się, czy uda się nam dojść do porozumienia. Generalnie nie mam obiekcji co do zatrudniania Mackensee, nie zamierzam jednak podejmować żadnych ustnych zobowiązań, nie znając szczegółów. Z pewnością dysponuje pan jakimś oficerem niższego szczebla, który mógłby przygotować propozycję...

- Och. Oczywiście. Tak, proszę pani, dysponuję takowym. Starszy sierżant Roth... on będzie wiedział. Czy może... uch... po prostu przesłać to do pani implantu?

- Nie mam implantu - odparła Ky. - Czemu sierżant Roth nie miałby przygotować czegoś, co da panu do zatwierdzenia, a potem przedstawi mi osobiście?

- Owszem, proszę pani, może to zrobić. - Poweselał, słysząc konkretny plan działań, jak większość ludzi. Ky też byłaby szczęśliwsza, gdyby miała jakiś plan. - Czy możemy zrobić to...

uch... w miarę szybko?

Ciekawość i rozbawienie kazały jej porzucić ostrożną taktykę.

- Jak mocno doskwiera wam brak funduszy, poruczniku? - zapytała.

Zaczerwienił się i przestraszyła się, że zaraz się rozplacze.

- Ja... oni... właśnie zamknęli nam kredyt, a kapitanowie statków oczekują ode mnie, że coś z tym

zrobię, ale co ja mogę? Próbowałem wywiązywać się z obowiązków kapitana i majora, zupełnie nie wiedząc, co i jak, a Dolan i Roth patrzyli na mnie jak na pięciolatka i w końcu Dolan zapytał, dlaczego niby nie miałbym skontaktować się z panią... prawdę mówiąc, to było dwa dni temu, ale myślałem, że może wskóram coś z bankiem - zawsze mieliśmy dobry wskaźnik kredytowy - albo nareszcie otrzymamy wiadomość z domu...

Kpina - pomyślała Ky. Zdziwiło ją że Mackensee go przyjęli, ale może miał jakieś inne ukryte talenty... jakiegokolwiek.

- Pytałam - powtórzyła Ky, tym, razem z większym naciskiem - ile wam brakuje? Czy na przykład pańscy żołnierze będą mieli za co zjeść najbliższy posiłek?

- Uch... może.

Ky przewróciła w duchu oczami, po czym rzuciła w myślach kostką i podjęła decyzję, którą nie zamierzała się z nim jeszcze podzielić.

- Proszę mi przysłać starszego sierżanta Rotha - poleciła mu, niczym swojemu podwładnemu. - I to szybko.

- Tak jest, proszę pani - odrzekł. - Czy mogę coś powiedzieć żołnierzom?

Idiota.

- Nie - odparła. - Jeszcze nie. Proszę przysłać tutaj Rotha.

- Zadzwońię po niego z doku - oznajmił porucznik Mason. Gdy go odsyłała, miał o wiele szczęśliwszą minę. Spojrzała na Martina.

- Jego kłopoty musiały polegać na obrabowaniu dzieci z cukierków - stwierdził Martin.

- Brakuje mu jaj na coś poważniejszego.

- Naprawdę jest taki beznadziejny? - spytała. - Miałam ochotę nim potrząsnąć, ale...

- To nie jest materiał na oficera - uznał Martin. - Przynajmniej nie według podręczników, z których ja się uczyłem. Ale najemnicy mogą mieć inne standardy.

- Na Slotter Key nie ma głupich oficerów?

- No cóż, nie... to znaczy, owszem, jest paru. Przypuszczam, że mógł się prześlizgnąć z jakichś innych względów.

- Co myślisz o tej propozycji?

- Jeśli wpadli w takie bagno, że zaraz będą gotować dla żołnierzy zupę na gwoździu, to mogą okazać się nieprzydatni.

- Na Sabinę byli dużo lepsi - stwierdziła Ky.

- Będę o tym pamiętał - obiecał. - Może to tylko jeden młody głupiec.

Ky zawołała Stellę.

- Sprawiasz wrażenie ożywionej - zauważyła nowo przybyła. - Co robią ci wszyscy żołnierze w naszym doku? Czyżby stacja poszła wreszcie po rozum do głowy i przydzieliła nam ochronę?

- Nie. To Korporacja Pomocy Wojskowej Mackensee. To z nimi zawarłam kontrakt na Sabinę po tym, jak najechali tamtejszy system i to ich chirurdzy wyciągnęli mi implant z głowy.

- To oni omal cię nie zabili.

- To przez mojego podwładnego sprostowała. - Nie obwiniam za to Mackensee, choć chciałabym wiedzieć, ile wyciągnęli z implantu. Zawierał jedynie podstawowe dane Vattów, a nie pełną bazę, niemniej... Nieważne. Wskutek zbiegu pechowych okoliczności ich tutejsze dowództwo zostało zredukowane do bardzo młodego porucznika, który eskortował wypłatę... a teraz dowodzi. Jest przytłoczony odpowiedzialnością i brakuje mu pieniędzy.

- Ma wypłatę...

- Ale bank zamknął im linię kredytową, a wypłata dla dwudziestu żołnierzy nie wystarczy na długo, kiedy musisz utrzymać za nią niemal setkę. Chce, żebyśmy zawarli z nim umowę ochrony, dzięki czemu nakarmi głodnych podwładnych.

- Ochrona...

- Rzecz w tym, Stello, że już wcześniej zastanawiałam się nad wynajęciem Mackensee.

Mają doświadczenie, broń, wyszkolonych żołnierzy. Moglibyśmy ich wykorzystać.

- Stać nas na nich?

- I to właśnie muszę wiedzieć. Stello, mianuję cię szefem finansów, nie tylko G-2.

Wiesz, ile wniosłaś do interesu. Powiem ci, ile mamy... - Wywołała wyniki ich handlu, jak również wartość pozostałych diamentów z owocowego ciasta ciotki Gracie. - Musimy zaopatrzyć statek oraz postanowić, na jakie udoskonalenia nas stać w przypadku wynajęcia, bądź nie, grupy ludzi Mackensee. Wkrótce będę rozmawiać z jednym z ich ludzi, który powinien mieć więcej oleju w głowie niż tamten porucznik. Daj mi jakieś cyfry.

- Zgoda - rzuciła Stella. - Mogę to zrobić. Piętnaście minut... załadowałaś już listę upgrade'ów, prawda?

- Tak.

Rafe wrócił przed przybyciem starszego sierżanta Rotha.

- Wiedziałaś, że w naszym doku pełno jest wielkich, hałaśliwych, rzucających się w oczy żołnierzy?  
- zapytał Ky.

- Oczywiście, że tak - odparła.

- Mam nadzieję, iż nie uważasz ich za lepszą ochronę - rzucił. - Nie zauważyli, że nadchodzę, dopóki nie zbliżyłem się na tyle, że mógłbym swobodnie skorzystać z dowolnej broni...

- Nie liczyłam na to, że ochronią mnie przed złodziejami - odrzekła. - Poza tym, uprzedziłam ich o twoim przyjściu. Czego się dowiedziałeś?

- Lokalny przedstawiciel ISC jest zepsuty do szpiku kości - obwieścił z rozkoszą Rafe. -

Ansibl działa - zgoda - ale tylko dla niego i tajemniczego kogoś, pozostającego z nim w kontakcie. Resztę przychodzących i wychodzących wiadomości blokuje według własnego widzimisię. Ma wtyczkę w automatycznych systemach, które miały być absolutnie odporne na włamania. Nie wiem jeszcze, czy sąsiednie ansible naprawdę umilkły, czy też zaprogramował

tutejszy przekaźnik tak, żeby uważano je za zepsute. Ustalenie tego zabierze mi kilka dni. W

aferę zamieszanych jest co najmniej pięciu pracowników: dyrektor, wszyscy trzej szefowie techników - po jednym na każdą zmianę - i łasica w sekcji nagrań. Ten ostatni próbował

przekonać mnie, że sfałszowane nagrania są prawdziwe, a ja oczywiście uwierzyłem mu, ale tylko na jego użytek.

- Nie nabiorą podejrzeń, jeśli podejmiesz próbę przekupienia nagrań... to jest: łasicy?

- Skąd wiesz... cóż, tak. Dowiedzą się, że chcę informacji. Po jego minie sądząc, bierze łapówki od każdego na stacji, kto chce wiedzieć, co się dzieje. Buty, biżuteria... ma więcej pieniędzy, niż ktokolwiek na jego stanowisku mógłby zarobić. Lecz wśród rzeszy petentów kolejny klient jest tylko dodatkowym źródłem dochodu - nie podejrzewa, kim lub czym jestem.

- Przekrzywił głowę. - Nie zamierzasz niczego mi zdradzić na temat tych żołnierzy?

- Nie ma jeszcze o czym mówić. - Westchnęła, gdy nie przestawał przyglądać się jej wyczekująco. - Nie, nie zamierzam niczego ci zdradzać. Powiem, jak będę miała coś do przekazania.

- Jesteś aż nazbyt ostrożna, kapitanie Vatta. Choć bardzo mi ta ostrożność nie w smak, muszę ją podziwiać. Gdzież prześliczna Stella?

- Zajęta - odrzekła Ky. - Co zamierzasz dalej?

- Coś, w czym - obawiam się - nie możesz mi pomóc - odparł. - Oddałbym lewe ramię -



a przynajmniej ze dwa palce - za kawałek technologii, której nikt jeszcze nie powinien posiadać. Słyszałaś kiedyś o ansiblu-szpilce?

- Prawdę mówiąc, tak - potwierdziła Ky. - Niestety, nie dysponuję takowym.

Wybałuszył na nią oczy, lecz zaraz je zmrużył.

- Gdzie o nim słyszałaś?

- Nieważne... do czego służy?

- To ansibl, który można zamontować na statku - wyjaśnił. - Co ważniejsze, zapewnia łączność w czasie rzeczywistym podczas przebywania w hiperprzestrzeni.

Ky zdusiła swoją pierwszą myśl to niemożliwe, mówiąc w zamian:

- To byłoby spore ulepszenie w komunikacji... samo posiadanie ansibla na pokładzie statku oznaczałoby duże ułatwienie.

- Owszem. I takie już istnieją. Słyszałem, że modele o pełnych możliwościach, mogące nadawać i odbierać w hiperprzestrzeni, były gruntownie testowane. Podejrzewam, że są już gotowe.

- Czemu więc ISC nie chwali się tym, sprzedając je po wygórowanych cenach? -

zapytała Ky.

- Proszę dać spokój, kapitanie. Masz przecież zmysł biznesowy. Mam nadzieję. ISC

czierpie zyski z opłat za każdą wiadomość przekazaną przez istniejącą sieć. Pod żadnym pozorem nie sprzedajemy ansibli.

- Zgoda, ale to stanowiłoby pakiet...

- W porównaniu? Musielibyśmy wycenić je naprawdę wysoko, a i tak bez wątpienia wyrosłaby nam konkurencja.

- Tak... - Ky rozważyła sprawę. - Utrzymujesz więc, że ISC ma poważny argument, by hamować rozwój technologiczny, który mógłby zagrozić waszemu monopolowi?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie mógłbym tego powiedzieć, kapitanie, ponieważ oznaczałoby to zdradzenie tajemnic firmy. Nie mogę jednak powstrzymać cię przed samodzielnym dojściem do takiego wniosku.

Odwzajemniła się uśmiechem.

- Cieszę się, że tymczasowo jesteśmy po tej samej stronie.

- Rzecz w tym, że gdybym miał ansibla-szpilkę, mógłbym bez trudu ustalić, czy dalsze linie transferowe są naprawdę zablokowane, czy tylko zapchane za pomocą jakiegoś programu.

A tak, będę musiał włamać się do systemu kontroli dyrektora stacji, a jeżeli facet jest podejrzliwy, natychmiast zorientuje się, że ktoś tu węszy.

Quincy wezwała Ky do interkomu.

- Czy mogłybyśmy znaleźć chwilę na rozmowę?

- Tak, oczywiście.

- Martwi mnie pewna sprawa.

- Teraz, czy za kilka godzin? Spodziewam się gościa, z którym naprawdę muszę się zobaczyć.

- Może być za kilka godzin.

Starszy sierżant Roth o wiele bardziej pasował do wyobrażeń Ky na temat Mackensee niż nieopierzony porucznik. Zauważyła, że przybysz i Martin obejrzel się dokładnie, dochodząc do wzajemnie pozytywnych wniosków. Roth przyniósł ze sobą całą gamę umów Mackensee.

- Kapitanie, miło mi panią poznać. Od naszych ludzi na Sabinę słyszałem, że wykonała pani kawał pierwszorzędnej roboty, radząc sobie z tamtymi piratami.

- Nie miałam zbyt wielkiego wyboru, sierżancie. Wasz porucznik mówi, że macie poważne kłopoty.

Mina Rotha była bardzo wymowna. Ky doskonale pamiętała taki wyraz twarzy u MacRoberta.

- Porucznik jest... niezbyt doświadczony - oznajmił.

- Wasz OD miał kłopoty zdrowotne?

- Powiedział pani o tym? - skrzywił się sierżant. - On nie... przepraszam panią. Ale nie powinien był tego robić.

- Cóż, zobaczymy, co tutaj mamy - rzuciła Ky. - Oboje znajdujemy się w sytuacji, w której możemy skorzystać na współpracy.

- Problem w tym, że nie możemy połączyć się z naszą kwaterą - wyjaśnił Roth. - Nie jesteśmy pewni, czy tutejszy zarządca ansibla jest wobec nas uczciwy.

- Nie jest - powiedziała dobitnie Ky.

- Wie pani o tym? - Uniósł gwałtownie brwi.

- Mam swoje źródła - przytaknęła.

- Pani G-2?

- Można tak to ująć. - Nie zamierzała dekonspirować Rafe'a. - Wiemy, iż nie jest uczciwy, ale nie określiliśmy jeszcze, jak daleko się posunął.

- Jakie są parametry pani misji?

- Priorytety są dokładnie takie, jakich mógłby się pan spodziewać - odrzekła Ky. -

Przetrzeć, odszukać ocalałych Vattów i zapewnić im ochronę, ustalić, kto nas atakuje i zneutralizować go.

- Brzmi sensownie, kapitanie. Pani ma rozum, my muskuły. Jaką strategię przyjęłaby pani, gdybyśmy zostali partnerami?

- Po pierwsze, odblokować ansible Lastway i ustanowić tutaj bazę operacyjną. Zbierać opłaty od innych użytkowników, by sfinansować nasze działania. W przestrzeni byłibyśmy trudniejsi do zlokalizowania. Gdybyśmy przywrócili łączność, łatwiej byłoby nam dojść do tego, kto ją blokuje. A jeśli zaczną funkcjonować ansible finansowe, handel powinien ożyć, a transfery bankowe zaczęłyby płynąć, ułatwiając życie każdemu, w tym wam.

- Wobec tego jakich działań oczekiwałaby pani od nas?

- Wykorzystania mięśni, którymi dysponujecie. Ten statek jest stary, powolny, pozbawiony osłon i uzbrojenia. Wolałabym wydać pieniądze na wynajęcie was, zamiast na próbowanie przekształcenia go w okręt bojowy. Ale nie dysponuję zbyt wielkimi środkami. Jak pewnie pan słyszał, zamrożono większość kont, nie tylko wasze. Mamy pieniądze zarobione na sprzedaży ładunków, z którymi tutaj przylecieliśmy.

- Proszę pani, jeśli nas pani wyżywi, to jestem pewny, że Starzec nie będzie miał nic przeciwko zawarciu umowy, dzięki której odzyskamy łączność z resztą naszych ludzi.

- Ufam, iż mogę tego dokonać, sierzancie. Ale co z waszym porucznikiem? Podpisze się pod tym?

- Mam nadzieję. Kapitanowie naszych statków nie należą do jego struktury dowodzenia, ale z pewnością wywrą na niego odpowiedni nacisk.

- Jeszcze jedno - ciągnęła Ky. - Byłam już podwykonawcą Mackensee, ale nigdy stroną umowy. Kto dowodzi w takiej sytuacji? Pan? Wasz OD? Kapitanowie okrętów?

- Zleceniodawca definiuje misję, nie ma jednak zwierzchnictwa nad personelem Mackensee. Kapitanowie okrętów dowodzą swoimi załogami w kosmosie; dowódcy żołnierzy dowodzą nimi, ale na pokładzie okrętu podlegają jego kapitanowi. W naszej sytuacji doradzałbym przyjęcie na pokład pani statku oficera Mackensee w charakterze oficera łącznikowego z najstarszym kapitanem naszych okrętów w przestrzeni lub z OD w pozostałych przypadkach. Przewiduje pani akcje na terenie stacji czy powierzchni planety?

- Prędej na stacji, niż na planecie. Odpowiadałaby mi jednakże opcja bezpośrednich konsultacji z kapitanami waszych okrętów w kosmosie. Jeśli mieliby chronić mój statek, mogą być zmuszeni do błyskawicznego przekazywania danych...
- Och, nie ma problemu. Chodzi jedynie o to, że nie może pani mówić kapitanom, jak mają wykonywać powierzoną im przez panią misję.
- W takim razie spiszmy to punkt po punkcie, zdobądźmy podpis waszego porucznika, a ja skontaktuję się z bankiem, żeby uruchomił przelew. Zakładam, że wolicie zaopatrzyć się sami, a nie korzystać z pomocy cywila...
- Tak jest, proszę pani, tak byłoby idealnie. Pilnie potrzebujemy żywności; jeśli pani kapitan pozwoli sobie coś doradzić, proszę wypłacić nam tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na -
- powiedzmy - racje żywnościowe dla stu żołnierzy na trzy dni. Potem pani łącznik będzie mógł skontaktować się z kapitanami okrętów i określić ich potrzeby. Wyniosłoby to... - patrzył przez chwilę pustym wzrokiem - ...nieco poniżej pięciu tysięcy kredytów.
- Zgoda - oznajmiła Ky.
- Jeszcze jedno - dodał Roth. - Jestem pewny, że nie sprawi to żadnego problemu... zawierała już pani umowy z nami. Znam pani historię, niemniej są sprawy, o które muszę zapytać, jako iż jest pani naszym głównym zleceniodawcą tutaj. Proszę się nie obrażać.
- W porządku - obiecała Ky, ciekawa, o co chodziło.
- Czy jest pani lub kiedykolwiek była zaangażowana w handel niewolnikami?
- Nie! - Nie mogła powstrzymać oburzenia.
- Przepraszam panią. Jestem pewny, że to pani nie dotyczy, ale to rutynowe pytania. Muszę je zadać; takie są przepisy. - Miał zakłopotaną minę, ale brnął dalej. - Czy jest pani lub kiedykolwiek była zaangażowana w świadome przewożenie kradzionych towarów?
- Nie. - Teraz, kiedy spodziewała się już takich pytań, łatwiej było przyjmować je spokojnie.
- Czy jest pani lub kiedykolwiek była zaangażowana w akty piractwa?
- Nie.
- Czy jest pani lub kiedykolwiek była w posiadaniu listu kaperskiego, wystawionego przez rząd planetarny lub układowy? - Kolejny wstrząs. Milczała, więc Roth podniósł na nią wzrok. - Proszę pani?

- Ja... mam taki list. Ze Slotter Key. Czekał na mnie tutaj, ale...

Roth zrobił zmartwioną minę.

- Nie miała go pani na Sabinę, prawda?

- Nie. Jak już mówiłam...

- Bo to by wszystko zepsuło, proszę pani. Jest pani... kaprem?

- Nie - odparła z mocą Ky. - Nie jestem. Nigdy... nie prosiłam o coś takiego. List był tutaj, gdy przyleciałam, a poza tym, nie jestem pewna, czy jest jeszcze ważny, ponieważ rząd...

- Przykro mi, proszę pani, ale to poważny problem. Będę musiał skontaktować się z kapitanem Pensigiem.

- Mogę prosić o wyjaśnienie?

- Nie zawieramy umów z kaprami. Kłopoty natury prawnej - to wbrew zasadom. Było kilka odstępstw, ale... mówi pani, że go nie używała?

- Nie, nie korzystałam z niego. Był tutaj, kiedy przyleciałam, a od tamtej chwili siedziałam w doku...

- To już coś... - mruknął bez przekonania. - Problem w tym, że przepis mówi o posiadaniu listu kaperskiego. Nie wspomina się o dowodach, że go pani wykorzystała. Czy jest pani w stanie udowodnić, że nie miała go przed przylotem tutaj?

- Mam gdzieś potwierdzenie odbioru - odparła. Quincy powinna wiedzieć.

- Wrócę do doków i połączę się z kapitanem Pensigiem - oznajmił Roth. Ky już chciała zapytać, czemu nie zadzwoni do porucznika Masona, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się... nie chciała mieć więcej do czynienia z Masonem. Miała nadzieję, że ktoś wyprostuje prawne zawiłości; byłoby największą ironią losu, gdyby list kaperski ze Slotter Key, którego pewnie nie powinna nawet mieć, uniemożliwił jej skorzystanie z potrzebnej pomocy.

Po kilku minutach odezwał się Lee:

- Kapitanie, telefon od kapitana Pensiga.

Pensig miał ponurą minę.

- Roth powiedział mi, że nie była pani kaprem na Sabinę, ale teraz pani nim jest. Czyżby w nagrodę od rządu Slotter Key?

- Nie - zaprzeczyła Ky. - Oto, co się stało. - Powtórzyła całą historię, kończąc następująco: - Nie wiem nawet, czy ten list jest nadal ważny. Nie mogę skontaktować się z rządem, ansible milczą.

- Hm. Problem w tym, kapitanie Vatta, że w świetle prawa dotyczącego kaperstwa, posiadanie aktualnego listu kaperskiego uznaje się za wystarczający dowód na to, iż jego posiadacz jest kaprem.

Ky nie wiedziała o tym.

- A my nie wchodzimy w żadne układy z kaprami ze względu na zamazane granice odpowiedzialności, gdyby ktoś zakwestionował legalność naszych działań.

- Nie nadążam - przyznała Ky.

- Mógłbym to pani wyjaśnić, ale lepiej będzie, jeśli zrobią to prawnicy. Proszę posłuchać, kapitanie: oboje utknęliśmy w tej samej pułapce. Pani potrzebuje naszej ochrony, my potrzebujemy pani pieniędzy. Wierzę pani, iż nie podejmowała żadnych akcji na bazie tego listu. W tej sytuacji dopuszczam możliwość zawarcia kontraktu czasowego pod warunkiem, że zobowiąże się pani nie korzystać z listu kaperskiego podczas trwania naszej umowy. Muszę również uprzedzić panią, iż kontrakt zostanie najpewniej wypowiedziany, jak tylko nawiążemy łączność z naszą kwaterą dowodzenia. Zgodnie z pani słowami, ten list również może wówczas utracić aktualność. Czy zgadza się pani na to?

Ky i tak nie zamierzała korzystać z mocy listu, współpracując z najemnikami.

- Tak, te warunki są dla mnie do przyjęcia - odrzekła.

- Dla naszego bezpieczeństwa będę musiał dodać taką klauzulę do umowy - oświadczył

kapitan Pensig i westchnął. - Każę prawnikom odpowiednio skorygować kontrakt. Jakies inne niespodzianki?

- Nic mi o tym nie wiadomo, choć z tej również nie zdawałam sobie sprawy - odparła Ky.

Wkrótce potem starszy sierżant Roth powrócił ze zmienionym kontraktem. Ky podpisała go, a Roth przesłał treść umowy do biura Mackensee oraz kapitanów okrętów. Jak było do przewidzenia, porucznik uznał, że kontyngent Mackensee powinien dostać więcej pieniędzy, jednak w ciągu godziny zawarli umowę. Ky połączyła się z bankiem i zleciła przelanie na konto Mackensee pięciu tysięcy kredytów.

- Chłopaki się ucieszą - uznał Roth. - Nie wypatrywali z utęsknieniem jedzenia żelaznych racji, ani wpakowania do lodówek.

Ky nawet nie miała pojęcia, że istniała taka możliwość - zamrażanie żołnierzy?

Opanowała wzdrygnięcie się.

- Proszę o jedną przysługę - powiedziała. - Czy oficerem łącznikowym może zostać ktoś inny niż porucznik?

Roth wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak jest, proszę pani, myślę, że to da się zrobić.

## ROZDZIAŁ 14

Nareszcie dokądś zmierza, pomyślała Ky. Ktokolwiek atakuje Vattów, nie było jej winą zabicie Paisoną na Sabinę. Wkład Stelli znacząco zwiększył ich zasoby, a wynajęcie lokalnych sił Mackensee dało jej przynajmniej pewność, iż znaleźli się po jej stronie i nie mogli zostać użyci przeciwko Vattom. To pomoże jej w osiągnięciu pierwszego priorytetowego celu, jakim było przetrwanie. Rafe... nie była go pewna, lecz istnienie frakcji w ISC, które doprowadziły do załamania się łączności ansiblowej, sporo wyjaśniało.

Przeciągnęła się. To był bardzo długi dzień. Może krótka drzemka... Rozjarzyła się lampka zewnętrznego połączenia, odebranego przez Lee.

- Tak... tak, kapitan jest na mostku. Chwileczkę. - Obrócił się ku niej. - Ponownie kapitan Pensig.

Potępieni nie zaznają spokoju, jak mówiło pradawne powiedzenie, które doskonale pasowało do obecnej sytuacji.

Ky zasiadła w fotelu kapitana i włączyła monitor.

- Teraz, kiedy już nas pani wynajęła - zaczął bez zbędnych wstępów kapitan Pensig - co dokładnie pani chce, żebyśmy zrobili? Zakładam, że nie chodziło o to, abyśmy siedzieli tutaj w charakterze celu dla pani wrogów i przejadali wasze kredyty... - Nawyk wydawania rozkazów, utrwalony rozlicznymi konfliktami, wzbudzał w niej poczucie, iż dawno już powinna wyłożyć mu cały plan. A Roth opuścił ich dopiero pół godziny temu.

- Eee... nie.

- Jak najszybciej potrzebujemy raportu o sytuacji - oznajmił Pensig. - Nasz wywiad określił poziom zagrożenia statków i personelu Vattów jako nadzwyczaj wysoki...

- Zbyt wysoki, by pojawić się na pokładzie na naradę? - zapytała Ky, przerywając coś, co zanosilo się na dłuższe kazanie.

- Nie - odrzekł. - Kiedy?

- Możliwie jak najszybciej - rzuciła Ky, mając jednocześnie nadzieję, iż wystarczy jej czasu na posiłek. A jeśli nie, to czym miała ich poczęstować? Jakiego poziomu kurtuazji oczekiwali kapitanowie okrętów najemniczych od pracodawcy?

- Wobec tego za pół godziny - postanowił Pensig. - Proszę spodziewać się trzech osób: mnie, oficera administracyjnego od kapitana Garnera - nie możemy obaj jednocześnie opuścić okrętów - oraz starszego sierżanta Dolana. Och, a także eskorty, oczywiście, która pozostanie jednak w waszym doku.

- Doskonale - uznała Ky. - W takim razie oczekuję panów. - Do licha, do licha, do licha.

Była głodna, zmęczona i nie miała nastroju na uczestniczenie w naradzie wojennej. Niemniej przybywali, a ona była gospodynią.

Jedli posiłki przygotowywane na stacji, dzięki czemu oszczędzała miejsce na osłony i uzbrojenie, toteż zadzwoniła do Quincy i nakazała jej zorganizowanie poczęstunku na zbliżającą się naradę.

- Jakieś świeże przekąski, nic, co wymagałoby gotowania. Wyślij po to przynajmniej dwie osoby w pancerzach, w tym jedną uzbrojoną - poleciła. - I pospiesz się. Przyjdą za pół

godziny, a chcę jeszcze posprzątać. I nie wypuszczaj tego żalostnego szczeniaka.

- Tak jest, kapitanie - odpowiedziała Quincy głosem, w którym pobrzmiwał śmiech. -

Ze szczeniakiem wszystko w porządku.

- Włazi wszystkim w drogę - mruknęła Ky.

Stella siedziała w kajucie Ky, zagłębiona w obliczeniach. Ky miała nadzieję, że uaktualniła ich sytuację finansową.

- Idę pod prysznic; będziemy mieli gości - rzuciła, kierując się do łazienki.

- Kogo? - zapytała Stella.

- Naszych nowych pracowników. Narada wojenna. Powinnaś na niej być. Martin także.

Powiadom go. - I już stała pod prysznicem, nastawiając kurek na mocny, pulsujący strumień.

Wytarła się szybko, narzuciła szlafrok i wróciła do kajuty. Stella odwróciła się od biurka.

- Ale szybko.

- Szybkie prysznice to specjalność Akademii - odrzekła Ky, wyciągając bieliznę z szuflady. Wybrała niebieski uniform Vattów, który narzuciła na siebie jednym, płynnym ruchem. Stella gapiła się na nią.

- Ky, tyle czasu zajmuje mi zdjęcie sukienki z wieszaka, zakładając, że wiem, co chcę założyć.

Ky zapięła marynarkę.

- I co?

- Po prostu jestem pod wrażeniem. Czemu chcesz, żebym była obecna na tej naradzie?

Nie znam się na strategii.

- Będzie ich trzech na mnie jedną - wyjaśniła Ky. - Owszem, jestem zleceniodawcą, niemniej wolę wyrównać liczebność.



- W porządku. Czy taki strój będzie odpowiedni?

- Tak. Jesteś bizneswoman. Nie musisz zbyt dużo mówić.

- Innymi słowy: gęba na kłódkę, wszystkim zajmę sieja?

- Nie. Zamierzam przedstawić cię jako moje źródło informacji i zastępcę do spraw finansowych. Finansistkę Vattów. Na każdą wzmiankę o pieniądzach możesz robić ponurą minę.

- Poważną, zatroskaną minę - uściśliła Stella, a jej oblicze przybrało dokładnie taki wyraz. Ky wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Doskonale. Martin przedstawia sobą coś, co rozumiem - jest w oczywisty sposób byłym wojskowym. Mamy pięć minut; chodźmy przygotować pomieszczenie.

Quincy przysłała Toby'ego i Mehar, żeby posprzątały w mesie. Ky wyprawiła ich do kambuza po sztućce i talerze.

- Zaprosiłaś ich na obiad? - zapytała Stella.

- Nie, ale przypuszczam, że od zleceniodawcy oczekuje się zapewnienia poczęstunku, a skoro żyjemy już ich żołnierzy, to równie dobrze mogę nakarmić oficerów. Jedzenie powinno wkrótce przybyć.

Jednak pierwsi zjawili się oficerowie z obstawą. Ky powitała ich na pokładzie i zaprowadziła do mesy. Pensiga widziała na ekranie -

w rzeczywistości okazał się być o pół głowy wyższy od niej. Czowała, jak w odpowiedzi prostuje się jej kręgosłup. Oficer administracyjny z drugiego okrętu był zwalistym, łysiejącym mężczyzną jej wzrostu, o niebieskich oczach. Przyjęła, że ich towarzysz z paskami naszytymi na rękawy to starszy sierżant Dolan. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś wyciosał go z grubsza z bryły granitu. Otaksował ją spojrzeniem i powitał lekkim, energicznym skinieniem głowy.

- Proszę usiąść - zaprosiła ich Ky. - Poczęstunek jest w drodze. - Przynajmniej taką miała nadzieję; powinni już wrócić. Dostawcy artykułów spożywczych nie mieścili się znowu tak daleko od doków.

- Dziękujemy - odrzekł kapitan Pensig. - To jest porucznik Johannson, oficer administracyjny kapitana Garnera, a to starszy sierżant Dolan. - Spojrzał na Stellę.

- A to jest Stella Vatta - dokonała prezentacji Ky, opuszczając nazwisko jej męża.

Wolała wykorzystać wagę nazwiska Vattów. - Odpowiada za mój wywiad, jest również głównym finansistą rodziny Vattów poza Slotter Key. A to jest Gordon Martin, odpowiedzialny za bezpieczeństwo.

- Czy na pokładzie znajdują się także inni członkowie rodziny Vattów? - zapytał Pensig.

- Tak, jedyny ocalały z ataku na statek Vattów na Allray. Lecz Toby jest nieco zbyt młody, by uczestniczyć w naszej naradzie.

- Rozumiem. Starszy sierżant Roth powiedział, że wolałaby pani innego oficera łącznikowego niż porucznik Mason. Jako najstarszy kapitan okrętów Mackensee w tym układzie zmuszony jestem porozmawiać o tym z panią. Czy mogłaby pani wyjawić mi swoje zastrzeżenia wobec osoby porucznika Masona?

Po tonie nie mogła domyślić się, czy był z tego niezadowolony, czy może wręcz przeciwnie.

- Porucznik Mason powiedział mi, że nie ma żadnego doświadczenia bojowego -

odparła. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, iż szkolenie, które przebył, było absolutnie wystarczające, jednak wolałabym mieć do czynienia z kimś, kto brał udział w działaniach bojowych.

- Ach... powiedział pani o tym?

- Tak. W przeciwnym razie, skąd miałabym o tym wiedzieć?

- Rozumiem. Wynajmując najemników, oczekuje pani od nich doświadczenia... to ma sens. - Uśmiechnął się do niej. - Czy spodziewa się pani potrzebować na równi naszych okrętów, jak i sił naziemnych?

- Tak - odrzekła Ky, zastanawiając się, do czego zmierzał.

- Bardzo dobrze. Rozumiem, iż nie zna pani naszej struktury dowodzenia, jeśli jednak zdefiniuje pani zleceną nam misję w taki sposób, by okręty służyły nie tylko jako środek transportu, wówczas ja, jako najstarszy kapitan, staję się oficerem dowodzącym i mogę wyznaczyć dowolnego podwładnego na oficera łącznikowego dla klienta. Nie pytała pani o to, lecz mogę powiedzieć, iż moje doświadczenie bojowe jest... spore. Zachęcam do zapoznania się z moimi aktami. - Podał jej infokostkę.

- Wierzę panu na słowo - zapewniła go, mając nadzieję, iż była to właściwa odpowiedź.

Uśmiech kapitana poszerzył się; najwyraźniej wybrała słusznie.

- Wobec tego uważam, iż starszy sierżant Dolan byłby znakomitym oficerem łącznikowym na stacji i powierzchni planety, a kiedy przejdziemy do następnych etapów planowania, porucznik Johansson zostanie pani oficerem łącznikowym z flotą. Czy wyraża pani zgodę?

- Oczywiście - potwierdziła Ky. Nie wątpiła w doświadczenie bojowe Johanssona -

zdradzał je jego wygląd.

- Jak rozumiem, zdefiniowała pani naszą misję jako ochronę pani i reszty rodziny, odkrycie źródła zagrożenia i wyprowadzenie kontruderzenia przeciw tej organizacji. Zgadza się?

- Tak wygląda moja misja - uściśliła Ky. - Moje zasoby mogą nie wystarczyć do zapewnienia sobie waszej pomocy w każdym z tych etapów.

- Rozumiem. Niemniej najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa pani i tym członkom pani rodziny, których miejsce pobytu znamy - trojgu, tak? Stanowczo doradzałbym, kapitanie Vatta, natychmiastowe opuszczenie stacji. W przestrzeni możemy zapewnić wam lepsze bezpieczeństwo niż tutaj, gdzie o ile wiem - pani i pańska załoga padliście już ofiarą napaści. Nie możemy, na przykład, zająć sąsiednich miejsc, aby zabezpieczyć wasze flanki, ponieważ cumują tam inne jednostki. Niezależnie od klasy waszych zabezpieczeń portowych, nie widzimy możliwości zapewnienia wam całkowitej ochrony przed atakami wyprowadzonymi z wnętrza stacji.

- Rozumiem - mruknęła Ky. - Miałam nadzieję, iż wystarczą zewnętrzne skanery, jakimi dysponujemy. Pana zdaniem nie?

- Nie wystarczyły na Allray - wtrąciła Stella - gdzie wysadzono w powietrze statek Toby'ego. Dowiedziałam się, iż dokonano tego za pomocą min umieszczonych na kadłubie statku od zewnątrz, prawdopodobnie przez agentów, wykorzystujących do tego celu skutery naprawcze. A wszystkie statki klasy Ellis Fabery mają zewnętrzne skanery.

- W takim razie lepiej skorzystać z tej rady. Mam jednak kilka pytań. Kapitanie Pensig, czekałam z zaprowiantowaniem statku na zainstalowanie systemu obronnego, jak również jakiejś broni - czekają na nas w depozycie MilMartu. Co by pan doradzał?

- Jeśli możecie pozwolić sobie na lepszą osłonę, którą dostarczą wam w ciągu kilku godzin i zamontujecie ją sami, to świetnie. W przeciwnym razie doradzam jak najszybszy załadunek i odlot. Jeśli to skróci czas, mogę wypożyczyć wam swoich ludzi.

- Stello, połącz się w moim imieniu z MilMartem i dowiedz, jak szybko mogą dostarczyć zamówiony system obronny Quincy może zainstalować go po drodze. Potem każ Alene zamówić zapasy. Zostawcie tylko miejsce na system obronny, o ile MilMart może go dostarczyć do doków w ciągu najbliższych dwóch godzin. A jak już z tym skończysz, sprawdź, kogo Quincy posłała na zakupy. Powinni już byli wrócić.

Stella kiwnęła głową i opuściła pomieszczenie.

- Ktoś jest na zewnątrz? - zapytał Pensig.

- Tak odparła Ky. - Dwie osoby. Do licha, mieli pójść tylko do najbliższego spożywczego.

- Za pozwoleniem, sir, pójdę to sprawdzić - odezwał się Dolan.

Pensig spojrział na Ky, unosząc pytająco brew, a ta skinęła głową.

Mieli zasoby i w tej chwili decyzja należała do niej.

- Nazwiska? - zapytał Dolan.

- Chwileczkę - rzuciła Ky, podszła do komunikatora i włączyła go. - Quincy?

- Tak jest, kapitanie?

- Kogo wysłałaś po poczęstunek i czy masz od nich jakieś wiadomości?

- Jeszcze nie wrócili? Jima i Mehar - nie szli daleko; kazałam im wziąć to, co będą mieli w Farmboy'u koło nas.

- Zaraz zapyta cię o to Stella - uprzedziła ją Ky. - Ludzie Mackensee pójdą ich poszukać.

Ky podała nazwiska, opisy i miejsce przeznaczenia Dolanowi; nieprzyjemnie ssało ją w żołądku. Dolan skinął głową i wyszedł. Zanim Ky zdążyła coś powiedzieć, wróciła Stella.

- W MilMarcie twierdzą, że nie będą w stanie zorganizować dla nas dostawy przez co najmniej sześć godzin, ale towar jest dostępny od zaraz. Mam znaleźć kuriera?

- My się tym zajmiemy - zobowiązał się Pensig. - O ile nas pani upoważni. Znają nas...

- Uśmiechnął się.

- W porządku - zgodziła się Ky.

- Zauważyłem, że nie ma pani implantu - dodał. - Nie wymieniła pani tamtego uszkodzonego na Sabinę?

- Wasz chirurg poradził mi, żebym odczekała sześć miesięcy - wyjaśniła Ky. -

Konieczność ustabilizowania połączeń neuronowych czy coś takiego.

- Dokonał kontroli?

- Niestety nie - odparła Ky. - Życie stało się... bardziej interesujące.

- Rozumiem. Czy chciałaby pani, aby któryś z naszych chirurgów to sprawdził?

- Nie w tej chwili, skoro mamy odlatywać stąd możliwie najszybciej. - Nie była pewna, czy chciała, żeby chirurg Mackensee badał jej mózg.

- Jakies napady? Zakłócenia prawidłowego funkcjonowania zmysłów?

- Nie. Nic mi nie jest... tak sędzę. Czemu?

- Posiadanie przez panią implantu byłoby znacznym uproszczeniem. Ale ma pani rację -

to może poczekać. W odróżnieniu od odbioru waszego systemu obronnego. Jeśli skontaktuje się pani z MilMartem i przekaże im nasze upoważnienie, natychmiast wyślę tam oddział.

- Proszę o wybaczenie - odparła. - Wszystkie bezpieczne linie znajdują się na mostku. -

Opuściła ich i udała się na mostek, po drodze głęboko oddychając. Nie przewidziała, że wypadki potoczą się z taką szybkością ale właściwie czemu nie? Skoro wynajęło się wojskowych, to raczej w oczekiwaniu na jakąś akcję... tak przynajmniej powinno być. Czowała się głupia i powolna i zniecierpiała to uczucie.

Na mostku połączyła się zabezpieczoną linią z bankiem i uruchomiła przelew na konto MilMartu za system obronny, a następnie skontaktowała się ze sprzedawcą i przekazała mu upoważnienie dla personelu Mackensee do odbioru sprzętu.

- A więc wynajęła pani najemników. No cóż, dokonała pani dobrego wyboru - orzekł

menedżer z MilMartu. - Kiedy przyjadą po towar?

- Wkrótce - odparła Ky. - Przypuszczam, że w ciągu godziny. A przy okazji, twierdzicie, że zapewniacie klientom dyskrecję...

- Och, oczywiście. Nikt nie chce, żeby inni wiedzieli, co kupuje i dla kogo. Proszę się nie martwić, kapitanie Vatta. Zajmujemy się tym od wielu lat. Jest pani pewna, że nie chce tej broni?

- Jestem pewna - odparła. Wcale nie czuła pewności, że powinna zaufać temu standardowemu oświadczeniu o dochowaniu tajemnicy, ale nie miała wyboru. Lee zerknął na nią, gdy zakończyła połączenie.

- Sprawy nabierają tempa, kapitanie?

- W rzeczy samej, Lee. Dzisiaj odlatujemy, jak tylko załadujemy sprzęt i zapasy.

Zabieraj się za procedurę ze stacją. - Potrząsnęła głową. - I pomyśleć, że po powrocie na Belintę z traktorami obawiałam się powrotu do nudnej rutyny.

Zachichotał.

- Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że nie jest pani stworzona do nudy, kapitanie.

Pokręciła głową i wróciła do mesy.

- Oto numer upoważnienia dla MilMartu - oznajmiła, podając najemnikom wydruk. - Są gotowi do załadunku w każdej chwili; bank przelał już pieniądze. Obiecują dyskrecję, choć nie wiem, ile to warte...

Pensig wyduł wargi.

- MilMart jest w rym dobry - zdobyli reputację i fortunę dzięki trzymaniu dziobów na kłódkę - ale są na tyle duzi, że możliwość przecieku istnieje. - Przez chwilę patrzył pustym wzrokiem w dal; Ky domyślała się, że korzysta z implantu. - Dobrze, już się tym zajęto. Co z ładowaczami?

- Dobry pomysł - przytaknęła Ky. - Właśnie miałam...

- Kapitanie... - Lee wsadził głowę do mesy. - Mam na linii Rafe'a; mówi, że pilnie pani potrzebuje.

Co tym razem? Ky ponownie przeprosiła gości i wróciła na mostek. Z ekranu spojrział na nią nieco wymiętoszony Rafe.

- Mamy problem - obwieścił. - Twoi podwładni żyją, ale wszyscy zostaliśmy... zatrzymani.

- Przez kogo? - zapytała.

- Gardę. Ten kretyn Jim wdał się w jakąś awanturę, a nadobna Mehar mu pomogła, wskutek czego mamy jednego trupa na przemysłowym w Farmboy'u, a drugiego w piekarni.

Oraz ślady krwi na zapleczu, co zauważyłem, wracając na statek po wykonaniu... innego zadania.

- I nikt mnie nie powiadomił?

- Utrzymują że próbowali dwukrotnie i ciągle było zajęte. Zamierzają spisać zeznania.

Chciałem być obecny na przesłuchaniu, ale nie wpuścili mnie, ponieważ nie figuruję na liście oficerów Gary'ego Tobai. Ale pamiętają Jima z poprzedniego spotkania... co to za chłopak -

dynamit w ludzkiej skórze?

Ky zignorowała pytanie.

- Jak wygląda sytuacja w tej chwili? Wiesz?

- Są aresztowani, a po minie oficera dyżurnego sądząc, Jim przez najbliższy czas będzie oglądał jedynie kratki. Mehar robi wielkie oczy. Uważają, że została wciągnięta w kłopoty przez niedobrego chłopaka i jest zbyt młoda, żeby wydawać trafne sądy. Pomogłoby, gdybyś pojawiła się z pomocą prawną. Dobrze, że chociaż pozwolili mi do ciebie zadzwonić.

- Zaraz tam będę - obiecała. Spotkała kapitana Pensiga na korytarzu; miał niewesołą minę.

- Starszy sierżant Dolan zameldował mi właśnie...

- Słyszałam - rzuciła Ky. - Jakieś zamieszanie w spożywczym, po którym moi ludzie wylądowali w areszcie. Muszę tam iść...

- Tylko z eskortą - oznajmił. - Ja też pójdę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. - Usta mu drgnęły. - Aż nazbyt często zdarzało mi się wyciągać moich ludzi z kłopotów z lokalnymi stróżami prawa. Ma pani tutaj jakiegoś prawnika?

- Nie - odparła Ky. - Korzystałam z porady prawnej odnośnie ładunków przeznaczonych pierwotnie na Leonorę, ale była to kwestia czysto handlowa.

- Uhm. Każę Joe'mu kogoś podesłać. - Znów to puste spojrzenie.

Ky skoczyła do kajuty po oficjalny płaszcz kapitana - w tej sytuacji próby zachowania anonimowości nie miały już sensu - i pospieszyła do doków. Nie mogła zabrać ze sobą Martina; musiał zostać na statku, by przyjąć i zapakować ładunek, na który czekali. Gdy usłyszał, czego się dowiedziała, zrobił ponurą minę, ale kiwnął głową, kiedy powiedziała, że będzie jej towarzyszył oddział żołnierzy Mackensee. Otoczona przez nich czuła się ździebko bezpieczniej, ale wciąż się bała. Była pewna, że sprawny zabójca i tak znalazłby sposób, żeby pozbawić ją życia.

Lokalny posterunek Gardy znajdował się kawałek od doków. Stali przed nim dwaj umundurowani strażnicy, którzy skrzywili się na widok nadciągającej grupy.

- Nie możecie tam wejść - przemówił jeden z nich. - O co wam chodzi?

- Ochroniamy kapitana Vattę - odparł kapitan Pensig. - Jako, iż stacja odmówiła jej ochrony, a padła już ofiarą napaści, wynajęła profesjonalistów.

Oburzone spojrzenia.

- Przepraszam bardzo - odezwała się Ky - ale potrzebuję mnie moi podwładni. - Ruszyła naprzód. Strażnicy nie odezwali się, gdy poprowadziła całą grupę do środka.

Rafe opierał się o ścianę. Na jej widok wyprostował się, nie porzucając ironicznej miny.

Ky bez słowa kiwnęła mu głową i podeszła do biurka.

- Jestem kapitan Vatta. Jak rozumiem, próbowaliście skontaktować się ze mną?

- Nie mogliśmy się połączyć - odrzekł mężczyzna, nie podnosząc głowy. Kiedy to wreszcie uczynił, wytrzeszczył oczy. - Przyproceedziła pani ich.

- Uznałam to za dobry pomysł - odparła Ky. - Skoro zarówno ja, jak i moja załoga padliśmy ofiarą ataków na tej stacji, a Garda odmówiła nam ochrony...

- Macie zbyt wielu wrogów - oznajmił funkcjonariusz. - Wobec czego wynajęła pani najemników...

- To nie jest nielegalne - zauważyła Ky. - Chciałabym zobaczyć moich podwładnych i dowiedzieć się, na czym polega problem.

- Problem polega na tym, że ten łotr, którego pani zatrudnia, właśnie zabił kolejnych dwoje ludzi...

Brwi Ky powędrowały w górę.

- Nie mam w załodze żadnych łotrów. Jeżeli mówiąc „kolejnych” odnosi się pan do człowieka,

którego zastrzeliłam, to zostało to już uznane za działanie w samoobronie, a zabity był członkiem gangu, który na mnie napadł...

- Troje waszych ludzi zabiło kogoś na tej stacji. Uważam to za poważny powód do troski. Większość ludzi przechodzi przez życie, nie zabijając nikogo.

- Większość ludzi nie jest notorycznie atakowana przez morderców. Samoobrona nie jest zabójstwem.

- Nie było żadnej napaści. Zastrzelił biedną, starszą kobietę, która mieszkała tutaj od czterdziestu lat i...

Ky zmartwiała.

- Zakładam, iż biegli sądowi zakończyli już swoją pracę - włączył się kapitan Pensig, wpatrując się w sufit, jakby właśnie znalazł tam coś interesującego.

- No cóż, nie, ale nie ma takiej potrzeby. Tylko on i tamta dziewczyna mieli broń. A ona wyłącznie pistolet.

- A drugie ciało? - zapytała Ky.

- Doker. Przebywał tutaj dopiero od miesiąca, ale nie było na niego żadnych skarg.

- A trzecie? - zapytał zza ich pleców Rafe. - Znaleźliście już właściciela krwawych śladów?

- Już panu mówiłem, że nie znaleźliśmy żadnych śladów krwi. Jeśli pan również należy do tej bandy, to nie dziwią mnie te łgarstwa.

- Chyba lepiej będzie, jak porozmawiam z oficerem dyżurnym - uznała Ky.

- Jest zajęty... pani załogą - odparł funkcjonariusz. - Może pani poczekać, dopóki nie będzie wolny. Wydaje się pani może, że jest kimś specjalnym? - Jego wzrok powędrował ponad Ky ku drzwiom. Obejrzała się. Do środka wkroczył szczupły mężczyzna w mundurze Mackensee z walizką w ręce. Ochrona zesłała mu gładko z drogi i zwarła szeregi za jego plecami.

- Kapitanie Pensig - przemówił przybysz - przybyłem najszybciej, jak mogłem.

- Dziękuję, majorze - odparł Pensig. - Kapitanie Vatta, to jest major Grawn, nasz prawnik.

- Jaki problem tutaj mamy? - zapytał Grawn.

- Problem polega na tym, że członek załogi Vatty sprawia nam kłopoty, odkąd tylko tutaj zacumowała - funkcjonariusz kiwnął głową w stronę Ky. - Jedno po drugim: najpierw nielegalne organizmy, teraz zamordował co najmniej dwie osoby...

- Istnieje domniemanie, iż zamordował dwie osoby - poprawił go Grawn. - Ufam, iż stacja ta podlega



zasadom Kodeksu Ogólnego, prawda?

- No cóż, tak, ale tutaj jest nieco inaczej...

Grawn przechylił głowę w prawo.

- Albo obowiązuje tutaj Kodeks Ogólny, albo nie. Czyli?

- Kodeks Ogólny... przeważnie...

- Co oznacza, że osoba oskarżona ma prawo do pomocy prawnej, również podczas przesłuchania, czyż nie mam racji?

- Muszę to sprawdzić - oznajmił funkcjonariusz, sięgając ku przyciskowi na biurku.

- Proszę bardzo - zachęcił go Grawn. - Jestem pewny, iż przekona się pan, że tak właśnie jest, a kiedy oficer dyżurny to potwierdzi, proszę mu przekazać, że pomoc prawna właśnie przybyła.

- Ale pan jest wojskowym, a mor... oskarżony to cywil. Członek jej załogi.

- Zaangażowała nas - odparł Grawn. - Jej kłopoty prawne są teraz naszymi kłopotami prawnymi.

Policjant wymamrotał coś do mikrofonu, po czym podniósł głowę.

- W porządku. Może pan udać się na zaplecze. Ona nie, tak samo nikt z pozostałych.

Grawn nie poruszył się.

- W świetle Kodeksu Ogólnego kapitan jest w pełni odpowiedzialny prawnie za działania swojej załogi i szkody wyrządzone na stacji. Czyż nie mam racji?

- Tak - burknął.

- Wobec tego kapitan Vatta jest również częścią oskarżenia i według kodeksu ma prawo i obowiązek upewnić się, że jej załoga jest odpowiednio traktowana, jak również wykorzystać dostęp do wszelkich stosownych informacji. Idzie ze mną.

- Ja... och, no dobra. Ale nikt więcej. - Wstał i pokazał im drogę.

- Nikt więcej - zgodził się Grawn. Skinął Ky głową. - Pani pierwsza, kapitanie.

Minęli spore biuro i dwa mniejsze. Korytarz skręcił w lewo i ujrzała dwoje drzwi, strzeżonych przez uzbrojonych wartowników. Gdy podeszła, jeden z nich otworzył te, zza których wyjrzał niski, tęgą mężczyzna w garniturze.

- To chyba nie major Grawn - mruknął bez entuzjazmu.

- Inspektor Filgrim - rzucił Grawn, naśladując zupełny brak radości tamtego. - Jak miło.

- Kiedy był pan tutaj ostatnim razem - dodał Filgrim - zostawił niezły bałagan.
  - To nie był nasz bałagan - odparł Grawn. - I mam nadzieję, iż tym razem również tak będzie.
  - Chyba, że sami sprawicie, że będzie wasz - odparował Filgrim. - Co, jak słyszę, właśnie ma miejsce... szczerze: na waszym miejscu byłbym nieco ostrożniejszy, przyjmując pracę u Vatty. - Co mówiąc, obrzucił Ky kwaśnym spojrzeniem.
  - Och? Ma pan coś przeciwko Vattom? - zaciekał się Grawn.
  - Mają wrogów. Ludzie nie mają nieprzyjaciół w całej galaktyce bez powodu.
- Prawdopodobnie od lat coś ukrywali i dopiero teraz wypłynęło to na wierzch.
- Czy do tej pory wpłynęły do pana jakieś skargi na statki lub personel Vattów?
  - No cóż... nie. Ale tylko dlatego, że nie zdawaliśmy sobie sprawy...
  - Albo dlatego, że wrogowie Vattów nie mają nic wspólnego z ich grzeszkami i kierują się własnymi celami.
  - Nie ma ludzi bez winy - mruknął Filgrim. - Nigdy nie spotkałem cywila, który nie byłby kłamcą...
  - A ja oficera policji - zripostował Grawn. - Wystarczy. Przesłuchuje pan członków załogi kapitana Vatty pod nieobecność prawnika. Już tutaj jestem; będę obecny przy przesłuchaniu jednej osoby, a kapitan Vatta przy drugiej.

- To jest...

- Zgodne z kodeksem - dokończył Grawn. - Trzyma pan w areszcie mężczyznę i kobietę, prawda? Zostanę z mężczyzną, a kapitan Vatta powinna dołączyć do kobiety.

Filgrim miał minę, jakby zbito go na kwaśne jabłko, lecz skinął głową i szerzej otworzył

drzwi. Przy stole Ky dostrzegła Jima z podbitym okiem i zwieszonymi ramionami. Filgrim kiwnął głową w stronę drugich drzwi.

- Dziewczyna jest tam. Jeszcze nie zabrałem się za nią. Może pani tam wejść.

Grawn przytaknął i Ky weszła do drugiego pomieszczenia. Mehar również siedziała przy stole, pilnowana przez dwóch strażników.

- Wszystko w porządku, Mehar? - zapytała Ky.

- Tak jest, kapitanie. Przepraszam...

- Mamy już pomoc prawną - przerwała jej Ky. - Majora Grawna z Korporacji Pomocy Wojskowej

Mackensee. Podczas przesłuchania będzie cię reprezentował.

- Nie wiem, jak to się stało - wyznała Mehar. - Właśnie wybraliśmy owoce i obeszliliśmy ekspozycję...

- Powinnaś zaczekać na majora Grawna - powiedziała Ky, mając nadzieję, że miała rację. - Naprawdę, o wiele bardziej interesuje mnie, czy nic ci nie jest.

- Nie zostałam ranna. Jim przewrócił się, kiedy trafiono w ekspozycję i ta zwała się na niego.

- Ekspozycja?

- Tak... ustawili taką wieżę z puszek i coś w nią uderzyło, prawdopodobnie solidny pocisk. Rozpadła się cała konstrukcja. Jim stał tuż przy niej i oberwał puszkami. Byłam z tyłu, więc zdążyłam odskoczyć, a potem usłyszałam strzały.

- Dziwne, że nie trafili Jima - zauważyła Ky. - Skoro leżał niczym nie zasłonięty.

- Ktokolwiek to był, strzelał na oślep - odparła Mehar. - Światła nade mną roztrzaskały się. Słyszałam krzyki wielu ludzi, a także odgłosy tłuczenia się i łamania różnych przedmiotów.

- A ty...

- Leżałam plackiem na podłodze, kapitanie. Nie widziałam, żeby ktoś do mnie strzelał, więc tkwiłam tam bez ruchu. A potem przybyła Garda. Powiedzieli, że kogoś zastrzeliliśmy, ale to nie my...

- Widziałaś ich?

- W sklepie było mnóstwo ludzi. Zwykłych... kupujących. Nie zwracałam na nich uwagi, z wyjątkiem jednego czterorękiego człomodela. Tamten - tak myślę, że to był on - nie potrzebował koszyka. Patrzyłam, jak jednocześnie wybiera śliwki, brzoskwinie i jabłka, czwartą ręką zawiązując torebki. Quincy mówiła, że powinniśmy się spieszyć, więc tylko wzięliśmy trochę owoców i poszliśmy dalej...

Drzwi otworzyły się.

- Ach - przemówił major Grawn. - Kapitanie Vatta, czy to jest Mehar Mehaar?

- Tak - potwierdziła Ky. Zerknęła na Mehar. - To jest major Grawn z Mackensee. Jest prawnikiem.

Major Grawn wszedł do środka i usiadł. Za nim pojawił się Filgrim z jeszcze kwaśniejszą miną niż poprzednio.

- Mehar, czy złożyłaś już zeznanie?

- Ja... próbowałam, sir.

- To moja praca - zauważył Filgrim.

- No to zabierajmy się do niej - rzucił Grawn. - Prosiłbym jednak, żeby tym razem trzymał się pan dowodów.

- Ja... w porządku. Pani Mehar, jaka jest pani wersja wydarzeń?

Zerkając nerwowo na Ky i Grawna, Mehar opowiedziała, jak zostali wysłani z Jimem po jakiś poczęstunek i udali się do najbliższego sklepu spożywczego, gdzie spotkały ich kłopoty.

- Dlaczego zaczęliście strzelać? - zapytał Filgrim.

Grawn parsknął.

- Inspektorze, czyni pan pochopne założenia. - Obrócił się do Mehar. - Wystrzeliła pani ze swojej broni? Albo Jim?

- Nie, sir! Próbowałam im to powiedzieć...

- Widziała pani, kto strzelał?

- Nie, sir. Nie widziałam nikogo z bronią, lecz towary spadały z półek, światła migotały, a ludzie krzyczeli...

- Nikogo pani nie zastrzeliła? - Filgrim najwyraźniej szczerze w to wątpił. - Który pistolet należał do pani?

- Pistolet, sir? Nie mam takowego. Miałam pistołuł, ale niezaladowany. Bełty znajdują się w pasie, który ze mnie zdjąto, kiedy nas tutaj przywieziono. Jim miał broń, ale nie miał

czasu jej dobyć, zanim spadły na niego tamte puszki. - Spojrzała na Ky. - Próbowałam powiedzieć im, że nie strzelał, ale nie słuchali mnie.

- Dwoje ludzi nie żyje, Mehar - powiedziała Ky. - Musieli wziąć to pod uwagę.

- Zakładam, że w sklepie były kamery - stwierdził Grawn. - Przejrzeliście zapisy? Albo sprawdziliście, czy strzelano z zarekwirowanej im broni?

- Nie - przyznał Filgrim.

- No cóż, to wygląda na dobry pierwszy krok... nie, żebym chciał uczyć pana fachu, ale kapitan Vatta chciała stąd odlecieć i zapewne zgłosiła się już do kolejki startowej. Jeśli ci ludzie są niewinni, to byłby to najprostszy sposób zamknięcia sprawy.

Filgrim skrzywił się, lecz wyraził zgodę na wspólne przejrzanie zapisów z kamer. Na ekranie pojawiły się zsynchronizowane nagrania obu skanerów: lewa alejka i część środkowej oraz prawa alejka i reszta środkowej. Jim i Mehar szli lewą zatrzymując się, żeby wyjąć owoce z kilku koszy, a

potem skręcili ku środkowej alejce, jakby zmierzając do piekarni... a potem, zgodnie z zeznaniem Mehar: strzały, rozpryskujące się lampy...

- Widzi pan - rzucił Grawn, pokazując na ekran. - Znajdowali się na końcu tych regałów, kiedy wszystko się zaczęło i tamta staruszka upadła na ziemię...

- Mogli...

- Tam widać ogień z luf. - Grawn wskazał ponownie. Filgrim podkreślił podczerwień i płomienie rozbłysły, daleko od Mehar i Jima. - Mają na sobie kombinezony maskujące - proszę zwrócić uwagę na te zamglenia...

W sumie Ky zauważyła cztery migoczące, rozmyte sylwetki. Wszystkie emitowały ciepło i światło. Filgrim kilkakrotnie przewijał nagranie w przód i w tył. Ujrzeni, jak czworo klientów, którzy weszli do sklepu tuż za Mehar i Jimem, nagle rozmyło się, błyskawicznie ich wyprzedziło i ustawiło się po drugiej stronie sklepu.

- Czyli to wcale nie byli oni - podsumowała Ky.

- Przypuszczam, że nie - przyznał Filgrim. Najwyraźniej tego żałował.

- Czekali na pani ludzi, kapitanie Vatta - oświadczył Grawn. - Na kogoś opuszczającego pani statek. Nie wiem, czy po to, żeby ich zabić, czy tylko wpakować w kłopoty. Lecz im szybciej opuści pani stację, tym lepiej.

- Tylko z kompletną załogą - oznajmiła Ky.

- Jeśli naprawdę odlatujecie, mogę ich wypuścić - powiedział Filgrim. - Możliwe, że to nie była ich wina, lecz sama wasza obecność wywołuje kłopoty.

- Odlatujemy - potwierdziła Ky. - Ale nie lubię, jak obarcza się mnie winą za coś, czego nie zrobiłam.

- Dysponujemy eskortą, która bezpiecznie odprowadzi kapitan Vattę i jej ludzi na statek

- oznajmił Grawn. - Nie musimy prosić o pańskich ludzi.

- I tak nie mam nikogo na zbyciu - rzucił Filgrim. - No dobrze, wynoście się. - Machnął ręką. - Wy, handlarze, tylko sprawiacie kłopoty.

Ky otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Grawn pokręcił głową. Przytaknęła.

- Mam nadzieję, iż nie będzie pan miał więcej problemów.

Nic nie zakłóciło ich powrotu do doku. Ky zdążyła na dostawę systemu obronnego, przywiezionego przez personel Mackensee.

- Jim, idź przebadać się w medzestawie; Mehar, zostań tu jeszcze przez chwilę. - Jim nieco niepewnie wspiął się po trapie na pokład statku śladem podnośnika i oddziału transportującego kartony.

- Będą jeszcze jakieś dostawy? - zapytał porucznik Johansson.

Ky sprawdziła stan statku.

- Nie. Moglibyśmy wcisnąć jeszcze racje żywnościowe na pięć dni, ale to wszystko.

Odlatujemy w ciągu najbliższej godziny. Wystarczy?

- Mam nadzieję. - Postukał wybrzuszenie przed uchem. - Nasi ludzie meldują o wzroście aktywności na terenie stacji - wzmożony ruch jednostek naprawczych i tak dalej. Nie w naszej okolicy, lecz wystarczająco duży, by zirytować Kontrolę Ruchu. Wolałbym, żebyście znajdowali się dobrych dziesięć kilometrów od stacji.

Ky włączyła ręczny komunikator.

- Quincy, jak prędko możemy odcumować?

- Bez zrywania przewodów? Nasze miejsce w kolejce wypadnie za pięćdziesiąt osiem minut, wyszarpnie nas MissyMae. Napęd wewnątrzukładowy gotowy do rozgrzania. Widzę, że na stacji cieszą się, iż odlatujemy...

- W tym cały problem - mruknęła Ky. - Zapytaj stację, czy będziemy mieli kogoś po drodze, gdybyśmy chcieli odlecieć nieco szybciej;

już idę na mostek. Postaw silniki w stan gotowości. - Odwróciła się do Johanssona. -

Zobaczę, co będę mogła zrobić - nasza kolej wypada za pięćdziesiąt siedem minut.

- W porządku. - Dał znak oficerowi Mackensee, nadzorującemu załadunek. - Zejdziemy wam z drogi, lecz będziemy obserwować okolicę. - Oddział, który dostarczył paczki, wybiegł z ładowni.

Ky spojrzała na stojącego w pobliżu Martina.

- W takim razie zabierajmy się za odcumowanie.

- Tak jest, kapitanie.

Po drodze na mostek czuła, jak cierpnie jej skóra; wyobrażała sobie mały, jednoosobowy skuter naprawczy, podlatujący do kadłuba i umieszczający na nim ładunki. Jej uszy wyczuły zmianę ciśnienia spowodowaną zamknięciem włazu. Minęła niszę z medzestawem; Jim siedział zgarbiony

nad modulem diagnostycznym, przyciskając coś do twarzy; miała nadzieję, że pomoże mu na podbite oczy. Urzędująca w kambuzie Stella obejrzała się; Ky pokręciła głową i udała się na mostek. Lee dyskutował właśnie ze stacją.

- Nasz statek jest niewielki. Poprzednio odcumowaliśmy bez wyciągania.

Twarz na monitorze miała kwaśną minę.

- Mieliśmy już tutaj statki ruszające bez holowania, które naraziły stację na poważne ryzyko...

- Nawet nie poczujecie - przekonywał Lee.

- Wszyscy tak mówią - stwierdził oficer dyżurny. - Malutka struga, to wszystko, a kończy się na wydatkowaniu paliwa celem zrównoważenia efektu rotacyjnego...

- No cóż, gdyby holownik nieco się pospieszył...

- Nie mogą. Na Pierścieniu Pięć powstał korek; jakieś debilne dzieciaki postanowiły urządzić sobie wyścigi na skuterach naprawczych. Obecnie istnieje zbyt wielkie ryzyko zderzenia. Nie rozumiem, dlaczego nie możecie zaczekać.

Po grzbiecie Ky spłynęły lodowate strumyczki. Ktoś chciał ich opóźnić, zatrząść na stacji, na której działo się coś niedobrego.

- Mówi kapitan Vatta - przemówiła, uciszając Lee, który właśnie otwierał usta, żeby odpowiedzieć. - Już raz takie skutery poważnie nam zagroziły. Jak wygląda aktualna sytuacja na pierścieniu?

- Uch... lecą tamtędy dwa nadprogramowe skutery, pewnie właśnie te dzieciaki...

dolatują do doku Cztery B.

Sąsiedni sektor. Jakie maksymalne przyspieszenie mają takie skutery? Jedyne zewnętrzne skanery, jakimi dysponowała, były skanerami ogniskowymi, nie pokrywającymi zasięgiem całego kadłuba.

- Przykro mi - oznajmiła - ale odlatujemy natychmiast. Podejrzewam, że te skutery mają na celu umieszczenie na naszym statku ładunków wybuchowych.

- Ale to tylko dzieciaki...

- Być może - odparła Ky. A do Lee powiedziała: - Zamknij wszystkie luki, Lee. - Po czym z powrotem do oficera dyżurnego: - Zamykamy luki; startujemy, jak tylko sygnalizacja zaświeci się na zielono. Obiecuję, że zrobimy to możliwie powoli.

- Wy, Vattowie... - rzucił tamten. - Gdyby nie chodziło o was...

- Nie ja to zaczęłam - mruknęła Ky.

- Powietrze odcięte. Woda odcięta. Łączność zewnętrzna odcięta...

- Zamknijcie przegrodę - poleciła Ky. W odróżnieniu od awaryjnego odlotu z Sabinę Prime, nie zamierzała wyrządzać na stacji większych szkód, niż musiała. Po wycofaniu zewnętrznych uchwytów, statek nie był w żaden sposób połączony z dokiem.

- Potwierdzam zamknięcie przegrody - odrzekł oficer dyżurny. - Oficjalna zgoda na start...

- Zabierz nas stąd, Lee - zarządziła Ky.

- Manewr - zareagował. Pokład jedynie lekko zadrżał, lecz instrumenty wykazały ruch.

Ky milczała. I znowu: w odróżnieniu od poprzedniego startu awaryjnego nie korzystali z napędu wewnątrzukładowego, tylko ze słabszych silników korekcyjnych. Włączyła skanery bliskiego zasięgu.

- Są - oznajmiła. Zza krzywizny stacji wyłoniły się dwie maleńkie kropki.

Przewidywany kurs wiódł je prosto do doku Gary 'ego Tobai... na jej oczach wyraźnie skręciły.

- Nie jesteśmy jeszcze gotowi, kapitanie - zameldował Lee. Palce drgnęły mu na kontrolkach. Metr na sekundę... a ich przyspieszenie wynosiło jedynie 0,001 metra.

- Wewnątrzukładowe - rozkazała.

- Rozgrzane - zameldowała Quincy.

- Jesteśmy zbyt blisko - możemy nimi zatrząść - zauważył Lee.

- Będzie znacznie gorzej, jeśli wylecimy im tutaj w powietrze - odparła Ky. - Silniki mają być gotowe... odpalimy najpóźniej, jak tylko się da.

Kropeczki podpełzły bliżej... nie miały zbyt dalekiego zasięgu, za to były szybsze.

- Mamy minimum - zameldował Lee.

- Nadać statkowi rotację skorelowaną z osią stacji - rozkazała Ky. - Dzięki temu szkody będą mniejsze...

Zajęło to kilka cennych sekund, a skutery znalazły się w zasięgu miotania pociskami, kiedy wydała rozkaz:

- Uruchomić silniki, jedna czwarta mocy.

Rotacja Gary'ego Tobai i ciąg napędu wewnątrzukładowego dały im solidne przyspieszenie dziesięciu metrów na sekundę. Tory kropek na ekranie skanera skrzyżowały się i zawirowały, próbując ich dogonić, lecz statek zdążył już nabrać dystansu. Ky wiedziała, że skutery naprawcze nie mogły mieć lepszego przyspieszenia, a przy takiej prędkości szybko zużyją paliwo, jednak jeden z



nich zaczął się przybliżać. Czyli nie był zwykłym skuterem naprawczym.

- Ścigają was - powiedział ze zdumieniem oficer łącznikowy.

- Zauważyłam - odparła Ky. - Pół mocy - poleciła Quincy. Statek otworzył

przepustnicę. Na skanerze za nimi coś błysnęło... pierwsza kropka znikła, a druga pognała z powrotem w kierunku stacji. - Powinniście go przechwycić - powiedziała oficerowi łącznikowemu. - Może dowiecie się czegoś ciekawego.

- Uch... dobrze.

- Dokąd chce pani lecieć? - zapytał Lee.

- W tej chwili chcę jedynie znaleźć się w bezpiecznej odległości - odrzekła. - Może dziesięć kilometrów...

- Gloucester do Gary 'ego Tobai.

- Tu Gary Tobai - zgłosiła się Ky. Ekran zamigotał i pojawiło się na nim oblicze kapitana Pensiga.

- Nasze skanery wykryły eksplozję w waszym pobliżu. Jakież uszkodzenia?

- Nie, nic nam nie jest.

- Zalecamy utrzymanie tego kursu przez najbliższe sześć godzin, kapitanie Vatta.

- Ale my... - Ky przełknęła resztę zdania. - W porządku, sześć godzin.

Twarz kapitana rozpoznała się.

- Pozostaniemy w łączności przez zabezpieczoną linię, kapitanie. Gloucester będzie was osłaniać; Scapa Flow pozostanie na razie na stacji.

Na skanerze bliskiego zasięgu pojawił się ślad ciągu okrętu Mackensee, który ostrożnie ustawił się pomiędzy nimi a stacją.

- Stacja nie ma do nas pretensji - zameldował Lee. - Kto to mógł zrobić?

- Tam jest mnóstwo broni - zauważyła Ky. - Przecież inni też mogli zrobić zakupy w MilMartcie.

- Hm. Co oznacza, że naprawdę bezpieczni będziemy dopiero po zamontowaniu systemu obronnego, prawda?

Ky już chciała powiedzieć, że i tak nigdzie nie będą do końca bezpieczni, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- Cóż... im dalej się odsuniemy, tym będziemy bezpieczniejsi. Używanie broni laserowej wymaga

wydatkowania mnóstwa mocy. Ale pociski... Lepiej jak najszybciej uruchomić nasz system obronny. - Odwróciła się do komunikatora i wywołała Quincy. - Jak idzie instalacja?

- Instalacja! Dopiero co otworzyłam ostatni karton!

- Cóż, istnieje szansa, że system będzie nam potrzebny teraz, albo wcale - ostrzegła Ky.

Na drugim końcu zapadło milczenie, przerwane mruknięciem, którego nie dosłyszała, po czym:

- Po tej podróży definitywnie odchodzę na emeryturę, Ky... kapitanie. Jestem za stara na to wszystko. Powinam montować te urządzenia co jeden metr - masz pojęcie, jakiej wspinaczki to wymaga? - Quincy nie sprawiała wrażenia wystraszonej, raczej rozzłoszczonej.

- Tobie jest młody i sprawny, Jim również. Martin prawdopodobnie wie, jak instalować takie rzeczy. Możliwe, że Rafe również mógłby nam pomóc.

- Rafe! Ufasz mu tak, że dopuściłabyś go do naszego systemu obronnego?

- Musimy mieć ten system jak najszybciej zainstalowany i sprawny, Quincy.

Niezależnie od kosztów.

- Tak jest.

Ky usiadła z powrotem, bębniąc palcami w oparcie fotela. Przeżyli, ale zawdzięczali to sekundom. Wrócili w przestrzeń, do której należeli astronauta, i zdobyła sojusznika. Może nawet więcej, niż jednego, jeśli Rafe nie oszukał jej co do swego nazwiska. Uważała, że nie.

Ale... była sama w towarzystwie dwóch okrętów Mackensee i dziuraw budżecie... owszem, mieli zapasy, ale żołnierze pożerali prowiant jak szarańcza zboże. W następnym porcie będzie musiała zdobyć pieniądze... powinna rozłożyć koszty tego wszystkiego... ale jak?

- Ky, jadłaś coś? - Na mostek zajrzała Stella z kanapką w dłoni.

- Od kiedy? - zapytała Ky.

- To samo w sobie jest już jakąś odpowiedzią. Zrobiłam kanapki. Proszę. - Podała jej tacę z elegancko powycinanymi trójkątami.

- Gotujesz? - zdziwiła się Ky. Nie podejrzewała Stelli o jakiegokolwiek umiejętności domowe.

Zapytana skrzywiła się.

- Kanapki to nie gotowanie, a poza tym, mówiłam ci, że potrafię usmażyć jajecznicę.

Zaraz pošlę kanapki reszcie.

- Dobry pomysł - przytaknęła Ky. Teraz, kiedy byli - no cóż, może nie bezpieczni, ale zdecydowanie bezpieczniejsi - poczuła głód. Przekąska dla odwiedzających ich oficerów nigdy nie dotarła na statek. Postawiła tacę pomiędzy sobą a Lee; przez kilka minut jedli w milczeniu.

Potem Lee podniósł na nią wzrok.

- Myśli pani, że zostaniemy zaatakowani?

- Mam nadzieję, że nie - odparła Ky. Odłożyła kanapkę, którą jadła. - To wszystko wydarzyło się tak szybko... przynajmniej tym razem ktoś nam pomógł. Nareszcie możemy coś zrobić.

Wziął z tacy kolejny trójkącik.

- Co oznacza, że ma pani jakiś plan.

- Wkrótce będę miała - zapewniła. - Prawdę mówiąc, mam go już teraz i udanie realizujemy jego pierwszą część, to jest utrzymanie się przy życiu bez utraty mobilności.

- A inne cele?

- Odnaleźć i pomóc pozostałym członkom rodziny, zanim zostaną zabici. Ustalić, kto to robi i opracować kontruderzenie. Mówiłam to od początku.

- I ufa pani najemnikom?

- Dotrzymują umów tak samo, jak my - odrzekła. - To, co zaszło ostatnim razem, nie było ich winą, a my otrzymaliśmy sowite wynagrodzenie za kłopoty.

- Tak, ale... - Przeżuwał przez chwilę w milczeniu, po czym przełknął i kontynuował: -

Czy istnieje jakaś szansa, żebyśmy wrócili do zwyczajnego handlu?

- Nie wiem - odparła Ky. - Nikt nie będzie handlował normalnie, dopóki milczą ansible.

Jak tylko awarie zostaną usunięte, a nieprzyjaciele nie będą nas bezpośrednio atakować, powinniśmy móc normalnie funkcjonować. Oczywiście, to nie będzie już to samo w świetle wszystkich strat zadanych Vattom. Musimy odbudować firmę. - Mówiąc to, zastanawiała się, czy to faktycznie możliwe. Przekształcenie pierwszego statku Vattów w imperium transportowe zabrało całe pokolenia. Przekrzywiła głowę, patrząc na Lee. - A co? Jesteś gotowy poszukać sobie innego statku? Czyżby przeżywanie przygód stało się mniej atrakcyjne niż kilka dni temu?

Potrząsnął głową.

- Nie, kapitanie. Zastanawiam się jedynie nad ironią losu.

- Ironią?

- Tak. Pani ojciec wybrał mnie jako młodszego pilota dla Riela, opierając się na mojej kartotece. Cieszyłem się reputacją solidnego, poważnego pilota bez skłonności do szaleństw.

Nie wiedział - ponieważ źle wyglądałoby to na moim podaniu - że zawsze pragnąłem czegoś bardziej podniecającego niż pilotowanie frachtowca. Lecz po śmierci rodziców musiałem szybko znaleźć pracę, a byłem o rok za młody, aby móc wstąpić do lotnictwa wojskowego.

Wtedy uważałem to za tragedię i szykowałem się na żałośnie nudne pięćdziesiąt - sześćdziesiąt lat służby. Dosyć szybko przekonałem się, że nawet latając cywilnym statkiem można przeżyć sporo przygód, lecz wciąż... czegoś mi brakowało.

- Nadal jesteś żądny przygód? - zapytała Ky.

- Nawet po tym, jak zobaczyłem je z bliska? Tak, kapitanie. Jeśli postanowi pani nie wracać do zwyczajnego handlu... proszę nie martwić się, że odejdę. Jeśli będzie mnie pani chciała zatrzymać, rzecz jasna.

- Jesteś dobrym pilotem, Lee; oczywiście, że chcę mieć cię na pokładzie. Po prostu dobrze byłoby nie mieć zbyt wielu przygód, prawda?

- To już pani powołanie, kapitanie. - Uśmiechnął się i przełknął kolejną kanapkę.

Ky wciąż obmyślała następny krok i pięć dalszych. Potrzebowała pieniędzy. Handlarze zdobywali pieniądze poprzez handel lub świadczenie usług. Sprzedali już wszystko, co musieli.

Jakich usług mogła dostarczyć, będąc celem zaciekłych ataków? Jakimi zasobami dysponowała? Uświadomiła sobie nagle, że musiała sprzedawać ochronę. Jak długo miała Korporację Mackensee, dysponowała czymś, co mogli chcieć inni kupcy.

- Kapitanie Vatta, tutaj porucznik Johansson.

- Kapitan Vatta.

- Nasze źródła potwierdzają zniszczenie jednego skradzionego skutera naprawczego oraz zatrzymanie drugiego. Jak rozumiem, dysponuje pani pewnymi informacjami o naturze kłopotów z ansiblami?

- Tak - potwierdziła. - Mamy kogoś, kto sporo wie o wewnętrznych sprawach ISC. W

tej chwili pomaga nam w instalacji systemu obronnego, który zakupiliśmy.

- Teraz to najważniejsze - uznał Johansson. - Ale później chcielibyśmy z nim pomówić.

- Dam mu znać - obiecała Ky. - Nie jest moim podwładnym; w chwili obecnej łączy nas umowa partnerska. Pomógł moim kuzynom wydostać się z Allray w jednym kawałku.

- Aha.

- Jeszcze jedno - dodała Ky. - O ile prawidłowo odczytuję nasz kontrakt, nie ma żadnych przeszkód, żebyście eskortowali większą ilość statków kupieckich, prawda?

- Ma pani na myśli konwój? Zazwyczaj używamy w tym celu większej ilości statków, ale... chodzi pani o podział kosztów?

- Tak, oczywiście, lecz również o odzyskanie wiarygodności przez Transport Vattów.

Obecnie kapitanowie innych jednostek handlowych nie chcą ze mną rozmawiać w obawie, że nasze problemy mogłyby okazać się zaraźliwe. Aby pozyskać kontrakty przewozowe, musimy poprawić naszą reputację. Gdybym mogła oferować bezpieczne - a przynajmniej bezpieczniejsze - przeloty, bardzo by mi to pomogło.

- Dobra myśl. Chcielibyśmy jednak opiniować potencjalnych uczestników oraz ponosić jedynie ograniczoną odpowiedzialność.

- Proszę sporządzić listę aprobowanych przez siebie statków i podać mi ich maksymalną ilość w konwoju - poprosiła Ky. - Jak tylko Lastway obiegnie wieść o usiłowaniu wysadzenia nas w powietrze w doku, kapitanowie powinni stać się nerwowi i chętni do wyniesienia się ze stacji. Może teraz chętniej mnie wysłuchają.

- Powinni, kapitanie Vatta - przyznał.

Po rozłączeniu się, Ky poszła sprawdzić, jak idzie montaż systemu.

- Pracujemy nad tym - zameldowała Quincy. Miała na ekranie procedurę instalacyjną.

Na razie wszystkie nagłówki brzmiały: W TOKU. - Dobrze, że ładownie nie są zapchane maszynami rolniczymi; musimy rozmieścić te sensory praktycznie wszędzie. Zleciłam to Jimowi; wykazuje sporą sprawność manualną.

- Rafe?

- W tej chwili jest z Jimem. Nie wiem, na ile pomaga.

- Mmm. Jeśli nie jest tutaj niezbędny, czeka go inne zadanie. Musimy zająć się problemem z ansiblami.

Quincy obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

- Aż tak mu ufasz?

Ky wzruszyła ramionami.

- Jest jedynym, który może posiadać potrzebne nam informacje. - Rozważyła powiedzenie Quincy wszystkiego, co wiedziała o Rafie - a przynajmniej tak się jej zdawało -

uznała jednak, że nie byłby to dobry pomysł. - Kiedyś pracował razem ze Stellą.

Quincy prychnęła.

- To ma być rekomendacja? Chodzi mi o... Stellę. Wszyscy ją znają.

- Nie do końca - zaproponowała Ky. - Wszyscy wiedzą, że kiedyś zawaliła sprawę, tak samo jak wszyscy wiedzą, że wyrzucono mnie z Akademii, co również było jakimś tam zawaleniem sprawy. Czy to mówi wszystko o mnie?

- No cóż... nie. Ale Stella...

- Wyrosła z tego, Quincy. I jest jedyną rodziną, jaka mi pozostała. Vattowie trzymają się razem.

- Domyślam się. - Quincy pokręciła głową. - To nowy świat, który niezbyt mi się podoba.

- Nikomu z nas. Zmieńmy go więc na lepszy, który będzie się nam podobał -

powiedziała Ky z większą pewnością siebie, niż czuła. - Tak uczynił pradziadek i my też możemy to zrobić.

- Mam nadzieję - rzuciła Quincy. - Tyle strat, tak wielu nie żyje...

- Quincy... czy ty dobrze spiasz? Nie przypominasz siebie.

- Ja... nie mogę spać, Ky. Wciąż widzę twarz Gary'ego... twojego ojca...

W książkach, które przeczytała Ky, nie było ani słowa o tym, co robić, kiedy załamują się starsi członkowie załogi. Ani się obejrzała, jak delikatnie obejmowała Quincy, dopóki staruszka nie zeszywniała.

- Odwrócenie ról - zauważyła Ky. - Ale odwracalne...

Quincy pociągnęła nosem.

- Przepraszam. To ja powinnam pocieszać ciebie.

- Znałaś Gary'ego dłużej ode mnie. Tak samo resztę plemiennej starszyny. Straciłaś mnóstwo przyjaciół; ja straciłam sporo znajomych. Nic nie jest łatwe. - Obserwowała, jak twarz Quincy wygładza się w miarę, jak mówiła.

- Już mi lepiej - oświadczyła w końcu, prostując się.

- To dobrze - podsumowała Ky. - Daj mi znać, kiedy Rafe będzie wolny, albo gdybyś potrzebowała dodatkowej pomocy w instalacji. Wiesz, ja też potrafię posługiwać się kluczem.

- Och, wiem o tym. Ale kapitanowie mają co innego do roboty.

- To fakt. Moim następnym posunięciem będzie rozłożenie kosztów naszego wsparcia wojskowego na statki, które mam nadzieję konwojować tam, dokąd się udajemy, jak już to ustalimy.

- Dobry pomysł - orzekła Quincy. - Myślisz, że przybędą? Z tego, co mówiłaś wcześniej...

- Sytuacja uległa zmianie - odparła Ky. - Omal nie wysadzili nas w doku; inni mogą poczuć niepokój - tak przynajmniej powiedziałam Mackensee. Założę się, że zgłosi się do mnie parę mniejszych, niezależnych statków.

Z głębi ładowni nr 3 wyszedł Rafe.

- Quincy, Jim mówi, że jest gotowy przyjąć kolejną partię czujników...

- Ach, Rafe - powitała go Ky. - Jak myślisz: czy Jim poradziłby sobie z pomocą Toby'ego?

- Bez trudu - uznał Rafe. - A co? Masz dla mnie jakieś inne zadanie? - Powiedział to takim tonem, że Ky zacisnęła zęby.

- Owszem - przytaknęła krótko. - Quincy, daj mi znać, jak skończycie montaż, żebym powiadomiła o tym naszą eskortę. Rafe, proszę ze mną.

Usiedli w mesie; Ky wstąpiła do kambuza, odnotowując, iż Stella pozostawiła go w idealnym stanie, i zabrała dzbanek z wodą oraz dwie szklanki. Rafe wstał i po chwili wrócił z cytryną i nożykiem. Przemówił, nim Ky zdążyła otworzyć usta.

- Kilka lat temu Stella sporo o tobie myślała - powiedział. Nie patrzył na nią, skoncentrowany na obieraniu owocu tak, aby wyszła mu tylko jedna obierka. Nie miała pojęcia, po co mu obrana cytryna.

- Och? - Czekala.

- Tak. Całkiem często o tobie wspominała. Najwyraźniej byłaś stawiana za wzór jako odpowiednio wychowana, młoda latorośl Vattów. Uprzejma, opanowana - jak to ujęła: masło nie rozpuściłoby ci się w ustach, nawet w upalne południe. Prostolinijna, nigdy nie popełniająca błędów. - Zerknął na nią; nadal milczała. - Nieźle ją irytowałaś. „Zarozumiała sztywniara” -

chyba tak cię kiedyś nazwała. Urodzona armijna służbistka, same zasady i surowość. Tak to pamiętasz?

- Nie całkiem - odrzekła. Do czegoś zmierzał, ale nie potrafiła jeszcze powiedzieć, do czego; nie dopuści, żeby wbił klin pomiędzy nią a Stellę. - Nie wiem, kto z rodziny opowiadał

jej takie rzeczy, ale ja wysłuchiwałam z kolei, jak to grzeczne dziewczęta nie powinny chcieć być astronautkami ani żołnierzami i czemu niby uważałam, że się do tego nadaję, zamiast znaleźć sobie jakiegoś miłego chłopca z dobrej rodziny.

- A czemu tego nie zrobiłaś? - zapytał Rafe. Tym razem przeszył ją spojrzeniem tak, jak jej bracia

przyszpilali do stołu robaki, które badali. - Jesteś ładna, a Stelli udało się znaleźć chłopca, który się jej podobał...

- Który wyrządził jej wielką krzywdę - dokończyła Ky. - Słyszałam o tym. Poza tym, powinieneś sam coś wiedzieć o rodzinnych ambicjach - ty też się zbuntowałaś.

Rafe skrzywił się teatralnie.

- Ach, mocny cios. Twierdzisz, że zbuntowałaś się, idąc do wojska? A może wyrazem buntu było dać się wykopać z Akademii? Co się stało?

- Nic, co mogłoby cię obchodzić - ucięła. Nie było potrzeby roztrząsania tego z człowiekiem, któremu nawet Stella zdawała się do końca nie ufać.

- Och, ależ mogłoby - rzucił Rafe. - Takie rzeczy trwają jakiś czas, kiedy jest się młodym. Nie minął jeszcze rok, prawda? Chciałbym wiedzieć, na ile stabilna jest osoba, która zdaje się tutaj dowodzić.

- Wystarczająco stabilna - zapewniła go. - Na tyle stabilna, żeby nie przejmować się twoją opinią o mojej stabilności.

- Uch. - Udał, że ssie ukłuty palec. - Jesteś ostra jak kolec. O tym również Stella wspominała. Nie jesteś ciekawa, co jeszcze mówiła?

- Nie bardzo. - Odpowiedziała mu spojrzeniem na spojrzenie. - Prawdopodobnie mówiła sporo rzeczy, tak samo, jak ja, których nie powiedziałyby dzisiaj. To bez znaczenia.

- Mmm. Może. - Ostatni odcinek obierki oddzielił się od owocu. Rafe ułożył ją w kształt cytryny, którą lewą ręką wrzucił do wody. - Rosną tam, skąd pochodzisz? Na Slotter Key?

- Cytryny? Owszem, w ogrodzie. Nie mamy sadu cytrusowego.

- O ile pamiętam, tik jest główną uprawą waszej rodziny. Cenny. Łagodny i stymulujący, a pewne frakcje wykorzystywane są w przemyśle farmaceutycznym.

- Zgadza się.

- Piłaś kiedyś herbatę tikową z cytryną?

- Nie - odparła Ky, zastanawiając się, do czego zmierzał.

- Nie rób tego. Zły pomysł. Chemiczne reakcje psują smak, a głowa potem boli, jak uderzona kamieniem. - Napił się wody z cytryną, potrząsnął głową i upuścił obierkę. - Rzecz w tym, że ludzie zawsze mieszają rzeczy, których mieszać nie powinni. Cytryny z tikiem. Armaty i masło. Moralność i...

- Tylko nie ten wykład - przerwała mu Stella, wchodząc do pomieszczenia. Przebrała się w jednoczęściowy strój z brązowego pluszu, na którego tle jej włosy lśniły złotem. - Wstydź



się, Rafe.

- To prawda - bronił się Rafe.

- To banał - zarzuciła mu Stella. - Obrąłeś tę cytrynę dla niej, prawda? - Uśmiechnęła się do Ky. - Wszystko to miało doprowadzić do konkluzji, że powinniście iść razem do łóżka, nawet jeśli to nie ma prawa się udać, ponieważ łączenie się przeciwieństw jest nieuniknione, czy coś takiego. Sztuczka z obieraniem cytryny miała dowieść jego zręczności manualnej i zafascynować cię niedopowiedzianymi możliwościami.

- Na ciebie podziałało - warknął Rafe.

- Nie bardzo - odparła Stella. - Sama chciałam spróbować; omal mnie nie odstręczyłeś tą profesorską pozą. Choć przyznaję, że byłam pod wrażeniem obierania cytryny.

Ky spojrzała na Stellę.

- Wydawało mi się, że mówiłaś...

- Nie byliśmy zaangażowani - wyjaśniła Stella. - Tylko z nim spałam, to wszystko.

Ky zastanawiała się, czy to prawda. Nie wyobrażała sobie spania z kimś bez uczuciowego zaangażowania... choć sama była zaangażowana bez sypiania. A czy spojrzenie, jakim Stella obrzuciła Rafe'a, było naprawdę takie chłodne? Za to on miał tak zawziętą minę, że wolałaby nie być jej powodem.

- Ty wciąż... - zaczął.

- Myślałam, że mieliśmy omawiać strategię - zauważyła Stella. - Czyż nie, Ky?

- Racja - przytaknęła zapytana, z niejakim trudem kierując rozmowę na inny tor. -

Teraz, kiedy dysponujemy pewnymi zasobami bojowymi, możemy zacząć działać.

- Czy wiemy wystarczająco dużo?

- Wystarczająco dużo, by zacząć - podkreśliła Ky. - Gdybyśmy mieli czekać, aż dowiemy się wszystkiego, trwałoby to całą wieczność. - Tego była pewna. Dostrzegła zdumienie na twarzy Rafe'a, lecz Stella tylko kiwnęła głową. - Ale mam kilka pytań do Rafe'a.

- Jakie mianowicie? - zainteresował się Rafe.

- Czy ISC wie o przekupieniu części zarządców swoich stacji? Czy możemy spodziewać się... reperkusji z ich strony... jeśli usuniemy jednego albo dwóch?

- Usuniemy, czyli...

- Zabijemy - sprecyzowała Ky.

Rafe znieruchomiał na moment; po chwili drgnęła mu ręka.

- Nie ma innego sposobu na szybkie przywrócenie komunikacji - ciągnęła. - Lokalna administracja nie jest zainteresowana moimi rewelacjami. Nie dzieje się im nic złego; uważają, że tak jest nawet lepiej. Kupcy cierpią, ale są zbyt przerażeni, żeby coś zrobić. Legalne działania zajęłyby tygodnie, jeśli nie miesiące, a tamten ucieknie, wyrządzając jeszcze większe szkody. Musimy go usunąć szybko i trwale. To nas uwiarygodni w oczach innych.

- Zabijanie jest nieco krańcowym podejściem - oznajmił Rafe matowym głosem. - Nie sądzisz?

- Nie w tym przypadku - odrzekła Ky.

- Ky... - zaczęła Stella i zaraz urwała. Pokręciła głową i dokończyła: - Ky, Vattowie nigdy nie postępowali w ten sposób.

- Vattowie nigdy nie prowadzili wojny - stwierdziła Ky. - Nie my to zaczęliśmy, ale chcę, żeby to Vattowie przetrwali. Rafe, twoim zdaniem, jaka będzie reakcja ISC?

Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym złożył dłonie i obrzucił ją spokojnym spojrzeniem.

- Myślę, że w obliczu wystarczających dowodów jego winy przymkną oko na...

przypadkową śmierć. Przynajmniej w takim sensie, że nie będą szukali odwetu na innych Vattach. Przypuszczam jednak, że będą niezadowoleni. To stwarza zły precedens. ISC nigdy nie pozwalało nikomu - rządowi, związkowi kupieckim, komukolwiek - osądzać swoich ludzi.

- Nie zajęli się tym - rzuciła Ky. Ostry ton zaskoczył nawet jaj na twarzach słuchaczy odmalowało się zaskoczenie. - To kosztowało życia... nadal kosztuje. Uważam, że robię to, co powinni zrobić oni i lepiej, żeby to zaakceptowali.

- Brzmi to niemal tak, jakby groziła pani ISC, kapitanie. - Nie przeoczyła powrotu do formalnego tonu. - Jeśli tak jest, zmuszony jestem przypomnieć, komu przede wszystkim jestem winien swoją lojalność.

- Przypominam o wiążącej nas umowie - powiedziała Ky. - Jeśli chcesz ją zerwać...

Skrzywił się.

- Wiem o tym. Ale... prosisz mnie... być może, prosisz mnie... o to, bym zawiódł

zaufanie przełożonych.

- Nie wydaje mi się - zaprzeczyła Ky. - Jako agent ISC - choćby tajny zostałeś poproszony o opinię, czy ten pracownik ISC jest winny...

- Och, w porządku, jest winny - przyznał Rafe. - Bez wątplenia. Bardzo mocno zaangażowany w spisek. Mam na to dowody; właśnie wracałem z nimi na statek, kiedy twoi ludzie wpadli w kłopoty w sklepie.

- W takim razie, co zrobiłoby ISC, zakładając, że mieliby możliwość działania?

- Oni... no dobrze, zabiliby go. Faktycznie mamy... zbrojne ramię, które... nie podlega rządowym ograniczeniom. Chcesz, żebym go zdjął? - Popatrzył na nią lekko błędnym wzrokiem; zastanowiło ją to.

- Zrobiłbyś to? - zapytała. Odpowiedział jej ponurym spojrzeniem, nie odpowiadając od razu. Ciągnęła: - Przypuszczam, że czekałbyś na rozkazy z domu. I że musiałbyś to zrobić, choćbyś nie chciał.

- Raczej tak - przyznał Rafe. Aż ochrypl z wysiłku zachowania lekkiego tonu.

- W takim razie zostaw to tym, którzy nie widzą problemu - poradziła mu Ky. Stella gwałtownie wciągnęła powietrze; Ky nie spojrzała na nią. - Od ciebie, jako od przedstawiciela ISC, oczekuję przyznania, że ten człowiek jest winny, że są na to wystarczające dowody, a jego usunięcie leży w najlepszym interesie... - zająknęła się, zbyt dobrze pamiętając zwrot w najlepszym interesie Służby - ... ISC i jego klientów.

Rafe skinął głową.

- To... to mogę uczynić. Sporządzenie takiego raportu nie stoi w sprzeczności z naszą umową i lojalnością wobec ISC.

- Dobrze. - Ky uśmiechnęła się, lecz żadne nie odpowiedziało uśmiechem. Stella wyglądała jak ktoś, kto właśnie otrzymał potężny cios w żołądek, a Rafe po prostu nie rozchmurzył się. - Powiadomię naszego łącznika. Chcę porozmawiać z tobą o dowodach.

- Wzięcie udziału w aresztowaniu byłoby dla mnie dobrym rozwiązaniem, jako dla przedstawiciela ISC - oznajmił Rafe. - Mógłbym udzielić im pełnomocnictwa.

- Zrób tak - zgodziła się Ky. - Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy posprzątać.

Lee uruchomi dla ciebie bezpieczne łącze na mostku.

- Zaskakujesz mnie - rzucił Rafe, wstając. Wyszedł, nie dodając nic więcej.

Stella wyciągnęła rękę, żeby ucisnąć ramię Ky, ale cofnęła ją.

- Ky... mam niemal takie wrażenie, jakbym cię nie znała. Kiedy powiedziałaś: „zostaw to tym, którzy nie widzą problemu”... z pewnością nie mówiłaś o sobie... - Jej głos ucichł i pokręciła głową. - Oczywiście, że nie. Musiałaś mieć na myśli najemników. Przypuszczam, że będą musieli to zrobić.

Ky ścisnęło w żołądku. Z jednej strony, Stella była jej najbliższą rodziną i powinna poznać prawdę.

Z drugiej... Ky mogła nie znieść jej oczekiwanej reakcji. Przynajmniej nie teraz. Może później.

- Będę potrzebowała dokładnej oceny naszej sytuacji finansowej - powiedziała w zamian. - Zamierzam spróbować zwerbować parę innych statków do konwoju ochranianego przez Mackensee. W ten sposób podzielimy koszty. Lecz nawet wtedy musimy być ostrożni z wydatkami. Ten system obronny nie należał do tanich.

Stella przytaknęła.

- Słusznie. Ten konwój to dobry pomysł, Ky.

- Dzięki. Teraz wszystko zależy od tego, jak bardzo atak na doki przeraził kupców.

## ROZDZIAŁ 16

Ky dotarła na mostek, zanim Rafe skończył rozmowę z oficerem łącznikowym. Miał ponurą minę, za to porucznik Johansson wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Chcielibyśmy mieć pani... agenta... na pokładzie podczas tej akcji - oznajmił

Johansson. - Ma pełnomocnictwa ISC.

- Rafe? - zapytała Ky, patrząc na niego.

Skrzywił się.

- Moja wartość dla ciebie i ISC bierze się częściowo z uznawania mnie za odszczepieńca. Jeśli zostanę włączony do grupy uderzeniowej...

- Nie miałem zamiaru wcielać pana do zespołu wykonawczego - wyjaśnił Johansson. -

Wręcz przeciwnie - w tym równaniu jest już wystarczająco wiele niewiadomych. Chodziło mi o pobyt na pokładzie okrętu i pozostawanie w stałej łączności, co zapewni naszym ludziom właściwe... mmm... dowody.

- Czyli dowie się o mnie załoga pańskiego okrętu - skwitował Rafe.

- To znaczy ile osób?

- Naprawdę myśli pan... - zaczął Johansson i urwał. - W porządku. Rozumiem pana.

Nawet, jeśli nie poznają pana tożsamości, będzie można wyciągnąć z nich wszystkie informacje. Kamuflaż?

Rafe obrzucił Ky dziwnym spojrzeniem.

- Czy mógłbym podać się za Vattę, kapitanie?

- Jedyni Vattowie, których obecność na tym statku zadeklarowałam, to ja, Stella i Toby

- odparła Ky. - Musiałbyś okazać się... och... ukrywającym się na Allray odszczepieńcem Vattów. Starym wujaszkiem Jonasem, odtrąconym przez rodzinę za... sama nie wiem za co...

- Bycie wyrzutkiem nie wymaga dokładnych wyjaśnień - stwierdził Rafe. - Nikt nie musi wiedzieć, czy zrobiłem pokojówce bliźniaki, czy zdefraudowałem sporą sumkę na pokrycie karcianych długów. Było to dawno temu i nikt już o tym nie pamięta. Stałem się gałęzią odrąbaną od pnia drzewa rodowego. Co, oczywiście, nie wyjaśnia, skąd wiem to, co wiem.

- Niegrzeczni chłopcy nigdy się nie tłumaczą - przytaknęła Ky.

Rafe pokręcił głową.

- Zbyt wiele wiesz, jak na młodą latorośl cnotliwych Vattów, kapitanie. Zaczynam podejrzewać, że sama spędziłaś trochę czasu, buszując po ciemnych alejkach wszechświata.

- Czyli jak brzmi ta historia? - wtrącił Johansson, najwyraźniej zniecierpliwiony ich przekomarzaniem się.

- W porządku. Użyję tej samej fałszywej tożsamości - postanowił Rafe. - Nagle przypomniałem sobie o obowiązkach wobec rodziny, gdy na Allray wysadzono w powietrze statek Vattów - albo uwiodła mnie Stella, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne - i obecna tutaj kapitan Vatta wykorzystwała moje nieczne uzdolnienia w słusznej sprawie.

- Przejście na pokład okrętu może nastreczyć pewne problemy - zauważyła Ky. - Jak wiesz - no cóż, może nie wiesz - nie mamy standardowej służby pasażerskiej, jedynie wyjście awaryjne. - Przynajmniej właz gładko chodził.

- Wyślemy zasobnik - obiecał Johansson. - Czy potrzebuje pan również skafandra?

- Mam własny - odrzekł Rafe. - Nie od rzeczy byłoby jedynie wspomnieć, jak bardzo nienawidzę go używać.

- No to już możesz brać się za jego sprawdzanie - wtrąciła Ky.

- Dajcie kobietom władzę i proszę... no dobrze, już idę.

Ky obróciła się do ekranu.

- Mamy jakieś postępy w przygotowywaniu informacji o konwoju, poruczniku?

- Tak. Możemy ochraniać cztery statki, w tym pani. Prześlę listę tych, które moglibyśmy zaakceptować, w kolejności odpowiadającej naszym preferencjom, które -

oczywiście - nie muszą pokrywać się z waszymi. Jak również czerwoną listę statków, na których ochronę nie wyrazimy zgody.

- Świetnie. Natychmiast rozpoczną rozmowy z kapitanami.

\* \* \*

Kapitan Solein Harper z Mojej Bess sprawiał wrażenie równie nieprzystępnego, jak podczas ich pierwszej rozmowy, tym razem jednak przynajmniej nie rozłączył się w chwili, gdy ujrzał jej twarz.

- Zapewne słyszał pan już, że na następną podróż wynajęliśmy Korporację Mackensee?

- zagała.

- Słyszałem - odparł. - Dwa okręty wojenne na jeden frachtowiec to dość solidna ochrona, jak sądzę.

- Zgadza się - przytaknęła Ky. - Byłby pan zainteresowany miejscem w konwoju?

- Konwoju?

- Mackensee zapewnia mnie, że są w stanie chronić cztery jednostki, lecące w ścisłym szyku.

- Dokąd lećcie? - Wiedziała, że nie zapytałby, gdyby nie był zainteresowany.

- Nie podejmam jeszcze decyzji - odrzekła. - Dokąd pan się udaje?

- Donikąd, dopóki nie odzyskam zaufania do komunikacji, ale siedząc tutaj, przejadam cały zysk.

- Łączność poprawi się wkrótce - oznajmiła mu, mając nadzieję, że się nie myliła. -

Jeżeli byłby pan zainteresowany, to udział w konwoju kosztowałby jedną czwartą ceny eskorty, minus pierwotny kontrakt Vattów. Dziesięć tysięcy.

- Dziesięć tysięcy! Wydaje się pani, że przewożę platynę, czy co? Osiem.

- Dziewięć - zaproponowała Ky. - Specjalnie dla pana.

- Zgoda - rzucił. Była pewna, że gdyby się uparła, zgodziłby się na dziesięć. Ale dziewięć też bardzo im pomoże, a ona być może zyska jego przychyłność. - Na tutejszy rachunek Vattów?

- Po bezpiecznym zawinięciu do portu - odrzekła Ky.

- Ach. - Odprężył się; nadal wyglądał na surowego, ale nie złowrogiego. - To uczciwa propozycja, kapitanie Vatta. Może chciałaby pani jeszcze jeden lub dwa statki?

- Mógłby pan kogoś polecić?

- Polly Tendel - niezależna, nowa w biznesie, cztery lata temu oderwała się od Dillona.

Wygląda na porządną, choć jest nieco szorstka w obejściu.

Ky zerknęła na listę Mackensee. Była tam, choć nie w pierwszej piątce.

- W porządku. Skontaktuje się pan z nią?

- Mogę... warunki te same?

- Tak.

Pół godziny później miała skompletowany cały konwój: Moja Bess Harpera, Siatkoskrzydły Tendel i Piękno Bel Sindarina Golda. Wszystkie statki przeszły kontrolę Mackensee i - według danych ze stacji - przygotowywały się do startu. Zgodnie z umową, Mackensee dowodzili konwojem i wyznaczali miejsce spotkania. Ky zostawiła im szczegóły operacji. Porozmawiała chwilę z Rafem przed jego przenosinami na Gloucestera, a potem starała się nie sterczeć zanadto nad głowami inżynierom, którzy kończyli już montaż nowego systemu obronnego. Nie mogła powstrzymać się przed załadowaniem podręcznika instalacji do własnego kompa, co pozwalało jej śledzić postępy, nie przeszkadzając im.

Przyłapała się na ziewaniu i przypomniała sobie, że wiele godzin temu miała nadzieję zdrzemnąć się przed wizytą oficerów Mackensee. Naprawdę była na nogach od tak dawna?

Kolejne ziewnięcie omal nie wyłamało jej szczęki, przekonując, że „na nogach” było pojęciem względny. Połączyła się z Inżynieryjnym.

- Co znowu? - zapytała Quincy.

- Przepraszam - rzuciła Ky. - Chciałam tylko dać ci znać, że będę u siebie w kabinie, zażywając - mam nadzieję - solidnej porcji snu. Ty też potrzebujesz przerwy.

- Już sobie jedną zrobiłam, ale ty powinnaś. Wszystkie nowiny będę przysyłać ci na konsolę na bieżąco.

Po przekroczeniu progu kabiny dokładnie to samo usłyszała od Stelli.

- Wiesz przecież, że jeśli będziesz potrzebna, ktoś po ciebie zadzwoni.

- Tak, kuzynko - mruknęła Ky. Powinna wziąć prysznic... zasnęła, nim zdążyła dokończyć tę myśl.

Komunikator odezwał się pod koniec piątej godziny snu. Dzwonił Rafe z okrętu Mackensee.

- Zamierzam pójść z nimi - obwieścił jej. - Nie mogę... wyjaśnić, jak działają pewne urządzenia, ani jak zabezpieczyć dowody, nie łamiąc obowiązujących mnie tajemnic. -

Skrzywił się. - Nie w składzie... eee... głównej grupy, tylko w następnej. Ci ludzie nie ufają mi, co, jak przypuszczam, jest zupełnie naturalne, w związku z czym nie pozwolą mi udać się do tutejszego biura samotnie.

- Jeśli to konieczne - rzuciła Ky.

- Och, to jest konieczne. - Rafe zerknął na bok. Choć na ekranie widniało jedynie jego oblicze, Ky była pewna, że w ten sposób dawał jej znać o obecności słuchaczy.

- Cóż, w takim razie... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Uważaj na siebie byłoby niepotrzebne i uwłaczające.

- Mam wrażenie, że porucznik Johansson chciałby zamienić z tobą kilka słów -

powiedział Rafe, odsuwając się na bok.

- Kapitanie Vatta - pozdrowił ją Johansson, pojawiając się w kadrze. - Pozostałe konwojowane statki znajdują się poza zasięgiem bezpośredniego zagrożenia, zmierzając do punktu spotkania. Pani przedstawiciel przekonał nas, że istnieją wystarczające argumenty za przeprowadzeniem zaplanowanej akcji. Muszę teraz oficjalnie zapytać panią, czy nie uległy zmianie rozkazy dotyczące personelu ISC?

- Nie - odparła Ky.

- W porządku; chciałem się tylko upewnić. Zgodnie z planem, operacja rozpocznie się w ciągu godziny od transferu pani przedstawiciela oraz innego personelu.

- Jak wygląda plan? - zapytała.

- Chce pani poznać szczegóły?

- Tak - potwierdziła.

Johansson zmarszczył brwi.

- Pytanie, czy to naprawdę konieczne - rzucił. - Nie sędzę, żeby musiała pani zanadto się martwić...

- Przerabialiśmy to na Akademii - powiedziała. - Jestem zwyczajnie ciekawa, jak się za to zabieracie.

Spojrzał na nią z ukosa, unosząc brwi.

- Uczyliście się, jak usunąć człowieka?

- Owszem. Na drugim roku, w ramach zajęć z operacji specjalnych.

- Slotter Key musi być interesującym miejscem - orzekł. - Umówmy się, że to pani powie mi, jakby się za to zabrała, a ja powiem, czy ma pani rację.

Wywołała z pamięci wykłady pułkownika Aspina.

- Jeśli będziecie musieli, może tego dokonać minimalny zespół - zaczęła. - Snajper i obserwator. Lepiej byłoby przydzielić do zadania pół drużyny, a jeszcze lepiej - całą. Dowódca drużyny dowodzi



całą drużyną, ale to obserwator wydaje rozkazy snajperowi. W idealnej sytuacji macie mnóstwo informacji o terenie. Zaplanowaliście trasy dotarcia i odwrotu. Stała łączność, połowa drużyny w rozproszeniu obstawia trasy, druga połowa pozostaje w odwodzie.

- Hmmm. A co pani wie o zwyczajach lokalnego menedżera ISC?

- Niewiele. Wiem, że biura ISC mieszczą się w Piaście Trzy i zakładam, że gabinet menedżera jest najlepiej ochroniany... - Rafe to wiedział. A oni wiedzieli, że Rafe wie; mieli go ze sobą na pokładzie.

- Prawie. Znajduje się niemal w samym środku. Mieszka w tej samej piaście, dwa sektory dalej. Podróżuje pięcioma różnymi trasami, przychodzi do biura i opuszcza je w nieregularnych godzinach. Po minięciu pierwszego skrzyżowania może być praktycznie wszędzie.

- Znacznik? Mówiono nam, żeby w miarę możliwości oznakowywać się.

- Znaczniki można wyśledzić. Wolimy CAID - wie pani, co to jest?

Wiedziała. Uważano to za najnowocześniejszą i najlepszą metodę zdalnej identyfikacji.

- Czyli macie plan, jego alternatywne trasy oraz sposób na wykrycie zejścia z rutynowej drogi i natychmiastowe przerzucenie tam kogoś. Prawdopodobnie wykorzystacie ludzi, którzy pracowali tutaj w waszych punktach rekrutacji i konsultacyjnym. Założę się, że wiedzą o tej stacji rzeczy, których nie ma w oficjalnych danych.

- Owszem - potwierdził Johansson, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

- Potrzebne wam jeszcze wywołanie zamieszania - kontynuowała Ky. - Coś, co odwróci od was uwagę na czas potrzebny do przeprowadzenia zamachu, rozłożenia broni przez snajpera i bezpieczne oddalenie się z miejsca akcji. Istnieje mnóstwo sposobów, aby to osiągnąć, lecz jest to następny punkt, w którym przyda się wasz lokalny personel. Na pewno zaprzyjaźnili się z wieloma mieszkańcami stacji.

- Wymieniła pani główne punkty - potwierdził. - Nadal jednak nie widzę powodu, dla którego miałyby pani poznać szczegóły. Jedną z zasad, o której jeszcze pani nie wspomniała jest założenie, iż nie istnieje coś takiego, jak całkowicie bezpieczna komunikacja.

- Ma pan rację - przyznała Ky. Nie chciała, żeby miał rację. Chciała to wszystko zobaczyć na własne oczy i nauczyć się, choć w tym przypadku nauka mogła oznaczać śmierć.

Płaciła im za podejmowanie ryzyka, ale nie usprawiedliwiała to niepotrzebnego zwiększania tego ryzyka. Zrezygnowała z dalszych pytań o rozmiar zespołu, który wraz z Rafem zajmie się zabezpieczeniem dowodów i naprawą ansibla.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Nie wiedziała, kiedy powinna zacząć się niepokoić, a kiedy przestać. Byli wystarczająco blisko, by wychwycić szum w eterze, ale nie mogła nic z niego wywnioskować. Statki po kolei zgłaszały się do konwoju, jak tylko załatwiły sprawy z kontrolą

lotów. Ky czekała na mostku na coś, czego tak naprawdę nie mogła przewidzieć... z wyjątkiem kłopotów. Powrót do łóżka nie wchodził w grę. W zamian zabrała się za jedzenie, którego smaku prawie nie czuła, próbując skupić się na podręczniku obsługi systemu obronnego.

W końcu na zainstalowanym przez Mackensee zabezpieczonym komunikatorze zabłyśło światelko gotowy - natychmiast się zalogowała.

- Mamy go - usłyszała zwięzłą informację. - Czysto. Agent zleceniodawcy melduje o odblokowaniu ansibla i przejściu plików archiwalnych. Przewidywany czas uruchomienia ansibla i zrzutu plików: piętnaście minut.

- O ile ktoś jeszcze dysponuje działającym ansiblem - zauważyła Ky. - Niemniej pliki archiwalne powinny okazać się bardzo interesujące.

- Ktoś od nas już nad nimi pracuje - zapewnił ją Johansson.

Lee obrócił się do niej.

- Kapitanie, ansibl Lastway zgłasza osiem bloków zaległych wiadomości dla personelu Vattów... ściągnąć czy wykasować?

- Ściągnij wszystko - poleciła mu. - Może gdzieś tam znajdziemy wskazówkę, co się właściwie dzieje.

Dookoła rozległa się wrzawa, gdy ISC na Lastway otworzyło ekwiwalent gigantycznych uszu i języka i zaczęło wszystkim odpowiadać. Najwyraźniej zatrzymywano nie tylko wiadomości Vattów.

- Witam statek Vattów, Gary 'ego Tobai - odezwała się Tendel z Siatkoskrzydłego. - Co się stało z ansiblem? Otrzymaliśmy mnóstwo zaległych wiadomości.

- Wygląda na to, że zaczął działać lepiej - powiedziała wymijająco Ky. - To wszystko, co wiem. Sami otrzymaliśmy osiem pakietów.

- Niepokoją mnie takie zbiegi okoliczności, kapitanie Vatta. - Wąska, poznaczona bliznami twarz Tendel ściągnęła się. - Wolę ich unikać.

- Moim zdaniem to zmiana na lepsze - oznajmiła Ky. - Odlatujemy, a sytuacja poprawia się. Może oznacza to mniej problemów w przyszłości.

- A może nie potrzebuję już ochrony.

- Może. Ale podpisała pani umowę.

- Niestety. Cóż, zawsze mi mówiono, że robiąc interesy z Vattami trzeba bardzo uważać na stan konta. Ciekawe, czy to samo wydarzyło się wszędzie, czy tylko tutaj?

- Czas pokaże - odrzekła Ky.

Dziesięć minut. Dwadzieścia. Ky z wysiłkiem powstrzymywała się przed krążeniem w kółko.

Zabezpieczone łącze ponownie zablęskło. Włączyła komunikator.

- Tak?

- Zespół wycofał się bezpiecznie, pani człowiek również. Nasi chłopcy mówią, że to geniusz komputerowy. Wszyscy są w drodze; zespół zostanie zabrany przez nasz okręt kurierski.

Ky poszła powiedzieć Stelli, że Rafe jest bezpieczny. Wzięła ze sobą osiem bloków starych wiadomości; część z nich z pewnością zawierała informacje właścicielskie i nie mogła zwrócić się o ich przejrzenie do nikogo innego.

- Jak są ułożone? - zapytała Stella.

- Według dat, jak sądzę - odparła Ky. - Nie patrzyłam jeszcze na nie, ale chyba tak zwykle porządkuje się wiadomości, prawda?

- Miejmy nadzieję - mruknęła Stella. - Masz drugi czytnik?

- Użyj tego - powiedziała Ky, kiwając głową w stronę biurka. - Odłączymy go od reszty statku.

- Och. Oczywiście. - Stella załadowała pierwszą kostkę. - Mmm. Nie posegregowałam ich jeszcze według dat, ale wydaje mi się, że te wiadomości nadano, zanim zaczęły się kłopoty, co oznaczałoby, że tutejszy szef ISC kombinował z danymi Vattów zawczasu... Popatrzmy... -

Wskazała na ekran. - Rutynowe okólniki, jakie kwatery Vattów rozsyła - rozsyłała - co pięć dni do wszystkich portów. Biuletyn korporacyjny - żadnej wzmianki o kłopotach.

Ky przejrzała wydawnictwo o formacie znanym jej od lat: niebieskie i czerwone odnośniki, podsumowanie przewiezionego tonażu, procent punktualnych dostaw, procent uzyskanych premii, lista osób odchodzących na emeryturę, awanse, nowe przydziały.

Dostrzegła własne imię: zmiana nazwy statku z Glynnis Jones na Gary Tobai wskutek

„okoliczności niezależnych”, udana dostawa na Belinę i jej awans z kapitana warunkowego na pełnoprawnego. Może to właśnie przez jej status kapitana warunkowego Furman uznał, że może nią pomiatać na Sabinę?

- Udana dostawa na Belinę: musieli to wysłać zaraz po moim przylocie, ponieważ wkrótce potem zaczęły się kłopoty. Otrzymałam wiadomość o problemach ze statku i właśnie rozmawiałam z siedzibą Transportu Vattów, gdy połączenie zostało przerwane. I wtedy zrobiło się naprawdę ciekawie, bo do Gildii Kapitańskiej wtargnęli zabójcy...

- Nie opowiadałaś mi o tym wcześniej! - zawołała Stella, otwierając szeroko oczy.

- A ile miałyśmy czasu na pogaduszki? - rzuciła Ky. - Nieważne... znajdziemy to w moim dzienniku

pod datą uniwersalną. Zaraz sprawdzę. - Wyciągnęła notes. - Proszę...

- Prowadzisz papierowy dziennik pokładowy?

- Tak. To było... 13.34.75. Jaka data widnieje na tamtej wiadomości?

- 13.32.75. Gdzie wtedy byłaś?

Ky cofnęła się o kilka stron.

- Rozładunek cargo na Stacji Belinta. Potem poleciałam na planetę w poszukiwaniu ładunków do przewiezienia; mieliśmy lecieć na Leonorę, ale zostało mi wolnych kilka metrów sześciennych ładowni. Próbowałam zarobić na remont statku; początkowo przeznaczono go na złom, ale kadłub jest zdrowy i uznałam, że mogłabym go ocalić.

- Nie mam papierowego dziennika - stwierdziła Stella. - Wszystko jest w moim implancie. - Poklepała się po głowie. - Czas uniwersalny, także 13.34. Dziwne, naprawdę.

Nawet korzystając z łączności ansiblowej, jak udało się im przeprowadzić niemal równoczesne ataki w miejscach oddalonych od siebie o całe lata świetlne? Chyba, że skorzystali z miejscowych współpracowników... rozkład lotów statków nie jest aż tak dokładny.

- Mieliśmy zajęcia z międzygwiazdowego terroryzmu - powiedziała Ky. - Niezbędna jest wystarczająco duża organizacja o odpowiednim zapleczu finansowym oraz czas na przygotowania... poza tym, bez łączności ansiblowej nie wiemy, ile zaplanowanych ataków nie powiodło się.

- Czy cała łączność ansiblowa na Belincie zamilkła, kiedy cię odcięto?

- Nie. Przynajmniej nikt o tym nie wspominał. Konsul Slotter Key na Belincie powiedział mi, że ansible Slotter Key ucichły, lecz kiedy odlatywaliśmy, Belinta zdawała się funkcjonować normalnie. Ruch w tym systemie jest taki mały, że nie jestem pewna, czy w ogóle coś zauważyli.

- Sprawdziłaś to?

- Nie. Uznałam, że skoro bandyci dokładnie wiedzieli, gdzie byliśmy, powinniśmy jak najszybciej odlecieć i udać się gdziekolwiek, byle ich tylko wyprzedzić.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby chcieć to zrobić - oznajmiła Stella. - W

porządku, atak na monopolistę - to potrafię pojąć - ale po co przerywać całą łączność? Dlaczego nie pokazać po prostu swoich możliwości i rozpocząć negocjacje?

Gdybyśmy to wiedzieli, zrozumielibyśmy także, dlaczego nasza rodzina stała się celem zamachów - zauważyła Ky. - Czy na kurierze ISC wspominali o atakach na ich statki?

- Nie, ale w ogóle nie udzielano mi zbyt wielu informacji. Nawet odnośnie marszruty.

- Co moim zdaniem świadczy o tym, że obawiali się takich ataków - uznała Ky. - Mam nadzieję, że Rafe zdoła wyciągnąć z tutejszego ansibla więcej informacji, zanim stąd odlecimy.

Coś mi w tym wszystkim nie gra. Dlaczego Vattowie? Jesteśmy - byliśmy - ważni dla Slotter Key jako jeden z największych przewoźników, ale nie byliśmy jedyni, a z tego, co wiem, Pavrati nie są atakowani.

- Lecz po wydarzeniach na Sabinę uchodzimy za przyjaciół ISC - odrzekła Stella. -

Wcześniej także trzymaliśmy ich stronę w sporach z innymi przewoźnikami. A nasze nieuzbrojone statki latają regularnymi trasami, co czyni je łatwiejszymi do zlokalizowania od kurierów ISC.

- Zgoda. - Ky potarła twarz. - Czyli gdyby moja akcja na Sabinę nie była taka spektakularna... gdybym tak ściśle nie współpracowała z ISC... może to wszystko nigdy nie miałoby miejsca.

Stella dotknęła jej ramienia.

- Ky, nie wydaje mi się, żeby to była twoja wina. W domu nikt nawet nie wspomniał o takiej możliwości.

- Nie mieli czasu, prawda? - podsunęła Ky.

- Zdążyliby to powiedzieć, gdyby tak uważali. Nie możesz obwiniać siebie...

- Och, tak, właśnie że mogę - upierała się Ky. - Z pewnością mogę... i częściowo biorę tę odpowiedzialność na siebie. Wiem, że nie wszystko jest moją winą, ale moje działania nie poprawiły ogólnej sytuacji. Nauka poniewczasie nic nie przynosi, jeżeli nie wyciąga się wniosków.

- Ja tylko nie chcę, żebyś brała na siebie całą odpowiedzialność...

- Nie całą. Tylko część. Błąd, którego nie chcę więcej popełnić. - Chociaż nie miała pojęcia, jak go uniknąć. Wojny wygrywali ci, którzy popełniali najmniej błędów - tak utrzymywał jeden z jej wykładowców.

Stella popatrzyła na nią z dziwną miną.

- Ky... czy to kwestia twojej wojskowej edukacji, czy naprawdę tak bardzo się zmieniłaś?

- Zmieniłam?

- Cóż, nie chcę cię urazić, ale kiedy wspominam cię jako dziecko - zanim wstąpiłaś na Akademię - uważałam cię za rozmarzonego, niepraktycznego berbecia. Ciągłe wyskakiwałaś z jakimiś beznadziejnie romantycznymi wybrykami, niczym bohater ratujący życiowego nieudacznika... wiecznie słyszeliśmy o twoich zabłąkanych owieczkach.

Ky poczuła, jak czerwienieje jej szyja.

- Trudno pozbyć się rodzinnej etykiety, nawet jeśli przestaje pasować - odparła. -

Powinnaś coś o tym wiedzieć.

Oblicze Stelli stężało.

- To prawda. Ale ty byłaś inna.

- Czyżby? - Ky odwróciła się. - Nawet przekonali mnie, że mam zbyt miękkie serce i niemądrą głowę. Jeśli wszyscy powtarzają ci w kółko... co mówili tobie, Stello, że tak narozrabiałaś?

Oczy wstrząśniętej Stelli rozszerzyły się, zaraz jednak nabrały zamyślonego wyrazu.

- Przypuszczam, że... wszyscy wiecznie robili wielką wrzawę wokół mojej urody. Jo była inteligentna, Benji i Tak silni, a ja... Och, popatrz tylko na Stellę, czyż nie jest śliczna i Dobry Boże, Stefan, będziesz musiał przeganiać adoratorów armatami. Nie mogłam równać się z Jo - jest... była... genialna, a nigdy nie miałam ochoty przewyższyć sprawnością Benjiego czy Taka. - Zamilkła. - Chcesz mi wmówić, że nie masz już miękkiego serca i nie jesteś łatwym łupem dla zabłąkanych szczeniaków? Trzymając na pokładzie prawdziwego?

Ky prychnęła.

- Sikacz nie był moim pomysłem. Och, przypuszczam, że mogłabym pozwolić lokalnym służbom porządkowym zabić zwierzaka, ale zirytowali mnie.

- Ocaliłaś psa na złość Gardzie? - upewniła się Stella, unosząc brwi.

- Mniej więcej. Może okazać się przydatny. Asystent weterynarza twierdził, że psy tej rasy są dobrymi stróżami.

- Owszem, jeśli masz do czynienia z trzydziestocentymetrowymi napastnikami -

stwierdziła Stella. - W przeciwnym razie...

Czy była to właściwa chwila, żeby przyznać się przed własną kuzynką do odkrycia, jakiego dokonała w chwili, gdy zabijała Paisona? Nie. Tylko wystraszyłaby Stellę, a potrzebowała jej wsparcia...

- Nie jestem już grzeczną, idealistyczną dziewczynką - powiedziała tylko. Nawet w jej uszach zabrzmiało to szorstko. - Tak samo, jak ty nie jesteś tylko seksowną laleczką do wykorzystywania przez przystojnych mężczyzn.

- Dziękuję ci bardzo - rzuciła Stella tonem, który mógł oznaczać zarówno gniew, jak i rozbawienie. - Jednym słowem, obie jesteśmy reneatkami, co? W dodatku najstarszymi w rodzinie, nie licząc cioci Gracie, która na swój sposób również jest czarną owcą.

- Podejrzewam - odrzekła Ky, odzyskując dobry humor - że wśród Vattów zawsze było sporo wyrzutków. Nawet nie wiemy, jak nasz praprapradziad zdobył swój pierwszy statek.

- Wiemy - rzuciła Stella. - Informacja o tym znajduje się w moich zabezpieczonych plikach. I obawiam się, że masz rację - nie był szacownym obywatelem. - Wzruszyła ramionami.

- Może był kaprem? - podchwyciła Ky.

- Kaprem? Być może. Z pewnością swego rodzaju piratem, przynajmniej przez jakiś czas. A co?

- Pamiętasz o liście kaperskim? Myślałam, że może to pasuje do naszej rodziny.

- Nie prosiłaś o niego i nie korzystasz z niego.

- Na razie - mruknęła Ky, podnosząc się i kierując do wyjścia. Stella odprowadziła ją spojrzeniem.

W Inżynieryjnym Ky zastała Quincy zgarbioną nad ekranem i po raz kolejny czytającą instrukcję instalacji. Toby siedział na podłodze z Sikaczem leżącym na grzbiecie na jego kolanach; szczeniak wyglądał prześmiesznie, machając łapą, gdy chłopiec drapał go po brzuchu. W drugim końcu pomieszczenia stał naburmuszony Jim.

- Jak idzie? - spytała Ky.

- Szłoby znacznie lepiej, gdyby ten głupi pies nie odgryzł rogu jednego z pudeł, przez co brakuje nam łączników... szukaliśmy ich godzinami i nadal nie mamy jednego. Mam nadzieję, że uda mi się coś sklecić. - Quincy obrzuciła szczeniaka jadowitym spojrzeniem; Toby pochylił

się nad nim opiekuńczo.

- Nie zamierza wyrzucić go pani za burtę, prawda, kapitanie? - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła go Ky. - Ale pewnie trzeba będzie gdzieś go zamknąć, żeby nie przeszkadzał.

- Byle nie w kartonie - rzuciła Quincy. - Zjada je. A potem wymiotuje.

- Mówiłem pani... - zaczął Jim, ale Quincy uciszyła go machnięciem ręki.

- Jim uważa, że jeśli pozwolimy temu szczenięciu biegać swobodnie po całym statku, to nauczy się, gdzie co jest i nie będzie sprawiał tylu kłopotów - wyjaśniła. - Moim zdaniem, skończyłoby się to totalną katastrofą. Jak z tym kartonem. Bez trudu wyobrażam sobie, jak przylatujemy do portu przeznaczenia - gdziekolwiek by to nie było - i odkrywamy, że nasz ładunek został zamieniony w stertę psich odpadków.

- Psy można... eee... szkolić, prawda? - zapytała Ky. W jej rodzinie nigdy nie hodowało się psów. Koty, konie, ptaki i inne stworzenia latające - mingi - ale nie psy. Miała przyjaciół

trzymających psy, ale tamte nie sprawiały tylu kłopotów. Cały bałagan robiły na zewnątrz.

Oczywiście, tutejsze na zewnątrz było wybitnie wrogie wszelkiemu życiu. - Przecież kupiliśmy

trochę różnych rzeczy u weterynarza?

- Oraz podręcznik tresury psów - dorzucił Jim, kiwając głową. - Można je tak wyszkolić, żeby robiły do pudła. Ale na to trzeba czasu.

- Tresowałeś kiedyś psa? - zapytała go Ky.

- Nie osobiście, ale widziałem, jak robił to wujo.

Ky już miała oznajmić: To twój pies; to ty go znalazłeś, kiedy ponownie spojrzała na Toby'ego. Jego wzrok mówił więcej od słów.

- Toby - zagadnęła go. - Jesteś na bieżąco z nauką, prawda?

- Tak jest, kapitanie.

- Quincy, przez ile godzin dziennie potrzebujesz pomocy Toby'ego?

Zapytana wyduła wargi.

- Teraz? Prawdę mówiąc, wcale... wszystkie systemy są zielone, a reszta instalacji tego systemu będzie polegać na ustawieniu oprogramowania. A o co chodzi?

- Ponieważ mam dla niego pewne zadanie. Toby, będziesz odpowiadał za tego szczeniaka: chcę, żebyś trzymał go z dala od kłopotów, szkolił i opiekował się nim. Wiem, że to Jim go znalazł - zerknęła na tamtego - ale to ty, Toby, miałeś wcześniej psa, a Jim ma inne obowiązki. Gdybyś potrzebował pomocy, poprosisz o nią, ale to zadanie należy przede wszystkim do ciebie. Zgoda?

Twarz chłopca rozjaśniła się po raz pierwszy, odkąd wszedł na pokład.

- Tak jest, kapitanie! Ja... dopilnuję, żeby nie przeszkadzał.

- Jestem pewną że otoczysz go opieką - powiedziała Ky. Poczowała ukłucie winy.

Chłopiec miał bardzo stresujące przeżycia, a ile ona poświęciła mu czasu, by upewnić się, że nic mu nie było? Tyle co nic. - Mam nadzieję, że zostanie dobrym, małym wartownikiem naszego doku na stacjach, gdzie dozwolone jest posiadanie psów. Informuj mnie na bieżąco o postępach.

- Kapitanie, czy mogę zmienić mu imię?

- Imię?

- Sikacz... po prostu do niego nie pasuje.

- A jak chciałbyś go nazwać?

Toby zerknął na Quincy.



- Może Hultaj?

- Podoba mi się - uznała Ky. - A teraz zabieraj Hultaj a spod nóg Quincy, żeby mogła wrócić do pracy.

- Tak jest, proszę pani. - Chłopiec podniósł się niezgrabnie z pokładu i poszedł do swojej kabiny z wyrwijącym mu się z rąk Hultajem.

Kiedy zniknął za drzwiami, Quincy przekrzywiła głowę i spojrzała na Ky.

- To był dobry pomysł, kapitanie. Choć bardzo mnie ten zwierzak denerwuje, uważam, iż przyda się Toby'emu.

- A ciebie nic nie będzie rozpraszało w trakcie instalacji - dodała Ky.

- Mam nadzieję - mruknęła Quincy.

## ROZDZIAŁ 17

Konwój leciał szerokim łukiem. Od wielu dni nie wykryli żadnych zbliżających się statków, ale Mackensee nadal zalecali ostrożne podchodzenie do punktu skoku.

- Jeśli czekają nas jakieś kłopoty, to właśnie tam - oznajmił Johansson. - Statki zmierzające do punktu skoku nie mogą manewrować, stając się łatwym celem. Musicie lecieć powoli, w szyku, wyglądając groźnie i zachowując zdolność manewrową. - Za nimi jeszcze jeden statek opuścił Lastway, lecz jego wektor nie dawał im powodu do zmartwień - wyglądało na to, że zmierzał ku innemu punktowi skoku.

Przebijając się przez nagromadzone wiadomości Stella odkryła, że menedżer ISC na Lastway zatrzymywał przekazy dla Vattów - a przynajmniej część z nich - od ostatniego planowanego wylotu statku Vattów, to jest od ośmiu standardowych miesięcy.

- Gdyby pojawiła się jakaś inna jednostka Vattów, usłyszeliby, że nie mają żadnych oczekujących wiadomości - Stella powiedziała Ky. Pracowały w jej kajucie; na krawędzi biurka stały resztki pośpiesznie spożytego posiłku. - Powinnaś otrzymać te wszystkie przesyłki natychmiast po przylocie. Większość z nich nie jest zbyt istotna: podwyżki cen, marże, tego typu sprawy. Pięciodniowe biuletyny wgrałam do bazy danych i poddamę analizie wzorców.

Jeszcze nic nie znalazłam. Nie rozumiem, jaka korzyść miała wyniknąć z utrzymywania przebywającego na Lastway statku Vattów poza siecią informacyjną naszej korporacji. Kiedy miałaś pierwotnie przylecieć na Lastway? Miałaś jakieś terminowe dostawy?

- Nie, nic z karami za opóźnienie, ale mieliśmy prowizoryczny rozkład lotu. Niech no sprawdzę... - Wywołała harmonogram. - Ciekawe: według wstępnego rozkładu lotów mieliśmy zawinąć na Lastway na dzień przed rozpoczęciem ataków na Vattów.

- Czyli raczej byłabyś tutaj, niema, zamiast z pełnym dostępem ansiblowym do Slotter Key. Łatwy cel - żadnego ostrzeżenia. Zastanawiam się, czy celowo zablokowali wiadomości Vattów na wszystkich

stacjach, gdzie doszło do ataków?

- Nadal nie wiemy, dlaczego to my padliśmy ofiarą napaści - zauważyła Ky.

- Nie, ale jasne jest, że spisek przygotowano, zanim w ogóle wybrałaś się na Sabinę -

zwróciła jej uwagę Stella. - A potem musieli błyskawicznie przerzucić zamachowców na Belintę lub wynająć lokalne talenty, zanim wrócisz. - Stella usiadła. - Co byś zrobiła, Ky, gdybyś wynurzyła się w przestrzeni Belinty i usłyszała o atakach? Zaczekałabyś na stacji?

- Nie wiem - odparła Ky. - Nigdy o tym nie myślałam... możliwe, że przycumowałabym do stacji celem dostarczenia ładunku, ale nie poleciałabym na planetę.

- Musieli uwijać się jak w ukropie - analizowała Stella. - Miotali się, reagując na twoje posunięcia, wiedząc jednocześnie, że pozostawiona przy życiu byłaś najgroźniejszą z Vattów...

- Ja? - Do głowy by jej nie przyszło, że ktoś mógłby traktować ją jako specjalne zagrożenie.

- Oczywiście, że ty. Nie tylko z powodu twojego wojskowego wykształcenia i bliskich relacji z ojcem, lecz również po tym, co pokazałaś na Sabinę. Teraz zaś... założę się o pozostałe diamenty cioci Gracie, że wyskoczyłaś wysoko ponad zakładany przez nich poziom dopuszczalnego zagrożenia.

Ky poczuła przyływ satysfakcji.

- Mam nadzieję - skwitowała. - Niech się pomartwią. - W pewien sposób, to wszystko było zabawne. Wciąż dysponowała jedynie małym, powolnym, nieuzbrojonym statkiem; Mackensee porzuciła ją zaraz po otrzymaniu instrukcji z kwatery głównej; pozostali kupcy w konwoju byli jej potencjalnymi sojusznikami, jak długo zapewniała im ochronę Mackensee.

Mimo to, przyjemnie było pomyśleć, że nieprzyjaciel boi się jej.

- A teraz, kiedy oficjalnie zostałam kaprem, mają jeszcze więcej powodów do niepokoju.

Ky spojrzała z zaskoczeniem na Stellę.

- Tak naprawdę, wcale nim nie jestem. Przecież wiesz.

- Pamiętasz, co powiedzieli ci najemnicy? - Idealne brwi Stelli wygięły się w łuk. -

Posiadanie listu daje podstawy do zakładania intencji, niezależnie od tego, czy się z niego korzysta, czy nie.

- Ale nasi wrogowie nie będą o tym wiedzieć - zauważyła Ky. - Prawda? Poza tym, nie rozumiem, jaką to robi różnicę. Niezależnie od tego, do wywołania jakiego chaosu upoważnia mnie ten list, z tym statkiem niewiele mogę zrobić. A jestem pewna, że doskonale wiedzą, jaką jednostką dysponuję. - Odłożyła na bok kwestię spoczywających w ładowni min. - W tej chwili jestem zwyczajnym

kapitanem-kupcem; nie jestem gotowa do ścigania kogokolwiek.

- Jesteś kupcem dysponującym dwoma wynajętymi okrętami bojowymi - przypomniała jej Stella. - To wyklucza cię z kategorii zwyczajnego kupca. Kazałaś najemnikom zabić nielojalnych pracowników ISC i choć uczyniłaś to za zgodą ISC, wydaną poprzez Rafe'a, stało się to na twoje polecenie.

W ten sposób stawiając sprawę, rajd na biuro ISC faktycznie przypominał akcje, z jakich słynęli kaprzy.

- Jednego nie jestem pewna z prawnego punktu widzenia - ciągnęła Stella. - Jeśli otrzymałaś to zlecenie ze Slotter Key, to czy ludzie działający na podstawie zawartego z tobą kontraktu także pracują dla Slotter Key?

Ky wpatrzyła się w nią.

- Nie może tak być. - W głowie zadźwięczały jej mgliste wspomnienia z wykładów prawa wojskowego. Była pewna, że nigdy nie zajmowali się prawnymi ramami listów kaperskich. - Poza tym, to nie jest zlecenie. Nie płacą mi i nie wydają konkretnych rozkazów.

Gdybym chciała, mogłabym zająć się zwykłym handlem...

- Ale nie chcesz - przerwała jej Stella. - Chcesz chronić i pomagać członkom rodziny oraz odkryć, kto nas zaatakował, a potem wyeliminować go. Sama tak powiedziałaś.

- Widzę tutaj konflikt interesów, Ky. Pamiętaj, że jestem absolutną zwolenniczką odbudowy kupieckiego imperium Vattów. Odnalezienia, pomocy i ochrony ocalałych członków naszej rodziny. Zniszczenia naszych wrogów. Ale na myśl o tym... - kiwnęła głową w stronę teczki - ... dostrzegam problemy, których ty, być może, nie zauważasz. Na przykład, musisz postanowić, czy walczysz dla Vattów, czy dla Slotter Key.

- Dla obydwu - odrzekła Ky. - Sytuacja w ISC dotyczy ich obu.

- Teraz tak - zgodziła się Stella. - Lecz na dłuższą metę te interesy są rozbieżne, a ty musisz wiedzieć, co jest priorytetem. Ja również.

- Ty?

- Strzegę implantu twego ojca, pamiętasz? Głównej bazy danych Vattów. Jeśli za najważniejszą powinność uznasz odbudowę siły Vattów, to okażesz się właściwą osobą, aby ją otrzymać. Jeśli jednak przedłożysz interesy Slotter Key ponad Vattami? Wówczas nie będę tego taka pewna.

- W takim razie musisz być zadowolona, że jeszcze go nie zainstalowałam - rzuciła Ky.

Zaskoczenie i zmieszanie przydały jej głosowi twardej nuty.

- Tak - przyznała cicho Stella. Odchyliła się na oparcie, krzyżując ramiona. - Nie miałam

wątpliwości, dopóki nie usłyszałam o liście kaperskim. Teraz mam. Zapewniam cię, że chodzi mi o dobro całej rodziny. Nadal wierzę, tak samo jak ciocia Gracie, że właśnie ty jesteś osobą, która pomoże Vattom przetrwać, o ile w ogóle jest to możliwe do zrobienia. Lecz wymagałoby to od ciebie wszystkich twych umiejętności, Ky. Jeżeli Vattowie nie będą dla ciebie najważniejsi, jesteśmy zgubieni.

- Upatrywałam w tym liście zwiększenia szans na ocalenie Vattów - odrzekła powoli Ky. - Nie dopatrzyłam się żadnego konfliktu interesów.

- Narzędzie?

- Tak jest. Zawsze uważałam, że interesy Vattów i Slotter Key są zbieżne. Cokolwiek zrobię dla Vattów, w jakiś sposób pomoże to również Slotter Key. - Mówiąc to, sama zauważyła, jak naiwnie to brzmiało. Rząd Slotter Key najwyraźniej uznał, że ich interesy są różne od interesów Vattów.

- Na razie tak może być - oceniła Stella. - Lecz pewnego dnia dojdzie do konfliktu interesów. Już teraz powinnaś postanowić, co ma pierwszeństwo, żebyś nie musiała podejmować takiej decyzji w chwili kryzysu.

Sygnal od Quincy, że instalacja systemu obronnego została zakończona, okazał się mile widzianą okazją do przerwania tej rozmowy.

\* \* \*

- Poradziłaś sobie bez pomocy Toby'ego - zauważyła żartobliwie Ky. Quincy nie roześmiała się.

- Chłopak jest bardzo rozgarnięty - odparła. - Ma zręczne ręce. Pomagał mi... wszystko przez tego przeklętego psa. Ale, tak - poskładaliśmy to. Pytanie, czy będzie działać...

- Uprzedzę eskortę i zrobimy test - postanowiła Ky. Wywołała mostek i kazała Lee połączyć się z Johanssonem.

- Mówi, żebyście zaczęli - powiadomił ich Lee parę minut później. - Będą obserwowali nas na skanerach i dadzą znać, czy z zewnątrz wszystko wygląda w porządku.

- Do dzieła, Quincy - powiedziała Ky. Quincy rozpoczęła sekwencję inicjacyjną i panel kontrolny systemu obronnego ożył, segment po segmencie rozpalając się zielenią.

- To tutaj to funkcja aktywnej osłony - wyjaśniła, pokazując palcem. - A tutaj system kontrataku elektronicznego.

- Meldują, że pojawiły się osłony i wyglądają dobrze - zameldował z mostku Lee. - Nie widzą żadnych szczelin, ale chcą, żebym okręcił statkiem celem upewnienia się, że przeskanowali cały kadłub.

- Zrób to - zgodziła się Ky. - Czy mogą coś powiedzieć o działaniu SKE?

Kolejna przerwa i odpowiedź Lee:

- Nie. Nic nie stwierdzą bez zaatakowania nas czymś, a tego woleliby uniknąć.
- Ja również - uznała Ky. - Będziemy musieli przyjąć to na wiarę. Jak wygląda zużycie energii, Quincy?
- Idealnie zgodnie ze specyfikacją - odparła Quincy. - Nasz napęd wewnętrzny ma olbrzymią rezerwę mocy; to statek nie pozwala rozwinąć mu pełnej prędkości.
- Dobra robota, Quincy - pochwaliła ją Ky. - Tobie i całemu zespołowi należy się kilka wacht wolnego.
- Dziękujemy, kapitanie, z pewnością z tego skorzystamy. Dla mnie to coś nowego. Czy mogę powiedzieć Martinowi, żeby zrobił porządek z ładunkami?
- Tak... albo sama mu to powiem. Myślę, że powinniśmy zachować łatwy dostęp do jak największej ilości czujników, na wypadek, gdyby trzeba było naprawić uszkodzenia.
- Wydawało mi się, że podstawowym zadaniem tego systemu jest zapobieganie uszkodzeniom - zdziwiła się Quincy. - Nie planujesz chyba wdać się w jakąś kosmiczną bitwę, co?
- Nie, jeśli tylko będzie to zależało ode mnie - odrzekła Ky. - Ale w niebezpiecznych czasach... lepiej zachować ostrożność.

Martin i Alene wykorzystali instalację systemu obronnego na opracowanie najbardziej efektywnego rozmieszczenia ładunków. Ky przyjrzała się cyfrom i zgodziła z Martinem, że powinni zachować łatwy dostęp do pak z „barierą zapachową”. Miała nadzieję, że nigdy nie będą musieli użyć tych min, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, chciała mieć je pod ręką.

\* \* \*

Rafe powrócił na statek krótko przed zanurzeniem się w hiperprzestrzeni. Ky i Johansson doszli do porozumienia, że najpierw powinni sprawdzić działanie automatycznego ansibla w sąsiednim systemie. Kapitanowie konwojowanych jednostek bez komentarzy zaakceptowali nowy kurs, wskazując tylko, że nie znajdą zysku tam, gdzie nie było handlu.

Personel Mackensee przesłał koordynaty skoku do komputerów nawigacyjnych wszystkich statków. Ktoś mógł je zmienić, ale stanowiłoby to naruszenie warunków kontraktu oraz zdradziło im, że statek ten był zaangażowany w spisek. Skok przebiegł gładko; planowali trzynastogodziną podróż w sąsiedztwo najbliższej automatycznej platformy ansiblowej.

- Przypuszczam, że będziesz chciała, abym sprawdził sam ansibl? - spytał Rafe. Ky skinęła głową. - A jak zamierzasz wyjaśnić to załogom pozostałych statków?
- Twoim doświadczeniem w zakresie komunikacji - odparła Ky. - Już coś niecoś o tym wiedzą.

- Tak, ale... ostatnim razem polegało to na prostym przekręceniu przełącznika - tak przynajmniej im się wydaje. Tym razem muszę dostać się do środka i pogrzebać w sprzęcie i oprogramowaniu. To cudza własność, a poza tym, skąd Vatta-renegat miałby się na tym znać?

- Jestem pewna, że coś wymyślisz - powiedziała Ky.

Obrzucił ją ponurym spojrzeniem i pokręcił głową.

- Naprawdę niezłe z ciebie ziółko, Ky... kapitanie. Powinnaś była urodzić się w rodzinie piratów, a nie w praworządnym stadle statecznych kupców.

- Równie statecznych jak Dunbargerowie? - zapytała.

- Trafienie, bolesne trafienie. No dobrze, zobaczmy. Po wykopaniu mnie z łona twojej rodziny - naszej rodziny - zdołałem naciągnąć ISC, żeby mnie na jakiś czas zatrudniło, ale z niesmakiem rzuciłem tę robotę, bo oczekiwali ode mnie pracy w regularnych godzinach. -

Zrobił posępną minę, doskonale ilustrującą niechęć do sztywnych godzin pracy. - I jak?

- Działa - orzekła.

Po kilku godzinach obwody pamięci ansibla zostały odblokowane i urządzenie odzyskało kontakt z Lastway i pozostałymi sprawnymi ansiblami.

- Łatwa naprawa - skomentował Rafe po powrocie na pokład. - Jak już mówiłem wcześniej, ta metoda sabotażu jest szybka, nie wymaga specjalnego sprzętu i łatwo usunąć jej skutki. Niestety, nie można zabezpieczyć się przed nią na stałe, jeśli więc zbiry powrócą, równie szybko zniweczą moje dzieło.

- Czy ISC wynagrodzi cię za tę naprawę, jeśli się o niej dowie? - zapytała Ky.

- Chcesz premii?

- Myślę o pozostałych uczestnikach konwoju - odparła. - Gdyby mogli liczyć na wynagrodzenie za każdy naprawiony ansibl, może chętniej zgodziliby się na podróż do następnych platform.

- Ach. To możliwe, ale nie mogę nic obiecać. A połączenie stąd ujawni miejsce naszego pobytu, co uważałbym za zagrożenie.

- Bandy ci mogliby nas wytropić, podążając szlakiem naprawionych ansibli, prawda?

- Owszem... ale przecież możemy też być zwykłą ekipą naprawczą ISC.

Ky przedyskutowała następny cel podróży z łącznikiem z Mackensee.

- Wolelibyśmy uruchomić ansible pomiędzy Lastway a naszą macierzystą bazą -

oznajmił Johansson. - Oczywiście, jak długo pracujemy dla pani, liczą się wasze priorytety, ale po drodze znajduje się kilka automatycznych platform ansiblowych, jak również parę znakomitych rynków.

- Porozmawiajmy z resztą - zaproponowała Ky. W trakcie przeprowadzonej konferencji wszyscy kapitanowie wyrazili zgodę.

\* \* \*

W następnym systemie znaleźli nie tylko automatyczny, nie działający ansibl, lecz także cywilny statek, którego radiolatarnia nadawała znajomy sygnał wywoławczy Vattów, przelatujący wolno niedaleko platformy, jak gdyby przemieszczał się pomiędzy dwoma punktami skoku.

- To statek Vattów! - zawołała Ky. - Nie możemy obojętnie mijać naszej jednostki.

- Jego latarnia twierdzi, że to statek Vattów - zauważył Johansson.

- Równie dobrze my moglibyśmy emitować sygnał, powiedzmy, Tropicieli Fitcha... czy czyniłoby to z nas Tropicieli Fitcha?

- Dysponujecie bazą danych zarejestrowanych statków - powiedziała Ky. - Co nadaje latarnia identyfikacyjna?

- Nadawany sygnał zgadza się, ale to nic nie znaczy. Nie potwierdza to ponad wszelką wątpliwość, że to jednostka Vattów, względnie statek dowodzony przez uprawnionego do tego członka rodziny. A co z pani implantem... och, zgadza się, przecież nie ma go pani. - Tym razem w głosie słychać było wyraźną dezaprobatę.

- Poproszę, żeby Stella to sprawdziła - zaproponowała Ky. - Prawdopodobnie dysponuje pełną listą.

- Lepiej, żeby to zrobiła. Wynajęła nas pani, byśmy chronili ją i resztę konwoju.

Instynkt podpowiada mi, że coś tutaj nie gra... klasyczna sztuczka piratów...

- To tylko jeden statek, a skanery nie wykazały żadnego uzbrojenia - zaprotestowała Ky. - Wy dysponujecie dwoma okrętami bojowymi...

- Kapitanie Vatta, możliwe, że niemal ukończyła pani akademię wojskową i przyznaję, że dobrze poradziła sobie w kryzysowej sytuacji na Sabine, ale nie ma pani pojęcia o analizie zagrożeń w rzeczywistym świecie. A co, jeśli ten statek jest zaminowany? Co, jeśli wypchano go środkami biologicznymi, które mogłyby nas wszystkich zabić? Nie mam na pokładzie pełnego zespołu oceny ryzyka i nie chcę umrzeć - ani patrzeć na śmierć moich ludzi - pakując się prosto w pułapkę.

Ky przełknęła gniewną ripostę, której chciała odruchowo udzielić.

- Doceniam pańską troskę - oświadczyła w zamian. - Nie zamierzam prosić pana ludzi, żeby sami ryzykowali. Jednak, jak zapewne pan sobie przypomina, nawiązywanie kontaktu i niesienie pomocy

innym członkom rodziny Vattów znajduje się dość wysoko na mojej liście priorytetów. Polecę tam sama.

- Samo zatrzymanie się wystawia nas na ryzyko. Zrobienie czegokolwiek innego niż wykonanie skoku wystawia nas na ryzyko. - Otarł czoło, choć nie było spocone. - Proszę posłuchać... popełnia pani klasyczny błąd młodych i odważnych ludzi. Przecenia pani własne środki, nie dostrzegając jednocześnie wszystkich problemów. Czytała pani kiedyś tę starą historię o młodym oficerze, próbującym zakazać przekraczania rzeki?

- Obroną Duffer's Drift?

- Tak. Problem w tym, że teraz nie przerabia pani utworu literackiego. Może ród plantatorów naprawdę jest lojalny - ale nie może pani ryzykować. Może ten statek naprawdę należy do pani rodziny i jego załoga jest lojalna i uczciwa - ale nie może pani ryzykować.

Prawdę mówiąc, mogę - zaprzeczyła Ky. - Ale rozumiem, iż nie mogę prosić o to was.

Wobec czego lećcie do następnego punktu skoku, a ja zrównam z nim kurs i dowiem się, co jest grane.

- Pani postradała zmysły - orzekł Johansson. - Nie możemy na to pozwolić; zawarliśmy kontrakt na zapewnienie pani ochrony.

Ky zdusiła odpowiedź: Nie możecie mnie powstrzymać, która nasunęła się jej automatycznie, mówiąc w zamian:

- Proszę posłuchać. Chcemy odblokować ten ansibl. Po prostu wysadzimy tam Rafe'a, zrobimy swoje i połączymy się z tamtym statkiem, a potem zobaczymy, co zrobią, dobrze?

- Popełnia pani błąd.

- Możliwe. Takie jednak są priorytety mojej misji.

- Wiem, ale... - Westchnął ciężko. - W porządku; oto, co zrobimy. Pomożemy w naprawie ansibla. Potem odprowadzimy pod eskortą konwój poza ten układ i pozostaniemy tam w pełnej gotowości na wypadek kłopotów. Przy czynnym ansiblu i w odległości kilku godzin lotu, powinniśmy być wystarczająco blisko.

- Dobrze - zgodziła się Ky.

Kiedy zwołała załogę i powiedziała im, co się dzieje, Martin zrobił zafrasowaną minę.

- Muszę przyznać, że zgadzam się z najemnikami - oznajmił. - Gdyby zechciała pani posłuchać mojej rady...

- Nie, jeśli zgodnie z nią powinnam uciec, nie sprawdzając wcześniej, czy statek Vattów nie potrzebuje naszej pomocy.



- Nie chodziło mi o to. Doradzam aktywację systemu obronnego i trzymanie silników pod parą, nawet jeśli postanowi pani zrównać kursy. Pełną, całodobową obsadę skanerów. Oraz opracowanie planu na wypadek ataku. Bądź abordażu.

- Plan...

- Kto gdzie biegnie i co robi. Tego typu sprawy.

- Czy to nie ty...

- Madame, moja działka to bezpieczeństwo, a nie walka. Mogę zasugerować pewne rozwiązania, ale nie wiem, czy odniosą skutek. A już na pewno nie potrafię pomóc pani w przypadku bitwy statków.

- Wobec tego proszę o przygotowanie listy sugestii - poleciła mu. Liczyła się z zaskakującym atakiem, zniszczeniem statku, ale... abordaż? Może powinna jednak posłuchać rady Johanssona i pognać do punktu skoku. Ale oznaczałoby to porzucenie statku Vattów oraz jego załogi, która mogła pozostawać nieświadoma grożącego im niebezpieczeństwa, jeżeli od dłuższego czasu znajdowali się w hiperprzestrzeni. - Podejście do tamtego statku zajmie nam kilka dni.

Martin skinął głową.

\* \* \*

Piękna Kaleen miała wymalowane na burcie błękitno-czerwone logo Vattów, lecz sam kadłub sprawiał wrażenie sfatygowanego latami spotkań z kosmicznym śmieciem. Na ekranie analitycznym systemu obronnego nie pojawiła się informacja o żadnej broni. Załoga nie dawała znaku, że jest świadoma obecności innych statków w tym samym systemie, co w najlepszym razie świadczyło o niedbałości. Ky wydeła wargi. Statki tej klasy remontowano i czyszczono co dwa lata, przy okazji malując nowe logo. Jednostka wyposażona była w standardowy, lekki pancierz.

- Stella?

- Nie patrz na mnie. Nie należę do załogi.

- Quincy, przesyłam ci obraz z zewnątrz - oznajmiła Ky. - Co o tym sądzisz?

- Piękna Kaleen... nie widziałam jej od wieków - odrzekła Quincy. - To jeden z naszych statków, na pewno, ale nie wiem, dokąd leci. Wygląda na nieco podniszczoną; to logo dawno już należałoby odświeżyć.

- No cóż - mruknęła Ky, siedząc nieruchomo i starając się przemyśleć sytuację. Piękna Kaleen była kiedyś statkiem Vattów i mogła nim zostać z powrotem, jako że Vattowie potrzebowali teraz każdej dostępnej jednostki. Jeśli ktoś przejął statek Vattów - jeden z jej statków, pomyślała - to ona mogła go odzyskać. - Połączmy się z nimi - postanowiła, kiwając głową Lee.

Piękna Kaleen odpowiedziała z godną pochwały skwapliwością i już po chwili na ekranie pojawił się jej kapitan. Osman Vatta, jak informowało jego ID, zwalisty i szpakowaty, przyglądał się Ky z

miną, której nie potrafiła zinterpretować.

- Czyja jesteś? - zapytał.

- Czyja?

- Czyj dzieciak. Przepraszam, jesteś kapitanem, ale dla mnie jesteś dzieckiem.

Zastanawiam się, czym.

- Gerarda - odparła. Gdy nie zmieniał pytającego wyrazu twarzy, dodała: - Gerarda Avondetty Vatty...

- Och... starego Liczykropy Gerry'ego. - Parsknął chrapliwym śmiechem. - Bogowie, dziewczyno, wcale go nie przypominasz. Na szczęście.

Mało kto nazywał jej ojca Gerrym; większość aktualnie nie żyła. I nie spodobał się jej ten śmiech.

- Nie patrz tak na mnie - dodał, poważniejąc. - Nie chciałem z niego żartować, ale...

zawsze był nieco sztywny. Czyli posłał cię, żebyś posprzątała ten bałagan, he?

Bałagan? - powtórzyła Ky. Coś tu okropnie śmierdziało, ale nie była pewna, co.

- Tę całą sprawę z bankami - wyjaśnił Osman. - Kredyty i w ogóle. Chciałem powiedzieć, że jest najwyższym szefem finansów i rozumie się samo przez się, że ty, jego córka...

Nie wiedział. Nie wiedział, albo był lepszy w udawaniu, niż zakładała.

- To przez te ansible - odparła. - Kiedy ISC z powrotem je uruchomi...

- Nie to usłyszałem od mojego znajomka z Harmon. Mówił, że ktoś wziął się na Vattów i nasz kredyt został zawieszony.

- Czy twój znajomek opisał, co kryje się pod owym wziął się?

- Mówił, że ktoś urządził sobie polowanie na statki Vattów. To uczyniło mnie ździebko nerwowym. - Nerwowość nie była słowem, którego Ky użyłaby do opisania jego miny. Spięty.

Czujny. Ale nerwowo?

Powinna mu powiedzieć, ale czuła do tego niewytłumaczalną niechęć.

- Słuchaj no, jesteś dzieciakiem starego Gerry'ego - to jest, chciałem powiedzieć: córką

- więc możesz uporządkować sprawy finansowe, prawda? Pogadać z bankierami i tak dalej?

Mam ładunek, najlepszy towar i...

- Dokąd? Jaki macie kurs?

Zamrugął.

- Uhm... cóż, no wiesz, jestem jakby niezależny. Doświadczenie... rodzinne powiązania...

- Trochę czasu minęło od ostatniego przeglądu, co? - Ky zmusiła się do współczucia.

- Och, statek jest w świetnej formie. Zero problemów. Tylko... powiedzieli mi, że przez to całe zamieszanie nie mogę korzystać z funduszy korporacji.

Coraz dziwniejsze to wszystko. Nie wszyscy kapitanowie Vattów latali stałymi trasami, lecz większość tak właśnie postępowała: zysk krył się w wiarygodności. Starsi kapitanowie opanowali najbardziej zyskowe szlaki i nie pragnęli najmniejszych zmian w rozkładach lotów.

A choć ten tutaj wyglądał jak Vatta, nie byli jedyną rodziną we wszechświecie z takimi rysami twarzy i karnacją. Wykazał się pewną wiedzą o rodzinie, ale tyle samo dowiedziałyby się z mediów ktoś zupełnie obcy. Miał ładunek... mógł go sprzedać i założyć konto... ona tak właśnie zrobiła.

Ukradkiem nacisnęła guzik, sygnalizujący konieczność nagłego przerwania rozmowy.

Niemal natychmiast na konsoli zabłysła czerwona lampka, migocząc ponagłająco.

Opuściła wzrok, po czym podniosła go na ekran.

- Przepraszam, ale mamy jakiś problem... jeszcze się odezwę. - Przerwała połączenie i rzuciła do komunikatora wewnętrznego: - Macie coś?

Odezwała się Stella.

- Statek figuruje na liście od dziesięciu - piętnastu lat jako aktywny, choć w aktualnych rejestrach ma status pomocniczego.

- To znaczy?

- Nie jestem pewna. Może być na przykład przykrywką dla tajnych misji. Sama przez rok pracowałam na umowie pomocniczej. Osman... jestem niemal pewna, że musi być wnukiem Lazło Vatty, choć jest jeszcze inny Osman... jak myślisz, ile ma lat? Tyle, na ile wygląda, czy to kamuflaż?

- Analiza głosu sugeruje sześćdziesiątkę - przemówił Rafe. - Ta charakterystyczna chryпка... oczywiście, może być alkoholikiem lub uzależnionym od używek postarzających struny głosowe.

- Mógłby być wnukiem Lazło. Nie ma go na aktualnej liście kapitanów, Ky - dodała Stella. - Nie mogę dostać się do danych starego personelu, znajdują się w głównej bazie danych. - Tej, której sobie nie zainstalowałaś nie zostało powiedziane głośno, lecz jednoznacznie zasugerowane.

- Rentier Vattów - rzucił Rafe tonem pełnym takiego zadowolenia, że Ky miała ochotę mu przyłożyć.

- Trup w szafie Vattów.

- Ale dlaczego przebywa na statku Vattów? - zastanawiała się Ky.

- Pomocniczym statku - sprecyzował Rafe. - Pozwolili mu zabrać statek, ale nie ma prawa do okresowych remontów i założę się, iż nie ma również dostępu do funduszy firmowych, z wyjątkiem swoich poborów. Moim zdaniem to jakiś naciągacz. Czegoś próbuje -

wie, że kwatery główna uległa zniszczeniu, lecz nie ma pojęcia, że dysponujemy główną bazą danych.

- Nie podoba mi się to - oznajmił Martin. - Nazbyt jest wygadany i trudno mi uwierzyć, żeby jego załoga już dawno nie wychwyciła nas na skanerach. Nie testowaliśmy systemu obronnego na okoliczność wykrywania ukrytego uzbrojenia; najemnicy nie próbowali maskować swojego.

- Quincy - zareagowała Ky. Zgodnie z planem Martina cały Inżynierski siedział w pogotowiu na dole. Kiedy starszka zgłosiła się, zapytała: - Słyszałaś o Osmanie Vatta?

Spokrewnionym z Lazlo Vatta?

Quincy sapnęła donośnie.

- O tym draniu? Znowu narozrabiał?

- No cóż, podaje się za kapitana Pięknej Kaleen, która właśnie zrównuje z nami kurs i jest jakieś sto klików od nas. Rozumiem, że wiesz coś niecoś na jego temat?

- Zepsuty czort - rzuciła Quincy. - Gładki jak jedwab i absolutnie pozbawiony moralności. Zwiedzie cię, gdyż nie jest otwarcie zły, ale nie dba o nic, z wyjątkiem siebie i nie rozumie, czemu ktoś miałby postępować inaczej.

- Nasz system obronny utrzymuje, że jest nieuzbrojony - powiedziała Ky. - Nie wiem, jak miałby uczynić nam coś złego...

- Nie zakładałabym się o to - odparła Quincy. - Jeżeli jest tutaj i rozmawia z tobą, to znaczy, że dostrzega w tym jakąś korzyść dla siebie. Poznaj ją i jakkolwiek śliska się wyda... o nią właśnie będzie mu chodzić.

- Tutaj, w samym środku nicości - zadumała się Ky. - Co on tutaj robi? Skacze na oślep z jednego systemu do drugiego? Znalazł się bardzo daleko od regularnych szlaków Vattów.

- Kłopoty - orzekła Quincy. - On zawsze oznacza kłopoty.

- Quincy... co on zrobił? Coś specjalnego?

- Cóż. Tylko raz leciałam z nim jednym statkiem. Podczas swej praktykanckiej podróży nieźle narozrabiał - próbował pokryć karciane długi z konta statku. Jego ojciec - syn Lazlo, Benali - zabrał go do domu i naprostował. Miał dwadzieścia lat, kiedy ponownie go spotkałam.

Byłam drugim inżynierem i ściągnięto mnie z mojego statku na zastępstwo ich pierwszego, który został ranny. On był trzecim. Słyszałam pogłoski, że podejrzewano go o coś, czego dopuścił się wcześniej w trakcie tego rejsu. Ale był Vattą i chodziło o przywrócenie go na dobrą drogę... Cóż... między innymi lubił ładne buzie, niezależnie od płci i zaczął dobierać się do najmłodszego inżyniera. Kazałam mu odwalić się od niego, a on spróbował mnie przekupić.

- Przekupić ciebie? - Ky nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- O tak - potwierdziła Quincy. - Wtedy nie miałam jeszcze siwych włosów. Nie byłam raczej w jego typie, ale i tak zamierzał mnie uwieść, żeby w ten sposób uciszyć. Nie zadziałało.

Starał się więc wyrzucić mnie ze statku za niesubordynację, ale kapitan nie chciał o tym słyszeć, a ja do końca podróży uważałam na swoje plecy. I dobrze, bo doszło do kilku wypadków, które mogły skończyć się fatalnie. Jego ojciec umarł młodo.

- Czyli... - Ky ścisnęło w żołądku. - Jego obecność tutaj może nie być przypadkowa, tak samo jak chęć zabrania się z nami.

- Nie wiem, jak miałby wykoncypować, dokąd polecimy - zastanawiała się Quincy. -

Przynajmniej to może być przypadkiem... - dodała z niewiarą w głosie.

- Ile jest możliwości skoku z Lastway? - zapytała Stella.

- Nie o to chodzi. - Umysł Ky pracował na najwyższych obrotach, przeglądając w pamięci trasę z Lastway. - Jeśli mają na statkach te przenośne ansible, o których wspominał

Rafe i prześledzili naszą trasę na podstawie naprawionych platform ansiblowych, to tutaj jest następnym logicznym miejscem pojawienia się. Kolejny węzeł w sieci, niezamieszkanym systemem oferującym liczne możliwości dalszych skoków.

- Nie możemy ich podsłuchać?

- Nie bardziej niż zwykłe ansible - odparł Rafe. - I dziękuję za podzielenie się tym małym sekretem z innymi, kapitanie.

- Bez wątplenia masz jeszcze wiele innych, o których nawet nie wiem - odcięła się Ky. -

A kiedy inni domyśla się, że pewne rzeczy mogły się wydarzyć jedynie dzięki zainstalowanym na statkach komunikatorom oferującym natychmiastową łączność, sami wydedukują ich istnienie.

- Tak przypuszczam. Nadal jednak sądzę...

- Odlóż te sądy na później. Pytanie brzmi: co robimy? Jeśli nie podejmę rozmowy, domyśli się, że coś podejrzewamy.

- A nie jest tak? Spodziewa się, że masz implant. Dzięki temu dowiedziałabyś się, że nie ma go na

aktualnych listach...

- Chyba nie może wiedzieć, że ja nie... - Zakiełkował jej pewien pomysł. Przerzuciła komunikator na łączność zewnętrzną. - Przepraszam - rzuciła do Osmana. - Ktoś wniósł na pokład szczeniaka i teraz ciągle są z nim jakieś kłopoty.

- Szczenie? Pozwalasz załodze trzymać zwierzęta? - Swym tonem jasno dawał do zrozumienia, że tylko młodzi, niedoświadczeni i sentymentalni kapitanowie zezwalali na obecność zwierząt na pokładzie.

- To nadzwyczajny przypadek - wyjaśniła. Czują, że się zarumieniła. - Ale wracając do waszych kłopotów... jak myślisz, co się dzieje?

- Nie wiem - odparł. - Szczerze mówiąc, wybrałem się w interesach dość daleko i nie przywiązywałem zbyt dużej wagi do tego, co działo się w domu. Ale teraz wygląda na to, że mamy problemy i wróciłem, żeby sprawdzić, co mógłbym zrobić...

Pomóc czy splądrować resztki? Oto było pytanie. Opowieść Quincy była zapewne prawdziwa - o ile dotyczyła tego samego człowieka - ale ponad dwadzieścia lat utemperowałyby nawet największego postrzelca, jak mawiał jej ojciec. Nie miejmy pretensji do ludzi za to, jakimi byli, jeżeli teraz zachowują się porządnie, dodawała matka. Ciekawe, jaki będzie Rafe za dwadzieścia lat? Odepchnęła tę myśl.

- To niedobrze - oceniła. - Przez te milczące ansible trudno mieć jakąkolwiek pewność, ale wygląda na to, że ktoś wziął Vattów na celownik.

- Masz jakieś wiadomości o swojej rodzinie?

- Nie żyją - odpowiedziała bezbarwnym głosem.

Twarz mu stężała od wstrząsu, zaraz jednak przybrał nachmurzoną minę.

- To... okropne - mruknął. - Biedny dzieciak... oczywiście, nie jesteś już dzieckiem, ale jednak... Biedny, stary Geny nie żyje... Jak go dorwali? Nie leciał statkiem, prawda?

- Nie. - Ky znowu poczuła niechęć do ujawniania szczegółów, przynajmniej na razie. -

Nie było mnie tam; słyszałam tylko, że zginęli. Jeśli uruchomią ansible...

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział. Patrzył jej prosto w oczy, robiąc przy tym jak najwłaściwszą minę. Skąd więc ta instynktowna niechęć? Z przekonania Quincy? To nie było w porządku. - Słuchaj - dodał z nagłą determinacją. - Mogę pomóc. Pozwól mi sobie pomóc.

Osobno jesteśmy tylko samotnymi statkami, które łatwo wciągnąć w pułapkę. Ale razem... nie muszę ci mówić, że zaglądałem w różne, niezbyt przyjemne miejsca. Ten stary statek nie jest taką zdezelowaną krypą, na jaką wygląda. Moglibyśmy sobie nawzajem bardzo pomóc.

Rodzina trzyma się razem, nie? Krew nie woda i tak dalej.

Szczerłość tryskała z niego, niczym woda ze źródła. Ky nie potrafiłaby uwierzyć, że może być kimś innym niż świeżo nawróconym łotrzykiem... gdyby nie gorzkie wspomnienia innego szczerego, łagodnego głosu - Mandy'ego Rochera - i kłopotów, jakie na nią ściągnął.

- Nie rozumiem jednego - powiedziała, podtrzymując konwersację, by dać sobie więcej czasu do namysłu. - Dlaczego ktoś miałby atakować Transport Vattów? Świadczymy lepsze usługi niż na przykład Pavrati.

- Och, dziewczyno. Jesteśmy bogaci. Oto powód. Bogacze zawsze stają się celem...

- Nie aż tacy bogaci - oponowała Ky. - Zrozumiałabym nienawiść jakiejś zawistnej, pomniejszej firmy przewozowej, ale taka nie miałaby raczej środków, żeby przypuścić atak na tak szeroką skalę.

- Raczej nie - przyznał. - Ale ten atak na ansible... Vattowie zawsze wspierali monopol ISC. Możliwe, że to nasi sojusznicy wpędzili nas w kłopoty. Albo padliśmy ofiarą antagonizmu pomiędzy człomodelami a fundamentalistami.

- Co? - Czy była to jedynie próba odwrócenia uwagi od jego argumentów?

- Narasta niechęć pomiędzy światami fundamentalistycznymi, pragnącymi zachować -

jak to określają - „naturę człowieka”, a człomodelami. Z punktu widzenia fundamentalistów wszyscy jesteśmy człomodelami, ponieważ używamy implantów. Co czyni nas mechadewiantami. Nie sądzę, żebyś spotkała się z wieloma fundamentalistami.

- Tylko z Miznarii - odparła Ky. - W domu.

- Mój Boże, oni jeszcze tam są? - Okazał nieudawane zdumienie. - Myślałem, że wymarli dawno temu; przecież praktykowali naturalny poród. Miałem na myśli takie miejsca, jak Wszechzieleń czy Czystość - nie leżą na regularnych szlakach Vattów, aleja z nimi handlowałem. Początkowo traktowali mnie jak kryminalistę. Nikt tam nie ma czaszkowych implantów, czy choćby modułów antykoncepcyjnych. Miałem na pokładzie genetycznego czwororękiego; Kontrola Imigracyjna nie pozwoliła mu opuścić statku. Można by pomyśleć, że mógłby opryskać spermą ich drogocenne córeczki... o przepraszam, czyżbym cię zgorszył?

Musiała lepiej panować nad twarzą.

- Wstrząsnęło mną, że ktoś mógł zakazać wstępu człowiekowi tylko dlatego, że ma cztery ręce - wyjaśniła. Uwierzył?

- To dobrze - ciągnął. - Pamiętam, że Geny był dość pruderyjny i powinienem był

pomyśleć, co mówię, ale cieszę się, że jesteś na tyle dorosła, by nie przejmować się drobnymi fizjologicznymi odniesieniami. -

Wybuchnął zgrzytliwym śmiechem. Ky uśmiechnęła się, zaraz jednak wróciła do tematu przewodniego, jakby naprawdę ją zainteresował.

- Czy oznacza to, że ludzie na Czystości unikają wszelkiej pomocy medycznej?

- Nie, ale określili bardzo dokładne granice. Żadnych modyfikacji genetycznych, ani innych, które podnoszą możliwości człowieka o więcej niż połowę ponad przeciętny poziom.

Oczywiście oznacza to, że ich przeciętny poziom inteligencji jest dużo niższy od naszego, ale na swoich światach radzą sobie całkiem nieźle.

- Są Miznarii?

- Nie, nie. Są ewangelickimi Hurystami, cokolwiek to znaczy, co nie pomaga im w prowadzeniu interesów, zaręczam. - Roześmiał się ponownie, mruganiem oka zapraszając Ky do błota, w którym się nurzał. Miała ochotę przetrzeć ekran, ale się powstrzymała. - To najdziwaczniejsza kombinacja paranoi i łatwowierności, jaką kiedykolwiek widziałas. Są przerażeni tym, że jakiś obcy mógłby ich oszukać, ale tak otwarcie obnoszą się ze swymi lękami, iż nadzwyczaj łatwo na nich zarobić, robiąc coś zupełnie innego i udając strach przed ich podejrzliwością.

Czyli łotrzyk nie nawrócił się.

- A więc wolisz planety człomodeli?

- Cóż, nie te ekstremalne. Zupełnie, jakby niektórzy z nich celowo się oszpecali, wiesz?

Ale większość z nich to zwykli ludzie, tyle że z ekstradodatkami. Myślą prawie tak samo, jak my. - Wpatrzył się prosto w ekran. - Masz implant, prawda?

- Oczywiście - odparła Ky, udając obrazę. - Dostałam go w wieku siedmiu lat, jak wszyscy.

- A masz nową aktualizację Vattów? Dawno nie odświeżałem danych - no wiesz, byłem poza zasięgiem.

- Nie mam zbyt nowych danych - przyznała Ky. - Właśnie wracałam do domu. - Nie mógł mieć innych informacji, chyba że był tak zaprzędany wrogowi, jak podejrzewała, ale w takim przypadku nie miało to znaczenia. - Jak się pewnie domyślasz, to moja pierwsza podróż, więc jestem kapitanem warunkowym. Dysponuję jedynie podstawową bazą danych. Po powrocie do domu miałam otrzymać pełną bazę, ale... stało się.

- Rozumiem. - Na chwilę spuścił wzrok, po czym nagle go podniósł i przeszył ją ostrym spojrzeniem, jakby chciał ją zaskoczyć. Twarz zaraz mu złagodniała. - No cóż, poradzimy sobie. Młodość i entuzjazm, wiek i doświadczenie... zostaniemy partnerami, tak?

- Ale przecież jesteśmy rodziną - wyjąkała z zakłopotaniem Ky. Na poły spodziewała się tej propozycji czy żądania. - Czyż zawieranie prywatnych umów spółek pomiędzy Vattami nie jest zabronione?



Uniósł brwi.

- Co, myślisz, że chcę cię oszukać?

- Nie, wcale nie. - Żywiła o wiele gorsze przypuszczenia, ale miała cztery lata - prawie cztery lata - żeby nauczyć się, iż szczerze i nudne wyjaśnianie spraw bywało czasami przydatne.

- Ale Tatuś mówił, że nikt nie powinien zawierać prywatnych kontraktów, ponieważ wszyscy powinniśmy pracować dla dobra Vattów. Prywatne interesy, mawiał, były niczym okradanie własnej firmy. A ja chcę uratować Vattów.

Na jego obliczu odmalowało się dobroduszne rozbawienie.

- Zapomniałem - odrzekł. - Jesteś córką Gerry'ego; to oczywiste, że będziesz wierna zasadom. Ale znajdujemy się w nadzwyczajnej sytuacji, moja droga. Możliwe, że jesteśmy jedynymi ocalałymi Vattami... a może wiesz coś o innych?

Ky poczuła spływający po plecach lodowaty dreszcz. Nie zamierzała zdradzać mu istnienia Toby'ego ani Stelli.

- Jesteście pierwszym statkiem Vattów, jaki spotkałam, odkąd to wszystko się wydarzyło - powiedziała.

- I przypuszczam, że na pierwszą podróż obsadzili ci statek starymi, wiernymi wyjadaczami, a nie członkami rodziny, he? - zapytał.

- Dokładnie tak - przyznała. - Po drodze zatrudniłam sobie kilka osób.

- W obecnej sytuacji powinniśmy współpracować i zostać partnerami - przez wzgląd na nauki twego ojca rozumiem, iż nie zechcesz zawrzeć oficjalnej umowy spółki - ale razem poradzimy sobie lepiej, niż osobno.

Byłoby to prawdą, gdyby partnerzy uczciwie dążyli do wspólnie wyznaczonego celu.

W przeciwnym razie jeden mógł wypatroszyć drugiego sprawniej niż jakikolwiek obcy. Ky kusilo, żeby odmówić i odlecieć w nadziei, iż nowo nabyty system obronny poradzi sobie z tym, co tamten może mieć na pokładzie, ale co, jeśli wiedział o spisku i atakach na Vattów więcej, niż dotychczas odkryli?

- Dokąd lecisz? - zapytała, przesadnie marszcząc brwi. - Nie wiem, czy możemy...

- Słuchaj - rzucił, promieniując ojcowską troską tak intensywnie, że prawie ją zemdliło.

- Polecę z tobą, dokądkolwiek się udasz; zadbam o twoje bezpieczeństwo. - Umilkł, zauważając jej reakcję; widocznie nie dość dobrze ją ukryła. - Nie wątpię, że jesteś dzielna i pomysłowa; Vattowie nie są idiotami, ani tchórzami. Ale potrzebujesz kogoś, kto będzie pilnował twoich pleców. Nie będę nawet domagał się uznania mojego starszeństwa. - Na ekranie wzruszył

ramionami i rozłożył ręce. - Jesteś córką Gerry'ego, a on był szefem finansów korporacji. Jeśli chcesz, możesz przejąć dowodzenie. Po prostu nie chcę widzieć, jak umieramy, ponieważ nie potrafiliśmy współpracować dla osiągnięcia wspólnego zysku.

Pragnął jej towarzystwa bardziej, niż ona jego. Dlaczego? I skąd wiedział, że jej ojciec został głównym finansistą Transportu Vattów, skoro tak długo nie utrzymywał kontaktów z rodziną? Chyba, że działał w utajnieniu, jak Rafe dla ISC.

- Załóżmy - mruknęła. - Słuchaj, czemu nie prześlesz mi danych o swoim ładunku?

Porównam z tym, co sama mam na pokładzie i postanowię, dokąd polecimy.

- Podzielmy się - zaproponował. - Ty też przyślij mi swoje cargo.

- Dobrze - zgodziła się. - Każę głównemu ładowaczowi przekazać ci te dane. - Nie wywnioskuje z nich nic, ponad to, że kupili tanio w nadziei na sprzedanie drogo. Na pewno nie dowie się o minach, które przechowywała w ładowni.

## ROZDZIAŁ 18

Myśli, że dysponuje implantem kapitana warunkowego o niepełnej bazie danych. Nie ma w nim nic, co zechciałby załadować do własnego implantu. - Ky pociągnęła łyk herbaty wzmocnionej dodatkami

odzywczymi, czekając na przysłanie jej przez Osmana listy ładunków.

- Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdyby miała pani jakikolwiek implant - skomentował

Martin. - A główna baza danych Vattów dostarczyłaby wszelkich potrzebnych informacji.

- I uczyniła z mojej głowy bardzo atrakcyjny cel, prawda? - zauważyła Ky. - Jeżeli uważa mnie za niedoświadczoną, idealistyczną ignorantkę z zasadami, to stanowią dla niego znakomitą przykrywkę. Idiotkę, którą może dla zabawy bardzo długo oszukiwać, dopóki nie uzna za stosowne mnie zabić.

- Zdaje sobie pani sprawę, że podejmie taką próbę. - Ton głosu Martina nie sugerował pytania, jedynie jego mina.

- Oczywiście - przytaknęła Ky. - Nie spodziewam się niczego innego. Ale jeśli będzie absolutnie przekonany, że łatwo mu pójdzie, tym bardziej zaskoczy go odkrycie, jak ciężko mnie uśmiercić.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwać - mruknął Rafe.

- To dobrze - uznała Ky. - Ponieważ jesteś najlepszym dostępnym mi modelem sposobu rozumowania Osmana Vatty... historia jego życia musi przypominać twoją.

Puścił do niej oko.

- Naprawdę uważasz mnie za aż tak złego? Przysięgam, że nigdy nie wywierałem na nikogo presji, żeby uprawiał ze mną seks.

Stella poruszyła się na krześle. Zerknął na nią z ukosa.

- Nie zapomniałam o tamtej cytrynie - oświadczyła Ky. Zgromadzeni dziwnie na nią popatrzyli; Rafe spuścił głowę.

- To było tylko... zaproszenie. A nie nacisk.

- To prawda - zgodziła się Ky. - A gdybym uważała cię za równie złego, nie pożyłbyś długo na tym statku.

- Będę na siebie uważać - obiecał z powagą niepokojącą jak cienki jedwab, przykrywający stalową klingę.

- Tak czy owak - ciągnęła Ky - Rafe jest dla mnie obecnie jedynym łącznikiem z trybem życia, jakie prowadził Osman. Jeśli wypróbuję moje pomysły na nim, jego reakcje mogą pomóc mi przewidzieć zachowanie Osmana.

- Jak długo nie będziesz nas ze sobą mylić - dorzucił Rafe.

- Zapewniam cię - odparła Ky - że nawet bez implantu potrafię was rozróżnić.

Wtem Rafe szeroko otworzył oczy.

- Ky... kapitanie... wezwij najemników. Natychmiast.

- Co? Dlaczego?

- Po prostu zrób to - powiedział. Ospałość zniknęła; siedział wyprostowany i czujny.

- Cały nasz plan opiera się na przekonaniu go, że jesteśmy w tym systemie sami, niegroźni i bezbroni. Jeśli połączę się z nimi...

- Jeśli tego nie zrobisz - wpadł jej w słowo Rafe - możesz nie mieć drugiej szansy. Ma ansibl na pokładzie. Jest jednym z nich.

- Skąd wiesz? I dlaczego akurat teraz?

- Wiem - odparł Rafe przez zaciśnięte zęby. - Nie pytaj już... wiem. Nie jest jedynie zgniłym jajem Vattów; siedzi w tym po uszy i właśnie używa swojego pokładowego ansibla, żeby wezwać twoich nieprzyjaciół.

- Myślę, że chce pobawić się ze mną w ciuciubabkę nieco dłużej - powiedziała Ky. - I nadal chcę wiedzieć, jak...

- Być może przez czas potrzebny im na przybycie do tego układu. Potem zdradzi cię i nie będzie już czasu na pogaduszki. Jak daleko są najemnicy?

- Mam nadzieję, że przy najbliższym ansiblu. Ale skąd wiesz, że ma przekaźnik?

- Kapitanie... chodźmy do twojej kabiny.

- Co?

- Muszę porozmawiać z tobą na osobności - wyjaśnił. Błady i spięty, patrzył jej prosto w oczy.

- Skoro musisz - mruknęła. Popatrzyła na resztę. - Zawołajcie mnie, jak coś się zmieni.

Niech wszyscy pozostają w pełnej gotowości.

- Jak zawsze - rzuciła Quincy.

Ky ruszyła do swojej kajuty; Rafe podążył za nią i bez pytania zamknął drzwi.

- O co chodzi? - zapytała. - Jesteś...

- Posłuchaj - poprosił Rafe. - Ja... istnieje jeszcze inna technologia, o której ci nie powiedziałem.

- Masz własny ansibl pokładowy? - domyśliła się. - Albo jakiś sposób wykrywania aktywności ansiblowej?

Postukał się w głowę.

- Mam go tutaj. Zminiaturyzowany, wbudowany w implant. Ma zbyt małą moc, przez co muszę podłączać się do zewnętrznego źródła zasilania albo istniejącego, pracującego ansibla.

Ky zamrugła.

- Masz ansibl w głowie?

- Tak. Mały i słaby, ale sprawny. Eksperymentalny, rzecz jasna. O ile wiem, jest jedynym działającym modelem; otrzymałem go prosto z laboratorium. Nie wolno powiedzieć ci o tym nikomu...

- Nie powiem - obiecała. Wciąż była zafascynowana wiadomością. - To w ten sposób dowiedziałeś się, że ma nadajnik na pokładzie? Skąd wiesz, że nie ma takiego samego implantu, jak ty?

- Inaczej pachną - odparł. Westchnął, widząc jej minę i potrząsnął głową. - Musieli ustanowić mnóstwo dziwacznych połączeń, żeby w ogóle zaczął działać. Ludzie mają bardzo dużo niewykorzystywanych receptorów oftalmicznych, ewidentnie powiązanych z biochemią planety, z której się wywodzimy. Podczepili pod nie funkcję wykrywania. Dzięki temu wiem, kiedy znajduję się w zasięgu i mogę zaczerpnąć moc z ansibla, ale mój mózg upiera się, żeby powiadamiać mnie o tym zapachami.

- Mam nadzieję, że przyjemnymi - powiedziała. Nie mogła oderwać wzroku od jego czaszki. Niemożliwe, żeby zmieścił się tam ansibl; większość, które widziała, miała rozmiary małego statku.

- Użyłbym raczej słowa: niezapomnianymi - odrzekł. - Cokolwiek tak pachniało na naszej rodzinnej planecie, nie mogło być niczym dobrym. W każdym razie wiem, że ma ansibl na pokładzie i właśnie go uruchomił. Czy teraz będziesz łaskawa wezwać najemników przez tutejszy przekaźnik, zanim wysadzi go w powietrze?

- Myślisz, że to zrobi?

- Nie chciałby przecież, żebyś wezwała pomoc, prawda?

- Zastanawia mnie tylko, czemu nie skorzystał z ansibla systemowego, skoro już go uruchomiliśmy.

- Ponieważ wie, że zauważylibyśmy to, a uważa, iż ansibl pokładowy jest niewykrywalny. Tylko to jedno powinno przekonać cię, że nie gra z nami uczciwie.

- Och. Masz rację.

Na mostku Ky rozpoczęła sekwencję nawiązywania połączenia ansiblowego, uruchamiając jednocześnie interkom pokładowy.

- Mamy kłopoty - zaczęła. - Quincy, uaktywnij system obronny. Nasz przyjaciel właśnie kontaktuje się z kimś, kogo prawdopodobnie wcale nie chcemy poznać. - Łącze ansiblowe rozbłysło zielenią;

wprowadziła podane przez Mackensee kody. Odległość świetlna od ansibla wydawała się nieskończonością; obserwowała na chronometrze zmieniające się sekundy... sygnał wyjścia... sygnał wejścia...

- Problemy, kapitanie Vatta? - Johansson musiał tkwić murem przy komunikatorze. Ky jeszcze nigdy nie doceniła tak łączności natychmiastowej.

- Prawdopodobnie - przyznała. - Statek był własnością Vattów, a kapitan... to należący do rodziny Vattów intrygant. Sam w sobie nie stanowi zagrożenia, ale właśnie wykonał

połączenie ansiblowe.

- Czy pani agent może je przerwać?

- Nie.

- Doradzam lot z maksymalną prędkością do punktu skoku - powiedział Johansson.

- Prosto na tych, którzy tutaj zmierzają? - zapytała Ky. - A nasz napęd wewnętrzukładowy, jak pan pamięta, jest dosyć wolny.

- Miną was - turbulencje poskokowe zakłócą działanie ich skanerów. To zwiększy wasze szanse, choć nadal istnieje ryzyko. Tak jak mówiłem wcześniej.

- A wy?

- Odpowiadamy za resztę konwoju - odrzekł Johansson. - Niemniej zobaczę, co da się zrobić.

Czyżby naprawdę zamierzał pozostawić ich samym sobie? A może taka informacja miała na celu wywieść w pole potencjalnego podsłuchiacza? Miała nadzieję, że chodziło o to drugie, ale najemnicy wyraźnie nie mieli zamiaru zdradzać planów przez otwarte łącze.

Logiczne, ale Ky i tak nie była szczęśliwa. Spojrzała na Lee, który sprawiał wrażenie bardziej czujnego niż przejętego.

- Słyszałeś go - rzuciła. - Skieruj nas do punktu skoku i uruchom silniki. Nie na maksa -

i tak nikomu nie uciekniemy; chcę raczej nabrać pewnego dystansu.

Wywołała Piękną Kaleen.

- Ach... ruszamy. Zdecydowałam się na port docelowy.

- Zaczekaj chwilę... tak nagle? Co się stało?

- To dzięki twojej wzmiance o człomodelach. Zdałam sobie sprawę, że właściwym rynkiem dla jednej trzeciej mojego ładunku będzie któryś z ich światów. Dzięki sprawnemu ansiblowi zdołałam

ściągnąć trochę informacji handlowych... Lecimy na Garth. Wy też?

- Czekaj, dziewczyno... przepraszam, chciałem powiedzieć: kapitanie... nie powinniście lecieć na Garth.

- Nie? A dlaczego?

- No cóż, po prostu zwolnij trochę i pogadamy. Nie powinnaś podejmować decyzji na podstawie garści informacji zebranych z ogólnodostępnej listy ofert. Skąd wiesz, na ile są dokładne?

- Posłuchaj - zaczęła, bez trudu udając zniecierpliwienie. - Kręcimy się po tym systemie znacznie dłużej, niż przewidywałam, czekając na dopasowanie przez was kursu i ucinając sobie pogaduszki. Nie chcę nie okazywać szacunku osobie starszej ode mnie, ale jeśli mamy odbudować firmę, to nie możemy po prostu siedzieć tutaj i wymieniać się ploteczkami.

Musimy handlować. Mogę być młoda i niedoświadczona, ale przynajmniej tyle wiem.

- Oczywiście, że musimy handlować - przytaknął Osman. - Ale nadmierny pośpiech jedynie ściągnie na nas większe kłopoty. Skąd wiesz, że wrogowie Vattów nie będą czekać na Garth?

Miała na końcu języka: Bo lecą tutaj, ale zamiast tego powiedziała:

- Nie wiem. Ale jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, to polecieć tam. Mam trochę wyspecjalizowanej elektroniki, która znajdzie zbyt na rynku człomodeli... kupiłam ją okazji...

- Ale...

- No to lecicie z nami, czy spotkamy się gdzie indziej? - Kątem oka spozierała na skaner bliskiego zasięgu; odległość między statkami rosła wolniej, niżby sobie życzyła.

- Ja... muszę uruchomić napęd wewnątrzukładowy. Polecę za wami.

- Świetnie - rzuciła Ky i rozłączyła się.

Prześledzi jej wektor i przekaże dalej, jeśli jednak jego sojusznicy podróżowali już hiperprzestrzenią, nie na wiele przyda się im ta informacja.

- Rafe.

- Tak? - Był tuż przy niej.

- Czy istnieje metoda porozumiewania się między statkami w hiperprzestrzeni?

- Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Zaawansowana technologia ansibli-szpilek umożliwia przebywającym w hiperprzestrzeni statkom łączyć się z platformą ansiblową, ale to wszystko.

- Dobrze. - Włączyła komunikator i wyjaśniła sytuację. - W tej chwili lecimy do punktu skoku. Gdy

tylko będziemy mogli bezpiecznie zanurzyć się w hiperprzestrzeni, zrobimy to. Nie wiemy, gdzie znajdują się sojusznicy Osmana, ani jak szybko mogą tutaj dotrzeć. Jesteśmy raczej pewni, iż nie dysponuje on bronią zdolną uszkodzić nasz statek, wobec czego na razie nic nam nie grozi.

- Co będzie, jeśli dotrą tutaj, zanim skoczymy? - zapytał Lee. - Od punktu skoku dzieli nas co najmniej osiemnaście godzin. Czy lecą do nas najemnicy?

- Najemnicy nie zdradzają swoich planów nikomu, ale mam nadzieję, że są już w drodze. Jeśli będzie trzeba, sami się nimi zajmiemy.

- Po co w ogóle leciała pani rozmawiać z tym starym idiotą? - zapytał Jim. Musiał kręcić się w pobliżu konsoli w Inżynieryjnym. - Czy nie było mądrzej zignorować go, jak radzili najemnicy?

- Jim! - mruknęła Quincy.

- Rozmowa z nim była jedynym sposobem przekonania się, czy jest pełnoprawnym członkiem rodziny Vattów - odrzekła Ky. Pewnie wszyscy tak myśleli, tylko brakowało im zuchwałości Jima.

- Ale Quincy powiedziała pani o nim kilka wacht temu. Wszystkim nam opowiadała...

- Jim! - Ky wyobraziła sobie, jak Quincy próbuje odepchnąć Jima i uciszyć go.

- Po prostu nie rozumiem tego. Mogliśmy być już w połowie drogi do jakiegoś innego miejsca...

W Ky zagotowało się.

- Możesz być w połowie drogi do jakiegoś innego miejsca w dwie minuty... przez właz awaryjny. - Na całym statku zapadła kompletna cisza.

- Przepraszam... - wymamrotał w końcu Jim.

- Nie ma sprawy - rzuciła Ky. - W ciągu najbliższej doby okaże się, czy popełniłam błąd, rozmawiając z Osmanem. W międzyczasie możemy zwiększyć nasze szanse na przeżycie przewidując, co uczynią tamci źli i wymyślając sposoby utrudnienia im zadania.

- Możemy przesłać wiadomość ansiblem - podsunął Rafe. - Uruchomiliśmy kilka po drodze... dotrze w wiele miejsc, nawet jeśli tu i ówdzie utknie na jakiś czas. Do wszystkich stacji i odbiorców. Opowiemy im o drogim, starym wujku Osmanie... albo kuzynie Osmanie, czy kimkolwiek jest.

- Dobry pomysł - zgodziła się Ky. - Przygotuj wiadomość i pokaż mi ją przed wysłaniem.

- Czy mamy na statku jakąś broń? - zapytał Rafe.

- Żadnego uzbrojenia ofensywnego. No, mamy jedną pukawkę, w jaką uzbrojone są wszystkie statki. Nie przebije kadłuba jęgo statku.

- Może o tym nie wiedzieć.



- Przyspiesza - zameldował Lee. - Ale nie zamierza nas dogonić.

- Chce zachować bezpieczny dystans - myślała na głos Ky. - Ma wystarczającą moc, żeby nas prześcignąć, ale nie robi tego. Skanery doprowadzą go do nas, ale woli trzymać się z dala od kłopotów. - Co oznaczało, że oczekiwał pomocy, niemniej nie powiedziała tego głośno.

- Myśli - zauważył Rafe. Ky zerknęła na niego. Miał dziki wyraz twarzy.

- Czy nie miałeś aby przygotować wiadomości?

- Miałem. Przesłałem go do twojego kompa.

Powstrzymała prychnięcie. Oczywiście - miał implant. Mógł to zrobić, podczas gdy ona była ograniczona do dostępu pośredniego. Gdyby tylko znajdowali się w pobliżu prawdziwej kliniki, gdzie mogliby ją przebadać i orzec, czy instalacja implantu była już dla niej bezpieczna, mogłaby założyć sobie przynajmniej podstawowy moduł.

- Nie bądź taki sprytny - rzuciła. - Ty i ten twój implant. - Otworzyła plik. List wyglądał

na doskonale prosty; miała nadzieję, że tak było. Wywołała ansibl... na połączenie potrzeba było niemal dwóch minut.

- Mija już sześć miesięcy, o których wspominałaś - zauważył Rafe. - Mogłabyś założyć sobie implant.

- Nie mam tutaj sprzętu medycznego - odparła Ky, obserwując migające światełko, które oznaczało, że wiadomość była już w drodze do ansibla. Nie miała ochoty czekać na potwierdzenie gotowości ansibla do odbioru.

- Fakt, ale można założyć sobie implant bez pomocy techniki. Ja tak zrobiłem.

Zamienianie implantów bywa pożyteczne.

- I ryzykowne.

- Raczej nie. Przez kilka godzin możesz cierpieć na ból głowy i dezorientację. Staram się robić to w nocy - leżę, wyjmuję jeden, a wkładam drugi. Musisz znać sterylne techniki.

- Nie znam ich - odparła - wobec czego zaczekam.

- Ja znam - nie poddawał się. - Chętnie pomogę, jeśli ma to zwiększyć nasze szanse na przetrwanie.

Chętnie położyłby łapę na głównej bazie danych Vattów, choćby tylko na krótką chwilę. Była w stanie radzić sobie z jednym naciągaczem na raz, a Osman stanowił teraz bezpośrednie zagrożenie.

- Nie zgadzam się - odrzekła. - Nie przyspieszy to statku, ani nie doda mu uzbrojenia. A do zwykłych manewrów wystarczy mi własny mózg. - Miała nadzieję. Implant zapewniłby jej szybszą kontrolę nad

statkiem; mógłby nawet wpłynąć na systemy Pięknej Kaleen...

- Miło mi to słyszeć - odparł Rafe. - Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Na razie nie wiem - odparła. - Dam ci znać, jak coś wymyślę. - Obróciła się do Lee. -

Znasz najbliższy punkt skoku?

- To właśnie do niego polecieci najemnicy. Jest jeszcze jeden, pół punktu dalej.

- Czyli... najemnicy powinni przylecieć tutaj pierwsi. Być może.

- O ile źli nie skorzystali z punktu nie naniesionego na mapy. Jeśli czekali tuż poza zasięgiem skanerów, mogą wykonać krótki skok i być tutaj za kilka godzin. Mamy skanery o zwiększonym zasięgu, lecz i tak nie obejmują one promienia całego układu.

- Macie jakieś domysły co do wektora, którego mogliby użyć?

- Nie, a dlaczego?

- Dywersja - wyjaśniła Ky. - Jedyna rzecz, z jaką nawet tarcze obronne mają kłopot, to przypadkowa masa.

Rafe prychnął.

- Co, zamierzasz wyrzucić trochę ładunku?

- Można by tak powiedzieć - odparła Ky - jeżeli uznać miny za ładunek.

- Miny?

- Znasz takie pojęcie? - Nie mogła powstrzymać się przed odrobiną sarkazmu.

- Tak. Po prostu nie wiedziałem, że masz coś takiego na pokładzie. Mówiłaś, że nie mamy żadnej broni.

- Żadnej broni ofensywnej. Mam kilka min. Niezbyt wiele; możliwe nawet, że ich nie wystarczy. Zobaczymy.

- Kiedy je rzucisz?

- Jak zobaczę białka ich oczu - odrzekła. Zrobił taką minę, że musiała się roześmiać. -

Kiedy dowiem się, jakim wektorem lecą - sprecyzowała. - Lub wcześniej, jeśli kuzyn Osman zacznie sprawiać nam kłopoty. Choć z najwyższą niechęcią myślę o uszkodzeniu statku Vattów...

- Z pewnością nie wyobrażasz sobie, że go odzyskasz!

- Zamierzam to uczynić, jeśli tylko zdołam - oznajmiła. - Transport Vattów potrzebuje statków. Wiem o utracie kilku jednostek, nie wspominając już o odbudowie siedziby firmy.

Zarabiamy, handlując, a do przewozu cargo potrzeba frachtowców. Zgodnie z prawem, statek Osmana należy do Vattów. Do mnie, jeśli już o to chodzi.

Rafe gapił się na nią.

- Jesteś albo szalona, albo genialna. Nie jestem tylko pewny, która opcja jest prawdziwa.

- Ani ja - rzuciła Ky. - Czas pokaże.

- Sprawiasz wrażenie zadziwiająco spokojnej. Czy ty się w ogóle boisz?

Ky zastanowiła się nad możliwymi wyjaśnieniami i uznała, że to stracona sprawa.

- Niespecjalnie - odparła w zamian.

Piękna Kaleen przyspieszyła. Zamigotało światełko połączenia między statkami.

Osman chciał porozmawiać. Ky nie. Każdy, kto miał ansibl na pokładzie, musiał należeć do spisku.

- Są - obwieścili jednocześnie Lee i Rafe. Na granicy zasięgu ulepszonych skanerów pojawiły się dwie małe kropki. Ky przechyliła się i nacisnęła guzik. Obie kropki zmieniły barwę na czerwoną. Podziękowała w myślach projektantowi systemu obronnego, że wbudował weń funkcję, zdalnego wykrywania uzbrojenia oraz że zdecydowała się na zakup droższej wersji.

- Lecą z bronią gotową do użycia - zauważyła. - Muszą spodziewać się kłopotów.

- Albo szybko i łatwo zdobycy - sprecyzował Rafe. - Chcesz, żebym wykreślił ich kurs? Lee mógłby skupić się wtedy na pilotowaniu.

- Wiesz jak? - Nie zaskoczyło jej to. Międzygwiazdowa nawigacja w swej najprostszej postaci polegała na przeglądaniu tabel liczbowych i wprowadzaniu odpowiednich wartości do komputera nawigacyjnego. A lepiej, żeby nawigacją zajął się Rafe niż Sheryl - choć była kompetentnym nawigatorem, to lepiej, żeby akurat teraz nie przebywała na mostku.

- Tak. - Rafe wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ja też mogę cię jeszcze zaskoczyć, kapitanie. W każdym razie wolę, żeby nic cię nie rozpraszało, jeśli mielibyśmy użyć tych min.

Nieprzyjacielskie statki - uznała ich za wrogów, skoro nie podjęli próby skontaktowania się z nią - wynurzyły się z hiperprzestrzeni z wielką prędkością, tylko nieznacznie hamując.

Zdaniem Ky oznaczało to, iż otrzymywali dane o nich bezpośrednio i natychmiast, prawdopodobnie od Osmana z Pięknej Kaleen. Zerknęła na ich własną trajektorię.

Stary statek nie mógł już przyspieszyć, a ona musiała oszczędzać paliwo na manewrowanie.

- Lee, nie przyspieszaj już. Chcemy sprawić wrażenie, że niczego nieświadomi lecimy do punktu skoku. Zamierzam uciąć sobie krótką pogawędkę z Osmanem i przekonać się, co nam powie.

Włączyła komunikator i zaczęła mówić natychmiast po pojawieniu się na ekranie oblicza Osmana, zniekształcanego drganiami typowymi dla transmisji pomiędzy nadajnikami zwiększającymi odległość od siebie.

- No i jak, kuzynie, lecisz z nami? - zapytała. - Mam wrażenie, że nie jest bezpiecznie tkwić zbyt długo w jednym miejscu.

- Kto miałby wałęsać się po takim zapomnianym systemie, jak ten?

A więc zamierzał trzymać ją w nieświadomości... z pewnością zauważył na skanerze nadciągające kłopoty.

- Wygląda mi na świetne, ciche miejsce dla piratów lub rabusiów, kuzynie - rzuciła wesoło. - Ich punkty spotkań na pewno leżą z dala od szlaków handlowych.

- Skąd mieliby wiedzieć, że tu jesteśmy?

- Och, nie mam pojęcia. Może ślepym trafem. Czekaaj... - Udała, że przygląda się czemuś z boku. - Wyobraź sobie, że mam dwie plamki na monitorze... a ty?

- Plamki... och, te. To są... moi przyjaciele. Dlatego właśnie ja nie muszę martwić się rozbójnikami.

Leciutki akcent na ja, leciutka nuta samozadowolenia w głosie.

- Nie martw się, Kylaro, kochanie, dobrze się tobą zajmiemy.

- Naprawdę? - zapytała Ky najłagodniej, jak potrafiła. Na ekranie oba statki przybliżały się ze stałą prędkością. Zupełnie, jakby namierzyli i przeanalizowali jej kurs, a teraz zamierzali przechwycić ich i podejść na niszczycielską odległość. - Nie wspominałeś wcześniej o żadnych przyjaciółach, kuzynie. Kim są?

- Moja droga, naprawdę nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Na wypadek... - Urwał. Bez trudu mogła dopowiedzieć: na wypadek, gdyby uciekła.

Lampka statusu ansibla zmieniła kolor z zielonego na czerwony. Czyli znowu go zablokowali.

- Mówiłem ci - mruknął cicho Rafe.

- Ansibl znowu nie działa - zauważyła Ky, zwracając się do Osmana. Wzruszył ramionami.

- Przez lata nauczyłem się, że te automatyczne ansible bywają zawodne. Próbowalaś przesłać wiadomość?

- Myślałam o tym - odrzekła. - Teraz będę chyba musiała poczekać, aż dolecę do następnego.

Głupia wymiana zdań: z pewnością wykrył transmisję do ansibla i wiedział, że się powiodła. Niemniej udając wiarę w jego kłamstwa, mogła dowiedzieć się czegoś pożytecznego.

- Twoi przyjaciele nadlatują z wielką prędkością - dodała. - Gdybyś nie powiedział mi, że nimi są, obawiałabym się ataku. - Lecieli w rozproszonej formacji, doskonałej do napaści na samotny statek i uniemożliwienia mu ucieczki dzięki jakiemuś niespodziewanemu manewrowi.

Nie, żeby jej statek był zdolny do zaskakujących działań.

- Zaopiekują się nami - zapewnił ją Osman. - Na swój sposób.

Jego uśmiech ze szczerego i dobrodusznego zamienił się w drapieżny. Zanim odpowiedziała, Ky przyjrzała się skanerowi. Jeśli były to okręty bojowe wyposażone w wysokowydajne silniki - a co najmniej ich ekwiwalent - w ciągu sześciu godzin znajdą się w zasięgu broni laserowej. Czy zadanie Osmana polegało na uspokajaniu jej i trzymaniu w nieświadomości do tego czasu, żeby utrzymała kurs, ułatwiający przechwycenie jej i zaatakowanie? Czyżby robił to wcześniej, wystawiając niewinnych kupców piratom? A może był również zamieszany w akcję na Sabinę w charakterze jednego z sojuszników Paison'a? Co robi, kiedy przekona się, że jej osłony wytrzymają atak?

Uśmiechnęła się do ekranu, zauważając, jak rysy twarzy Osmana twardnieją, by po chwili rozpląnąć się w uśmiechu.

- Tak się cieszę, że tutaj jesteś - wyznała. - Możliwość zasięgnięcia porady u starszego kapitana Vatty wiele dla mnie znaczy.

- Moja rada? Wciąż twierdzę, że nie powinnaś spieszyć się na Garth - odrzekł. - Pozwól przynajmniej, że zapewnimy ci eskortę. W konwoju będzie bezpieczniej.

- Nie będziesz miał najmniejszych problemów z dogonieniem nas. Jak widzisz, mamy przestarzały, powolny napęd. Ty na pewno masz lepszy.

- Cóż, tak, ale... wy, młodzi, zawsze tak się spieszycie. Bierz przykład ze mnie -

pośpiech w niebezpiecznych sytuacjach może mieć fatalne skutki.

- Tak samo, jak sterczenie w jednym miejscu, niczym kurek na strzelnicy - odparowała Ky. - No cóż, kuzynie, bardzo się cieszę z twojego towarzystwa i opieki, ale nie zamierzam słuchać twych poleceń.

- Jesteś nieodrodną córką Geny'ego - stwierdził Osman. - Wielka szkoda...

- Szkoda? - Ky ścisnęło w żołądku. Oto nadchodziło, cokolwiek miało się wydarzyć.

- Mógłbym cię jakoś wykorzystać - oznajmił Osman tonem tak łagodnym i pełnym żalu, że aż ją zatkało. - Było, nie było, córka wielkiego Gerarda Avondetty Vatty... bratanica Stavrosa, prezesa Transportu Vattów... mogłabyś się przydać. Ale... - twarz mu stwardniała - ...

jesteś zwykłą zepsutą i arogancką suką, wykapaną córeczką człowieka, który pozbawił mnie przynależnego mi życia, jakie powinienem wieść w randze starszego kapitana Vattów.

Nie mógł powstrzymać przechwałek. Czytała o tego typu przestępcach, ale nigdy żadnego nie widziała.

- Twój ojciec i wujek - dobrana para: sztywni, aroganccy zarozumialcy. Wykorzystali mnie - zniszczyli - by wspiąć się na kolejny szczebelek korporacyjnej drabiny. Zupełnie, jakby sami nie zrobili nigdy nic złego. Jak gdyby Vatta nie miał większej wartości od rozbeczanej praktykantki... głupia dziwka, przecież kupiłem jej naszyjnik. - Zauważyła nabrzmiałe na czole żyły; wciąż trawiła go stara wściekłość. - A teraz, księżniczko Kylaro, bezcenna córeczko Geny'ego, ja zniszczę ciebie. Żałuję tylko, że nie będzie go tutaj, kiedy rozwalę twój statek.

- Przykro mi bagatelizować twoje groźby - odparła Ky. Serce waliło jej jak oszalałe; miała nadzieję, że uzna to za strach. - Ale wołałabym uniknąć śmierci.

- Nie ma znaczenia, co byś wołała, złotko... nie masz na statku nic, co mogłoby cię obronić. Och, wiem, że kupiłaś na Lastway system obronny - nie bój się, powiadomiono nas o tym. Jest niewart złamanego kredytu, ponieważ mamy z MilMartem umowę: nie ruszamy ich, a oni sprzedają Vattom bezużyteczny szmelc.

Ky przybrała kamienną twarz, lecz zbyt późno. Zarechotał.

- Ach... widzę, że nie odkryłaś jeszcze usterki. Odkryjesz, gdy statek rozpadnie się wokół ciebie. Albo... mam lepszy pomysł. Jeśli jesteś równie honorowa, jak Geny i zechcesz ocalić załogę - a przynajmniej część z nich - zawsze możesz wyłączyć silniki i poddać się.

Założę się, że woleliby życie od śmierci i choć nie mogę obiecać, że uczynię twoje życie miłym, nie mam nic do niewinnej załogi. Chyba, że niektórzy z nich maczali palce w moich kłopotach. - Zachichotał. - Zapytaj ich, czemu nie? Zaczekam.

Przerwała połączenie. Lee wpatrywał się w nią w milczeniu szeroko otwartymi oczami; Rafe nie okazywał żadnych emocji, zdradzało go tylko pulsowanie szyi.

- Interesujące - oznajmiła. Czowała suchość w ustach; jej głos nie był tak równy, jakby chciała. - A więc ma żal do Vattów, ponieważ mój ojciec wyrzucił go z korporacji. I jest pewny, że nasz system defensywny nie zadziała. Ciekawe, czy to prawda. Nie wierzę, żeby MilMart mógł prowadzić interesy, gdyby można ich było tak łatwo przekupić.

- Kapitanie - rozległ się głos Quincy z interkomu. - Mamy problem.

- Jaki? - zapytała Ky. Odzyskała już normalny głos.

- Cóż... przedtem tego nie zauważyłam, ale mamy kłopoty z systemem obronnym - nie ze skanerami, lecz z osłoną.

- Ciekawe, czemu Mackensee nic nie zauważyli - zdziwiła się Ky. - Kazali nam uruchomić go i

orzekli, że wszystko wygląda solidnie.

- Tak, wiem. Ja też myślałam, że oznacza to prawidłowe działanie. Ale Toby znudził się pilnowaniem tego niewydarzonego szczeniaka i dałam mu stertę infokostek z instrukcjami, żeby miał zajęcie. Poszedł szukać tego zaginionego elementu, który zastąpiliśmy z naszych zapasów, znalazł go i odkrył w nim coś dziwnego. Twierdzi, że jest inny od opisanego w instrukcji, przez co osłony i owszem, pojawią się, lecz nie zabezpieczą nas przed poważnym trafieniem.

- Można to naprawić?

- Tak, gdybyśmy mieli dość czasu. Kilka godzin. Sprzęt jest w większości w porządku; oprogramowanie również, ale dołączona instrukcja instalacji jest fałszywa. Musimy odinstalować software, wymienić niestandardowe części, po czym na nowo zainstalować oprogramowanie.

Mniej więcej siedem godzin. Wiem, że ostatnim razem zajęło nam to więcej czasu, ale wtedy nie znaliśmy tych urządzeń.

Głos w tle.

- Nie teraz, Toby - rzuciła Quincy.

- Ale...

- Nie teraz - powtórzyła Quincy. Po czym bezpośrednio do interkomu: - Myślę, że zajmie nam to co najmniej siedem godzin.

Nie mieli siedmiu godzin. Nie teraz. Ky usiłowała coś wymyślić. Bez osłon stanowili łatwą zdobycz, tak łatwą, na jaką wyglądali.

- Quincy, gdzie jest reszta skrzyń, które dostarczyli Mackensee, oznaczonych jako MODEL 87-TR-5003?

- W ładowni numer jeden. A co?

- Ponieważ potrzebujemy ich i to zaraz. I tamtych drugich, oznaczonych jako dezodoranty. Wydostań je, rozpakuj i zadzwoń po mnie, jak tylko ich zawartość będzie leżała na podłodze.

- Pozwól mi jej powiedzieć... - rozległo się cicho z interkomu. Toby, rzecz jasna. Litość dla dzieciaka, który stracił wszystkich razem ze statkiem na Allray i prawdopodobnie sam umrze za kilka godzin dodała jej cierpliwości.

- Pozwól mu mówić, Quincy - poleciła. - Mów, Toby.

- To nie zabierze tyle czasu - zaczął Toby. - Zamierzałem powiedzieć o tym Quincy, ale ona zaraz do pani zadzwoniła. Odszukałem miejsca, gdzie trzeba wymienić komponenty i wszystko już naszykowałem. Sam nie zrobiłbym tego bez rozkazu, kapitanie. Wiem, że to byłoby złe, ale pomyślałem... pomyślałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Świetna robota - pochwaliła go Ky. Czy dzięki temu zaoszczędzą wystarczająco dużo czasu? - Jest tam Jim? Rafe też przyjdzie wam pomóc. Możesz pokazać im wszystkie punkty? -

Martin również mógłby pójść, ale będzie potrzebowała go przy minach.

- Tak jest, kapitanie. Do niektórych trudno się dostać...

- Wciśniesz się. Dobrze. Quincy...

- Tak... - Najwyraźniej rozmawiała z innego stanowiska.

- Toby mówi, że wykonał już część roboty. Zlokalizował wszystkie elementy do wymiany i naszykował niezbędne części zamienne. Ile zaoszczędził czasu?

- Może godzinę, może więcej - odparła Quincy. - Ufasz czternastolatкови?

- Quincy... albo to jest to, albo po nas. Nie mamy siedmiu godzin, być może zostało nam tylko pięć i pół. Odkrył problem i częściowo go rozwiązał. Muszę mu zaufać.

- W porządku. Wyciągam te twoje skrzynie...

- A ja wysyłam Rafe'a, żeby pomógł wam z oprogramowaniem. Daj Toby'emu wszystkich wolnych ludzi do pomocy. Niech zaprowadzi ich na miejsca.

Rozejrzała się i zauważyła, że Rafe już wyszedł. Nie miał kłopotów z brakiem inicjatywy.

- Lee, zostajesz na mostku; idę osobiście sprawdzić miny. Kupiłam takie, o jakich uczyłam się na Akademii - jeśli je uszkodzono, dokonam napraw. - Miała nadzieję. Pod warunkiem, że będzie to coś prostego, na przykład rozłączone przewody. Miny przesłane przez MacRoberta były bardziej wyspecjalizowane.

Stella czekała pomiędzy mostkiem a mesą.

- Jak zła jest sytuacja i w czym mogę pomóc?

- Bardzo zła. Jeżeli znasz się na programach, możesz zejść na dół do Inżynierskiego i pomóc Rafe'owi.

- Osman...?

- Ma żal do naszych rodziców. Ciekawe, czy to on doprowadził do zaatakowania Vattów... choć jego pretensje są bardzo osobiste. Mógł nam zaszkodzić bez wplątywania w to ISC. Szczególnie zależy mu na dzieciach naszych rodziców. Nie wie o tobie, ani Tomby. I nie dowie się. Chodź... muszę coś sprawdzić.



Rząd min niesamowicie przypominał jej tamte, wyłożone na podłodze sali Akademii, gdzie odbywały się ćwiczenia z obsługi uzbrojenia defensywnego. Wtedy było ich tylko piętnaście, po jednej na każdą czteroosobową grupę kadetów i nie były uzbrojone. Czy te były takie same, tylko śmiercionośne? A może okazały się równie bezużyteczne, jak przepowiedział

Osman co do systemu obronnego. Bulwiasty przód z systemem nawigacyjnym i opasły cylinder z ładunkiem wybuchowym oddzielone były od siebie - co zauważyła z ulgą -

odpowiednim plastikowym bezpiecznikiem, zapobiegającym przypadkowej eksplozji.

Guzowaty segment można było odkręcić, by w zależności od potrzeb zamontować najróżniejsze komponenty wzmacniające napęd lub naprowadzanie. Te miały jedynie podstawowe wyposażenie: silnik nuklearny i najprostsze mechanizmy naprowadzające. Ky nie stać było na bajery. Z drugiej strony, instruktorzy zawsze powtarzali, że nawet kamień może zniszczyć statek, jeśli tylko kombinacja masy i przyspieszenia nada mu odpowiednią siłę.

- Martin, znasz się na takich urządzeniach?

Pokręcił głową.

- Przykro mi, madame, ale wiele lat minęło, odkąd uzbroiłem bądź rozbroiłem jakąś minę. Wiem, czym są, ale tego typu uzbrojenie nigdy nie było moją specjalnością.

Co za rozczarowanie.

- W takim razie lepiej będzie, jak pójdziesz pomóc w reinstalacji systemu obronnego -

uznała. - Zajmę się tym sama.

Załadowała instrukcję do ręcznego wyświetlacza. Otuchy dodało jej odkrycie, iż to, co jej zdaniem należało uczynić najpierw, faktycznie trzeba było zrobić w pierwszej kolejności.

Wyciągnęła pęk przewodów bezpieczeństwa z kartonu, wyluskała jeden i wsunęła magnetyczny klip do otworu panelu kontrolującego detonację, zanim usunęła plastikowy bezpiecznik, pełniący tę samą funkcję. Teraz mina nie mogła wybuchnąć niezależnie od błędów, jakie mogłaby popełnić w trakcie jej oglądania i programowania. Najpierw wszystkie okablowała, a potem otworzyła moduł nawigacyjny pierwszej z nich. Rzut oka do podręcznika odświeżył jej pamięć: wnętrza miny wyglądały znajomo i wszystko zdawało się znajdować na swoich miejscach... Jej wzrok przyciągnął purpurowy przewód. Powinien być podłączony...

tam. Wcisnęła go na miejsce i otworzyła następny panel kontrolny. Ten sam purpurowy kabelek do podłączenia. Bardzo prosty sabotaż, łatwy do naprawienia, jeśli szukało się niezgodności. Czy oznaczało to, że nie zauważyła czegoś subtelniejszego? Miała nadzieję, że nie. Brakowało jej czasu na rozkręcanie każdej miny na elementy. Kolejny rzut oka do podręcznika. Kontrolki wykrywania, sterowanie silnikiem - wszystko nieprawidłowo podłączone. Zerknęła na chronometr. Minęło dziesięć minut. Dziesięć razy dwadzieścia jeden dawało dwieście dziesięć minut. Zbyt długo - musiała poruszać się szybciej. Ale ostrożnie.

A jak zamierzała umieścić je w przestrzeni, żeby nie zauważył tego Osman, ani jego kamracy? Dobrze było umieścić ładunek wybuchowy na trajektorii wroga, lecz wymagało to dokładności. Miny o włączonych silnikach można było namierzyć i ominąć. Nie miała wystarczająco dużo czasu, by umieścić za statkiem odpowiednio szeroko rozrzuconą zaporę.

Musiała znaleźć sposób, by odciągnąć ich uwagę od statku, tak żeby Osman niczego nie zauważył...

Naprawiła cztery miny, gdy z mostka zadzwonił Lee.

- Wzywa nas.

- Może zaczekać - odparła Ky.

- Obiecuję darować załodze życie, jeśli panią unieszkodliwimy, a także nagrodę, gdybyśmy zdołali dostarczyć mu panią żywcem.

- Zamierzasz skorzystać z oferty? - zapytała.

Lee prychnął.

- Nie, kapitanie. Nie wierzę mu.

- Nie musisz mu tego mówić - postanowiła Ky. - Jeżeli uzna, iż zdobył sojusznika, może nakłonić przyjaciół, żeby nie otwierali ognia.

- Myślałem o tym, ale nie chciałem nic robić bez pani zgody.

- Zrób tak - poleciła mu Ky. - Liczy się każda minuta. - Nawet rozmawiając, pozwalała palcom robić swoje... otworzyć pokrywę, odszukać luźne połączenie, wcisnąć, sprawdzić resztę elementów, zamknąć i zapieczętować, otworzyć następną... - A jeśli podejdziesz bliżej...

może uda się nam zdobyć nowy statek.

- Skafandry - spytał pilot?

Ky przerwała, a jej dłonie znieruchomiały. Skafandry mogą ich ocalić... lub skazać na powolne konanie na zewnątrz statku. W skafandrach będą mniej sprawni...

- Jeszcze nie teraz - uznała. - Ale powiedz mi, kiedy się zbliży i to w taki sposób, żeby nie zorientował się, co robisz.

- Tak jest, kapitanie. Uch... będę potrzebował kogoś do roli drugiego buntownika. Kogo mam wziąć? Rafe'a?

- Tylko nie jego - rzuciła natychmiast. Osman pozna się na Rafe i choć mógłby uwierzyć, że ten zwrócił się przeciwko niej, nie zaufałyby jednemu jego słowu. Przez głowę przemknęły jej twarze

załogi. Alene? Sherry? Mirt? Beeah? Nie, Osman mógłby rozpoznać wieloletnich pracowników Vattów. Ani Martin: zanadto wyglądał na wojskowego. - Jim -

postanowiła. - Będziesz musiał sam mu to wyjaśnić; ja nie mam czasu.

- Zrobi się - rzucił Lee.

Ky wróciła do min, ze zdziwieniem zauważając, że jest już przy szóstej. Znowu zaczęła zastanawiać się nad jak najlepszym ich rozmieszczeniem, ale zaraz zmusiła się do skupienia uwagi na obecnym zadaniu. Nie wolno jej popełnić żadnego błędu. Szósta, siódma, ósma...

Lee przełączył na najbliższy głośnik rozmowę, jaką do spółki z Jimem prowadził z Osmanem.

- ...po prostu unieszkodliwcie ją - doradzał Osman.

- Nie rozumie pan - odparł pełnym napięcia, jęklwym głosem Jim, zniekształcanym dodatkowo nosowym akcentem Belinty. - Ona przedtem zabiła buntowników. Jest niebezpieczna.

- Ja również - oznajmił Osman. - Jeśli nie przejmiecie kontroli nad statkiem, będę go musiał zniszczyć. I was przy okazji. Słuchajcie, przedtem spodziewała się kłopotów. Teraz myśli, że ma absolutnie lojalną załogę...

- I większość z nich taka jest, dają głowę - powiedział Lee. - To znaczy... ona nie jest taka zła...

- Chcą żyć czy lojalnie umrzeć? - zapytał Osman. - Zadajcie im to pytanie. Nie wszystkim. Ta stara kretynka Quincy wolałaby raczej spłonąć, niż zdradzić Vattów. - W głosie zabrzmiała drwina. - Ale taki właśnie jest wybór. Pracować dla mnie albo umrzeć. Nie macie zbyt wiele czasu... Nie, nie przerywajcie połączenia.

Nie ufał Lee, ani Jimowi. Nic dziwnego.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmił Lee. - Zauważyłaby, gdyby wróciła na mostek...

zakazała mi nawiązywania połączeń...

- Gdzie jest teraz?

- Gdzieś na tym cholernym statku - odparł Lee. - Sprawdza coś, ale wiem, że wkrótce wróci na mostek... a my musimy pogadać z innymi. Jim i ja to za mało. Jeśli ta Quincy coś wywęszy...

Ky z zachwytem słuchała gadki Lee. Albo miał jakieś wcześniejsze, nieznane jej doświadczenia, albo przez ostatnich kilka miesięcy strasznie go zepsuła. Podejrzewała obie możliwości.

- Jak myślicie, ilu przyłączy się do was?

- Allie - zaczął wymieniać na głos Jim. - I tak jest nieszczęśliwa; powiedziała mi, że nie lubi nowego szefa załadunków.

- Możliwe, że Mirt się zdecyduje - dodał Lee. - Umie się bić. Prawdopodobnie Sheryl.

Jak sam pan powiedział, kapitanie, Quincy na nic się nam nie przyda, co więcej - zaraz wygadałaby wszystko naszemu kapitanowi.

- Macie dwadzieścia minut - zapowiedział im Osman. - Potem zgłosicie się i zameldujecie, jak wam idzie.

- Co będzie, jeśli ona zdąży wrócić na mostek?

- Jeżeli w czwórkę nie poradzicie sobie z jedną osobą, to okażecie się bezwartościowi - zagroził Osman.

- Zgoda - rzucił Lee.

\* \* \*

Ky skończyła z dziewiątą miną, rozważając jednocześnie poważniejszy problem. Ale czy naprawdę był to problem? Może raczej okazja?

Chciał podlecieć do nich i wejść na pokład... Gdyby jej załoga potrafiła poruszać się w przestrzeni kosmicznej, mogłaby posłać kogoś z miną, gdy dostatecznie się zbliży. Ale nie dysponowała ludźmi o takich umiejętnościach. Poza tym, uszkodziłaby lub zniszczyła statek, który chciała zdobyć, zdradzając przy okazji sojusznikom Osmana, że bunt był udawany.

Gdyby unieszkodliwiła systemy jego statku... zamarła, gdy w jej umyśle rozwinął się inny scenariusz. Obrazy przelatywały jej przez głowę z taką prędkością, że z trudem za nimi nadążała. Korytarz transferowy. Właz awaryjny Z korytarzyka wylatuje zamglony kształt... nie jedna z tych min, tylko inna, dostarczona jej przez MacRoberta.

- Quincy. Martin.

- Tak, kapitanie?

- Czy mamy jakieś... urządzenie, które mogłoby wystrzelić, powiedzmy, siedemdziesięciokilogramową masę na odległość stu - dwustu metrów?

- Masz na myśli tłok hydrauliczny? Nie.

Nie. Nie taką odpowiedź chciała usłyszeć. Oczyma wyobraźni ujrzała pistołuł Mehar.

Powiekszyć go. U zarania dziejów ludzie używali tego typu machin do miotania głazów... ale nie mieli czasu, żeby coś takiego zbudować, a poza tym, musiałaby być szersza od korytarza awaryjnego. Czyjej załoga - cała załoga - wystarczająco szybko przeciągnęłaby takie urządzenie na miejsce? Prawie na pewno nie. Brzdęk! Podskoczyła na dźwięk pękającej taśmy ładunkowej. Nagle w jej głowie zmaterializował się plan, jasny i pełny.

- Quincy, ile potrzeba by taśm ładunkowych, żeby przyspieszyć taką masę?

- Taśmy ładunkowe... taśmy ładunkowe] - Ky niemal widziała pracujący na najwyższych obrotach inżynierski umysł tak wyraźnie, jakby implant Quincy przesyłał jej gotowe obrazy. - To najbardziej zwariowany... ale... Alene! Sheryl! Przynieście mi wszystkie taśmy ładunkowe, jakie znajdziecie - przede wszystkim purpurowe i zielone, trzymetrowe...

trzeba będzie jakoś je przywiązać...

- Tak. - Jak również upewnić się, że pocisk przeleci przez wewnętrzny i zewnętrzny właz, że wejście do statku Osmana stanie otworem oraz że uda im się wykorzystać powstałe zamieszanie lub że nie ucierpią zanadto, gdyby plan spalił na panewce. Niemniej poczuła przypływ pewności siebie. To mogło się udać, a gdy tylko przejmie kontrolę nad statkiem Osmana, będzie mogła wykorzystać go w charakterze tarczy przeciwko jego kamratom.

- To bardzo niebezpieczny plan, madame... - zaczął Martin.

- Znajdujemy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji - odparła Ky. - Co zauważyło już kilka osób, w tym również ty. Masz lepszy pomysł? Jeżeli plan się powiedzie, zapobiegnie abordażowi.

Jego plan na wypadek abordażu był bardzo skomplikowany i nie była pewna, czyjej załoga poradziłaby sobie z realizacją. Zwłaszcza ostatniej fazy.

- Rozumiem, madame.

- Quincy, oszacuj, jakie uszkodzenia impuls elektromagnetyczny wymierzony w jego statek może wyrządzić naszym wysięgnikom, urządzeniom na korytarzu i systemom sterowania... - Rozdarła karton.

- Tak jest - rzuciła Quincy weselszym tonem. - Przyślij mi tutaj Martina.

Ryzyko. Jeżeli się nie uda, mogą zostać schwytani. Nie wolno do tego dopuścić. Toby nie może wpaść w ręce wroga, tak samo Stella, czy Quincy... ani ona sama. Uznała, że plan ma szanse powodzenia - stanowczo tak - ale co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? Wezwała Toby'ego, Stellę i Rafe'a na spotkanie w mesie. Mieli prawo jako pierwsi dowiedzieć się najgorszego. Poznać ostatnie elementy planu Martina, o których nie wspomniała im wcześniej w nadziei, że nigdy do tego nie dojdzie.

- Sytuacja jest... poważna - oznajmiła. Toby zbladł, lecz nie poruszył się. Błada z natury Stella także siedziała spokojnie.

- Beznadziejna? - spytał Rafe.

- Nie. Nie jest beznadziejna. Trudna, niebezpieczna, skomplikowana. Ale nie beznadziejna.

Rafe wyduł wargi.

- Czasami warto przyznać, kapitanie Vatta, że nie ma alternatywy.

Zaalarmowała ją ta formalność.

- Uważasz, że nie mamy wyjścia?

- Mają nad nami przewagę liczebną, szybkości statków i uzbrojenia, dzięki któremu mogą nas zniszczyć, jeżeli nasz system defensywny nie wytrzyma. Nasi nieprzyjaciele złożyli propozycję, dzięki której przynajmniej część załogi zachowa życie... a przy okazji: wierzysz w to?

- Oczywiście, że nie - odparła Ky. - Życie moich ludzi nie interesuje ich w najmniejszym stopniu. W przeciwieństwie do mnie, jak zakładają.

- A ten plan zakłada, że dopuścimy do abordażu. Może więc nadszedł czas... żeby przełknąć kulę.

- Nie sędzę - sprzeciwiła się Ky. - Moim zdaniem nadszedł czas, żeby zmusić wroga do przełknięcia kuli. Tyle tylko, że nie będzie łatwo upewnić się, iż nie utknie mu ona w gardle.

- A ceną za błąd może być długa i powolna śmierć - zauważył Rafe, patrząc jej prosto w oczy.

- Przynajmniej temu możemy zapobiec - odrzekła Ky. Nie patrzyła na Toby'ego; nie chciała widzieć, jak w jego oczach pojawia się zrozumienie. Wtem szczeniak wyrwał mu się z ramion; pazury zazgrzytały o pokład.

- Hultaj! - zawołał napiętym głosem chłopiec.

- W porządku - mruknęła Ky, z ulgą przyjmując ten przerywnik. - Zachowanie Hultaja to w tej chwili najmniejszy problem. Uważam za swój obowiązek zapewnienie każdemu członkowi załogi możliwości szybkiej śmierci...

- Ma pani na myśli... samobójstwo? - zapytał Toby.

Teraz musiała już na niego spojrzeć. Zmarszczył brwi, usiłując zachować spokój; szczęki miał zaciśnięte, a usta utworzyły zdecydowaną linię.

- Tak - potwierdziła. - Lecz tylko, jeśli okaże się to niezbędne, gdyż zawiedzie wszystko inne.

- Moja... moja rodzina nie wierzyła w samobójstwo - powiedział, spuszczaając głowę.

- Ani moja - dodała Ky. - Ze zwykłych przyczyn. Ale Toby, jeżeli Osman cię uwięzi...

lepiej o tym nie myśleć.

- Ja... nie chcę umierać.

- Ja też nie. Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzam. Planuję zabić Osmana, choć rodzice nauczyli mnie również, że zabijanie jest złe. Niemniej podpisałeś umowę spółki jak dorosły, Toby. Dorośli

muszą czasami robić rzeczy, o których nigdy by nawet nie pomyśleli. Jeśli naprawdę nie możesz...  
cóż... zajmiemy się tobą.

Z wyrazu twarzy sądząc, to również rozumiał.

- Możemy ich zabić?

- Tak sędzę. Albo osobiście wysadzę ten statek w powietrze.

- W porządku. - Twarz mu stwardniała. Ky zerknęła na Stellę i Rafe'a. - Jeśli będę musiał, zrobię to sam. Czy to... będzie bolało?

- Nie - odrzekła Ky, po czym uczciwość zmusiła ją do dodania brutalnego: - A przynajmniej nie tak długo, jak miałyby to miejsce w niewoli u Osmana. - Podała im pakieciki.

Hultaj obgryzał jej but; pochyliła się i podniosła go z podłogi. Wił się gwałtownie i zdołał polizać japo brodzie, zanim zdołała umieścić go z powrotem w ramionach Toby'ego.

- Weź go, Toby - powiedziała. Szukała słów pociechy; na próżno. Co można powiedzieć po tym, jak uświadomiło się chłopca, że może być zmuszony do odebrania sobie życia? Zawsze można było uciec się do poczucia obowiązku... a czyż każdy nastolatek nie marzy o zostaniu bohaterem? - Zaopiekuj się nim i rób wszystko, co powie Quincy. Jesteś sprytny... możliwe, że to właśnie ty uratujesz statek.

- Tak jest, kapitanie - odparł Toby. Nadal miał przestraszoną minę, lecz w oczach zabłysła mu iskierka zainteresowania. - Ja... postaram się pomóc.

- Już to zrobiłeś, Toby. Pewnego dnia będzie z ciebie świetny kapitan. - Jeżeli dożyje.

Jeżeli którekolwiek z nich dożyje. Jeżeli będzie dysponowała statkiem, którego kapitanem go mianuje. Ale to już było jej zadanie.

\* \* \*

Ojciec powiedział jej kiedyś, że najłatwiej oszukać tego, kto spodziewa się, że zostanie oszukany. Słyszała to również od innych, a ostatnio od samego Osmana. Z pewnością będzie spodziewał się sztuczek, tylko jakich? Że bunt był udawany, a jej załoga naprawdę stawi mu opór? Że ona odkryje spisek? Co będzie stanowiło dla niego wskazówkę, że tak właśnie było?

Najpewniej zwłoka. Jeśli jej załoga zacznie szukać wykrętów, opóźniać, uzna, że coś kombinują. Z drugiej strony, jeżeli od samego początku zaczną go poganiać...

Wywołała Lee na prywatnej linii.

- Powiedz mu, że wszystko musi odbyć się jak najszybciej - poleciła. - Powiedz, że obawiasz się, że coś odkryję i podburzę lojalną mi część załogi albo zniszczę statek. - Wtem do głowy przyszła jej nowa myśl. - Powiedz mu, że masz mój implant.

- Nie ma pani implantu.

- On o tym nie wie. Zapytał mnie, jakimi danymi dysponuję i czy mogłabym zapewnić mu nowelizację. Skłamałam, że mam wgraną jedynie podstawową bazę danych. Nie uwierzył mi; chce myśleć, że posiadam zaawansowaną bazę.

- Ale pani jej nie ma... prawda?

- Nie w głowie. Dzięki temu otrzyma przekonujący dowód: zobaczy, jak leżę nieprzytomna z otwartą głową. To twoja wajcha bezpieczeństwa, Lee. Jeśli zniszczy statek, utraci skarb - informacje z głównej bazy danych Vattów. Potarguj się z nim. Powiedz, że możesz mu oddać implant i ładunek, jeżeli puści wolno statek i załogę.

- A co z panią?

- To potrwa tylko chwilę - nagrasz mnie na dowód, że jestem uwięziona i bezsilna.

Stella pokręciła głową.

- To się nie uda - oceniła. - Zbyt niebezpieczne. Zagram twoją rolę - przecież nie wie, jak wyglądasz...

- Może mieć nagrania z Lastway - mruknął Rafe. - Jeżeli przekupił kogoś z MilMartu, mogą dysponować mnóstwem fotek.

- Peruka, makijaż - upierała się Stella. - Jestem dobra w przebierankach; wiesz o tym.

Bardzo prawdopodobne, że zażąda ciągłego podglądu, a nie tylko jednego ujęcia.

- Torba na głowie - podsunęła Ky. - To jeszcze bezpieczniejsze. Ale zbliżenie, żeby pokazać miejsce po implancie... to musi być moja głowa. Niezależnie od makijażu twoje kości policzkowe w niczym nie przypominają moich.

- Co z implantami? Masz teraz dwa: jeden przesłany ci przez ojca na Sabinę za pośrednictwem Furmana oraz główny po... po nim.

- A ty jaki masz, Stello?

- Aktualnie? Poziom Drugi Administracyjny. Mnóstwo danych, ale żadnych funkcji dowódczych.

- Implant dostarczony przez Furmana dałby ci możliwość dowodzenia tym statkiem - powiedziała Ky.

- Nie chcę go - odparła Stella. - Pamiętaj, że nigdy nie służyłam na statku. Nie mając czasu na zapoznanie się z zawartością bazy danych, mogłabym przypadkiem nieźle narozrabiać. Czemu nie



oddasz go Toby'emu? A ty naprawdę powinnaś mieć założoną główną bazę danych.

To prawda, sama już o tym myślała.

- Nie ma czasu - mruknęła. - Jeżeli nie zdążę się przystosować, nie będę zdolna do działania, kiedy wejdą na pokład.

- Rafe utrzymuje, że to możliwe - upierała się Stella.

- Wierzysz mu?

- Tutaj chodzi także o jego życie - zauważyła Stella. - Naszą szansą jest jak największe wzmocnienie twoich możliwości, czyż nie?

Niestety. Jej wcześniejsze obiekcje przed założeniem sobie implantu teraz wyglądały na głupie wymówki. Gdyby uczyniła to na Lastway lub w trakcie bezpiecznego lotu w hiperprzestrzeni... mieliby czas, żeby poradzić sobie z ewentualnymi kłopotami. Nawet, gdyby kompletnie ją to rozłożyło, Stella mogłaby poprosić o pomoc najemników. Ale ona wolała zostawić to na ostatnią chwilę w nadziei, że dotrzyma do końca tych sześciu miesięcy. A teraz...

- Dobrze - postanowiła i obróciła się do Rafe'a. - Czy jest możliwe, żebyśmy zdążyli w czasie, jaki nam pozostał?

- Możliwe do zrobienia - tak. Możliwe, żebyś odzyskała pełną funkcjonalność - to już mniej pewne. Prawdopodobnie - jesteś młoda, a implant jest dostrojony genetycznie do ciebie.

Lecz przyspieszenie procesów adaptacyjnych może boleć. To, co twój mózg robił dotychczas w trakcie snu, teraz będzie musiał dokonać znacznie szybciej i to przy pełnej świadomości. I lepiej, żebyś zrobiła to od razu - będziesz potrzebowała każdej minuty na adaptację.

Czas... czas im umykał, minuty zbyt szybko przemijały. Ky naszykowała jedną z min, które MacRobert przesłał jej do specjalnego wykorzystania, po czym wyjaśniła Jimowi, co powinien zrobić, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Martin przejmie dowodzenie obroną statku, gdyby ona nie była w stanie. Mieli tylko jedną szansę na unieszkodliwienie statku Osmana...

nie pozwalała sobie na roztrząsanie, czy aby za kilka godzin wszyscy nie będą martwi. Nie umrą; nie zamierzała do tego dopuścić.

\* \* \*

Widok nieprzytomnej Ky z wyciągniętym z głowy implantem nagrali tuż przed włożeniem jej przez Rafe'a implantu.

- Będzie chciał stałego podglądu - przewidywała Ky. - Będzie chciał upewnić się, że to nie sztuczka. A my zapewnimy mu ten stały podgląd a przynajmniej coś, co będzie na niego wyglądało. Niestabilny obraz z ręcznej kamery, przyniesionej specjalnie w tym celu. Żadnych ujęć z kajuty kapitańskiej; uwierzy w to. Pokażecie mnie z wyciągniętym implantem, potem implant w czyjejs dłoni w

rękawiczce, a potem ktoś inny założy mi worek na głowę i zwiążecie mnie. Potem niby przypadkowa ucieczka obrazu, szybkie kadrowanie i ponowne skupienie obrazu na związanej postaci, leżącej na mojej koi. To będziesz ty, Stello... jesteś pewna?

- Jestem pewna - oświadczyła zapytana. - W tej chwili jestem najmniej potrzebna.

Nie była niepotrzebna. Żaden Vatta nie był niepotrzebny. Ale także nikt z jej załogi.

- Upewnij się tylko, żeby nie dorwał mnie żywej - zastrzegła sobie Stella. - Ani mnie, ani mojego implantu.

- Nie ma szansy cię dopaść - zapewniła ją Ky z większą pewnością, niż czuła. W kilka minut przyszykowali całą scenkę. Ky położyła się na koi i pozwoliła, by Rafe wbił igłę w jej żyłę; ostatnim, co zrobiła, nim ogarnęła ją ciemność, było zmówienie szybkiej modlitwy, żeby nie pomyliła się w jego ocenie.

Ocknęła się po chwili na stole w mesie, czując mdłości i dezorientację. Tuż nad sobą ujrzała twarze Rafe'a i Quincy.

- Ky... - przemówiła staruszka. - Wiesz, kim jestem?

- Quincy Robins - odpowiedziała Ky, walcząc z opornym językiem. Wzrok jej się przymglił, zamigotał, a po chwili wyostrzył, ukazując jednocześnie tekst i ikony: pełna, zastrzeżona kartoteka Quincy, wyświetlona wskutek skupienia spojrzenia na ikonach, wywołujących dodatkowy tekst. - Czterokrotnie wyszłaś za mąż?

- Tego miało dotyczyć moje następne pytanie - stwierdziła Quincy. - Przynajmniej wiemy, że implant działa.

- Przepraszam - wymamrotała Ky, kładąc rękę na czole. - To jest... nieco przytłaczające.

Jak długo...

- Piętnaście minut - odparł Rafe. Ku jej zdziwieniu, ujrzała wyskakujące dane na temat jego powiązań ze Stellą, usiane licznymi pytajnikami. - Zajęło to nieco więcej, niż planowałem; to bardzo skomplikowany implant, a procedury adaptacyjne są... zawile. Jak z twoim widzeniem?

- Dziwnie - odrzekła. Wszystko, na co spojrzała, wywoływało okienko z danymi; powinna móc to stłumić, lecz na razie standardowe metody kontroli zdawały się nie działać.

Czyjej ojciec musiał borykać się z tym przez cały czas? - Ile mamy czasu?

- Osman zamierza przycumować za trzy godziny.

Na to nazwisko wyskoczyła kartoteka Osmana... Było jeszcze gorzej, niż pamiętała Quincy. Skierowano go po poradę, następnie na przymusowe leczenie psychiatryczne, przymusową kontrolę implantu... wtedy uciekł... Kradł siłą i podstępem, parał się szulerką, próbował oszukiwać

spedytorów i własny statek. Wykazywał obelżywe podejście do partnerek seksualnych. Skłonność do przemocy ujawniła się u niego bardzo wcześnie i nigdy nie została wykorzeniona.

Była idiotką, dokładnie tak, jak powiedział Johansson. Zaryzykowała ostatkiem struktur dowodzenia Vattów i dopiero teraz przyszło jej do głowy, że mogła przecież odesłać Stellę i Rafe'a na pokład eskortowca, gdzie byliby bezpieczni razem z główną bazą danych Vattów.

Ale nie miała czasu na samooskarżanie się. Rozejrzała się dokoła mentalnie, naciskając każdy możliwy guzik, żeby sprawdzić, co się stanie. Oszołomienie... nudności... zauważyła, że ktoś podsuwa jej miskę pod brodę... zanurzyła się z powrotem w strumień danych. Nie tak powinno się zgrywać z nowym implantem, zwłaszcza tak złożonym, ale nie miała czasu na nic innego.

W końcu odzyskała ostrość widzenia. Spojrzała na Quincy. Zatroskanej twarzy nie przesłoniło żadne okienko z danymi. Rafe. To samo. Głowę miała przeładowaną informacjami; nie była pewna równowagi, ale musiała zacząć funkcjonować.

- Czego używasz - zapytała Rafe'a - kiedy musisz szybko stanąć na nogi?

- Kawy - odrzekł. - Proszę, masz kubek. Chyba, że nadal chce ci się rzygać.

- Nie, mam już zupełnie pusty żołądek - wyznała Ky. Spróbowała usiąść i pomieszczenie podskoczyło, przybrało bladożółtawą barwę, po czym wróciło do normalności.

- Nie wygląda na to - zauważył Rafe, podtrzymując ją ramieniem i ściskając kubek w drugiej dłoni.

- Nacisnęłam wszystkie guziki - wyjaśniła. Wyprostowała się ponownie i poczuła lepiej, choć nadal dziwnie. Wyciągnęła przed siebie dłonie. Lewa drgała w powolnym rytmie.

Próbowała zmusić ją do bezruchu, bezskutecznie. Prawa była nieruchoma. - Dobrze, że jestem praworęczna - uznała i napiła się kawy. Kilka łyków później wzrok wyostrzył się jej do granic bólu; poczuła, jak wibrują w niej naczynia krwionośne. - Wystarczy - powiedziała do Rafe'a.

- Nadwrażliwość zmysłów ustępuje po około czterech godzinach - poinformował ją.

Nie mieli czterech godzin. Ky włączyła się poprzez implant w obwody statku i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła bezpośrednie podłączenie do wszystkich funkcji, których tak jej brakowało.

- Jak Osman przyjmuje nagranie? - zapytała, po czym uświadomiła sobie, że wcale nie musiała tego robić. Implant podpiął ją pod system komunikacyjny statku i osobiście ujrzała oblicze kuzyna na połowie ekranu, podczas gdy na drugiej połowie odtwarzano otrzymywany przez niego przekaz wideo. Przyczaiła się i wsłuchiwała w słowa Lee.

- Zabarykadowali się w pomieszczeniu inżynierów - donosił jej pierwszy pilot. - Nie mogę uzyskać podglądu; pozastaliali kamery.

- To robota Quincy - uznał Osman. - Cóż, zajmijmy się nią, jak już wejdziemy na pokład. Gdzie jest implant?

Lee zrobił upartą minę.

- Nie powiem ci, jeszcze nie teraz - odparł. - Skąd mam wiedzieć, że nas nie pozabijasz?

- Znikąd - rzucił Osman. - Ale nie uczynię tego. Chcę tylko waszego kapitana, Quincy i implantu. Skoro już go zaoferowałeś, to wezmę również ładunek, potem jednak będziecie mogli swobodnie odlecieć. Albo przyłączyć się do nas, jeśli zechcecie.

- Część na pewno tak - powiedział Lee. - Ja jeszcze nie podjąłem decyzji. To... byłoby dziwne nie pracować dla Vattów...

- Ależ nadal pracowałbyś dla Vattów - nadął się Osman. - Przecież ja też jestem Vattą.

W zasadzie, wręcz spadkobiercą Vattów.

- To prawda... tak przypuszczam... - Lee zrobił zamyśloną minę. Ky doszła do wniosku, że minął się z powołaniem; był równie dobrym aktorem, jak pilotem.

- Czemu więc nie zdradzisz mi” gdzie jest implant?

- Włożyliśmy go w czyjąś głowę - odrzekł Lee. - Ale nie powiem ci, w czyją. Dzięki temu nikogo nie zabijesz... przynajmniej na razie.

Przez twarz Osmana przemknął cień, zaraz jednak wrócił na nią uśmiech.

- Pomysłowe. A ja podziwiam pomysłowość.

Ky uśmiechnęła się do siebie. W tym przypadku, powinien podziwiać jej pomysłowość... przez jakieś dziesięć sekund przed śmiercią.

Jej plan miał zbyt wiele groźących porażką punktów, żeby ją usatysfakcjonować, niemniej był jedynym, jaki udało się jej wymyślić i również był pomysłowy.

Odepchnęła się od stołu i zatoczyła; Rafe znowu ją podtrzymał.

- Koordynacja ruchów wróci prędzej, jeśli pokręcisz się trochę po pomieszczeniu -

doradził. - Ale kilka razy wpadniesz na ścianę.

- Świetnie - mruknęła. Jedna noga zdawała się być dłuższa od drugiej, po chwili wrażenie odwróciło się. Zwykle podczas snu mózg i implant dopasowywali się do siebie bez najmniejszego problemu, ale Ky nie miała czasu na spanie. Czekala ją bitwa do stoczenia. -

Niech ktoś przyniesie mi pistołuł Mehar - poleciała. - Skoro nie mogę prosto chodzić, muszę przynajmniej prosto strzelać. Potrzebuję też skafandra. - Zrobiła kilka niepewnych kroków, usiadła na krześle i znowu wstała.

- Proszę, kapitanie. - Mehar osobiście przyniosła jej broń. Ky szybko wyłączyła okienko z danymi sprzężonymi z twarzą i głosem przybyłej, po czym przyjęła od niej pistolet załadowany bełtami o tępych grotach. Mehar zdążyła umieścić poduszkę na krześle na drugim końcu pomieszczenia. Quincy trzymała w rękach skafander Ky, rozpięty i gotowy do założenia.

Ky wycelowała w poduszkę; bełt łupnął prosto w cel.

- No cóż, to już coś. - Dała krok w bok i omal nie przewróciła się na stół. - A to coś zupełnie innego... - Drugi strzał chybił o ponad stopę.

- Zatańcz - zasugerował Rafe.

- Taniec...?

Zrobił coś i z głośników popłynęła muzyka.

- Podejdz do mnie - zaprosił ją. - Pokażę ci.

Zmieszana i niepewna równowagi Ky pozwoliła się objąć, a on zaczął poruszać się w rytm, prowadząc ją.

- Umiesz tańczyć? - szepnął jej do ucha.

- Eee... tak. - Każde dziecko Vattów pobierało lekcje różnych odmian tańca. Jak powszechnie wiadomo, taniec był dobrym przygotowaniem do lotów w nieważkości, ucząc świadomości i kontroli nad ciałem. Ale od... od balu juniorów w Akademii, który przetańczyła z Halem, nie miała ku temu okazji, zresztą, nie w głowie jej były płąsy. A teraz muzyka i Rafe pospołu przywrócili jej tę umiejętność. Walka ciała z implantem uspokajała się, w miarę jak melodia i rytm docierały do starszych części jej mózgu; poruszała się coraz pewniej. Dygotanie lewej dłoni ustało; czuła, jak wojujące ze sobą strony jednoczą się w harmonii. Co więcej, czuła ciepło i radość, jakiej od dawna nie doświadczała...

- Dobrze tańczysz - pochwalił ją Rafe na ucho. - Jednak nie jesteś taką zimną rybą... -

Odsunął się lekko od niej. - Teraz lepiej?

- Tak - odparła zaskoczona. - Skąd wiedziałeś... - Miała nadzieję, że policzki nie płoną jej szkarłatem bardziej, niżby wymagała reakcja na implant. Ani pora nie była odpowiednia, ani męczyzna.

- Złe doświadczenia - odrzekł. - Zamiana implantów w męskiej ubikacji w trakcie balu w ambasadzie. Myślałem, że wystarczy udawać pijanego przez parę godzin, ale zabrakło mi szczęścia. Musiałem wstać i tańczyć - odmowa mogła wywołać wojnę - i po kilku minutach poczułem się znacznie lepiej. Znacznie dłuższą chwilę zabrało mi pozbycie się tamtej wstrętnej baby.

Ky bez kłopotów okrążyła pomieszczenie, trafiając w poduszkę wszystkimi pięcioma grotami i to z różnych kątów.

- Pora się ubrać - postanowiła. Dzięki zapewnianej przez skafander prywatności nikt nie zauważy, co czuła, a były to bardzo niebezpieczne uczucia, szczególnie tuż przed bitwą. Rafe obrzucił Ky domyślnym spojrzeniem, które zdawało się przenikać ją do głębi, a ona odpowiedziała spokojnym wzrokiem, siłą woli powstrzymując się przed zarumienieniem, bądź

jakąkolwiek inną reakcją.

- Nic ci nie będzie - pocieszył ją. Zaczął przywdziewać własny skafander.

## ROZDZIAŁ 20

Ostatnie chwile przed uniesieniem kurtyny... ostatnie chwile, zanim zabrzmie muzyka...

Ky omiotła spojrzeniem przygotowaną przez siebie scenę. Muzyka zagra, gdy wczepią się w nich wysięgniki Pięknej Kaleen, zostaną przyciągnięci do drugiego statku, a rękaw rozwinie się pomiędzy burtami i przylgnie dookoła ich włazu awaryjnego. Koniec sporów: Martin nadal uważał, że to on powinien znajdować się tam, gdzie była teraz Ky, niemniej to na nią spadała odpowiedzialność. To zadanie należało więc do niej.

Żołądek zawiązał się jej w supeł, a zaraz potem rozplatał. Niemal już doszła do porozumienia z implantem ojca - nie doświadczała więcej problemów sensorycznych, ani z zachowaniem równowagi. Nie miała czasu na zapoznanie się ze wszystkimi funkcjami, czy sposobem, w jaki porządkował pliki, lecz kontrola statku działała znakomicie. Miała nadzieję, że nie przyda się jej nic więcej. Ustanowiła połączenia z funkcjami własnego statku, jak również z Piękną Kaleen. Przez lata dowodzenia starym statkiem Osman z pewnością dokonał

pewnych zmian, lecz głęboko pod kolejnymi warstwami jego instrukcji tkwiły twarde jądra, które powinny odpowiedzieć na polecenia jej implantu w sposób, którego jej zdradziecki kuzyn nie mógł przewidzieć, ani mu przeciwdziałać. O ile dostanie się tam.

W słuchawce usłyszała, jak Lee opisuje zdyszczym głosem chaos, jaki wybuchł na statku.

- Umieściliśmy ją bezpiecznie w kajucie kapitańskiej - sam widziałeś - ale Quincy coś zrobiła...

- Nie przejmuj się tym - rzucił niecierpliwie Osman. - Wyślemy ekipę, żeby się tym zajęła. Jesteś pewien, że kapitan jest bezpieczny?

- Przecież sam widzisz - burknął Lee. - Po prostu nie chcę, żeby Quincy unieruchomiła statek - ta starucha jest wystarczająco szalona...

Dzięki implantowi Ky wiedziała, że drugi statek obrócił się do nich burtą - był to najbezpieczniejszy sposób zbliżenia się do innej jednostki, gdyż żadna nie osmali drugiej ciągiem napędu wewnątrzukładowego, gdyby ktoś go uruchomił. Oznaczało to również, że rotacja wokół osi statku doda pędu obiektowi wystrzelonemu z luku. Wykorzysta to, o ile przeżyje najbliższe kilka minut.

- Wyślij kogoś, żeby nam otworzył - rozkazał Osman Lee. - Albo wysadzę właz w powietrze.

- Już, już - rzucił pospiesznie Lee. - Jim, idź otworzyć luk.

- Dlaczego zawsze ja? - burknął w stronę kamery Jim, zaraz jednak puścił się biegiem korytarzem, mrugając do mijanej Ky i naciągając hełm skafandra próżniowego.

- Prawa strona - przypomniała mu. Pokiwał milcząco głową. Otworzył wewnętrzny właz, gdy nagle odezwał się Lee:

- Jim... uważaj... Quincy i ten debil Beeah wyleźli z ładowni...

- Pracuję nad tym - stęknął Jim. - Nie martw się... - Wszedł do służby awaryjnej i mocował się z zewnętrznym włazem. - Cholera, zacięło się...

- Ky zakładała, że Osman będzie ich podglądał przez niewielkie okienko obserwacyjne, jak również stale podsłuchiwał ich rozmowy.

- Zawsze były z nim problemy - mruknął Lee. - Mówiłem ci: mieliśmy z nim nielichy kłopot na Sabinę... pospiesz się!

- Przyślij mi kogoś do pomocy - zawołał Jim, dramatycznie szarpiąc się z przełącznikami.

- Nie mogę... muszę utrzymać mostek... nie mogę dopuścić ich do...

- Przerwały mu realistyczne odgłosy strzałów.

- Do licha! - warknął Jim i szaleńczo napał na dźwignię. Tym razem nacisnął

odpowiednie kontrolki i właz uchylił się. Skoczył w bok i rozpląszczył się na prawej ścianie służby, a Ky przecięła linę i wystrzelona ze splecionych elastycznych pasów mina elektromagnetyczna przemknęła koło jego kolan, przebyła rękaw i walnęła w postać w skafandrze kosmicznym, wrzucając ją z powrotem do służby statku Osmana. Osobnik ścisnął w rękach gruby dysk, w którym Ky na pierwszy rzut oka rozpoznała minę przyczepną.

- Zamknij właz! - wrzasnęła do Jima i rzuciła się z pomocą, licząc w myślach sekundy.

Cholera, cholera, cholera, cholera... zewnętrzny właz zaryglowany... wewnętrzny...

Łuuuup. Ky otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. ŁUUUUUUUUUP!

Zamigotały światła, zawył alarm. Wyjrzała przez maleńkie okienko w samą porę, by w zewnętrznych światłach jej własnego statku ujrzeć chmurę odłamków i gwałtowny rozpad rękawa. Liny cumownicze młóciły przestrzeń. Coś zagrzechotało o wizjer; odskoczyła, a po chwili wyjrzała znowu. Fragmenty kosmicznego pancerza... połyskujące czerwienią smugi.

Wszystko podeszło jej do gardła; z trudem przełknęła ślinę. Ze służby Pięknej Kaleen wytrysnął

drugi i trzeci obłok szczątków, a po chwili stała struga pary... odległość pomiędzy statkami

powiększyła się; tamta jednostka zaczęła obracać się wokół własnej osi. Ky uświadomiła sobie ze zgrozą, że patrzy na wyciek powietrza. Automatyczne systemy Kaleen zostały unieszkodliwione podwójną eksplozją, a jedna z min była przeznaczona do niszczenia kadłubów statków. Gdyby słuza jednostki Osmana nie była otwarta wcześniej, statek miałby przebite poszycie.

Wyobraziła sobie wycie uciekającego powietrza, przerażające w ciemnościach, jakie zapadły po awarii oświetlenia. Część przedziałów mogła ocaleć... ci w skafandrach mogli przeżyć kilka godzin, może nawet dni... w zależności jednak od spustoszeń, jakie poczyniły obie miny, statek mógł okazać się bezużyteczny.

Nie taki był jej zamiar. W głowie rozległ się cichy głosik, wyjaśniający nieistniejącym rodzicom, że to nie miało tak być. Chciała tylko wyłączyć ich systemy dowodzenia... Zamknęła wewnętrzny właz i potrząśnięciem głowy zbyła pytania Jima. Musiała pomyśleć, co dalej. Jak szybko systemy Pięknej Kaleen zrestartują się automatycznie? Czy wpłynie na to dekompresja? Jakich zniszczeń dokonała mina Osmana? Ilu członków jego załogi nie żyło i z jakim oporem musiała się liczyć w razie wkroczenia na pokład tamtego statku? Czy on sam zginął - czy był w służbie - czy nadal przebywał na pokładzie, walcząc o odzyskanie kontroli nad jednostką?

- Co to było? - usłyszała czyjś krzyk.

- Oni - stwierdziła. Implant wyświetlił dane dotyczące śmieci bombardujących osłony w postaci stałego strumienia liczb: wymiary, szacunkowa masa i prędkość odłamków; setki, tysiące mikrokolizji. Wyłączyła tę analizę jako nazbyt absorbującą, sprawdziła integralność i prawidłowość funkcjonowania systemów własnego statku i z ulgą stwierdziła, że nie odnieśli żadnych poważniejszych uszkodzeń. W drodze na mostek zatrzymała się w swojej kajucie, by poinformować Stellę, że wygrali pierwszą rundę.

- Zdejmij mi to z głowy - poprosiła Stella. Ky pomogła jej pozbyć się poszewki na poduszkę i więzów. Stella udała się z nią na mostek, gdzie królował Lee.

- Możesz przytulić nas do tamtego statku? - zapytała go Ky. Uwolniona od roli związanej ofiary Stella oparła się o grodz.

- Obraca się - zauważył Lee. - Skomplikowany manewr. W jakim celu?

- Po pierwsze, dzięki temu nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy, nawet jeżeli uruchomi główne skanery - będziemy zbyt blisko. Po drugie, nawet jeżeli ustalą naszą pozycję, każdy atak na nas grozić będzie zniszczeniem również jego statku. Zanim do tego wszystkiego dojdzie - o ile w ogóle - my spróbujemy wejść na jego pokład i przejąć kontrolę nad wszystkimi systemami. Albo będziemy zasypywać je kolejnymi atakami elektromagnetycznymi. Poza tym, jeśli się oddzielimy, jego kamracy - tamte dwa okręty wojenne - z pewnością nas ostrzelają, czego raczej nie zrobią, jak długo będziemy razem.

- Zakładasz, że Osman żyje i panuje nad sytuacją - rzuciła Stella.

- Mam nadzieję, że nie, lecz na razie wolę przyjąć takie założenie. Tak jest bezpieczniej.



Przynajmniej nie jesteśmy połączeni, a wszyscy w rękawie i śluzie powinni nie żyć. Sterowanie wszystkich skafandrów z napędem też powinno pójść w diabły.

- Chyba, że ma automatyczne unieważnienie - zauważył Martin, wchodząc na mostek. -

Ale pewnie ma pani rację. Podejrzewam, że wszyscy na pokładzie są teraz zbyt zajęci przetrwaniem, żeby próbować nas dopaść. - Uśmiechnął się do Ky. - To był genialny pomysł, kapitanie. Skąd pani wiedziała, że będą mieli minę?

- Nie wiedziałam - odparła Ky. - Byłam pewna, że spróbują jakiejś sztuczki, żeby zneutralizować załogę, ale podejrzewałam raczej broń chemiczną. Pozbawiliby was wszystkich przytomności, zabrali implanty...

Stella wzdrygnęła się.

- To byłoby straszne.

- Mogę podlecieć do ich statku - oznajmił Lee. - Niemniej trochę to potrwa. Muszę wyznaczyć jego aktualną trajektorię i dopasować rotację.

- Czy wystarczyłoby nam mocy do zatrzymania tej rotacji po podczepieniu się?

- Nie wiem. Prawdopodobnie możemy ją spowolnić. Dlaczego...? Och. Żeby schować się przed bandytami?

- Tak. Wolalabym mieć jakąś osłonę, gdyby zaczęli strzelać.

- Zgadza się. Ale nie wyłączamy osłon, prawda?

- Absolutnie nie - potwierdziła Ky. - Nawet, jeśli nie działają idealnie, są wszystkim, co mamy.

Wywołała Quincy, chcąc poznać postępy w naprawie.

- Toby już skończył - zameldowała Quincy. - Dobrze mu robi, jak jest zajęty. Och, a ten przekłety szczeniak przyniósł część, którą poprzednio ukradł. Toby mówi, że od samego początku była niedobra - ma nieprawidłowe oznaczenie. Zawiodłaby zaraz po uruchomieniu systemu.

- Toby to mały geniusz - zauważyła Ky.

- To dobry dzieciak - mruknęła starszka w jego obronie. Ky poczuła, jak unoszą się jej brwi.

- Nigdy nie twierdziłam nic innego... mamy szczęście, że do nas dołączył... - Nie przypominało to w niczym jej smętnych doświadczeń z pierwszego statku, choć może na innej jednostce okazałaby się dużo lepsza.

- Cóż... dobrze. - Quincy odchrząknęła. - Czy... wciąż spodziewamy się abordażu?

- Nie. Pozwól, że ogłoszę to wszystkim... - Ky przełączyła kanały. - Do wszystkich: raport o aktualnej sytuacji. Osman próbował wywieść nas w pole i wnieść na pokład minę przyczepną. Tę rundę wygraliśmy. Nasza mina zdetonowała tamten ładunek i to w ich własnej służbie powietrznej. Statek Osmana jest unieszkodliwiony i traci powietrze przez otwarty luk, a część załogi... odeszła. Ścigamy go teraz i chcemy dostosować nasz kurs i rotację. Nadal mamy na karku jego sojuszników, ale zostało nam kilka godzin. Pozostańcie w skafandrach, ale możecie zdjąć hełmy i coś zjeść.

Chwila milczenia, po której w głębi korytarza rozległy się radosne wiwaty.

- Czy oznacza to, że nie dostanę nikogo do odstrzelenia? - upewnił się Rafe.

- Nie w tej chwili.

- Wielka szkoda. Jakie są pani następne plany, kapitanie?

- Pracuję nad nimi - odrzekła Ky. - Nie spodziewałam się takiego obrotu sytuacji.

- Nie przyznawaj się do tego - pouczył ją Rafe. - Podziwiałem twoje zdolności przewidywania. Oczekiwałem zdrady, ale nie próby przyczepienia nam miny przed przejściem ciebie i implantu.

- Chciał podłożyć nam minę - potwierdziła Ky. - To było łatwe do przewidzenia. Mógł

odpalić ją później. Ale nie przypuszczałam, że obie miny mogą wybuchnąć na pokładzie jego statku... a powinienam.

- Madame, za pozwoleniem, pójdę rozbroić pułapki, które pozakładałem, zanim ktoś przypadkiem je zdetonuje.

- Oczywiście, Martinie - zgodziła Ky.

- Wydawałoby się, że nasza mina elektromagnetyczna powinna unieszkodliwić jego -

zauważyła Stella. - Przecież wszystkie miny są sterowane elektronicznie, prawda?

- Owszem - przytaknęła Ky - ale miny przyczepne są również wrażliwe na zmianę ciśnienia. To dlatego nie możesz wyrzucić ich za burtę, jak już znajdziesz je na pokładzie swojego statku. Widziałam ją tylko przez chwilę, ale wyglądało na to, że nasz pocisk trafił

prosto w nią i to z siłą wystarczającą, by wrzucić niosącego ją mężczyznę z powrotem do służby... A potem nastąpiła standardowa, kilkusekundowa zwłoka.

- No cóż, posiłek jest dobrym pomysłem - uznała Stella. - Będę w kambuzie, gdybyś mnie potrzebowała.

- Mamy problem - zameldował Lee. - Ich statek porusza się nieco chaotycznie... mogę się dostosować, ale naszej sztucznej grawitacji ciężko będzie neutralizować wszystkie skoki, zanim coś nie wyrówna ich lotu.

- Próbuj - poleciła mu Ky. - Uprzedzę wszystkich, że mogą być kłopoty.

\* \* \*

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Śluza sąsiedniej jednostki rzygała śmieciem na ich osłony; na szczęście nic się nie przedostało. Skanery pokazywały skomplikowane ruchy, jakie wykonywał statek Osmana.

Śluza znajdowała się bliżej dziobu, przed środkiem ciężkości, toteż wytwarzany przez nią odrzut przydawał jednostce kapryśnej rotacji, zakłócając płynne obracanie się wokół

podłużnej osi kadłuba. Lee powolutku podlatywał Garym Tobai, modelując na komputerze nawigacyjnym trajektorię, a następnie dopasowując się do chaotycznych szarpnięć.

- Jeśli nie wpasujemy się idealnie, ich większa masa może dać nam fatalnego w skutkach klapsa - wyjaśnił Lee. - Najspokojniej jest w pobliżu ich środka ciężkości... tam właśnie powinniśmy się przyczepić. Skanery bliskiego zasięgu są wystarczająco precyzyjne, ale te latające wokół śmieci zmuszają nas do przetwarzania zbyt wielkiej ilości danych.

- Uważasz, że to zbyt niebezpieczne? - zapytała Ky.

- Niebezpieczne - tak. Zbyt niebezpieczne... zależy z czym porównamy.

- Nie chciałabym stracić tamtego statku - oznajmiła Ky. - Jeżeli dalej będzie gubił

atmosferę i koziołkował, może ulec całkowitemu zniszczeniu... albo Osmanowi uda się przywrócić go do stanu używalności. - Gdyby tylko dysponowała wyszkoloną grupą abordażową... żołnierze mogliby tego dokonać... gdyby miała drużynę marines ze Slotter Key...

Niestety, nikt z jej załogi - z wyjątkiem niej samej, a ona nie mogła opuścić statku - nie byłby w stanie przejść na koziołkującą jednostkę i poradzić sobie z czyhającymi tam niespodziankami.

Jeżeli tradycyjne, solidne systemy Vattów zrestartują się, Osman odzyska kontrolę nad statkiem, a wtedy... będzie znacznie gorzej.

A czas uciekał. Nieprzyjacielskie okręty za kilka minut wejdą w zasięg strzału. Miała miny drugiego typu. Potrafiła poruszać się w przestrzeni kosmicznej... przynajmniej potrafiła to półtora roku temu. Zawsze osiągała wysokie noty za działania poza statkiem. Nie zaliczyła żadnej wpadki.

Ćwiczyła manewry w salce 0 g. Standardowe manewry wykonywane w standardowych warunkach. Tutaj miała do czynienia z warunkami... dalece niestandardowymi.

Z głównego korytarza dotarło głuche łupnięcie. O kadłub? Coś przedostało się przez osłony?

- Hełmy! - krzyknęła, zanim analizy dogoniły instynkt. Zapomniała, że wyłączyła moduł zewnętrznych analiz. - Właz... Pomknęła korytarzem, przeglądając dostarczane jej przez implant podglądy z poszczególnych kamer.

Poinformował ją o używaniu śluzy. Zewnętrzny właz jest otwarty, wewnętrzny wciąż zamknięty.

- Zamknij zewnętrzny właz - poleciła mu.

nie można wykonać polecenia. zewnętrzny właz jest zablokowany fizycznie - pojawiło się na wyświetlaczu.

Jim zamknął właz. Osobiście sprawdziła oba. Lecz wejścia awaryjne można było otworzyć z obu stron...

Oślepiający rozbłysk intuicji: nie wszystkie ciała, wylatujące ze śluzy statku Osmana, były ofiarami wybuchów. Jego załoga była przeszkolona w technikach abordażu, a ona nie wysłała nikogo na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy kadłub był czysty... Co z niej za idiotka, że współczuła tamtej załodze, którą uznała za martwą lub konającą. Po chwili bijące jak oszalałe serce zwolniło i poczuła lodowaty spokój.

- Nieprzyjaciel na pokładzie - nadała. - Wszyscy uszczelnić skafandry; opuszczam grodzie między sekcjami. - Implant pokazał jej położenie wszystkich podwładnych...

Porozrzucane kropeczki - sama pozwoliła im odpocząć po pierwszym alarmie. Dwoje na dziobie, jedna w kambuzie, część na posterunkach, reszta w kajutach. Ikonki poruszały się, ale niewystarczająco szybko... Grodzie opadły, chroniąc ich tam, gdzie byli, uzbrojonych w to, co mieli pod ręką.

- Spodziewajcie się dekompresji - dodała. Najprostszy sposób, żeby ich unieszkodliwić; prawdopodobnie pracowali nad uszczelnieniem własnego statku. Ona sama była odcięta od mostka, swojej kajuty, reszty min w ładowni nr 3; jedyną bronią, jaką aktualnie dysponowała, był mały, elegancki pistolet załadowany pociskami rozpryskowymi, który nabyła na Lastway.

Oraz to, co miała pomiędzy uszami.

To ostatnie powstrzymało ją przed wbiegnięciem do końcowego odcinka korytarza prowadzącego do wyjścia awaryjnego. Implant dostarczył jej wizualizację sytuacji w śluzie...

dwie postacie w skafandrach. Zewnętrzny luk był zablokowany przez nieruchomy kosmiczny pancerz. Dzięki implantowi mogła powiększyć obraz. Za przyłbicą ujrzała sinoszarą twarz o otwartych ustach i wytrzeszczonych przerażeniem oczach, martwych i pustych. Zogniskowała powiększenie na innym punkcie obrazu i zobaczyła dwie sylwetki w skafandrach, próbujące otworzyć wewnętrzny właz za pomocą hydraulicznej rozpornicy... Nie byli chyba jeszcze przywiązani linami bezpieczeństwa, choć jeden z nich miał przewieszony przez ramię gruby zwój. Nie rozpoznała ich broni, lecz narzędzia, jakimi dysponowali, z pewnością umożliwią im sforsowanie każdego luku na statku.

Gdyby ciśnienie było wystarczające, a ona otworzyła wewnętrzny właz, może uciekająca atmosfera wydmuchnęłaby ich na zewnątrz... O ile tamten pancerz nie był zbyt mocno zaklinowany. Pewnie był; nie pozostawaliby w tak podatnej na atak pozycji. Implant szybko policzył siłę, jaką musiałyby przyłożyć do pancerza, żeby go wypchnąć... niestety, dobrze go osadzili. Potrzebne byłoby

pięćdziesiąt kilogramów masy, a ona nie miała niczego takiego pod ręką - miny tkwiły za opuszczonymi grodziami i nie przydadzą się jej do niczego.

Mogłaby ręcznie otwierać wszystkie grodzie po drodze, ale wiedziała, że zajęłoby jej to zbyt wiele czasu.

No cóż... ona sama ważyła pięćdziesiąt kilogramów, gdyby jednak puściła uchwyty bezpieczeństwa i użyła własnego ciała do wypchnięcia tamtych ze śluzy, to sama znalazłaby się na zewnątrz, ze stałym przyspieszeniem oddalając się od Gary'ego Tobai. Wcale nie chciała się tam znaleźć... Kiepski pomysł z taktycznego punktu widzenia.

Przy samej śluzie znalazła inną kamerę i skierowała ją na korytarz. Na podłodze leżał

kłęb taśm ładunkowych, które wykorzystwała do wystrzelenia miny. Mogła przywiązać się nimi i wykorzystać jako zakotwiczenie; ściągną ją z powrotem. Nie uda się. Nie mogło. Ale nie mogła też pozwolić wejść na pokład Osmanowi i jego załodze. Ilu czaiło się na zewnątrz? Nie miała wystarczającej ilości zewnętrznych kamer, a implant nie był w stanie dostarczyć jej żądanej informacji.

- W śluzie jest dwóch obcych - powiedziała do pokładowego interkomu. - Zablokowali zewnętrzny właz kosmicznym pancierzem. Sama dekompresja nie wypchnie ich na zewnątrz...

potrzeba więcej masy.

- Ile? - zapytała Quincy, jak przystało na inżyniera.

- Och... wystarczyłoby pięćdziesiąt kilogramów. Niestety, nie mam pod ręką zbędnych pięćdziesięciu kilogramów. - Quincy dostałaby zawału, gdyby dowiedziała się, co rozważała Ky. Jej samej nieszczęśliwie podobał się ten pomysł.

- Otworzysz grodzie do mesy i zabierzesz coś? - zapytał Rafe. - Jestem tam; mógłbym rzucić ci krzesło.

- Masz na sobie skafander? - upewniła się Ky.

- Tak. Kłapa szybu kuchennego jest zamknięta; właz do kambuza powinien wytrzymać krótką dekompresję, a to zwiększyłoby dodatkowo siłę - te krzesła nie są wystarczająco ciężkie, ale wówczas mogłoby się udać.

Był to jakiś pomysł, lecz Ky wiedziała, że się nie powiedzie. Implant potwierdził to, gdy poprosiła go o weryfikację.

- Kapitanie - włączył się Martin. - Proszę podać mi kody ręcznego otwierania i zamykania - przyjdę pani z pomocą...

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Przy kartonie z minami elektromagnetycznymi.

- Ja jestem bliżej - zauważył Rafe. - Tylko jedną groź od niej.

- Ale to ja posiadam odpowiednie umiejętności - upierał się Martin. - Walka wręcz w próżni w stanie nieważkości...

Tylko tego jej było trzeba: dwóch mężczyzn spierających się o to, który z nich był

bardziej predestynowany, by pospieszyć jej z pomocą. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby towarzyszyli jej obaj, ale nic z tego.

- Obaj zostaniecie tam, gdzie jesteście - postanowiła.

Przetrząsnęła umieszczoną na korytarzu szafkę z narzędziami awaryjnymi. Toporek, kanister ze szczeliwem próżniowym, długi nóż, łom, deski, apteczka... nie mogła zabrać ze sobą wszystkiego, ale toporek i nóż powędrowały za pas.

Implant zwrócił jej uwagę na fakt, iż chociaż miała 92 procent szans na wypchnięcie pancerza z zewnętrznego luku, to istniało 83 procent prawdopodobieństwa, że przy okazji połamie sobie kości oraz 24,3 procent prawdopodobieństwa, że dozna poważnych obrażeń.

Lecz alternatywa była jeszcze gorsza: jeżeli Osman ją pochwyci, umrze na 100 procent po cierpieniach, o których nawet nie chciała myśleć. Naprawdę, nie miała wyboru...

Jej skafander - specjalnie modyfikowany, najdroższy model Deere Ltd. - dzięki kombinacji wzmocnionych płytek i absorbujących siłę ciosu poduszek powinien charakteryzować się doskonałą odpornością na uderzenia. Wprowadziła charakterystyki techniczne do implantu i prawdopodobieństwo doznania poważnych obrażeń spadło do 6,2

procenta, a złamania kości do 21 procent... znacznie lepiej, choć kość mogła być złamana albo nie...

Ruszyła korytarzem. Napastnicy mogli wyglądać - gdyby postanowili sobie popatrzeć -

przez okienko we włazie. Jeśli jednak będzie wystarczająco szybka, ujrzą jedynie zamazany kształt. Splątane taśmy leżały u jej stóp; zaczepiła je o trzonek toporka i zaczęła powoli ciągnąć ku sobie.

Lepiej nie polegać tylko na sile jej chwytu; odplątała jedną z taśm ładunkowych -

purpurową, zrywającą się przy obciążeniu rzędu tysiąca dwustu kilogramów - i przeciągnęła ją przez wzmocnione ucho skafandra, służące do przywiązywania liny, a potem zwinęła pozostałe taśmy i zabezpieczyła. Implant ukazywał jej napastników pogrążonych w pracy... niejeden podniósł głowę i zaczął się rozglądać.

Nie miała więcej czasu. Ky cofnęła się, maksymalnie naprężając przywiązane taśmy, po czym powiedziała do Lee:

- Otwieram wewnętrzny właz.

- Ale jest pani...

Implant przejął kontrolę. Zdażyła pomyśleć: To był naprawdę głupi pomysł i już połączone siły sprężystych taśm i uciekającego powietrza wystrzeliły ją wzdłuż korytarza.

Myślała, że zdoła usztywnić swoje lecące ciało niczym włócznie, lecz wir ulatującej w próżnię atmosfery wykręcił ją, grożąc, że uderzy bezwładnie o klapę śluzy. Zwinęła się w kulę, zaciskając pięści na taśmach i uderzyła napastników prawym barkiem, ciskając nimi w podtrzymującą właz opancerzoną postać. Kosmiczny pancerz ustąpił ze zgrzytem i wszyscy wylecieli na zewnątrz. W świetle zewnętrznych reflektorów dojrzała na kadłubie statku jeszcze jedną rozplaszczoną postać. Jeden z napastników odlatywał swobodnie w przestrzeń, drugi pochwycił taśmy, które właśnie rozciągnęły się na całą długość i zaczęły się kurczyć.

Ky i przeciwnik jednocześnie oderwali po jednej ręce od zabezpieczenia, próbując odepchnąć się nawzajem. Napastnik zdołał złapać ją za nadgarstek; wzmacniany przez skafander uścisk był coraz bardziej bolesny. Nie musiała słyszeć, co mówił - potrafiła to sobie wyobrazić. Obracali się, walcząc w połączeniu sił, braku grawitacji i nacisku zwijającej się taśmy.

Ky puściła ją lewą dłonią, owinęła wokół nogi i wyszarpnęła nóż zza pasa. Przeciwnik nie zauważył, jak rozcięła mu skafander pod prawą pachą. Ze skafandra buchnęło powietrze, odpychając ją i odtrącając rękę. Automatyczny system naprawczy rozpylił piankę, zapobiegając utracie kończyny, lecz jednocześnie unieruchamiając ją. Dźgnęła ponownie, tym razem rozpruwając lewy rękaw. Puścił ją i oderwali się od siebie.

- Uderzenie za pięć sekund - przestrzegł ją implant. Ky szarpała się, chcąc coś zobaczyć i uniknąć uderzenia głową o burtę statku. Tam... ale coś złapało ją za nogę i pociągnęło...

poczuła, jak elastyczne taśmy rozciągają się... Wykręciła się. Wokół jej kostki zaciskała się czyjaś dłoń; odziana w skafander postać ciągnęła za sobą cienki strumień odrzutu, błyszczący w świetle zewnętrznych reflektorów. Skafander z napędem. Miał skafander z napędem...

Oczywiście, że tak, właśnie w ten sposób pokonali przestrzeń pomiędzy statkami, kojarzył

leniwie jej umysł. Implant podsunął jej okienko z informacjami na temat skafandrów z własnym napędem, co Ky zupełnie nie zainteresowało. Próbowwała usunąć się z drogi smudze wylatującej z tamtego skafandra na wypadek, gdyby substancja miała właściwości żrące oraz pozbyć się ręki ze swojej kostki. Jej szamotanina miotła przeciwnikiem, zakłócając trajektorię ich wspólnego lotu, lecz napastnik ani myślał ją puścić.

Uczono ją, że starcia w nieważkości były chaotyczne, a ich wyniku nie sposób było przewidzieć nawet w zamkniętych pomieszczeniach. Poza statkiem... Po prostu nie dopuść do znalezienia się w takiej sytuacji - radzili instruktorzy. Świetnie, lecz teraz nie było rady.

Skafander uniemożliwił jej zgięcie się i zbliżenie noża do trzymającego ją napastnika; taki manewr

można było wykonać w atmosferze statku, ale nie tutaj. Wypróbowała inną taktykę, używając naprzemiennych ruchów ramienia do wzmocnienia wirowania wokół własnej osi...

co w końcu zbliżyło jej ramię do tamtego. Ścisnął w dłoni jakiś zaostrowany pręt, lecz znalazła się tuż za nim. Złapała go mocno prawym ramieniem i przesunęła nożem wzdłuż jego skafandra...

Ostrze rozplątało materiał od biodra do ramienia; przyłbicę zbryzgała mgiełka... Puścił

ją i Ky udało się zorientować w przestrzeni, odnajdując swój statek dzięki wyraźnie przybliżającym się mocnym reflektorom zewnętrznym - elastyczne taśmy przyspieszały jej powrót do otwartej śluzy.

Jeśli pozostanie przywiązana, rozbije się o własny statek. Jeśli nie, zawisnie w próżni bez napędu i możliwości powrotu... ale ona przecież już wracała. Tylko czy z wystarczającą prędkością? Odcięła taśmy i patrzyła, jak zwijają się, niczym macki morskiego stwora, którego obserwowała na rafie przy Corleigh. Zapytała implant... uderzy w statek, ale nie na tyle mocno, żeby uszkodzić poszycie - albo siebie.

Rozejrzała się dokoła. Tamten mroczny kształt, wirujący na tle gwiazd, to statek Osmana. Rząd jaskrawych świateł należał do jej własnej jednostki - zewnętrzne reflektory wciąż były włączone, śluza awaryjna otwarta, a większe skupisko światełek oznaczało rufę.

Włączyła nadajnik skafandra.

- Kapitan do mostka...

- Gdzie pani jest? Co pani zrobiła?

- Zbliżam się do statku - odrzekła.

- Do Kaleen? - W głosie Lee wyraźnie słychać było oszołomienie i panikę.

- Nie. Do nas. Wyleciałam ze śluzy razem z bandytami... przynajmniej z dwoma z nich.

- Podkręciła powiększenie skanera na hełmie, szukając tego, który rozpląszczył się tuż obok wejścia awaryjnego. Nie było go tam. Gdzie się podział? - Co pokazują wewnętrzne skanery?

- Ktoś jest w środku, w korytarzu awaryjnym. Nie odpowiada; myśleliśmy, że to pani z uszkodzonym nadajnikiem... Zastanawialiśmy się nad zamknięciem zewnętrznego włazu i napełnieniem statku powietrzem, żeby móc podnieść grodzie...

Gdyby nie to, że unosiła się w nieważkości w skafandrze, palnęłaby się w czoło. Głupia, głupia, głupia. Kapitanowie nigdy nie powinni opuszczać zagrożonego statku. Na Akademii na okrągło wbijano jej to do głowy. Nigdy. Niezależnie od pokus, kapitan zostawał na pokładzie i dawał odpór niebezpieczeństwu... A ona wyfrunęła sobie ze śluzy, popisując się, jak by określił

to MacRobert. Dokładnie. A jeden z drani zakradł się na jej statek.



- Zablokuj właz w pozycji otwartej, Lee - poleciała, zastanawiając się, czemu intruz nie zamknął go, by uniemożliwić jej powrót, na wypadek, gdyby wymknęła się jego kamratom. -

Nie podnoś grodzi. Przeczesz przestrzeń pomiędzy nami a Kaleen skanerami w poszukiwaniu innych skafandrów z własnym napędem.

Wtem światła pozycyjne Pięknej Kaleen ożyły, a oznaczające dziób i rufę latarnie zaczęły mrugać. Inne światła podkreśliły kształt statku Osmana. Albo zadziałał automatyczny reset, albo ktoś na pokładzie postawił system. Reset nie był problemem, ale ta druga możliwość...

Teraz, kiedy już było za późno, przychodziły jej do głowy inne sposoby, które mogłyby przynieść lepsze rezultaty...

- Straciliśmy kamerę w korytarzu awaryjnym - zameldował Lee. - Grodzie pozostały opuszczone...

- Dobrze - powiedziała Ky.

- Ale nie wiemy, gdzie jest ten ktoś, ani co zamierza.

Ona wiedziała. Wiedziała to z absolutną pewnością, która jeszcze nigdy jej nie zawiodła. Intruz zamierzał wysadzić w powietrze jej statek wraz z rodziną, a jedyne, czego potrzebował, to czas, który miał w nadmiarze. Czas, który sama mu podarowała. Poczula cień rozpaczy, forpoczte czarnej fali... ale nie miała na to czasu.

- Przełącz mnie na Martina - poleciała.

- Tak jest. - Chwila przerwy i głos Martina:

- Ky... kapitanie... co się dzieje?

- Martin, nadal jesteś w ładowni z minami, zgadza się?

- Tak, ale...

- Weź tę z zielonymi symbolami, taką samą, jak ta, której niedawno użyłam. Otwórz pokrywę - widziałeś, jak to robiłam. Znajdziesz tam panel kontrolny - tarczę z cyframi.

Przekręć ją do oporu w lewo. Obróć przód miny w stronę śluzy awaryjnej. Ustaw pięciosekundowe opóźnienie i odsuń się najdalej, jak możesz. - Impuls elektromagnetyczny można było do pewnego stopnia ukierunkować. Implant wyświetlił jej listę systemów, które znajdują się na drodze niszczyielskich promieni. Szkoda... ale lepsze to od unicestwienia statku.

- Ale to oznacza...

- Wykonać! - Po czym przełączyła się na cały statek, nie dbając o to, czy usłyszy ją nieprzyjaciel. - Na stanowiska awaryjne! Wszystkie ręce na pokład! Na stanowiska awaryjne i utrzymać pozycje!

Minęła sekunda. Druga. Trzecia. Kolejna.

Równie nagle, jak Piękna Kaleen rozjarzyła się światłami, Gary Tobai zniknął. Jej statek, za który odpowiadała, dryfował oślepiiony z systemami wyłączonymi przez impuls elektromagnetyczny tak silny, że w pewnych przypadkach mógł nawet wyrządzić krzywdę załodze.

Krytyczna część jej umysłu wrzasnęła na nią: Bardzo sprytnie, Ky - właśnie unieruchomiłaś własny statek i lecisz w jego kierunku, nie wiedząc nawet, w którym miejscu wylądujesz. O ile Osman prędzej go nie zniszczy... Nagle uderzyła mocno o kadłub.

Mechanizmy ochronne skafandra osłabiły siłę zderzenia, lecz wstrząs był wystarczająco silny, by na chwilę straciła oddech. Dłonie w rękawicach prześlizgiwały się po burcie w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu, zanim odbicie nie pośle jej z powrotem w kosmos. Ręka natrafiła na wystający kołek... jeden z osiemdziesięciu dwóch emiterów nowego systemu obronnego.

Gdyby tylko zdołała postawić stopę na kadłubie... Obróciła się tak, że lewa pięta zetknęła się z płaszczem statku na chwilę wystarczająco długą, by podeszwa przylgnęła do podłoża. Wypuściła pręt, lecz but przywarł mocno dzięki wbudowanej w podeszwę specjalnej przyssawce bezpieczeństwa. Teraz opuścić drugi but... zrobione. Świetnie - odezwał się paskudny głosik - Utknęłaś na burcie własnego statku, niczym staromodna ozdoba dziobowa. I co dobrego z tego przyjdzie? Ignorując utyskujący głos, Ky powoli pochyliła się naprzód i złapała najbliższy uchwyt. Lekko przywierające poduszeczki wbudowane w palce rękawic zapewniły jej pewny chwyt. Znacznie mocniejsza przyssawka buta puściła, gdy ostrożnie przestawiła stopę naprzód, złapała za drugi uchwyt i dopiero wtedy przesunęła drugą stopę.

Cała sztuczka z poruszaniem się po kadłubie statku bez zabezpieczenia polega na tym -

twierdził jej instruktor - żeby nigdy do tego nie dopuścić. Ale jeżeli już oderwiesz się od własnej jednostki i wylądujesz na nieprzyjacielskim okręcie, spróbuj w ten sposób: poruszaj się powoli, zawsze zapewnij sobie trzy punkty kontaktu z podłożem, uważaj na zmiany przyciągania.

Przynajmniej tym nie musiała się martwić, jako iż systemy statku były martwe.

Przeciaki sztucznej grawitacji były teraz najmniejszym z jej problemów. Znacznie trudniejszym zadaniem będzie na przykład odszukanie włązu awaryjnego. Wymyślenie, co robi, kiedy już go znajdzie... może poczekać do chwili, w której to nastąpi.

## ROZDZIAŁ 21

Błyskające latarnie tamtego statku kłuły ją w oczy... oświetlając na ułamki sekund jej własną jednostkę. Po wielu miesiącach w kosmosie kadłub Gary'ego Tobai nie był już taki nieskazitelny jak niegdyś, niemniej wciąż błyszczał matowo, gdy padało na niego światło - z wyjątkiem zięjącego czernią otworu włązu awaryjnego, znajdującego się dwa metry od jej butów.

Gdzieś tam czaił się nieprzyjaciel. Uzbrojony w minę zdolną zniszczyć statek i broń osobistą. Była tego pewna. Mógł w każdej chwili wysadzić Gary 'ego w powietrze, ale najpierw chciał się

upewnić, że ona także będzie na pokładzie, by móc to zobaczyć. Poza tym, pragnął jej implantu. Zaczeka - przynajmniej jakiś czas - by sprawdzić, czy będzie go ścigała.

Z pewnością świetnie sobie radził zarówno w nieważkości, jak i w próżni, lecz nagła przemiana oświetlonego korytarza o standardowej grawitacji 1 g w ciemny tunel i nieważkość z pewnością zrobiła swoje. Powinien być oślepiiony i dezorientowany, a wszystkie elektroniczne funkcje jego skafandra na pewno przestały działać. Pozostawała mina. Czy zdążył ją przyczepić? Czy już ją uzbroił?

Jej zabezpieczony przed impulsem elektromagnetycznym implant określił, ile minut i sekund przebywała poza statkiem. Jeżeli natychmiast wszedł do środka, miał mnóstwo czasu, żeby zainstalować minę, uzbroić ją i nastawić opóźnienie...

Obmacała krawędź wjazdu. We wszystkich lukach zewnętrznych ich geometryczny kształt definiował górę i dół, uniemożliwiając odwrotne przyczepienie rękawa lub innego sprzętu. Stała po stronie pokładu, gdyby włączono grawitację. Ostrożnie obeszła otwór, kryjąc się za klapą przed znajdującym się w środku intruzem. Powinien znajdować się na pokładzie.

Co się stało po zaniknięciu grawitacji, zależało od tego, co w tamtej chwili robił, lecz instynktownie nadal pewnie uważał, że podłoga była na dole, a sufit na górze... W stanie nieważkości nie miało to żadnego znaczenia.

Wsunęła się ostrożnie do śluzy, przytulając się do ściany tak, by możliwie jak najmniej przesłaniać sobą gwiazdy... na wypadek, gdyby odzyskał już wzrok. Przez rękawice czuła jakieś wibracje, jak gdyby coś uderzało o ściany korytarza. Rozjaśniła przyłbicę hełmu i nastawiła jasność wyświetlacza implantu na maksimum. Po włączeniu zewnętrznych monitorów skafandra uzyskała widmowy obraz korytarza i poruszającego się w nim chaotycznie kształtu. Nie widziała miny, którą nieprzyjaciel musiał wnieść na pokład.

Potrzebowała światła.

Nastawiony na maksymalną jasność reflektor skafandra rozbłysnął, zalewając korytarz silnym, białym blaskiem. Wiedziała o tym, choć widok przesłaniała jej lustrzana ochrona przed kontrą przeciwnika. Okazało się, że miała tę odrobinę szczęścia, o którą tak się modliła: nieprzyjaciel stał twarzą w jej stronę i światło oślepiło go, zanim wizjer w jego hełmie zdążył

ściemnieć. Poderwał rękę do twarzy, wprawiając się w ruch obrotowy, co dało jej chwilę na przeszukanie wzrokiem podłogi, by znaleźć... tam jest. Stała na pokładzie. Nie miała jednak czasu, by określić, czy została przymocowana i uzbrojona, czy tylko znalazła się tam przypadkiem.

Odepchnęła się od zawiasów zewnętrznego wjazdu, wyłączyła reflektor i poleciała ku miejscu, gdzie chciała wylądować. Skaner zdążył nagrać widok korytarza. Odbiła się od ściany tuż za wewnętrznym wjazdem, na moment włączyła światło, by kamera zdążyła nagrać widok i zaktualizować obraz wyświetlany przez implant. Choć wydawało się jej, że porusza się bardzo wolno, zygziem dotarła do przeciwnika, zanim ten opanował wirowanie. Zaświeciła mu prosto w osłonę twarzy i dźgnęła nożem, rozpruwając materiał skafandra.

Był większy, cięższy i niewątpliwie bardziej doświadczony w walce w próżni. Chwycił

jej ramiona i odepchnął się od ściany, kierując ich ku śluzie i - co gorsza - w stronę spoczywającej na pokładzie miny. Po kolejnym kopnięciu wiedziała już, że uderzą w nią, jeżeli nie zmieni trajektorii ich wspólnego lotu. Wykręciła się, zwinęła, by szybciej koziołkować, a zaraz potem wyciągnęła na całą długość, chcąc zwolnić... Niczym w groteskowym balecie odbijali się od ścian, sufitu i pokładu, kilkakrotnie chybiając minę o centymetry wyłącznie dzięki temu, iż Ky zaznaczyła jej położenie na przesyłanym z implantu obrazie i instynktownie jej unikała.

Udało się na chwilę uwolnić rękę i natychmiast wyszarpnęła pistolet z kabury, pamiętając wygłaszane do sprzedawcy własne komentarze o strzelaniu w stanie nieważkości.

Nieważne. Odrzut nada jej inny kierunek ruchu i nie będzie w stanie tego kontrolować, ale nie mogła czekać na lepszą okazję.

Pierwszy pocisk rozprysnął się po trafieniu na setki odłamków wystarczająco ostrych, by poharatać skafander. Odrzuciło jej ramię wstecz; złożyła się ponownie do strzału i raz po raz pociągała za spust. Mógł mieć pancerny hełm, tak jak ona, i nosić napierśnik... zostawały nogi i ramiona...

Widziany na monitorach przetwarzany komputerowo obraz był co najmniej groteskowy: krew miała turkusową barwę - mniejsze kropelki były bledsze, większe zaś ciemniejsze. Uchwyt na jej drugiej ręce wzmocnił się, lecz po chwili osłabł - siła trafień oderwała go od niej, jednocześnie odrzucając ją wstecz. Dzielili ich już nie centymetry, lecz metr... dwa metry. I jeszcze raz. I znowu. Powolutku usunęła osłonę, pozwalając oczom przyzwyczać się do blasku i ujrzeć w prawdziwych barwach, czego dokonała.

Wstrząsem był intensywny szkarłat krwi i jej ilość, jaka wisiała w korytarzu w postaci obłoczków krwawej zawiesiny, kropli i sznurów. Skafander przeciwnika broczył pianką uszczelniającą z setki dziur - zbyt licznych - unieruchamiając ramiona i nogi w próbie uratowania mu życia. Twarz za szybą hełmu poszarzała; dominowały w niej szeroko otwarte oczy. Nadal żył. Zamrugał. Za jego plecami majaczyła czarna paszcza otwartego luku awaryjnego. Dryfował tak, żeby odbić się od ściany i wylecieć na zewnątrz. Ky odbiła się spokojnie od jakiejś płaszczyzny i ruszyła za nim w pościg.

Złapała go w chwili, gdy uderzał o ścianę; zapała się nogami o krawędzie włazu.

Przyciągnęła jego głowę ku sobie. Spojrzał jej prosto w oczy. Osman. Zalała ją fala jeszcze większej wściekłości. Uciekł wzrokiem w stronę ustawionej na pokładzie miny. A potem uśmiechnął się do niej, wywalając język.

- Zabiłeś moich rodziców - przemówiła konwersacyjnym tonem Ky. Nie mógł jej słyszeć, lecz z pewnością domyślał się, co chciała mu przekazać. - Zabiłeś moich braci, wujka i mnóstwo innych, bliskich mi osób, z których części nawet nie znałam. - Przyciskała go do ściany, unieruchamiając. - Mała córeczka Gerry'ego - ciągnęła, poszerzając nożem dziury po odłamkach pocisków. - Mała, zepsuta dziwka Geny'ego - chyba tak mnie nazwałeś. Myślałeś, że będziesz się ze mną zabawiał. - Nóż rozpruł przód skafandra Osmana wzdłuż szwu i znalazł

się pod kryzą hełmu. Jednym ciosem przebiła mu podbródek, język i podniebienie.

Oczy przeciwnika zaszyły mgłą. Od stóp po głowę pokrył ją ohydny osad. Mina tkwiła nieruchomo na podłodze korytarza. Przyptyw radości, tym razem zmieszanej ze słusznym gniewem, nie stracił zanadto na intensywności, nawet gdy odepchnęła go na bok. Później.

Później nacieszy się tą śmiercią, a teraz... teraz musiała ratować statek.

Ruszyła powoli w stronę miny, strzepując ze skafandra skrzepy zamrożonych wydzielin Osmana. Ostrożnie obejrzała urządzenie. Standardowa, silna, tania mina przyczepna, jedna z kilku rodzajów, o jakich uczyła się na Akademii. Mina elektromagnetyczna bez wątpienia wysmażyła elektroniczny mózg bomby - nie świeciły się kontrolki stanu urządzenia, sygnalizujące jego przyczepienie i uzbrojenie. Gdyby nie została przyczepiona, mogłaby ją poruszyć - powoli i ostrożnie. Jeśli zdążył ją umocować, każda próba poruszenia wyzwoliłaby zapalnik reagujący na zmianę ciśnienia. Standardowy sprawdzian polegał na omieceniu miny podmuchem sprężonego gazu, którego nie miała pod ręką. Zaraz... dysponowała przecież zapasowym ustnikiem, wbudowanym we wszystkie skafandry w celu umożliwienia podzielenia się powietrzem z potrzebującym partnerem.

W tym modelu dodatkowy ustnik wyposażony był w zabezpieczenie, którego usunięcie zabrało jej kilka długich sekund, w końcu jednak zdołała nakierować strumień powietrza w podstawę miny. Zadrżała... i powoli przesunęła się po pokładzie. Ky wypuściła długo wstrzymywane powietrze. Nie zdążył jej przyczepić. Dla żołnierza jeszcze nieprzyczepiona oznaczała zazwyczaj jeszcze nieuzbrojona. Ale kto wie, co zrobił Osman? Podważyła ją koniuszkiem palca, pomagając sobie słabym strumieniem powietrza, chcąc rzucić okiem na spód. Mechaniczny przełącznik błysnął na pomarańczowo. Wstępnie uzbrojona, ale nie całkowicie. Chyba, że Osman zmienił ustawienia... ale nie wydawało się jej. Mogła ją rozbroić... lecz na wszelki wypadek lepiej było zrobić to gdzieś indziej, gdzie przypadkowa eksplozja nie zniszczy statku.

Przesuwała ją powoli korytarzem, śmiercionośnym wyzwalaczem w inną stronę, koło ciała Osmana, unoszącego się teraz pod sufitem. Już miała wypchnąć minę na zewnątrz, gdy uświadomiła sobie, że skierowałyby ją w stronę Pięknej Kaleen, oświetlonej, lecz wciąż beładnie wirującej wokół własnej osi.

Albo ją to zabije, albo nie. Ky pochyliła się i przełączyła zapalnik, rozbrajając minę. Nic się nie stało. Mina była - a przynajmniej powinna być - bezpieczna. Użyła resztki zwisającej jej z bioder elastycznej taśmy, by przywiązać ją do zewnętrznego włazu, po czym pociągnęła za klapę, zaryglowała ją, ułożyła ciało Osmana w śluzie, zamknęła i zaryglowała wewnętrzny włącz i nareszcie miała chwilę spokoju, by pomyśleć, co mogła zrobić dla swojej załogi, rodziny i statku.

Gdzieś na tym korytarzu znajdowało się wejście danych. Podłączyła doń wtyczkę skafandra, przestawiła na implant i zażądała analizy.

automatyczny restart systemu za 92 sekundy. unieważnić? Czyżby jej walka trwała tak długo? Wybrała unieważnić. Na ramiona i biodra zwałił się ciężar, zniknął na moment i zaraz powrócił. Na pokład spadł różowy śnieg, sztuczna grawitacja działała. Pierwsze powinny ożyć światła i system podtrzymania życia. Grawitacja była przydatna, lecz tamto było ważniejsze.

Przez podeszwy butów poczuła wibracje.

system podtrzymania życia działa. ciśnienie w tym przedziale: zero.

podnieść ciśnienie? „Rezerwy ciśnienia?” dane niedostępne. Niedobrze. Skoro system podtrzymania życia działał, powinna mieć dostęp do danych o możliwościach odnowy środowiska, w tym stanu rezerw powietrza.

Dotarła do początku korytarza. W grodzi zainstalowane było okno, wychodzące na następny korytarz oraz część mesy. Włączyła reflektor i zajrzała tam. Działały jedynie czerwone światła awaryjne... przechodzący przez liczne warstwy przezroczystego tworzywa snop światła reflektora wzbudzał jedynie mylące refleksy. Błysk światła, jeszcze jeden, moc pokładowa 65%. zdefiniuj schematy oświetlenia. Ky spojrzała na wyświetlony przez implant plan statku. Mostek: wyświetlacze, lampy sufitowe, wskaźniki, pozostała rezerwa mocy: 14,3

godzin. Czyli napęd również nie działał... To był pewien problem. Mesa - musiała coś zobaczyć. Zapaliła górne światło i ujrzała dwa stoły i bezwładną postać na przewróconym krześle... niedobrze, niedobrze. Jeśli wszyscy doznali obrażeń... nie chciała pomyśleć zginęli, ale już zdążyła to uczynić... musiała dostać się tam, gdzie mogła coś zrobić.

- Wypełnić korytarz awaryjny powietrzem - poleciała. Korytarz zasnuła mgłą; przyłbica hełmu zaparowała, a po chwili oczyściła się, gdy skafander automatycznie zmył

zanieczyszczenie. - Temperatura?

temperatura na pokładzie 299 standardowych stopni. Implant przezornie zaznaczył na skali zwykłą temperaturę pokładową. W normie.

Skafander zwiotczał, reagując na rosnące ciśnienie... mgła rozwiała się powoli. Różowy śnieg wyglądał teraz na to, czym był: na rozsmarowaną krew, nawodnioną wilgocią napływającego powietrza. Wreszcie - wydawało się to trwać wiecznie, ale zajęło tylko parę minut - ciśnienie wyrównane. grodzie przedziału: opuszczone.

- Podnieść - rozkazała Ky. Gruba grodz schowała się we wnęce; usłyszała syk, pisk i wyobraziła sobie ilość zużywaną energii.

Nie zdejmowała hełmu, ani nie gasiła reflektora. Ciało w mesie należało do Rafe'a -

hełm zatrzaśnięty, oczy zamknięte, dostrzegła jednak unoszącą się w oddechu pierś. Żył. O

resztę będzie martwiła się później. Korytarzem na mostek... Mijając swoją kajutę, usłyszała świdrujące piski szczeniaka. Otworzyła drzwi. Na jej koi leżał Toby, otoczony ramieniem Stelli

- oboje nieprzytomni. Szczeniak merdał z wigorem ogonkiem i szarpał ich, próbując obudzić.

Warknął na Ky, rzucił się do jej butów, obwąchał i wycofał się z najeżoną sierścią.

Prawdopodobnie pachniała jak sama śmierć.

- To tylko ja - mruknęła do zwierzaka, który nadal szczyrzył na nią zęby. Wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

Na mostku Lee zwiślał z fotela pilota. Poruszał się niemrawo i pojękiwał. Ky omiotła spojrzeniem tablicę rozdzielczą. Napęd: czerwone światelko, brak odpowiedzi. System obronny: w gotowości. Łączność:

czerwone światelko, brak odpowiedzi. Środowisko: żółte światelko, zasilanie awaryjne.

Personel: czerwone światelko. Żadnych sygnałów z czujników i implantów. Wiedziała jednak, że nie wszyscy zginęli...

Najważniejsze były silniki - potrzebowali źródła mocy. Bez większej nadziei wypróbowała najpierw automatyczny restart i nie zdziwiła się bynajmniej, kiedy nic się nie stało. Restart ręczny wymagał długiej i żmudnej procedury, w wyniku której przekonała się jedynie, że mostek nie miał żadnego połączenia z napędem.

- Analiza zużycia energii?

40% generator sztucznej grawitacji.

Oczywiście. Jak mogła o tym zapomnieć?

- Zmniejsz do dwudziestu pięciu procent i ponownie oszacuj rezerwę.

28,6 godzin.

To już było coś. Niewystarczająco, niemniej coś.

- Uuuuuuch... Au! - To był Lee.

- Lee... odezwij się do mnie. Mówi kapitan.

- Nie chce mi się gadać... moja głowa...

- Lee! - Obeszła stół, stanęła przed nim i uniosła przyłbicę hełmu. Bijący z jej skafandra smród omal jej nie zemdleł. - Lee, co się dzieje? Co cię uderzyło?

Otworzył oczy. Lewe nabiegło mu krwią; nie mógł skupić wzroku.

- Kapitan... kiedy pani wróciła? Gdzie... jesteśmy?

Poza przekrwionym okiem nie dostrzegła innych oznak wstrząsu mózgu.

- Jesteśmy tam, gdzie byliśmy, Lee. Coś cię uderzyło?

- W... środku. Szpila w głowie. - Wzrok mężczyzny ześlizgnął się z niej, po chwili jednak odzyskał ostrość. - Myślałem, że jest pani na zewnątrz...

- Byłam. Teraz jestem z powrotem w środku, a wszyscy intruzi nie żyją. Mamy kłopoty ze statkiem.

- Co z innymi?

- Ci, których widziałam, są nieprzytomni. Nie zajrzałam jeszcze we wszystkie kąty.

Napęd nie działa. Nie mogę go uruchomić. Ale mamy jeszcze trochę powietrza i grawitację...

nie próbuj wstawać, musiałam ją obniżyć dla zaoszczędzenia energii.

Oblicze pierwszego pilota przybrało bladozielonkawy odcień; przełknął ślinę. Opadły mu powieki.

- Czuję się... parszywie. Co to za smród?

- Zostań tutaj - nakazała mu Ky. - Niedługo wrócę.

- Ostatnim razem też tak pani mówiła... - wymamrotał i głowa mu opadła; znowu stracił przytomność.

Ale przynajmniej żył. Po raz drugi otworzyła drzwi do swojej kajuty i Hultaj znowu dopadł do jej kostek, dzielnie, acz bezskutecznie. Toby poruszył się niespokojnie; Stella leżała nieruchomo.

- Toby - zawołała go cicho. - Toby, obudź się.

Otworzył powoli oczy.

- Ky... pani kapitan?

- Tak. Nic ci nie jest?

- Ży...żyję.

- To już nieźle. Boli cię coś?

- Głowa...

Stella jęknęła i zaczęła staczać się z koi. Ky podtrzymała ją. Stella otworzyła oczy.

- To najgorszy ból głowy, jaki miałam w życiu... Ky. Skończyło się?

- Nie całkiem - odparła Ky. - Statek boryka się z paroma problemami. Na razie zostań tutaj.

Toby parę razy zamrugał oczami.



- Ja... mogę wstać. - Wtem jego wzrok zatrzymał się na przedzie skafandra Ky. -

Kapitanie... jest pani ranna...

- To nie moja krew - wyjaśniła. Dopiero teraz zauważyła, że zostawiła plamy na kombinezonie Stelli i smugę czerwieni na skraju koi.

- Naprawdę mogę - upierał się Toby. - To znaczy: mogę pomóc. Boli mnie głowa, ale już przechodzi.

- Niech idzie - wymamrotała niewyraźnie Stella. - Potrzebuję snu... - Zwiśla bezwładnie, podobnie jak Lee.

- W porządku - Ky oznajmiła Toby'emu. - Tylko nie zdejmuj hełmu. Systemy statku bardzo powoli odzyskują sprawność, a nasza rezerwa mocy jest ograniczona.

- Ale pani... - Urwał. - Mogę zabrać Hultaja?

- Pewnie - odparła Ky. - Tylko nie pozwól mu mnie gryźć. Nie podoba mu się mój zapach.

Lecz po przebudzeniu się Toby'ego Hultaj bardziej był zainteresowany lizaniem jej butów, niż obgryzaniem kostek... Potworne, pomyślała Ky, ale sugerowało to, że wśród przodków psa nie krył się bynajmniej najlepszy przyjaciel małych chłopców, tylko ich największy koszmar. Z właściwą młodości pogodą ducha Toby wielkimi susami pokonał

korytarz.

- Mógłbym skombinować coś do jedzenia - zaproponował, gdy weszli do mesy. Rafe wciąż leżał rozciągnięty na przewróconym krześle.

- Oszczędzamy energię - przypomniała mu. - Pomóż mi przenieść Rafe'a. - Przy tak niskiej grawitacji zadanie okazało się bardzo łatwe. Ułożyli go na boku na biegnącej wzdłuż ściany wyściełanej półce. Powieki mu zadrżały, lecz nie podniósł ich.

Potem udali się do Środowiska. W przyćmionym świetle rozblęły reflektory skafandrów. Mirt, Ted i Mehar... Mirt i Mehar celowali w Ky z pistołów, dopóki nie rozpoznali jej twarzy.

- Co się stało, kapitanie?

- Popełniłam kilka błędów, ale statek wciąż jest cały, a system podtrzymania życia działa, przynajmniej tutaj.

- Na razie - stwierdził Mitt. - Odpalili minę elektromagnetyczną? To dlatego straciliśmy moc?

- Owszem, to była mina elektromagnetyczna, ale zdetonowana przeze mnie - jeden z napastników wniósł na nasz statek minę przyczepną. Był to jedyny sposób, na jaki wpadłam, by unieszkodliwić jej system sterowania, zanim zdążył ją uzbroić.

- Cóż... my też straciliśmy kilka obwodów. Rozumiem, że napęd wysiadł? Co z innymi?

- Część nieprzytomna, Toby jest tutaj ze mną. Nie sprawdziłam jeszcze wszystkiego.

- To musiała być niezła walka - zauważyła Mehar, wskazując głową na skafander Ky.

- Raczej... męcząca - odparła Ky. Plecy dopiero teraz usiłowały poskarżyć się jej, ile razy próbowała zwinąć je w precel. Zignorowała je.

- Ilu ich było?

- Wydaje mi się, że trzech - odparła Ky. - Pozwólcie mi jednak sprawdzić resztę. Na opowieści będzie czas po zrobieniu porządku ze statkiem.

- Potrzebuje pani pomocy?

- Tak - przytaknęła Ky. - Najgorzej będzie w ładowni numer dwa i Inżynieryjnym. Byli najbliżej epicentrum.

Mehar poszła z nią do Inżynieryjnego, gdzie panowała ciemność i cisza. Rozejrzała się dokoła. Na drugim końcu sali leżała sterta ciał. Na jej oczach jedno z nich sturlało się na podłogę, potrząsnęło głową i podniosło wzrok. Jim.

- Co się stało, Jim?

Pokręcił głową, wskazując na uszy. Uszkodzone? Ky podeszła bliżej i przemówiła mu prosto w twarz.

- Słyszysz mnie?

- Słabo. Przestraszyłem się... nie wiedziałem, co się stało, kapitanie. Wbiegła Quincy, krzyknęła: „Na ziemię!” i wszystko wybuchło.

- Nie wszystko. Nadal jesteśmy w jednym kawałku. Reszta? - Już sprawdzała im puls i szukała widocznych obrażeń.

- Nie wiem. Dopiero co wstałem... - Mówił dziwnie, jakby bez składni. Quincy leżała na samym spodzie. Ona, Alene i Cele - wszystkie były nieprzytomne, lecz żywe. Ky odetchnęła.

- Zabierzmy Quincy do medzestawu - postanowiła. Jim skinął głową, podźwignął się z podłogi, zachwiał, ale zaraz odzyskał równowagę.

- Niska grawitacja...

- Tak. Oszczędzamy energię. Pomóż mi, Mehar. - Nie ufała zmysłowi równowagi Jima.

W niskiej grawitacji Quincy była łatwa do podniesienia i transportu. W połowie drogi do niszy z

medzestawem Ky uświadomiła sobie, że sprzęt nie będzie działał.

- Może jednak po prostu położymy ją na jej koi - postanowiła. - Musimy uruchomić silniki. - Ułożyły Quincy na koi, a potem zbadały Sheryl. Wybuch miny zastał nawigatora w jej kąciku; właśnie wstawiała, narzekając na potworny ból głowy.

Teraz do ładowni. Ky bała się tego, co mogły tam zastać. W ładowni numer dwa było ciemno jak w Inżynieryjnym. Ky znowu zarządziła włączenie górnego światła... Stała tam mina wymierzona w korytarz awaryjny. W grodzi za nią ziała spora dziura. Przez filtry skafandra przedarł się smród stopionego plastiku. Martin leżał bezwładnie kilka stóp dalej, żywy, lecz nieprzytomny.

- Węzeł przewodów numer trzy - zauważyła Ky. - Do licha. Jeśli mamy szczęście, może to dlatego silniki pozostają martwe. Przenieśmy Martina bliżej medzestawu. - Jeżeli przywróci pełną moc, będą musieli leczyć się z Quincy na zmianę. Poleciała Jimowi i Mehar zając się usuwaniem szkód, jak tylko dojdą do siebie.

Kiedy już możliwie najwygodniej poukładała najcięższe przypadki, wróciła na miejsce eksplozji, gdzie Jim usuwał zbrylony plastik z węzła numer trzy.

- Diabło trudno będzie to naprawić - ocenił. - Chyba, że wytniemy to wszystko w cholere i zaczniemy od nowa.

- Jak długo to potrwa?

- Na statku tych rozmiarów, przy sprzęcie, jakimi dysponujemy? Dzień. Może dwa.

Nie miała dnia ani dwóch. Żadne z nich nie miało dnia ani dwóch.

- Możesz połączyć w tej plątanie połączenia z silnikiem? W ciągu kilku godzin?

- Uch... - Widziała, jak chęć popisania się walczyła w nim ze świadomością, że tym razem przechwałki nie wystarczą. - Może. Gdybym miał pomoc. Znam się... trochę... na tym, ale...

- Toby, wiesz, jak łączyć przewody sterujące?

- Znam główne funkcje, ale nie pomocnicze, kapitanie. Ale czy w pani implantacji nie ma odpowiedniego podręcznika?

Był? Dotąd nie miała czasu na zapoznanie się z funkcjami specjalnymi.

- Obaj zaczniście od głównych funkcji. Chciałabym, żeby napęd działał przynajmniej na tyle, żeby zapewnić nam moc. Potem będziemy martwić się o resztę. Weźcie z magazynku wszystko, czego możecie potrzebować.

Wyobrażała sobie nadlatujące okręty bojowe, celujące w nią z broni, przed którą nie uratowałyby jej nawet w pełni sprawne osłony. Po policzeniu całej załogi wróciła na dziób.

Rafe zdołał usiąść. Zamrugał na jej widok.

- Wygraliśmy? - zapytał.

- Na razie tak - odrzekła. - Jak się czujesz?

- Boli mnie głowa. Implant melduje mi, że został wyłączony, ale już odzyskuje sprawność.

- Dobrze. Toby i Jim potrzebują twojej pomocy w Inżynieryjnym. Jesteś w stanie tam pójść?

- Tak. Chyba tak. - Podniósł się, zachwiał, po czym bez słowa ruszył do wyjścia. Ky patrzyła za nim przez chwilę, a potem wróciła do swojej kajuty.

Stella również wstała, opierając się o ścianę.

- Gdzie Toby? - zapytała.

- W Inżynieryjnym. Co z tobą?

- Masz pojęcie, jak okropnie to śmierdzi? - Stella zmarszczyła nos.

- Tak - odparła Ky. - Ale nie mogę się jeszcze umyć, mamy kolejny problem.

- Wiecznie tylko problemy - rzuciła Stella. Westchnęła i wyprostowała się. - Jak mogę pomóc?

- Czując się lepiej. Potrzebuję jasno myślącej załogi. Dysponujemy jedynie rezerwą mocy - napęd wewnętrzny nie działa. Osman nie żyje, ale jego sojusznicy z wielkimi armatami czają się gdzieś w przestrzeni, a my nie mamy skanerów.

- Gdzie najemnicy?

- Też chciałabym wiedzieć - mruknęła Ky. - Mam nadzieję, że lecą nam z pomocą, ale nie miałam od nich żadnej informacji od... bardzo dawna. - Stella milczała, więc Ky odwróciła się. - Muszę iść na mostek - dodała. - Zapalenie się normalnych świateł będzie dobrą nowiną.

- Fiat lux - stwierdziła Stella. - Ale mamy statek i powietrze, zgadza się?

- Zgadza.

- A Osman nie żyje. Czyli wygraliśmy.

- Bitwę. Nie wojnę.

- Jako dowódca znasz się na dodawaniu otuchy - mruknęła Stella.

- Dzięki - odparła Ky. - Staram się.

Na mostku zastała przytomnego Lee. Lewe oko wyglądało lepiej; uwijał się przy konsoli.

- Napęd nie reaguje - poinformował ją. - Gdzieś nastąpiło przerwanie.

- W węźle przewodów numer trzy - odpowiedziała Ky. - Zamieniony w żużel.

Inżynierowie już nad tym pracują.

- Hrrnm. Dostanę trochę mocy dla skanera?

Musiała wiedzieć, gdzie znajdowały się inne statki. Chociażby koziółkujący w ich sąsiedztwie duży frachtowiec. Potrzebowała także łączności.

- Tak. Pozwól mi tylko... - Wetknęła przewód skafandra do portu danych i nakazała implantowi dostarczyć energii dla systemu łączności i nawigacji. Kontrolki zmieniły barwę z czerwonej na żółtą, a po chwili na zieloną. Na ekranie Lee rozbłysły aktualne dane ze skanerów bliskiego zasięgu. Piękna Kaleen nadal chaotycznie wirowała niedaleko nich. Pojawiły się także trzy inne ikony - pozycja i kursy dwóch z nich wskazywały na kamratów Osmana, trzecia zaś - odetchnęła z ulgą - oznaczona była ID Mackensee. Tylko jeden? No tak, oczywiście - nie zostawiliby reszty konwoju bez ochrony.

Ky przełączyła konsolę łączności na ustaloną wcześniej częstotliwość.

- ...Gary Tobai... Gary Tobai, zgłoś się.

- Tu Gary Tobai - odpowiedziała Ky. - Bandyce w systemie.

- Zrozumiałem. Nie ma problemu - właśnie uciekają. Wasz stan?

Nie chciała ujawnić tego nieprzyjacielowi, nawet uciekającemu.

- Później - rzuciła. - Macie doświadczony oddział abordażowy?

- Abordaż... co się dzieje? - Włączył się inny głos. - Przejdźcie na zabezpieczone łącze.

Włączcie wizję.

- Teraz nie mogę tego zrobić - odparła Ky. - Mamy parę problemów.

- Czy to kapitan Vatta?

- Tak, mówi Ky Vatta. Unieszkodliwiliśmy Piękną Kaleen i zamierzam ją przejąć, ale nie mam ludzi z doświadczeniem w akcjach abordażowych.

- Pani... pani załoga?

- Wszyscy żyją. Czy nie możemy z tym poczekać, aż piraci wyniosą się z systemu?

- Och, dopilnujemy tego...

Daleki szum... i nagle zabłysły światła. W interkomie zatrzeszczało, głośno zabręczało, a potem

wszystko ucichło. Po chwili rozległ się głos Rafe'a:

- Wzywam mostek... słyszycie mnie? - Głos brzmiał normalnie.

- Tak - potwierdziła Ky.

- To dobrze. Napęd działa. Podłączyliśmy go prowizorycznie do węzła numer 2.

Diagnostyka wykazała, że po tej stronie wszystko jest w porządku, więc włączyłem oświetlenie. Jim i Toby pracują nad podłączeniem mostka.

- Co z Quincy? I Martinem?

- Wciąż nieprzytomni... Sheryl nie spuszcza ich z oka.

- Hmm. - W tej chwili nie mogła nic z tym zrobić, chociaż, skoro mieli już źródło energii... - Czy możemy włączyć normalną moc?

- O ile połączenia nie są gdzieś przerywane. Czego potrzebujesz?

- Medzestawu dla Quincy i Martina.

- Zrobi się. Mam podesłać Alene, żeby pomogła przenieść Quincy?

- Tak. Wykorzystamy energię mostka na ustanowienie zabezpieczonych połączeń.

- Chcesz skorzystać z... mojego?

- Pozwoliłbyś mi?

- Przecież wiesz. Kwestia bezpieczeństwa. Łącze jest bezpieczne, a ja mam tutaj źródło zasilania. Skróci to i usprawni komunikację.

- Taaa... - Ky zastanawiała się przez chwilę. - Czy Jim i Toby poradzą sobie z resztą?

- Tak. Jim ma smykałkę, a Toby chyba przeczytał i zapamiętał wszystkie instrukcje i podręczniki użytkownika na tym statku. Chłopak ma potencjał. We dwóch skleciliby chyba sprawny statek z mikserów do drinków i gumek do weków.

- W takim razie: tak, dziękuję i chodź na mostek.

- W tej chwili, kapitanie.

## ROZDZIAŁ 22

Zanim Rafe dotarł na mostek, Ky uruchomiła wszystkie skanery. System obronny uaktywnił się po zrestartowaniu systemów statku. Dysponowała dokładnymi wektorami obu piratów i okrętu Mackensee; ikony bandytów sygnalizowały przyspieszanie, nadal jednak przelecały na tyle blisko nich,

że mogliby ich ostrzelać, gdyby tylko chcieli. Zataczająca się jak pijana Piękna Kaleen zasłaniała ich w niemożliwy do przewidzenia sposób, ale Ky wołała nie liczyć na taką osłonę. Przynajmniej byli wystarczająco daleko, by uniknąć zderzenia.

- Lee, może zejdziesz na dół i pokażesz Jimowi i Toby'emu, których systemów najbardziej potrzebujesz - zasugerował Rafe, wchodząc na mostek. - O ile kapitan nie ma nic przeciwko temu...

- Tak - odłącz konsolę i zabierz ją ze sobą, Lee - poparła go Ky. - Znają się na kablach, ale nie na pilotażu.

- Będę potrzebował dostępu do skanerów - ocenił Lee. - Nie mogę pilotować na oślep.

- Rozumiem - odparła Ky. - Po prostu udziel im kilku wskazówek i upewnij się, że nie podłączą niewłaściwych komponentów.

Lee wzruszył ramionami, wypiął konsolę i wyszedł na korytarz.

- Dzięki - rzucił Rafe. - Teraz musimy zainstalować wizję...

- Możesz to zrobić?

- Tak. - Rafe zsunął hełm, rozpiął skafander i sięgnął do środka, marszcząc nos. - Bez urazy, kapitanie, ale twój skafander nieco cuchnie.

- Wiem - mruknęła Ky.

- Może wolałabyś go oczyścić, zanim zobaczą to najemnicy.

- Jestem pewna, że widzieli gorsze rzeczy - odparła.

Przerwał i spojrzał na nią.

- Poddajesz się jakiejś religijnej praktyce samobiczowania, czy jest coś, o czym nie wiem?

Jej cierpliwość wyczerpała się.

- Może to, że po powrocie na statek nie miałam choćby jednej sekundy, żeby nie trzeba było zrobić czegoś absolutnie niezbędnego? Ty i reszta załogi leżeliście nieprzytomni, a na statku nie działały żadne systemy.

- Wszyscy? - Uniósł brwi, nie przestając grzebać wewnątrz skafandra, skąd wyciągnął

wreszcie jakiś przewód. Wcisnął wtyczkę w opaskę na nadgarstku, po czym zdjął hełm i położył go na fotelu Lee. Odgarnął włosy, zrolował fałdę zakrywającą port implantu i wsunął

weń drugi koniec przewodu. - Nie wiedziałem.

- Wszyscy - przytaknęła zafascynowana Ky.

Rafe zerknął na skanery.

- Są cztery minuty świetlne od nas; zdążysz się umyć. Zawołam, jeśli coś się wydarzy.

Poczuła przyływ rozdrażnienia.

- Co cię obchodzi mój wygląd?

- Zawsze liczy się pierwsze wrażenie - odrzekł. - W tej chwili wyglądasz na łaknącą krwi, szaloną morderczynię, a nie miłą, zdrową na umyśle panią kapitan z dobrego, kupieckiego rodu.

Ky uśmiechnęła się; pamiętała to uczucie radości, które towarzyszyło zabijaniu.

- Ja jestem łaknącą krwi, szaloną morderczynią. Mówiłam ci już.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł Rafe, kręcąc głową. - Mówię poważnie.

Najemnicy nie byli zadowoleni z tego, że zostałaś w tym systemie. Potrzebujesz ich, żeby wywoływać wrażenie osoby rozsądnej i godnej zaufania, a przecież naprawdę taka właśnie jesteś.

To nie była odpowiednia chwila na wykładanie własnych racji, ale słowa wyrwały się jej, zanim zdążyła się powstrzymać:

- Jestem i taka, i taka. Ale przyjmuję twoje argumenty. - Obróciła się na pięcie i pomaszerowała do kabiny.

Stella szorowała dywan, chcąc usunąć plamy krwi; podniosła głowę, gdy Ky weszła do środka.

- Jak sytuacja?

- Poprawia się - odparła Ky. - Przyszłam trochę się obmyć.

- Dziękuję - rzuciła z uczuciem Stella. - Wobec tego przejdę się do kambuza i podgrzeję jakąś zupę. - Zmarszczyła nos i zbladła.

Ky zaczęła zdejmować skafander, ale uznała, że łatwiej będzie oczyścić go pod prysznicem. Jeszcze lepsza byłaby próżnia, ale nie mogła wyjść na zewnątrz, nie mijając zwłok Osmana. Strumienie wody zmyły ze skafandra najgorszy brud; po dwukrotnym płukaniu wyskoczyła z ubrania i dała nura pod prysznic. Nadal czuła smród śmierci Osmana, lecz dużo słabiej. Suszenie - wbicie się w czysty kombinezon z szafy - z niekłamanym niesmakiem przyjrzała się skafandrowi. Na zewnątrz był wilgotny od wody, od środka - przepocony.

Przewiesiła go przez ramię i po pięciu minutach była z powrotem na mostku.

Rafe obrzucił ją uważnym spojrzeniem.



- Włosy - mruknął.

Ky przeczesła je palcami; skrzywił się teatralnie, lecz zamilczał. W zamian wskazał na przewody, które podłączył do gniazdka w ścianie, jej kompa i własny implant.

- Możesz korzystać ze swojego komputera - przekaz wideo będzie taki sam.

Wprowadziłem już kody uruchamiające połączenie ansiblowe i urządzenie działa. Nie mogę się oddalać - muszę być podłączony do źródła zasilania.

- Racja. - Ky zasiadła w swoim fotelu, ułożyła sobie skafander na kolanach i spojrzała na ekrany skanerów. Obaj piraci rozpędzali się do skoku, a okręt najemników prawie ich doganiał. Wprowadziła kod ansiblowy Glouceстера. Na monitorze natychmiast - działało! -

zabłysła ikonka rozpoczęcie połączenia. Zerknęła na Rafe'a; patrzył przed siebie pustym wzrokiem w całkowitym milczeniu. Domyślała się, że monitorował funkcjonowanie ansibla.

- Gloucester. - Brak wizji. Oni jednak powinni odbierać jej obraz.

- Mówi kapitan Vatta z Gary 'ego Tobai. Ustanowiliśmy zabezpieczone połączenie...

- Kapitanie Vatta. - Na ekranie ukazał się oficer łącznościowy Glouceстера i porucznik Johansson. - Jak wygląda wasza sytuacja?

- Naprawiamy pewne uszkodzenia - odparła Ky. - Tym razem stan jednostki jest stabilny, cała załoga żyje.

- Potrzebujecie natychmiastowej pomocy?

- Nie natychmiast - odrzekła Ky. - Piękna Kaleen jest uszkodzona; nie wiem, w jakim stanie jest jej załoga. Kapitan nie żyje...

- Co się stało?

- Wdarł się na mój statek z miną - wyjaśniła Ky. - Zabiłam go. - Znow ten przypływ przyjemności, który musiała ukryć, tym razem bardziej intensywnej, gdyż miała czas na oswojenie się z sytuacją. - Tak czy owak, Kaleen koziołkuje i jeśli mam nie stracić tego statku, potrzebuję oddziału abordażowego, który wejdzie tam i przejmie kontrolę. Nie mamy możliwości dostania się na jego pokład. Potem trzeba obsadzić go własną załogą...

- Obsadzanie załogą! - skrzywił się najemnik.

- To był statek Vattów. Został ukradziony. Przejmuję go w imieniu Transportu Vattów.

- Oczywiście, pamięta pani o pewnych szczegółach naszego kontraktu, prawda?

Zgodziła się pani nie korzystać z uprawnień dawanych przez list kaperski.

Znowu zapomniała o tym dokumencie.

- Nie robię tego jako kapr, tylko jako Vatta. Tamten statek należy do Vattów. Ja go tylko odbieram.

- Rozumiem. - Nie wyglądał na przekonanego. - Niezależnie od pani opinii, kapitanie, takie działanie ociera się o złamanie naszej umowy. Kaprzy zagarniają łup. My nie. Nie narazimy naszego statusu legalnie działających najemników zdobywaniem statków lub obsadzaniem ich własną załogą. Wejdziemy jednak na ten statek, spróbujemy ustabilizować kurs oraz weźmiemy do niewoli tych, których tam znajdziemy. Jeżeli wygospodaruje pani z własnej załogi ludzi do obsadzenia drugiej jednostki, przewieziemy ich szalupą. Zgadzam się na to wyłącznie ze względu na identyfikator Vattów, nadawany przez latarnie tego statku. Co innego, jeżeli sąd uzna go za skradzioną własność pani rodziny. Zaczekam do wyroku. Czy to jasne?

- Całkiem jasne - przytaknęła Ky. - Dziękuję.

- Na razie jednak - ciągnął Johansson - ważniejszy jest pościg za tamtymi dwoma statkami aż do punktu skoku, oczywiście, jeżeli były w to zamieszane.

- Były - oświadczyła Ky.

- Ach... uważa pani, że należały do spisku przeciwko ansiblom?

- Zdecydowanie tak.

- Zgłasza pani sprzeciw wobec ich eliminacji?

Ky powstrzymała się przed mówieniem rzeczy oczywistych, na przykład przewadze przeciwnika dwóch do jednego.

- W żadnym razie.

- Wrócimy za kilka godzin - obiecał. Okręt Mackensee zniknął z ekranu, by zaraz pojawić się w sieci niepewnych namiarów - wektor nieznany, prędkość nieznana - która również rozviała się, ukazując najemników w doskonałej pozycji do ostrzelania umykających piratów. Jeden statek eksplodował natychmiast; drugi wyraźnie przyspieszył, by w niecałą minutę później również skończyć w mgławicy płomieni.

Ky znowu zaleciało od skafandra. Będzie go potrzebować do wkroczenia na pokład Pięknej Kaleen i wolałaby, żeby był wówczas suchy i czysty. Trzeba mu także naładować akumulatory. Mało prawdopodobne, żeby potrzebowała go w najbliższym czasie, kiedy już bandyci przestali istnieć. Odwiesiła go do szafki, podłączyła przewód zasilający i nastawiła program samoczyszczący.

Okręt Mackensee pozostawał w rejonie eksplozji przez ponad godzinę - zakładała, że szukał rozbitków - podczas gdy jej załoga pracowała nad przywróceniem połączenia silników z konsolą sterowniczą. Poświęciła ten czas na zbadanie struktury danych implantu.

Kusiło ją, żeby przeszukać pliki rodzinne i dowiedzieć się, co ojciec zanotował na jej temat,

postanowiła jednak najpierw dowiedzieć się więcej o Osmanie. Znalazła to, czego dowiedziałyby się dużo wcześniej, gdyby nie jej niechęć do założenia sobie implantu. Tata podejrzewał, że Osman zamordował własnego ojca, choć nie było na to dowodów. Z całą pewnością kłamał, defraudował pieniądze i dopuszczał się molestowania seksualnego własnej załogi. Odziedziczył po ojcu udziały w Transporcie Vattów i stwarzał problemy niezależnie od tego, co robiono. Jej ojciec i wujek, za rządów ich ojca Arnulfa pełniący w korporacji funkcję mediatorów, otrzymali zadanie „zajęcia się” Osmanem.

Przekonali go, żeby odsprzedał udziały za gotówkę. Uciekł razem ze statkiem, a oni nie ścigali go, nie chcąc mieć z nim więcej nic wspólnego. Notatka o Osmanie kończyła się zaleceniem taty, żeby każdy kapitan Vattów, który natknie się na niego, zachował jak największą ostrożność i natychmiast meldował centrali o wszystkim, czego się dowiedział. Ky skrzywiła się. Ktoś powinien go zdmuchnąć wiele lat temu, zapobiegając tym samym wielu kłopotom. Chciałaby, żeby tata dowiedział się, że to właśnie ona zlikwidowała to odwieczne zagrożenie dla rodziny.

Następnie zajęła się sekcją zatytułowaną: polityka. Nie tylko Osman mógł być ich wrogiem.

Łączność międzygwiazdna. Pod tym nagłówkiem widniały podtytuły: „Kontakty”,

„Polityka”, „Negocjacje”, „Potencjalne konflikty”. Wyglądało obiecująco.

Na mostek powrócił Lee z konsolą, zerknął na Rafe’a i nowe kable, które pojawiły się w pomieszczeniu i bez słowa komentarza wślizgnął się na swoje miejsce. Podłączył konsolę.

- Mogę sprawdzić działanie poszczególnych funkcji? - zapytał.

- Jasne - potwierdziła Ky. Implant przeszedł procedury testowe, oferując jej różne możliwości podglądu. Potem postanowiła sprawdzić medzestaw. Urządzenie zameldowało, że stan Quincy jest stabilny, choć organizm doznał pewnych obrażeń wskutek porażenia impulsem, zapewne ze względu na zaawansowany wiek. Zalecało konsultacje z bardziej zaawansowanym ośrodkiem medycznym odnośnie długofalowej terapii. Ky poleciła Alene i pozostałym, żeby wyjęli z medzestawu Quincy i wsadzili Martina. Wolałaby sprawdzić ich stan osobiście, ale musiała pozostać na mostku.

Ponieważ miała już w pełni sprawny napęd, postanowiła - po ostrzeżeniu załogi -

przywrócić sztuczną grawitację. Gdy zagłębiła się w fotel, odczuła wszystkie spowodowane wysiłkiem bóle. Przynajmniej siedziała.

Ekran ożył, sygnalizując połączenie z okrętem Mackensee.

- Dostaliśmy obu; podjęliśmy kilku więźniów. Wasz przedstawiciel ISC będzie zapewne chciał odstawić ich do biura ISC.

- Jestem tego pewna - odparła Ky, zerkając na wciąż nieobecnego Rafe’a.

- Wrócimy do was za godzinę - oznajmił oficer łącznikowy. - Do tej pory zawieszamy komunikację.

- Zrozumiałam - potwierdziła Ky, obserwując ekran. Znowu zniknął z niego okręt Mackensee, pojawiając się dwukrotnie w drodze do nich. Siły Kosmiczne Slotter Key dysponowały paroma jednostkami zdolnymi do takich manewrów, nie było ich jednak zbyt wiele. Zastanawiała się, jakie odczucia towarzyszyły tak gwałtownym przejściom do i z hiperprzestrzeni i w jaki sposób przebiegała nawigacja. Obejrzała się na Rafe'a. - Rafe, zrób sobie przerwę.

Przytaknął, nie patrząc na nią, wypiął się i pokręcił głową.

- Mam dziwne uczucie w uszach - stwierdził. - I te zapachy...

- Monitorowanie transmisji? - zapytał Lee.

- Coś w tym rodzaju - odparł Rafe. Wykonał kilka zamachów ramionami, przeciągnął się i po kociemu wygiął grzbiet.

Na mostek wkroczyła Stella z kubkami gorącej zupy i talerzem sucharów. Ky wypila gęsty wywar, z przestrachem uświadamiając sobie, jak wiele energii zużyła.

- Pozostałych już nakarmiłam - oznajmiła Stella. - Toby poprosił mnie o odmrożenie jednego z ciast owocowych cioci Gracie. Jeszcze nigdy ich nie próbował. - Uśmiechnęła się.

- Są tacy, którzy je lubią - zauważyła Ky.

- Chłopcy w tym wieku zjedzą wszystko - zgodziła się Stella. - Właśnie skończył trzeci kawałek.

- Stella taszczyła to z samego Slotter Key - powiedział Rafe. - Zapytałem dlaczego, ale nigdy mi nie odpowiedziała.

- Miałam dwa ciasta - wyjaśniła Stella. - W jednym był implant...

- Tam go ukryłaś? - Rafe uniósł brwi.

- I nie mam pojęcia, co jest w drugim - kontynuowała Stella. - O ile jest cokolwiek.

Ciocia Gracie ma specyficzne poczucie humoru.

- Musimy posprzątać korytarz awaryjny - przerwała im Ky. - Oraz służę, a ciało Osmana gdzieś upchnąć.

- Dlaczego zwyczajnie nie wyrzucić go w próżnię? - zapytał Rafe.

- Czekają nas formalności - wyjaśniła Ky. - Będę potrzebowała materiału dowodowego.

Poza tym, nie chcę wyrzucać go za burtę w tej chwili. - Nie miała ochoty nigdzie się ruszać.

Nagle zapragnęła snu.

- Podgrzej zupełę, pokrój ciasto, posprzątaj korytarz, przeniesie zwłoki - wyrzuciła z siebie dziwnym tonem Stella. - Na co mi przyszło. Oczywiście, wciąż żyję i nie myśl, Ky, że nie jestem za to wdzięczna. Bardzo się cieszę, że nie muszę grać roli uwięzionej księżniczki. Oraz że pokrzyżowałaś ostatni spisek Osmana, niezależnie od tego, jak to zrobiłaś. - Urwała. Ky rozważyła wymianę ciosów, lecz postanowiła tego nie czynić. - Ale - podjęła Stella wobec milczenia Ky - kiedy decydowałam się na życie tajnego agenta Vattów, nie brałam pod uwagę wykonywania domowych obowiązków. Choć ono również nie jest wolne od ciemnych stron.

- Każę zrobić to komuś innemu - uspokoiła ją Ky. - Przyda mi się twoja rada w przypadku kilku rzeczy, które odkryłam w implancie taty.

- Poważnie? - upewniła się Stella.

- Poważnie. Byłaś w domu - cóż, w kontakcie z domem - przez ostatnie cztery lata, a ja nie. Jedną chwilę... - Ky wywołała Środowisko i po upewnieniu się, że wszystko funkcjonowało tam normalnie, powiedziała Mirtowi, żeby zajął się sprzątnięciem korytarza. -

Tam jest naprawdę paskudnie, więc sugeruję założenie skafandra. W śluzie leżą zwłoki; wsadź je do zamykanej torby i umieść w jednej z ładowni. Potem przeniesiemy je na drugi statek.

- Czy musimy ich... dotykać?

- Zwłok? Tak... a co? O ile wiem, na nic nie chorował. A wy będziecie mieli rękawice.

- No cóż... - mruknął bez cienia entuzjazmu Mirt.

- Może ja zajmę się doczesnymi szczątkami Osmana - zaproponował Rafe. - O ile masz jakieś worki na zwłoki.

Nie miała. Bardzo liczyła na to, że na jej statku nie pojawią się więcej żadne trupy.

Niestety, pojawił się przynajmniej jeden.

- Nic standardowego - odparła. - Może coś wymyślisz?

- Pewnie. Rozejrzę się za czymś... albo zaczekajmy na najemników. Jestem pewny, że mają worki na zwłoki.

Wyszedł. Ky powiadomiła Mirta, że Rafe zajmie się ciałem, ale może potrzebować pomocy w znalezieniu odpowiedniego pojemnika.

- Och, mam tutaj kilka worków z zapasami; może któryś się nada - rzucił znacznie weselszym głosem Mirt.

Ky pomyślała w duchu, że sprzątnięcie korytarza będzie znacznie gorsze od chowania ciała Osmana do worka, ale nie zamierzała na ten temat dyskutować.

- Świetnie - odpowiedziała.

Podczas, gdy ludzie z podtrzymywania środowiska czyścili korytarz, Ky i Stella porównały działy w implantach.

- Nie mam funkcji sterowania statkiem - powiedziała Stella. - O czym mówiłam ci już wcześniej. Mój implant jest przygotowany do przeprowadzania analiz finansowych i gromadzenia informacji.

- Kogo masz z ISC? - zapytała Ky. - Ja mam około czterdziestu nazwisk - wszystkich od... Mirelli Coston, asystentki głównego przedstawiciela na Slotter Key po Lewisa Parminę.

Pamiętam go, był kilka razy na Corleigh.

- Czterdzieści? Ja mam tych dwoje, ale niewiele ponadto. Masz Rilendo Varise'a w Kontraktach Zewnętrznych?

- Tak. Ciekawe, czemu tata trzyma na tej liście Louise Sims-Delont - jest zwykłą urzędniczką. - Ledwo to powiedziała, a implant już rozpakował powody i wyświetlił je. Pięć lat temu Louise Sims-Delont tak bardzo chciała dostarczyć mu pewnych informacji, że uznał to za agenturalny przeciek, mający sprawdzić siłę partnerstwa Transportu Vattów i ISC.

Jakiego partnerstwa? - zdziwiła się Ky i implant natychmiast zalał ją powodzią liczb, nazwisk, dat i przyczyn.

- Co się dzieje, Ky? - zapytała Stella. Ky pokręciła głową nie mogła odpowiedzieć, nie teraz. Stella potrząsnęła ją za ramię. - Ky! Odpowiedz mi!

Czy Stella wiedziała?

- Zbyt wiele informacji w zbyt krótkim czasie - wyjaśniła Ky. Wzięła głęboki wdech. -

Uch... Ile wiesz o związkach Transportu Vattów z ISC?

- Związkach? Zależymy od łączności zapewnianej przez ISC, jak wszyscy przewoźnicy. Korzystają z naszych usług transportowych - nie wiem, ile dla nich przewieźliśmy, ale powiedziałabym, że stanowimy istotną część ich interesów, a na naszych stałych trasach być może nawet większość. Vattowie zawsze popierali monopol - nie chcieliśmy ryzykować fragmentacji usług i niekontrolowanych opłat. Kilku innych większych przewoźników długodystansowych postępowało tak samo.

- Tak, a inni domagali się otwartych standardów komunikacyjnych i konkurencji. Na przykład Pavrati.

- Och, Pavrati. - Stella zmarszczyła noseć.

- Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana - ciągnęła Ky. Ile powinna powiedzieć Stelli? Jak bardzo ich obecne kłopoty związane były z danymi, jakie zawierał implant wyjęty z głowy jej konającego ojca? - Ten implant - podjęła w końcu - zawiera rzeczy... o których powinniśmy dłużej

porozmawiać, jak sądzę. Na osobności. Skoro tylko my pozostałyśmy z Vattów...

- Jest jeszcze ciocia Gracie, a przynajmniej była, kiedy wyjeżdżałam z domu.

- Tak, cóż... - Skompresowane dane pod tym nagłówkiem były kolejnym problemem.

Wystarczająco trudno było jej pogodzić wyniesione z domu wspomnienia o pruderyjnej i kostycznej Ciotce Gracie Od Ciast Owocowych z tym, co opowiadała Stella. Gracie z implantu wyglądała jeszcze mniej znajomo. - Wiesz, że niemal trafiła przed sąd pod zarzutem morderstwa?

- Gracie? Nasza cioteczka Gracie?

- Ta sama. Ostatecznie uznali, że był to stres pobitewny i wyciszyli sprawę, kiedy rodzina umieściła ją na rok na farmie spaghetti.

Stella wytrzeszczyła oczy.

- Rozważali wysłanie mnie do kliniki. Ciocia Gracie zaprotestowała i oznajmiła, że sama się mną zajmie... Ale skoro ona... dlaczego jej posłuchali?

- Ponieważ miała na naszych ojców więcej brudów, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić

- odrzekła Ky. Zawarte w implancie notatki dostarczały na ten temat więcej wiedzy, niżby sobie życzyła. Żałowała, że nie ma z nimi ciocia Gracie; z przyjemnością wdałaby się z nią w spór o pamięć jej ojca. Zawsze tak wysoko nosił głowę, był taki uczciwy i rozsądny... Mogła sobie wyobrazić, że był nieco porywczy za młodu, ale nie... słowo pobłażliwy narzucało się samo.

Nie jej ojciec. Nie jej tata, który zginął w trakcie napaści na Vattów. Ani Stelli, choć zawsze zastanawiała się, czy rozwydzenia jej kuzynka nie odziedziczyła aby po ojcu, a nie od pochodzącej z dobrego towarzystwa matki. - Była szefową wewnętrznego systemu bezpieczeństwa Yattów - wiesz o tym, bo wciągnęła cię do tej roboty.

Ale współpracowała również z rządem Slotter Key, a przynajmniej z jego częścią.

- Nie przypuszczasz chyba, że to ona to uknuła... że współpracowała z Osmanem, czy coś takiego?

- Nie - zaprzeczyła Ky, choć minutę wcześniej takie podejrzenie przemknęło jej przez głowę. Implant nie pozostawiał cienia wątpliwości, jak głęboka była niechęć Gracie do Osmana. - Jestem pewna, że tego nie zrobiła. Pozostaje faktem, że wszystkie trzy musimy teraz działać wspólnie, jeżeli Vattowie mają powrócić... czy choćby przetrwać.

- Musimy przetrwać - oznajmiła Stella. - Jest jeszcze Toby...

- Tak. Cóż... - Czy nadszedł już czas, żeby wyznać Stelli prawdziwy powód jej niechęci do używania implantu? Nie... nie mogła przyznać się do tej obrzydliwej przyjemności, jaką czerpała z zabijania. - Kiedy już otworzę wszystkie szkatułki w tym urządzeniu, będziemy musiały spędzić trochę czasu, postanawiając, co zrobić z ich zawartością. - Nieprzekonująco to zabrzmiało, ale nie chciała

wdawać się teraz w dyskusję. Uwierało ją coś jeszcze. - I nie będziemy wtajemniczać w to Rafe'a - jest tam mnóstwo informacji o ISC.

- Och, w zupełności się zgadzam - przytaknęła Stella. - Ale zapewne będzie próbował wyciągnąć to z ciebie. To obieranie cytryny... - dodała gniewnie.

Ky roześmiała się.

- Nie jestem podatna na takich, jak on - oznajmiła. - A w tej chwili, na żaden typ -

dodała, poważniejąc. Przegnała precz wspomnienie tamtego krótkiego, szalonego tańca z Rafem. To był wynik oszołomienia po instalacji implantu, nic więcej.

- Tata mówił mi, że byłaś uczuciowo zaangażowana w jakiegoś bardzo miłego młodzieńca z Akademii - powiedziała Stella. - Szkoda... może zejdziecie się znowu, jak już to wszystko się skończy...

- Nie! - Ściszyła głos po tym wybuchu negacji. - Nie. To już definitywnie skończone.

- Cóż... będą inni.

Nic z tego, dopóki nie skończą. Dopóki nie zrozumie samej siebie. Dopóki nie spotka mężczyzny, którego nie przerazi jej prawdziwa natura... Ale czy naprawdę chciałyby mężczyznę, który się nie przerazi? Ona sama była przerażona.

- Poza tym - dodała w nadziei na zabicie Stelli z tropu - Rafe jest twój, nieprawdaż?

Stella zarumieniła się, ale pokręciła głową.

- Daj spokój, Ky, to nie jest przedmiot, który można posiadać. Poza tym... nie byłby mój, nawet, jeśli kiedyś faktycznie był.

- Mówiłaś, że byłaś pod urokiem...

- Owszem. Ale teraz jesteśmy zajęci czym innym. Wiesz, wbrew panującej o mnie w rodzinie opinii nie rządzą mną hormony.

- Przepraszam - rzuciła Ky. - Nie miałam niczego takiego na myśli.

- W porządku. On jest... interesujący, zgoda. Bardzo sprawny. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek byłby... partnerem na dłuższy czas. Martwiłam się, że mogłabyś ulec jego czarowi i poczuć się zranioną, kiedy wyszłoby na jaw, że chodziło mu jedynie o pozyskanie twego zaufania.

- Nigdy nie wchodzi tam, gdzie kobiety dyskutują o mężczyznach - powiedział Rafe, właśnie to robiąc. - Stello, Stello... nie wiem, czy czuć się mile polechtany twoim zainteresowaniem - nikt tak wnikliwie nie analizuje osoby, o którą nie dba - czy być przerażony tak błędnymi konkluzjami.



- Przestańcie - wtrąciła się Ky, gdy Stella znowu się splotła. - Nie interesują mnie mocne i słabe strony waszego związku. Twoje wyczucie chwili jest skandaliczne.

- Moje wyczucie chwili jest jak zwykle bez zarzutu - odparował Rafe, opierając się o ścianę. - Przybywam przynieść ukojenie twojej duszy, kapitanie: ciało Osmana jest bezpiecznie schowane, choć w każdej chwili dostępne, gdy tylko pojawią się najemnicy z odpowiednimi workami na zwłoki. Wiedziałaś, Stello, że twoja kuzynka to wytrawna zabójczyni?

- Jestem przekonana, że w sytuacji zagrożenia zrobi to, co konieczne - odparła Stella.

- Ja zaś mam pewność, iż do zabicia go wystarczyły pozostałe rany, bez tego dźgnięcia przez gardło do samego mózgu - zauważył Rafe. Obrzucił Ky zwodniczo łagodnym spojrzeniem; poczuła, jak płoną jej policzki. - Powiedzmy w ten sposób: nie było to czyste, wojskowe pchnięcie. Było w tym coś więcej, prawda, kapitanie?

- Rzekłabym: rozstrzygające - rzuciła lekkim tonem Ky. - Było nie było, założyłam, że zginął na statku po eksplozji. Upewnienie się co do ostateczności jego śmierci uznałam za dobry pomysł.

Rafe wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz, kapitanie...

Z ulgą przyjęła rozmowę z okrętem Mackensee. Był wystarczająco blisko, by mogli korzystać ze standardowej komunikacji.

- Rozumiem już, co określiła pani mianem „koziółkowania” w przypadku Kaleen -

przemówił oficer łącznikowy. - Sądzi pani, że na pokładzie pozostała jakaś żywa załoga?

- Nie wiem - odrzekła Ky. - Nie próbowałam wywoływać ich, odkąd zapaliły się światła.

- Proszę mi lepiej opowiedzieć, co się stało - poprosił Johansson.

Wyjaśniła krótko, zaczynając od stosunków Osmana Vatty z resztą rodziny i przedstawiając przebieg wydarzeń, które doprowadziły do jego śmierci. W kilku miejscach jej rozmówcę zawiódł profesjonalny wyraz twarzy, ale nie przerywał. Była mu za to wdzięczna; mogła sobie wyobrazić ewentualne komentarze na temat jej głupoty, przez którą napastnicy wdarli się przez śluzę.

- To znaczy... że odpaliła pani minę elektromagnetyczną na pokładzie własnego statku, by wysmażyć elektronikę jego ładunku? - było wszystkim, co na koniec powiedział.

- Tak - potwierdziła Ky i zacisnęła zęby w oczekiwaniu na osąd. W sumie, nie potrzebowała jego aprobaty - ważne, że poskutkowało.

- A jego śluza została zniszczona wskutek połączonej eksplozji waszej miny elektromagnetycznej i jego przyczepnej...

- Tak.

- Interesujące. - Wiedziała, że owo: interesujące nie oznaczało niczego tak łagodnego, jak to zabrzmiało. - Wyślemy szalupę z zespołem abordażowym na... Piękną Kaleen. Na wszelki wypadek lepiej byłoby, gdybyście odsunęli się na jakieś tysiąc klików. Możecie?

- Och, oczywiście - zgodziła się Ky. Spojrzała na pilota. - Wycofaj nas, Lee.

- Z przyjemnością.

Ky śledziła abordaż z oddali. Oddział abordażowy Mackensee ustalił, że śluza odniosła zbyt wielkie uszkodzenia, by funkcjonować, a główny korytarz był otwarty na próżnię. Jednak wewnętrzne grodzie opadły po restarcie systemów statku. Zamontowali prowizoryczną śluzę i przekonali statek, żeby wpuścił ich na pokład. W środku odkryli szesnaście trupów: siedem w kosmicznych pancerzach, zabitych przez awarię systemów ich sprzętu, reszta zginęła wskutek dekompresji - nawet nie mieli na sobie skafandrów. Po zbadaniu wszystkich przedziałów znaleźli kilku ocalałych, którzy schronili się w miejscach, skąd nie uciekło powietrze. Część odniosła rany, inni nie; wszyscy zostali uwięzieni, nawet trójka z magazynku przy kambuzie, utrzymująca, że byli jeńcami załogi.

W międzyczasie na mostku pojawił się Martin.

- Medzestaw twierdzi, że zostałem wyleczony - oświadczył. - Przepraszam, że tak padłem.

- Nie ty jeden - pocieszyła go Ky. - Dobrze, że nie wysmażyło ci mózgu na stałe.

- Dlaczego po prostu nie kazała pani Lee wyłączyć systemu statku?

- Osman wniósł na pokład minę przyczepną - odparła Ky. - To było jedyne, co wymyśliłam, żeby zablokować jej działanie.

- Och. - Martin obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. - Nie lubi pani okrężnych dróg, prawda, madame? Przypuszczam, że zabiła pani Osmana?

- Tak - potwierdziła Ky.

- Bardzo dokładnie - wtrącił się Rafe.

- Martin, przejmujemy tamten statek - dodała prędko Ky, nie pozwalając Rafe'owi rozwinąć tematu. - Potrzebujemy załogi do jego obsadzenia - znajdziesz się w niej, rzecz jasna, jako że mogą tam być jakieś zabezpieczenia, których reszta z nas nie zauważy.

- Tak jest, madame - rzekł Martin, momentalnie nabierając czujności. - Na pewno pozostawiali pułapki, takie same, jak ja przeciwko ich szturmowcom.

- Dokładnie. Prześlę ci do implantu oryginalne plany statku. Będziemy również potrzebować planu abordażu oraz twoich rekomendacji odnośnie składu drugiej załogi.

- Tak jest, madame. Zabieram się za to natychmiast.

Johansson połączył się z Ky ponownie, gdy tylko jego ludzie upewnili się, że oczyścili statek, chcąc wyjaśnić jej swoje plany odnośnie zatrzymanych.

- Posegregujemy ich później - oznajmił. - Nie zamierzam nikomu obcemu pozwolić szwendać się po moim okręcie... poza tym, nie twierdzą, że pracują dla Yattów.

Natychmiast po dotarciu na mostek inżynierowie z oddziału abordażowego zabrali się za stabilizację niekontrolowanego wirowania statku. Systemy zrestartowały się prawidłowo; wystarczyło wydać właściwe polecenia. Po kilku godzinach Johansson zameldował Ky, że statek jest gotowy na przyjęcie nowej obsady.

- Zgodnie z pani przewidywaniami, na statku została jedynie rezerwa powietrza. W

ładowniach jest atmosfera. Nasi inżynierowie doradzają przepompowanie go do pomieszczeń załogi, jak tylko upora się pani z naprawą śluzy. Na liście części zamiennych statku figuruje kilka przydatnych komponentów. Proszę... - Przesłał jej blok danych. Implant Ky posortował je i wyświetlił.

- Gdybyśmy skorzystali z waszej śluzy tymczasowej, powinniśmy móc dostać się do Sekcji B-Cztery - zauważyła Ky. - Czy roboty naprawcze Kaleen działają?

- Część z nich wygląda na sprawne. Chce pani, żebyśmy je sprawdzili?

- Tak. Nie ma sensu ryzykować życia, skoro roboty mogą odwalić za nas robotę na zewnątrz.

Szalupa Mackensee przewiozła rozbitków z Kaleen na Gloucestera, a roboty naprawcze zabrały się za montaż nowej śluzy. Ky korciło, żeby polecieć tam i sprawdzić, co jej implant zdoła wyciągnąć z ich komputerów, ale nie miała możliwości przeprawy na drugą jednostkę.

Na razie. Poza tym, musiała zorganizować obsadę zdobycznego statku. Johansson jasno dał do zrozumienia, że zapewnienie jej takiej załogi nie leżało w zakresie zakontraktowanych usług, których ani myślał rozszerzać. Zakładając, że chcą jedynie doprowadzić tamten statek do portu, będą potrzebować na jego pokładzie co najmniej: dowódcę, pilota, nawigatora, kogoś od podtrzymania środowiska i inżyniera.

- Oba statki muszą być dowodzone przez Vattów - oznajmiła w końcu Ky Stelli i Toby'emu. - Toby, wiesz więcej o statkach, ale Stella jest w takim wieku, że zarządca stacji zaakceptuje ją pomimo braku odpowiednich uprawnień.

- Kapitanie, czemu nie przeniesie się pani na Kaleen? - zaproponował Toby. - Nasz statek jest prostszy. Jeśli zostawi tutaj pani Stellę i kilku doświadczonych astronautów, nie powinna mieć z Garym najmniejszych problemów.

- To... jest jakiś pomysł - zgodziła się Ky. - Pamiętaj tylko, jakie miałam kłopoty po tym, jak na krótko go opuściłam.

- To co innego - odparł Toby. - Tamten statek - nikt go nie zna; potrzeba tam liczniejszej załogi i większego doświadczenia. To pani powinna objąć tam dowodzenie.

- Zgadzą się - poparła go Stella. - Jeżeli pozwolisz mi załadować do implantu część połączeń z systemami tego statku, to jestem pewna, że zdołam zrobić to, co będę musiała.

- Tak przypuszczam. - Ky zdążyła już dojść do wniosku, że to może się udać. Zadała ten problem implantowi. Tak, to najlepsze rozwiązanie. Pozostawało tylko wybrać, kto miał

zostać, a kto przenieść się na drugą jednostkę. Będzie potrzebowała Lee i Sheryl - wystarczy, jak zostawią załozę Gary 'ego Tobai instrukcje postępowania. Oczywiście, Martin. Co oznaczało, że Alene zostanie tutaj i będzie odpowiadała za ładunek. Ktoś z podtrzymania środowiska i inżynier. Mirt i Mehar - postanowiła. Oraz Rafe, ze względu na swoje doświadczenie z niestandardowymi ansiblami.

Do czasu przybycia najemników wszyscy byli już w skafandrach i gotowi do opuszczenia statku. Widoczna na ekranie skanera szalupa podlatywała coraz bliżej.

Ponownie połączył się z nią Johansson.

- Moi ludzie meldują, że ma pani przyczepioną minę do wjazdu wejściowego.

- Och... tak. - Zapomniała o tym. - To ta, którą Osman usiłował wysadzić mój statek.

- Wymierzona na zewnątrz... Jest uzbrojona, by odeprzeć intruzów?

- Nie - odparła Ky. - Po prostu uznałam, że to dobre miejsce na jej składowanie.

- Składowanie nieprzyjacielskiej miny... Czy są jakieś szczególne powody, dla których nie wypchnęła jej pani zwyczajnie ze służby?

- Nie chciałam trafić nią w Kaleen - odrzekła Ky. - Poza tym... szkoda marnować dobrą minę.

## ROZDZIAŁ 23

Zapadła długa cisza, podczas której oblicze Johanssona przybierało coraz ciemniejszy odcień purpury, a on sam zdawał się mieć narastający problem ze złapaniem powietrza.

Wreszcie wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Kapitanie Vatta, jest pani... zaiste... interesująca. Zaraz przyślemy szalupę, która przewiezie panią i załogę na tamten statek.

Widziana z bliska, Piękna Kaleen wyglądała na jeszcze bardziej sfatygowaną niż na ekranie skanera. Na przykład służa, zniszczona wybuchem miny przyczepnej Osmana.

Prawidłowa naprawa będzie sporo kosztować - implant podał jej szacunkową wartość. Roboty

naprawcze przyspawały z grubsza zastępczy właz, lecz nie wyglądało to tak, jakby Ky sobie życzyła w przypadku własnego statku. W pomieszczeniach załogi zamiast brudu i nędzy, jakich oczekiwała po pirackiej łajbie, zastała schludność i fachowość, zakłócaną jedynie gdzieś tam plamami po ostatnich wydarzeniach. Mostek, co najmniej trzy razy większy od pomieszczenia na Garym Tobai, przypominał jej statek, na którym odbywała praktyki, tutaj jednak znajdował się dodatkowy rząd konsol.

- Uzbrojenie - wyjaśnił towarzyszący jej najemnik. - Na jego zainstalowanie poświęcił

część dwóch ładowni. Nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkiego, ale nie naciskałbym tych czerwonych guzików, chyba, że chce pani kogoś zabić. Nie przeprowadziliśmy także inwentaryzacji amunicji, niemniej na lukach ładowni widnieją stosowne ostrzeżenia.

Sprawdziliśmy mostek pod kątem pułapek i omówiliśmy stan reszty statku z pani szefem bezpieczeństwa. - Zerknął na Martina, który skinął głową.

Ky przyjrzała się konsolom sterowania. No cóż, zawsze marzyła o dowodzeniu okrętem bojowym. Ta jednostka mogła uchodzić niemal za krążownik kieszonkowy, o ile ładownie pełne były pocisków, zamiast cargo... Nie było cienia wątpliwości, że Osman parał się piractwem. To prawdopodobnie pomoże jej przed sądem, który będzie oceniał przejęcie przez nią statku - niezależnie od opinii na temat kaprów, piraci zawsze cieszyli się gorszą reputacją.

- Dziękuję - powiedziała.

- Kapitanie, urządzenia podtrzymywania środowiska da się uratować. Kulturom nic nie jest; bardziej zaawansowane gatunki ucierpiały mocniej, ale myślę, że w ciągu najbliższych kilku dni uda się nam zwiększyć produkcję.

- Dobra wiadomość - odparła Ky. - Zapasy?

- Statek jest zaprowiantowany z myślą o znacznie liczniejszej załodze, a żadna z obejrzanych przeze mnie do tej pory spiżarni nie została uszkodzona. Nie będziemy mieli najmniejszych problemów przez co najmniej trzy miesiące standardowe; szafek jest więcej, ale nie jestem pewny, czy bezpiecznie jest je otwierać.

- W porządku - rzekła Ky. - No to możemy ruszać. - Mehar i Toby nie złożyli meldunku, ale wszystkie kontrolki napędów jaśniały zielenią. Pozostawiona na pokładzie Gary 'ego Tobai Quincy piekliła się na idiotów, którzy wybrali się na nieznaną sobie statek w towarzystwie niedoświadczonych inżynierów, niemniej ona sama dopiero wracała do siebie po doznanych obrażeniach i Ky nie zamierzała narażać jej na dodatkowy stres. W końcu uciszyła ją, zwracając uwagę na fakt, że jako zupełnie niedoświadczony kapitan Stella potrzebowała pomocy najlepszego inżyniera.

Najemnicy Mackensee sprawdzili łączność, nie zwracając uwagi na nieznaną sobie skrzynkę, będącą, jak domyślała się Ky, pokładowym ansiblem. Połączyła się z Johanssonem.

- Będziemy gotowi do lotu, jak tylko pańscy ludzie wrócą do siebie - powiadomiła go. -

Rozumiem, że po skoku dołączymy do konwoju?

- Zgadza się. Jeżeli macie na pokładzie nawigatora, zaraz przekażę mu koordynaty...

- Proszę bardzo - rzuciła Ky, kiwając głową do Sheryl.

- Jesteśmy w drodze - zameldował dowódca oddziału abordażowego. - Do zobaczenia w innym miejscu i powodzenia ze statkiem.

- Poradzimy sobie - odpowiedziała Ky z większą pewnością, niż faktycznie czuła.

\* \* \*

Wreszcie znowu byli w drodze. Na ekranach doskonałej jakości wojskowych skanerów Osmana Gary Tobai przyspieszał do skoku, pełnząc z połową prędkości, jaką oferowała Piękna Kaleen. Ale Ky nie zamierzała zostawiać swojego pierwszego statku. Osłaniał ich lecący z tyłu okręt Mackensee z bronią gotową do strzału. Ky nie aktywowała systemów bojowych Kaleen.

Przez ostatnie godziny jej implant badał statek i jego bazy danych, bez trudu radząc sobie z zabezpieczeniami Osmana: to była jednostka Vattów, zbudowana specjalnie dla Vattów, w związku z czym najbardziej podstawowe poziomy oprogramowania dawały każdemu z dowódczym implantem Vattów pełny dostęp do wszystkiego, co zostało dodane później.

Dzięki temu Ky mogła wskazać Martinowi dokładne lokalizacje wszystkich fizycznych pułapek i zdradzić, jak je rozbroić.

Odkryła, że ładownie z uzbrojeniem zawierały także zapas odpowiedniej amunicji.

Dokonane przez Osmana przeróbki zmniejszyły przestrzeń ładunkową tak, że przewyższała możliwości Gary 'ego raptem o połowę... Jeżeli nie cofnie tych zmian, jako kupiec będzie zwyczajnie nieekonomiczna. Jako kapr... była doskonała. Tyle tylko, że wszechświat znał ten statek jako piracki. Potrzebowała nowej nazwy, chipa pokładowego i identyfikatora nieskażonego latami kryminalnej działalności Osmana.

Bez problemu zapłaci za to dzięki zawartości pozostałych ładowni... będącej urobkiem z co najmniej pół tuzina napaści na inne statki. Osman zatrzymywał łatwe w przechowywaniu dobra wartościowe: przedmioty luksusowe, jak biżuteria czy dzieła sztuki, kultury biologiczne, implanty zabrane „interesującym” więźniom. Zawartość części z nich została skopiowana do komputera pokładowego, reszta czekała dopiero na tę operację. Sprzedawalne informacje umieszczał w infokostkach;

po zapoznaniu się z jego zapisami Ky przekonała się, że w ciągu ostatniego tuzina standardowych lat sporą część zysków Osman czerpał właśnie z handlu cennymi danymi zdobytymi z takich właśnie implantów. Był piratem, ale prowadził taką samą buchalterie, jak każdy biznesmen. Posiadał również zapas pokładowych ansibli do sprzedania potencjalnym sojusznikom w wojnie przeciwko ISC.

Zastanawiała się nad tym, gdy Rafe zabrał się za oględziny zainstalowanego na mostku przekaźnika. Czy powinna powiedzieć mu o pozostałych? Nie powinno przynieść to żadnej szkody.

- W ładowni mam jeszcze tuzin takich - oznajmiła lekkim tonem. Rafe podniósł na nią wzrok.

- Takich samych, jak ten?

- Tak. Według jego zapisków, zwykle miewał ich więcej, ale część zdążył sprzedać.

Chcesz wiedzieć, komu?

- Chyba powinienem - odparł Rafe. - Ale ten kot i tak wylazł już z worka. Ostrzegałem ich przed tym dwa lata temu... ale nie chcieli mnie słuchać. - Wrócił do pracy. - A przy okazji, uważasz, że Osman był jedyną przyczyną ataku na Vattów? Czy tylko realizował swoją zemstę, wspierając sojuszników?

- Nie jestem pewna - odrzekła Ky. - Jeżeli szukali dobrego przykładu, żeby zastraszyć innych przewoźników - jak uważała część kapitanów na Lastway - to Vattowie z pewnością rzucali się w oczy, wspierając ponadto utrzymywanie monopolu ISC. Dzięki swej wiedzy o rodzinie i osobistym zaangażowaniu w szkodzenie Vattom, Osman był dla nich prawdziwym błogosławieństwem.

- Są systemy, które nie przepadają za Slotter Key - zauważył Rafe. - Nie sądzę, żebyś zdawała sobie z tego sprawę, ale Slotter Key utrzymuje kaprów.

Jej własny list kaperski omal nie wypalił dziury w uniformie; dobrze, że Rafe wpatrywał się we wnętrze konsoli, a nie w nią.

- Obiło mi się o uszy - odrzekła. - Nie byłam pewna, czy można w to wierzyć.

- Och, to prawda. Taniej, niż powiększać Siły Kosmiczne, jak przypuszczam. Kaprzy utrzymują się sami. Wiedzieliśmy, że Vattowie nigdy w tym nie uczestniczyli, ale ten statek...

Wasza centrala wypierała się go, choć czasem budziło to moje wątpliwości.

- Ty... wiedziałaś o Osmanie wcześniej ode mnie? - I nie ostrzegłaś mnie? chciała dodać, ale powstrzymała się.

- Nie byłem pewny - odrzekł Rafe. - A jeżeli postanowiłaś spotkać się z rodzinnym kaprem, to wolałem co nieco o tym wiedzieć. - Obejrzał się na nią przez ramię. - Nie patrz tak na mnie, kapitanie. W niczym nie narusza to naszej spółki - sprawdź warunki - a poza tym, ostrzegłem cię, jak tylko nabrałem pewności, że dzieje się coś złego.

Niewielka pociecha. Próbowała wymyślić sensowną odpowiedź, lecz w tej właśnie chwili Sheryl obwieściła, że rozpoczyna odliczanie przed wejściem w hiperprzestrzeń.

- Wszystkie stanowiska, przygotować się do skoku - zarządziła Ky, rezygnując z komentarza. - Grodzie sekcji opuszczone. - Rafe oderwał się od ansibla i przypiął pasami do wolnego fotela; pozostałe stanowiska zgłaszały gotowość. Żołądek Ky zawiązał się w supeł.

Jak Kaleen zniesie przejście z tą prowizorycznie naprawioną śluzą? Na szczęście, nawet jeżeli nie wytrzyma, to stracą powietrze jedynie z połączonego z nią korytarza.

Piękna Kaleen wślizgnęła się w hiperprzestrzeń równie łatwo, jak Ky przechodziła przez drzwi... Oczywiście, pirat musiał dbać o idealne dostrojenie swojego okrętu. Po godzinie i dwunastu minutach lotu w hiperprzestrzeni, podczas którego Ky roztrząsała wszystko, co mogło pójść źle z Garym Tobai oraz kłopoty, jakie ich czekały, gdyby wynurzyli się ze złą prędkością relatywną, statek wyskoczył w normalną przestrzeń równie gładko, jakją opuścił.

Gdy skanery odzyskały sprawność, przed dziobem ujrzeli Gary 'ego Tobai, a za rufą okręt Mackensee.

- Wspaniała robota, Lee i Sheryl - rzuciła Ky. Poczowała ulgę. Na skanerze dalekiego zasięgu zobaczyła drugi okręt Mackensee i resztę konwoju. Żadnych nieznanych jednostek w systemie. Tutejszy ansibl nie działał, ale Rafe go naprawi. Podniosła grodzie.

- Dziesięć godzin do spotkania z konwojem - poinformował ją Johansson.

Dziesięć godzin. Nie utrzyma się na nogach przez kolejnych dziesięć godzin. Kto sobie poradzi?

- Toby, przyjdź na mostek. - Toby o niewyczerpanych zasobach energii. Na ich obecnym kursie, którego nie było konieczności zmieniać, z pewnością poradzi sobie z dyżurem, podczas gdy reszta odzyska siły.

- Poruczniku, większość mojej załogi leci z nóg. Zamierzam ogłosić odpoczynek, pozostawiając jedną osobę na wachcie.

- Dobry pomysł. W razie potrzeby proszę nas wzywać.

Na mostku pojawił się Toby z płaczącym się pod nogami Hultajem.

- Tak, kapitanie?

- Obejmujesz wachtę na mostku, Toby. - Nie musiała pytać, czy ma siłę; oczy zabłyśły mu szczęściem. - Widzisz, mówiłam ci, że pewnego dnia zostaniesz kapitanem.

- Tak jest, kapitanie! Zawołam panią natychmiast, gdyby coś się stało.

- Dokładnie - potwierdziła Ky i dźwignęła się z fotela. Zesztywniały jej wszystkie mięśnie i stawy. Martin sprawdził wystarczającą ilość kabin, żeby każdy otrzymał własną kajutę, choć była pewna, że w tej chwili zasnęłaby nawet na pokładzie w towarzystwie dwudziestu innych osób.

\* \* \*

Kajuta kapitańska była o połowę większa od jej odpowiednika na Garym Tobai. Osman preferował czerń i szarość z czerwonymi akcentami. W kabinie dziwnie pachniało - uznała to za esencję Osmana. Kopnęła się w myślach za to, że nie pomyślała, aby nastawić tutaj cykliczne odświeżanie podczas godzin spędzonych na mostku. Ściągnęła wszystko z koi - nie zamierzała spać w jego pościeli. W szafce znalazła zapasowy komplet ze sztucznego jedwabiu



- czarny, śliski i błyszczący. Przynajmniej nie pachniał Osmanem. Wrzuciła resztę pościeli do pralki, włączyła wentylację na wysokie obroty, zostawiła otwarte drzwi i zasnęła, zanim zdążyła pomyśleć o wyłączeniu światła.

Ocknęła się na chwilę, gdy zgasło światło, a potem obudził ją głos Toby'ego, informującego ją, że była już ta godzina, o której miał ją obudzić, ale jeśli chce pospać dłużej, to może, bo nie wydarzyło się nic szczególnego.

- Wstaję - postanowiła. - Tylko wezmę prysznic.

W prywatnej łazience Osmana - zasługiwała na tę nazwę, gdyż oprócz prysznicza była tam również wanna - zastała bałagan, którego oczekiwała po reszcie pomieszczeń, choć w większości spowodowała go rotacja statku przy zerowej grawitacji. Czarne, marmurowe ściany i podłogę upstrzyły smugi zielonych, żółtych i różowych płynów. Rzuciła okiem na to pobożowisko i wezwała roboty sprzątające. Czekając, aż usuną z podłogi potłuczone szkło, przetrząsnęła pozostałe szafki. Ubrania... Musiał lubić czerń. I jedwab. Jedwabne koszule, obszerne, jedwabne spodnie. Komplet reprezentacyjny: uniformy Vattów, w tym jeden powycierany ze starości. Zestawy strojów na różne światy, w odmiennych kolorach i stylach.

Bielizna... dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że nie wszystko należało do niego...

To była kolekcja damskiej i męskiej bielizny w różnych rozmiarach, a wszystkie... wzdrygnęła się i wyrzuciła je do odzyskiwacza. Mogła uczynić z nich dowód rzeczowy, ale nie miała ochoty trzymać tego w swojej kajucie, choćby za zamkniętymi drzwiczkami szafki. W jednej z szuflad odkryła inne świadectwa jego upodobań: kajdanki, maski, przedmioty, których przeznaczenia niemal się domyślała. Otworzyła tylko jeden skórzany pojemnik; zestaw narzędzi przeraził ją do tego stopnia, że resztę pozostawiła nietkniętą.

Znalazła czyste ręczniki, czarne, lecz pachnące wyłącznie mydłem, w chwili, gdy roboty zameldowały, że łazienka jest posprzątana. Implant poinformował ją, że nie wyłożono jej prawdziwym czarnym marmurem, tylko dostrajanym kryształem; Ky natychmiast zmieniła kolor na mrozoną biel. Dopiero teraz uznała, że było tutaj czysto... Prysznic działał równie dobrze, jak jej na Garym Tobai; poświęciła dłuższą chwilę na wyszczotkowanie włosów przed lustrem Osmana... jej lustrem. To również był kryształ; zamieniła dolne dwie trzecie na mrozoną biel.

Wypoczęta załoga powoli schodziła się na mostek lub swoje stanowiska.

- Czy możemy zmienić wystrój kabin? - zapytała Sheryl.

- Co, czyżby raziły cię makabryczne freski? - zapytał Rafe.

- Rafe - upomniała go Ky, po czym zwróciła się do Sheryl: - Oczywiście. Teraz to nasz statek. Kajuta Osmana była dość ponura - z innymi też kiepsko?

- Ujmijmy to tak: słynny fresk Scovalda przedstawiający inwazję na Bettany nigdy nie był szczytem moich marzeń - stwierdziła Sheryl. - Nawet jeśli poprzedni lokator dodał do niego własne szkice i

komentarze. I pachnie tak, jak osoba, która tam wcześniej zamieszkiwała.

- To nie byli mili ludzie - przytaknął Rafe. - Znalazłem sobie kajutę, wyglądającą na zupełnie prosto urządzone: puste ściany z kilkoma wizerunkami dziewcząt, na które można było bez trudu nie zwracać uwagi, ale w chwili, gdy położyłem się na łóżku, włączył się system nagłaśniający. Nabrałem absolutnej pewności, że nie mam ochoty poznać poprzedniego właściciela kabiny. - Na spojrzenie Ky pokiwał potakująco głową. - Zlikwidowałem to.

Skasowałem. Zakładam, że i bez tego nagrania będziesz miała wystarczająco dużo dowodów na tych ludzi, a był to jedyny sposób wyciszenia dźwięku bez rozbierania koi. Byłem zbyt zmęczony, żeby to zrobić.

- Sama wrzuciłam sporo rzeczy do odzyskiwacza - skomentowała Ky. - Kusi mnie też, żeby wyczyścić samo łóżko.

- O tak - wtrącił Lee. - Prawdę mówiąc, ja już to zrobiłem. Nie jestem tylko pewny, czy jakiegokolwiek czyszczenie usunie to, co było na tej pościeli.

- Cóż, podczas najbliższego odpowiednio długiego czasu wolnego wszyscy będziemy musieli to zrobić. Jest tutaj tyle pomieszczeń dla załogi, że jeszcze długo nie zaznamy nudy.

- Uważam, że obrzydzenie jest lepsze od nudy - oznajmiła Sheryl. - I ekscytacji -

dodała. - Wezmę się za to; do chwili spotkania i tak nie mam nic do roboty. Chyba, że jesteście głodni i chcecie coś zjeść.

Ręce uniosły się w górę.

- Mam tylko nadzieję, że nie znajdę w kambuzie robaków z Selenki czy czegoś w tym guście - mruknęła Sheryl, opuszczając mostek.

W niecałą godzinę wróciła z tacami; wyprzedzała ją woń świeżo upieczonego chleba.

- Kambuz jest w porządku - powiedziała. - A zapasy są... przypuszczam, że tylko piraci mogli pozwolić sobie na coś takiego. Pakowane złote racje żywnościowe z Escalion Catering.

Musiałam jedynie upiec chleb. Zupełnie, jak tamto jedzenie z luksusowego liniowca, pamiętacie?

Mieli wrażenie, że awantura o złotookie maliny wydarzyła się całe wieki temu.

- Tak - przyznała Ky, przetykając kęs ciepłego, świeżego chleba posmarowanego czymś słodkim i chrupiącym.

- Powinniśmy chyba podzielić się tym z resztą - uznał Lee, smarując kromkę intensywnie purpurowym dżemem.

- Już to zrobiłam - uspokoiła go Sheryl. - Zadzwoiłam po nich. Ta cisza oznacza ludzi wolących

jeść, niż gadać. - Zabrała się za własny posiłek i na mostku również zapadła cisza.

- Lepsze od ciasta owocowego ciotki Gracie - oceniła Ky, kiedy zdołała wreszcie zaczerpnąć nieco powietrza. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była głodna. - Możemy zachować je na następny kryzys.

- Który, mam nadzieję, nie nastąpi zbyt prędko - dodał Lee, przeciągając się. - Ach... jak dobrze.

Gdy tylko podeszli wystarczająco blisko, Gloucester podesłał po Rafe^ zasobnik, żeby mógł zająć się tutejszym ansiblem. Zaraz po opuszczeniu przez niego statku, Johansson połączył się z Ky.

- Mamy pewien problem - oznajmił. - Chodzi o pani tak zwanego agenta ISC.

- Rafe'a? Co znowu?

- Od opuszczenia Lastway analizowaliśmy przebieg zdarzeń. Wygląda na to, że tylko Pan-Kimkolwiek-Jest-Naprawdę mógł zorganizować tę zasadzkę. Zamierzamy zabrać go do nas, jak tylko skończy naprawę i rzucić okiem na jego implant.

- Nie możecie tak uważać - zaprotestowała Ky. - Naprawia ansible... i to on doprowadził

nas do spiskowców na Lastway.

- Znane są przypadki, gdy jedni spiskowcy poświęcają innych dla osiągnięcia długoterminowej korzyści - odparł Johansson. - Chciał zdobyć nasze zaufanie...

- Pomógł nam również przetrwać atak - zauważyła Ky.

- Pani zdaniem... Nie jestem pewny, czy jest pani wystarczająco kompetentna, by to właściwie ocenić, kapitanie Vatta. Jak Osman mógł przewidzieć, dokąd lecimy? Nie wiedział o tym nikt na Lastway. Jak inaczej z taką łatwością mógł kontaktować się z sojusznikami?

Wierzę, iż Rafe jest - lub był - powiązany z ISC, ale mamy niezbite dowody, że korzysta z jakiegoś tajnego sposobu komunikowania się.

- Nie możecie tak po prostu wdrzeć się do jego implantu - upierała się Ky, choć była w pełni świadoma, że mogą. - Należy do mojej załogi i korzysta z mojej ochrony.

- Obawiam się, iż muszę się z panią nie zgodzić, kapitanie Vatta. Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo pani i reszty konwoju. Wierzmy, że ten człowiek wystawia owo bezpieczeństwo na szwank. Doceniam pani poczucie honoru, jeśli chodzi o załogę, ale nie wolno nam pozwolić sobie na żadne ryzyko. Nie zamierzamy go skrzywdzić; sprawdzimy jedynie jego implant...

Rafe prędzej popełni samobójstwo. Była tego pewna, choć on sam nigdy tego tak nie ujął. Nie pozwoli nikomu uzyskać dostępu do swojego implantu ani ansibla. Z drugiej strony, była pewna, że powiedzenie o tym Johanssonowi jedynie umocni go w podejrzeniach, że Rafe był jednym z nieprzyjaciół. W sumie, czy uczciwy człowiek popełniłby samobójstwo tylko po to, by ukryć fakt, że

jest uczciwy?

- Rafe opowiedział mi co nieco o swojej przeszłości - powiedziała Ky, próbując wymyślić argument, który mógłby podzielać. - To... bardzo delikatne sprawy, które nie powinny być szeroko znane.

- Nie planujemy niczego rozgłaszać światu, kapitanie Vatta. Chcemy jedynie dowiedzieć się, czy należy do spisku. Jeśli ma pani takie życzenie, mogę obiecać wykasowanie wszystkich nagrań, jeżeli okaże się, że jest niewinny.

Co Johansson uzna za niewinność? Sylwetkę złego chłopca, rentiera, szpiega-awanturnika, ukrywającego się pod przykrywką drobnego kryminalisty: przemytnika, hazardzisty, czy za kogo tam Rafe chciał uchodzić? Raczej nie.

- A czy mnie uważa pan za część spisku, poruczniku?

- Panią? - To najwyraźniej go zastanowiło. - Oczywiście, że nie. Młoda, niedoświadczona, być może lekkomyślna... ale nie spiskowiec.

- Świetnie. Wobec tego pozwólcie, że to ja sprawdzę implant Rafe<sup>^</sup>, a nie wasi ludzie. -

O ile Rafe jej pozwoli.

Johansson wyraźnie się zdenerwował.

- Kapitanie Vatta... nie zamierzam podważać pani uczciwości, ale... jest pani młodą kobietą, a ten Rafe to bardzo przystojny mężczyzna.

- Och, na litość boską! - wykrzyknęła Ky, uciekając się do jednej z min ciotki Gracie. -

Nie jestem głupiutką nastolatką, poruczniku. Owszem, Rafe jest przystojny. Mój pilot również.

I jeden z młodszych inżynierów. Nie jestem uczuciowo związana z żadnym z nich.

- Pani... nie czuje do niego pociągu?

- Oczywiście, że nie - odparła Ky. - Jest dla mnie za stary, a poza tym, nie jest w moim typie.

- Cóż... muszę porozmawiać z kapitanem.

Mijały minuty. Lee zerknął na nią.

- Ja jestem przystojny?

- Wiesz, że tak - odrzekła Ky. - Na swój szorstki, nieokrzesany sposób.

Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Z którego filmu sensacyjnego to cytat?

- Z żadnego, który bym pamiętała - odrzekła Ky. - Choć w szkolnych latach obejrzałam ich mnóstwo. Niemniej przykro mi, Lee, ale nic u mnie nie wskórasz.

- Nie spodziewałem się - zapewnił ją Lee. - Jestem starszy nawet od Rafe'a. -

Spoważniał. - Musi pani jednak wiedzieć, że część z nas martwiła się o panią. Stella najwyraźniej uległa jego czarowi.

- Nie jestem Stellą - odparła Ky. - A i ona zapewniła mnie, że już z tym skończyła.

- Być może - mruknął Lee. - Trzeba przyznać, że potrafi być czarujący, kiedy tylko zapomina o arogancji i sarkazmie...

- Lubi drażnić ludzi - wyjaśniła Ky. - Wytrącać ich z równowagi.

- Broni go pani?

- Przed podejrzeniami Mackensee - tak. Byłeś tam; wiesz, jak zachowywał się w sytuacji zagrożenia. Gdyby chciał, żebyśmy ulegli Osmanowi, mógłby wyrządzić sporo szkód.

- Kapitanie Vatta... - Na ekran powrócił Johansson. - Czy zgadza się pani przybyć na pokład Glouceстера, kiedy sprowadzimy nań pani człowieka na przesłuchanie?

- Absolutnie - potwierdziła Ky.

- Niczego nie obiecuję, ale kapitan jest skłonny wysłuchać pani argumentów.

- Dziękuję - powiedziała Ky. - Przyślecie zasobnik?

- Po panią podeślemy szalupę - odrzekł Johansson z uśmiechem. Nie wyczuwała ironii, ale i tak zastanowiło ją to.

\* \* \*

Pilnowany przez strażnika Rafe leżał przywiązany do leżanki, kiedy do lazaretu wkroczyli Ky, Johansson i kapitan Pensig. Był blady i uparty.

- Twój kapitan wstawił się za tobą - przemówił Pensig. - Nie jestem jednak przekonany, że młoda kobieta, nawet z jej wykształceniem i doświadczeniem, nie jest podatna na wpływ kogoś takiego, jak ty. - Brudu, który zwykle zeskrobuje się z buta, sugerował jego ton.

- Nie jestem nią zainteresowany - oświadczył Rafe, nie patrząc Ky w oczy. - Jest za młoda, zbyt naiwna i absolutnie nazbyt zarozumiała. A także - bez urazy - nie spełnia moich standardów kobiecego piękna.

- Czy znała pani jego opinię, kapitanie? - zapytał Pensig.

Ky wzruszyła ramionami.

- Mówiłam wam już. Rafe nie jest w moim typie, ja nie jestem w jego. Doceniam niemałe umiejętności tego człowieka i jestem przekonana o jego uczciwości względem mojej osoby i wynikających z naszej umowy spółki zobowiązań. Ale uczucie? Nie.

- Nasze informacje o incydencie w Sabinę sugerują, że jest pani podatna na urok młodych mężczyzn.

Ky zaczerwieniła się.

- Dla mnie Rafe nie jest młodym mężczyzną, kapitanie Pensig. I z całym szacunkiem sugeruję, iż wasze raporty z Sabinę są nieścisle. Idiota, który wywołał całe to zamieszanie, był

nowy na statku. Był swego rodzaju uciekinierem.

- Był w pani kajucie...

Ky uświadomiła sobie, że całą tę sztukę grano dla Rafe'a, co jedynie wzmogło jej irytację.

- Wbiegł tam bez mojej zgody - wyjaśniła. - Łamiąc mój rozkaz, żeby został w mesie razem z innymi. Nigdy wcześniej tam nie był. - Pozwoliła sobie na okazanie gniewu. -

Cokolwiek pan sobie myśli, kapitanie Pensig, nie jestem rządzonym przez hormony, bezmyślnym podlotkiem, zakochującym się w każdej napotkanej ładnej buźce.

- Nie zakładałem niczego takiego - zapewnił ją Pensig. - Zanim jednak powierzę bezpieczeństwo moich okrętów i osobistej odpowiedzialności pani umiejętności interpretacji danych, zawartych w implancie tego oto człowieka, muszę się upewnić, że pani relacja nie zostanie niczym zniekształcona.

- Jeżeli naprawdę współpracował z ludźmi, którzy zabili moich rodziców, braci i resztę rodziny, to powiem panu o tym z najwyższą przyjemnością - oświadczyła Ky.

- Bardzo dobrze. Rafe Kimkolwiek Jesteś, czy zgadzasz się na połączenie twojego implantu z implantem kapitana Vatty celem ustalenia, czy jesteś zdrajcą, o co cię podejrzewamy?

- Tak - wycedził Rafe przez zaciśnięte zęby. - Pod warunkiem, iż przysięgnie publicznie, że nie ujawni niczego, co tam znajdzie, a co nie pozostaje w związku z oskarżeniem.

Kapitan Pensig popatrzył na niego spode łba, ale w końcu mruknął:

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Przysięgam - rzuciła krótko Ky. Położyła się na sąsiedniej leżance.

Jeden z techników medycznych wyciągnął przewód z identycznymi wtyczkami na obu końcach.

- Nie będzie bolało - zapewnił inny, unosząc jej fałdę skórą i podłączając kabelek. Z

początku nie czuła nic, słyszała jedynie dziwny szum. Potem kolejny technik podłączył implant Rafe'a.

Zalała ją fala wrażeń zmysłowych: zapachy, smaki, struktura materiałów, dotykających ta i ówdzie jej ciała. Odzyskała kontrolę i wyczuła coś w rodzaju połączenia... I nagle znalazła się w implancie Rafe'a, mając przed sobą hierarchiczną strukturę zawartych w nim danych.

Mogła poprosić go o hasła, lecz zdradzone jej kody mogłyby okazać się zawirusowane. Szukała po słowach-kluczach, wartościach i wreszcie dotarła do obszaru zawierającego dane o ISC.

Część podfolderów była zabezpieczona nawet przed bezpośrednim wglądem. Ky nacisnęła mocniej.

Czując to, Rafe otworzył zabezpieczone podkatalogi. Ky przemknęła przez nie, starając się nie zapamiętywać niczego, co tam zobaczyła, a co nie miało związku ze sprawą. Szukała logów wiadomości, chcąc udowodnić, że nie kontaktował się po kryjomu z Osmanem, ani z nikim innym. Tam... weszła w ten obszar implantu...

Czasoprzestrzeń eksplodowała. Moduły naprawcze jej implantu rzuciły się do sortowania danych, budowania nowych połączeń, tworzenia wymaganych struktur.

Ky zeszytywniała. Czerw mózgowy? Czy Rafe chciał ją sobie podporządkować? Wzrok jej się zamglił, a do nosa napłynął nagle silny, nieprzyjemny odór. Kichnęła.

Nie... to pogwałcenie! Nie rób tego! To był Rafe, ale nie ten, przywiązany do leżanki.

Ten Rafe siedział w jej głowie, w jej implancie. Bezpośredni kontakt przez kabel?

Nie. Transfer funkcji. Nie mów.

Nie mówić o czym? Udało się jej nie zapytać na głos. Otworzyła oczy (kiedy je zamknęła?) i powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy:

- Ma tam zapisane kilka wyjątkowo obrzydliwych pornosów.

- Och... żadna niespodzianka - stwierdził Pensig. - Co z ISC?

Ky odetchnęła głęboko.

- No cóż, jest jednym z ich agentów. Nie, nie jest zdrajcą. Dostałam się do logu wszystkich połączeń, jakich dokonywał; ma to zachowane w implancie. Ani śladu komunikacji z Osmanem lub kimkolwiek innym od czasu spotkania na Lastway po natknięcie się na Osmana. Jest niewinny... przynajmniej w tej kwestii.

- Jest pani pewna?

- Tak. Podejrzewamy, że Osman i jego sojusznicy posiadają ansible pokładowe...

- Sądzi pani, że to coś więcej, niż tylko plotka?

- Jestem tego pewna - odparła Ky. - Jeżeli mógłby pan zabrać go na pokład mojego statku, to jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałabym omówić na osobności...

- Czyżby nadal mu pani nie ufała?

- Nie dotyczy to jego. Chodzi o nas: Vattów i Mackensee.

- Przejdę się - zaproponował Rafe. - Jeżeli ktoś mnie rozwiąże.

Po uwolnieniu Rafe zapytał o drogę do łazienki, pozostawiając Ky sam na sam z Pensigiem i Johanssonem.

- Rafe nie wie o liście kaperskim - wyjaśniła Ky. - I w najbliższym czasie nie zamierzam mu o nim mówić.

- Ach - mruknął Pensig. - List kaperski... Ma pani rację, musimy o tym porozmawiać.

Ta sprawa z przejściem statku... czy też odzyskaniem skradzionej własności. Oczywiście, pójdzie pani z tym do sądu?

- Jeśli to uczynię - odrzekła Ky - zostanie mi odebrany i sprzedany celem pokrycia długów - kary za opóźnienia w dostawach i tak dalej. Vattowie potrzebują tego statku.

- Planuje pani przejąć go bez wyroku sądowego?

- Niedokładnie - stwierdziła Ky. - Zamierzam jedynie uchronić go przed złomowiskiem.

Pensig przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z zaciśniętymi ustami, nim wreszcie przemówił.

- Staram się być uczciwy wobec pani - oznajmił w końcu. - Jest pani młoda, przeszła przez straszne rzeczy. Niezależnie od tego, naciągnąłem nasze zasady do granic możliwości, a nawet poza nie. Jeżeli jednak nie podda pani faktu przejęcia tego statku pod ocenę odpowiedniego sądu, będę zmuszony uznać pani działania za akt kaperstwa, co w świetle posiadania przez panią listu kaperskiego czyni z niej kapra. Kogoś, z kim nie wolno nam zawierać umów. Mogę odprowadzić resztę konwoju do następnego systemu z odpowiednim rynkiem, ale potem nasz kontrakt z panią wygasa.

- Chce pan powiedzieć, że nie będziemy mogli dłużej lecieć razem?

- Och, tak przypuszczam... mam już dosyć kłopotów... ale nie będziemy zobligowani do zapewniania pani ochrony.

- Przykro mi.

- Och, dobrze by było zmienić nazwę statku, żebyśmy przez przypadek nie zniszczyli go któregoś



dnia.

Ky uśmiechnęła się.

- Odwieziecie nas na nasz statek?

- Najszybciej, jak to tylko możliwe - odrzekł Pensig. - Prawdę mówiąc, natychmiast.

\* \* \*

Po powrocie na Piękną Kaleen Ky zabrała Rafe'a do swojej kajuty, schodząc z ciekawskich oczu załogi.

- Musimy pogadać - oznajmiła. - Co to było?

- To, drogi kapitanie, był mój czaszkowy ansibl.

- A jak wywołał ten smród w moim nosie?

- Teoretyczny problem z technologią - odrzekł Rafe. - Jest tylko jedno wyjaśnienie. W

przypadku bezpośredniego połączenia pomiędzy implantami, jeżeli jeden z nich jest wystarczająco zaawansowany technologicznie, to istnieje możliwość, iż zreplikuje się on w podłączonym do niego drugim implancie. Teraz wiemy już, że to możliwe.

- Chcesz powiedzieć...

- Teraz ty również go masz. Tak. - Westchnął. - Powinienem być rozwalić sobie łeb. Nie sądziłem, że teoria potwierdzi się w praktyce.

- Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś - sarknęła Ky.

- Dziękuję, że im nie powiedziałaś - ciągnął Rafe, nie odpowiadając na jej komentarz. -

A przy okazji, wcale nie uważam, żebyś była brzydka, niedojrzała i zarozumiała. Nie sądzę też, że nic do mnie nie czujesz.

- Chcesz się przekonać, Rafe?

Przysunął się do niej.

- Uważam, że jesteś bardzo wytrawnym kłamcą, kapitanie Vatta.

Serce zabiło jej żywiej, ale zdołała utrzymać chłodny ton.

- O tym wiem ja, ty zaś musiałbyś sam to sprawdzić, Rafe.

- Zamierzam to uczynić - oświadczył Rafe, ponownie skracając dystans.

Bez namysłu zahaczyła stopą o jego nogę, zablokowała wyciągnięte ku niej ramiona i pchnęła go. Upadł ciężko na podłogę i podniósł na nią wytrzeszczone oczy. Wstrząs wybił go ze zwykłej pozy pełnej rozbawienia wyższości.

- Nie w ten sposób - oznajmiła mu.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)